



*laureat
literackiej
nagrody
nobla 2012*

MO
YAN

żaby



MO YAN

żaby

przełożyła Małgorzata Religa

Część pierwsza

Szanowny Panie Sugitani Yoshito,

Od naszego rozstania minęło już kilka miesięcy, ale wciąż pamiętam czas spędzony wspólnie w moich rodzinnych stronach. Nie zważając na własne zdrowie i wiek, zechciał Pan przyjechać do obcego kraju, do naszej zacofanej dziury, żeby porozmawiać ze mną i moimi krajanami, miłośnikami literatury. Jesteśmy tym niezwykle wzruszeni. Przed południem drugiego dnia nowego roku księżycowego wygłosił Pan dla nas długi referat zatytułowany „Literatura i życie”. Został już spisany z nagrania i jeśli zechce się Pan łaskawie zgodzić, chcielibyśmy go wydrukować w naszym lokalnym wydawnictwie Powiatowego Stowarzyszenia Literatury i Sztuki „Głos Żab”. W ten sposób ci, którzy nie mogli wysłuchać Pańskiego wykładu, będą mieli możliwość zapoznania się z Pańskim mistrzowskim językiem i czegoś się nauczyć.

Przed południem pierwszego dnia nowego roku towarzyszyłem Panu w odwiedzinach u mojej ciotki, od pięćdziesięciu lat pracującej jako położna. Chociaż przez szybkość jej mowy i przez jej lokalny akcent nie zrozumiał Pan wszystkiego, co mówiła, jestem pewien, że zrobiła na Panu wielkie wrażenie. W czasie wykładu, przedstawiając swoje poglądy na literaturę, wielokrotnie przywoływał Pan jej postać. Mówił Pan, że oczyma wyobraźni widzi obrazy wiejskiej położnej: jak pędzi na rowerze przez zamarzną rzekę, mocno naciskając na pedały, z apteczką na plecach i parasolką w rękę; jak zmaga się ze stadami żab; jak jedną ręką obejmuje niemowlę, ma zakrwawione rękawy i głośno się śmieje; albo widzi ją Pan przygnębioną, z papierosem w ustach i niedbale ubraną. Mówił Pan, że te obrazy czasami zlewają się w jeden, a czasem rozdzielają, jak seria rzeźb tej samej osoby. Zachęcał Pan miłośników literatury w naszym powiecie, aby obrali sobie moją ciotkę za bohaterkę i napisali o niej jakiś utwór: powieść, wiersz albo sztukę. Mistrzu, wielu ludzi, w których pobudził Pan natchnienie, wzięło się już do tego tematu. Jeden z moich przyjaciół pisarza napisał powieść, której bohaterką jest wiejska ginekolożka. Nie chcę wchodzić mu w drogę, więc chociaż w sprawach mojej ciotki orientuję się dużo lepiej niż on, zgodziłem się na jego książkę.

Mistrzu, chciałbym napisać sztukę na kanwie losów mojej ciotki. Drugiego dnia wieczorem, kiedy rozmawialiśmy, siedząc na moim kangu¹, Pańska błyskotliwa i niebanalna analiza i uznanie dla Sartre'a jako dramaturga były dla mnie prawdziwą podniętą. Chcę pisać, chcę napisać sztukę równie znakomitą jak Muchy czy Brudne ręce; uczynić wszystko, by zbliżyć się do tego wielkiego twórcy. Przestrzegam Pańskich wskazówek: nie śpieszyć się, pracować powoli, być cierpliwym jak żaba przycupnięta na liściu lotosu w oczekiwaniu na owada, a gdy wszystko dobrze się obmyśli, być szybkim jak żaba jednym skokiem chwytająca ofiarę.

Zanim odwiozłem Pana na lotnisko w Qingdao, poprosił mnie Pan, abym w liście przedstawił Panu historię mojej ciotki. Chociaż jej życie jeszcze się nie skończyło, już można je opisać niemal w formie epepei. W jej życiu rozegrało się tak wiele zdarzeń, że nie wiem, jak długi byłby ten list. Proszę więc, by zechciał Pan mi wybaczyć i zgodził się na to, że napiszę tyle, ile zdołam, po czym zakończę. W epoce komputerów pisanie piórem na papierze jest już luksusem, choć oczywiście jest też przyjemnością. Mam nadzieję, że czytając mój list, Pan także odczuje tę archaiczną przyjemność.

1 Kang to rodzaj pieca popularny w Chinach północnych, utrzymujący ciepło w pomieszczeniu i służący także jako mebel do siedzenia i spania.

A przy okazji wspomnę jeszcze Panu, że dwudziestego piątego pierwszego miesiąca stara śliwa na naszym podwórku, którą przez jej niezwykle kształt nazwał Pan „młodym uczonym”, zakwitła na czerwono. Mnóstwo ludzi przyszło ją podziwiać, ciotka też. Ojciec powiedział, że tego dnia spadł puszysty śnieg pachnący kwiatami i jego woń oczyściła ludzkie umysły.

Pański uczeń, Kijanka

Pekin, 21 marca 2002

ROZDZIAŁ 1

Mistrzu,

W naszych stronach był kiedyś taki stary zwyczaj, że kiedy urodziło się dziecko, dawano mu na imię nazwę części ciała lub organu, na przykład Chen Nos, Zhao Oko, Wu Jelito, Sun Ramię. Nie zgłębiałem pochodzenia tego zwyczaju, może brał się z przekonania, że „nędzne imię daje wielką przyszłość”, a może stąd, że matki uważają dzieci za część własnego ciała. Dziś ten zwyczaj już nie funkcjonuje, bo młodzi rodzice nie chcą, by ich dzieci nosiły takie dziwaczne imiona. Dzieci z naszych stron dzisiaj zwykle nazywają się pięknie i wyszukanie, z inspiracji telewizyjnych seriali z Hongkongu i Tajwanu, a nawet z Japonii i Korei. A ci, którzy kiedyś nazywali się jak części ciała, zmienili dawne imiona na elegantsze. Oczywiście, są też tacy, którzy zostali przy starych imionach, jak Chen Ucho albo Chen Brew.

Chen Nos, ojciec Ucha i Brwi, był moim szkolnym kolegą i przyjacielem z lat dziecięcych. Jesienią 1960 roku zaczęliśmy szkołę podstawową Dayanglan. To były czasy głodu, więc najlepiej pamiętam wszystko, co miało związek z jedzeniem. Przykładem może być opowiadana już przeze mnie historia o jedzeniu węgla. Wielu ludzi uważa, że ją zmyśliłem, ale przysięgam na moją ciotkę – to nie zmyślenie, ale najprawdziwszy fakt.

To była tona węgla pierwszej jakości z kopalni Longkou, tak błyszczącego i gładkiego, że można się było w nim przejrzeć. Potem nigdy już nie widziałem tak błyszczącego węgla. Wiejski woźnica Wang Stopa przywiózł go z miasta powiatowego. Wang Stopa miał kwadratową głowę i gruby kark, jąkał się, więc gdy mówił, oczy zaczynały mu lśnić, a twarz pokrywała się czerwienią. Jego syn Wątroba i córka Nerka chodzili ze mną do szkoły. Byli jednojajowymi bliźniętami. Wątroba był wysoki, ale Nerka była maleńka i nigdy nie miała urosnąć, a brzydko mówiąc, była po prostu karlicą. Ludzie powiadali, że u matki w brzuchu Wątroba zabierał jej całe jedzenie i dlatego Nerka została taka malutka. Rozładunek węgla odbywał się akurat w chwili, kiedy wyszliśmy ze szkoły, więc z tornistrami na plecach zebraliśmy się hałaśliwie wokół wozu. Stopa wielką szuflą rzucał węgiel na ziemię, a bryłki z grzechotem spadały jedna na drugą. Stopa zaczął ocierać pot na karku kawałkiem niebieskiego płótna i w tym momencie zauważył Wątrobę i Nerkę.

– Do domu, kosić trawę! – wrzasnął.

Nerka odwróciła się i pobiegła, kołysząc się trochę na boki i z trudem utrzymując równowagę, jak dziecko, które dopiero zaczyna chodzić. Miała w tym wiele wdzięku. Wątroba cofnął się i skulił, ale nie odchodził. Był bardzo dumny z pracy ojca. Dzisiejsze dzieci nie znają takiej dumy, nawet jeśli ich ojcowie są lotnikami. Ten wóz, ten wielki wóz wzbijający tumany pyłu spod kół! Przy dyszlu siedł były wojskowy koń, który kiedyś przewoził pociski artyleryjskie i podobno miał wielkie wojenne zasługi. Na zadzie wypalono mu znak. Koło niego stał złośliwy muł, zawsze gotów wierzgać, kopać i gryźć. Miał zły charakter, ale był zadziwiająco silny i szybki. Tylko Stopa umiał go okiełznać. Wielu ludzi we wsi zazdrościło mu zajęcia, ale wszyscy bali się tego muła. Pogryzł już dwoje dzieci: Yuana Policzka, który był synem Yuana Twarzy, i Nerkę. Chwycił ją zębami za głowę, kiedy wybiegła przed dom, żeby się pobawić.

Wszyscy czuliśmy respekt przed Wangiem Stopą. Miał metr dziewięćdziesiąt wzrostu, szerokie ramiona i siłę wołu – potrafił chwycić stukilowe żarno i na wyprostowanych ramionach unieść je nad głowę. Ale największy respekt i podziw budził w nas jego „bicz boży”. W ten dzień, kiedy szalony muł ugryzł Policzka też w głowę, Stopa szarpnęła hamulec, stanął rozkraczony nad dyszlem, podniósł bat i zaczął smagać zwierzę po zadzie. Każde głośnie smgnięcie zostawiało na skórze muła krwawą pręgę. Początkowo usiłował się stawiać, ale po chwili, spocony i drżący, przykląkł przednimi nogami na ziemi, schylił łeb tak nisko, że dotykał wargami ziemi, z zadem do góry wystawionym na bicie.

W końcu ojciec Policzka Yuan Twarz wstawił się za nim:
– Stary Wangu, odpuść mu już!

Stopa, ciągle zły, przestał bić. Yuan Twarz był sekretarzem partii, pełnił najwyższy urząd we wsi i Stopa nie śmiał mu się przeciwstawić. Kiedy muł ugryzł Nerkę, też spodziewaliśmy się przedstawienia, ale Stopa nawet nie tknęła bata. Wziął garść popiołu z kopczyka przy drodze, wtarł go w głowę Nerki i zaniósł ją do domu. Nie uderzył muła, ale smagnął batem żonę i kopnął Wątrobę.

Pokazywaliśmy sobie muła palcami i rozmawialiśmy na jego temat. Był straszliwie wychudzony, a nad oczami miał dwa wgłębienia, tak wielkie, że można by w nich zmieścić jajko. Jego spojrzenie było tak smutne, jakby miał za chwilę się rozpłakać. Naprawdę nie wiedzieliśmy, skąd w tak chudym zwierzęciu tyle złości i siły. Kiedy tak paplając, zbliżaliśmy się do niego, szufla w rękach Stopy znieruchomiała, a on sam zmierzył nas takim spojrzeniem, że cofnęliśmy się przestraszeni. Stos przed szkolną kuchnią był coraz wyższy, a węgla na wozie ubywało. Wszyscy pociągnęliśmy nosami, bo poczuliśmy nagle jakiś niezwykle zapach. Był trochę podobny do zapachu palącej się sosny, a trochę do zapachu pieczonych orzeszków. Węch poprowadził nasz wzrok do stosu błyszczącego węgla.

Stopa popędził swoje zwierzęta i wóz wyjechał ze szkolnego dziedzińca. Inaczej niż mieliśmy w zwyczaju, nie pobiegliśmy za wozem, ryzykując, że oberwiemy batem. Nie odrywając wzroku od stosu, powoli się do niego zbliżaliśmy. Szkolny kucharz, stary Wang, nadszedł, kołysząc się, z dwoma wiadrami wody. Jego córka Wang Renmei była naszą koleżanką, a potem została moją żoną. Jako jedyne z niewielu wówczas dzieci nie nosiła imienia pochodzącego od części ciała, bo jej ojciec kucharz był człowiekiem wykształconym. Początkowo pełnił funkcję kierownika sekcji hodowli w komunie, ale ponieważ powiedział coś nierozsądnego, usunięto go ze stanowiska i przysłano na wieś. Popatrzył na nas podejrzliwie. Wydawało mu się pewnie, że chcemy wpaść do kuchni i ukraść coś do jedzenia, więc zawołał:

– Wynocha stąd, smarkacze! Tu nie ma dla was nic do jedzenia, wracajcie do domów, niech was matki nakarmią własnym mlekiem!

Usłyszeliśmy, co powiedział, a nawet poważnie zastanowiliśmy się nad jego sugestią, ale zrozumieliśmy, że tylko nam dokucza. Mieliśmy już po osiem lat, więc jak mogliśmy pić mleko matek? A do tego nasze matki były i tak ledwo żywe z głodu, zapadnięte piersi przywarły im do żeber, więc nie było w nich mleka. Nikt z nas jednak nic nie powiedział. Staliśmy przed stosem węgla, pochylając się nad nim coraz niżej, jak geologowie, którzy natrafili na niezwykłą skałę. Węszyliśmy jak psy szukające jedzenia wśród śmieci. I tu przede wszystkim podziękowania należą się Nosowi i Nerce. Najpierw Nos podniósł bryłkę, powąchał i zmarszczył brwi, jakby się nad czymś głęboko zastanawiał. Jego nos był ogromny i często sobie z niego żartowaliśmy. Podumawszy przez chwilę, z całej siły uderzył trzymaną w rękę bryłką o drugą. Węgiel rozkruszył się i mocno zapachniał. Podniósł kawałek, a wtedy Nerka też podniosła kawałek. Nos polizał swój kawałek językiem, spróbował, a potem przewrócił oczami i spojrzał na nas. Nerka naśladując go, też polizała węgiel i spojrzała na nas. A potem popatrzyli na siebie, uśmiechnęli się i jednocześnie ugryźli, przeżuli, znowu ugryźli i znowu zaczęli energicznie żuć. Na ich twarzach pojawił się wyraz entuzjazmu. Wielki nochal Nosa zrobił się czerwony i pojawiły się na nim kropelki potu, a nosek Nerki umazał się na czarno. Jak urzeczeni słuchaliśmy ich chrupania. Ze zdumieniem zobaczyliśmy, że przetykają. Zjadali kawałki węgla!

- Koledzy! Pycha! – powiedział Nos zduszonym głosem.
- Braciszku! Jedz! – zawołała Nerka.

Nos znowu podniósł kawałek i zaczął chrupać, a Nerka podała kawałek Wątrobie. Zaczęliśmy ich naśladować – rozbiliśmy bryłki, odgryźliśmy kawałek, posmakowaliśmy – było trochę jakby piaszczyste, ale smakowało nieźle. Nos, wiedziony potrzebą pomocy, podniósł bryłkę i poradził nam:

- Koledzy, takie jedzcie, takie są dobre.

Pokazał nam w swojej bryłce coś przezroczystego i jasnożółtego, podobnego do bursztynu.

- Takie z żywicą są najlepsze.

Mieliśmy już lekcje przyrody i wiedzieliśmy, że przed wieloma wiekami węgiel powstał z lasów zakopanych pod ziemską skorupą. Lekcje przyrody prowadził z nami kierownik szkoły Wu Jinbang. Nie uwierzyliśmy ani jemu, ani podręcznikowi: lasy są zielone, jak mogłyby się zmienić w czarny węgiel? Uważaliśmy, że kierownik i podręcznik kłamią. Dopiero kiedy odkryliśmy w węglu żywicę, stwierdziliśmy, że ani kierownik, ani podręcznik nas nie oszukiwali. Z trzydziściorga pięciorga uczniów w naszej klasie zabrakło wtedy zaledwie kilku dziewczynek, reszta była w komplecie. Każdy z nas trzymał w rękach bryłkę węgla, nadgryzał ją i głośno chrupał. Wyglądaliśmy, jakbyśmy entuzjastycznie odgrywali jakieś przedstawienie, jak aktorzy w jakiejś dziwnej sztuce. Xiao Dolna Warga trzymał bryłkę w ręce, oglądał ją ze wszystkich stron, ale nie jadł, a na twarzy miał wyraz obrzydzenia. Nie jadł węgla, bo nie był głodny, a nie był głodny, ponieważ jego ojciec był magazynierem w spichlerzu komuny.

Kucharz Wang z rękami umazanymi w mące wybiegł na dwór. O matko, na rękach miał mąkę! W tym czasie w naszej stołówce poza kierownikiem i nauczycielami jedali także dwaj wysocy urzędnicy z komuny.

– Dzieci, co wy robicie? – krzyknął zdumiony Wang. – Co wy jecie? Węgiel?!

Nerka swoimi małykami rączkami podała mu bryłkę i pisnęła:

– Wujku, to jest pyszne, zjedz kawałek.

Wang potrząsnął głową.

– Nerko, taka malutka dziewczynka i z łobuziakami takie draki urządza.

Nerka ugryzła kawałek i rzekła:

– Wujku, naprawdę pycha.

Był już wieczór i słońce czerwieniało na zachodzie. Dwaj urzędnicy z komuny przyjechali na rowerach. Oni też zwrócili na nas uwagę. Stary Wang chciał przepędzić nas nosidłem, ale jeden z nich – nosił nazwisko Yan i był chyba wiceprzewodniczącym – powstrzymał go. Popatrzył na nas z niechęcią, machnął ręką i poszedł do stołówki.

Następnego dnia w klasie na lekcji z panią Yu chrupaliśmy węgiel. Usta mieliśmy czarne, w kącikach warg zbierał się miąż. Jedli nie tylko chłopcy – dziewczynki, które nie uczestniczyły we wczorajszej węglowej uczcie, poszły za przykładem Nerki i także spróbowały. Córka naszego kucharza i moja późniejsza pierwsza żona Wang Renmei jadła z wielkim apetytem. Kiedy teraz sobie to przypominam, wydaje mi się, że miała zapalenie dziąseł, bo z ust leciała jej krew. Pani Yu napisała coś na tablicy, po czym odwróciła się i na nas popatrzyła. Najpierw zwróciła się do swojego syna, naszego kolegi Li Ręki.

– Ręko, co wy jecie?

– Węgiel, mammo.

– Proszę pani, myjemy węgiel, chce pani spróbować?! – zawołała Nerka z pierwszej ławki, a jej głosik zabrzmiał jak miauczenie kota.

Pani Yu wzięła bryłkę z jej ręki, zbliżyła ją do nosa, powąchała. Po kilku chwilach bez słowa oddała ją Nerce.

– Dzieci – powiedziała – dzisiaj mamy szóstą lekcję *Wrona i lis*. Wrona znalazła kawałek mięsa i bardzo zadowolona usiadła na czubku drzewa. Lis stanął pod drzewem i zawołał do niej: „Pani wrono, pani ma taki piękny głos, że gdyby pani zaśpiewała, wszystkie ptaki na świecie umilkłyby ze wstydu”. Pochwały lisa zawróciły wronie w głowie, otworzyła dziób i wypuściła mięso, które wpadło prosto do pyska lisa.

Usmolonymi ustami powtarzaliśmy lekcję za panią Yu.

Pani Yu była wykształconą kobietą, ale dopasowała się do miejscowego obyczaju i nazwała swojego syna Ręką. Kilka lat później Ręka z bardzo dobrymi wynikami dostał się do akademii medycznej, a potem pracował jako chirurg w szpitalu powiatowym. Kiedy Chen Nos stracił cztery palce w sieczkarni, Ręka przyszył mu trzy i je uratował.

ROZDZIAŁ 2

Skąd u Nosa wziął się taki wielki nochał, inny niż u wszystkich? Na to pytanie mogłaby odpowiedzieć chyba tylko jego matka.

Ojciec Nosa Chen Czoło (jego tak zwane imię społeczne brzmiało Tianting) był jedynym w całej wsi człowiekiem, który miał dwie żony. Umiał dobrze pisać, znał wiele znaków i przed wyzwoleniem posiadał sto arów dobrej ziemi. Otworzył gorzelnię i sprzedawał wódkę w Harbinie. Jego żona była miejscowa i urodziła mu cztery córki. Przed wyzwoleniem Czoło uciekł, a po wyzwoleniu, chyba w 1951 roku, Yuan Twarz z dwoma milicjantami pojechał po niego do Mandżurii i sprowadził go z powrotem.

Czoło uciekł samotnie, porzucił żonę i córki, ale wracając, przywiózł ze sobą kobietę. Miała jasne włosy i niebieskie oczy, była koło trzydziestki, nazywała się Ai Lian i na rękach trzymała cętkowanego psa. Ponieważ przed wyzwoleniem wzięła z Czołem ślub, więc w świetle prawa Czoło posiadał dwie żony. We wsi było wielu biedaków gołych jak święci tureccy, którym bardzo się nie podobało, że Czoło ma aż dwie kobiety i na pół żartobliwie, a na pół poważnie zaproponowali, żeby jedną im oddał do wspólnego użytku. Czoło skrzywił się tylko i trudno było powiedzieć, czy chciał mu się śmiać, czy płakać. Dwie żony Czoła najpierw mieszkały pod jednym dachem, ale ponieważ się kłóciły, i to okropnie, za zgodą Yuana Twarzy młodsza żona została ulokowana w bocznym skrzydle szkoły.

W budynkach szkoły początkowo znajdowała się gorzelnia Chena, więc kiedyś była to jego własność. Wreszcie obie żony doszły do porozumienia i mieszkały w domu na zmianę. Pies, którego jasnowłosa kobieta przywiozła z Harbinu, został zagryziony przez wiejskie kundły, a wkrótce po tym, jak ciężarna Ai Lian zakopała jego trupa w ziemi, urodził się Nos. Niektórzy ludzie mówili więc, że dusza psa wcieliła się w Nosa, który może właśnie z tego powodu miał też świetny węch. W tym czasie moja ciotka była już po kursach nowego położnictwa w powiecie i została wykwalifikowaną położną. To był rok 1953.

W 1953 roku nowe metody odbierania porodów spotykały się na wsi z niechęcią, głównie z powodu plotek rozsiewanych przez wiejskie „babki”. Opowiadały, że dzieci rodzone po nowemu zachorują na wietrznicę. Dlaczego „babki” tak mówiły? Ponieważ nowe metody położnicze zabierały im pracę, z której się utrzymywały. Za każdy odebrany poród otrzymywały posiłek, a poza tym dostawały dwa ręczniki i dziesięć jajek. Na samo wspomnienie o „babkach” ciotka zaczynała zgrzytać zębami. Mówiła, że doprowadziły do śmierci ogromnej liczby noworodków i ich matek. Opowieści ciotki napełniały nas przerażeniem, wyobrażaliśmy sobie, że „babki” miały wielkie pazury, zielone błyski w oczach jak upiory i strasznie śmierdziało im z ust. Ciotka opowiadała, że wałkiem do ciasta uciskały brzuch rodzących kobiet i zatykały im usta brudnymi szmatami, jakby dziecko miało urodzić się przez usta. Mówiła, że nie miały nawet podstawowej wiedzy anatomicznej i kompletnie nie znały fizjologii kobiety. Opowiadała, że potrafiły wsadzić rękę do dróg rodnych i na siłę wyciągać dziecko, niekiedy nawet razem z macicą. Przez jakiś czas, gdyby ktoś zapytał mnie, kto jest największym złoczyńcą i zasługuje na rozstrzelanie, bez namysłu powiedziałbym „babki”. Dopiero później zrozumiałem, że ciotka była niesprawiedliwa. Takie ciemne, dzikie „babki” z pewnością istniały, ale były wśród nich także kobiety, które opierając się na własnym

doświadczeniu, poznały tajemnice kobiecego ciała. Moja babcia była właśnie taką „babką” wyznającą zasadę nieprzeszkadzania, pozwalania naturze, by działała sama. Uważała, że dobra „babka” wspiera rodzącą psychicznie, a kiedy dziecko już się urodzi, nożyczkami przecina pępowinę, smaruje wapnem, owija i to wszystko. Ale jej usługi nie cieszyły się powodzeniem, bo uważano, że jest leniwa. Ludzie widocznie woleli „babki” hałaśliwe, miotające się, spocone przy porodzie nie mniej niż rodząca.

Ciotka była córką mojego najstarszego dziadka (czyli najstarszego brata mojego rodzonego dziadka). Był lekarzem w 8. Armii. Studiował medycynę, a po wstąpieniu do wojska uczył się medycyny zachodniej u Normana Bethune’a. Po jego śmierci dziadek rozchorował się z rozpaczą i kiedy było już z nim źle, powiedział, że chce wrócić do domu, bo tęskni za matką. Otrzymał zgodę na leczenie w domu. Moja prababcia jeszcze wtedy żyła.

Kiedy wszedł do domu, poczuł zapach zupy z zielonej fasoli. Prababcia szybko umyła garnek, dołożyła do ognia i zajęła się zupą; babcia chciała jej pomóc, ale prababcia odsunęła ją laską. Dziadek usiadł na progu i niecierpliwie czekał na zupę. Ciotka mówiła, że pamięta tę scenę: powinna była przywitać się z tatą, ale nie chciała, schowała się za mamą i przyglądała się mu ukradkiem. Od dzieciństwa słyszała, jak mama i babcia opowiadały jej o tacie, ale kiedy wreszcie go zobaczyła, wydał się jej obcy. Siedział na progu z woskowożółtą twarzą, miał długie włosy, a po karku chodziły mu wszy. Nosił stary zniszczony kubrak, a z dziur w materiale wyłaziła wata. Ciotka opowiadała, że jej babcia – to znaczy nasza prababcia – gotowała zupę i płakała. Kiedy zupa wreszcie była gotowa, dziadek chwycił ją niecierpliwie, podniósł miskę i nie zważając, że jest gorąca, zaczął łapczywie pić.

– Synku – upomniała go babcia – nie spiesz się tak, w garnku jeszcze zostało!

Ciotka opowiadała, że ojcu trzęsły się ręce. Kiedy wypił całą zupę z miski, nalał sobie drugą. Po dwóch miskach zupy wreszcie przestał się trząść. Po skroniach spłynął mu pot, oczy ożyły, na policzki wrócił rumieniec. Ciotka usłyszała, jak w brzuchu mu coś turkocze jak żarna. Po godzinie poszedł do wychodka i dostał takiej biegunki, jakby miały wypłynąć mu kiszki. Potem powoli mu się polepszyło i po dwóch miesiącach był zdrowy i pełen energii.

Powiedziałem ciotce, że w *Nieoficjalnej historii konfucjanistów* przeczytałem o podobnym zdarzeniu.

– A co to jest Nieoficjalna historia konfucjanistów? – spytała.

– Słynna klasyczna powieść – odparłem.

Zerknęła na mnie i rzekła:

– Skoro nawet w klasycznych powieściach piszą o takich rzeczach, to dlaczego jeszcze masz wątpliwości?

Po powrocie do zdrowia dziadek chciał wrócić do oddziału w górach Taihang, ale prababcia powiedziała:

– Synku, mnie już niewiele życia zostało, poczekaj do mojego pogrzebu.

Babcia wstydziła się sama z nim rozmawiać, więc wysłała moją ciotkę, swoją córkę:

– Tato, mama mówiła, że jak chcesz iść, to idź, ale zostaw mi braciszka.

W tym czasie oddziały 8. Armii w Jiaodongu kilkakrotnie przysyłały po dziadka ludzi. Był bardzo sławny jako uczeń Normana Bethune'a. Dziadek powiedział im, że jego miejsce jest w Shanxi i Henanie, na co oni oświadczyli, że jest człowiekiem partii komunistycznej i nie ma znaczenia, gdzie będzie działał.

– Brakuje nam takich ludzi jak ty. Tak czy inaczej zatrzymamy cię tutaj – stwierdził dowódca Xu. – Jak nie zgodzisz się przyjechać lektyką, każę cię przyprowadzić w kajdankach. A potem wyprawię ucztę na twoją cześć!

Tak oto dziadek pozostał w Jiaodongu i założył podziemny szpital 8. Armii.

Ten szpital naprawdę znajdował się pod ziemią. Podziemne korytarze prowadziły do różnych pomieszczeń, a te do dalszych korytarzy. Była tam sala operacyjna, ambulatorium i sale chorych. Pozostałości szpitala zachowały się do dzisiaj. Żyje jeszcze osiemdziesięcioośmioletnia staruszka Wang Xiulan, która pracowała z dziadkiem jako pielęgniarka. Z wielu pomieszczeń szpitalnych wychodziło się przez studnie. Jednego razu pewna młoda dziewczyna przyszła po wodę i jej wiadro z niewiadomych przyczyn utknęło w studni. Zajrzała i zobaczyła w cembrowinie dziurę, przez którą młody ranny żołnierz stroił do niej miny.

Wspaniałe medyczne umiejętności dziadka szybko zyskały sławę. To on usunął pocisk, który utknął w łopatce dowódcy Xu, to on przeprowadził cesarskie cięcie w czasie ciężkiego porodu żony komisarza politycznego Li i uratował życie matce i dziecku. Sugitani, dowódca wojsk japońskich w Pingduchengu, też dowiedział się o osiągnięciach dziadka. Gdy w czasie bitwy jego koń został ranny po wybuchu miny, Sugitani porzucił wierzchowca i uciekł. Dziadek zoperował zwierzę, a dowódca Xia zaczął na nim jeździć. Po jakimś czasie koń zatęsknił za domem, przegryzł uzdę i uciekł do Pingduchengu, a Sugitani, dowiedziawszy się o powrocie swego szlachetnego rumaka, bardzo się ucieszył. Wysłał jakiegoś chińskiego zdrajcę na przeszpiegi i dowiedział się, że niemal pod jego nosem 8. Armia wybudowała sobie szpital, a szefem tego szpitala jest wspaniały lekarz Wan Liufu, który przywrócił jego konia do życia. Sugitani pochodził z rodziny lekarskiej, dlatego ucieszył się na wieść o pokrewnej duszy i chciał nakłonić dziadka do współpracy. Wykorzystał więc jeden z forteli z *Dziejów trzech królestw*, kazał komuś zakraść się do naszych i porwać prababcię, babcię i moją ciotkę, a następnie pchnął posłańca z listem do dziadka.

Dziadek był komunistą z krwi i kości. Przeczytawszy list od Sugitaniego, zgniótł go i rzucił na ziemię, ale komisarz polityczny znalazł go i zaniósł do dowódcy. Dowódca Xu i komisarz Li razem napisali do Sugitaniego list, w którym nazwali go łotrem, i zapowiedzieli, że jeśli rodzinie doktora Wana spadnie włos z głowy, cała chińska armia w Jiaodongu uderzy na Pingducheng.

Ciotka opowiadała mi, że razem z babcią i prababcią spędziły w Pingduchengu trzy miesiące. Niczego im nie brakowało, nikt im nic złego nie zrobił. Sugitani był przystojnym młodzieńcem, nosił okulary w drucianej oprawce i bródkę, miał znakomite maniere i mówił płynnie po chińsku. Do prababci zwracał się per „czcigodna ciotko”, do babci – „szanowna bratowo”, a ciotkę nazywał „śliczną brataniczką”. Ciotka nie wspominała go źle. Oczywiście wszystko to mówiła tylko prywatnie, w rodzinnym gronie, obcym opowiadała co innego. Mówiła mianowicie, że razem z matką i babką padły ofiarą japońskich prześladowań, że zmuszano je do współpracy groźbami i przekupstwem, ale one się nie ugięły.

Mistrzu, historii o moim dziadku jest tyle, że trzy doby nie starczyłyby, żeby opowiedzieć wszystkie, więc może wrócimy do nich kiedyś w wolnej chwili. Teraz muszę opowiedzieć o jego bohaterskiej śmierci. Ciotka wspominała, że dziadek zginął od trujących gazów wrzuconych przez wroga do podziemnego tunelu, w którym operował rannego. To samo zostało zanotowane w dokumentach władz powiatowych. Ale są też ludzie, którzy opowiadają, że dziadek z ośmioma granatami przy pasie sam jeden pojechał na mule do Pingduchengu. Chciał zostać samotnym bohaterem i ocalić matkę, żonę i córkę, ale nieszczęśliwie natrafił na miny podłożone w rowie rodziny Zhao.

Tę wersję rozgłaszał niejaki Xiao, który miał na imię Górna Warga i pełnił funkcję noszowego w szpitalu Xihai. Dziwny był z niego człowiek. Po wyzwoleniu pracował jako magazynier zboża w komunie, wynalazł bardzo skuteczną truciznę na szczury i przez jakiś czas cieszył się nawet pewną sławą, a kiedy pisano o nim w gazecie, jego imię zamiast „Górna Warga” zapisano jako „Górna Czystość”, co brzmiało tak samo, ale znaczyło co innego. Później wydało się, że głównym składnikiem jego superskutecznej trucizny był zakazany już wówczas środek owadobójczy. Miał na pieńku z moją ciotką, więc jego historia nie jest zbyt wiarygodna. Opowiadał mi tak:

– Twój dziadek nie posłuchał rozkazu organizacji, zostawił swoich rannych i chciał zostać wielkim bohaterem. Przed wyjazdem wypił dla kurażu litr wódki z patatów, zalał się w trupa i po pijanemu wlaźł na miny ustawione przez swoich.

Xiao Górna Warga wyszczerzył wielkie żółte zęby, jakby cieszył się z czyjegoś nieszczęścia, i mówił dalej:

– Jak twojego dziadka i jego muła rozerwało, pozbierali ich do dwóch koszy. W jednym były ręce twojego dziadka, a w drugim kopyta muła. I potem to wszystko razem wrzucili do trumny. Ale sama trumna była niezła, zarekwirowali ją jednemu kułakowi z Lancun.

Kiedy powtórzyłem to ciotce, zgrzytnęła zębami i rzekła:

– Ja tego drania kiedyś osobiście wykastruję! – Po czym dodała: – Dziecko, możesz w nic nie wierzyć, ale w to jedno wierzyć musisz: twój dziadek był bohaterem wojny antyjapońskiej i bojownikiem rewolucji! Na górze Lingshan jest jego grób, a w muzeum bohaterów wystawiono jego skalpel i buty. Te buty są z Anglii, sam Norman Bethune ofiarował mu je przed śmiercią.

ROZDZIAŁ 3

Mistrzu, historię mojego dziadka opowiedziałem pobieżnie, żeby teraz spokojnie opowiedzieć historię mojej ciotki.

Ciotka urodziła się w 1937 roku, trzynastego czerwca kalendarza słonecznego, czyli piątego dnia piątego miesiąca księżycowego. W domu jako dziecko nazywano ją Duanyang, a oficjalnie Wan Serce. Imię wymyślił jej dziadek i pozostaje ono w zgodzie z lokalnym obyczajem, a jednocześnie zawiera w sobie bogactwo metaforycznych znaczeń. Po bohaterskiej śmierci dziadka prababcia w Pingduchengu rozchorowała się i też zmarła. Dzięki wielkim siłom frontu wewnętrznego wojenny region Jiaodong ocalał, a babcię i ciotkę uwolniono. Trafiły na terytorium wyzwolone. Ciotkę wysłano do patriotycznej, antyjapońskiej szkoły, a babcia w fabryce ubrań przyszywała do butów podeszwy.

Po wyzwoleniu przed dziećmi bohaterów takimi jak ciotka drzwi do kariery stały otworem, ale babcia nie chciała opuścić rodzinnych stron, a ciotka nie chciała rozstawać się z matką. Kiedy władze powiatu zapytały, co chciałyby robić, moja ciotka odrzekła, że pragnie pójść w ślady ojca, dostała się więc do okręgowej szkoły medycznej. Ukończyła ją w wieku zaledwie szesnastu lat i zaczęła pracę w przychodni. Kiedy powiatowy wydział zdrowia otworzył kurs nowoczesnego położnictwa, ciotka została tam skierowana. Od tego momentu los nierozzerwanie połączył ją z tym świętym zawodem. Czwartego kwietnia 1953 roku przyjęła pierwszy poród i do wiosny obecnego roku pomogła przyjść na świat dziesięciu tysiącom dzieci (jeśli pracowała z czyjąś pomocą, dwoje dzieci liczyła za jedno). Te informacje sama panu przekazała. Wydaje mi się, że liczba dziesięciu tysięcy dzieci jest może przesadzona, ale z pewnością było ich nie mniej niż siedem-osiem tysięcy. Ciotka wychowała siedem uczennic, z których jedna, „Lwiczka”, brzydka, ospowata, z perkatym nosem i rozwichrzonymi włosami, poszłaby za nią w ogień. Gdyby ciotka kazała jej kogoś zabić, chwyciłaby nóż i poszła wykonać rozkaz, o nic nie pytając.

Wspominaliśmy wcześniej, że wiosną 1953 roku kobiety z naszych stron miały wiele zastrzeżeń do nowych metod położniczych. Tamtejsze „babki” po cichu rozprzestrzeniały różne plotki. Ciotka miała zaledwie siedemnaście lat, ale przez swoje niecodzienne doświadczenia i znakomite pochodzenie była w naszym Dongbebiangu postacią ważną, cieszącą się wielkim szacunkiem. Oczywiście, jej uroda też była niezwykła. Nie chodziło nawet o jej twarz, nos czy oczy, ale przede wszystkim o zęby. W naszych stronach było duże stężenie fluoru i wszyscy, bez względu na wiek, mieli czarne zęby. Ciotka w dzieciństwie mieszkała długo na wyzwolonych terenach na wschód od rzeki Jiao, piła tam czystą wodę z górskich źródeł, od żołnierzy z 8. Armii nauczyła się myć zęby i może dlatego nie zostały zniszczone. Wszyscy, a szczególnie dziewczęta, zazdrościliśmy jej białych zębów.

Pierwszym dzieckiem, które odebrała, był Chen Nos i wiele razy dawała wyraz swojemu niezadowoleniu z tego powodu. Mówiła, że jej pierwszym dzieckiem powinien być syn rewolucjonistów i nigdy nie spodziewała się, że jako pierwszego odbierze szczeniaka obszarników. Ale wtedy musiała utarować drogę nowemu położnictwu, wykorzenić stare metody i nie miała czasu się nad tym zastanawiać.

Kiedy otrzymała wiadomość, że Ai Lian zaczyna rodzić, wskoczyła na rower, który wtedy wciąż jeszcze był rzadkością, chwyciła apteczkę i popedałowała szybko jak wiatr. Dziesięć kilometrów z wiejskiego ambulatorium do naszej wsi pokonała w dziesięć minut. Żona sekretarza partii Yuana Twarzy akurat prała w rzece i na własne oczy widziała, jak ciotka pędziła po kamiennym mostku. Pies, który dreptał po moście, tak się przeraził, że wleciał do rzeki na łeb.

Gdy ciotka z apteczką w ręku wpadła do dwuizbowej przybudówki, w której mieszkała Ai Lian, zastała tam już wiejską „babkę” Tian Guihuę. Była to stara, ponadsześćdziesięcioletnia kobieta o małych ustach i zapadniętych policzkach. Dzisiaj już gryzie ziemię, o Amido Buddo! Tian Guihua należała do tych „babeł”, które wyznawały aktywne działanie, więc kiedy ciotka weszła do izby, zobaczyła, jak stara, siedząc okrakiem na Ai Lian, ze wszystkich sił uciska jej wielki sterczący brzuch. Starucha miała przewlekłe zapalenie oskrzeli, więc jej sapanie mieszało się z podobnym do świńskiego kwiku zawodzeniem położnicy, co dawało niezwykle dramatyczny efekt. Obszarnik Chen Czoło siedział w kucki w rogu izby i raz za razem uderzał głową w ścianę, międląc w ustach jakieś niezrozumiałe słowa.

Często bywałem u Chena Nosa, więc świetnie znam rozkład tamtego domu. Ta dwuizbowa przybudówka miała niski dach, a samo pomieszczenie było wąskie i ciasne. Wchodziło się prosto do kuchni, za kuchnią był wysoki na dwie stopy murek, a bezpośrednio na nim gliniany kang. Ciotka od razu dostrzegła, co się tam działo i ogarnęła ją wściekłość. Cytując jej słowa: „aż ogień się we mnie zapalił”. Cisnęła apteczkę, jednym skokiem rzuciła się naprzód, lewą ręką złapała starą za lewe ramię, prawą ręką chwyciła za prawe, szarpnęła mocno w prawo i do tyłu i zwała staruchę z kangu. Stara uderzyła głową w nocnik, siki rozlały się i izba wypełniła się odorem. Z rozbitej głowy „babki” pociekła ciemna krew. Tak naprawdę nic wielkiego się jej nie stało, ale mimo to zaczęła przeraźliwie wyć. Taki lament zwykle budzi w ludziach przerażenie, ale ciotka się nie przestraszyła. Nie takie rzeczy już widziała.

Stanęła przy kangu, włożyła gumowe rękawiczki i rzekła surowo do Ai Lian:

– Nie płacz i nie wrzeszcz, bo płacz i wrzask ci nie pomogą. Jeśli chcesz żyć, musisz słuchać moich poleceń i robić, co ci powiem.

Słowa ciotki zrobiły wrażenie na Ai Lian. Wiedziała oczywiście o jej znakomitym pochodzeniu i niezwykłych doświadczeniach.

– Jesteś starą pierwiastką i płód ma nieprawidłowe położenie. Normalnie dziecko wychodzi głową do przodu, u ciebie wychodzi ręką. Głowa utkwiała w środku.

Później ciotka często żartowała z Nosa, że jeszcze się nie urodził, a już rękę wyciągał, jakby domagał się czegoś od świata.

– Jedzenia się domagałem! – odpowiadał jej Nos.

Choć był to jej pierwszy poród, ciotka zachowała zimną krew, nie straciła głowy i to, co umiała, wykorzystała z nadatkiem. Była genialną położną, miała mentalny dar do tego zawodu i wyczucie w rękach. Kobiety, które widziały ją przy pracy, a także same położnice żywiły dla niej wielki podziw. Kiedy jeszcze żyła moja matka, często mówiła do nas:

– Wasza ciotka miała ręce inne niż wszyscy. Normalnie ludzie mają ręce raz zimne, raz gorące, czasami im drętwieją, czasami się pocą, a wasza ciotka, czy w lecie, czy w zimie, miała takie same, miękkie i chłodne, ale nie takie bezsilnie miękkie, one były takie... jak by to powiedzieć...

Mój wykształcony starszy brat dopowiadał:

– Może takie jak żelazo w aksamicie: i miękkie, i twarde jednocześnie?

– No właśnie – odpowiadała matka. – I były chłodne, ale nie takie lodowo zimne, tylko takie...

Wykształcony brat znowu jej pomagał.

– Z wierzchu zimne, a w środku gorące, jak jedwab albo nefryt.

– No właśnie, no właśnie – mówiła matka. – Wystarczyło, że dotknęła pacjenta, a od razu ubywała połowa choroby.

Wiejskie kobiety właściwie ciotkę ubóstwiły.

Ai Lian miała więc szczęście, ale przede wszystkim miała rozum. Kiedy ręce ciotki dotknęły jej skóry, natychmiast odczuła ich siłę. Opowiadała potem napotkanym ludziom, że ciotka miała w sobie autorytet jak wielki generał. W porównaniu z nią tamta pełzająca w sikach, zawodząca kobieta była po prostu śmieszna. Dzięki wstrząsowi i zaufaniu, które wzbudziły w niej naukowe podejście i surowy ton ciotki, Ai Lian dojrzała promyk nadziei, poczuła w sobie odwagę i nawet szarpiący jej wewnętrzności ból wyraźnie się zmniejszył. Przestała płakać, zaczęła słuchać poleceń ciotki i dopasowując się do jej ruchów, urodziła wielkiego chłopca – Chena Nosa.

Bezpośrednio po urodzeniu Nos nie oddychał, więc ciotka odwróciła go głową w dół, klepnęła w plecy i pierś, aż wydał z siebie płacz podobny do miauczenia kota.

– Ale wielki łobuz! I skąd u niego taki wielki nos? Wygląda jak jakiś Jankes! – rzekła ciotka.

W tym momencie przepełniała ją radość, jak rzemieślnika, który właśnie skończył swoje pierwsze dzieło. Na umęczonej twarzy położnicy pojawił się promienny uśmiech. Ciotka była osobą o silnej świadomości klasowej, ale w chwili, gdy z dróg rodnych kobiety wydobyła na świat niemowlę, zapomniała o walce klas, a jej radość była nieskażona, czysta i ludzka.

Kiedy Chen Czoło usłyszał, że młoda żona urodziła syna, podniósł się ze swojego kąta, szybko obrócił się w wąskiej kuchni, a z jego wyschniętych oczu wypłynęły dwie strugi łez słodkich jak miód. Nie potrafił wyrazić szalonej radości, która go ogarnęła. Chciał powiedzieć tyle rzeczy, które nie śmiały przejść mu przez usta, coś o ofiarnych kadzidłach, o klanie; ale dla takich jak on samo mówienie było już przestępstwem.

Ciotka rzekła do niego:

– To dziecko ma taki wielki nos, może nazwijcie je Nosem?! Tylko żartowała, ale Czoło, jakby usłyszał mędrca, zaczął kiwać głową i kłaniać się w pas.

– Dziękuję, ciotko Serce! Dziękuję, że ciotka zechciała nadać dziecku imię! Bardzo dobre imię, niech się nazywa Nos!

Wśród tysięcznych podziękowań Czoła i rześzystych łez teściowej Ai Lian ciotka zabrała swoją apteczkę i zbierała się już do wyjścia, gdy zobaczyła, że Tian Guihua siedzi wsparta plecami o ścianę koło rozbitego nocnika, jakby spała. Ciotka nie wiedziała, kiedy tamta przyjęła tę pozę ani kiedy ucichło jej mrozące krew w żyłach wycie. Przez chwilę sądziła, że kobieta umarła. Dopiero wtedy, kiedy dojrzała w mroku jej oczy połyskujące po kocie mu na zielono, zrozumiała, że nadal żyje. W jej sercu wezbrała fala gniewu.

– Co tu jeszcze robisz? – spytała, a tamta ku jej zdumieniu odparła:

– Tę robotę wykonałyśmy po połowie. Należy mi się jeden ręcznik i pięć jajek, a ty mi jeszcze głowę rozbiłaś. Przez szacunek dla twojej matki nie pójdę z tym do władz, ale musisz mi oddać ręcznik, żebym sobie opatrzyła ranę, i swoje pięć jajek, żebym się mogła wyleczyć.

Dopiero teraz ciotka uświadomiła sobie, że wioskowe „babki” domagają się datków od rodzin kobiet rodzących i poczuła do niej głęboką nienawiść. Trzeba nie mieć wstydu!

Zgrzytnęła zębami i rzekła:

– A coś ty niby zrobiła po połowie? Gdybyś zrobiła swoje do końca, teraz na kangu leżałyby dwa trupy! Ty stara wiedźmo, czy ty myślisz, że drogi rodne kobiety są jak kurzy kuper i wystarczy mocniej ścisnąć, żeby wyskoczyło z nich jajko?! Ty pomagasz rodzić? Ty ludzi zabijasz! I ty chcesz na mnie donosić? – Ciotka przyskoczyła do starej i kopnęła ją w szczękę. – Ty śmiesz domagać się ręcznika i jajek?!

Znowu ją kopnęła, tym razem w zadek, a potem w jedną rękę chwyciła swoją torbę, drugą ręką złapała staruchę za kok i wywlekła na podwórze. Czoło wyszedł za nimi, starając się ją ułagodzić, ale ciotka warknęła na niego gniewnie:

– Zabieraj się stąd! Lepiej idź zajmij się żoną!

Ciotka mówiła, że wtedy pierwszy raz kogoś uderzyła. Nigdy nie sądziła, że potrafi tak bić. Jeszcze raz kopnęła kobietę w zad, tamta fiknęła kozłą, ale pozbierała się jakoś i siedząc na ziemi, zaczęła uderzać w nią rękami i wrzeszczeć wniebogłosy:

– Ratunku! Mordują! Zbójcka córka Wan Liufu chce mnie zabić...

Właśnie nadchodził wieczór, w zachodzącym słońcu, zorzy i przy lekkim wietrzyku ludzie powychodzili z miskami na drogę, żeby zjeść kolację, a słysząc ten harmider, przybiegli popatrzeć. Przyszli nawet sekretarz partii Yuan Twarz i szef wielkiej brygady Lü Ząb. Tian Guihua była żoną jego dalekiego kuzyna, a ponieważ zawsze to jakaś rodzina, rzekł do ciotki:

– Serce, taka młoda dziewczyna, żeby tak starszą osobę bić, powinnaś się spalić ze wstydu.

Ciotka mówiła nam potem:

– Co to była za łajza z tego Lü Zęba, własną żonę tak łał, że ledwo łąziła, a jeszcze śmiał mnie pouczać!

Ale wtedy powiedziała:

– Jaką starszą osobę? Chyba raczej wiedźmę, demona, co ludzi krzywdzi! Sam ją spytaj, co zrobiła! – I wskazując palcem prawej ręki głowę staruchy, krzyknęła: – Tyle osób przez ciebie umarło, żebym tu miała strzelbę, tobym cię na miejscu utłukła!

Ciotka miała wówczas zaledwie siedemnaście lat i niektórych ludzi te groźne słowa bardzo rozbawiły.

Lü Ząb chciał nadal bronić Tian Guihuy, ale sekretarz Yuan Twarz rzekł:

– Doktor Wan ma rację, takie więdźmy, co bawią się ludzkim życiem, muszą być surowo ukarane. Tian Guihua, ty tu nie udawaj niewiniątka, lanie to jeszcze dla ciebie za mało, do więzienia należałoby cię wsadzić! Od dzisiaj każda rodzina, w której będzie poród, ma zwracać się o pomoc do doktor Wan! Tian Guihua, jeśli jeszcze raz zjawisz się przy jakiejś rodzącej, to ci te psie łapy odrąbiemy!

Ciotka mówiła, że Yuan Twarz, choć niewykształcony, znał się na rzeczy, postępował sprawiedliwie i dobry był z niego partyjny.

ROZDZIAŁ 4

Mistrzu, drugim dzieckiem odebrany przez ciotkę byłam ja.

Kiedy zbliżał się moment rozwiązania, babcia zgodnie ze swoim zwyczajem umyła się, przebrała, zapaliła trzy kadzidełka, ustawiła je przed tabliczkami przodków i trzykrotnie uderzyła przed nimi czołem, a potem wypędziła wszystkich mężczyzn z domu. To nie był pierwszy poród matki, przede mną urodziła już dwóch synów i córkę, więc babcia rzekła do niej:

– Tę drogę już znasz, a wózek masz lekki. Sama możesz urodzić.

Matka odpowiedziała:

– Mamo, czuję się bardzo źle, tym razem coś jest inaczej.

Babcia nie przejęła się jednak i rzekła tylko:

– A co ma być inaczej, jednorożca będziesz rodzić czy co?

Matka miała rację. Moi bracia i siostra w czasie porodu wychodzili głowami do przodu, ale ja ustawiłem się nogą naprzód.

Zobaczywszy moją nóżkę, babcia się przeraziła. Na wsi było takie powiedzenie: „Jak się rodzi nogą w przód, duchom spłacić trzeba dług”. Co to znaczy „spłacić dług duchom”? To znaczy, że w poprzednim życiu zaciągnęło się dług wobec kogoś, a teraz wierzyciel wcielił się w płód w brzuchu rodzącej i przyniesie jej wiele nieszczęść – albo umrze razem z nią w czasie porodu, albo poczeka jeszcze kilka lat i umrze dopiero wtedy, powodując w rodzinie wielkie straty i cierpienia. Babcia, udając spokój, powiedziała:

– Ten dzieciak ma nogi do biegania, w przyszłości będzie na posyłki u kogoś na urzędzie. Nie bój się, wiem, co robić.

Znalazła na podwórku miedzianą miednicę, podniosła ją i stanąwszy przed kangiem, zaczęła w nią uderzać wałkiem jak w gong i krzyczeć:

– Wychodź! Wychodź! Dziadek cię wysyła z pilnym listem, jak zaraz nie wyjdiesz, dostaniesz lanie!

Matka zrozumiała, że sytuacja jest poważna, więc zastukała miotełką do kangu w okno, żeby przywołać moją siostrę przysłuchującą się tym hałasom.

– Córko, biegnij po swoją ciotkę!

Moja bystra siostra pobiegła do siedziby władz i zmusiła Yuana Twarz, żeby z telefonu na korbkę zadzwonił do ambulatorium. Ten stary telefon jest u mnie do dziś, kiedyś uratował mi przecież życie.

To był szósty czerwca. Rzeka Jiao wylała i zakryła most, ale fale marszczące się na jego kamiennej powierzchni wskazywały, gdzie się mniej więcej znajduje. She Szyja, który łowił na brzegu ryby, na własne oczy widział, jak ciotka pędem wjeżdża na most z przeciwnego brzegu. Woda rozpryskiwana przez koła roweru biła na metr do góry. Prąd był wtedy rwący i gdyby porwał ciotkę, nie byłoby mnie dziś na świecie, Mistrzu.

Ociekając wodą, ciotka wpadła do naszego domu. Matka opowiadała, że jej pojawienie się podziało na nią jak lek uspokajający. Ciotka odsunęła babcię i rzekła żartobliwie:

– Ciociu, jak ty tak bębniysz i tłuczesz, dziecko boi się wyjść.

A babcia zmusiła się do odpowiedzi:

– Dzieci lubią zamieszanie, jak ten usłyszysz bębny i gongi, wyjdzie na pewno.

Ciotka mówiła później, że chwyciła mnie za nogę i wyciągnęła jak marchew z grządki. Wiem oczywiście, że żartowała. Po tym, jak pomogła urodzić się Nosowi i mnie, nasze matki stały się jej zagorzałymi zwolenniczkami. Opowiadały o niej wszędzie, w dodatku żona Yuana Twarzy i She Szyja dodawali historie o jej szaleńczej jeździe na rowerze, sława ciotki rosła więc z dnia na dzień, a wioskowe „babki” nie miały już klientów i stały się historią.

Lata 1953-1957 to czas rozwoju i rozkwitu Chin, a także okres urodzaju i wielkich zbiorów w naszych stronach. Ludzie mieli co jeść, mieli się w co ubrać, byli szczęśliwi, a kobiety na wyścigi zachodziły w ciążę i rodziły. W tych latach ciotka miała mnóstwo pracy. Na wszystkich drogach w osiemnastu wioskach podlegających pod administrację Gaomi Dongbebciangu zostały ślady jej roweru, na wielu podwórkach zostały ślady jej stóp.

Od czwartego kwietnia 1953 do trzydziestego pierwszego grudnia 1957 roku ciotka przyjęła tysiąc sześćset dwanaście porodów, odebrała tysiąc sześćset czterdzieścioro pięcioro dzieci. Umarło sześcioro z nich – pięcioro urodziło się martwych, a jedno przyszło na świat chore. Wyniki ciotki były więc wspaniałe, niemal perfekcyjne.

Siedemnastego lutego 1955 roku ciotka wstąpiła do Komunistycznej Partii Chin. Był to dzień, w którym odebrała tysięczne dziecko – był to syn naszej nauczycielki Li Ręka.

Ciotka opowiadała, że jego matka, pani Yu, rodziła najłatwiej; ciotka mówiła jej, co ma robić, a pani Yu trzymała w ręku książkę i przygotowywała się do lekcji.

Po latach ciotka często wspominała tamte dni. To była złota era Chin i złota era ciotki. Ileż to razy z rozjaśnionymi oczami i z ożywieniem w głosie wspominała:

– Wtedy byłam jak żywy Budda, jak Guanyin Dawczyni Synów, otaczał mnie taki aromat, że zlatywały się do mnie wszystkie pszczoły, unosiły się nade mną motyle. A teraz? Teraz tylko muchy, psia ich mać, do mnie przylatują.

Ciotka nadała mi też imiona: imię dziecinne Biegacz, imię oficjalne – Noga.

Przepraszam, Mistrzu, muszę tu wyjaśnić, że naprawdę nazywam się Wan Noga, a Kijanka to tylko pseudonim.

ROZDZIAŁ 5

Ciotka była w wieku odpowiednim do zamęścia. Ale ponieważ pobierała pensję, była pracownikiem państwowym i urodziła się w rodzinie opromienionej sławą, żaden z chłopaków ze wsi nie ośmielił się nawet pomyśleć o oświadczeniach. Miałem wtedy pięć lat i często słyszałem, jak najstarsza babcia rozmawia z moją babcią o zamęściu ciotki. Najstarsza babcia bardzo się martwiła.

– Niech szwagierka sama powie, Serce ma już dwadzieścia dwa lata, w jej wieku dziewczuchy już drugie dziecko mają, a do niej dlaczego nawet swatów nie przysyłają?

Moja babcia odpowiadała:

– A czemu szwagierka się martwi? Po taką jak Serce z pałacu przyślą, cesarzową zostanie. Szwagierka wtedy będzie cesarzową matką, a my będziemy krewnymi cesarzowej i odbitym blaskiem będziemy świecić!

– Bzdury! – ofuknęła ją najstarsza babcia. – Cesarza już rewolucja zwała, teraz jest u nas republika ludowa i rządzi przewodniczący.

– No, skoro tak – odpowiedziała babcia – to ją wydaj za przewodniczącego.

– Ach ty! – Rozgniewała się najstarsza babcia. – Żyjesz niby w nowych czasach, a rozum ci został przedrewolucyjny.

– Ja nie jestem taka jak ty, ja w życiu się nie ruszyłam z naszej wioski, a ty byłeś na terenach wyzwolonych i w Pingduchengu.

– Ty mi nie mów o Pingduchengu, jak ktoś o tym wspomni, włosy mi dęba na głowie stają! Tam mnie trzymały japońskie diabły, ja tam udrękę cierpiałam, a nie przyjemności.

I tak od słowa do słowa staruszki zaczynały się kłócić. Ale choć jednego dnia najstarsza babcia wypadała od nas i sapiąc z gniewu, przysięgała, że jej noga tu więcej nie postanie, następnego przychodziła znowu i znów zaczynała się rozmowa o zamęściu ciotki. Moja matka skrycie się z nich podśmiewała.

Pamiętam pewien wieczór, kiedy cielila się nasza krowa. Nie wiem, czy krowa poszła w ślady mojej mamy, czy cielak wziął przykład ze mnie, w każdym razie rodził się nogą naprzód i utknął. Krowa rozpaczliwie ryczała i strasznie się męczyła. Dziadek i ojciec okropnie się denerwowali, zacierali ręce, tupali, kręcili się w kółko i nie mieli pojęcia, co robić. Życie rolników zależne jest od krowy, a ta była nam przecież powierzona przez brygadę produkcyjną, więc gdyby naprawdę zdechła, działałyby się straszne rzeczy. Matka szepnęła do mojej siostry:

– Córko, twoja ciotka chyba jest w domu.

Jeszcze nie skończyła mówić, a siostra już popędziła. Ojciec spojrział na matkę z niechęcią.

– Głupoty gadasz, ona się ludźmi zajmuje.

– A ludzie i zwierzęta są jednacy – odparła mama.

Ciotka przyszła z moją siostrą i od razu się rozzłościła.

– Zamęczyć mnie chcecie? Dość mam roboty z ludźmi, jeszcze krowie mam pomagać się cielić?

– Siostrzyczko, a kto ci kazał być w naszej rodzinie? – Uśmiechnęła się mama. – Jak nie ciebie prosić o pomoc, to kogo? Wszyscy mówią, że jesteś bodhisattwą, a bodhisattwa pomaga wszystkim żywym stworzeniom. Krowa to zwierzę, ale też przecież żywe stworzenie, pozwolisz jej tak zdechnąć?

– Dobrze, bratowo, że jesteś niepiśmienna – odparła ciotka. – Jakbyś ty tak jeszcze pisać umiała, to ta wieś byłaby już dla ciebie za mała.

– Choćbym znała nie wiem ile znaków i tak mniej byłabym warta niż twój jeden palec.

Na twarzy ciotki wciąż jeszcze malował się gniew, ale najwyraźniej już się uspokoiła. Zapadł zmrok, więc mama zapaliła wszystkie lampy w domu, wzięła kaganek i poszły z nim do obory.

Kiedy krowa zobaczyła ciotkę, ugięła przednie nogi i uklękała, a na ten widok z oczu ciotki popłynęły łzy. Nam także łzy pociekły po twarzach.

Ciotka zbadała krowę i rzekła na pół współczująco, na pół żartobliwie:

– Znowu jakiś nogę wystawia.

Ciotka wypędziła nas na podwórko, chcąc oszczędzić szoku. Słyszeliśmy, jak głośno wydaje rozkazy i oczyma wyobraźni widzieliśmy, jak matka i ojciec posłusznie je wykonują i pomagają cielęciu przyjść na świat. To był piętnasty dzień miesiąca księżycowego i kiedy księżyc pojawił się na południowym wschodzie, i ziemię rozjaśnił jego biały blask, usłyszeliśmy, jak ciotka wykrzykuje:

– Dobrze! Urodziło się!

Z krzykiem radości wpadliśmy do obory i zobaczyliśmy pokrytego śluzem malucha. Ojciec rzeki z zadowoleniem:

– Dobra nasza. To jałówka!

– To dziwne – rzekła ciotka z przekąsem. – Jak kobieta urodzi dziewczynkę, mężczyźni się krzywią, a jak krowa urodzi jałówkę, to aż się uśmiechają z radości.

– Bo jak jałówka urośnie, może się znowu ocielić – odparł ojciec.

– A kobieta? Jak dziewczynka urośnie, to nie będzie dzieci rodzić? – spytała ciotka.

– To co innego.

– A co w tym innego?

Ojciec, widząc, że ciotka się złości, nic już nie powiedział.

Krowa obróciła łeb i zaczęła zlizywać śluz z cielęcia. Wydawało się, że jej jęzor ma w sobie jakieś cudowne lekarstwo, bo pod jego dotknięciem każde miejsce jakby nabierało sił. Przyglądaliśmy się temu zachwyceni. Kątem oka zauważyłem, że usta ciotki są rozchylone, a jej oczy pełne miłości, jakby jej także dotykał krowi język lub jakby to ona sama językiem obmywała cielę. Kiedy krowa umyła cielętko do końca, jałówka podniosła się i stanęła na chwiejnych nogach.

Zakrzętnęliśmy się, żeby przynieść ciotce miednicę z wodą, mydło i ręcznik do umycia.

Babcia siedziała przy palenisku i miechem rozniecała ogień, a mama zabrała się do wałkowania ciasta na makaron.

Ciotka umyła się i oświadczyła:

– Umieram z głodu! Dzisiaj zostaję u was na kolację.

– Przecież u nas jesteście jak u siebie – powiedziała mama.

– Pewnie, z tego samego garnka przez tyle lat jedliśmy – dodała babcia.

W tym momencie najstarsza babcia przez mur zawołała ciotkę na kolację.

– Nie mogę u nich pracować za darmo. Tutaj zjem! – odrzekła ciotka.

– U twojej ciotki się nie przelewa – burknęła najstarsza babcia. – Jak jej zjesz miskę makaronu, do końca życia ci nie zapomni.

Babcia chwyciła pogrzebacz i popędziła do muru.

– Jak jesteś głodna, to chodź do nas się najeść, a jak nie, to się stąd zabieraj! – zawołała.

– U ciebie niczego bym nie tknęła!

Kiedy makaron się zagotował, mama nałożyła pełną miskę i posłała siostrę, żeby zaniósła ją najstarszej babci. Dopiero po wielu latach dowiedziałem się, że siostra bardzo się śpieszyła i biegnąc, poślizgnęła się i upuściła miskę. Makaron poleciał na ziemię, a miska roztrzaskała się na kawałki. Żeby siostra nie dostała lania, najstarsza babcia wyjęła z szafki własną miskę i kazała ją odnieść do domu.

Ciotka umiała świetnie opowiadać i bardzo lubiliśmy słuchać jej historii. Po kolacji oparta plecami o ścianę, siedząc na naszym kangu, otworzyła swoją skrzynkę ze wspomnieniami. Bywała w wielu domach, poznała wielu ludzi i nasłuchiwała się wielu opowieści, więc opowiadając, była jak kucharz, co nie skąpi tłuszczu ani przypraw, i umiała oczarować słuchaczy jak zawodowy opowiadacz. Kiedy na początku lat osiemdziesiątych oglądaliśmy w telewizji program z opowieściami Liu Lanfanga, moja mama wykrzyknęła:

– Zupełnie tak samo jak twoja ciotka! Gdyby nie została lekarzem, byłaby świetną opowiadaczką!

Tamtego wieczoru rozpoczęła od opowieści o walce na rozum i odwagę, którą musiała stoczyć w Pingduchengu z japońskim oficerem Sugitanim.

– Miałam wtedy ledwie siedem lat – zaczęła i zerknęła na mnie. – Tyle mniej więcej, co nasz mały Biegacz. Razem z waszą prababcią i najstarszą babcią znalazłam się w Pingduchengu. Zamknęli nas w ciemnej izbie, a przed drzwiami zostawili dwa wielkie wilczury, żeby nas pilnowały. Te wilczury karmiono ludzkim mięsem i kiedy zobaczyły dziecko, od razu zaczęły się oblizywać. Wasza babcia i prababcia całą noc przepłakały, a ja – nie. Ledwo się położyłam, od razu zasnęłam i spałam tak aż do rana. Trzymali nas w tej ciemnej izbie kilka dni i nocy, a potem zabrali na mały dziedziniec, na którym rosło cienkie i suche drzewo goździkowe, pachnące tak, że aż mi się w głowie zakręciło. I wtedy na dziedziniec wyszedł pewien pan w długiej szacie. Powiedział, że nazywa się Sugkani, jest tu dowódcą i chce nas zaprosić na ucztę. Prababcia i babcia nic tylko płakały i nie chciały iść. A wtedy ten pan tak do mnie powiedział: „Dziewczynko, powiedz babci i mamie, żeby się nie bały, bo Sugitani nie chce ich skrzywdzić, chce tylko zaprzyjaźnić się z panem Wan Liufu”. Powiedziałam więc: „Nie płaczcie, cóż tu pomoże płacz? Czy od płaczu wyrosną wam skrzydła? Czy Wielki Mur zawali się od płaczu?” Na to ten wytworny pan klasnął w ręce i zawołał: „Świetnie powiedziane! Mądra z ciebie dziewczynka, jak urośniesz, na pewno zostaniesz kimś niezwykłym”. Za moją radą babcia i prababcia przestały płakać. Wsiadłyśmy razem z wytwornym panem do powozu ciągniętego przez czarnego

muła i po wielu zakrętach dojechaliśmy do wielkiego dworu, do którego prowadziła wielka brama. Przed bramą stali dwaj wartownicy – po lewej chiński żołnierz Kuomintangu, po prawej japoński. Ten dwór był ogromny, z jednego dziedzińca wchodziliśmy na drugi i gdy już się zdawało, że nie mały końca, weszliśmy do komnaty, w której okna i drzwi miały piękne okiennice rzeźbione w kwiaty, a wspaniałe krzesła były z drzewa sandałowego. Pan Sugitani miał na sobie kimono, w ręce trzymał wachlarz i delikatnie nim poruszał, więc od razu było widać, że to wykształcony człowiek. Powiedział kilka uczonych zdań, a potem poprosił nas do okrągłego stołu zastawionego najwspanialszymi delikatesami. Babcia i prababcia bały się nawet tknąć pałeczek, ale ja nie! Na nic nie zważałam i najadłam się jak cholera! Pałeczkami było mi niewygodnie, więc zaczęłam wypychać jedzenie do ust rękami. Sugitani trzymał w ręku kieliszek i z uśmiechem przyglądał się, jak jem. Kiedy się najadłam, wytarłam ręce o obrus i zachciało mi się spać. Usłyszałam, jak Sugitani mówi do mnie: „Dziewczynko, powiedz swojemu tacie, żeby mnie odwiedził, dobrze?”. Otworzyłam oczy i powiedziałam: „Nie!”. „Dlaczego nie?”. „Bo mój tata jest w 8. Armii, a ty jesteś Japończykiem. 8. Armia bije Japończyków, nie boisz się, że mój tata cię zbije?”.

W tym momencie ciotka podwinęła rękaw i spojrzała na zegarek. W owych czasach w całym Gaomi było może dziesięć zegarków i jeden znajdował się na nadgarstku ciotki!

– Ojej! – zawołał ze zdumieniem mój brat, który jako jedyny w rodzinie miał okazję już wcześniej widzieć zegarek. Chodził wtedy do szkoły średniej w powiecie i widział taki u nauczyciela rosyjskiego, który przyjechał ze Związku Radzieckiego. – Zegarek!

– Zegarek! – zawołaliśmy z siostrą.

Ciotka, udając, że to nic wielkiego, opuściła ręką i rzekła:

– No i co, że zegarek? O co tyle krzyku?

Specjalnie udawała lekceważenie, żeby jeszcze bardziej pobudzić nasze zainteresowanie. Najpierw mój najstarszy brat poprosił nieśmiało:

– Ciociu, ja tylko z daleka widziałem taki u nauczyciela... Pozwolisz mi zobaczyć?

Wtedy my też zaczęliśmy prosić:

– Ciociu, daj nam zobaczyć!

Ciotka roześmiała się:

– Ech, wy ciekawskie rozrabiaki, toż to stary grat, co tu oglądać!

Mimo tych słów zdjęła zegarek i podała bratu.

– Tylko ostrożnie! – zawołała mama.

Brat z największą ostrożnością wziął zegarek, najpierw położył go na ręce i przyjrzał mu się dokładnie, potem przysunął go do ucha. Kiedy już się napatrzył, podał go siostrze, a kiedy ona także się napatrzyła, podała drugiemu bratu. Ten spojrział tylko raz i nie zdążył go nawet przystawić do ucha, kiedy najstarszy brat wyrwał mu go i oddał ciotce. Poczułem się pokrzywdzony i rozplakałem się.

Mama zaczęła mnie łąać.

– Biegaczu – powiedziała mi ciotka – gdy urośniesz, dobiegniesz, dokąd zechcesz, a teraz się martwisz, że nie masz zegarka?

– On i zegarek? Jutro rano namaluję mu taki tuszem na rękę – powiedział najstarszy brat.

– Prawdy o człowieku nie wyczytasz z twarzy, wody w morzu nie zważyysz. Co z tego, że nasz Biegacz jest brzydki? Może kiedy dorośnie, zostanie kimś wielkim – odparła ciotka.

– Jak on zostanie kimś wielkim, to nasza świnia w chlewie zmieni się w tygrysa! – rzekła siostra.

– Ciociu – spytał najstarszy brat – jakiej on jest produkcji? Co to za marka?

– Szwajcarski. Enicar.

– Ojej! – zawołał najstarszy brat, a po nim powtórzyli to średni brat i siostra.

– Ropuchy! – burknąłem gniewnie.

– Siostrzyczko, a ile takie coś kosztuje? – zapytała mama.

– Nie wiem – odparła ciotka. – To prezent od przyjaciela. Co to za przyjaciel, co daje takie drogie prezenty? Mama przyjrzała się ciotce i spytała:

– A czy to czasem nie będzie ich wuj?

Ciotka wstała.

– Już prawie dwunasta, pora spać.

– Dzięki niebu i ziemi, że piękna panna znalazła kawalera – powiedziała mama.

– Nie mów bzdur, nic jeszcze nie jest pewne! – Ciotka spojrzała na nas i rzekła surowo: – A wy też nie rozpowiadajcie byle czego, bo wam skórę wygarbuję!

Następnego dnia rano mój najstarszy brat, może przez wyrzuty sumienia, że nie dał mi obejrzeć zegarka ciotki, długopisem narysował mi taki na nadgarstku. Wyglądał bardzo ładnie, całkiem jak prawdziwy. Bardzo na niego uważałem: kiedy się myłem, starałem się go nie zmoczyć, chroniłem przed deszczem, a kiedy rysunek zbladł, poprawiłem go długopisem brata. Utrzymał mi się na ręce przez całe trzy miesiące.

ROZDZIAŁ 6

Przyjaciół, który dał ciotce zegarek, był lotnikiem. Ach, lotnicy z tamtych lat! Kiedy moi bracia i siostra dowiedzieli się o tym, aż jęknęli z zachwytu, a ja zrobiłem fikołka.

To była wielka radość nie tylko dla naszej rodziny, ale także dla całej wsi. Wszyscy uważali, że ciotka i lotnik to dobrana para. Kucharz Wang ze szkolnej stołówki, który brał udział w wojnie koreańskiej, twierdził, że lotnicy są ze szczerego złota.

– To ludzie mogą być ze złota? – spytałem z dziecięcym powątpiewaniem.

A on w obecności nauczycieli i notabli z komuny, którzy jadali w naszej stołówce, tak mi odpowiedział:

– Biegaczu, głupi jesteś. Chodzi mi o to, że aby wykształcić jednego lotnika, państwo musi wydać olbrzymie sumy, tyle co siedemdziesiąt funtów złota.

Powtórzyłem jego słowa mamie, a ona zawołała:

– O niebiosa! Jak w przyszłości wuj przyjdzie nas odwiedzić, to czym my go przyjmujemy?

W owych czasach o lotnikach krążyły wśród dzieci najróżniejsze legendy. Chen Nos opowiadał, że jego matka w Harbinie widziała lotników radzieckich. Wszyscy nosili kurtki z jeleniej skóry i wysokie skórzane buty, mieli złote zęby i złote zegarki, jadali *chlieb* i kiełbasę i pili piwo. Dolna Warga (który później zmienił imię na podobnie brzmiące Lato Wiosna), syn magazyniera Xiao Górnej Wargi, twierdził natomiast, że chińscy lotnicy jadali jeszcze lepiej niż radzieccy. Przedstawiał nam menu chińskich lotników, tak jakby sam dla nich gotował: rano dwa jajka, filiżanka herbaty z mlekiem, dwa *youtiao* (paski ciasta smażone w głębokim oleju), jedna bułka na parze, kawałek marynowanego tofu. W południe: miska duszonej wołowiny, jedna scjena, dwa duże ciastka kukurydziane. Wieczorem: pieczony kurczak, dwa duże pierogi z wieprzowiną gotowane na parze i dwa takie same z baraniną oraz miska zupy z kaszą. I do każdego posiłku jeszcze owoce, których każdy może zjeść tyle, ile chce: banany, jabłka, gruszki, winogrona... A czego nie zjedzą, mogą zabrać do domu. W skórzanych kurtkach lotników są zawsze dwie wielkie kieszenie. Dlaczego? Ano dlatego, żeby mogli w nich schować owoce. Słuchając opisów życia lotników, zaczynaliśmy przełykać ślinkę. Wszyscy marzyliśmy o tym, aby dorosnąć i zostać lotnikami, i prowadzić taki rajski żywot.

Kiedy wojska lotnicze szukały chętnych do służby w szkole średniej w powiecie, mój najstarszy brat natychmiast się zgłosił. Dziadek pochodził z rodziny najemnych pracowników właściciela ziemskiego, potem był tragarzem Chińskiej Armii Ludowo-Wyzwoleńczej, brał udział w kampanii w Mengliangu przeciwko Kuomintangowi, i to jego oddział zniósł z gór ciało Zhang Lingfu. Rodzina babci także wywodziła się z biedoty, a przez fakt, że najstarszy brat dziadka był wielkim bohaterem rewolucji, nasze pochodzenie i pozycja społeczna były wręcz znakomite.

Mój brat był w szkolnych czasach świetnym sportowcem, rzucał dyskiem. Któregoś dnia przyszedł do domu, zjadł tłusty owczy ogon, a gdy zjawił się z powrotem w szkole, rozpierała go taka energia, że podniósł dysk i rzucił z całej siły. Dysk ze świstem przeleciał nad murem otaczającym szkołę i pofrunął na pole. Akurat jakiś rolnik orał pługiem zaprzęgniętym w wołu i dysk wylądował prosto na wolicach rogach, równiutko ścinając jeden z nich. A zatem, krótko mówiąc, mój brat miał dobre pochodzenie, uczył się dobrze, był zdrowy, a jeszcze dodatkowo lotnik starał się o rękę jego ciotki. Wszyscy uważali więc, że nawet jeśli wojska lotnicze wybiorą tylko jednego kandydata z naszego powiatu, na pewno będzie nim mój najstarszy brat. A jednak nie przyjęto go z tej przyczyny, że na nodze miał bliznę po czyraku z dzieciństwa. Nasz szkolny kucharz Stary Wang stwierdził:

– Jeśli ma blizny, to absolutnie się nie nadaje. Wysoko w powietrzu blizny mogą pęknąć pod wpływem ciśnienia. Co tu mówić o bliznach, nawet jak ktoś ma dziurki w nosie za duże, też się nie nadaje.

W każdym razie odkąd ciotka nawiązała romans z lotnikiem, staliśmy się niezwykle czuli na punkcie wszystkiego, co było związane z siłami powietrznymi. Przekroczyłem już pięćdziesiątkę, a nadal jestem próżny i lubię się chwalić. Gdy mi się trafiła wygrana w wysokości stu juanów, trąbiłem o tym po całym mieście. Proszę mnie sobie wyobrazić w szkole podstawowej: mieć wujka lotnika, co to był za powód do chwały!

Dwadzieścia pięć kilometrów na południe od naszej wsi znajdowało się lotnisko w Jiaozhou, a trzydzieści kilometrów na zachód lotnisko w Gaomi. Samoloty w Jiaozhou były wielkie, niezgrabne i czarne; słyszałem, jak dorośli mówili, że to są bombowce. Samoloty w Gaomi miały złożone skrzydła, były srebrzystoszare, potrafiły ciągnąć za sobą w powietrzu smugę dymu i robić fikołki. Mój najstarszy brat mówił, że to myśliwce J-5 wzorowane na radzieckich MiG-ach 17 i że to są prawdziwe samoloty bojowe, te same, które w czasie wojny koreańskiej stłukły dupę Amerykanom. Nasz przyszły wuj oczywiście latał na takich. Były to czasy oczekiwania na wojnę i samoloty w Gaomi niemal codziennie odbywały powietrzne ćwiczenia. Kiedy na swoich złożonych do tyłu skrzydłach wlatywały w niebo, nad naszymi głowami otwierało się pole bitwy. Raz były tylko trzy, następnym razem sześć, czasami jeden obracał się, siedząc na ogonie drugiego, albo zaczynał pikować i gdy już wydawało się, że za chwilę uderzy dziobem w wielką topolę w naszej wsi, nagle gwałtownie podrywał się do góry i niczym żuraw wzbijał się prosto w niebo.

Pewnego dnia na niebie rozległ się wielki huk. Ciotka opowiadała, że wtedy odbierała poród u dojrzałej kobiety, która miała tak straszne skurcze, że ciotka przygotowywała się już do operacji, gdy nagle na zewnątrz rozległ się wybuch. Rodząca zaskoczona przestała myśleć o porodzie, skurcze ustąpiły i urodziła po jednorazowym wysiłku. We wszystkich domach popękał papier w oknach. Na chwilę zastygliśmy w osłupieniu, po czym nauczyciel biegiem wyprowadził nas z klasy. Spojrzeliśmy do góry i na ciemnoniebieskim niebie zobaczyliśmy samolot, który za ogonem ciągnął coś podobnego do baryłki. Ścigało go kilka innych. Wokół tej niby baryłki najpierw pojawiły się białe dymy, a później do naszych uszu dobiegł głos strzałów. Ale ten dźwięk nie mógł się równać z tamtym wybuchem sprzed chwili; tamten dźwięk był drugim pod względem głośności, jaki słyszałem w całym swoim życiu, nawet huk gromu, który rozłupał na dwoje wielką wierzbę, nie mógł się z nim równać. Wyglądało to tak, jakby lotnicy celowo nie chcieli trafić w ciągnięty przed nimi cel: białe smugi idące za pociskami omijały go, i było tak aż do momentu, gdy zniknął nam z oczu.

Chen Nos, pocierając swój wielki nochal, przez który zyskał przezwisko „Mały Ruski”, rzekł pogardliwie:

– Chińscy lotnicy są kiepscy. Gdyby na ich miejscu byli lotnicy radzieccy, od razu by to zestrzelili.

Wiedziałem, że mówi tak przez zazdrość – urodził się i wychował w naszej wsi, nawet radzieckiego psa na oczy nie widział, skąd niby miał wiedzieć, czy radzieccy piloci są lepsi od chińskich?

My, dzieciaki z zapadłej wsi, nie mieliśmy pojęcia o ówczesnym pogorszeniu stosunków chińsko-radzieckich. Chociaż wychwalanie ich lotników kosztem naszych wszystkich nas – a mnie w szczególności – rozgniewało, nikt nie pomyślał sobie niczego szczególnego. Kilka lat później, po rozpoczęciu wielkiej rewolucji kulturalnej, kiedy byliśmy w piątej klasie, Xiao Dolna Warga wywlókł tę sprawę na światło dzienne. Chen Nos miał z tego powodu wielkie kłopoty, jego rodzice przypłacili to jeszcze gorszym cierpieniem, a w końcu życiem. Zabrana z jego domu radziecka książka *Opowieść o prawdziwym człowieku* mówiła o bohaterskim lotniku, który powrócił na niebo mimo utraty obu stóp. Chociaż była to wartościowa powieść wzywająca do rewolucyjnego bohaterstwa, jednak stała się dowodem zbrodni popełnionej przez jego matkę Ai Lian, kochankę radzieckiego lotnika, a z samego Nosa uczyniła radzieckiego bękarta.

Myśliwce J-5 z bazy w Gaomi ćwiczyły za dnia, ale bombowce z Jiaozhou też nie lubiły bezczynności – one wylatywały nocami. Niemal co wieczór około dziewiątej – w czasie, kiedy kończyły się audycje nadawane z powiatu – nagle zapalały się reflektory. Potężne słupy światła docierały na niebo nad naszą wsią już rozproszone, a jednak robiły wrażenie.

Zawsze musiałem powiedzieć coś głupiego:

– Fajnie byłoby mieć taką latarkę!

– Przygłup! – Średni brat stuknął mnie w głowę zgiętym palcem.

Oczywiście ponieważ nasz przyszły wuj był lotnikiem, mój brat stał się specjalistą od spraw lotnictwa, potrafił z pamięci wyliczyć wszystkich bohaterskich pilotów i opowiedzieć o ich dokonaniach. I to on, kiedy potrzebował mojej pomocy przy wyczesywaniu wszy z głowy, wyjaśnił mi, że tamten huk, który porozrywał papier w oknach, nazywa się „grom dźwiękowy” i powstaje wtedy, gdy samolot przekracza barierę dźwięku i osiąga szybkość ponaddźwiękową.

– Co to jest szybkość ponaddźwiękową?

– To znaczy, że leci szybciej niż dźwięk! Ale ty głupi jesteś!

W ćwiczeniach bombowców z Jiaozhou poza światłami reflektorów nie było nic wartego oglądania. Niektórzy mówili, że wcale nie chodzi tu o ćwiczenia, tylko o wskazywanie drogi zagubionym samolotom. Wielkie słupy światła omiatały niebo, czasem krzyżując się, czasem ustawiając równolegle, niekiedy pojawiały się w nich przerażone, spłoszone ptaki, miotające się jak muchy złapane do butelki. Zaraz po zapaleniu się reflektorów rozległ się pomruk samolotów. A chwilę później dostrzegaliśmy obrysowane światłem czarne zarysy dzioba, ogona i skrzydeł wielkiego stwora. Wydawało się, że sunąc po świetle, wracał na ziemię do gniazda. Samoloty mają swoje gniazda, tak jak kury mają swoje grzędy.

ROZDZIAŁ 7

W drugiej połowie 1960 roku, niedługo po tym, jak jedliśmy węgiel, rozszła się plotka o ślubie ciotki i jej lotnika. Najstarsza babcia przyszła za mur do mojej matki, żeby omówić sprawę posagu. Zdecydowały, że trzeba ściąć stuletnią katalpę i dać ją najlepszemu we wsi stolarzowi, żeby zrobił z niej meble. Sam widziałem, jak ojciec i stolarz przyszli razem ją wymierzyć; świadomemu nadchodzącej śmierci drzewu drżały gałęzie, a szum jego liści przypominał płacz.

Ale potem nie mieliśmy żadnych wiadomości. Ciotka też długo nie wracała. Pobiegłem raz do najstarszej babci, żeby się czegoś dowiedzieć, ale bez ceregieli przepędziła mnie laską. Zdumiony odkryłem, że bardzo się postarzała, jak staruszki w powieściach.

Rankiem pierwszego w roku śnieżnego dnia słońce świeciło na czerwono. Szliśmy do szkoły w słomianych butach, marzły nam ręce i stopy. Kiedy dla rozgrzewki biegaliśmy z krzykiem po szkolnym boisku, nagle w powietrzu rozległ się potężny warkot silnika. Spojrzeliśmy w górę z otwartymi ustami i zobaczyliśmy, jak coś wielkiego w kolorze ciemnej czerwieni, ciągnąc za sobą gęsty, czarny dym i wpatrując się w nas wielkimi czerwonymi ślepiami, szczyrzy potężne białe kły i trzęsąc całym cielem, zmierza prosto na nas. Samolot, o matko, samolot! Chce tutaj lądować, na naszym boisku?!

Nigdy przedtem nie widzieliśmy samolotu z tak bliska. Wiatr wzbijany przez jego skrzydła podrywał kurze pióra i suche liście. Ach, gdyby tak zechciał tu wylądować, moglibyśmy mu się przyjrzeć bliżej, moglibyśmy go dotknąć, a gdybyśmy mieli szczęście, może pozwoliliby nam wejść mu do brzucha. Na pewno poprosilibyśmy pilota, żeby nam opowiedział różne wojenne historie. Może to towarzysz broni naszego przysłego wujka? Ale J-5 naszego wujka jest dużo piękniejszy niż ten czarny potwór, więc wujek na pewno nie przyjaźniłby się z kimś, kto lata taką niezgrabą. No ale mimo wszystko latanie takim samolotem to już chyba nie byle co, prawda? Ktoś, kto potrafi podnieść aż do nieba taki ciężki kawał żelaza, to chyba prawdziwy bohater, co nie?

Nie widziałem twarzy pilota, ale wielu kolegów przysięgało potem, że widzieli ją przez szybę. Samolot, o którym sądziłem, że chce wylądować koło nas, jakby z niechęcią podniósł dziób do góry, gwałtownie skręcił w prawo, otarł się brzuchem o czubek wielkiej wierzby na wschodnim krańcu wsi, a potem runął na pole jęczmienia. Usłyszeliśmy wielki huk. Ten huk był potężniejszy i bardziej wstrząsający niż tamten „grom dźwiękowy”. Poczuliśmy, jak ziemia zatrzęsa się nam pod nogami. W uszach nam dzwoniło, a przed oczami migwały złote gwiazdki. A potem w niebo wzbił się otoczony dymem słup czerwonego ognia; słońce zrobiło się purpurowe i doszedł nas jakiś duszący, uniemożliwiający oddychanie zapach.

Nie wiem, ile czasu minęło, zanim oprzytomnieliśmy. Pobiegliśmy na wschodni kraniec wsi, po drodze czując parzący żar. Samolot rozpadł się na kawałki, jedno skrzydło krzywo sterczało z ziemi jak olbrzymia pochodnia. Na polu jęczmienia szalał ogień i unosił się zapach spalonej skóry. Znów rozległ się wybuch i doświadczony Wang głośno krzyknął:

– Na ziemię!

Padliśmy na ziemię i kierowani przez Wanga zaczęliśmy czołgać się z powrotem.

– Szybciej, pod skrzydłami ma bomby!

Potem dowiedzieliśmy się, że taki samolot może przenosić pod skrzydłami cztery bomby. Tamtego dnia miał tylko dwie, gdyby zabrał cztery, wszyscy zginęlibyśmy.

Trzeciego dnia po tym wydarzeniu ojciec i inni mężczyźni ze wsi na małych wózkach przewieźli do bazy szczątki samolotu i zwłoki pilota. Właśnie wrócili, gdy mój najstarszy brat zdyszany wpadł do domu. Jak prawdziwy mistrz sportu przybiegł prosto z powiatu. Dwadzieścia pięć kilometrów, prawdziwy maraton. Wpadł na podwórko, powiedział tylko „ciotka”, po czym runął na ziemię. Na ustach pojawiła mu się piana, przewrócił oczami i zemdlął.

Cała rodzina rzuciła mu się na ratunek, jedni szczypali go w nos i usta, inni uciskali dłoń między kciukiem a palcem wskazującym, a jeszcze inni klepali w pierś.

– Co się stało z ciotką? Co z ciotką?

Wreszcie ocknął się, wykrzywił usta i wybuchnął płaczem. Matka zaczerpnęła z dzbanka wody, wlała mu trochę do ust, a resztą chlusnęła w twarz.

– Mów, co się stało z ciotką?

– Ten lotnik ciotki... porwał samolot i uciekł.

Czerpak z tykwy wypadł z ręki matki i rozpadł się na kawałki.

– Dokąd uciekł? – zapytał ojciec.

– No jak dokąd? – Brat wytarł twarz rękawem i rzekł przez zaciśnięte zęby: – Na Tajwan! Ten zdrajca, ten łajdak poleciał na Tajwan służyć Czang Kaj-szekowi.

– A ciotka? – spytała matka.

– Urząd bezpieczeństwa w powiecie ją zabrał.

Z oczu matki popłynęły łzy.

– Nie wolno wam nic o tym mówić starszej babci i nie rozpowiadajcie nikomu.

– A co tu rozpowiadać? – rzekł brat. – Cały powiat już wie.

Mama wyniosła z domu wielką dynię i podała ją siostrze.

– Chodź ze mną. Idziemy do starszej babci.

Po chwili siostra przybiegła z powrotem do domu, wołając:

– Babciu, mama mówi, żebyś zaraz przyszła, ze starszą babcią niedobrze!

ROZDZIAŁ 8

Czterdzieści lat później młodszy syn mojego najstarszego brata Xiangqun został lotnikiem. Wiele na świecie się zmieniło, wiele rzeczy, które kiedyś były tak święte, że ludzie przez nie ginęli, dzisiaj stało się żartem; wiele zawodów, które kiedyś były powodem do zazdrości, dziś uważa się za najpodlejsze, ale zostać lotnikiem to jak dawniej powód do dumy dla całej rodziny i zazdrości i podziwu znajomych. Dlatego mój najstarszy brat, emerytowany naczelnik wydziału edukacji, specjalnie przyjechał do rodzinnej wsi, żeby z tej okazji wyprawić bankiet dla krewnych i przyjaciół.

Bankiet odbył się na podwórku u średniego brata. Z domu przeciągnięto kabel elektryczny i podłączono wielką żarówkę, która dawała białe mocne światło, jasne jak dzienne. Przy dwóch zestawionych razem stołach stłoczono dwadzieścia kilka krzeseł i siedzieliśmy, ocierając się ramionami. Jedzenie było z restauracji: owoce morza, drób i mięsa, wszystko w wielkich ilościach, we wszystkich barwach i odcieniach, o wszelkich smakach i aromatach. Moja najstarsza bratowa, siląc się na miejski akcent z Yantai, rzekła:

– Co prawda nie ma dziś nic specjalnego, ale bardzo proszę się częstować.

– Nie trzeba tak mówić – powiedział mój ojciec. – Przypomnijcie sobie rok sześćdziesiąty, wtedy nawet sam przewodniczący Mao nie miał takich frykasów.

Mój bratanek lotnik oświadczył na to:

– Dziadku, to prehistoria, po co o tym mówić?

Po trzeciej kolejce ojciec znów się odezwał:

– I w końcu mamy w rodzinie lotnika. Twój ojciec też kiedyś próbował, ale przez bliźnię na nodze go nie wzięli, a teraz Xiangqun wreszcie spełnił marzenie rodziny.

Xiangqun skrzywił się.

– Zostać pilotem to nic wielkiego. Kto ma prawdziwe zdolności, ten idzie do polityki albo zostaje milionerem.

– Jak można tak mówić? – Ojciec podniósł kieliszek, opróżnił go z gulgotem, stuknął nim o stół i oświadczył: – Lotnik wśród ludzi jest jak smok albo feniks. Tamten chłop Wang Xiaoti, którego sobie znalazła twoja cioteczna babka, jak stanął – był jak sosna, co powiedział, to mądrze, jak szedł, wyglądał jak tygrys. Żeby chłopak nie zgłupiał i nie uciekł samolotem na Tajwan, to kto wie, może teraz byłby głównodowodzącym w lotnictwie.

– Było coś takiego? – spytał zdziwiony Xiangqun. – Przecież mąż cioci babci lepi figurki z gliny. Skąd nagle wziął się lotnik?

– To stare sprawy, nie trzeba o tym mówić – rzekł mój najstarszy brat.

– A właśnie, że muszę się cioci babci spytać. Wang Xiaoti, który poleciał na Tajwan? To strasznie ciekawe.

– Ty lepiej nie szukaj takich ciekawostek – rzekł niespokojnie mój brat. – Człowiek powinien kochać swój kraj, a wojskowy pilot powinien go kochać szczególnie. Ludzie mogą kraść, rabować, mogą zabijać i podpalać... Chodzi mi o to, że zdrajcy nic nie usprawiedliwia, zdrada zostawia hańbę na wieki, nigdy nie kończy się dobrze.

– Ale się przestraszyłeś – powiedział Xiangqun lekceważąco. – Przecież Tajwan należy do ojczyzny. To nic złego polecieć i go obejrzeć.

– Ależ nie możesz! – zawołała bratowa. – Jeśli masz takie plany, to nie zostawaj pilotem. Zadzwoń do naczelnika Liu z urzędu sił zbrojnych.

– Mamo, nie denerwuj się, nie jestem taki głupi – odparł mój bratanek. – Przecież najpierw pomyślałbym o was, a nie wyłącznie o sobie. A poza tym Kuomintang i KPCH to teraz jedna rodzina, więc gdybym poleciał na Tajwan i tak odesłaliby mnie z powrotem.

– I tak postępujemy w tej rodzinie – oświadczył brat. – Wang Xiaoti to był łajdak, nieodpowiedzialny gówniarz, który waszej ciotce zrujnował życie!

– Kto tu mówi o mnie? – rozległ się mocny głos i ciotka bez zapowiedzi wkroczyła na podwórko.

Ostre światło ją oślepiało, więc zmrużyła oczy. Obróciła się i włożyła na nos małe, ciemne okulary. Wyglądała w nich trochę *cool*, a trochę śmiesznie.

– Po co taka wielka żarówka? Wasza prababcia mówiła, że nawet w największej ciemności nikt nie zje własnego nosa. Elektryczność bierze się z węgla, a węgiel trzeba wykopać. To bardzo ciężka praca, tyle kilometrów pod ziemią, jak w piekle. I dobrze mówią, że „królem w sztolni zrobili chciwego urzędnika, więc najtańsze w sztolni jest życie górnika”. Każdy kawałek węgla ocieka ludzką krwią!

Ciotka prawą rękę oparła na biodrze, lewą wyciągnęła przed siebie z dramatycznie ułożoną dłonią: kciuk, mały i serdeczny palec były zwinięte, a palec wskazujący i środkowy złączone razem i wyprostowane. Miała na sobie modną w latach siedemdziesiątych wojskową kurtkę ze sztucznego materiału, z podwiniętymi wysoko rękawami; otyła i zupełnie siwa przypominała partyjną urzędniczkę powiatową z końcowych lat rewolucji kulturalnej. Przepęłniały mnie w tym momencie różne uczucia: nasza ciotka, kiedyś podobna do lotosu na wodzie, teraz wygląda właśnie tak?

Zastanawiając się, czy zaprosić ciotkę na bankiet, brat i bratowa sami nie wiedzieli, jak postąpić, więc zapytali ojca. Ojciec pomyślał chwilę i wreszcie rzekł:

– Lepiej dajmy spokój, ona teraz... no w każdym razie nie mieszka już w naszej wsi... A potem się zobaczy...

Pojawienie się ciotki sprawiło, że wszyscy poczuli się niezręcznie. Po chwili podnieśliśmy się i staliśmy nieruchomo.

– I co? Całe życie w rozjazdach, a teraz, jak przyjeżdżam do rodzinnego domu, nie ma dla mnie miejsca przy stole? – spytała ostro ciotka.

Wszyscy zareagowali natychmiast, na wyścigi ustępując jej miejsca i robiąc zamieszanie.

Brat i bratowa zaczęli się tłumaczyć: oczywiście, że ciocia była pierwszą osobą, o której pomyśleli przy zaproszeniach, honorowe miejsce w rodzinie Wan jest zawsze zarezerwowane dla cioci.

Ciotka prychnęła pogardliwie, usadowiła się koło ojca i zwracając się do mojego brata po imieniu, rzekła:

– Usta, póki twój ojciec żyje, honorowe miejsce nie należy do mnie, a gdy twój ojciec umrze, też nie będzie należało do mnie. Córka za mąż wydana jest jak woda wylana, prawda, bracie?

– Ale ty nie jesteś zwykłą córką, ty jesteś wielką postacią w naszej rodzinie. – Ojciec wskazał na siedzących przy stole i dodał: – Wszystkim tym młodziakom pomogłaś przyjść na świat.

– Bohater nie wspomina niegdysiejszych zasług – powiedziała ciotka. – Kiedyś... Po co wspominać przeszłość?! Napijmy się! Co to, dla mnie nie ma kieliszka? Nie szkodzi, przyniosłam własną wódkę! – Z przepastnej kieszeni wyciągnęła butelkę maotai, postawiła ją ze stuknięciem na stole i mówiła dalej: – Pięćdziesięcioletni maotai. Dostałam go od jednego dygnitarza z Lanting. Jego młodsza o dwadzieścia osiem lat kochanka za wszelką cenę chciała urodzić syna. Przyszła do mnie i mówi, że ja znam sekret zmiany żeńskiego płodu w męski i upierała się, że muszę go jej zdradzić! Powiedziałam jej, że takie rzeczy to oszustwo, ale nie uwierzyła, zalała się łzami i za nic nie chciała sobie pójść. Błagała mnie prawie na kolanach, mówiła, że jego żona urodziła dwie córki, więc gdyby jej udało się urodzić syna, zabrałaby tamtej faceta. A ten mężczyzna chciał wyłącznie syna, za nic miał córki, takie miał feudalne poglądy, a podobno na wysokim urzędzie jest się bardziej oświeconym. Akurat! W każdym razie – ciągnęła gniewnie – ich pieniądze nie były uczciwie zapracowane, więc jeśli nie naciągać takich, to kogo? Zrobiłam dla niej lekarstwo, dziewięć porcji: dzięgiel, pochrzyn, rehmannia, lukrecja, wszystko po parę groszy za garść. Całość nie kosztowałyby więcej niż trzydzieści juanów, a ja za każdą porcję wzięłam od niej po setce. A ona była taka szczęśliwa, że aż tyłkiem kręciła, jak wsiadała do swojego czerwonego samochodu i zaraz jej nie było. I

dzisiaj po południu ten dygnitarz z kochanką i tłuściutkim synkiem w ramionach przyszli mi podziękować, przynieśli dobre papierosy i dobrą wódkę. Ha, ha! – roześmiała się głośno i chwyciła kieliszek, z najwyższym szacunkiem podany jej przez mojego brata. Wypiła cały i klepnęła się w udo. – Sami powiedzcie, ci dygnitarze mają niby być wykształceni, a jacy są głupi? Płci płodu nie da się przecież zmienić! Gdybym miała takie cudowne umiejętności, to już dawno bym dostała Nobla za osiągnięcia medyczne, tak czy nie? Nalej mi wódki! – Ciotka postawiła kieliszek i stwierdziła: – Tego maotai nie będziemy otwierać. Niech zostanie dla brata.

– Ale nie, nie – odzęgnął się szybko ojciec. – Mój żołądek nie znosi takiego alkoholu.

Ciotka wcisnęła mu butelkę do ręki:

– Jak ci daję, to masz pić.

Ojciec dotknął wstążki na butelce i spytał lękliwie:

– A ile kosztuje takie coś?

– Co najmniej osiem tysięcy – odrzekła bratowa. – Podobno ostatnio znowu podrożało.

– O wielkie niebiosa! – jęknął ojciec – To jest jeszcze wódka? Smocza ślina i krew feniksa nie kosztowałyby tyle! Funt prosa kosztuje osiemdziesiąt fenów, jedna butelka wódki jest warta tyle co dziesięć tysięcy funtów prosa? Za rok mojej ciężkiej pracy nie zarobiłbym na pół takiej flaszki.

Ojciec przesunął butelkę w stronę ciotki.

– Lepiej to zatrzymaj. Ja takiej wódki nie piję, zaszkodziłaby mi i skróciła życie.

– Jak ci daję, to pij – uparła się ciotka. – Przecież nie ja za nią płaciłam. Jeśli wypijesz, to za darmo wypijesz. Jak ja wtedy w Pingduchengu jadłam na ucztach u Japońców: jakbym nie zjadła, to za darmo, jakbym zjadła, też za darmo. Jak było za darmo, to co, miałam nie jeść?

– Niby sens taki sam – powiedział ojciec – ale jak się zastanowić, żeby taka odrobina gorzałki aż tyle kosztowała? Niby czemu?

– Bracie, nie znasz się. Tak ci powiem: z tych, co piją taką wódkę, żaden za nią nie płacił. Ci, co płacą za wódkę, piją tylko taką. – Ciotka znowu podniosła kieliszek, wychyliła do dna. – Masz ponad osiemdziesiątkę, choćbyś nie wiem, jak pił, ile lat jeszcze przepijesz?

Uderzyła się w pierś i rzekła zuchwale:

– Tu w obecności tych młodych siostra ci obiecuje: od dzisiaj będę ci dostarczać maotai! A czego mam się bać? Kiedyś baliśmy się wszystkiego, a im bardziej się baliśmy, tym więcej upiorów nas prześladowało! Nalej mi wódki! Co, ślepi jesteście? Czy wódki wam szkoda?

– Ale skądże, ciociu, niech ciocia pije do woli!

– Ech, pić do woli, ile lat jeszcze? – Ciotka westchnęła ze smutkiem. – Kiedyś, gdy piłam z tamtymi draniami z komuny ludowej, to wszystkie chłopcy chciały się zabawić moim kosztem, a tymczasem tak ich przepiłam, że łapy im podrętwiały, wszyscy pod stół pospadali i szczekali jak psy! No, młodzi, do dna!

– Ciociu, może ciocia coś zje.

– A co tam jedzenie, kiedyś wasz dziadek do jednego pora wypił pół dzbana wódki z sorgo. Jak kto umie pić, na co mu delikatesy? A z was to takie francuskie pieski, delikatesów wam trzeba!

– Bracie, ciocia ma chyba dość.

Rozpięła kilka guzików na piersi i klepnąwszy ojca w ramię, rzekła:

– Jak ci mówię, żebyś pil, to masz pić. Z naszego pokolenia tylko nas dwoje zostało, poza jedzeniem i piciem co mamy jeszcze do roboty? Pieniądz, zanim go wydasz, to tylko kawałek papieru, dopiero wydany liczy się za pieniądz. Ja mam fach w rękę i jeszcze miałabym się martwić o pieniądze? Jaki by nie był dygnitarz i tak będzie chorował, a jak zachoruje, to przyjdzie do mnie. A poza tym – ciotka wybuchnęła śmiechem – ja jeszcze mam taką cudowną sztukę, że potrafię zmienić płęć płodu w brzuchu, z dziewczynki zamienić go w chłopca. Jeśli za taką sztukę zażądam od nich dziesięciu tysięcy, to też mi nie odmówią!

– A jak po tym twoim lekarstwie i tak się urodzi dziewczynka? – spytał ojciec niespokojnie.

– Nie znasz się na tym. Czym jest chińska medycyna? To w połowie wróżbiarstwo, a wróżbiarz zawsze tak zakręci, że wyjdzie na jego.

Ciotka zapaliła papierosa i mój bratanek wykorzystał ten moment, żeby spytać:

– Czy mogłaby mi ciocia babcia opowiedzieć o tym lotniku? Kto wie, może mi kiedyś przyjdzie do głowy odwiedzić go na Tajwanie?

– Cicho bądź! – zawołał mój brat.

– Bezczelny! – syknęła bratowa.

Ciotka z wielką wprawą paliła papierosa, kłęby dymu otaczały jej rozwichrzone włosy. Wypiła pół kieliszka.

– Teraz, jak go wspomnę, to myślę, że on mnie i skrzywdził, i ocalił.

Kilka razy mocno zaciągnęła się papierosem, a potem energicznie pstryknęła peta środkowym palcem. Pet, kreśląc w powietrzu czerwony łuk, pofrunął między tyczki winorośli.

– No dobrze, dość już wypiałam, koniec uczty. Pora wracać.

Ciotka wstała. Jej potężne ciało wydawało się niezgrabne, gdy chwiejnym krokiem zmierzała do furtki. Rzuciliśmy się, aby ją podtrzymać.

– Myśleliście, że ciotka naprawdę się upiła? – rzekła. – Nie ma takiej możliwości, mnie i tysiąc kieliszków nie zmoże.

Za bramą zobaczyliśmy wuja Hao Wielką Rękę, wytwórcę glinianych figurek, który niedawno otrzymał tytuł mistrza sztuki ludowej. Czekał na ciotkę w milczeniu.

ROZDZIAŁ 9

Mistrzu, następnego dnia mój bratanek wsiadł na motor i z miasta powiatowego przyjechał do mojego ojca, żeby razem pojechać do ciotki i dowiedzieć się wszystkiego o Wang Xiaotim.

– Lepiej nie jechać – rzekł zakłopotany ojciec. – Jej zaraz stuknie siedemdziesiątka, miała ciężkie życie i wyciąganie takich starych spraw tylko ją zdenerwuje. A poza tym przy mężu głupio jej będzie mówić.

– Xiangqun, dziadek ma rację – powiedziałem. – Skoro ta sprawa tak cię interesuje, ja ci opowiem wszystko, co na ten temat wiem. A zresztą jakbyś poszukał w internecie, mniej więcej byś się dowiedział, jak to było.

Mistrzu, mojemu bratankowi opowiedziałem więc, co następuje:

– Ponieważ chciałem napisać powieść o ciotce – teraz, rzecz jasna, zmieniłem zamiar i chcę napisać sztukę – Wang Xiaoti oczywiście stał się ważną postacią. Do napisania tej książki przygotowywałem się dwadzieścia lat. Wykorzystałem najróżniejsze znajomości i spotkałem się z wieloma ludźmi. Specjalnie pojechałem do trzech baz, w których pracował, pojechałem też do jego domu w Zhejiangu, rozmawiałem z jego towarzyszami broni z eskadry, z dowódcą eskadry i dowódcą dywizjonu, wsiadłem nawet do myśliwca J-5, którym latał. Poza tym widziałem się z ówczesnym szefem sekcji kontrwywiadu w powiatowym urzędzie bezpieczeństwa i ówczesnym szefem bezpieczeństwa w wydziale zdrowia. Można powiedzieć, że wiem o nim więcej niż ktokolwiek inny, a jedyny brak w mojej wiedzy jest taki, że nigdy nie widziałem jego twarzy. Ale twój ojciec, za zgodą twojej ciotecznej babki, kiedyś zaczął się w kinie i na własne oczy widział, jak ona i Wang Xiaoti wchodzi, trzymając się za ręce. Twój ojciec siedział niedaleko nich. Potem opisał mi wygląd Wanga: wzrost – metr siedemdziesiąt pięć, może sześć, jasna skóra, twarz pociągła, oczy niewielkie, ale pełne wyrazu. Zęby równe, białe i błyszczące. Twój ojciec opowiadał, że tego wieczoru puszczał radziecki film *Jak hartowała się stal*, nakręcony na podstawie powieści Ostrowskiego pod tym samym tytułem. Mówił też, że na początku ukradkiem podglądał zachowanie ciotki i Wang Xiaotiego, ale wkrótce wciągnęła go historia

rewolucji i miłości rozgrywająca się na ekranie. W tym czasie wielu chińskich uczniów korespondowało z rówieśnikami ze Związku Radzieckiego. Tak się złożyło, że dziewczyna, z którą korespondował twój ojciec, też nazywała się Tonia, więc nic dziwnego, że zauroczony filmem całkowicie zapomniał o swojej misji. Oczywiście coś jednak zauważał: przed projekcją zobaczył, jak Wang Xiaoti wygląda, kiedy zmieniano rolkę (w tamtych czasach w kinie był tylko jeden projektor), poczuł wydobywający się z ust Wang Xiaotiego aromat owocowych cukierków, słyszał też wokół siebie odgłos chrupanych pestek i rozpoznawał ich zapach. Wtedy w kinach pozwalano jeść, nawet różne rzeczy w łupinkach, więc pod stopami wały się stosy łupin orzeszków ziemnych i pestek dyni albo skórki arbuza.

Kiedy film się skończył, w świetle lamp przy wejściu twój ojciec zobaczył, jak Wang Xiaoti prowadzi rower, żeby odprowadzić twoją cioteczną babkę do hotelu wydziału zdrowia (wówczas tymczasowo przeniesiono ją tam do pracy). Cioteczna babka rzekła z uśmiechem: „Wang Xiaoti, chcę ci kogoś przedstawić!”. Twój ojciec schowany w mroku korytarza nie śmiał głowy wystawić. Tamten rozejrzał się: „Kogo? Gdzie jest?”. „Usta, wychodź!”. Dopiero wtedy twój ojciec niepewnie wyszedł zza kolumny. W tym czasie był już podobnego wzrostu co Wang, ale tak chudy jak bambusowa tyczka. Historie jego sportowych osiągnięć, jak ta z dyskiem, którym ściał wołu róg, to w większości były przechwałki. Włosy miał rozczochrane jak wronie gniazdo. „To mój bratanek, Wan Usta” – przedstawiła go twoja cioteczna babka. „Aha!” – Wang Xiaoti mocno walnął go w ramię. „A więc mamy tu szpiega! Usta? Dobrze dobrane imię”. Wyciągnął rękę: „No to, młody, poznajmy się. Wang Xiaoti!”. Twój ojciec, zachwycony tym przyjaznym gestem, chwycił rękę Wanga w obie dłonie i mocno nią potrząsał.

Opowiadał też, że kiedy potem odwiedził Wanga w jego bazie, zjedli razem obiad w stołówce: smażone krewetki, kurczaka z papryką, jajka z liliami, wielką miskę zupy z ryżu, co tylko chciał. Kiedy nam to opisywał, strasznie mu zazdrościliśmy, ale oczywiście byłem też bardzo dumny. Nie tylko z powodu Wang Xiaotiego, ale też dlatego, że twój ojciec, czyli mój najstarszy brat, jadł obiad w lotniczej stołówce!

Wang Xiaoti dał mi w prezencie harmonijkę marki Yunque, świetnej jakości. Twój ojciec opowiadał, że Wang miał mnóstwo talentów, nieźle grał w koszykówkę, a kiedy rzucał do kosza z trójtaktu, robił to bardzo nonszalanckim gestem. Grał nie tylko na harmonijce, lecz także na akordeonie, pięknie kaligrafował i miał talent malarski. Twój ojciec widział na jego ścianie rysunek wykonany ołówkiem, przedstawiający twoją cioteczną babkę. A jeśli chodzi o jego pochodzenie, było całkowicie bez zarzutu: ojciec był wysokim funkcjonariuszem partyjnym, matka – profesorem uniwersytetu. Dlaczego ktoś taki zdecydował się uciec na Tajwan i zostać wyklętym przez wszystkich zdrajcą?

Według dowódcy eskadry dlatego, że potajemnie słuchał tajwańskiej rozgłośni. Miał radio na krótkie fale, które odbierało tajwańskie audycje. W kuomintangowskiej rozgłośni pracowała spikerka o pięknym, magnetyzującym głosie, nazywana „Nocną Różą”. Była straszliwie zabójcza i może to urok jej głosu nakłonił Wanga do zdrady. To znaczy, że moja ciotka nie miała dość uroku?

Mocno już postarzały dowódca odpowiedział:

– Pańskiej ciotce oczywiście też nic nie brakowało. Dobrego pochodzenia, postawna, a co więcej, była członkiem partii, więc według ówczesnych pojęć była bardzo pociągająca. Wszyscy zazdrościliśmy Wang Xiaotiemu. Ale pańska ciotka była za bardzo rewolucyjna, za bardzo poważna. Dla takiego zatrutego przez kapitalizm człowieka jak Wang nie miała dość uroku. Później, kiedy służby bezpieczeństwa badały jego dziennik, okazało się, że używał w nim przezwiska dla pańskiej ciotki. Nazywał ją tam „Czerwona Deska”! Oczywiście to szczęście, że znaleziono dziennik, bo dzięki niemu pańska ciotka została oczyszczona. Gdyby nie to, nie zmyłaby z niej podejrzeń cała Żółta Rzeka. Mistrz, mojemu bratankowi powiedziałem jeszcze tak: – Wang Xiaoti nie tylko nieomal zniszczył twoją cioteczną babkę, ale przez niego twój ojciec też był wielokrotnie przesłuchiwany w urzędzie bezpieczeństwa. Harmonijka, którą chciał sobie zjednać i skorumpować młodego człowieka, też okazała się prowokacją. W tym samym dzienniku pisał: „«Czerwona Deska» przedstawiła mi swojego bratanka. Taki sam czerwony drewniak jak ona i jeszcze ma głupie imię: Usta”. Gdyby nie ten dziennik, twój ojciec miałby straszne kłopoty.

– Może Wang Xiaoti specjalnie tak napisał – powiedział mój bratanek.

– Twoja cioteczna babka też potem myślała, że Wang Xiaoti zostawił swój dziennik, żeby ją chronić. I dlatego wczoraj powiedziała: „on mnie i skrzywdził, i ocalił”.

Mistrzu, mój bratanek najbardziej interesował się, jak wyglądała ucieczka Wang Xiaotiego. Był pełen podziwu dla jego lotniczych umiejętności. Powiedział, że przelot myśliwcem J-5 z szybkością ośmiuset kilometrów na godzinę na wysokości pięciu metrów nad poziomem morza oznaczał, że najmniejszy błąd skończyłby się zatonięciem. Cholernik był świetnym pilotem i miał odwagę! To naprawdę był specjalista, pilot na wszelkie warunki. Zanim doszło do tamtych zdarzeń, kiedy w czasie ćwiczeń przelatywał nad naszą wsią, zawsze wykonywał jakieś zapierające dech w piersiach akrobacje. Mówiliśmy wtedy, że kiedy nurkował nad polem arbuźów na wschodnim krańcu wsi, wyciągał rękę, zrywał jednego, a potem jednym machnięciem skrzydeł wzbijał się znowu pod chmury.

– Na Tajwanie naprawdę dostał w nagrodę pięć tysięcy uncji złota? – spytał mój bratanek.

– Może dostał – odpowiedziałem. – Ale nawet gdyby dostał dziesięć tysięcy, nie byłoby warto. Xiangqun, drogi bratanku, nie zazdrość takich rzeczy. Złoto, pieniądze, piękne kobiety, to wszystko mija jak chmury na niebie. Tylko ojczyzna, dobre imię i rodzina są naprawdę cenne.

Bratanek odpowiedział:

– Stryjku, dlaczego wy wszyscy jesteście tacy śmieszni?
W jakich my czasach żyjemy, że mówicie mi takie rzeczy?

ROZDZIAŁ 10

Na wiosnę 1961 roku ciotka została oczyszczona z oskarżeń w związku ze sprawą Wang Xiaotiego i przywrócona do pracy na oddziale położniczym w szpitalu w komunie ludowej. Przez dwa lata w czterdziestu wsiach należących do komuny nie urodziło się ani jedno dziecko. Przyczyną był oczywiście głód. Głód sprawiał, że kobiety nie miesiączkowały, a mężczyźni zmieniali się w eunuchów. Na oddziale położniczym pracowała tylko ciotka i pewna lekarka w średnim wieku o nazwisku Huang. Skończyła medycynę na słynnym uniwersytecie, ale miała złe pochodzenie, a do tego zaliczono ją do prawicowców, więc została zesłana na wieś. Kiedy o niej wspomiano, ciotka zawsze się strasznie złościła. Mówiła, że lekarka miała dziwny charakter, czasami nie odzywała się przez cały dzień, a czasami, stojąc twarzą do spluwaczki, wygłaszała zjadliwe, niekończące się przemówienia.

Po śmierci starszej babci ciotka rzadko do nas przyjeżdżała, ale zawsze, gdy w domu było coś dobrego do jedzenia, mama wysyłała siostrę, żeby zniosła trochę ciotce. Pewnego razu ojciec znalazł na polu połowę zająca, prawdopodobnie porzuconego przez orła. Matka ugotowała go z dzikimi ziołami. Zostawiła całą miskę mięsa, zrobiła z niej zawiniątko i chciała posłać siostrę, ale siostra nie chciała iść. Zgłosiłem się na ochotnika.

– Możesz iść – powiedziała mama – ale nie podjadaj po drodze i patrz pod nogi, żebyś mi nie rozbił miski.

Z naszej wsi do komuny było pięć kilometrów. Z początku biegłem, bo nie chciałem, żeby zając wystygł. Ale wkrótce moje nogi zrobiły się ciężkie, zaczęło mi burczeć w brzuchu, poczułem zimny pot i zawroty głowy. Byłem głodny. Zjedzone na śniadanie dwie miseczki zupy z trawy żołądek pochłoniął już dawno. W tym momencie do moich nozdrzy doleciał zapach zająca z pakunku i dwa głosy wewnętrzne zaczęły się we mnie spierać. Jeden mówił: „zjedz kawałek, tylko jeden kawałeczek”. A drugi: „nie mogę, trzeba być dobrym dzieckiem, trzeba słuchać mamy”. Kilka razy już wyciągałem rękę, żeby rozwiązać pakunek, ale wtedy pojawiały się przede mną oczy mamy.

Po obu stronach drogi wiodącej do komuny rosły morwy, których liście już dawno zostały zjedzone przez głodnych wieśniaków. Złamałem gałązkę, włożyłem ją do ust i zacząłem ssać, ale jej sok był tak gorzki, że nie dawał się połknąć. Wtedy na pniu jednego z drzew zauważyłem świeżo wyklutą z kokonu cykadę. Była jaskrawożółta, a skrzydła jeszcze jej nie wyschły. Ucieszony, rzuciłem gałązkę, chwyciłem cykadę do ręki i nie zastanawiając się, wepchnąłem ją do ust. Cykady były u nas uważane za przysmak, ale normalnie jadaliśmy je smażone. A ja zjadłem ją żywą i na surowo, oszczędzając w ten sposób ogień i czas. Żywa cykada miała wspaniały smak, a ponadto, jak mi się zdaje, więcej wartości odżywczych niż smażona. Idąc, badałem wzrokiem pnie drzew, ale na żadnym nie dojrzałem już cykady, znalazłem natomiast pięknie wydrukowaną ulotkę, na której przystojny młodzieniec trzymał w objęciach dziewczynę śliczną jak boginka. Napis pod spodem głosił: „Pilot Wang Xiaoti, który przejrawszy na oczy, zbiegł od komunistycznych bandytów, został przyjęty w szeregi oficerów wojsk narodowych, otrzymał nagrodę pięciu tysięcy uncji złota, a jego towarzyszką została słynna piosenkarka Tao Lili”. Zapomniałem o głodzie i ogarnięty jakimś niezrozumiałym podnieceniem krzyknąłem na całe gardło. W szkole słyszałem, że Kuomintang zrzuca balony z reakcyjnymi ulotkami, ale nie spodziewałem się, że kiedyś taką znajdę, a już na pewno nie spodziewałem się, że są

takie piękne. I musiałem przyznać, że kobieta na zdjęciu była dużo ładniejsza niż ciotka.

Kiedy wbiegłem na oddział położniczy, ciotka akurat kłóciła się z tamtą Huang. Huang miała okulary w czarnych oprawkach, haczykowaty nos i wąskie wargi, a kiedy mówiła, spod warg pokazywały się fioletowe dziąsła. (Ciotka zawsze nas później przestrzegała, żeby za żadne skarby nie żenić się z kobietą, której przy mówieniu widać dziąsła). Spojrzenie Huang było tak ponure, że aż mi ciarki przeszły po grzbiecie. Usłyszałem, jak mówi:

– A kimże ty jesteś, żeby mi rozkazywać! Gdy ja skończyłam akademię medyczną, ty jeszcze latałaś w rozciętych majtkach!

Ciotka odpłacała jej pięknym za nadobne.

– A pewnie. Ja dobrze wiem, że wielka Huang Qiuya to panienska z kapitalistycznej rodziny i dobrze wiem, że byłaś gwiazdą akademii medycznej. I co, z chorągiewką w ręku witałaś japońskie wojska wkraczające do miasta? A może tańczyłaś twarz przy twarzy z japońskimi oficerami? Gdy ty tańczyłaś z japońskimi żołnierzami, ja walczyłam z japońskim dowódcą w Pingduchengu!

Tamta roześmiała się pogardliwie.

– A kto to widział? Kto widział? Kto widział, jak walczyłaś z japońskim dowódcą?

– Historia to zachowała – odparła ciotka. – Góry i rzeki są świadkami.

Nie powinienem był, w żadnym wypadku nie powinienem był właśnie w tamtym momencie wsunąć jej ulotki do ręki.

– Czego tu chcesz? – spytała ciotka nieprzyjaźnie. – I co to za śmieć?

– Reakcyjna ulotka, kuomintangowska reakcyjna ulotka – odrzekłem łamiącym się z podniecenia głosem.

Ciotka najpierw ledwie rzuciła na nią okiem, ale po chwili wzdrygnęła się, jak uderzona prądem. Jej oczy się rozszerzyły, a twarz śmiertelnie pobladła. Odrzuciła od siebie ulotkę, jakby odrzucała węża, nie, raczej jakby odrzucała od siebie żabę.

Kiedy oprzytomniała na tyle, żeby ją podnieść, było już za późno.

Huang Qiuya podniosła ulotkę, omiotła ją spojrzeniem, potem uniosła głowę i popatrzyła na ciotkę, znów zerknęła na ulotkę, a w jej ukrytych za grubymi szklami oczach nagle pojawiły się zielone, fosforyzujące błyski. Roześmiała się pogardliwie. Ciotka skoczyła ku niej, by wyrwać jej papier, ale Huang Qiuya obróciła się i wywinęła. Ciotka chwyciła ją z tyłu za ubranie, krzycząc głośno:

– Oddawaj!

Huang Qiuya szarpnęła się i jej kurtka pękła z trzaskiem, ukazując plecy białe jak brzuch żaby.

– Oddawaj!

Huang odwróciła się, chowając za sobą ręce z ulotką i trzęsąc się z podniecenia, krok za krokiem zmierzała ku drzwiom, mówiąc jednocześnie nienawistnym i zadowolonym głosem:

– Mam oddać? Na pewno! Ty szpiegowska suko! Kochanica zdrajcy! Zdrajca znudził się już starym towarem, co?! Przestraszyłaś się, co? Już nie handlujesz tym swoim śmierdzącym „sierota po bohaterze”?

Ciotka jak oszalała skoczyła w jej kierunku.

Huang Qiuya wybiegła na korytarz, krzycząc przeraźliwie:

– Łapać szpiega! Łapać szpiega!

Ciotka pobiegła za nią i chwyciła ją za włosy. Odgięła jej głowę do tyłu, a Huang z całej siły wyciągała przed siebie ręce z ulotką i krzyczała coraz przeraźliwiej. W tym czasie w szpitalu były tylko dwa rzędy sal chorych, na jednym końcu korytarza znajdowała się przychodnia, na drugim sekretariat. Słyszac hałasy, ludzie wyszli na korytarz, na którym ciotka przewróciła już Huang, siadła na niej okrakiem i usiłowała wyrwać jej ulotkę.

Przyszedł ordynator. Był to mężczyzna w średnim wieku, łysy, o długich, wąskich oczach, z worami na policzkach i o nienaturalnie białych zębach.

– Przestańcie! – krzyknął. – Co tu się dzieje?

Ciotka jakby go nie słyszała, jeszcze gwałtowniej usiłowała rozewrzeć ręce tamtej. Huang Qiuya już nie krzyczała, lecz zawodziła.

– Wan Serce, proszę natychmiast przestać! – zawołał rozwścieczony ordynator i ryknął do zebranych ludzi: – Czyście wszyscy oślepli? Rozdzielcie je!

Kilku lekarzy podeszło i z największym wysiłkiem ściągnęli ciotkę z powalonej kobiety, a lekarki pomogły tamtej wstać.

Huang Qiuya zgubiła okulary, ze szpary między zębami ciekła jej krew, z zapadniętych oczu płynęły mętne łzy, ale jej palce pozostały zaciśnięte na ulotce.

– Ordynatorze, proszę nas rozsądzić – rzekła jękliwie.

Ubranie ciotki było poszarpane, twarz sinoblada, a na policzkach miała dwie krwawiące smugi, najwyraźniej wydrapane paznokciami Huang.

– Wan Serce, o co tu chodzi? – spytał ordynator.

Ciotka zmusiła się do uśmiechu, ale z oczu pociekły jej łzy. Rzuciła na ziemię kilka wyrwanych strzępów ulotki i bez jednego słowa, zataczając się, wróciła na oddział. Huang Qiuya, jakby dokonała czegoś wielkiego, gestem pokrzywdzonej bohaterki podała ordynatorowi zgniecioną w kulkę ulotkę. Klęczała na podłodze, macając ją w poszukiwaniu okularów. Nałożyła je na nos, a ponieważ jeden z zauszników był odłamany, przytrzymała je palcem. Widząc na podłodze strzępki ulotki, podczołgała się do nich na kolanach, zebrała je jak skarb i stanęła na nogi.

– Co to jest? – zapytał ordynator, rozprostowując zgnieciony papier.

– Reakcyjna ulotka. Tu jest więcej. – Huang Qiuya podała mu strzępki, jakby wręczała mu coś niezwykle cennego. – Ten zdrajca Wang Xiaoti przysłał je z Tajwanu dla Wan Serce.

Lekarze i pielęgniarki aż westchnęli z wrażenia.

Ordynator miał starczowzrocność, więc odsunął ulotkę od oczu, starając się jakoś dopasować odległość do wzroku. Lekarze i pielęgniarki zlecieli się do niego jak rój pszczół.

– Czego tu chcecie? Co tu jest do oglądania? Wracać do pracy! – rozkazał ordynator, zabierając ulotkę. Po czym dodał: – Doktor Huang, proszę ze mną.

Huang Qiuya i ordynator zniknęli w sekretariacie, a lekarze i pielęgniarki cicho dyskutowali w grupkach.

Z oddziału położniczego dobiegło wycie ciotki. Zdając sobie sprawę, że spowodowałem straszne nieszczęście, kuląc się, wszedłem do środka. Ciotka siedziała na krześle z głową złożoną na stole. Płakała i uderzała pięściami w stół.

– Ciociu – powiedziałem – mama przysłała ci gotowanego zająca.

Ciotka nie zwróciła na mnie uwagi i płakała dalej.

– Ciociu, nie płacz – powiedziałem i sam się rozpłakałem. – Zjedz trochę zająca...

Położyłem zawiniątko na stole, rozwiązałem i postawiłem miseczkę przy jej głowie.

Ciotka jednym ruchem ramienia zrzuciła ją ze stołu i miseczka roztrzaskała się na kawałki.

– Wynoś się! – krzyknęła, podnosząc głowę. – Wynoś się, draniu! Wynoś się! Wynoś!

ROZDZIAŁ 11

Dopiero później dowiedziałem się, jak wielkie nieszczęście wywołałem.

Kiedy uciekłem ze szpitala, ciotka podcięła sobie żyły lewej ręki. Palcem prawej własną krwią napisała taki list: „Nienawidzę Wang Xiaotiego! Za życia służyłam partii jako człowiek, po śmierci będę jej służyć jako duch”.

Kiedy zadowolona z siebie Huang Qiuya wróciła z sekretariatu, krew dopłynęła już do drzwi. Huang krzyknęła i runęła na ziemię.

Ciotkę odratowano, ale w partii poddano ją probacji. Tę karę zastosowano nie przez wzgląd na jej związki z Wang Xiaotim, ale dlatego, że jej próbę samobójczą uznano za demonstrację wobec partii.

ROZDZIAŁ 12

Jesienią 1962 roku w Gaomi Dongbeixiangu pataty na trzydziestu tysiącach arów pola obrodziły jak nigdy przedtem. Ziemia, która przez trzy lata drażniła się z ludźmi, ponownie stała się miłosierna, łaskawa i szczodra. Przeciętne zbiory patatów wynosiły cztery i pół tysiąca kilogramów z jednego ara i kiedy przypominam sobie obrazy ze zbiorów, wciąż ogarnia mnie podniecenie. Pod każdą sadzonką znajdowały się niezliczone bulwy. Największy patat zebrany w naszej wsi ważył ponad siedemnaście kilogramów i Yang Lin, sekretarz partii z powiatu, sfotografował się z nim w objęciach. To zdjęcie znalazło się na pierwszej stronie „Gazety Mas”.

Pataty to dobra rzecz, to naprawdę dobra rzecz. W tamtym roku nie tylko było ich dużo, ale co więcej, zawierały ogromne ilości skrobi i zaraz po zagotowaniu woda robiła się mętna. Smakowały jak kasztany i miały wiele wartości odżywczych. Na wszystkich podwórkach w Gaomi Dongbeixiangu leżały stosy patatów, na wszystkich ścianach porozwieszano druty, na które nawleczone pokrojone w plastry pataty. Byliśmy najedzeni, wreszcie byliśmy najedzeni! Skończyły się dni posiłków z korzeni traw i kory drzew, lata głodowej śmierci minęły raz na zawsze. Wkrótce znikły obrzęki nóg i rozdęte brzuchy, a pod skórą zaczęła pojawiać się tkanka tłuszczowa. Nasze spojrzenia pojaśniały i nabrały blasku, nogi przestały drętwieć podczas chodzenia i zaczęliśmy szybko rosnąć. Piersi najedzonych patatami kobiet podnosiły się, wracała im regularna miesiączka. Plecy mężczyzn wyprostowały się, nad ustami pojawił im się zarost i znów poczuli pożądanie. Po dwóch miesiącach sytości niemal wszystkie młode kobiety w naszej wsi zaszły w ciążę. Na początku 1963 roku w Gaomi rozpoczął się pierwszy po powstaniu Chińskiej Republiki Ludowej wyż demograficzny, a w samej naszej komunie liczącej pięćdziesiąt dwie wsie urodziło się dwa tysiące osiemset sześćdziesiąt ośmioro dzieci. Ciotka nazywała je „patatowymi dziećmi”.

Ordynator jej szpitala był dobrym człowiekiem. Kiedy ciotka po nieudanym samobójstwie wróciła podleczyć się do domu, przyjechał zobaczyć, co u niej słyhać. Był ciotecznym bratankiem naszej babci, naszym dalekim kuzynem. Zbeształ ciotkę za brak rozsądku. Miał nadzieję, że ciotka przestanie się zadrećać i zajmie się pracą. Powiedział, że partia i lud mają dobry wzrok, na pewno nie będą prześladować dobrego człowieka i nigdy nie przebaczą złemu. Ciotka musi uwierzyć organizacji, musi własnym postępowaniem dowieść swojej niewinności i walczyć o powrót w partyjne szeregi. A po cichu szepnął jej tak:

– Jesteś zupełnie inna niż Huang Qiuya. Ona ma zły charakter, a ty jesteś komunistką z krwi i kości. Może trochę zbłądziłaś, ale jeśli się postarasz, masz przed sobą jasną przyszłość.

Po tych słowach ciotka wybuchnęła płaczem. Ja też się rozplakałem.

Ciotka umiała się podnieść po rozpaczy i z pełnym entuzjazmem rzuciła się w wir pracy. W owym czasie każda wieś miała przeszkoloną akuszerkę, ale wiele kobiet wolało rodzić w szpitalu. Odłożywszy na bok urazę, ciotka znowu podjęła współpracę z Huang Qiuyą; była i lekarzem, i pielęgniarką. Zdarzało im się nie spać kilka dni i nocy z rzędu, wiele dzieci i kobiet zawróciły z drogi do piekieł i przywróciły życiu. W ciągu pięciu miesięcy odebrały osiemset osiemdziesiąt porodów, w tym osiemnaście poprzez cesarskie cięcie. W owych czasach była to skomplikowana operacja i fakt, że wykonywano ją na malutkim, ledwie dwuosobowym oddziale położniczym szpitala komuny ludowej, wywoływał wiele hałasu. Nawet ambitna aż do arogancji ciotka musiała podziwiać lekarskie umiejętności Huang Qiuyi. To, że później stała się słynną w Gaomi położną, łączącą zdobycze medycyny chińskiej i zachodniej, tak naprawdę zawdzięczała swojej znenawidzonej przeciwniczce.

Huang Qiuya była starą panną, przez całe życie nigdy nie miała nawet narzeczonego, więc można było wybaczyć jej dziwne nastroje. U schyłku życia ciotka często opowiadała nam historie o swojej przeciwniczce. Kiedy ta córka bogatych kapitalistów z Szanghaju, absolwentka sławnej akademii medycznej, została zesłana do naszego Gaomi Dongbeixiang, jej los naprawdę przypominał „upadłego feniksa, któremu wiedzie się gorzej niż kurze”.

– Kto był tą kurą? Oczywiście – ja – stwierdziła samokrytycznie ciotka. – Ja byłam taką kurą posadzoną na jednej grzędzie z feniksem. Potem naprawdę dołożyłam jej tak, że na mój widok dostawała drgawek, jak przytruta nikotyną jaszczurka.

Ciotka ciężko westchnęła.

– Wtedy wszyscy oszaleli, to był jeden koszmar. Powiedziała nam też, że Huang Qiuya była wspaniałym ginekologiem.

– Choćby rano rozbili jej głowę do krwi, po południu przy operacji była tak skoncentrowana, że nie przeszkadzałyby jej, gdyby za oknem postawili scenę i odgrywali przedstawienie z bębni. Miała ręce artystki, potrafiła na brzuchu kobiety wyhaftować... – i w tym momencie ciotka wybuchnęła wielkim śmiechem. Śmiała się i śmiała, aż z oczu popłynęły jej łzy.

ROZDZIAŁ 13

Sprawa małżeństwa ciotki była wielką troską całej rodziny. Martwiło się o nią nie tylko starsze pokolenie, ale też nawet taki kilkunastoletni dzikus jak ja bardzo się tym gryzł. Nikt jednak nie śmiał mówić o tym w jej obecności, a jeśli ktoś wspomniał, natychmiast się obrażała.

W 1966 roku na wiosnę, rankiem w święto grobów, ciotka przyjechała do naszej wsi, żeby zbadać kobiety w wieku reprodukcyjnym. Przywiozła ze sobą swoją uczennicę – wtedy wiedzieliśmy tylko, że ma przydomek „Lwiczka”. Była to mniej więcej osiemnastoletnia dziewczyna o przyszczatej twarzy, kartoflowatym nosie i szeroko rozstawionych oczach, rozczochrana, niewysoka i tęgawa. Po pracy ciotka przyprowadziła ją do nas na obiad.

Na stole stały placki, gotowane jajka, szczypior i pasta fasolowa. Byliśmy już po obiedzie i tylko przyglądaliśmy się, jak jedzą. „Lwiczka” wyglądała na zawstydzoną, spuściła głowę i nie śmiała nawet spojrzeć na nikogo, a przyszcze na jej twarzy zrobiły się czerwone.

Mama najwyraźniej nabrała do niej sympatii, wypytywała o najróżniejsze rzeczy i można było pomyśleć, że zaraz zapyta o sprawy sercowe.

– Bratowo, co się tak dopytujesz? – zapytała ciotka. – Chcesz z niej zrobić swoją synową?

– Gdzieżby tam! – odrzekła mama. – My jesteśmy chłopi, za wysokie progi. Panna „Lwiczka” jest na państwowej posiadzie, żaden z twoich bratanków się dla niej nie nadaje.

„Lwiczka” tylko spuściła głowę niżej i przestała jeść.

W tym momencie zjawili się moi szkolni koledzy – Wang Wątroba i Chen Nos. Wątroba, zaglądając do domu, rozdeptał na kawałki glinianą miskę z kurzą karmą.

– Ach, ty niedźwiedziu! – ofuknęła go mama. – Patrz, jak chodzisz!

Wątroba potarł ręką kark i głupio się uśmiechnął.

– Wątroba, jak tam twoja siostra? – spytała ciotka. – Urosła trochę?

– Nie, po staremu – odparł Wątroba.

Ciotka przełknęła kawałek placka, wytarła usta ręką i rzekła:

– Pamiętaj, aby powiedzieć ojcu, że twojej matce nie wolno już rodzić. Jeżeli jeszcze raz urodzi, wypadnie jej macica.

– Nie mów przy nich o takich kobiecych sprawach – powiedziała matka.

– A czego tu się wstydzić? Właśnie trzeba im uświadomić, jak kobietom jest trudno! W tej wsi połowa kobiet cierpi na wypadanie macicy, druga połowa ma infekcje. Jego matce macica wypada do pochwy, jest jak zgniła gruszka, a Stopa chce jeszcze jednego syna! Jak go kiedyś spotkam... A jeśli chodzi o Nosa, jego matka też jest chora...

Matka przerwała jej i krzyknęła do mnie:

– Wynocha! Zabieraj tych swoich koleżków i idźcie bawić się gdzieś na zewnątrz! Nie zawracajcie tu głowy!

Kiedy weszliśmy w zaułek, Wątroba powiedział:

– Biegacz, musisz nas zaprosić na prażone orzeszki!

– A czemu?

– A bo mamy ci sekret do powiedzenia – rzekł Nos.

– Jaki sekret?

– Najpierw kup nam orzeszki.

– Nie mam pieniędzy.

– Jak to nie masz pieniędzy? – zapytał Nos. – Ukradłeś kawałek miedzi z brygady traktorów w państwowym gospodarstwie. Potem go sprzedałeś za juana i dwadzieścia fenów. Myślałeś, że nie wiemy?

– Nie ukradłem – broniłem się. – Oni go wyrzucili, bo nie był potrzebny.

– Wszystko jedno. W każdym razie sprzedałeś za juana i dwadzieścia fenów, tak czy nie? Kupuj!

Wątroba wskazał palcem huśtawkę na klepisku. Kołysała się skrzypliwie, a wśród stojących wokół niej ludzi jakiś staruszek sprzedawał prażone orzeszki.

Kiedy sprawiedliwie rozdzieliłem między nas porcję za trzydzieści fenów, Wątroba poważnie oświadczył:

– Biegaczu, twoja ciotka wychodzi za mąż za sekretarza komitetu powiatowego partii!

– Kłamiesz! – zawołałem.

– Jak twoja ciotka zostanie sekretarzą, to i wy obrośnięcie w piórka – mówił dalej Nos. – Twój najstarszy brat i twój średni brat, i twoja siostra, i nawet ty pojedziecie do miasta, dostaniecie posady, będziecie jeść państwowe zboże, pójdziecie na studia i traficie na urzędy. Nie zapomnijcie o nas wtedy!

– Ale ta „Lwiczka” to śliczna dziewczyna! – wyrwało się Wątrobie.

ROZDZIAŁ 14

Kiedy rodziły się patatowe dzieci, po zarejestrowaniu ich w komunie rodzice otrzymywali kartki na płótno o wielkości niespełna dwa metry na niespełna metr oraz litr oleju sojowego. Rodzice bliźniąt dostawali dwa razy więcej. Widząc złocisty olej i zwijając w palcach pachnące farbą drukarską kartki, ludzie czuli, jak wilgotnieją im oczy, a serca przepęlnia wdzięczność. Nowe społeczeństwo jest naprawdę dobre! Urodziło się dziecko i jeszcze coś za to dostają. Matka stwierdziła, że ojczyźnie brakuje ludzi, a ponieważ ojczyzna potrzebuje rąk do pracy, więc bardzo ich ceni.

Pełne wdzięczności masy ludowe podjęły w sercach decyzję – trzeba mieć jak najwięcej dzieci, żeby odwdziżyć się ojczyźnie za szczodrość. Żona magazyniera spichlerza komuny Xiao Górnej Wargi – czyli matka mojego szkolnego kolegi Dolnej Wargi – urodziła Dolnej Wardze już trzy młodsze siostrzyczki. Najmłodszej jeszcze nie odstawiła od piersi, a już chodziła z wielkim brzuchem. Pasąc krowy, często widywałem, jak Górna Warga na starym rowerze przejeżdża przez most. Był gruby, więc rower ledwo go utrzymywał i okropnie skrzypiał. Ludzie we wsi żartowali sobie z niego:

– Stary Xiao, ileż ty masz lat? Nawet nocami nie odpoczywasz?

A on odpowiadał z uśmiechem:

– Nie można odpoczywać, trzeba dla ojczyzny produkować ludzi. Nie wolno unikać pracy!

Pod koniec 1965 roku gwałtowny przyrost ludności zaczął budzić niepokój. Rozpoczęła się pierwsza w CHRL kampania planowania urodzeń. Władze ukuły hasło: Jedno – to niemało, dwoje – to w sam raz, troje – to za dużo”. Brygada filmowa w powiecie przed każdą projekcją pokazywała slajdy propagujące kontrolę urodzeń, ale kiedy na ekranie pojawiały się powiększone rysunki męskich i żeńskich narządów płciowych, z ukrytej w ciemności widowni dobiegały okrzyki i szalone śmiechy. My, dorastające dzieciaki, także wszczynaliśmy hałasy, a dłonie wielu chłopców i dziewcząt potajemnie splatały się w mroku, więc taka propaganda antykoncepcji była raczej znakomitym, zachęcającym do płodności afrodyzjakiem. Powiatowa trupa teatralna zorganizowała się w kilka mniejszych grupek rozsyłanych bezpośrednio do każdej wsi z krótkim przedstawieniem „Połowa nieba”, które miało zmienić stary pogląd o przewadze synów nad córkami.

W tym czasie ciotka była szefem oddziału położniczego i zastępcą kierownika komunalnej grupy kierującej planowaniem urodzeń. Kierownikiem był sekretarz partii w komunie Qin Shan, ale był nim tylko z nazwy, bo właściwie niczym się tam nie zajmował. W praktyce to ciotka kierowała planowaniem urodzeń w komunie, ona je organizowała i wcielała w życie.

Przybrała już trochę na wadze, a jej białe zęby, niegdyś obiekt powszechnej zazdrości, pożółkły, ponieważ nie miała czasu, żeby je czyścić. Często słyszeliśmy jej chrapliwy, nieco męski w brzmieniu głos, gdy przemawiała do nas przez megafon.

Swoje przemowy zwykle rozpoczynała w ten sposób: „Kto sprzedaje słodycze, zawsze pilnuje swego. Niech każdy głosi, co umie. Tylko o rzeczach ważnych powinna być mowa. Dzisiaj omawiać będę sprawę kontroli urodzeń...”.

W tamtych czasach jej prestiż u ludzi nieco się obniżył i nawet te kobiety, które doświadczyły jej wielkiej pomocy, zaczynały źle o niej mówić.

Chociaż ciotka dokładała wszelkich starań, by rozpropagować antykoncepcję, efekty były dość mizerne, bo wieśniacy nie przyjmowali tego do wiadomości. Kiedy do naszej wsi przyjechał teatr z przedstawieniem i główna bohaterka na scenie wykrzyknęła: „Czasy się zmieniły, kobiety są takie same jak mężczyźni!”, ojciec Wanga Wątroby Wang Stopa wrzasnął w jej kierunku:

– Bzdury! Takie same?! Kto mówi, że takie same?!

Tłum pod sceną poparł go, rozległy się okrzyki, na scenę poleciały kawałki cegieł i dachówek, więc aktorzy zaczęli uciekać, zasłaniając głowy. Wang Stopa, który tego dnia wypił już pół litra wódki, z pijackim animuszem gwałtownie rozepchnął tłum, wdrapał się na scenę, rozejrzał i gestykułując gwałtownie, ogłosił:

– Rządzicie już niebem i ziemią, a jeszcze chcecie ludziom mówić, czy mogą mieć dzieci? Jak umiecie, to weźcie sznurek i kobietom otwór zaszyjcie!

Tłum pod sceną wybuchnął śmiechem i wrzawą. Wang Stopę jakby coś opętało, podniósł leżący na scenie kawałek dachówki, przymierzył i z całej siły cisnął w zawieszoną na rozpiętym nad sceną kablu wielką, świecącą mocnym światłem żarówkę. Żarówka brzęknęła i zgasła, a nad sceną i na widowni zapadła ciemność. Wang Stopa posiedział za to pół miesiąca, ale po wyjściu pozostał nieugięty i każdemu, kogo spotkał, oświadczał ze złością:

– Jak mają odwagę, to niech mi kutasa obetną!

W przeszłości, kiedy ciotka przychodziła do nas z wizytą, witaliśmy ją z entuzjazmem, teraz, kiedy od czasu do czasu do nas wpadała, wszyscy woleli jej unikać.

– Niech bratowa powie – usiłowała się dowiedzieć mama – czy tę sprawę z kontrolowaniem narodzin to sama wydumała, czy na górze tak jej kazali?

– Co to znaczy „sama wydumała”?! – rozgniewała się ciotka. – To jest hasło naszej partii, wytyczna przewodniczącego Mao. Przewodniczący Mao powiedział, że przyrost ludności musi być kontrolowany.

Mama potrząsnęła głową.

– Od dawien dawna płodzenie jest wielką zasadą nieba i ziemi. Za wielkiej dynastii Han cesarz wydał dekret, że każda dziewczyna z ludu musi wyjść za mąż, gdy skończy trzynaście lat, a jeśli nie, ojciec i bracia musieli się tłumaczyć. Jak kobiety nie będą rodzić dzieci, skąd kraj weźmie żołnierzy? Codziennie mówią, że Amerykanie chcą na nas napaść, codziennie krzyczą, że trzeba wyzwolić Tajwan, a jak nie pozwolą kobietom rodzić, to skąd wezmą żołnierzy? A jak nie będzie żołnierzy, kto nas obroni przed Amerykanami? Kto wyzwoli Tajwan?

– Bratowo, nie opowiadaj mi tych starych bajek – odparła ciotka. – Przewodniczący Mao jest chyba od ciebie mądrzejszy? Przewodniczący powiedział, że liczbę ludności trzeba ograniczyć! Uważam, że taki nieplanowany, nieregulowany przyrost doprowadzi naród do zniszczenia.

– Przewodniczący Mao powiedział, że wielu ludzi to wielka siła, wielu ludzi może zrobić wiele dobrego, ludzie to żywy skarb, a kto ma ludzi, ten ma świat! – powiedziała matka. – I powiedział jeszcze, że nie można nieba powstrzymać przed deszczem i nie wolno kobietom zakazywać rodzenia dzieci.

Ciotka nie wiedziała, czy śmiać się, czy płakać.

– Bratowo, nie opowiadaj mi tych zmyślonych cytatów. Za takie pseudomądrości można stracić głowę. Nie mówimy, żeby w ogóle nie płodzić dzieci, mówimy tylko, żeby płodzić mniej, żeby płodzić planowo.

– Ile kto będzie miał dzieci w życiu, o tym decyduje los. Co tu jest do planowania? Widzi mi się, że wy chcecie ślepemu lampę zaświecić – próżny wysiłek.

Starania ciotki i jej grupy, zgodnie ze słowami mamy, okazywały się próżnym wysiłkiem, a jeszcze okrywały je złą sławą. Początkowo zaopatrywały przewodniczące organizacji kobiecych na wsiach w darmowe prezerwatywy z zaleceniem, by rozdawały je kobietom w wieku reprodukcyjnym, i pouczeniem, że mężczyźni mają zakładać je w czasie stosunku. Ale prezerwatywy łądowały w chlewach albo nadmuchiwano je, malowano i dawano dzieciom do zabawy jako baloniki. Ciotka i jej grupa zaczęły więc chodzić po domach i wręczać kobietom środki antykoncepcyjne, ale kobiety bały się skutków ubocznych i nie chciały ich zażywać. A nawet jeśli którąś zmuszono do połknięcia pastylki na miejscu, wystarczyło się odwrócić, a ta wsadzała sobie palec głęboko do gardła i wszystko zwracała. Dlatego też zrodził się pomysł wazektomii.

W tym czasie po wsi krążyła plotka, że wazektomia była wspólnym wynalazkiem ciotki i Huang Qiuyi. Niektórzy mówili, że Huang opracowała zabieg teoretycznie, a ciotka zajmowała się praktyką kliniczną.

– To dwie zboczone stare panny – mówił z namaszczeniem Xiao Dolna Warga. – Jak widzą, że ludzie się żenią, robią się zazdrosne i dlatego wymyśliły takie coś, żeby oni dzieci nie mieli.

Dolna Warga mówił nam jeszcze, że ciotka i Huang Qiuya najpierw eksperymentowały na młodych knurach, potem na małpach, a wreszcie na kilkunastu więźniach skazanych na śmierć. Kiedy eksperyment się powiódł, tamtym skazańcom zmieniono karę na dożywocie. Oczywiście szybko dowiedzieliśmy się, że to wszystko kłamstwa.

W tamtych czasach wielokrotnie słyszeliśmy z megafonu nawoływanie ciotki:

– Do władz wszystkich wielkich brygad, powtarzam, do władz wszystkich wielkich brygad! Zgodnie z ustaleniami ósmego posiedzenia grupy planowania urodzeń w komunie każdy mężczyzna posiadający ponad troje dzieci lub którego żona urodziła ponad troje dzieci, ma stawić się w szpitalu, aby poddać się zabiegowi wazektomii. Po zabiegu otrzyma trzydzieści juanów, tydzień zwolnienia i odpowiednią liczbę punktów za pracę.

Słyszący to mężczyźni zebrali się i narzekali:

– Szlag by to trafił, świnie się trzebi, woły, osły i konie się kastruje, ale kto słyszał, żeby ludzi kastrować? Nie chcemy przecież iść do pałacu na eunuchów, po co mają nas kastrować?

Kiedy ktoś z grupy planowania urodzeń usiłował im tłumaczyć, odpowiadali buntowniczo:

– Teraz tak mówicie, a jak nas położycie i uśpicie, to kto was tam wie, może nie tylko jaja, ale i kutasy nam obetniecie! A potem to już nic nam nie zostanie, tylko jak baby kucać do sikania.

Bardzo korzystna dla kobiet, prosta do przeprowadzenia i niepowodująca groźnych powikłań wazektomia napotkała więc na przeszkody. Ciotka i Huang Qiuya czekały przygotowane do operacji, ale nikt się nie pojawił. Z centrali powiatowego biura do spraw kontroli urodzeń codziennie dzwonili z pytaniami o liczbę zabiegów i byli bardzo niezadowoleni z pracy ciotki. W końcu organizacja partyjna w komunie zwołała w tej sprawie specjalne posiedzenie, na którym podjęto następujące decyzje: po pierwsze, zabiegowi najpierw musi poddać się kierownictwo komuny, potem kierownicy niższych szczebli, a wreszcie szeregowi pracownicy. W każdej wsi jako pierwsi mają pójść szefowie wielkich brygad, a potem ich członkowie. Po drugie, wobec wszystkich sprzeciwiających się zabiegowi i rozgłaszających kłamliwe plotki należy zastosować dyktaturę proletariatu. Wszystkim, którzy kwalifikują się do wazektomii, ale odmawiają zabiegu, najpierw należy cofnąć prawo do pracy, a jeśli to nie skutkuje, odebrać przydziały żywnościowe. Jeśli odmawia ktoś na stanowisku kierowniczym – zdymisjonować; jeśli zwykły pracownik – wyrzucić z pracy; jeśli partyjny – usunąć z partii.

Sekretarz partii w komunie osobiście przemówił przez radio. Powiedział, że planowanie urodzeń ma związek z wielką sprawą planowania narodowego, a wszystkie działy i brygady podlegające komunie muszą to potraktować z największą powagą. Kierownicy i członkowie partii kwalifikujący się do wazektomii mają jako pierwsi poddać się zabiegowi, aby dać przykład masom.

Sekretarz Qin Shan w tym miejscu zmienił ton i jakby zwyczajnie rozmawiał o codziennych sprawach, rzekł:

– Towarzysze, na przykład ja. Moja żona z powodu choroby musiała usunąć sobie macicę, ale żeby pokazać wszystkim, że wazektomii nie trzeba się bać, postanowiłem, że jutro rano pójdę do szpitala i sam przejdę operację.

Sekretarz Qin w swoim przemówieniu wezwał Ligę Młodzieży Komunistycznej, Ogólnochińską Federację Kobiet i szkołę każdego szczebla do rozpropagowania tej sprawy i do wielkiej kampanii na rzecz wazektomii. Jak już wiele razy przedtem najlepiej wykształcony w naszej szkole nauczyciel Xue wkrótce ułożył na ten temat wierszyk. Nauczylśmy się go błyskawicznie, a potem w czteroosobowych grupkach wdrapywaliśmy się na jakiś dach albo drzewo i przez megafon ze zwiniętego papieru czy kawałka blachy wywrzaskiwaliśmy: „Towarzysze, nie ma strachu, mały nożyk, ciachu-ciachu. Taka mała operacja i to wcale nie kastracja. Nawet kropla krwi nie spadnie, wszystko pójdzie bardzo ładnie. Parę minut odpoczniecie i do pracy wnet pójdziecie!”.

Ciotka opowiadała, że tamtej niezwyklej wiosny w komunie odbyło się razem sześćset czterdzieści osiem zabiegów, z których ona sama przeprowadziła tylko trzysta dziesięć. Mówiła też, że wystarczyło dobrze sprawę wytłumaczyć, ustalić porządek działania, dać przykład z góry i być konsekwentnym, a ludzie zrozumieli. Przeprowadziła wiele operacji i do większości ludzie stawiali się sami, nakłonieni przez kierownictwo partii albo jednostki pracy. Tylko w dwóch przypadkach trzeba było zastosować siłę wobec upartych i niesfornych: jednym z nich był nasz wiejski woźnica Wang Stopa, drugim magazynier spichlerza komuny Xiao Górna Warga.

Wang Stopa, wykorzystując swoje dobre pochodzenie, zachowywał się arogancko i reakcyjnie. Odkąd wyszedł z pudła, mówił różne nierozsądne rzeczy, jak to, że każdy, kto będzie usiłował zmusić go do wazektomii, zabarwi jego nóż na czerwono. Mój przyjaciel Wang Wątroba, który skrycie podkochiwał się w uczennicy ciotki „Lwiczce”, stanął po jej stronie. Usiłował osobiście nakłonić ojca do zabiegu i w rezultacie zarobił dwa ciosy w szczękę. Wybiegł z domu, a ojciec za nim, z wielkim biczem w ręce. Gonił go aż do nabrzeża, po czym ojciec i syn zaczęli obrzucać się wyzwiskami.

– Ty psi pomiole, ty śmiesz własnego ojca do operacji namawiać! – wrzeszczał Wang Stopa.

– Jeśli ty mówisz, że jestem psi pomiot, to jestem psi pomiot! – odpysknął Wątroba.

Wang Stopa zastanowił się i doszedł do wniosku, że wyzywając syna, wyzywa sam siebie, więc zrezygnował z przekleństw i znów podjął gonitwę. Zrobili tak kilka kółek, jak zaprzęgnięci w kariat. Widownia powiększała się, a ludzie tylko dolewali oliwy do ognia i pokładali się ze śmiechu.

Wątroba zabrał z domu ostry nóż i przekazał go wiejskiemu sekretarzowi partii Yuanowi Twarz, twierdząc, że to narzędzie planowanej przez ojca zbrodni. Powiedział, że ojciec zamierzał tym nożem zarznąć każdego, kto spróbuje zmuszać go do wazektomii. Yuan Twarz z obawy nie chciał tego zlekceważyć, więc oddał nóż do komuny i doniósł o wszystkim sekretarzowi Qin Shanowi i ciotce. Qin Shan z gniewem uderzył w stół.

– Trzeba się wziąć do niego! Działanie na niekorzyść planowania urodzeń to kontrewolucja!

– Jeśli nie poradzimy sobie z Wangiem, nigdy nie opanujemy sytuacji – rzekła ciotka.

Yuan Twarz dodał, że we wsi wszyscy nadający się do wazektomii mężczyźni patrzą, co robi Stopa.

– Musimy z tego zrobić odstraszący przykład – oświadczył sekretarz Qin.

Funkcjonariusz bezpieczeństwa we wsi stary Ning z rewolwerem przy pasie kierował akcją, a sekretarz Yuan Twarz, prowadząc za sobą przewodniczącą organizacji kobiecej, komendanta milicji ludowej i czterech milicjantów, wkroczył na podwórko Wanga Stopy.

Jego żona z dzieckiem przy piersi siedziała pod drzewem i splatała powrósła ze słomy. Na widok tego oddziału rzuciła robotę, siadła na ziemi i wybuchnęła płaczem.

Wątroba stanął w drzwiach, nie odzywając się ani słowem. Nerka siedziała na progu i w małym lusterku przyglądała się swojej ślicznej twarzyczce.

– Wangu Stopo! – krzyknął Yuan Twarz. – Wychodź. Kto nie pije zapraszany, wypije karniaka, jak nie wyjdiesz po dobroci, to cię zmusimy. Jest tu szef bezpieczeństwa Ning, jak uciekniesz dzisiaj, złapiemy cię jutro. Zamiast udawać bohatera, czasem lepiej się ugiąć.

Przewodnicząca zwróciła się do żony Stopy.

– Fang Lianhua, nie płacz. Powiedz mężowi, żeby wyszedł.

W domu nikt się nie ruszył. Yuan dał znak Ningowi, ten machnął ręką i czterej milicjanci ze sznurami wpadli do domu. W tym momencie stojący pod ścianą Wątroba spojrzął na Ninga i wskazał w kierunku chlewa za murkiem.

Chociaż Ning miał jedną nogę krótszą, poruszał się bardzo szybko. Kilkoma krokami, zamasyście podszedł do chlewa, wyciągnął rewolwer i krzyknął groźnie:

– Wangu Stopo, wychodź!

Stopa, z pajęczyną na głowie, wyłonił się z chlewa i czterej milicjanci natychmiast go otoczyli. Stopa otarł pot z twarzy i rzekł ze złością:

– Kulasie Ning, czego się drzesz? Myślisz, że mnie przestraszysz tym kawałkiem żelaza?

– Wcale nie chcę cię straszyć – odparł Ning. – Jak grzecznie pójdziesz z nami, nic ci się nie stanie.

– A jak pójde niegrzecznie, to co? Odważysz się strzelić?
– I pokazując na swój rozporek, Stopa oświadczył: – Jak mnie macie ruszać tutaj, to już wolę, żebyś mnie z rewolweru zastrzelił, niż żeby te stare baby miały mnie nożem kastrować.

– Wangu Stopo, nie pleć bzdur – rzekła przewodnicząca.
– Wazektomia polega na podwiązaniu nasieniowodów...

– Lepiej sobie tę dziurę zaszyj! – wulgarnie krzyknął Stopa, wskazując na jej krocze.

Ning potrząsnął rewolwerem i rozkazał:

– Związać go!

– Który się odważy? – Stopa odwrócił się, podniósł żelazną łopatę i trzymając ją poziomo przed sobą, błysnął gniewnie oczami i rzekł: – Jak który podejdzie, to mu odrąbię łeb!

W tym momencie jego miniaturowa córeczka Nerka podniosła się ze swoim lusterkiem w rękach. Miała już piętnaście lat, ale tylko siedemdziesiąt centymetrów wzrostu. Była maleńka, ale bardzo proporcjonalna, jak jakaś ślicznotka z kraju liliputów. Obróciła lusterko w ten sposób, że ostry promień światła trafił prosto w twarz Stopy. Roześmiała się cieniutkim, niewinnym śmiechem.

Milicjanci, korzystając z tego, że oślepiony Wang nic nie widział, wyrwali mu łopatę i wykręcili ręce do tyłu. Kiedy usiłowali go związać, nagle wybuchnął płaczem. Jego płacz był tak rozpaczliwy, że wyglądający nad murem i słócenieni przy jego furtce gapie też poczuli smutek. Milicjanci stali ze sznurami w rękach, nie wiedząc, co robić.

– Stopa, to taki z ciebie mężczyzna? – powiedział Yuan Twarz. – Żeby tak się przestraszyć małej operacji! Ja poszedłem jako pierwszy i nic się nie stało. Jak nie wierzysz, to niech twoja stara zapyta się mojej!

– Chłopy, nic już nie mówcie – załkał Wang Stopa. – Idę z wami i to wystarczy.

Ciotka opowiadała, że ten łajdak Xiao Górna Warga okazał się najgorszym przykładem w całej komunie. Powoływał się na to, że był noszowym w podziemnym szpitalu 8. Armii, jakby to była nie wiadomo jaka zasługa, i twardo się opierał. Ale kiedy partyjne władze komuny w końcu zdecydowały się zdjąć go z funkcji i posłać do pracy na roli, przyjechał do szpitala na swoim starym rowerze.

– Zażyczył sobie, żebym osobiście przeprowadziła operację – opowiadała ciotka. – To był stary rozpustnik, lubieżnik z gębą pełną brudów. Zanim położył się na stole, spytał „Lwiczki”: „Panienko, ja jednego nie rozumiem, powiadają, że dobre nasienie samo wypływa, a jak mi podwiążecie nasieniowody, to co się stanie z nasieniem? Czy nie rozsadzi mi brzucha?”. „Lwiczka” zaczerwieniła się i popatrzyła na mnie, a ja rzekłam tylko: „Trzeba go ogolić”. Kiedy go goliłyśmy, nagle dostał erekcji. „Lwiczka” na ten widok rzuciła brzytwę i uciekła. „Masz brudne myśli” – powiedziałam mu na to. A on: „Wcale nie, jak on sam chce stanąć, to co ja poradzę?”. No dobrze – mówiła dalej ciotka – więc wzięłam neurologiczny młotek z gumową główką, wycelowałam, stuknęłam byle jak i od razu oklapł. Przysięgåłam niebu, że operacje Wanga Stopy i Xiao Górnej Wargi przeprowadzę najlepiej, jak potrafię. Ale po operacji Stopa stale chodził zgięty wpół i opowiadał, że naruszyłam mu nerwy, a Górna Wargę ciągle przychodził z awanturami do szpitala i wiele razy skarżył się do władz powiatu, że zniszczyłam jego zdolności seksualne. Ach, te dwa dranie... U Stopy to mogło brać się z przyczyn psychicznych, ale Górna Wargę po prostu kłamał. Na początku rewolucji kulturalnej, kiedy był w Czerwonej Gwardii, zniewolił wiele dziewcząt. Gdyby nie wazektomia, może by się zawahał, ale po operacji już nic go nie powstrzymywało.

ROZDZIAŁ 15

Na sesję krytyki sekretarza powiatowego komitetu partii Yang Lina zapowiadano przyjście tylu osób, że trudno było znaleźć dla nich miejsce. Dlatego pełniący czasowo funkcję przewodniczącego komitetu rewolucyjnego Xiao Górna Warga wpadł na oryginalny pomysł przeprowadzenia sesji na zamrożonej tafli przeciwpowodziowego zalewu znajdującego się na północnym brzegu rzeki Jiao. Dowiedziałem się o tym jako pierwszy w całej wsi, ponieważ często uciekałem tam ze szkoły na wagary. Akurat tego dnia pod wrotami śluzy wyrąbałem w lodzie przerębę, żeby nałowić ryb, gdy usłyszałem nad głową głośną rozmowę. Jednym z rozmówców był Górna Warga, a jego głos rozpoznałbym w największym tłumie. Usłyszałem, jak mówi:

– Cholera, piękny północny pejzaż! Sesję krytyki urządzimy tutaj, a podium ustawimy na bramie śluzy.

Początkowo było tam obniżenie terenu, ale potem, żeby zapewnić bezpieczeństwo w dolnym biegu rzeki, przy tamie na rzece Jiao stworzono zalew przeciwpowodziowy. W czasie letniej powodzi otworzono śluzę i niecka zmieniła się w jezioro. Ludzie z Dongbeixiangy wcale nie byli z tego powodu zadowoleni. Na ziemi w niecce niewiele dało się uprawiać, ale zawsze to była ziemia i sorgo się tam utrzymywało. Lecz gdy rząd czegoś chce, lud nie ma nic do gadania. Często przychodziłem tu na wagary i patrzyłem, jak kotłujące wody powodzi wylewają się z dwunastu otworów spustowych. Gdy powódź minęła, niecka zalana wodą stała się jeziorem o obwodzie kilku kilometrów. Rozmnożyły się w nim ryby i krewetki, wielu ludzi je łowiło i coraz więcej nimi handlowało. Na początku ustawiali stragany na bramie śluzy, a ponieważ to było zakazane, coraz częściej przenosili się na wschodni brzeg zalewu, pod rosnące tam wierzby. Czasami stragany ciągnęły się na kilometr. Oficjalny targ najpierw znajdował się w wyznaczonym przez komunę miejscu, ale po pojawieniu się spontanicznego targu rybnego cały handel powoli przeniósł się tutaj. Przyszli sprzedawcy warzyw, a za nimi sprzedawcy jajek i orzeszków. W ślad za nimi przenieśli się tu złodzieje i żebracy. Komuna kilka razy wysyłała milicję, żeby usunąć sprzedawców. Kiedy milicjanci się zjawiali, wszyscy uciekali, ale po ich odejściu ostrożnie wracali. I tak to, pół legalnie, pół nielegalnie, pozostało.

Bardzo lubiłem przyglądać się rybom. Lubiłem patrzeć na karpie, klenie, karasie, sumy, żmijogłowy, chętnie zerkałem też na kraby, piskorze i małże. Na tym targu zobaczyłem też największą rybę, jaką kiedykolwiek w życiu widziałem. Ważyła ponad czterdzieści pięć kilogramów i miała białutki brzuch. Przypominała kobietę w ciąży. Stary sprzedawca stał nad nią skulony, jakby strzegł bóstwa. Dobrze znałem tych rozglądających się na wszystkie strony, strzygących uważnie uszami sprzedawców. Dlaczego tak się rozglądali i nasłuchiwali? Ponieważ poborcy podatków z komuny często konfiskowali im ryby. Ponadto różni pracownicy komuny podawali się za poborców i wyciągali od nich towar. I ta wielka ponad stufuntowa ryba omal nie trafiła do dwóch typów w niebieskich mundurach, z papierosami w ustach i z czarnymi teczkami, którzy chcieli ją skonfiskować. Gdyby nie to, że córka sprzedawcy przybiegła z płaczem i lamentem, i gdyby nie to, że Qin He ujawnił ich prawdziwą tożsamość, zabraliby rybę i poszli.

Qin He był żebrakiem. Włosy miał rozdzielone przedziałkiem, chodził w niebieskim gabardynowym mundurku szkolnym, w kieszonce trzymał wieczne pióro marki Doktor oraz dwukolorowy długopis marki Nowe Chiny i wyglądał jak student z czasów Ruchu 4 Maja. Twarz miał bladą, smutną, a oczy wilgotne, jakby za chwilę miał się rozplakać. Potrafił pięknie mówić, zawsze w języku ogólnonarodowym, a jego zdania przypominały teatralne kwestie – przyczynił się do tego, że później zająłem się dramatopisarstwem. Zawsze miał ze sobą biały emaliowany garnek, na którym wymalowane było pięć czerwonych gwiazd i napis „Nagroda”. Stawał przed sprzedawcą ryb lub krewetek i wzruszonym głosem mówił tak:

– Towarzyszu, stoi przed wami człowiek, który stracił zdolność do pracy. Być może pomyślicie sobie: „taki młody i nie ma zdolności do pracy?”. Towarzyszu, widzicie tylko moją zewnętrzną powłokę, a ja w istocie mam ciężką chorobę serca. Moje serce zostało pchnięte nożem i przy najmniejszym wysiłku blizny otworzą się, krew tryśnie z siedmiu otworów mego ciała i umrę. Towarzyszu, ofiarujcie mi jedną rybę. Nie śmiałybym spodziewać się dużej, proszę tylko o jedną małą rybkę, o jedną jedyną, najmniejszą z małych rybek.

Zawsze udało mu się wyżebrać jakąś rybę albo krewetkę. Otrzymałszy, co chciał, szedł na brzeg i sprawiał zdobycz nożykiem. Wyszukiwał jakieś osłonięte przed wiatrem miejsce, zbierał chrust, na dwóch ceglach ustawiał swój garnek, rozpalał ogień i gotował posiłek. Często stałem za nim, przyglądając się, jak gotuje sobie ryby, a gdy z garnka zaczynał rozchodzić się cudowny zapach, do ust napływała mi ślinka i zazdrościłem mu takiego życia...

Qin He był rodzonym bratem sekretarza partii w komunie Qin Shana. Kiedyś chodził do szkoły średniej w powiecie i był bardzo zdolny. Jeśli młodszy brat sekretarza partii żebrał na targu, musiało to mieć jakieś skomplikowane przyczyny. Niektórzy powiadali, że szaleńczo kochał się w mojej ciotce i głęboki zawód miłosny pchnął go do samobójstwa – usiłował zastrzelić się z pistoletu brata, a po nieudanej próbie zaczął wieść takie życie. Na początku ludzie wyśmiewali się z niego, ale od momentu, gdy pomógł staremu sprzedawcy zatrzymać wielką rybę, zaczęli patrzeć na niego inaczej. Coś mnie do niego ciągnęło i bardzo chciałem go poznać, a widok jego wilgotnych oczu zawsze budził we mnie współczucie. Pewnego wieczoru, gdy sprzedawcy z rybnego targu już się rozeszli, zobaczyłem, jak samotnie idzie ku zachodzącemu słońcu, ciągnąc za sobą długi, długi cień. Po kryjomu poszedłem za nim. Chciałem poznać tajemnicę tego człowieka. Kiedy zorientował się, że go śledzę, stanął, uklonił mi się nisko i powiedział:

– Drogi przyjacielu, proszę, nie rób tego.

Naśladując jego sposób mówienia, odparłem:

– Drogi przyjacielu, ja niczego nie robię.

Wtedy on z głębokim smutkiem rzekł:

– Chodzi mi o to, żebyś łaskawie nie szedł za mną.

– Ty idziesz drogą i ja idę drogą, wcale nie idę za tobą.

Potrząsnął głową i szepnął:

– Przyjacielu, miej litość dla nieszczęśliwego człowieka.

– I pobiegł przed siebie.

Miał długi krok, daleko wyciągał nogi i wydawało się, że unosi go wiatr, a jego chwiejna sylwetka zdawała się wycięta z papieru. Dogoniłem go bez specjalnego wysiłku. Zatrzymał się zasapany, a jego twarz była blada jak kreda. Z oczami pełnymi łez poprosił:

– Przyjacielu, proszę cię, zostaw mnie... Ja jestem śmieciem i człowiekiem zranionym...

Wzruszony zatrzymałem się i przestałem za nim iść. Widziałem tył jego sylwetki i usłyszałem, jak z gardła wydobywa mu się cichy szloch. Nie miałem wobec niego żadnych złych zamiarów, chciałem tylko dowiedzieć się czegoś o jego życiu, na przykład gdzie sypiał nocami.

Miałem wtedy bardzo długie i chude nogi i ogromne stopy. Jako kilkunastoletni chłopak potrzebowałem wielkich butów w rozmiarze czterdzieści, co było wielkim zmartwieniem dla mojej matki. Nasz nauczyciel wuefu Chen był kiedyś członkiem drużyny lekkoatletycznej na poziomie prowincji, prawdziwym sportsmenem i prawicowcem. Obmacał mi stopy, jak kupiec sprawdzający końskie czy ośle kopyta, i stwierdził, że jestem materiałem na biegacza. Zaczął mnie trenować, nauczył właściwie podnosić nogi, nauczył mnie właściwego kroku i prawidłowego oddychania oraz dysponowania swoimi siłami. W czasie powiatowych zawodów szkół podstawowych zdobyłem trzecie miejsce w biegu na trzy tysiące metrów w mojej kategorii wiekowej. Dlatego też moje biegi na targ rybny w czasie wagarów były traktowane jako poniekąd oficjalne.

Po tamtej pogoni Qin He i ja zaprzyjaźniliśmy się. Na mój widok zawsze schylał głowę w powitaniu. Był ode mnie starszy o kilkanaście lat, więc było w tym coś z przyjaźni między generacjami. Poza nim na targ przychodziło jeszcze dwóch żebraków: jeden nazywał się Gao Men, miał szerokie plecy, wielkie dłonie i wydawał się bardzo silny, drugi nazywał się Lu Kwiatek, cierpiał na chorobowe zażółcenie skóry i nie wiadomo dlaczego nosił kobiece imię. Któregoś dnia obydwaj, jeden z wierzbową pałką, drugi z podartym butem w ręku, rzucili się na Qin He i zaczęli go okładać. Qin He nie bronił się, powtarzał tylko:

– Bracia, jeśli mnie zabijecie, będę wam wdzięczny. Ale nie wolno wam jeść żab... Żaby są przyjaciółmi człowieka, nie wolno ich jeść... Żaby mają w sobie pasożyty, jeśli ktoś je zje, zidiocieję...

Zobaczyłem, że pod wierzbami pali się ognisko. Znad ogniska unosił się skłębiony dym, na ogniu znajdowały się niedopieczone żaby, a obok wały się żabie skóry i kości, cuchnące tak, że zbierało się na wymioty. Zrozumiałem wtedy, że bili Qin He, bo usiłował powstrzymać ich przed jedzeniem żab. Patrząc na tę scenę, poczułem w oczach łzy. W czasach głodu wielu ludzi zjadało żaby, ale w mojej rodzinie budziło to obrzydzenie. Wydaje mi się, że moi krewni raczej zmarliby z głodu, niż zjedli żabę, w tej kwestii byłem więc sojusznikiem Qin He. Wyciągnąłem z ogniska płonące polano, walnąłem nim w tyłek Gao Mena i przyłożyłem w szyję Kwiatkowi. Zacząłem uciekać brzegiem rzeki, a oni rzucili się za mną w pościg. Utrzymując stały dystans między nami, drażniłem się z nimi, a kiedy przestawali mnie gonić, obrzucałem ich wyzwiskami albo rzucałem w nich kawałkami dachówek.

Tamtego dnia mieszkańcy osiemnastu wsi podlegających komunie, jeden za drugim, z czerwonymi flagami, bębniami i gongami, łądem i rzeką przybyli nad zalew, pędząc swoich lokalnych złoczyńców. Zebrali się tu na wielkiej sesji krytyki skierowanej przeciwko głównemu powiatowemu wyznawcy linii burżuazyjnej Yang Linowi, a inni złoczyńcy z komuny i podległych jej jednostek mieli być poddani krytyce przy okazji. My przyszliśmy przez rzekę, ślizgając się po lodzie, a niektórzy nawet zaopatrzyli się w domowej roboty łyżwy z desek. Mój dobroczyńca, profesor Chen, w wielkiej papierowej czapie na głowie, w słomianych łapciach na bosych nogach, szedł uśmiechnięty za podobnie przystrojonym, ale głęboko ponurym dyrektorem szkoły. Xiao Dolna Warga poganiał ich z tyłu piką.

Kiedy Xiao Górna Warga został przewodniczącym komitetu rewolucyjnego w komunie, jego syna Dolną Wargę mianowano dowódcą oddziału Czerwonej Gwardii w naszej szkole. Na nogach miał białe sportowe buty marki Huiliqiu, które zabrał profesorowi Chenowi. Dwustrzałowy pistolet startowy, obiekt moich westchnień, właściwie był własnością publiczną, ale w tamtych czasach znajdował się tylko przy pasie Dolnej Wargi. Często go wyciągał, ładował i strzelał w powietrze. Pach-pach! – rozlegały się wystrzały, którym towarzyszył biały dym i roznoszący się w powietrzu przyjemny zapach saletry i siarki.

Na początku rewolucji kulturalnej ja też zamierzałem wstąpić do Czerwonej Gwardii, ale Dolna Warga mnie nie chciał. Powiedział, że jestem ulubieńcem prawicowca Chena i że mój najstarszy dziadek był zdrajcą i fałszywym bohaterem, a ciotka burżuazyjną narzeczoną kuomintangowskiego szpiega i zdrajcy. Żeby się na nim zemścić, wziąłem kawałek psiego gówna i zawinąłem w liście. Przechodząc koło niego, mruknąłem: „Górna Warga, a co ty masz taki czarny język?”. Górna Warga dał się nabrać i natychmiast szeroko otworzył gębę, a wtedy ja wepchnąłem mu gówno do ust i uciekłem. Nie dogonił mnie, w całej szkole nie mógł mnie dogonić nikt poza profesorem Chenem. Kiedy zobaczyłem go teraz w butach Chena, z piką w rękę i pistoletem przy pasie, promieniejącego podłą radością i zgrywającego bohatera, ogarnęła mnie nienawiść i postanowiłem mu pokazać. Wiedziałem, że najbardziej ze wszystkiego bał się węży, ale o tej porze roku nie można było żadnego znaleźć. Pod jedną z morw rosnących na brzegu zobaczyłem poszarpany stary sznurek, podniosłem go, potarłem w rękach, a potem schowałem za siebie. Podkradłem się do Dolnej Wargi, zarzuciłem mu sznurek na szyję i wrzasnąłem:

– Wąż, jadowity wąż!

Dolna Warga kwiknął, rzucił swoją pikę i szybko strącił sznurek z szyi. Zorientował się w sytuacji, oprzytomniał, podniósł pikę i warknął przez zaciśnięte zęby:

– Biegaczu Wan, ty kontrewolucjonisto! Zabiję cię! – I rzucił się na mnie z piką.

Zacząłem uciekać. On za mną.

Biegąc po lodzie, nie mogłem pokazać pełni swoich możliwości: Czułem, że zbliża się do mnie i zacząłem się bać, że dźgnie mnie swoją piką. Wiedziałem, że cholernik naostrzył ją na szlifierce i wiedziałem też, że jest podły i mściwy, a teraz gdy miał w ręku ostre narzędzie, stał się naprawdę groźny. Często bez powodu kłuł drzewa albo słomiane kukły, a niedawno zakłuł knura spółkującego ze świnią. Biegąc, co chwila oglądałem się za siebie, a widząc jego sterczące włosy i wytrzeszczone oczy, wiedziałem, że jeśli mnie dogoni, przyjdzie mi rozstać się z młodym życiem.

Biegłem więc, omijając ludzi lub przepychając się między nimi. Poślizgnąłem się, upadłem i zanim pozbierałem się na nogi, Dolna Warga niemal mnie trafił. Ostrze piki uderzyło w lód i odłamki pofrunęły do góry. On też się poślizgnął. Podniosłem się i pobiegłem dalej, on za mną. Wpadałem na różnych ludzi, na mężczyzn, na kobiety. Ty niezdarco, uważaj! Aaaa! Ratunku! Mordują! Wpadłem w grupę ludzi bijących w bębny, roztrąceni przeze mnie zmylili trochę rytm. Kilku ubranych w wysokie czapki złoczyńców zgubiło na lodzie swoje słomiane łapcie. Ominąłem Chena Czoło, ojca Nosa, i jego matkę Ai Lian, ominąłem ojca Policzka Yuana Twarz (on też wykazał odchylenie burżuazyjne), minąłem Wangę Stopę. Zobaczyłem twarz mojej matki i usłyszałem jej przestraszone okrzyki. Zobaczyłem mojego przyjaciela Wątrobę i usłyszałem za sobą jakiś zduszony dźwięk. Potem dowiedziałem się, że Wątroba jakby nigdy nic wystawił nogę, Dolna Warga zahaczył o nią i poleciał do przodu, twarzą prosto na lód. Rozbił sobie usta i miał szczęście, że nie stracił siekaczy. Dolna Warga pozbierał się i chciał zabrać się do Wątroby, ale słowa Stopy osadziły go na miejscu:

– Dolna Warga, ty kundlu, jak chociaż palcem tkniesz Wątrobę, oczy ci wydłubię! – krzyknął Stopa. – My od trzech pokoleń jesteśmy bezrolni, inni się ciebie boją, ale ja się nie boję!

Ludzi było mnóstwo. Na bramie śluzy ustawiono imponującą konstrukcję z desek i mat. W tamtych latach w komunie specjalnie przyuczono ludzi do budowy podiów i tablic ogłoszeniowych, byli więc w tym biegli. Na podium zatknięto kilkadziesiąt czerwonych sztandarów, zawieszono czerwone transparenty z białymi napisami, a na dwóch słupach na obu krańcach sceny wisiały cztery olbrzymie megafony. Kiedy dotarliśmy na miejsce, z megafonów rozlegała się *Pieśń cytatów*. „Idee marksizmu dotyczą wielu zjawisk, ale sprowadzają się do jednego – bunt jest słuszny... bunt jest słuszny...”.

Wokół panowała wrzawa, wielka wrzawa. Przepychałem się przez tłum ze wszystkich sił, starając się dotrzeć jak najbliżej podium. Roztrąceni przeze mnie ludzie bez ceregieli odpowiadali mi kopniakami, uderzeniami pięści albo szturchnięciami ramion i łokci. Mimo największych starań mokry i posiniaczony nie tylko nie dopchałem się do podium, ale w ogóle wypchnięto mnie na zewnątrz. Usłyszałem trzask lodu i ogarnęły mnie złe przeczucia. W tym momencie przez megafon rozległ się głos mężczyzny, podobny do piania koguta:

– Wielka sesja krytyki zaraz się rozpocznie. Małorolni i średniorolni, proszę o spokój. Pierwszy rząd niech usiądzie... niech usiądzie...

Wślizgnąłem się na zachodnią krawędź śluzy, na której znajdowały się trzy składy z przygotowanymi do użytku zasuwami. Stawiając stopy na wystęпах między ceglami, przytrzymałem się rękami okapu i jednym rzutem ciała znalazłem się na górze. Czołgając się po dachówkach, dotarłem do szczytu dachu i wyrzesałem. Zobaczyłem tysiące ludzi, niezliczone sztandary, a dalej oślepiającą lodową przestrzeń. Po zachodniej stronie sceny siedziało w kucki kilkanaście osób z pochylonymi głowami. Wiedziałem, że to „węże, bestie i demony” z naszej komuny czekające, aż wprowadzą je na podium i poddadzą krytyce. Xiao Górna Warga wykrzykiwał coś do mikrofonu. Ten niegdyś pozbawiony wszelkich perspektyw magazynier w najśmielszych snach nie spodziewał się, że czeka go taka kariera. Na początku rewolucji kulturalnej stanął na czele buntu, stworzył szturmowy oddział buntowniczy i sam ogłosił się jego dowódcą.

Miał na sobie sprany do szarości, pokryty kolorowymi łatami stary mundur wojskowy, a na ramieniu nosił czerwoną opaskę. Otoczona rzednącymi włosami łysina na czubku jego głowy połyskiwała w słońcu. Przemawiał, naśladując podejrzanę na filmach wielkie osobistości, długo przeciągając głoski; jedną rękę oparł na biodrze, drugą gestykulował w powietrzu, przyjmował różne pozy. Jego głos, wzmocniony przez mikrofony, brzmiał ogłuszająco, a pomruk tłumu był jak szum fal uderzających o głązy. Ktoś musiał robić kłopoty, bo gdy w jednym miejscu był spokój, w innym natychmiast podnosił się tumult. Trochę martwiłem się o matkę i starszych ludzi z naszej wsi. Usiłowałem ich wypatrzeć, ale światło odbite od lodu oślepiło mnie, aż migało mi w oczach. Mroźny wiatr wiejący z tyłu przeniknął przez moją dziurawą kurtkę i zrobiło mi się zimno.

Xiao Górna Warga dał znak ręką, a wtedy kilkunastu silnych mężczyzn z długimi kijami w rękach i z opaskami „porządkowy” na rękawach zeskoczyło ze sceny między szemrzący, niespokojny tłum. Zaczęli wymachiwać kijami, żeby zaprowadzić porządek. Na końcach kijów zawiązane były skrawki czerwonego materiału, przez co wyglądały jak wielkie pochodnie. Jakiś młody człowiek, trafiony w czubek głowy, rozzłościł się, chwycił za kij i zaczął kłócić się z porządkowym, za co dostał pięścią w pierś. Porządkowi nie patyczkowali się, bez litości bijąc kijami, gdzie popadło, a ludzie kulili się i starali uniknąć ciosów. Przez megafon rozległ się ochrypły krzyk Górnej Wargi:

– Siadać! Wszyscy siadać! Zabrać wszystkich wicherzycieli!

Porządkowi za włosy wywlekli z tłumy tamtego młodego człowieka... Ludzie uspokoili się wreszcie, niektórzy kucnęli, inni usiedli, nikt już nie odważył się stać. Porządkowi ze swoimi kijami rozstawili się między ludźmi i wyglądali jak strachy na wróble na ryżowym polu.

– Wprowadzić węże i demony! – rozkazał Górna Warga.

Ustawieni dwójkami w równych szeregach porządkowi chwycili każdego z „demonów”, podnieśli i postawili na podium.

Zobaczyłem ciotkę.

Trzymała się hardo. Porządkowi przygięli jej głowę do dołu, ale gdy tylko puścili, natychmiast się wyprostowała. Ta zuchwałość spotkała się z jeszcze większą brutalnością. W końcu zmuszono ją do klęknienia, a porządkowy postawił stopę na jej plecach. Jakiś człowiek wskoczył na scenę i zaczął wykrzykiwać hasła, ale nie zyskał odzewu, więc zniechęcony zeskoczył z powrotem. W tym momencie ktoś w tłumie rozplakał się rozdzierająco. To był płacz mojej matki.

– Nieszczęśliwa siostrzyczko... Ach wy, bestie nieludzkie, bez serca...

Na rozkaz Górnej Wargi wszystkie „węże i demony” sprowadzono ze sceny, na której została wyłącznie ciotka. Porządkowy nadal przyciskał stopą jej plecy, przyjąwszy dumną i bohaterską pozę – w owych czasach popularne było hasło o obaleniu wrogów klasowych i postawieniu stopy na ich plecach. Ciotka nie ruszała się i przestraszyłem się, że nie żyje. Płacz mojej matki też ucichł i bałem się, że może ona też umarła.

Spędzone ze sceny „węże i demony” zgromadzono pod wielką topolą, pilnowało ich kilku uzbrojonych w karabiny porządkowych. Usiedli na gołej ziemi z opuszczonymi głowami, nieruchomi jak gliniane figury. Huang Qiuya siedziała oparta plecami o ścianę, z głową odchyloną do tyłu. Ogolono jej pół głowy i wyglądała odrażająco i strasznie. Słyszałem, że na początku kampanii ciotka była jedną z założycieli „oddziału bojowego Normana Bethune’a” w szpitalu. Ogarnięta fanatyzmem nie miała żadnych względów dla dawnego ordynatora, który ją kiedyś chronił, a wobec Huang Qiuyi była szczególnie okrutna. Rozumiem, że ciotka chciała się w ten sposób ocalić, jak człowiek, który samotnie idąc nocą, głośno śpiewa, żeby zagłuszyć swój strach. Ordynator był dumnym człowiekiem, nie mogąc znieść hańby, wskoczył do studni i się utopił. Natomiast Huang Qiuya, zachęcona lub zastraszona przez wrogie ciotce stronnictwo, dostarczyła im dowodów na jej potajemne związki ze zdrajcą Wang Xiaotim. Mówiła, że często nocami słyszała, jak Wan Serce woła przez sen jego imię. Opowiadała też, że którejś nocy, kiedy miała dyżur w szpitalu, wróciła po coś do hotelu i zobaczyła, że ciotki nie ma. Była zaskoczona, bo dokąd może pójść w środku nocy samotna kobieta? Wciąż się dziwiła i nagle zobaczyła, że z brzegu rzeki Jiao, tam gdzie rosną wierzby, wystrzelono trzy czerwone race sygnalizacyjne, a potem usłyszała dźwięk silnika samolotowego. Chwilę później ktoś po cichu zakradł

się do hotelu, a sądząc po sylwetce, to była Wan Serce. Natychmiast poinformowała o tym ordynatora, ale ten burżuazyjny sługus pochodził z tej samej sitwy co ciotka, więc wyciszył sprawę. Wan Serce na pewno była szpiegiem Kuomintangu. Już samo to w zupełności wystarczyło, żeby ciotkę wykończyć, ale Huang Qiuya ujawniła jeszcze jedno. Powiedziała, że ciotka wielokrotnie spędzała noce z burżuazyjnym sługusem Yang Linem, a co więcej, była z nim w ciąży. Ona sama przeprowadziła skrobankę.

Lud ma w sobie olbrzymie zdolności twórcze i równie wielką wyobraźnię, jeśli chodzi o zło. Te dwie zbrodnie ujawnione przez Huang zaspokoily emocjonalne potrzeby ludzi, a fakt, że ciotka uparcie nie chciała się przyznać i stawiała opór, wielu sesjom krytyki dodawał barwy i smaku. Stały się one prawdziwym świętem zła w naszym Dongbeixiang.

Patrzyłem z góry na Huang Qiuyę, na jej dziwacznie ogoloną czaszkę i czułem nienawiść, ale też współczucie oraz zagubienie, smutek i strach. Oderwałem dachówkę i wycelowałem w jej głowę. Wystarczyło, żebym otworzył palce, a spadłaby prosto na nią. Długo się wahałem, ale w końcu tego nie zrobiłem. Kiedy po latach powiedziałem o tym ciotce, rzekła:

– Na całe szczęście. Gdybyś to zrobił, moja wina byłaby jeszcze większa.

Na starość ciotka bardzo się obwiniała. Nie tylko czuła się winna, ale uważała, że jej wina jest straszna, nie do odkupienia. Byłem zdania, że przesadza, że nie wiadomo, czy w tamtych czasach ktokolwiek zachowałby się inaczej.

– Ty nie rozumiesz – rzekła ciotka z bólem.

Kiedy na scenie postawiono Yang Lina, porządkowy zdjął stopę z pleców ciotki. Ustawiono ich obok siebie, pochylonych, z rękami wyciągniętymi do tyłu, jak skrzydła myśliwca J-5, którym latał Wang Xiaoti. Patrzyłem na łysą, świecąca głowę Yang Lina. Pół roku temu ten człowiek był nietykalny jak bóg, a ja miałem nadzieję, że ożeni się z ciotką, mimo że był od niej dwadzieścia lat starszy, mimo że ciotka miałaby tylko zająć miejsce jego zmarłej żony. Ale on był sekretarzem powiatowego komitetu partii, wysokim funkcjonariuszem, który miesięcznie pobierał ponad sto tianów pensji i przyjeżdżał na wieś jasnozielonym dżipem, był wielką personą, której zawsze towarzyszył asystent i ochrona! Wiele lat później ciotka powiedziała mi:

– W rzeczywistości spotkałam się z nim tylko raz. Nie podobał mi się jego wielki brzuch, wyglądał, jakby był w ósmym miesiącu ciąży, a do tego wstrętnie cuchnęło mu z ust czosnkiem. Tak naprawdę to był zwykły prostak. A mimo to chciałam za niego wyjść. Przez wzgląd na was, na rodzinę chciałam za niego wyjść.

Ciotka mówiła też, że następnego dnia po jej wizycie w powiecie i spotkaniu z Yang Linem sekretarz partii z komuny Qin Shan przybył na inspekcję do szpitala. W towarzystwie ordynatora zjawił się na oddziale położniczym uśmiechnięty, grzeczny, przymilny, całkiem jak służący.

– Przedtem Qin Shan był taki pewny siebie, zarozumiały – mówiła dalej ciotka. – I w jednej chwili stał się taki unizony. To mi dało do myślenia. I także przez wzgląd na tych lizusów chciałam za niego wyjść. Gdyby nie rewolucja kulturalna...

Na scenie pojawiła się niska i krępa czerwonogwardzistka z dwoma podartymi butami w rękach. (Podarty but oznacza ladacznicę). Jeden zawiesiła na szyi ciotki, drugi na szyi Yang Lina. Ciotka opowiadała, że mogła wytrzymać, gdy nazywano ją kontrrewolucjonistką albo szpiegiem, ale nie zdołała znieść oskarżenia o złe prowadzenie się. To było oszczerstwo, potwarz! Natychmiast zerwała z siebie but i odrzuciła najdalej, jak mogła. But, jakby wiedział, co robi, upadł akurat przed Huang Qiuyi.

Czerwonogwardzistka podskoczyła i chwyciła ciotkę za włosy, z całej siły ciągnąc jej głowę w dół. Ciotka usiłowała trzymać głowę w górze, siłując się z dziewczyną. Ciociu, opuść głowę, bo ona wyrwie ci włosy albo wręcz cię oskalpuje! Dziewczyna, która ważyła przynajmniej pięćdziesiąt kilogramów, zawisła w powietrzu, obiema rękami wczepiona we włosy ciotki. Ciotka gwałtownie podrzuciła głowę, jak dziki koń grzywą, i dziewczyna, ściskając w rękach dwa pasma jej włosów, upadła na scenę. Z głowy ciotki popłynęła krew – do dzisiaj zostały jej dwie blizny wielkości monet – spłynęła na czoło, a potem na ucho. Stała sztywno wyprostowana. Pod sceną panowała kompletna cisza, tylko jakiś osioł, zaprzęgnięty do wozu, wyciągnął szyję i głośno zaryczał. Nie słyszałem płaczu matki. Byłem kompletnie zmartwiały.

Huang Qiuya podniosła but, podbiegła i wdrapała się na scenę. Wydaje mi się, że nie wiedziała, co się wydarzyło, bo inaczej nigdy by tego nie zrobiła. Stała na scenie skamieniała, po czym wybełkotała coś niezrozumiałego, rzuciła but i zaczęła się wycofywać. Górna Warga wkroczył na scenę i krzyknął surowo:

– Wan Serce, za dużo sobie pozwalasz!

Wyciągnął ramiona i zaczął wykrzykiwać hasła, by zatrzeć złe wrażenie i pobudzić entuzjazm, ale nikt mu nie odpowiedział. Gruba dziewczyna wypuściła z rąk pasma ciotczyńskich włosów, jakby zmieniły się w węże, wybuchnęła płaczem i potykając się, zbiegła ze sceny.

– Stój! – krzyknął Górna Wargę do wycofującej się rakiem Huang Qiuyi i wskazując na leżący but, rozkazał: – Ty! Powieś jej to na szyi!

Krew po uchu ciotki pociekła jej na szyję, po brwiach spłynęła do oczu. Otarła ręką twarz. Huang Qiuya wzięła z podestu but i lęklonie zbliżyła się do ciotki. Podniosła głowę i spojrzała jej w twarz, krzyknęła jakoś dziwnie, na jej ustach pojawiła się piana. Zaczęła się cofać.

Kilku czerwonogwardzistów ściągnęło ją ze sceny jak zdechłego psa.

Górna Wargę chwycił Yang Lina za kołnierz i szarpnięciem zmusił, by się wyprostował.

Yang Lin opuścił ramiona, ale nogi się pod nim ugięły, całe ciało zmiękło i gdyby Górna Wargę go nie trzymał, osunąłby się na podłogę.

– Wan Serce nie chce się przyznać i idzie w zaparte – ogłosił Górna Wargę. – Ale nawet jak ona się nie przyzna, ty się przyznasz. Jeśli powiesz prawdę, potraktujemy cię łagodnie, jak będziesz kłamał, będziemy surowi. Więc mów: czy cudzołożyliście ze sobą?

Yang Lin milczał.

Na znak Górnej Wargi potężnie zbudowany mężczyzna zbliżył się, zamachnął szeroko i na twarz Yang Lina spadł grad straszliwych ciosów. Ich dźwięk, ostry i szorstki, uderzał w korony drzew. Kilka białych kamyków stuknęło o podłogę i domyśliłem się, że to zęby Yang Lina. Sekretarz zachwiał się i gdyby nie to, że potężny oprawca trzymał go za kołnierz, upadłby na twarz.

– Mów, cudzołożyliście czy nie?

– Tak...

– Ile razy?

– Raz...

– Kłamiesz!

– Dwa razy...

– Dalej kłamiesz!

– Trzy razy... cztery... dziesięć... dużo razy... nie pamiętam dokładnie...

Ciotka wydała z siebie krzyk, który podnosił włosy na głowie. Jak rzucająca się na jedzenie maciora runęła na Yang Lina, a gdy ten upadł na ziemię, wpiła się rękami w jego twarz... Kilku silnych porządkowych z największym trudem ściągnęło ją z niego.

W tym momencie rozległ się dziwny dźwięk, lód rozpękł się i wielu ludzi zniknęło w zimnej wodzie zalewu.

Część druga

Wielce Szanowny Panie Sugitani Yoshito,

Jestem nieskończenie wdzięczny i głęboko zawstydzony, że zechciał Pan poświęcić tyle swojego cennego czasu i nie tylko przeczytać mój bardzo długi list, ale jeszcze wyrazić swoją pochwałę i zachętę do dalszej pracy. Mój list pisałem z przerwami przez dwa miesiące, a ponieważ chciałem oszczędzić na wydatkach, wysłałem go jako paczkę.

Jest coś, co mnie szczególnie wzruszyło: wspomniany w moim liście japoński oficer, który w czasie najazdu na Chiny dowodził japońskimi siłami w Pingduchengu, to, jak się okazuje, Pański ojciec. W imieniu swego zmarłego ojca przeprosił Pan moją ciotkę, moją rodzinę i wszystkich mieszkańców naszej wsi. Pańska słuszna ocena historii i poczucie odpowiedzialności głęboko nas wszystkich poruszyły. Najwyraźniej Pan też jest ofiarą tej wojny. W swoim liście wspomina Pan, że dla Pana i Pańskiej matki były to lata niepokoju i strachu, a po kapitulacji cierpieście głód i chłód. W gruncie rzeczy Pański ojciec także był ofiarą wojny, bo wspominał Pan, że wcześniej był bardzo obiecującym chirurgiem. To wojna odmieniła jego los: z kogoś, kto ludzi ratował, zmienił się w ich zabójcę.

Przeczytałem Pański list ciotce, ojcu i wielu innym ludziom, którzy przeżyli tu okupację. Wszyscy mieli łzy w oczach. Kiedy Pański ojciec stacjonował w Pingduchengu, Pan był zaledwie pięcioletnim dzieckiem, nie jest więc Pan odpowiedzialny za jego wojenne zbrodnie. A jednak wziął Pan za nie odpowiedzialność, miał Pan odwagę na własne barki przyjąć ciężar ojcowskich win i podjąć wysiłek, by spłacić ten wielki dług. Taka postawa bardzo nas wzruszyła i mamy świadomość, jak wielce jest cenna. Jest bowiem czymś, czego w dzisiejszym świecie najbardziej brakuje, a gdyby wszyscy potrafili uczciwie ocenić historię, uczciwie ocenić siebie i innych, nie doszłoby do wielu głupich postępów.

Moja ciotka, ojciec i krajanie bardzo gorąco zapraszają Pana do powtórnej wizyty w Dongbeixiang. Ciotka powiedziała, że pojedzie z Panem do Pingducheng, a potem jeszcze szepnęła mi po cichu, że nie ma złych wspomnień związanych z Pańskim ojcem. Wśród oficerów armii okupacyjnej oczywiście wielu było takich, jakich pokazują chińskie filmy – okrutnych, brutalnych i bestialskich – ale byli też tacy jak Pana ojciec, kulturalni i grzeczni. Ciotka oceniła go następująco: „nie najgorszy człowiek między złymi”.

W czerwcu przyjechałem do Gaomi i jestem tu już od ponad miesiąca. W tym czasie gromadziłem informacje potrzebne do napisania mojej sztuki o ciotce. Zgodnie z Pańską wolą dalej opisywałem jej losy w formie listu do Pana i tak jak Pan sobie życzył, włączyłem też do niego wiele informacji o własnych doświadczeniach.

Ciotka i ojciec za moim pośrednictwem gorąco pozdrawiają Pana i Pańską rodzinę. Mieszkańcy Dongbeixiang serdecznie Pana zapraszają!

Kijanka

Gaomi, lipiec 2003

ROZDZIAŁ 1

Mistrzu,

Siódmy lipca 1979 roku to dzień mojego ślubu. Panna młoda Wang Renmei była moją koleżanką ze szkoły podstawowej. Tak samo jak ja miała nogi długie i chude jak u żurawia i na ich widok serce zawsze zaczynało mi bić mocniej. Kiedy mieliśmy po osiemnaście lat, pewnego dnia, idąc po wodę, spotkałem ją przy studni. Wiadro wleciało jej do środka i kręciło się w wodzie. Ukląknęłam na cembrowinie, żeby pomóc je wyłowić, i tak się szczęśliwie złożyło, że udało mi się od razu.

– Ech, Biegaczu, ale z ciebie specjalista od łowienia wiader – pochwaliła mnie.

Pracowała wtedy w szkole na zastępstwie i uczyła wuefu. Była wysoka, miała smukłą szyję i małą głowę ozdobioną z tyłu dwoma warkoczykami.

– Wang Renmei, chcę ci coś powiedzieć – wyjąkałem.

– A co?

– Wang Nerka i Chen Nos mają się ku sobie.

Najpierw się zdziwiła, a potem wybuchnęła śmiechem.

– Biegaczu, zmyślasz! Nerka jest taka malutka, a Nos ogromny, niby jak mają się ku sobie?

Coś przyszło jej do głowy, bo zaczerwieniła się i zachichotała.

– Wcale nie zmyślam, a jak zmyślam, to niech się w psa zmienię! – odparłem poważnie. – Sam widziałem!

– Co widziałeś?

Zniżyłem głos.

– Tylko nikomu nie powtarzaj tego, co ci powiem. Wczoraj wieczorem, jak wyszedłem z kancelarii i przechodziłem koło tego stogu słomy na klepisku, usłyszałem jakieś szepty. Podszedłem po cichutku, nadstawiłem ucha i okazało się, że to Nos i Nerka gruchają ze sobą. Usłyszałem, jak Nerka mówi: „Bracie Nos, nic się nie bój, chociaż jestem taka mała, wszystko ze mną w porządku, na pewno urodzę ci wielkiego syna”.

Wang Renmei znowu zwinęła się ze śmiechu.

– Mam mówić czy nie? – spytałem.

– No mów, mów, co było dalej!

– Dalej to chyba się pocałowali.

– Teraz to zmyślasz, a jak się pocałowali?

– Niby czemu miałbym zmyślać? Jak się pocałowali? Normalnie, Chen Nos wziął ją na ręce jak małe dziecko, a potem to już samo poszło.

Wang Renmei znów się zaczerwieniła i zawołała:

– Biegaczu, zbereźnik z ciebie! I z Nosa też zbereźnik!

– Wang Renmei – odrzekłem – Nos i Nerka się kochają, a może my też moglibyśmy się zaprzyjaźnić?

Zdumiała się, a potem nagle uśmiechnęła.

– Dlaczego chcesz się ze mną zaprzyjaźnić?

– Ty masz długie nogi i ja mam długie nogi. Moja ciotka mówi, że jakbyśmy się pobrali, nasze dziecko też na pewno miałoby długie nogi. Moglibyśmy je wychować na mistrza świata!

– Z twojej ciotki to jest dopiero numer. – Wang Renmei roześmiała się. – Nie tylko ludzi podwiązuje, ale jeszcze bawi się w swatkę!

Podniosła nosidło z wiadrami i poszła. Krok miała lekki, a kołyszące się na nosidle wiadra podskakiwały, jakby miały za chwilę wzbić się w powietrze.

Potem poszedłem do wojska i wyjechałem z rodzinnej wsi. Po kilku latach doszły do mnie wieści, że Renmei zaręczyła się z Xiao Dolną Wargą. Uczył wtedy chińskiego w technikum rolniczym. Napisał esej zatytułowany *Hymn o węglu* i ogłosił go drukiem w „Gazecie Mas”, co w naszym Dongbebdangu wzbudziło wielką ekscytację. Kiedy się o tym dowiedziałem, tylko westchnąłem: my jedliśmy węgiel, a nic o tym nie napisaliśmy, a taki Dolna Warga nie jadł i napisał hymn. Najwyraźniej Wang Renmei dokonała właściwego wyboru.

Kiedy Dolna Warga dostał się na uniwersytet, jego ojciec na ulicy urządził prawdziwą kanonadę petard, a potem za własne pieniądze zaprosił objazdowe kino, na boisku szkolnym zawiesili ekran i trzy wieczory z rzędu puszczały filmy. Był taki dumny, że ani do niego przystąpił.

Wróciłem wtedy z obronnej wojny z Wietnamem², na której otrzymałem order trzeciej klasy i zostałem wcielony do armii jako zawodowy oficer. Przychodziło do nas wiele swatek. Ciotka powiedziała:

– Biegaczu, mam dla ciebie bardzo dobrą dziewczynę, gwarantuję, że będziesz zadowolony.

– Kogo? – spytała mama.

– Moją uczennicę „Lwiczkę”!

– Ta dziewczucha ma już ponad trzydziestkę! – zawołała mama.

– Ma równo trzydzieści lat.

– Ale Biegacz ma tylko dwadzieścia sześć.

– Jak trochę starsza, to dobrze – odpowiedziała ciotka. – Jak starsza, to będzie kochać.

– „Lwiczka” jest bardzo dobra – wtrąciłem się – ale Wang Wątroba kocha się w niej od kilkunastu lat, nie mogę jej zabrać przyjacielowi.

2 Mowa o kilkudniowym konflikcie zbrojnym między Chinami a Wietnamem w 1979 roku. Chiny uderzyły na Wietnam w odwecie za wkroczenie wojsk wietnamskich do Kambodży i obalenie rządów Czerwonych Khmerów.

– Wątroba? – prychnęła ciotka. – Ropucha chciałaby zjeść łabędzia! Wydam „Lwiczkę” za każdego, byle nie za niego! Ile to już lat, jak jego ojciec ciągle zgarbiony przyłazi z laską do szpitala, urządza awantury i psuje mi opinię? Wyciągnął już ode mnie przynajmniej z osiemset juanów „na leczenie”.

– Wang Stopa rzeczywiście trochę udaje – przyznała moja mama.

– Trochę?! – krzyknęła ciotka ze złością. – Całkowicie! Jak ode mnie wyciągnie pieniądze, zaraz idzie na targ, żeby się najeść i nachlać, a jak się upije, to laskę wyrzuca i robi się prosty jak struna. Sami powiedzcie, dlaczego ja w życiu trafiam na same łajzy? Ten kundel Xiao Górna Warga w czasie rewolucji kulturalnej prawie mnie wykończył, a teraz proszę, wielki pan, tylko się wachluje i żyje sobie przyjemnie. Słyszeliście, że jego syn poszedł na uniwersytet? Kiedyś się mówiło: „dobry uczynek będzie nagrodzony, zły uczynek – ukarany”, a teraz? Dobrym ludziom nie dzieje się dobrze, a źli żyją sobie jak w niebie!

– Sprawiedliwości w końcu stanie się zadość, może czas jeszcze nie nadszedł – powiedziała mama.

– To kiedy nadejdzie? Ja już całkiem siwa jestem!

Po wyjściu ciotki mama westchnęła.

– Twojej ciotce naprawdę się w życiu nie wiedzie.

– Podobno Yang Lin potem się z nią widział? – spytałem.

– Ciotka mówiła, że kiedyś przyjechał – potwierdziła mama. – Był już wtedy komisarzem okręgu, przyjechał do niej samochodem. Przepraszał i chciał się z nią żenić, naprawić błędy z czasów rewolucji kulturalnej. Ale ciotka z miejsca mu odmówiła.

Kiedy tak wzdychaliśmy nad losem ciotki, przybiegła Wang Renmei.

– Ciociu, słyszałam, że Biegacz wszędzie szuka żony – zwróciła się do mojej mamy. – A może ja bym się nadała?

– Ale przecież ty, córeczko, już masz narzeczonego?

– Rozstaliśmy się.

– Poszedł na uniwersytet i zostawił narzeczoną, toż to prawdziwe łajdactwo! – rozgniewała się mama.

– To nie on mnie zostawił, tylko ja jego – odparła Renmei. – Dostał się na uniwersytet, wielkie rzeczy. Żeby zaraz petardy puszczać i kino zapraszać? Przesada! Biegacz jest lepszy, został oficerem i nawet słowa nie pisnął, przyjechał na wieś i wziął się do pracy.

– Córeczko, ty jesteś za dobra dla naszego Biegacza – powiedziała mama.

– Ciociu, o tym nie wy będziecie decydować, o to spytamy Biegacza. Biegaczu, chcesz mnie za żonę, chcesz mieć ze mną syna, co będzie mistrzem świata?

Spojrzałem na jej nogi.

– Chcę! – odpowiedziałem.

ROZDZIAŁ 2

Rano w dzień naszego wesela było ciemno i pochmurnie. Czarne kłęby zakryły niebo, zagrzmiało, a kiedy grzmoty ucichły, z nieba lunął deszcz.

– Ale ci ten Policzek szczęśliwy dzień wybrał – mruknęła mama. – Deszcz nas zaraz zaleje.

Trochę po dziesiątej, brnąc przez ulewę, przybyła Renmei w towarzystwie dwóch młodszych kuzynek. Wszystkie trzy ubrane były w płaszcze przeciwdeszczowe, jakby wyszły nad rzekę na patrol powodziowy. Na naszym podwórku rozstawiony był namiot z plastikowej płachty, pod którym stała miednica z żarem, a ja dmuchając miechem, rozniecałem ogień, żeby zagotować wodę. Mój kuzyn Pięć Zmysłów bez najmniejszego szacunku zawołał do mnie:

– Ej, bohaterze wojny obronnej, panna młoda już przysła, a ty co, dalej wodę gotujesz?

– No to mnie zastąp – odparłem.

– Nie mogę, twoja matka kazała mi odpalić petardy. W taką pogodę to prawdziwa sztuka.

Mama stanęła w drzwiach.

– Pięć Zmysłów, przestań język strzepić i weź się do petard! – zawołała.

Pięć Zmysłów wyciągnął zza pazuchy owinięty w papier sznur petard i przyłożył ogień do zapalnika. Nie osadził ich na kiju, ale miał w ręce i osłoniwszy je przed deszczem parasolem, przechylił się w bok i tak trzymał, gdy zaczęły strzelać. Gesty dym nie rozpraszał się w mokrym powietrzu, ale otoczył kłębem mojego kuzyna i dzieciaki, które przyszły się pogapić. Wszystkie ociekające wodą jak kury wyciągnięte z garnka zaczęły klaskać i wołać: „Pięciu Zmysłom głowa się pali, głowa mu się pali!”.

– Czego krzyczycie, łobuziaki! – ofuknęła ich mama.

Według naszych zwyczajów panna młoda powinna szybko przejść przez podwórko, nie odzywając się ani jednym słowem, natychmiast wejść do domu, nie zatrzymując się, przejść do sypialni ślubnej i zasiąść na kangu. Nazywało się to „zajęciem łoża”. Ale Renmei stanęła na podwórku i przyglądała się występowi Pięciu Zmysłów. Otoczony dymem, umorusany, wyglądał, jakby wylazł z paleniska. Renmei wybuchnęła śmiechem i chociaż jej dwie kuzyneczki druhny ciągnęły ją za rękaw, nawet na nie nie spojrzała. W plastikowych butach na obcasach była wyższa niż zwykle, zdawała się niemal wysoka jak drzewo. Pięć Zmysłów zmierzył ją wzrokiem i rzekł:

– Bratowo, jakbym cię chciał pocałować, musiałbym wziąć drabinę!

– Pięć Zmysłów, zamilcz natychmiast! – krzyknęła moja matka.

– Ale ty jesteś głupi – powiedziała Renmei. – Nawet Nerka i Nos nie potrzebowali drabiny, żeby się pocałować.

Słyszając, że panna młoda żartuje na podwórku ze szwagrem, wszystkie ciotki i inne starsze panie natychmiast zaczęły szeptać między sobą. Wyszedłem spod namiotu z łopata do węgla, a dzieciaki zaczęły klaskać, tupać i wołać:

– Bohater wyszedł! Bohater wyszedł!

Włożyłem nowy mundur z przypiętym odznaczeniem, ale twarz miałem umorusaną sadzą i łopatę w ręku, wyglądałem więc dość dziwnie. Renmei na mój widok znowu zaczęła chichotać, a ja poczułem się nieswojo i bezradnie. Ach, ta Renmei, zachowuje się, jakby brakowało jej piątej klepki.

– Wprowadź ją do domu! – krzyknęła mama, a ja powiedziałem trochę kąśliwie:

– Małżonko, proszę do komnaty poślubnej!

– W domu jest duszno, a na zewnątrz przyjemnie – odparła.

Dzieciaki znowu zaczęły klaskać, tupać i krzyczeć: „Uuuuu”, więc wyniosłem z domu trochę cukierków na chochli, podbiegłem do furki i cisnąłem cukierki na ulicę. Dzieciaki popędziły za nimi i zaczęły zbierać je z błota, wrywając sobie nawzajem. Chwyciłem Renmei za nadgarstek i zaciągnąłem do domu. Drzwi były bardzo niskie, więc przechodząc, uderzyła się w czoło, aż stuknęło i zaczęła lamentować:

– O mamó moja, rozbił mi głowę! – A wszystkie ciotki, wujenki i starsze panie wybuchnęły śmiechem.

Izba była mała, a ludzi tyle, że tyłka nie dało się obrócić. Renmei i druhny zdjęły swoje ociekające wodą płaszcze, których nie było gdzie powiesić, więc w końcu zaczęły je na framudze. Na podłodze było mokro, a ludzie naznosili jeszcze na butach wody i błota i wszystko razem zmieszało się w brudną maź. Kang miał zaledwie dwa metry długości i złożone na nim przyniesione przez Renmei i druhny cztery nowe kołdry, dwa materace, cztery chodniki i dwie poduszki niemal sięgały papierowego baldachimu. Renmei usiadła na kangu, ale ledwo jej pośladki dotknęły maty, pisnęła:

– Ojej, o moja mamó rodzona, to nie jest kang, to chyba patelnia!

Moja matka rozgniewała się i uderzywszy laską w podłogę, krzyknęła:

– Siadaj natychmiast! Choćby to nawet była patelnia, siadaj! Zobaczmy, czy ci się tyłek upieczce.

Renmei znowu zaczęła chichotać i zniżając głos, powiedziała do mnie:

– Twoja mama ma dziwne żarty. Przecież gdyby mi się tyłek upiekł, to jakbym miała urodzić ci mistrza świata?

Ze złości zakręciło mi się w głowie, ale w taki dzień nie wypadało tego okazywać. Dotknąłem ręką maty na kangu, rzeczywiście była gorąca. Ponieważ zaprosiliśmy wielu gości, a wszystkie bliższe i dalsze ciotki, wujenki i kuzynki należało podjąć posiłkiem, w obu paleniskach cały czas płonął ogień, na którym przygotowaliśmy bułki na parze, makaron i różne potrawy. Nic dziwnego, że mata tak się rozgrzała. Ze stosu pościeli wyciągnąłem kołdrę, złożyłem ją w kwadrat, położyłem przy ścianie i rzekłem:

– Małżonko, proszę siadać.

– Biegaczu – powiedziała, chichocząc – ale ty jesteś śmieszny. Co ty mnie tak małżonką nazywasz, lepiej mów do mnie po naszemu, żonko, albo jak przedtem, Renmei.

Nic na to nie powiedziałem, bo cóż mogłem powiedzieć tej mojej niemądrej żonie? Nie poznała się na ironii, nie zorientowała się, że w ten sposób okazywałem jej swoje niezadowolenie.

– No dobrze, żonko, Renmei, zapraszam na kang.

Razem z druhnami ściągnęliśmy jej buty, a potem zsunąłem z jej stóp przemoczone nylonowe skarpetki, wziąłem ją na ręce i posadziłem na kangu. Natychmiast na nim stanęła, a jej głowa sięgnęła papierowego baldachimu. W tym wąskim i ciasnym pomieszczeniu wydawała się szczególnie wysoka, a jej długie żurawie nogi wyglądały jak pozbawione kolan. Stopy też miała duże, mogły niemal konkurować z moimi. Na bosaka zaczęła kręcić się na mającym ledwie dwa metry kwadratowe kangu. Właściwie druhnny powinny usiąść koło niej, ale nie zostawiła im miejsca, więc jedna stanęła w kącie, a druga usiadła na stopniu. Renmei, jakby chciała w pełni zademonstrować swój wzrost, stanęła na palcach, dotykając głową baldachimu. Najwyraźniej dobrze się bawiła, obracała się na palcach, podskakiwała, trącając głową szeleszczący baldachim. Mama, trzymając się framugi, zajrzała do środka.

– Synowo, rozbijesz kang i gdzie będziesz spała w nocy?
Renmei roześmiała się.

– Jak się rozbije, to będę spać na podłodze.

Pod wieczór zjawiała się ciotka. Wchodząc, głośno krzyknęła:

– Pani ciotka przybyła! Cóż to, nikt mnie nie wita?

Szybko pobiegliśmy ją przywitać.

– Tak leje, aż myślałam, że nie przyjdiesz – powiedziała mama.

Ciotka trzymała w ręku parasol. Nogawki miała podwinięte i była boso, a buty niosła pod pachą.

– Co tam deszcz, choćby noże z nieba leciały, i tak bym przyszła! Mój bratanek jest bohaterem, a jak bohater się żeni, nie można nie przyjść!

– Ciociu, jaki ze mnie bohater? – odparłem. – Jestem kucharzem, przygotowuję posiłki. Wroga nawet na oczy nie widziałem.

– Kucharz też jest ważny, ludzie to żelazo, a jedzenie stal, jak żołnierz się nie naje, to jak pójdzie w bój? Szybko, dajcie mi coś do jedzenia – zakomenderowała ciotka. – Zjem i pójdę, bo woda na rzece wezbrała i pewnie niedługo zaleje most, a wtedy nie będę miała jak wrócić.

– To zostaniesz u nas i odpoczniesz ze dwa dni – powiedziała mama. – Już tak dawno nie słyszeliśmy twoich opowieści, dzisiaj sobie wreszcie pogadamy.

– Nie da rady – odrzekła ciotka. – Jutro w powiecie jest zebranie rady konsultatywnej.

– Biegaczu, słyszałeś już? – zapytała mama. – Ciotka awansowała, jest członkiem stałego komitetu politycznej rady konsultatywnej.

– Też mi awans – burknęła ciotka. – Trafiło się ślepej kurze ziarno.

Weszła do zachodniego pokoju, gdzie natychmiast zapanował rwetes. Każdy, kto siedział na kangu, zrywał się, by ustąpić jej miejsca, ale ona powiedziała tylko:

– Siedzicie, gdzie siedzieliście, nie wstawajcie. Zjem tylko trochę i idę.

Mama kazała podać siostrze coś do zjedzenia, ale ciotka sama podniosła pokrywkę i palcami wyciągnęła placek. Był gorący i parzył, więc posykurując, podrzuciła go kilka razy do góry, potem rozwinęła, na wierzch nałożyła kilka kawałków duszonego mięsa, zawinęła, ugryzła wielki kawał i rzekła z zadowoleniem:

– O właśnie tak, nie trzeba żadnych talerzy, żadnych misek, tak smakuje najlepiej. Odkąd zaczęłam tę pracę, ani razu nie siadłam do jedzenia.

Jedząc, mruknęła do mnie:

– Pokaż mi waszą ślubną sypialnię.

Renmei, znużona gorącym kangiem, siedziała na parapecie i przy świetle padającym z zewnątrz oglądała książkę z obrazkami. Uśmiechała się rozbawiona.

– Ciotka przyszła – powiedziałem.

Renmei jednym susem przeskoczyła kang, chwyciła ciotkę za rękę i zawołała:

– Ciociu, ja właśnie mam do cioci sprawę, więc ciocia przyszła w sam raz.

– Jaką sprawę? – spytała ciotka.

Renmei zniżyła głos:

– Słyszałam, że ciocia ma takie lekarstwo, że jak się weźmie, to się ma bliźnięta.

Ciotka skrzywiła się.

– Kto ci to powiedział?

– Wang Nerka.

– To wszystko plotki! – Ciotka zakrztusiła się plackiem i rozkasłała tak, aż twarz jej poczerwieniała. Siostra podała jej czarkę z wodą, ciotka wypła, stuknęła się parę razy w pierś i rzekła poważnie: – Takiego lekarstwa nie ma, a gdyby nawet było, nikt by go nikomu nie przepisał.

– Nerka mówiła, że w Chenjiazhuangu jakaś kobieta zażyła lekarstwo przygotowane przez ciotkę i urodziła chłopca i dziewczynkę!

Ciotka wepchnęła siostrze do ręki kawałek trzymanej przez siebie bułki i krzyknęła:

– Cholera mnie trafi! Ta mała czarownica Wang Nerka! Ja cały dzień się męczyłam, żeby jej dziecko z brzucha wyciągnąć, a ona ma czelność takie plotki o mnie opowiadać! Jak ją zobaczę, to tę podłą gębę zatkam na zawsze!

– Ciociu, nie denerwuj się – mówiąc to, lekko kopnąłem Renmei w kostkę i syknąłem: – Cicho bądź!

Renmei zaczęła głośno lamentować:

– O matko moja rodzona, nogę mi złamałaś!

– Psu się nogi nie złamie – rozzłościła się mama.

– Teściowo, właśnie, że teściowa się myli! – zawołała Renmei. – Mój drugi wujek ma wielkiego psa i „żelazny kot” Xiao Górnej Wargi temu psu właśnie nogę złamał!

Xiao Górna Warga po przejściu na emeryturę wrócił na wieś i rozpoczął wielką akcję zabijania wszystkich żywych stworzeń. Kupił sobie strzelbę i strzelał do ptaków, niezależnie od gatunku. Zabijał nawet sroki, choć wieśniacy uważają, że przynoszą szczęście. Kupił sobie wyjątkowo gęstą sieć i kiedy ją zarzucał, nawet najmniejsze jednocalowe rybki nie potrafiły się z niej wyslizgnąć. Ponadto kupił sobie „żelaznego kota” – olbrzymią pułapkę, którą ustawiał pod drzewami albo na cmentarzu i chwycił w nią borsuki i łasice. Pies drugiego wujka Renmei nastąpił na nią i w ten sposób potrzask złamał mu łapę.

Ciotka słysząc imię Xiao Górnej Wargi, zmieniła się na twarzy i rzekła przez zęby:

– Tego łajdaka już dawno powinien piorun trafić, a on ciągle żyje, je i pije jak król, i zdrowy jest jak byk. Widać niebo też się boi tego drania!

– Ciociu, może niebo się go boi, ale ja się nie boję – rzekła Renmei. – Jeśli ci zrobił krzywdę, ja się zemszczę za ciebie!

Ciotka rozpogodziła się, roześmiała, a potem powiedziała:

– Powiem ci szczerze: na początku nie chciałam, żeby mój bratanek się z tobą ożenił, ale jak usłyszałam, że zerwałaś z synem Górnej Wargi, od razu się zgodziłam. Pomyślałam sobie: ta dziewczyna ma charakter. Wielka mi rzecz, uniwersytet! Dzieci z rodziny Wanów też pójdą na uniwersytet, ale nie byle jaki, na najlepszy! Na Beida, Qinghua³, Oksford, Cambridge! I zrobią nie tylko licencjat, ale i magisterium, i doktorat! Zostaną profesorami, naukowcami! A, prawda – i mistrzami świata!

– Ciociu, niech ciocia zrobi mi to lekarstwo – poprosiła Renmei. – Urodzę rodzinie Wan jednego więcej dobrego potomka, a Górną Wargę szlag trafi ze złości!

3 Beida (Uniwersytet Pekijski) i Qinghua to dwie najszynniejsze chińskie uczelnie.

– O niebiosa! Ludzie mówią, że jesteś głupia, gdzie ty jesteś głupia? Tak mną kręciłaś, aż zakręciłaś! Wy, młodzi – mówiła ciotka surowo – musicie być posłuszni partii. Musicie podążać za partią. Planowanie urodzeń to ogólnokrajowa polityka o zasadniczym znaczeniu, więc nie wolno wam mieć takich zdrożnych myśli. Sekretarz wyznacza kierunek i partia idzie za nim! Najlepsi idą pierwsi, działając na rzecz nauki! Nauka i technologia muszą służyć praktyce, a kampanie ludowe muszą mieć charakter stały! Dwoje rodziców i jedno dziecko to stała zasada, która nie zmieni się przez pięćdziesiąt lat. Jeżeli nie ograniczymy liczby ludności, Chiny zginą. Biegaczu, jesteś członkiem partii i żołnierzem armii rewolucyjnej, ty musisz dawać ludziom przykład!

– Ciociu, niech mi ciocia da lekarstwo w tajemnicy, jak je połknę, to nikt nigdy się nie dowie – błagała Renmei.

– Dziecko, ty naprawdę nie masz rozumu. Jeszcze raz ci powiem: takie lekarstwo nie istnieje! A gdyby istniało, też bym ci go nie dała! Należę do partii i do politycznej rady konsultatywnej, jestem wiceprzewodniczącą grupy do spraw kontroli urodzeń, jakże ja miałabym dawać ludziom zły przykład? Powiem wam tak: może trochę ucierpiałam, ale w duszy jestem i na zawsze pozostanę czerwona! Za życia czy po śmierci, jako człowiek albo jako duch, zostanę wierna partii! Gdzie partia wskaże, tam pójde! Biegaczu, twoja żona jest niemądra, nie odróżnia ognia od popiołu, ale ty musisz zachować jasny umysł, ty nie możesz dać się zwieść! Są tacy, którzy wymyślili dla mnie przezwisko „Królowa Piekiel” i ja jestem z tego przezwiska dumna! Jak ktoś rodzi w zgodzie z polityką planowania, „zapalę trociczki, obmyję dłonie” i pomogę urodzić. Ale z tych, co naruszają tę politykę... – Ciotka zacisnęła pięść i wymierzyła mocny cios w powietrze. – Nikt się nie prześlizgnie!

ROZDZIAŁ 3

Dwa lata później, dwudziestego trzeciego ostatniego miesiąca, w dniu, w którym bóg paleniska wyprawia się do nieba, urodziła się moja córka. Mój kuzyn Pięć Zmysłów traktorem przyjechał odebrać nas ze szpitala. Przed odjazdem ciotka powiedziała do mnie:

– Założyłam twojej żonie spiralę domaciczną.

Renmei ściągnęła z twarzy szal, który owijał jej głowę, i wybuchnęła gniewnie:

– Czemu ją założyłaś bez mojej zgody?

Ciotka z powrotem naciągnęła jej szal i rzekła:

– Zasłoń się, żeby cię nie zawiało. Założenie kobiecie spirali po porodzie to nieodwołalne polecenie komisji kontroli urodzeń. Gdybyś wyszła za rolnika i urodziła córkę, po ośmiu latach spirala mogłaby być zdjeta i mogłabyś mieć drugie dziecko. Ale ty wyszłaś za mojego bratanka, a on jest oficerem. W wojsku zasady przestrzegane są szczególnie surowo. Gdybyście przekroczyli liczbę urodzeń, zostałyby zdegradowane do cywila i zesłany na wieś do pracy na roli. A zatem już nigdy więcej nie urodzisz. Zostałaś panią oficerową, więc musisz ponieść tego koszty.

Renmei rozpląkała się żałośnie.

Wziąłem otulonego płaszczem noworodka, wskoczyłem na traktor i zawołałem do Pięciu Zmysłów:

– Jedziemy!

Traktor plunął czarnym dymem i potoczył się po wyboistej drodze. Renmei leżała na przyczepie przykryta kołdrą. Przyczepą rzucało na wszystkie strony i dobiegał do mnie jej przerywany płacz:

– Jak mogła... bez mojej zgody... założyć spiralę... dlaczego... jak ma się jedno dziecko... nie można już więcej urodzić... dlaczego...

– Nie płacz! – krzyknąłem niecierpliwie. – To jest polityka państwa!

Rozpląkała się jeszcze rozpaczliwiej i wysunęła głowę spod kołdry – blada twarz, sine usta, we włosach żółbla słomy.

– Jaka tam polityka państwa, to tutejsza polityka twojej ciotki! W powiecie wcale tak nie pilnują, tylko ta twoja ciotka chce awansować, chce zebrać zasługi! Nic dziwnego, że wszyscy ją przeklinają!

– Cicho bądź! Porozmawiamy w domu. Nie wstyd ci tak płakać na drodze, ludzie się z ciebie śmieją.

Gwałtownie odrzuciła kołdrę i usiadła. Spojrzała na mnie wielkimi oczami.

– Kto się ze mnie śmieje? Kto ma czelność się ze mnie śmiać?

Na drodze bez przerwy mijali nas rowerzyści. Wiał mocny północny wiatr, ziemia była pokryta szronem. Czerwone słońce dopiero się podnosiło i z ust ludzi wydobywały się kłęby pary, która osiadając na brwiach i rzęsach, zmieniała się w płatki szronu. Gdy spojrzałem na szare, popękane usta Renmei, jej rozrzucone w nieładzie włosy i utkwione we mnie oczy, ogarnęła mnie litość i powiedziałem łagodniej:

– Już dobrze, nikt się z ciebie nie śmieje. Połóż się i przykryj, w pierwszym miesiącu po porodzie nie wolno żartować ze zdrowiem.

– Nie boję się! Jestem sosną na czubku Taishanu, wbrew zimnym wiatrom, wbrew mroźnym śniegom w mym sercu się słońce podnosi!

– Wiem, wiem. – Uśmiechnąłem się smutno. – Jesteś silna, jesteś bohaterką. Chcesz jeszcze urodzić drugie dziecko? Jak chcesz to zrobić, jeśli sobie zdrowie popsujesz?

Oczy rozbłysły jej nagle i zawołała z ożywieniem:

– Godzisz się na drugie dziecko? Sam tak powiedziałeś! Pięć Zmysłów, słyszałeś? Jesteś świadkiem!

– Dobrze! Jestem świadkiem – mruknął siedzący z przodu Pięć Zmysłów.

Położyła się posłusznie i naciągnęła kołdrę na głowę, a spod kołdry jeszcze dobiegły mnie słowa:

– Biegaczu, ale nie możesz się wycofać. Jak się wycofasz, to się z tobą policzę.

Kiedy traktor dojechał do mostku na początku wsi, drogę zatarasowało nam dwóch kłócących się ludzi. Jednym z nich był mój szkolny kolega Yuan Policzek, drugim – wiejski artysta Hao Wielka Ręka.

Hao Wielka Ręka mocno trzymał Policzka za nadgarstek. Policzek szarpał się i krzyczał:

– Puść mnie! Puść mnie!

Ale choć szarpał się z całej siły, nie mógł się uwolnić.

Pięć Zmysłów zeskoczył z traktora, podszedł do nich i rzekł:

– Chłopy, co z wami? Tak wcześnie rano wam się chce kłócić?

– Dobrze, że jesteś, Pięć Zmysłów. Ty nas rozsądzisz – powiedział Yuan Policzek. – On ciągnął swoją taczkę przede mną, a ja na rowerze jechałem z tyłu. On szedł lewą stroną, więc chciałem go minąć z prawej, ale jak się zbliżyłem, nagle skręcił w prawo. Na szczęście mam dobry refleks, z całej siły nacisnąłem na oba hamulce i zeskoczyłem na most. Gdyby nie to, wszyscy wylądowalibyśmy pod mostem, razem z jego wózkiem. Teraz jest zimno, ziemia zmarznięta, nawet jakbyśmy się nie zabili, połamalibyśmy się na pewno. Ale wujek Hao oskarża mnie o to, że zrzuciłem jego wózek z mostu.

Hao Wielka Ręka nie klócił się, tylko z całej siły trzymał Policzka za nadgarstek i nie puszczał.

Z córką w ramionach zeskoczyłem z przyczepy. Gdy dotknąłem ziemi stopą, aż się otrząsałem. To był naprawdę zimny dzień.

Na niepewnych nogach podszedłem do mostu. Leżał na nim stos kolorowych glinianych figurek, niektóre pogruchotane, niektóre całe. Po wschodniej stronie mostu na zamarznętej rzece leżał połamany rower, a obok zwinięta żółta chorągiewka. Wiedziałem, że na chorągiewce wyhaftowany jest napis „prawie nieśmiertelny”. Policzek już w dzieciństwie był dziwaczny i taki pozostał jako dorosły. Potrafił magnesem wyciągać gwoździe z krowiego brzucha i kastrować zwierzęta, ale znał się także na wróżbach i fizjonomice, feng shui i geomancji, Księdze Przemian i ośmiu trygramach. Ktoś żartobliwie nazwał go „Prawie Nieśmiertelnym”, a on wykorzystał pomysł, z kawałka płótna uszył sobie chorągiewkę w morelowym kolorze, wyhaftował na niej „prawie nieśmiertelny” i przywiązał ją do bagażnika swojego roweru. Kiedy przyjeżdżał na targ, zawieszał ją nad swoim straganem i rzeczywiście interes kwitł.

Po stronie zachodniej na lodzie leżała przewrócona taczka, jeden jej uchwyt był złamany. Z połamanych wierzbowych koszy wysypało się na lód kilkadziesiąt glinianych figurek. Większość się potłukła, tylko nieliczne pozostały całe i nieuszkodzone.

Hao Wielka Ręka był człowiekiem dziwnym, a jednocześnie budzącym szacunek. Miał ogromne dłonie, a kiedy ugniatał nimi glinę, przypatrywał się człowiekowi i po chwili spod jego rąk wychodziła jak żywa jego podobizna. Nawet w czasie rewolucji kulturalnej nie przestał lepić swych glinianych dzieci. Już jego dziadek lepił dziecięce figurki, jego ojciec także, ale Wielka Ręka był lepszy w tym fachu od swoich przodków. Utrzymywał się z produkcji i sprzedaży figurek dzieci. Potrafił stworzyć także figurki psów, małp albo tygrysów, zabawki, które najłatwiej sprzedać, bo dzieci lubią się nimi bawić. Artyści tacy jak on są zależni od dzieci, bo jeśli dziecku coś się spodoba, dorośli wyjmą pieniądze. Ale Hao Wielka Ręka lepił tylko laleczki. Miał pięcioizbowy dom z czteroizbową przybudówką, a na jego podwórku stała duża szopa. Wszystkie pomieszczenia w domu i w szopie zastawione były glinianymi figurkami; niektóre były już gotowe, z różowymi buziami i otwartymi oczami, inne niedokończone, wciąż czekające na pomalowanie. Na zastawionym lalkami kangu zostawił tylko tyle miejsca, żeby mógł tam spać.

Miał ponad czterdzieści lat, czerwoną twarz i szpakowate włosy splecione w warkoczyk. Otaczająca policzki broda też była szpakowata. W sąsiednich powiatach działali artyści lalkarze, ale ich lalki wychodziły spod sztancy, więc wszystkie były jednakowe. A Hao każdą lepił własnymi rękami, więc każda była jedyna w swoim rodzaju, żadna się nie powtarzała. Mówiono, że wszystkie figurki w Dongbeixiangy wyszły spod jego ręki i mówiono też, że w Dongbeixiangy każdy znajdzie wśród nich swoją podobiznę. Powiadano też, że sprzedawał je dopiero, gdy nie miał już czego włożyć do garnka, a sprzedając, miał w oczach łzy, jakby rozstawał się z rodzonym dzieckiem. Na pewno musiał cierpieć, skoro tyle ukochanych laleczek potłukło się w kawałki, można więc było zrozumieć, dlaczego tak ścisnął rękę Policzka.

Z córką w objęciach podszedłem do nich. Długo byłem żołnierzem i źle się czułem w cywilnych ubraniach, więc nawet jadąc po Renmei i dziecko, miałem na sobie mundur. Młody oficer z noworodkiem w ramionach musiał robić wrażenie.

– Wujku – powiedziałem – puśćcie Yuana Policzka. On tego nie zrobił specjalnie.

– No właśnie, wujku, właśnie, ja niespecjalnie. – Uśmiechnął się przymilnie Policzek. – Opuść mi tym razem. Znajdę kogoś, żeby naprawił uchwyt i kosze. Za wszystkie popsute dzieci zapłacę.

– Przez wzgląd na mnie, na moją córkę i na moją żonę puśćcie go. Pozwólcie nam przejechać – poprosiłem.

Renmei wychyliła się z przyczepy i zawołała głośno:

– Wujku Hao, zrób mi dwie laleczki, chłopczyków, takich samiuteńkich!

Ludzie na wsi powiadali, że jeśli kupi się laleczkę od Hao Wielkiej Ręki, zawiąże się jej czerwoną nitką na szyi, posadzi na kangu i będzie się jej składać ofiary, urodzi się dziecko dokładnie takie samo jak figurka. Ale takiej laleczki nie można było sobie samemu wybrać. W innych powiatach rzemieślnicy ustawiali swoje figurki na ziemi i każdy brał tę, którą chciał, ale laleczki Wielkiej Ręki schowane były w koszu, a on najpierw uważnie przyglądał się kupującemu, a potem sięgał do kosza, grzebał w nim długo i wreszcie wyciągał jedną. Nawet jeśli komuś się nie podobała, nigdy jej nie zamieniał, tylko w kącikach ust pojawiał mu się trochę smutny uśmiech. Nie odzywał się, ale niemal można było usłyszeć takie słowa: „Jakim rodzicom nie podoba się ich dziecko?”. I im dłużej ludzie przyglądali się swojej laleczce, tym ładniejsza im się wydawała. Takie gliniane dziecko powoli stawało się jakby prawdziwe, jakby ożywało. Wielka Ręka nigdy się nie targował i nawet gdyby w ogóle nie dać mu pieniędzy, nigdy by się nie upominał. Niezależnie od tego, ile mu się zapłaciło, nigdy nie dziękował. W końcu ludzie zaczęli uważać, że kupując u niego lalkę, zamawiają prawdziwe dziecko. Opowieści stawały się coraz dziwniejsze, mówiono, że jeśli kupi się dziewczynkę, urodzi się dziewczynka, jeśli chłopca, na pewno urodzi się chłopiec, a jeśli Wielka Ręka ulepi dla kogoś dwie laleczki, na pewno będą bliźnięta. Stało się to jakby tajemną umową, której nie wolno było zdradzić.

Tylko moja nieusłuchana żona mogła tak głośno żądać od niego dwóch chłopczyków. Trzeba też dodać, że gdy dotarły do nas historie o tajemnej umowie związanej z laleczkami, Renmei była już w ciąży. Czar działał tylko wobec kobiet, które nie były ciężarne.

Hao Wielka Ręka posłuchał mojej prośby i puścił rękę Policzka, który zaczął rozcierać sobie nadgarstek i rzekł płaczliwie:

– Dzisiaj mi się nie układa. Gdy wyszedłem z domu, od razu natrafiłem na sikającą sukę. I proszę, sprawdziło się.

Hao pochylił się, pozbierał swoje laleczki i włożył za pazuchę. Stał przy moście, robiąc dla nas miejsce. Na jego brodzie zebrał się szron, twarz miał poważną.

– Co się urodziło? – spytał Policzek.

– Córka.

– Nie szkodzi, następny będzie syn.

– Nie będzie następnego.

– Nie martw się. – Policzek zmrużył oczy i szepnął tajemniczo: – Jak przyjdzie czas, coś się wymyśli.

ROZDZIAŁ 4

Pierwszego dnia pierwszego miesiąca Roku Psa nadszedł dziewiąty dzień po urodzeniu mojej córki. Według naszych zwyczajów było to wielkie święto, na które zaprasza się wszystkich krewnych i przyjaciół. Dzień wcześniej poprosiłem Pięc Zmysłów i Policzka, żeby pożyczyli nam stoły, krzesła i stołki, dzbanki i czarki, bo lekko licząc, powinno się zjawić prawie pięćdziesiąt osób. We wschodnim i zachodnim skrzydle ustawiliśmy stoły dla mężczyzn, dla kobiet stół przygotowany był przy matczynym kangu. Sam zaplanowałem menu: osiem zimnych przystawek, osiem dań gorących, a na zakończenie zupa. Policzek spojrzał na to i roześmiał się:

– Bracie, to zły pomysł. Zapraszasz wieśniaków, a każdy ma brzuch przepastny jak worek. Taka odrobina tylko im zęby zaostrzy. Posłuchaj mojej rady: zamiast takich delikatesów kup lepiej dużo mięsa i dużo wódki, bo jak chłop idzie na przyjęcie, tego oczekuje. Jak przygotujesz takie delikatesy, każdy ledwie posmakuje, nie naje się, a jak będzie głodny, to co dalej? Wielki wstyd dla ciebie.

Musiałem przyznać mu rację. Posłałem więc Pięć Zmysłów na targ po prawie dwadzieścia pięć kilogramów wieprzowiny, pół na pół tłustej i chudej, i dziesięć wielkich tłustych kur z rasy hodowanej na mięso. Osobiście zamówiłem osiemnaście kilogramów tofu u producenta Wang Huana, kazałem Policzkowi kupić dziesięć wielkich głów kapusty pekińskiej, pięć kilogramów makaronu i dziesięć litrów wódki. Rodzina Renmei dostarczyła dwieście jajek. Jej ojciec, czyli mój teść, widząc, co przygotowaliśmy, rzekł zadowolony:

– Bardzo dobrze, zięciu! Wy zawsze trochę skąpi byliście i ludzie się z was śmiali, ale tym razem inaczej, tym razem hojnie. Niech wszyscy wyjdą z pełnymi brzuchami. Jak ktoś poważną pracę wykonuje, powinien hojnie ludzi podejmować.

Pół godziny przed przyjściem gości nagle uświadomiłem sobie, że zapomnieliśmy o papierosach. Już chciałem wysłać Pięć Zmysłów do sklepu, kiedy w drzwiach pojawili się Chen Nos i Wang Nerka z dzieckiem. Pięć Zmysłów wskazał na prezent niesiony przez Nosa i rzekł wesoło:

– Już nie trzeba.

Chen Nos w ostatnich latach bardzo się wzbogacił i stał się we wsi znany. Najpierw wyjechał do Shenzhenu, skąd przywiózł elektroniczne zegarki, które sprzedawał modnym młodzieńcom. Potem wyjechał do Jinanu i od znajomego z fabryki papierosów sprowadzał je po cenie hurtowej, a Wang Nerka chodziła z nimi na targ i sprzedawała w cenie detalicznej.

Widywałem ją na targu. Na piersiach miała zawieszona bardzo ładne pudło z otwieraną pokrywką, na półeczkach znajdowały się zapalniczki, a w samym pudle papierosy. Ubrana była w dopasowany niebieski kaftanik, a z przywiązanego na plecach zawiniątka wystawał nosek i oczka tłuściutkiego dziecka. Czy ktoś ją znał, czy tylko przechodził, wszyscy patrzyli na nią z zaciekawieniem. Miejscowi wiedzieli, że jest żoną Chena Nosa i matką grubaska, którego dźwigała na plecach, ale obcy sądzili, że jest małą dziewczynką opiekującą się młodszą siostrzyczką. Każdy, kto kupował u niej papierosy, musiał jej współczuć.

Chen Nos miał na sobie kurtkę ze sztywnej świńskiej skóry i gruby golf. Był czerwony na twarzy okolonej czarnym śladem zarostu, miał wielki nos, głęboko osadzone szare oczy i kręcone włosy.

– Milioner przyszedł – rzekł Pięć Zmysłów.

– Jaki tam milioner – odparł Nos. – Drobny kupiec i tyle.

– *Towariszcz*, dobrze po chińsku mówicie! – powiedział

Policzek.

– Bo cię walnę! – zawołał Nos, potrząsając trzymaną w ręku paczką.

– Papierosy? – upewnił się Policzek. – Bo goście jak nic chętnie by zapalili.

Chen Nos rzucił Policzkowi paczkę, ten rozpakował ją i pokazał cztery kartony papierosów Kogut.

– Faktycznie, interes dobrze idzie, więc ma się ten gest – stwierdził Policzek.

– Ależ ty masz gadanie – cieniutko zaśmiała się Nerka. – Umarłego byś zachęcił, żeby disco zatańczył.

– Ojej, bratowo, gdzie moje mani ery! – zawołał Policzek. – A jak to się stało, że cię dzisiaj Nos za pazuchą nie przyniósł?

– Oj, bo ci dam w pysk! – Nerka pogroziła mu malutką piąstką.

– Mama, na rączki, na rączki... – zza pleców Nerki wyłoniła się jej córeczka Ucho, niewiele niższa od niej.

– Uszko! – Nachyliłem się i ją podniosłem. – Chodź do wujka na rączki.

Ucho rozplakała się. Nos wziął ją ode mnie i klepnął w pupę.

– Uszko, nie płacz, chciałaś przecież zobaczyć wujka żołnierza?

Ucho wyciągnęła rękę, szukając Nerki.

– Mała wstydzi się obcych – rzekł Nos, podając dziecko żonie. – A przedtem tak się mazała, że chce zobaczyć wujka żołnierza.

W tym momencie Renmei zastukała w okno i zawołała:

– Nerka! Nerka, chodź tutaj!

Nerka wzięła dziecko na ręce i wyglądała jak piesek, który niesie za dużą zabawkę, trochę zabawnie, a trochę godnie. Pobiegła szybko, przebierając malutkimi nóżkami jak zwierzątko na rysunkowym filmie.

– Śliczna dziewczyneczka – powiedziałem. – Zupełnie jak lalka.

– Radzieckie nasienie, pewnie, że śliczna! – mrugnął okiem Policzek. – Bracie Nos, słyszałem, że bardzo jesteś wytrzymały i ani jednej nocy nie dasz bratowej odpocząć.

– Zamknij gębę! – rzekł Nos.

– Tylko ostrożnie używaj, jeśli chcesz, żeby ci jeszcze dziecko urodziła!

Nos kopnął go i krzyknął:

– Mówiłem, że masz gębę zamknąć?!

– Dobrze, dobrze, zamykam – rzekł Policzek, śmiejąc się. – Ale naprawdę wam zazdroszczę, tyle lat po ślubie, a wy nadal codziennie ściskacie się i całujecie. Hm, widać, że wolna miłość to coś zupełnie innego niż aranżowane małżeństwa...

– Każdy ma własne problemy. Co ty tam wiesz – odparł Nos.

Klepnąłem go w lekko wystający brzuch.

– Generalski brzuszek, jak widzę.

– A co, życie się polepszyło! Kiedyś nawet mi się nie śniło, że będę tak dobrze żył.

– Za to trzeba podziękować przewodniczącemu Hua Guofengowi – stwierdził Policzek.

– Przede wszystkim trzeba podziękować przewodniczącemu Mao – odpowiedział Nos. – Gdyby sam nie odszedł, wszystko by zostało po staremu.

W tym momencie podszedł inny gość. Ludzie stali na podwórku, przysłuchując się naszej rozmowie, i nawet goście, którzy usadowili się już przy stole, też zaczęli do nas wychodzić.

Mój młody kuzyn Jin Xiu dopchał się do Chena i podnosząc głowę, by spojrzeć mu w twarz, powiedział:

– Bracie Chen, u nas we wsi legendy o tobie opowiadają.

Nos wyjął paczkę papierosów, rzucił jednego Jinowi, a potem wepchnął obie ręce do kieszeni kurtki i rzekł pewnym głosem:

– No to posłuchajmy, co tam o mnie mówią.

Kuzyn poskrobał się w kark.

– Mówią, że jak poleciałeś do Shenzhenu, miałeś w kieszeni tylko dziesięć juanów. I że wsiadłeś do samolotu z jakąś delegacją radziecką, bardzo pewny siebie, więc wszystkie stewardesy myślały, że jesteś razem z nimi i zaczęły ci się w pas kłaniać, a ty do nich tylko *charaszo, charaszo...* I że jak przyleciałeś do Shenzhenu, to razem z delegacją zamieszkałeś w luksusowym hotelu, przez trzy dni z nimi jadłeś i piłeś, za darmo dostałeś kupę prezentów, a potem sprzedałeś je na ulicy, kupiłeś za nie dwadzieścia elektronicznych zegarków, sprzedałeś i stąd wzięłeś kapitał. A potem obróciłeś tak kilka razy i byłeś bogaty...

Nos potarł się po swym wielkim nosie i rzekł:

– No mów dalej, mów dalej!

– I mówią, że jak pojechałeś do Jinanu, szedłeś sobie ulicą i spotkałeś jakiegoś staruszka, który stał i płakał. I ty się go spytałeś: „Czemu płaczecie, dziadku?”, a on na to odrzekł, że wyszedł na spacer i nie może trafić do domu. Wtedy go odprowadziłeś do domu. Okazało się, że syn tego staruszka był kierownikiem działu sprzedaży w fabryce papierosów. Jak się dowiedział, jaki z ciebie dobry człowiek, uznał cię za brata i dlatego sprzedaje ci papierosy w cenach hurtowych.

Nos wybuchnął śmiechem.

– Braciszku, co ty powieść piszesz? Powiem ci prawdę: rzeczywiście kilka razy leciałem samolotem, ale sam zapłaciłem za bilet. W fabryce papierosów w Jinanie rzeczywiście mam kilku przyjaciół, ale papierosy sprzedają mi tylko trochę taniej niż na targu, na paczce zarabiam ledwie po trzy feny.

– Wszystko jedno, jesteś wielkim człowiekiem – rzekł mój kuzyn szczerze. – Ojciec mówi, żebym się uczył od ciebie.

– Tutaj są naprawdę wielcy ludzie – powiedział Nos i wskazał na Policzka. – O, ten tutaj umie czytać znaki na niebie i ziemi, wie wszystko, co się zdarzyło sto lat temu, a z tego, co się wydarzy za pięćset lat, też wie połowę. Od niego powinieneś się uczyć.

– Brat Yuan też jest wybitny – zgodził się kuzyn. – U nas w Xiazhuangu ustawia swój stragan i wróży, nazywają go „Prawie Nieśmiertelnym”. Mojej babci kura się zgubiła, a brat Yuan postawił wróżbę i powiada: „Kaczki idą nad wodę, kury idą w trawę. Poszukajcie gniazda w trawie”. I faktycznie, znaleźliśmy ją na gnieździe w trawie.

– On nie tylko wróżyć potrafi – rzeki Nos. – Ma wiele innych umiejętności. Jak cię choć trochę nauczysz tego, co sam umie, do końca życia będziesz miał za co jeść i pić.

– Pokłoń się, niech cię na ucznia weźmie! – zawołał Pięć Zmysłów.

– Nie jestem godzien. Moje zajęcie nikogo nie wprowadzi na salony, to nędzna profesja. Powinieneś uczyć się od kuzyna i zostać oficerem. Albo pójść na uniwersytet i skończyć studia. Tylko w ten sposób wkroczysz w wielki świat i staniesz się kimś. – Policzek wskazał na siebie, a potem na Nosa. – I on, i ja jesteśmy prostymi ludźmi. Nie umielibyśmy robić nic innego, więc robimy to, co robimy. Ty jesteś młody i nie od nas powinieneś się uczyć.

– To, co wy robicie, wymaga prawdziwych zdolności – rzekł mój kuzyn uparcie. – Żeby zostać żołnierzem albo iść na studia, nie potrzeba zdolności.

– Dobrze, braciszku, że masz własne zdanie, to bardzo dobrze – powiedział Nos. – Może kiedyś zrobimy coś razem.

– A Wątroba czemu nie przyszedł? – spytałem Pięć Zmysłów.

– Na pewno poszedł na wartę do szpitala – odpowiedział.

– Jemu naprawdę diabeł w głowie namieszał – mruknął Nos. – I koniem go stamtąd nie odciągniesz.

– Jego dom jest źle ustawiony – rzekł Policzek tajemniczo. – Główna brama jest w złym miejscu i wychodek też jest w złym miejscu. Już kilkanaście lat temu mówiłem twojemu teściowi, że musi przesunąć bramę i wychodek, bo inaczej w głowie mu się pomiesza, a on myślał, że ja go przeklinam, złapał bat i chciał mnie bić! No i co? Co się okazało? On sam kijem się podpira, zgarbiony, jak ma czas, to zaraz go niesie do szpitala, zgrywa umarlaka, udaje chorego, jak to nie jest wariactwo, to co? A Wątroba jeszcze lepszy, chłop z dziada pradziada, a mózg mu wyrósł drobnokapitalistyczny, w głowie mu zawróciła pryszczata „Lwiczka”. To chyba też jest wariactwo.

– No dobrze, przyjaciele – rzekłem. – Kończymy słuchać Policzkowych bajań. Zapraszam do stołu.

– Ale w naszej komunie feng shui też nie jest najlepsze – ciągnął Policzek. – Od starożytności wiadomo, że wrota urzędu powinny wychodzić na południe, a w naszym urzędzie wychodzą na północ. Naprzeciwko bramy jest rzeźnia, cały dzień krew się tam leje i śmierdzi mięsem. Jak z tym poszedłem do komuny, powiedzieli, że to są feudalne zabobony i mało brakowało, a by mnie posadzili. No i co się okazało? Stary sekretarz Qin Shan dostał częściowego paraliżu, a jego brat Qin He ma najprawdziwszą chorobę umysłową. Przyjechał nowy sekretarz Qiu, zabrał dziesięć osób z delegacją na południe i od razu mieli wypadek, jedni nie przeżyli, drudzy zostali ranni, nikt nie uszedł cało. Feng shui to ważna sprawa, możesz sobie być kim chcesz, lepszy od cesarza nie będziesz, a cesarz też przestrzegał feng shui...

– Do stołu! – zawołałem i szturchnąwszy Policzka, dodałem: – Mistrzu, feng shui jest bardzo ważne, ale jedzenie i wódka też są ważne.

– Jak nie zmienią tej bramy w komunie, dojdzie do wariactwa, coś się strasznego wydarzy, jak nie wierzysz, to jeszcze sam się przekonasz!

ROZDZIAŁ 5

Nieodwzajemniona miłość Wanga Wątroby do „Lwiczki” pchnęła go do wielu dziwnych zachowań, stała się tematem rozmówek przy herbacie i uczyniła z niego obiekt drwin. Ale ja z niego nie drwiłem, przeciwnie, budził we mnie współczucie i szacunek. Uważałem go za geniusza, który urodził się w złym miejscu i czasie, bo jego wielkie uczucie w sprzyjających okolicznościach mogłoby stać się tematem wspaniałego poematu śpiewanego przez wieki.

Kiedy byliśmy jeszcze dziećmi, kompletnymi ignorantami w sprawach miłości, serce Wątroby otworzyło się i zakochał się w „Lwiczce”. Pamiętam jego okrzyk sprzed wielu lat: „Ta «Lwiczka» to śliczna dziewczyna!”. Obiektywnie patrząc, „Lwiczka” wcale nie była śliczna, nie była nawet ładna. Kiedy ciotka kiedyś próbowała mi ją wyswatać, powiedziałem, że nie mogę przyjacielowi zabrać wymarzonej dziewczyny, ale to była tylko wymówka. W rzeczywistości po prostu mi się nie podobała. Ale dla Wątroby była najpiękniejszą kobietą na świecie.

Kiedy Wątroba wreszcie wrzucił do skrzynki swój pierwszy miłosny list do „Lwiczki”, był bardzo podniecony, więc zaciągnął mnie nad rzekę i tam zwierzył się ze swoich uczuć. To było lato 1970 roku, a my właśnie skończyliśmy technikum rolnicze. Na rzece kłębiła się powódź, niosąc ze sobą słomę i trupy zwierząt, w powietrzu krążyła jedna samotna mewa. Na spokojniejszej wodzie ojciec Wang Renmei łowił ryby, a nasz młodszy kolega Li Ręka przyglądał mu się, siedząc w kucki.

– Chcesz powiedzieć Ręce?

– To jeszcze dziecko, nie zrozumie.

Wspięliśmy się na rosnącą w połowie nabrzeża starą wierzbę i usiedliśmy w rozwidleniu konarów wyciągniętych ku rzece. Jej gałęzie sięgały wody i wzbudzały na niej drobne, rozedrgane, małe fale.

– Co się stało? No, mów.

– Ale najpierw przysięgnij, że nikomu nie powiesz.

– Dobrze, przysięgam, że jeśli kiedyś zdradzę tajemnicę Wangu Wątroby, niech wpadnę do rzeki i utonę.

– Dzisiaj... wreszcie wysłałem list – szepnął Wątroba drżącymi wargami. Twarz miał pobladłą.

– Do kogo? Taka poważna sprawa, to chyba do przewodniczącego Mao?

– Co ty gadasz! – zachnął się Wątroba. – Co ma do mnie przewodniczący Mao? Do niej! List do niej!

– Do kogo?! – spytałem niecierpliwie.

- Ale przysięgłeś, więc nikomu nie możesz powiedzieć...
- Nigdy nikomu nie powiem.
- Do niej, która jak niebo daleka, a przecież taka bliska.
- No dobra, przestań mnie trzymać w napięciu.
- Do niej. – Oczy Wątroby rozbłysły i rozmarzonym głosem powiedział: – Do mojej „Lwiczki”...
- A po co do niej pisałeś? Chcesz się z nią żenić czy co?
- Nie bądź przyziemny! – I Wątroba zaczął mówić ze wzruszeniem: – „Lwiczko”, moja najdroższa, wszystkimi siłami młodego serca ukochana „Lwiczko”... Moja jedyna, najukochańsza, wybac mi, że napisawszy twe imię, stukrotnie je ucałowałem...

Zrobiło mi się zimno, a na rękach pojawiła się gęsia skórka. Wątroba najwyraźniej cytował mi swój list. Obejmował rękami pień, przytulił twarz do szorstkiej kory, a w oczach błyszczały mu łzy.

– Od naszego pierwszego spotkania w domu Biegacza pozostaję pod twym urokiem. I od tamtej chwili aż po dziś dzień i na wieki moje serce należy tylko do ciebie. Gdybyś chciała je zjeść, bez wahania wyrwałbym je z piersi, by ci podać... Oczarowała mnie twoja różana twarz, twój uroczy nosek, twoje miękkie wargi, twoje rozwiane włosy i błyszczące oczy. Oczarował mnie twój głos, twój zapach, twój uśmiech. Twój jeden uśmiech sprawił, że zakręciło mi się w głowie i chciałem paść na kolana, objąć twoje nogi, podnieść głowę i patrzeć na twoją uśmiechniętą twarz...

Stary Wang gwałtownie poderwał wędkę i z błyszczącej żyłki trysnął sznur kropel migocących w słońcu jak perły. Zaczepiony na haczyku jasnożółty, malutki jak filiżanka żółwik mocno klapnął o nabrzeże. Leżał na plecach, zapewne oszołomiony, żałośnie pokazując biały brzusek i cztery sterczące łapki. Był śliczny.

– O, żółw! – krzyknął Li Ręka.

– „Lwiczko”, moja ukochana, jestem chłopskim synem, niskiego pochodzenia, a ty jesteś lekarzem, żywność kupujesz w sklepie, więc różnica socjalna między nami jest olbrzymia. Być może nawet na mnie nie spojrzysz, może gdy przeczytasz ten list, na twoje usta wypłynie pogardliwy uśmiech, a potem podrzesz go na strzępy; być może, dostawszy mój list, nie czytając, ciśniesz go do kosza, ale chcę ci powiedzieć, najdroższa, że gdybyś tylko zechciała przyjąć moją miłość, byłbym jak tygrys, któremu wyrosły skrzydła, jak rumak, który dostał wspaniałą uprzęż, moje siły stałyby się niezmierzone i jak po zastrzyku z koguciej krwi zebrałbym w sobie wolę i energię. Będzie chleb, mleko też będzie, a ja jestem pewien, że przy twojej zachęcie umiałbym zmienić swą pozycję społeczną i stanąłbym z tobą na równi, i też jadłbym żywność ze sklepu...

– Ej, co wy na tym drzewie robicie, powieść na głos czytacie?! – zawołał Li Ręka, zauważywszy naszą obecność.

– Ukochana, jeżeli mnie odtrącisz, nigdy się nie wycofam, nigdy nie zrezygnuję, będę cię kochał w milczeniu, pójdę za tobą wszędzie, uklęknię na ziemi i będę całował ślady twoich stóp. Stanę przed twoim oknem i będę patrzył na światło w twym pokoju od chwili, gdy je zapalisz, do czasu, gdy je zgasisz. Dla ciebie zmienię się w świecę i będę płonął, aż zgasnę. Najukochańsza, jeśli z miłości serce mi pęknie i umrę, gdybyś w swym miłosierdziu choć raz spojrzała na mój grób, byłbym szczęśliwy. Gdybyś nade mną uroniła chociaż jedną łzę, nie żałowałbym śmierci, bo twoja łza, ukochana, wskrzesiłaby mnie z martwych i byłaby dla mnie eliksirem nieśmiertelności...

Gęsia skórka zesłała mi z rąk. Natchniona deklamacja Wątroby zaczęła mnie wzruszać. Nigdy nie sądziłem, że aż tak zakochał się w „Lwiczce”, nigdy nie podejrzewałem go o literacki talent, który przejawiał się w tym namiętym i podniosłym liście. I w tym momencie poczułem, że otwały się przede mną wielkie wrota młodości, a Wątroba mnie do niej wprowadza. Chociaż nie wiedziałem jeszcze, czym jest miłość, jej wspaniały blask wzbudził we mnie gwałtowne pragnienie, by wpaść w nią głową naprzód jak ćma lecąca w płomień.

– Skoro tak ją kochasz, ona też cię na pewno pokocha – powiedziałem.

– Naprawdę? – Mocno chwycił moją rękę, oczy mu rozbłysły. – Naprawdę mnie pokocha?

– Pokocha, na pewno. – Oddałem mu uścisk. – A jeśli nie, to poproszę ciotkę, żeby była twoją swatką.

– Nie, nie wolno ci! Nie chcę, żeby ktoś ją nakłaniał. Ściśnięta dynia nigdy nie będzie słodka. Chcę zdobyć jej serce własną wytrwałością.

– Co wy tam wyprawiacie na górze?! – zawołał Li Ręka, zadzierając głowę.

Stary Wang podniósł garść błota i rzucił w naszym kierunku.

– Przestańcie gadać! – krzyknął. – Ryby mi płoszycie!

W dolnym biegu rzeki pojawiła się czerwono-niebieska motorówka. Silnik warczał niecierpliwie, a jego dźwięk budził jakiś niewytłumaczalny niepokój i lęk. Bieg rzeki był rwący i płynąca pod prąd łódź poruszała się wolno. Jej dziób podnosił białą pianę i rozcinał wodę w dwie bruzdy, które szły wzdłuż burt, a potem znów się łączyły. Nad wodą ciągnął się niebieskawy dym, niosąc do naszych nozdrzy zapach spalin. Kilkanaście szarych mew kołowało nad łodzią.

Motorówka przeznaczona była do wyłącznego użytku grupy do spraw kontroli urodzeń, czyli do użytku mojej ciotki. Oczywiście „Lwiczka” też znajdowała się na pokładzie. Władze powiatowe specjalnie zaopatrzyły ciotkę w motorówkę, aby – kiedy podczas powodzi zalewało most i komunikacja między brzegami była przerywana – zapobiec nielegalnym ciążom i innym nieprzewidzianym problemom, by w imię wysoko wzniesionej chorągwi na froncie walki o planową kontrolę urodzeń nie dopuścić do przekroczenia ich właściwej liczby. W niewielkiej kabinie motorówki zamontowane były dwa skórzane siedzenia, na rufie znajdował się silnik na ropę o mocy dwunastu koni, a przy dziobie dwa megafony, z których rozlegała się pieśń o Mao Zedongu. Była to hunañska melodia o słodkim i wdzięcznym brzmieniu. Łódź skręciła w kierunku naszej wsi. Melodia ucichła nagle, a dźwięk ciszy aż zakłuł w uszy. I wtedy przez megafon rozbrzmiał głos mojej ciotki:

– Wielki przewodniczący Mao nauczył nas, że liczba ludności musi zostać ograniczona, a przyrost kontrolowany...

W momencie, gdy motorówka ciotki ukazała się naszym oczom, Wątroba umilkł. Przez jego ciało przebiegł dreszcz, z rozchylonymi ustami i zawilgłymi oczami wpatrzył się w łódź. Gdy wpływając na główny prąd, przechyliła się nieco na bok, z jego warg wyrwał się okrzyk strachu, napiął mięśnie, jakby chciał wskoczyć do rzeki. Motorówka dotarła na spokojny nurt i cicho zbliżała się do nas. Silnik pracował miarowo. Przybyła ciotka. I przybyła „Lwiczka”.

Przy sterze siedział ktoś dobrze nam znany – Qin He. W końcowym okresie rewolucji kulturalnej jego brat odzyskał stanowisko sekretarza partii w Komitecie komuny. Młodszy brat, który zebrał na targu – niezależnie jak elegancko – nie przysparzał mu blasku. Bracia podobno odbyli ze sobą rozmowę, w czasie której Qin He wyraził przedziwne życzenie:

- Skieruj mnie do pracy na oddziale położniczym.
- Przecież jesteś mężczyzną, jak możesz tam pracować?
- Wielu położników to mężczyźni.
- Ale ty nie znasz się na medycynie.
- A po co mi medycyna?

I w ten sposób na wiele lat zasiadł przy sterze motorówki grupy do spraw kontroli urodzeń. Był zawsze przy mojej ciotce, jeśli pojawiała się potrzeba, kierował motorówką, jeśli nie – tylko beczynnie w niej siedział.

Włosy nadal miał rozdzielone przedziałkiem, jak często widywani na filmach młodzieńcy z czasów Ruchu 4 Maja. W gorącą letnią pogodę wciąż ubrany był w gruby gabardynowy mundurek szkolny, a w kieszonce miał pióro i dwukolorowy długopis. Jego twarz wydawała się ciemniejsza niż w czasie naszego pierwszego spotkania. Dłonią opartą na sterze kierował łódź do brzegu, zbliżając się do pokrzywionej wierzby. Silnik pracował teraz wolniej i ciszej, więc głos ciotki przez megafon brzmiał głośniejsze, bijąc w nasze bębny i zostawiając szum w uszach.

Po zachodniej stronie pokrzywionej wierzby na polecenie komuny wybudowano przystań przeznaczoną specjalnie dla motorówki: na czterech wielkich balach pionowo wystających z wody położono poziomo kolejne, przywiązano je drutem, a na nich przybito deski. Qin He przymocował cumę i stanął na dziobie. Silnik umilkł, megafon także ucichł, a my znów usłyszeliśmy szum wody i wołanie ptaków.

Pierwsza z kabiny wyłoniła się ciotka. Łódź zakołysała się, ciotka też się zachwiała i Qin He wyciągnął rękę, żeby ją podtrzymać, ale ciotka go odepchnęła. Jednym skokiem znalazła się na pomoście. Była już wtedy tęga, ale jej ruchy były zręczne jak dawniej. Zauważyłem, że głowę miała owiniętą bandażem, tak białym, aż kłuło w oczy.

Następna pokazała się „Lwiczka”. Niska i krępa, z wielką apteczką na plecach wydawała się jeszcze niższa. Choć dużo młodsza niż ciotka, ruszała się znacznie mniej zgrabnie. To przez nią Wątroba przytulał się do pnia, przez nią był blady i w oczach miał łzy.

Trzecią osobą, która wyszła z kabiny, była Huang Qiuya. Nie widziałem jej od lat – zgięta wpół, z głową wysuniętą do przodu, na pokrzywionych nogach ruszała się bardzo powoli. Stała na łodzi, chwiejąc się i machając rękami, jakby miała się za chwilę przewrócić. Najwyraźniej też zamierzała wysiąść, ale jej nogi nie mogły pokonać odległości do pomostu. Qin He przyglądał się jej obojętnie, nie próbując pomóc. Nachyliła się i jak mała obiema rękami chwyciła się krawędzi pomostu.

– Huang, ty zaczekaj w łodzi – powiedziała szorstko ciotka i nie odwracając głowy, rozkazała: – Pilnujcie jej dobrze, żeby nie uciekła.

Rozkaz przeznaczony był wyraźnie dla Huang Qiuyi i dla Qin He, bo zobaczyłem, jak mężczyzna natychmiast pochyła się i zagląda do kabiny. I w tym momencie usłyszałem cichy kobiecy płacz.

Ciotka wyszła na brzeg i wielkimi krokami ruszyła na wschód po nabrzeżu, a „Lwiczka”, ledwo nadążając, potruchtała za nią. Zobaczyłem, że na bandażu ciotki pojawiła się świeża krew, policzki miała napięte, ostre spojrzenie, a na twarzy wyraz determinacji, a nawet mściwości. Oczywiście Wątroba nie patrzył na moją ciotkę – nie odrywał spojrzenia od „Lwiczki” i coś szeptał. Trochę mu współczułem, ale jeszcze bardziej go podziwiałem, bo nigdy przedtem nie sądziłem, że mężczyzna zakochany w kobiecie może się doprowadzić do takiego stanu.

Później dowiedzieliśmy się, skąd wzięła się rana na głowie ciotki: zdarzyło się to w Dongfengu, wsi znanej z gwałtowności mieszkańców, w której przed wyzwoleniem było pełno bandytów. Mąż kobiety, która miała już trzy córki, a teraz zaszła w ciążę po raz czwarty, uderzył ciotkę pałką. Nazywał się Zhang Pięść, miał wytrzeszcz i był tak silny, że we wsi wszyscy się go bali. W Dongfengu, jeśli kobieta z dwójką dzieci miała jednego syna, podwiązywano jej jajowody, jeśli dwie córki, zakładano jej spiralę. Ciotka mówiła, że przez wzgląd na sytuację we wsi takich kobiet nie zmuszano do operacji, ale założenie spirali było poza dyskusją. Matkę trojga dzieci, nawet jeśli były to same córki, bezwzględnie poddawano operacji. W ponad pięćdziesięciu wsiach podlegających komunie tylko żona Zhanga Pięści nie dość, że nie miała założonej spirali i nie przeszła operacji, to jeszcze zaszła w ciążę. W wielką ulewę ciotka i jej grupa popłynęli do Dongfengu, żeby ją zabrać do szpitala na aborcję. Motorówka ciotki była jeszcze na rzece, kiedy sekretarz Qin Shan zadzwonił do sekretarza partii w Dongfengu Zhanga Złotego Zęba z rozkazem, że ma wszelkimi środkami, nawet przy użyciu siły, odstawić żonę Pięści na aborcję.

Ciotka opowiadała, że Zhang Pięć z ogromną pałąką w rękach stał w drzwiach i z czerwonymi z wściekłości oczami obrzucał ich przekleństwami. Żółty Ząb i miejscowi milicjanci stanęli naokoło w bezpiecznej odległości. Żaden nie śmiał się zbliżyć. Trzy córeczki Pięści klęczały przy drzwiach i chlipiąc i siąkając nosami, powtarzały wyuczone słowa: „Dobrzy wujkowie, dobre ciocie, dobrzy bracia i siostry, nie zabierajcie naszej mamy, nasza mama ma zapalenie serca, jeśli zrobicie jej aborcję, na pewno umrze, a jak mama umrze, będziemy sierotami...”. Ciotka opowiadała, że to przedstawienie było bardzo skuteczne, bo wiele przyglądających się kobiet też zaczęło płakać. Ale oczywiście były również takie, których to nie wzruszyło. Matki dwojga dzieci, którym założono spiralę, i matki trojga, które przeszły operację, z gniewem patrzyły na kobietę spodziewającą się czwartych narodzin.

– Na świecie musi być sprawiedliwość. Gdybym pozwoliła żonie Pięści urodzić czwarte dziecko, te baby żywcem by mnie obdarły ze skóry – mówiła ciotka. – Gdybym ustąpiła Zhangowi, nie dałoby się już realizować polityki kontroli urodzeń, a to by była większa hańba niż rzucenie czerwonej flagi na ziemię. I dlatego dałam znak i razem z „Lwiczka” i Huang Qiuyą zaczęłyśmy podchodzić do Pięści. „Lwiczka” to dobre i wierne dziecko, więc wyrwała się naprzód, żeby zasłonić mnie przed jego pałką, ale złapałam ją i odepchnęłam do tyłu. Huang Qiuya, ta kapitalistyczna inteligentka, może i umie co nieco, ale w sytuacji, gdy śmierć jej zajrzała w oczy, od razu kości jej zmiękły.

Ciotka wielkimi krokami szła w stronę Zhanga Pięści.

– Wyzywał mnie tak, że przykro było słuchać. Gdybym wam powtórzyła jego wyzwiska, wy miałibyście brud w uszach, a ja w ustach. Ale wtedy byłam jak ze stali i nic mnie nie obchodziło moje bezpieczeństwo. „Zhangu Pięść – powiedziałam – przeklinaj mnie, jak chcesz, możesz mnie nazywać kurwą, suką, diabolicą, ale twoja żona musi z nami pójść”. A gdzie?” – spytał. „Do szpitala”.

Wpatrzona w złowrogą twarz ciotka krok po kroku zbliżała się do Pięści. Jego trzy córki rzuciły się na nią z wrzaskiem i przekleństwami; dwie mniejsze uczepliły się nóg, najstarsza głową uderzyła ją w brzuch. Usiłowała je strząsnąć, ale uczepliły się jak pijawki. Poczowała w kolanie ostry ból, bo jedna z dziewczynek ją ugryzła. Znowu dostała cios w brzuch i przewróciła się na plecy. „Lwiczka” złapała najstarszą za kark i odciągnęła na bok, ale tamta skoczyła na nią i znów zaczęła bóść. „Lwiczka” przycisnęła jej nos do metalowej sprzączki przy pasku, z rozciętego nosa popłynęła krew i dziewczynka zaczęła ocierać sobie twarz z wyrazem grozy i rozpacz. Zhang Pięść jakby całkiem oszalał, rzucił się na „Lwiczkę” z podniesioną do ciosu pałką, ale ciotka zerwała się z ziemi i jednym skokiem znalazła między nimi. Cios przeznaczony dla „Lwiczki” spadł prosto na jej czoło. Znowu upadła, a „Lwiczka” krzyknęła:

– Czyście wszyscy pomarli?!

Złoty Ząb i jego milicjanci rzucili się na Pięść, przewrócili go na ziemię i wykręcili mu ramiona do tyłu. Jego córki chciały im przeszkodzić, ale kobiety zatrzymały je na miejscu. „Lwiczka” i Huang Qiuya wyjęły z apteczki bandaż i zaczęły owijać nim głowę ciotki, warstwa po warstwie, a gdy przesiąkał krwią, nawijały kolejną. Ciotce kręciło się w głowie i dzwoniło w uszach, przed oczami latały jej mroczki i wszystko widziała na czerwono. Ludzkie twarze miały kolor koguciego grzebienia, nawet drzewa były czerwone jak ogarnięte płomieniem.

Znad brzegu przybiegł Qin He i widząc, że ciotka jest ranna, najpierw znieruchomiał, a potem krzyknął i z ust puściła mu się krew. Gdy ludzie podbiegli, żeby go podtrzymać, odepchnął ich i zataczając się jak pijany, podniósł zakrwawioną pałkę i zamierzył się nią na Zhanga.

– Zostaw! – krzyknęła ciotka. Podniosła się z trudem i krzyknęła na niego: – Miałeś nad rzeką łodzi pilnować, po coś tu przyszedł? Tylko większe zamieszanie robisz.

Na twarzy Qin He pojawiło się zmieszanie, rzucił pałkę i oddalił się.

Ciotka odsunęła podtrzymującą ją „Lwiczkę” i podeszła do Pięści. Rozległ się płacz wlokącego się noga za nogą Qin He, ale ciotka nawet się nie obejrzała, wpatrując się w Zhanga. Cały czas mamrotał przekleństwa, ale w jego oczach pojawił się strach.

– Puście go! – rozkazała milicjantom wykręcającym mu ramiona.

Milicjanci zawahali się.

– Puście go! – powtórzyła, a gdy posłuchali, rozkazała:
– Oddajcie mu pałkę!

Jeden z milicjantów podniósł pałkę i rzucił mu pod nogi. Ciotka uśmiechnęła się zimno.

– Podnieś!

– Każdego, kto będzie chciał mi dziecko skrzywdzić, zabiję! – wybełkotał Pięść.

– Dobrze! Niech będzie, że masz jaja. – Ciotka wskazała na swoją głowę. – Tu uderz! No dalej!

Podeszła do niego bliżej i krzyknęła:

– Ja, Wan Serce, gotowa jestem dzisiaj umrzeć! Nie bałam się, jak mnie w czasie wojny Japończycy chcieli zakłuć nożami, a ciebie mam się bać?!

Złoty Ząb popchnął Zhanga w jej stronę.

– Natychmiast przeproś kierowniczkę Wan!

– Mnie niepotrzebne jego przeprosiny! – odpowiedziała ciotka. – Planowanie urodzeń to sprawa o wielkim znaczeniu dla kraju. Jeśli nie ograniczymy liczby ludności, nie będziemy mieli ani co jeść, ani w co się ubrać, trudno się będzie wykształcić, podnieść nasz poziom, trudno będzie nam wzmocnić i wzbogacić ojczyznę. Jeśli mam umrzeć za tę wielką sprawę, to też będzie warto!

– Zhangu Żółty Zębie – wtrąciła się „Lwiczka” – natychmiast zadzwonił do biura bezpieczeństwa, żeby przysłali ludzi.

Żółty Ząb kopnął Zhanga Pięść i rozkazał:

– Na kolana i błagaj o wybaczenie!

– Nie trzeba! Słuchaj, Pięść, już za to, że rozbiłeś mi głowę, należą ci się trzy lata! Ale z tobą zrobimy inaczej, tobie odpuszczę. Masz przed sobą dwie drogi. Jedna jest taka, że każesz żonie grzecznie pójść z nami i poddać się aborcji, a ja osobiście przeprowadzę operację i gwarantuję, że nic się nie stanie. A druga – oddamy cię do urzędu bezpieczeństwa i tam się tobą zajmą. Jak twoja żona pójdzie z nami, dobrze, a jak nie – ciotka odwróciła się do Żółtego Zęba i jego milicjantów – wy odpowiadacie, żeby ją nam dostarczyć.

Zhang Pięść klęczał na ziemi, obiema rękami obejmował głowę i zawodził:

– O ja nieszczęsny, od trzech pokoleń tylko jeden syn w rodzinie, a teraz ród Zhangów ma się skończyć? O dobre niebo, otwórzże oczy...

Jego żona z płaczem wybiegła na podwórko. We włosach miała słomę, więc pewnie chowała się w stogu.

– Kierowniczo, miejcie litość, odpuśćcie mu, pójdę z wami...

Ciotka i „Lwiczka” szły nabrzeżem w kierunku naszej wsi, pewnie po to, by zameldować o wszystkim władzom brygady, ale gdy zeszły z nabrzeża i weszły w uliczkę prowadzącą do siedziby władz, kobieta ukryta w kabinie – żona Zhanga Pięści – wymknęła się z niej i wskoczyła do rzeki. Qin He skoczył za nią, ale nie umiał pływać i natychmiast poszedł na dno. Po chwili z najwyższym trudem udało mu się wystawić głowę i znów zaczął tonąć. Huang Qiuya zaczęła krzyczeć:

– Ratunku! Ratunku!

Siedząc na drzewie, zobaczyliśmy, jak ciotka i „Lwiczka” zawróciły i pobiegły z powrotem na nabrzeże.

Wątroba swobodnym, pięknym szczupakiem śmignął do wody. Wyrośliśmy nad rzeką i pływać nauczyliśmy się razem z chodzeniem, a pokrzywiona wierzba wyrosła tu chyba specjalnie po to, żebyśmy mogli z niej ćwiczyć skoki. Miałem tylko nadzieję, że „Lwiczka” widziała pięknego szczupaka Wątroby. Skoczyłem zaraz za nim, a Li Ręka za mną. Właściwie powinniśmy najpierw ratować ciężarną kobietę, ale nigdzie nie było jej widać. Nieszczęsny Qin He miotał się jak pasek ciasta wrzucony do wrzącego oleju.

– Złapcie go za włosy! – krzyczał do nas stary Wang. – Uważajcie na jego rękę!

Wątroba podpłynął i schwycił go za włosy. Potem mówił mi, że Qin He ma świetną czuprynę, zupełnie jak końska grzywa.

Wątroba był najlepszym pływakiem z nas wszystkich. Potrafił wziąć w ręce ubranie i przepłynąć na drugi brzeg, a na ubranie nie padła nawet jedna kropla. A teraz miał okazję zademonstrować swoje umiejętności ukochanej! Ja i Ręka płynęliśmy koło niego aż do momentu, kiedy dotaszczył Qin He na brzeg.

Nadbiegły ciotka i „Lwiczka”.

– Po co ten głupek skakał do rzeki? – spytała gniewnie ciotka.

Qin He wygramolił się na brzeg i z jękiem wypluwał wodę.

– Żona Zhanga wskoczyła do wody – powiedziała z płaczem Huang Qiuya. – Chciał ją ratować.

Ciotka ze zmienioną twarzą spojrzała na rzekę.

– Gdzie ona jest? Gdzie jest?

– Wskoczyła i znikła...

– Przecież kazałam ci jej pilnować! – warknęła ciotka już w łodzi: – Będziesz za to odpowiadać! Płyniemy!

„Lwiczka” niezdarnie próbowała uruchomić silnik, ale nie chciał zapalić.

– Qin He! – krzyknęła ciotka. – Chodź tu i zapal silnik!

Qin He wstał chwiejnie, zgarbił się, zaczął wymiotować i znów upadł na kolana.

– Biegacz, Wątroba! Pomóżcie nam ją ratować! Dostaniecie nagrodę!

Wbiliśmy oczy w rzekę, dokładnie przeszukując ją wzrokiem. Była szeroka i wzburzona, niosła ze sobą pianę i trawy. Nagle Li Ręka wskazał na skórkę arbuza unoszącą się na spokojnym nurcie.

– Popatrzcie tam!

Skórką arbuza najwyraźniej nie płynęła sama, bo od czasu do czasu podnosiła się nad powierzchnię wody i ukazywała kark i włosy kobiety. Ciotka odetchnęła, usiadła na burcie i roześmiała się. Już chcieliśmy skoczyć do wody, ale nas powstrzymała:

– Nie ma pośpiechu! – po czym zwróciła się do „Lwiczki”: – Umiesz pływać?

„Lwiczka” pokręciła głową.

– Widocznie, jak się pracuje przy kontroli urodzeń, trzeba nie tylko umieć znosić bicie, ale należy jeszcze nauczyć się pływać – stwierdziła ciotka i pokazując na unoszącą się na wodzie skórkę od arbuza, dodała ze śmiechem: – Patrzcie, nie tylko pływa jak ryba, ale jeszcze umie się kamuflować, jak partyzanci za japońca.

Ciągle zgarbiony Qin He wszedł do łodzi. Ociekał wodą, miał zmierzwiłone włosy, bladą twarz i sine usta.

– Płyniemy! – rozkazała ciotka.

Qin He korbą uruchomił silnik. Chyba kręciło mu się w głowie, bo cały drżał i w kącikach ust zbierała mu się piana. Pomogliśmy mu odwiązać cumę od pomostu i ciotka zawołała do nas:

– Wsiadajcie do łodzi!

Mogłem sobie wyobrazić wzruszenie Wątroby, gdy siedział na burcie, bokiem stykając się z „Lwiczką”. Widziałem, jak drżą mu palce u dłoni opartych na kolanach, a przez mokrą, przyklejoną do ciała koszulę można było wyczuć, jak tłucze się w nim serce, niczym zając zamknięty w klatce, objijający się o pręty. Siedział sztywny i nieruchomy, ale pulchna „Lwiczka” nic nie zauważała, wpatrzona tylko w skórkę arbuza na wodzie.

Qin He skierował łódź na spokojny nurt przybrzeżny, silnik pracował cicho, a Li Ręka stał koło sternika i przyglądał się, co ten robi, jakby chciał się od niego uczyć.

– Powoli – rzekła ciotka. – Jeszcze zwolnij.

Dziób łodzi zbliżył się na pięć metrów do skórki. Z tej odległości wyraźnie widzieliśmy ukrytą pod nią głowę kobiety.

– Dobra pływaczka – stwierdziła ciotka. – Piąty miesiąc ciąży i proszę bardzo.

Kazała „Lwiczce” włączyć nagranie. „Lwiczka” posłusznie wstała, schyliła się i wślizgnęła do kabiny, a na twarzy Wątroby, gdy poczuł pustkę przy swoim boku, ukazał się smutek i rozczarowanie. O czym teraz myślał? Czy „Lwiczka” dostała jego piękny, namiętny list?

Kiedy tak dumiałem, nagle odezwał się ostry głos z megafonu. Choć się go spodziewałem, przestraszył mnie ten dźwięk.

– Wielki przewodniczący Mao nauczył nas, że liczba ludności musi zostać ograniczona...

Ciężarna kobieta zrzuciła z włosów arbuzową skórkę i wystawiła głowę nad mętną wodę. Obejrzała się z przerażeniem, a potem gwałtownie zanurkowała.

Ciotka uśmiechnęła się, dała Qin He znak, żeby jeszcze zwolnił i rzekła cicho:

– Muszę zobaczyć, jak dobrze pływają te kobiety z Dongfengu.

„Lwiczka” wyszła z kabiny, wepchnęła się na dziób i niespokojnie zapatrzyła w wodę. Widocznie niebo naprawdę spełnia ludzkie pragnienia, bo jej pełne ciało znów było blisko Wątroby i jego chuda sylwetka ciasno stykała się z dziewczyną. Nawet mu trochę zazdrościłem! Jej ciało było tak pulchne, tak mocne! Próbowałem zgadnąć, co teraz czuł. Zapewne poczuł, jaka jest miękka i ciepła, zapewne poczuł... i serce zaczęło mi głośno walić. Zawstydziłem się własnych brudnych myśli, szybko oderwałem od nich wzrok, wsadziłem rękę do kieszeni spodni i mocno uszczypnąłem się w udo.

– Wypłynęła! Wypłynęła! – krzyknęła „Lwiczka”.

Kobieta wynurzyła się jakieś pięćdziesiąt metrów od dziobu naszej łodzi. Obejrzała się, rozciągnęła na wodzie i uderzając w nią mocno ramionami, szybko popłynęła z prądem.

Ciotka skinęła na Qin He. Silnik mruknął głośniej, łódź przyśpieszyła i zaczęła zbliżać się do ściganej. Ciotka z kieszeni spodni wyciągnęła zmiętą paczkę papierosów, rozerwała ją, wyjęła jednego i włożyła do ust. Wymacała w kieszeni zapalniczkę, pstryknęła kilka razy i wreszcie pojawił się płomyk. Zmrużyła oczy, wydychając z ust smużkę dymu. Nad wodą podniósł się wiatr i fale się zwiększyły. Nie mogłem uwierzyć, że można ścigać się z silnikiem o mocy dwunastu koni mechanicznych. Z megafonu znów zabrzmiała hunañska pieśń o Mao Zedongu: *rzeka Liuyang popłynęła – dziewięcioma zakrętami – dziewięćdziesiąt mil minęła – wpadła do Xiangjiangu...* Ciotka wyrzuciła peta do rzeki, a jedna mewa sfrunęła na dół, chwyciła go w dziób i wzbija się do góry.

Płyta skończyła się i muzyka ucichła. „Lwiczka” odwróciła głowę i spojrzała na ciotkę, ale ona potrząsnęła głową, po czym krzyknęła głośno:

– Geng Xiulian, dasz radę dopłynąć do morza?

Kobieta nie odpowiedziała, wciąż młóciła rękami wodę, ale płynęła już wyraźnie wolniej.

– Mam nadzieję, że zmądrzałaś – mówiła dalej ciotka. – Wsiadaj do łodzi i zabieramy cię na zabieg.

– Upór tylko pogarsza sprawę! – zawołała gniewnie „Lwiczka”. – Choćbyś nawet mogła dopłynąć do morza, tam także cię dogonimy!

Kobieta rozplakała się rozdzierająco, a jej ramiona z każdym zamachem poruszały się wolniej.

– Zmęczyłaś się? – „Lwiczka” się roześmiała. – Jak dasz radę, to płyn dalej.

Ciało kobiety coraz głębiej zanurzało się w wodzie i wydawało się, że w powietrzu pojawił się silny odór krwi. Ciotka wychyliła się za burtę, przyjrzała wodzie i krzyknęła:

– Niedobrze! Szybciej, wyprzedź ją! – rozkazała Qin He, a potem zwróciła się do nas. – Do wody! Wyciągnijcie ją!

Wątroba niemal przefrunął nad burtą, a ja i Ręka za nim. Qin He skręcił nieco, opływając kobietę z boku. Ja i Wątroba zbliżyliśmy się do niej pierwsi; wyciągnąłem rękę i gdy chwyciłem jej lewe ramię, jej prawa ręka owinęła się wokół mnie jak macka ośmiornicy i wepchnęła mnie pod wodę. Wrzasnąłem i zachłysnąłem się, wciągając w usta wielki haust wody. Dopiero gdy Wątroba złapał ją mocno za włosy i szarpnął do góry, a Ręka poderwał jej ramię, zdołałem wynurzyć się na powierzchnię. Przed oczami miałem mrok i rozkaszałem się gwałtownie. Łódź była już przed nami i Qin He wyłączył silnik. Uderzyłem ramieniem w burtę, ciało kobiety też się z nią zderzyło. Ciotka, „Lwiczka” i Qin He wychylili się i zaczęli ją wciągać za włosy i ręce, my z dołu podsadzaliśmy ją za biodra i nogi, i wreszcie, wśród chaotycznych okrzyków, wspólnymi siłami udało się nam umieścić ją na pokładzie.

Wszyscy zobaczyliśmy krew na jej nogach.

– Wy nie musicie wsiadać, sami dopłyniecie do brzegu –
powiedziała nam ciotka i natychmiast krzyknęła do Qin He:
– Szybko, zawracaj! Szybciej! Szybciej!

Chociaż zrobili wszystko, co w ich mocy, Geng Xiulian
umarła.

ROZDZIAŁ 6

Dowódca pokazał mi pilny telegram, z którego wynikało, że moja żona Wang Renmei zaszła powtórnie w ciążę.

– Jesteś członkiem partii i oficerem – rzekł surowo. – Masz zaświadczenie o posiadaniu tylko jednego dziecka i z tego tytułu co miesiąc pobierasz dodatek do pensji, więc dlaczego twoja żona jest znowu w ciąży?

Nie wiedziałem, co odpowiedzieć.

– Wracaj natychmiast do domu i rozwiąż sprawę! – rozkazał dowódca.

Mój nagły przyjazd wszystkich zaskoczył. Dwuletnia córeczka schowała się za babcią i przyglądała mi się z lękiem.

– Co się stało, że tak przyjeżdżasz bez zapowiedzi? – spytała matka z niepokojem.

– Mam wyjazd służbowy, więc wpadłem przy okazji.

– Yanyan, to twój tata, przywitaj się ładnie. – Mama popchnęła córkę do mnie i rzekła: – Jak cię nie ma, to mała całymi dniami nudzi, że chce tatę zobaczyć, a jak przyjechałeś, to się boi.

Nachyliłem się i próbowałem wziąć małą na rękę, ale zaczęła płakać. Matka ciężko westchnęła.

– Tak się pilnowaliśmy, tak uważaliśmy, ale i tak się wydało. – Jak to możliwe? – spytałem gniewnie. – Przecież miała założoną spiralę!

– Ja się dowiedziałam dopiero, jak już było widać. Przed twoją poprzednią wizytą poszła do Yuana Policzka, żeby jej wyjął.

– To bydlak! – warknąłem wściekły. – Czy on nie wie, że to jest nielegalne?

– Ale nie możesz go wydać. Renmei go wiele razy błagała, a potem jeszcze Wang Nerka prosiła w jej imieniu i dopiero się zgodził.

– Przecież to niebezpieczne – powiedziałem. – Yuan Policzek zajmuje się kastrowaniem świń i psów, a tu nagle miał kobiecie spiralę wyjmować. A jakby coś źle poszło?

Mama ściszyła głos.

– On to już wielu kobietom zrobił. Twoja żona mówiła, że jest w tym bardzo biegły, ma taki żelazny haczyk, raz-dwa i już.

– Łajdak! – wybuchnąłem.

– Nie denerwuj się. – Mama spojrzała na mnie z niepokojem. – Wang Nerka z nią poszła. W czasie zabiegu miał maskę na twarzy, okulary i gumowe rękawiczki, a haczyk najpierw przetarł spirytusem, a potem wypalił ogniem, na pewno nie było zarazków. Twoja żona mówiła, że nawet spodni nie musiała zdejmować, tylko w kroku zrobił dziurkę i już.

– Nie o to chodzi.

– Biegaczu – powiedziała mama ze smutkiem – obaj twoi bracia mają synów, tylko ty jeden nie masz. Ja się tym strasznie martwię. Tak sobie myślę, żebyś może pozwolił jej urodzić.

– Chciałbym, ale kto zagwarantuje, że to na pewno będzie syn?

– Mnie się wydaje, że syn. Zapytałam Yanyan: „Yanyan, u mamy w brzuchu jest braciszek czy siostrzyczka?”, a ona mówi: „braciszek!”. Jak małe dziecko coś powie, na pewno się sprawdzi. A poza tym nawet jeśli to córka, byłoby dobrze, żeby Yanyan miała kogoś bliskiego, bo jak coś się nieszczęśliwie wydarzy, jak sobie sama poradzi? Ja już jestem stara, jak oczy zamknę, nic mnie nie będzie obchodzić. Ja się o ciebie martwię!

– Mamo – westchnąłem – w wojsku obowiązują przepisy, za drugie dziecko usuną mnie z partii, zdegradują do cywila i wyślą do pracy na wieś. Tyle lat pracowałem, żeby się stąd wyrwać, i mam z tego wszystkiego zrezygnować przez jeszcze jedno dziecko?

– Partia i stanowisko są cenniejsze od dziecka? Jak się ma ludzi, ma się świat, a jak nie masz potomka, to choćbyś był największym dygnitarzem, zastępcą samego przewodniczącego Mao, to jakie to ma znaczenie?

– Przewodniczący Mao już dawno nie żyje.

– Przecież wiem – odpowiedziała mama – to był tylko przykład.

Skrzypnęły drzwi i Yanyan zawołała:

– Mamo, tata przyjechał!

Córeczka przebierając nóżkami, niezgrabnie podbiegła do Renmei. Moja żona miała na sobie szarą kurtkę, którą nosiłem jeszcze przed pójściem do wojska. Brzuch już było jej widać. Na zgiętej ręce trzymała czerwony tobołek, z którego wystawały kolorowe ścinki materiału. Schyliła się, podniosła dziecko i z przesadnie radosnym uśmiechem zawołała:

– Ojej, Biegaczu, a ty co tu robisz?!

– A co nie mogę już do domu przyjechać? – odparłem wrogo. – To przez ciebie!

Jej pokryta rumieniem twarz pobieliała, a po chwili oblała się czerwienią.

– A co ja takiego zrobiłam? Całymi dniami pracuję, wieczorami zajmuję się dzieckiem, nic złego nie zrobiłam!

– I jeszcze kłamiesz! A po co byłeś u Policzka? I czemu mi nie powiedziałaś?

– Zdrajca! Łajdak! – Renmei postawiła dziecko, wpadła do domu i kopnięciem odrzuciła stołek, który jej stanął na drodze. – Który łajdak ci powiedział?

Yanyan na podwórku rozpląkała się. Mama usiadła przy kuchni i łzy popłynęły jej po policzkach.

– Nie krzycz i nie przeklinaj – powiedziałem. – Idziemy do szpitala, zrobimy, co trzeba, i tyle.

– Nie ma mowy! – Renmei cisnęła lusterko na ziemię i krzyknęła: – Dziecko jest moje! W moim brzuchu! Ktokolwiek mu krzywdę zrobi, powieszę się u drania na ogrodzeniu!

– Biegaczu, zostaw tę partię i to stanowisko, wróć na wieś na rolę, to przecież nic strasznego! – powiedziała matka. – Dziś już nie czasy komuny ludowej, każdy na swoim pracuje, zboża masz tyle, że nie przejesz... tak mi się zdaje, że może tak będzie lepiej...

– Nie. Absolutnie nie!

Renmei w pokoju z rumorem przeszukiwała komodę.

– To nie jest tylko moja sprawa – powiedziałem. – Tu chodzi o dobre imię mojej jednostki.

Renmei wyszła z wielkim tobołkiem w rękę. Zagroziłem jej drogę.

– A ty dokąd?

– Nie twoja sprawa!

Chwyciłem za tobołek, nie pozwalając się jej ruszyć. Wyciągnęła zza pazuchy nóż i przytknęła sobie do szyi. Z płonącymi oczami krzyknęła strasznym głosem:

– Puszczaj!

– Biegacz! – krzyknęła mama.

Znałem charakter mojej żony.

– Idź – powiedziałem. – Możesz się schować dzisiaj, ale i tak znajdę cię jutro. Choćby nie wiem co, musisz usunąć ciężę!

Podniosła tobołek i wybiegła. Córeczka pobiegła za nią z wyciągniętymi rączkami, potknęła się i przewróciła. Renmei nawet na nią nie spojrzała. Wybiegłem na podwórze i wziąłem Yanyan na ręce, ale zaczęła się szarpać i wyrywać, z płaczem wołając mamę. Mnie też łzy puściły się z oczu.

Mama, opierając się na lasce, podeszła niepewnym krokiem i powiedziała:

– Synku, pozwól jej urodzić... Bo tak się nie da żyć...

ROZDZIAŁ 7

Córeczka płakała cały wieczór i nie dała się uspokoić.

– Idź do teściów – powiedziała mama.

Z dzieckiem na ręku zapukałem do drzwi teściów.

– Biegaczu, moja córka wyszła za ciebie, teraz wy jesteście jej rodziną – powiedział teść przez drzwi. – Czemu jej szukasz u nas? Jeśli mojej córce coś się stanie, będziesz miał ze mną do czynienia.

Poszedłem do Chena Nosa. Na bramie wisiała kłódka, podwórko było ciemne.

Poszedłem do Wątroby. Stukałem i stukałem, aż za bramą rozległo się wściekle szczekanie psa. Wreszcie zapaliło się światło, furtka otworzyła się i Wang Stopa z pałką w ręku stanął w przejściu i spytał niechętnie:

– Czego?

– Wujku, to ja.

– Widzę, że ty. Czego?

– Jest Wątroba?

– Umarł! – warknął Stopa i zatrzasnął furtkę.

Oczywiście Wątroba nie umarł naprawdę. Przypomniałem sobie, jak w czasie mojej ostatniej wizyty mama opowiadała, że Stopa wypędził go z domu i od tej pory Wątroba włóczy się gdzieś, jedynie czasem pojawiając się we wsi. Nie wiadomo, gdzie teraz jest.

Yanyan zmęczyła się płaczem i usnęła w moich objęciach. Niosłem ją i szedłem bez celu ulicą, przygnębiony, nie wiedząc, co robić. Dwa lata temu do wsi wreszcie doprowadzono elektryczność i na dwóch betonowych słupach za wiejskim komitetem, na których zawsze wisały dwa wielkie megafony, teraz paliła się latarnia. Pod nią stał niebieski stół do bilardu i kilku hałaśliwych młodzieńców rozgrywało na nim partię. Niedaleko nich na kwadratowym stołku siedział pięcioletni mniej więcej chłopiec, trzymając w ręku elektroniczny keyboard – zabawkę, na której dałoby się zagrać pojedyncze dźwięki. Po jego twarzy zgađłem, że to syn Policzka.

Stałem przed nowo zbudowaną, szeroką bramą do domu Policzka. Chwilę się wahałem, zanim w końcu zdecydowałem się wejść. Kiedy pomyślałem, że usunął Renmei spiralę, ogarnęło mnie dziwne uczucie. Gdyby był prawdziwym lekarzem, nic nie mógłbym powiedzieć, ale tak... jasna cholera z tym wszystkim!

Moja wizyta zaskoczyła go. Siedział na kangu i pił sam ze sobą. Na stoliku stał talerzyk z orzeszkami, drugi z soloną rybą i miska z jajecznicą. Boso zeskoczył z kangu i uparł się, że muszę się z nim napić. Kazał żonie przynieść coś do jedzenia; znałem ją ze szkoły, na twarzy miała białawe wypryski, więc przezywaliśmy ją „Bawełna”.

– Nieźle ci się żyje. – Usiadłem na stołku.

„Bawełna” chciała zabrać ode mnie dziecko, mówiąc, że na kangu lepiej się wyśpi. Certowałem się trochę i w końcu podałem jej Yanyan.

Rozpałała ogień, żeby usmażyć nam rybę do wódki. Chciałem ją powstrzymać, ale tłuszcz na patelni zaczął już skwierczeć i w powietrzu rozniósł się przyjemny zapach.

Policzek nalegał, żebym zdjął buty i usiadł z nim na kangu, i choć wymawiałem się, że szkoda zachodu, bo zaraz będę szedł, w końcu musiałem ustąpić i bokiem przysiadłem na brzeżku. Nalał wódki i postawił kieliszek przede mną.

– Przyjacielu, nie byle jaki gość z ciebie – oświadczył. – To jaki stopień masz teraz? Pułkownik czy major?

– E tam, tylko malutki porucznik. – Podniosłem kieliszek i wychyliłem do dna. – Ale nawet tego już długo nie zachowam, niedługo przyjdzie wrócić do pracy na roli.

– Co też ty mówisz? – Też wypił do dna i rzekł: – Ty z nas wszystkich masz przed sobą najjaśniejszą przyszłość. Co prawda Dolna Wargę i Li Rękę poszli na studia – a ten stary sukinsyn Xiao Górna Wargę chwali się wszędzie, że jego syna skierowali do pracy w radzie państwowej – ale nawet oni nie mogą równać się z tobą. Dolna Wargę ma szerokie policzki, wąskie czoło i spiczaste uszy, typową twarz gońca w urzędzie. Li Ręka ma twarz atrakcyjną, ale wielkiego szczęścia nie zapowiada. A ty – nogi żurawia, ramiona małpy, oczy smoka, źrenice feniksa, żeby nie to łzawe znamię pod prawym okiem miałbyś twarz cesarską. Ale jeśli by to wypalić laserem, marszałka może by z ciebie nie było, ale generał – bez problemu.

– Nie gadaj tyle. Na targu ludziom takie rzeczy opowiadaj, ale nie mnie.

– To jest sztuka fizjonomiki, wielka wiedza przekazana mi przez przodków – odpowiedział.

– Nie mydl mi oczu. Jestem tu, żeby się z tobą policzyć, bo mi, cholera, wielką krzywdę wyrządziłeś.

– Ja?! Ja ci nic złego nie zrobiłem!

– Tak? A kto nielegalnie wyjął Renmei spiralę? – ściszyłem głos. – Jeszcze nie jest najgorzej. Ktoś zawiadomił dowództwo, wezwali mnie i powiedzieli, że jeśli Renmei podda się aborcji, nie zaborą mi stanowiska i nie wyrzucą z partii. Ale Renmei uciekła i powiedz mi, co mam teraz zrobić?

– Ale o czym ty mówisz? – Policzek przewrócił oczami i rozłożył ręce. – Kiedy ja Renmei usunąłem spiralę? Ja stawiam wróżby, objaśniam trygramy, obliczam układ jin i jang, dni pomyślne i niepomyślne, wyznaczam feng shui – to jest moja profesja. Żebym ja, chłop, spirale babom wyjmował? Może tobie nie wstyd takich rzeczy mówić, ale mnie wstyd tego słuchać.

– Nie udawaj – odparłem. – Wszyscy wiedzą, jaki to Yuan „Prawie Nieśmiertelny” jest zdolny. Wyznaczanie feng shui i wróżenie to twoja główna profesja, ale kastrowanie zwierząt i usuwanie spiral kobietom to twoje zajęcie dodatkowe. Nie doniosę na ciebie, ale mam prawo cię skląć. A tobie mało tego, co już mi zrobiłeś, jeszcze mnie pouczasz!

– To oszczerstwo, o pomstę do nieba wołające oszczerstwo! Niech Renmei tu przyjdzie, niech mi to w twarz powie!

– Uciekła, gdzie mam jej szukać? A poza tym kto wie, czyby się przyznała? Nie chciałyby cię wydać.

– Biegaczu, draniu jeden, ty nie jesteś prostym człowiekiem, ty jesteś oficerem, musisz uważać, co mówisz. Taki jesteś pewny, że ja usunąłem spiralę? A świadków masz? Uważaj, bo jak mnie będziesz oczerniał, to złożę na ciebie skargę.

– Dobrze – powiedziałem. – Ostatecznie nie ty tu jesteś winien. Przyszedłem do ciebie, żebyś mi pomógł coś wymyślić. Sytuacja wygląda, jak wygląda, powiedz mi, co mam robić.

Policzek zamknął oczy i zaczął coś mamrotać, licząc na palcach. Nagle otworzył oczy i rzekł:

– Bracie, wielka radość!

– A skąd ta wielka radość?

– Dziecko, które czcigodna małżonka nosi pod sercem, to inkarnacja wielkiego człowieka z czasów minionych, nie mogę zdradzić, o kogo chodzi, ale powiem ci cztery zdania, które zapamiętaj i nie zapomnij: *Jak się chłopiec urodzi, o szlachetnych kościach, talent będzie miał wielki i wielkie zasługi, imię swoje zapisze złotymi głoskami, pas z nefrytów, płaszcz z purpury i sława na wieki.*

– Skończ te bajki – westchnąłem, ale jego słowa przyniosły mi jakąś dziwną ulgę. Och, gdybym naprawdę miał takiego syna...

Policzek musiał wyczuć zmianę mojego nastroju, bo rzekł z lekkim uśmiechem:

– Bracie, to jest przeznaczenie, z nim nie wolno walczyć.

Potrząsnąłem głową.

– Jeśli Renmei urodzi, będę skończony.

– Jest takie stare powiedzenie: „Niebo nie pozwoli człowiekowi zginąć”.

– No więc?

– Wyślij dowódcy telegram, że Renmei wcale nie jest w ciąży, że to plotki rozsiewane przez twoich wrogów.

– To jest twój wspaniały plan? – Roześmiałem się pogardliwie. – Chcesz ogień gasić papierem? Jak się dziecko urodzi, trzeba je będzie zarejestrować, prawda? I do szkoły też będzie musiało pójść, prawda?

– Bracie, nie trzeba planować tak daleko. Jak się urodzi, to już będzie sukces. U nas strasznie pilnują, ale w innych powiatach nielegalnych dzieci jest pełno. A zresztą teraz każdy robi na swoim, jedzenia wystarczy. Najpierw trzeba dziecko odchowić, a potem, nawet jak nie będzie miało meldunku, i tak będzie obywatelem Chińskiej Republiki Ludowej. Nie wierzę, żeby Chińska Republika Ludowa cofnęła takim dzieciom obywatelstwo!

– Ale jak to się wyda, moja kariera się skończy!

– Na to już nie ma rady – stwierdził Policzek. – Nie można mieć wszystkiego.

– Kurwa mać, głupia baba, kija nie poznała! – powiedziałem ze złością. Wypiłem wódkę z kieliszka i podniosłem się z kangu. – Wszystkie moje nieszczęścia przez tę głupią babę!

– Bracie, nie wolno ci tak mówić – rzekł Policzek. – Postawiłem wam wspólną wróżbę i wiem, że jej przeznaczeniem jest wsparcie. Twoje sukcesy zależą od jej pomocy.

– Wsparcie? – Zaśmiałem się drwiąco. – Chyba zniszczenie!

– Z całego serca ci radzę, pozwól jej urodzić. Nawet jak cię zdegradują i odeślą na wieś, czemu masz sobie nie poradzić? A za dwadzieścia lat, jak twój syn zrobi wielką karierę, ty będziesz wielkim panem i będziesz sobie żył w luksusach. Nie na jedno wyjdzie?

– Gdyby porozmawiała ze mną wcześniej, to co innego. Ale skoro tak mnie potraktowała, nie ustąpię!

– Biegaczu, tak czy inaczej Renmei ma w brzuchu twoje nasienie. Czy je wyrwać, czy zachować, to twoja sprawa.

– Tak, to rzeczywiście moja sprawa – odpowiedziałem. – Ale ja też ci coś powiem, bracie. Nie ma takiej ściany, co nie przepuszcza wiatru. Uważaj.

Z ramion „Bawełny” wziąłem głęboko uspioną Yanyan i wyszedłem przed bramę. Kiedy odwróciłem głowę, żeby się pożegnać, „Bawełna” szepnęła do mnie:

– Bracie, pozwól jej urodzić. Niech urodzi w ukryciu, ja znam takie miejsce.

Wtedy przed bramę Policzka zajechał dżip, z którego wyskoczyło dwóch policjantów. Szybko wbiegli na podwórze. „Bawełna” wyciągnęła ręce, żeby ich powstrzymać, ale któryś ją odsunął. Wpadli do domu. Usłyszałem stłumione głosy, a potem krzyk Policzka. Po kilku minutach pojawił się na podwórzu w przydeptanych butach i w kajdankach, trzymany z obu stron przez policjantów.

– Za co mnie aresztujecie? Za co? – pytał, obracając głową od jednego do drugiego.

– Nie awanturuj się – powiedział policjant. – Sam chyba wiesz za co.

– Biegaczu, musisz mi pomóc! – zawołał Policzek. – Nie popełniłem żadnego przestępstwa!

Z samochodu wyskoczyła jakaś otyła kobieta. Ciotka?

Zdjęła z twarzy chirurgiczną maskę i powiedziała do mnie zimno:

– Przyjdź do mnie jutro do szpitala.

ROZDZIAŁ 8

– Ciociu, a może niech ona urodzi? – spytałem zrezygnowany. – Ja już jestem gotów odejść z partii. I posady już nie chcę.

Ciotka mocno uderzyła w stół, aż z filiżanki wylała się woda.

– Co z ciebie za człowiek! – powiedziała. – Biegaczu, to nie jest tylko twoja sprawa. W naszej komunie od trzech lat nie było przypadku przekroczenia liczby urodzeń! Chcesz mi to zrobić, że ty będziesz pierwszy?

– Ale ona grozi, że się zabije – powiedziałem niepewnie. – A jeśli naprawdę coś sobie zrobi?

– Znasz naszą lokalną politykę – odparła. – Jak chce wypić truciznę, zostaw jej butelkę. Jak chce się powiesić, podaj sznurek!

– Ale to okrucieństwo!

– Myślisz, że my chcemy być okrutni? Wobec was w wojsku nie trzeba takiego okrucieństwa, wobec ludzi w miastach też nie, a za granicą – w ogóle nie. Te cudzoziemki myślą tylko o własnej zabawie i przyjemnościach, nawet jak państwo je zachęca, i tak nie chcą mieć dzieci. Ale my jesteśmy na chińskiej wsi i mówimy do chińskich chłopów. Choćbyś im nie wiem, jak tłumaczył i wyjaśniał, choćbyś buty zdarł, chodząc od domu do domu, i głos stracił od mówienia – czy ktoś cię posłucha? No to sam powiedz, co mamy robić? Zrezygnować z ograniczania przyrostu naturalnego – nie wolno; nie wykonać rozkazu ojczyzny – nie wolno; nie wykonać polecenia zwierzchności – też nie wolno. To co ja mam robić? Za dnia nas wyzywają, nocami potrafią w nas rzucać cegłami; nawet pięcioletnie dziecko walnęło mnie łopatą. – Ciotka podwinęła nogawkę i pokazała fioletowy siniak. – Widziałeś? Parę dni temu tak mnie załatwił jakiś zezowaty smarkacz z Dongfengu. Pamiętasz żonę Zhanga Pięści?

Skinąłem głową, wspomniawszy wydarzenie na rzece sprzed kilkunastu lat.

– Ona sama wskoczyła do rzeki, myśmy ją przecież wyciągnęli. A Zhang Pięść i jeszcze inni z jego wsi opowiadali, że celowo ją utopiliśmy. Napisali zbiorowy list i podpisali krwią, sprawa dotarła aż do rady państwowej. Przeprowadzili dochodzenie i z Geng Xiulian zrobili ofiarę prześladowań.

Ciotka zapaliła papierosa. Zaciągnęła się mocno i gęsty dym zakrył jej przygnębioną twarz. Bardzo się postarzała, dwie bruzdy z kącików warg szły prosto aż do brody, pod oczami miała wory, wzrok stracił blask.

– Zrobiliśmy, co tylko w ludzkiej mocy, żeby uratować Geng Xiulian. Dałam jej pięćset mililitrów własnej krwi. Była chora na serce... W końcu nie było rady, musiałam zapłacić Zhangowi tysiąc juanów, a wtedy tysiąc juanów to była duża suma. Przyjął pieniądze, ale dalej się nie uspokoił. Wziął zwłoki żony na wózek i z córkami w opaskach żałobnych pojechał z protestem do komitetu powiatowego. Akurat natrafił na inspekcję kontroli urodzeń z prowincji. Przyjechali po nas starym policyjnym dżipem i zabrali mnie, Huang Qiuyę i „Lwiczkę”. Przesłuchiwało nas kilku funkcjonariuszy z kamiennymi twarzami, zwracali się do nas ordynarnie i niegrzecznie, szarpali i traktowali nas jak zbrodniarki. Rozmawiał ze mną ktoś z władz powiatu, ale się postawiłam i mówię do niego: „nie będę z tobą rozmawiać, chcę rozmawiać z tamtym z prowincji”. Wpadłam do gabinetu, a tamten akurat siedział w fotelu i czytał gazetę. Patrząc i kogo widzę?! To Yang Lin! Został wicegubernatorem, wyglądał jak pączek w maśle. Wściekłam się, jak nie wiem co, i jak zaczęłam mówić, to jak karabin maszynowy: ta-ta-ta-ta-ta! Wy na górze tylko polecenia wydajecie, a my tu na dole własnymi nogami mamy to wychodzić, własnymi gębami tłumaczyć. Chcecie, żebyśmy byli kulturalni, żebyśmy wyjaśniali politykę, żebyśmy ludzi przekonali... Wy nie musicie się schylać, nie wiecie, jak to boli. Przyjdźcie tu na dół i sami spróbujcie. Staramy się, wysilamy, znosimy wyzwiska, znosimy

napaści. To my mamy siniaki, to nam głowy rozbijają do krwi! A jak zdarzył się wypadek, władze zamiast nas wesprzeć, stają po stronie zbuntowanych chłopów i nierozumnych kobiet! Zawiedliście nas! – I ciotka ciągnęła z dumą: – Inni, jak zobaczą władzę, boją się odezwać, ale ja na to nie zważam! Im wyższy dygnitarz, tym więcej mam do powiedzenia, i nie dlatego, że lubię mówić, ale dlatego, że za dużo się we mnie goryczy zebrało! Rozplakałam się, pokazałam mu blizny na głowie. Zhang Pięć głowę mi rozbił, to się nie liczy jako przestępstwo? Skoczyliśmy do wody, żeby ją wyciągnąć, oddałam jej pięćset mililitrów mojej własnej krwi, to się nie liczy jako dobro? – Strasznie się rozplakałam i mówiłam: – Wyślijcie mnie do obozu pracy, zamknijcie do więzienia, w każdym razie – ja rezygnuję. Yang Lin sam miał łzy w oczach, poleciał do łazienki, przyniósł mi gorący ręcznik i powiada: „Ja wiem, że praca u podstaw jest najtrudniejsza, przewodniczący Mao mówił: «Najpoważniejszą sprawą jest edukacja chłopstwa». Droga towarzyszko Wan, nacierpieliście się, ja was rozumiem, władze powiatowe też was znają i oceniają bardzo wysoko”. Podszedł, usiadł koło mnie i pyta: „Towarzyszko Wan, a może byście pojechali ze mną do pracy na szczyblu prowincji?”. Oczywiście wiedziałam, o co mu chodzi, ale jak sobie przypomniałam jego kłamstwa na sesji krytyki, zrobiło mi się zimno. Nie, powiedziałam twardo, nie pojedę. Ja tutaj jestem potrzebna. Pokręcił głową

ze smutkiem i pyta: „To może przejdziecie do szpitala powiatowego?”. „Nie, odpowiedziałam, nigdzie stąd nie odejdę”.

Może powinnam była z nim pojechać – mówiła dalej ciotka. – Machnąć na wszystko ręką, nic nie widzieć, niczym się nie martwić, kto chce rodzić, niech nogi rozkłada i rodzi, dwa miliardy, trzy miliardy, jak niebo spadnie, najpierw uderzy w wysokich, po co ja mam się tym martwić? Wszystko, co w życiu wycierpiałam, wzięło się stąd, że za bardzo wierzyłam w rewolucję, za bardzo się przykładałam, za bardzo mi zależało.

– Ale jak teraz ciocia rozumiała, jeszcze nie jest za późno... – zacząłem.

Ciotka prychnęła gniewnie.

– Co ty wygadujesz? Co rozumiałam?! Ja do ciebie mówię jak do rodziny, jak do kogoś bliskiego, bo chcę się trochę wyłościć, wyżalić. Całą duszą należę do partii, tyle się nacierpiałam za rewolucji kulturalnej, i to mnie nie złamało, a tym bardziej nie złamie teraz! Nie można zrezygnować z kontroli urodzeń, bo jeśli pozwolimy na niekontrolowany przyrost, w ciągu roku przybędzie dziesięć milionów, w ciągu dziesięciu lat trzysta milionów, a za pięćdziesiąt lat całej ziemi nie wystarczy dla Chińczyków. Dlatego za żadną cenę nie możemy ustąpić, to jest nasz obowiązek wobec całej ludzkości!

– Ciociu, ja to w zasadzie rozumiem – powiedziałem – ale mój problem teraz jest taki, że Renmei uciekła...

– Mnich ze świątyni nie ucieknie: dokąd niby miała pójść? Schowała się u rodziców!

– Ale ona teraz jest trochę nie zrównoważona, jak się zdenerwuje, może naprawdę coś sobie zrobić...

– O to się nie martw – powiedziała ciotka porozumiewawczo. – Ja od kilkunastu lat mam do czynienia z tymi babami i od razu wiem, czego się po której spodziewać. Takie jak twoja żona, co dużo krzyczą, o byle co grożą, że się zabiją, nic sobie nigdy nie robią. Już ty się nie martw, szkoda jej będzie życia! To te ciche, co słowa nie powiedzą, potrafią skoczyć do studni albo wziąć truciznę. Od kilkunastu lat siedzę w kontroli urodzeń i te, co się zabijały, zawsze to robiły z innego powodu. O to się nie obawiaj.

– No więc co mam zrobić? – spytałem zatroskany. – Nie można jej przecież na siłę zawlec do szpitala jak świnie do rzeźni.

– Jak nie da rady inaczej, trzeba będzie twardo, zwłaszcza że to twoja żona. Nic nie poradzę na to, że jesteś moim bratankiem. Gdybym jej odpuściła, nie miałabym argumentów, każdy mógłby mi nią głowę zatkać.

– Nic mi innego nie zostało, jak cioci posłuchać – westchnąłem. – Może niech przyślą kogoś z jednostki do pomocy?

– Wysłałam już do nich telegram.

– Ten pierwszy telegram to też ciocia wysłała?

– Tak jest.

– Skoro już wcześniej ciocia wiedziała, że Renmei jest w ciąży, dlaczego się tym nie zajęła?

– Przez dwa miesiące byłam na konferencji w powiecie i dowiedziałam się dopiero po powrocie. – I ciotka dodała gniewnie: – Ten sukinsyn Policzek tyle złego narobił, ktoś na szczęście doniósł, bo byłoby jeszcze gorzej.

– Ukażą go?

– Według mnie należałoby drania zabić! – warknęła z gniewem.

– Chyba nie tylko Renmei usunął spiralę? – spytałem.

– Wiemy o wszystkich. Poza twoją żoną jeszcze kobiecie Siódmego Wanga z Wangjiatun, żonie Xiao Jinniu z Sunjiazhuangu i żonie Chena Nosa, Wang Nerce. U niej ciąża jest najbardziej zaawansowana. A poza tym jeszcze kilkunastu kobietom z innych powiatów, ale to już nas nie dotyczy. Najpierw zrobimy zabieg twojej żonie, a potem wyłapiemy wszystkie pozostałe, żadna nie ucieknie.

– A jeśli gdzieś wyjechały?

– Król Małp⁴ znał magiczne sztuki, a z ręki Buddy się nie wymknął. – Ciotka zimno się uśmiechnęła.

– Ciociu, ja jestem oficerem i moja żona musi przejść aborcję, ale Wang Nerka i Chen Nos to chłopci, mają tylko córkę, więc prawo zezwala im na drugie dziecko. Przecież Nerce tak trudno jest zajść w ciążę...

Ciotka przerwała mi drwiąco.

– Własnych spraw jeszcze nie załatwiłeś, a cudze chcesz rozwiązywać. Prawo zezwala im na drugie dziecko, ale dopiero po ośmiu latach, a Chen Ucho ma teraz ile?

– No więc będą mieć drugie dziecko kilka lat wcześniej, i co z tego?

– Łatwo ci mówić. Tylko kilka lat wcześniej, a gdyby wszyscy tak chcieli? Nie wolno stwarzać precedensu, bo cały system runie. Nie troszcz się o innych, zajmij się własnymi sprawami.

4 Król Małp (Sun Wukong) to obdarzony nadziemskimi mocami bohater szesnastowiecznej powieści *Wędrownik na zachody* pojawiający się często także w tradycyjnych sztukach. Kiedy wzniecił w niebiosach bunt i zaden z niebiańskich bogów nie mógł nad nim zapanować, wezwany na pomoc Budda zapytał, czy Król Małp będzie umiał mu się wymknąć. Król Małp jednym skokiem znalazł się na krawędzi świata, na której stało pięć wielkich kolumn. Oznakował je, ale kiedy wydawało mu się, że powrócił, okazało się, że przez cały czas znajdował się na dłoni Buddy.

ROZDZIAŁ 9

Ciotka przyjechała do naszej wsi na czele wielkiej grupy – specjalnego oddziału planowania i kontroli urodzeń. Ona była dowódcą grupy, a jej zastępcą był wicenaczelnik sekcji sił zbrojnych w komunie. Resztę oddziału stanowili „Lwiczka” i sześciu dobrze zbudowanych milicjantów. Przyjechali autobusikiem zaopatrzonym w megafon, a towarzyszył im potężnej mocy ciągnik na gąsienicach.

Zanim wjechali do wsi, jeszcze raz poszedłem do teściów. Tym razem teść zlitował się i wpuścił mnie na podwórze.

– Przecież też służyłeś w wojsku, wiesz, że rozkaz musi być wykonany – powiedziałem. – Nie ma się co opierać.

Pałił papierosa i długo milczał. Wreszcie rzekł:

– Skoro wiedziałeś, że nie możesz mieć więcej dzieci, dlaczego zaszła w ciążę? Piąty miesiąc, jak to usunąć? A jak umrze? Mam tylko tę jedną córkę!

– To nie moja wina – broniłem się.

– A czyja?

– Jeśli chcesz kogoś winić, to chyba tego sukinsyna Policzka! Urząd bezpieczeństwa już go aresztował.

– W każdym razie jeśli mojej córce coś się stanie, to choćbym miał życiem za to zapłacić, policzę się z tobą.

– Moja ciotka mówi, że nic się nie stanie – rzekłem. – Mówiła, że usuwali nawet w siódmym miesiącu.

– Twoja ciotka to nie człowiek, to diabeł! – Teściowa wybiegła z domu. – Ile ludzi już zabiła przez te lata? Ona ma krew na rękach! Jak umrze, to ją król piekieł nożami posieka!

– Nie wtrącaj się – rzekł teść. – To są męskie sprawy.

– Męskie sprawy?! – krzyknęła teściowa. – Córkę mi chcą zabić, a ty mi mówisz, że to męskie sprawy?!

– Mamo, nie chcę się kłócić – powiedziałem. – Niech Renmei wyjdzie, chcę z nią porozmawiać.

– U nas jej szukasz? – odpowiedziała teściowa. – To twoja żona u was nie mieszka! A może coś jej zrobiłeś? To ja od ciebie chcę się dowiedzieć, gdzie ona jest!

– Renmei, posłuchaj! – zawołałem. – Wczoraj rozmawiałem z ciotką. Powiedziałem, że odejdę z partii, zrezygnuję z pracy i wrócę na wieś, żeby ci pozwoliła urodzić. Ale ciotka się nie zgodziła. Powiedziała, że sprawa Policzka wzbudziła niepokój we władzach prowincji i w powiecie wydali jej rozkaz, że wszystkie nielegalne ciążę muszą zostać usunięte!

– A właśnie, że nie usunie! Co to za społeczeństwo! – Teściowa chwyciła miednicę z brudną wodą i chlusnęła nią na mnie. – Niech ta ladacznica, twoja ciotka, tu przyjdzie, a rozszarpię ją własnymi rękami! Sama nie może mieć dzieci, więc jak u innych zobaczy, krew ją zalewa z zazdrości!

Ociekając brudną wodą, pohańbiony wycofałem się.

Samochód grupy specjalnej zatrzymał się przed bramą teściów. Ze wsi zjawiał się każdy, kto tylko mógł chodzić, nawet tknięty paralizem, wsparty na lasce Xiao Górna Warga z wykrzywioną twarzą. Z głośnika rozległo się entuzjastycznie: „Planowanie urodzeń to sprawa państwowa pierwszorzędnej wagi, dotycząca przyszłości całego kraju i narodu... Nasza wielka ojczyzna, realizująca cztery modernizacje, musi wszelkimi sposobami ograniczyć przyrost naturalny i podnieść jakość życia swoich obywateli... Niech nikt nie spodziewa się, że jakakolwiek nielegalna ciąża zostanie zatajona... Wzrok ludu jest bystry, choćbyście ukryli się w jaskini albo w dżungli, i tak was znajdziemy... Wszyscy, którzy stanowią zagrożenie i atakują pracowników kontroli urodzeń, zostaną potraktowani i ukarani jak kontrrewolucjoniści. Każdy, kto w jakikolwiek sposób działa na szkodę planowania urodzeń, poniesie surową karę zgodnie z prawem państwowym i przepisami partii...”.

Ciotka stała z przodu, a zastępca naczelnika sekcji sił zbrojnych i „Lwiczka” za nią, jak jej straż przyboczna. Brama teściów była zamknięta, a po obu jej stronach przyklejone były świąteczne pasy papieru z napisem: „Góry i rzeki są piękne od wieków, w ojczyźnie wieczna wiosna”. Ciotka odwróciła głowę do gapiów i zawołała:

– Jeśli nie zadbamy o kontrolę urodzeń, góry i rzeki zbrzydną, a ojczyzna runie! I co się wtedy stanie z odwiecznym pięknem? Gdzie będzie wieczna wiosna?

Chwyliła okrągłą kołatkę i swoim specyficznym, schrypniętym głosem krzyknęła:

– Renmei! Chowasz się w dole na pataty koło chlewa! Myślałaś, że nie wiem? Twoja sprawa dotarła już do komitetu powiatowego i wzbudziła niepokój w wojsku, stanowisz negatywny przykład! Masz przed sobą tylko dwie drogi. Pierwsza jest taka, że spokojnie wyjdiesz i udasz się z nami do szpitala na zabieg indukcji. Biorąc pod uwagę, że twoja ciąża jest zaawansowana, przez wzgląd na twoje bezpieczeństwo możemy umieścić cię w szpitalu powiatowym, gdzie zabieg zostanie przeprowadzony przez najlepszych specjalistów. W drugim przypadku, jeżeli będziesz nadal się opierać, najpierw zburzymy domy waszych sąsiadów, a potem twój dom rodzinny. Wszelkie szkody poniesione przez sąsiadów zostaną spłacone przez twojego ojca. Wtedy również będziesz musiała poddać się aborcji. Dla innych może miałabym jakieś względy, ale dla ciebie żadnych! Renmei, słyszysz? – I ciotka zwróciła się do obojga teściów. – Wang Jinshanie, Wu Xiuzhi, słyszeliście?

Za bramą panowała cisza, tylko jakiś niedorośły kogucik cienko zapiał. A potem rozległ się szloch teściowej:

– Wan Serce, ty więdźmo bez serca, ty bestio nieludzka... nie umrzesz dobrą śmiercią, jak zdechniesz, trafisz na górę noży, do wrzącego oleju, ze skóry cię obedrą, oczy ci wydłubią, podpalą i na drzewie powieszają...

Ciotka uśmiechnęła się tylko pogardliwie i rzekła do zastępcy naczelnika:

– Zaczynajcie!

Zastępca naczelnika dał znak ręką. Milicjanci przeciągnęli długą i bardzo grubą metalową linę i obwiązali nią stary klon po wschodniej stronie bramy. Xiao Górna Warga ze swoim kijem wyskoczył z tłumu i wybełkotał:

– To jest nasze drzewo...

Próbował zamachnąć się kijem na ciotkę, ale stracił równowagę.

– Ach, więc to twoje drzewo? – Ciotka skrzywiła się w uśmiechu. – Bardzo mi przykro, ale sam jesteś sobie winien. Trzeba było sobie znaleźć lepszych sąsiadów.

– Wy bandyci... to kuomintangowska odpowiedzialność zbiorowa!

– Kuomintang nazywa nas komunistycznymi bandytami.

– Roześmiała się. – Ty nawet tego nie potrafisz...

– Poskarż się! Mój syn pracuje w radzie państwowej...

– Poskarż się, poskarż, im wyżej, tym lepiej!

Górna Warga rzucił swoją laskę, objął rękami pień i rozplakał się.

– Nie możecie wyrwać mojego drzewa... Yuan Policzek powiedział, że... że to drzewo łączy się z kanałem losu mojej rodziny... Póki to drzewo rośnie, póty w mojej rodzinie będzie powodzenie...

– A Policzek sobie nie wywróżył, kiedy go biuro bezpieczeństwa zabierze? – zadrwiła ciotka.

– Lepiej mnie najpierw zabijcie! – Górna Warga załkał.

– Xiao Górna Wargo! – odezwała się ciotka. – Gdzie twoja odwaga i zawziętość z czasów rewolucji kulturalnej, kiedy znęcałeś się nad ludźmi? Teraz tylko płakać potrafisz jak stara baba?

– Ja wiem... wiem, że tylko udajesz, że to publiczna sprawa, prywatę sobie załatwiasz, chcesz się na mnie zemścić. Ale to żona twojego bratanka zaszła w ciążę, dlaczego chcecie wyrwać moje drzewo?

– Nie tylko drzewo ci wyrwiemy – odpowiedziała ciotka. – Jak skończymy z drzewem, zburzymy ci bramę, a potem zburzymy twój wielki dom i płacz nic tu nie pomoże. Idź z tym do Wang Jinshana!

Ciotka wzięła megafon z rąk „Lwiczki”, podniosła go do ust i krzyknęła w stronę tłumu:

– Sąsiedzi Wang Jinshana, słuchajcie! Na podstawie specjalnego rozporządzenia komisji do spraw kontroli urodzeń w komunie! Ponieważ córka Wanga Jinshana nielegalnie zaszła w ciążę i uparcie stawia opór władzom, a także dopuszcza się obrazy działaczy, postanowiono najpierw zburzyć domy jego sąsiadów. Wszelkie straty, które poniesiecie, zostaną wam spłacone przez rodzinę Wanga, Jeśli chcecie zachować domy, przekonajcie Wanga, aby nam wydał córkę.

Z grona sąsiadów Wanga podniósł się głośny pomruk.

– Wykonać! – rozkazała ciotka.

Silnik ciągnika ryknął i przez ziemię pod naszymi stopami przeszedł wstrząs. Potężny żelazny stwór ruszył do przodu, a metalowa lina zaczęła się z brzękiem naprężyć. Gałęzie wielkiego klonu zadrżały.

Xiao Górna Warga, zataczając się i potykając, ruszył ku domowi Wangów i waląc w drzwi jak szaleniec, krzychał:

– Wang Jinshan, żeby pies jebał twoich przodków! Ty sąsiadów krzywdzisz, żebyś dobrą śmiercią nie umarł!

Był tak podniecony, że jego bełkotliwa zazwyczaj mowa stała się całkiem wyraźna.

Brama teściów pozostała zamknięta i tylko z podwórza dobiegał rozdzierający płacz teściowej. Ciotka spojrzała na swego zastępcę, podniosła lewą rękę do góry, a potem opuściła ją gwałtownie.

– Dodaj gazu! – krzyknął zastępca do kierowcy.

Silnik ponownie wydał z siebie ogłuszający ryk, lina rozciągnęła się w prostą kreskę i brzęcząc, napinała się coraz bardziej i bardziej, aż przecięła korę, z której spłynął sok. Ciągnik wolno, cal za całem sunął naprzód, a z rury wydechowej przy jego kwadratowym łbie unosił się błękitny dym. Kierowca obejrzał się, miał na sobie czyściutki kombinezon z niebieskiego drelichu, na szyi śnieżnobiały ręcznik, na głowie przekrzywioną czapkę z daszkiem. Przygryzał dolną wargę nad czarną bródką; był bardzo akuratnym młodzieńcem. Drzewo przechyliło się z bolesnym trzaskiem. Metalowa lina głęboko wżarła się w pień, zrywając wielki płat kory, pod którym ukazał się biały miąższ.

– Wangjinshan, ty skurwysynu, wychodź! – Xiao Górna Warga tłukł w bramę pięściami, kopał kolanem i walił głową, ale na podwórku Wangów panowała cisza, nawet płacz teściowej umilkł.

Drzewo pochyliło się dalej, jeszcze dalej, jego bujna korona z szelestem otarła się o ziemię. Górna Warga zataczając się, podszedł do drzewa.

– Moje drzewo... Nasze drzewo losu...

Korzenie drzewa drgnęły, ziemia rozpękła się. Górna Warga z trudem dowlóknął się z powrotem pod bramę Wangów.

– Wangjinshan, ty sukinsynu! Jesteśmy sąsiadami, tyle lat żyliśmy w zgodzie, prawie rodziną zostaliśmy, a ty tak mnie krzywdzisz...

Korzenie wyłoniły się spod ziemi, jasnożółte i podobne do wielkich pytonów. Wyciągane na wierzch, niektóre łamały się z trzaskiem, wyłaniały się coraz dłuższe, coraz więcej wielkich węzowych korzeni... Korona uderzyła o ziemię i zamiatała po niej jak ogromna miotła, łamiąc drobniejsze gałęzie i wzbijając kłęby kurzu. Ludzie zmarszczyli nosy, gdy uderzył w nie zapach świeżej gleby i drzewnych soków.

– Wang Jinshan, ty draniu, ja się, kurwa, zabiję pod twoimi drzwiami! – Górna Warga bezgłośnie walił głową w bramę Wangów. Uderzeń nie było słychać, bo ich dźwięk zginął zagłuszony rykiem silnika.

Potężne drzewo, odciągnięte już kilkadziesiąt metrów od domu Górnej Wargi, zostawiło po sobie głęboką bruzdę, w której leżały połamane gałęzie. Kilkanaścioro dzieci zaczęło w niej szukać larw cykad.

Ciotka podniosła do ust megafon:

– Teraz zburzymy bramę rodziny Xiao!

Ludzie przenieśli Górną Wargę na bok i zaczęli go cucić, szczypiąc w twarz i masując jego pierś.

– Sąsiedzi Wang Jinshana, proszę o uwagę – mówiła ciotka spokojnie. – Zabierzcie z domu wszystkie wartościowe rzeczy. Po zburzeniu domu Xiao Górnej Wargi zburzymy wasze. Wiem, że to niesłuszne, ale mała słuszość musi ustąpić wielkiej. Czym jest wielka słuszość? To kontrola urodzeń i ograniczenie przyrostu naturalnego. Nie boję się czynić zła, bo zawsze ktoś musi być zły. Wiem, że życzyście mi, żebym po śmierci trafiła do piekła! Członkowie partii się tego nie boją, bo prawdziwi materialści nie boją się niczego! Jeśli nawet piekło istnieje, ja też się nie boję! Jeśli nie ja pójdę do piekła, to kto?! Odwiążcie linę i weźcie się do bramy Górnej Wargi!

Sąsiedzi mojego teścia słoczyli się przed jego bramą, waląc w nią, kopiając, wrzucając mu na podwórze kamienie, rozbite cegły i inne śmiecie. Ktoś przyniósł snop kukurydzianej słomy, ustawił go pod okapem Wangów i krzyknął:

– Jak nie wyjdiesz, spalimy ci dom!

Nagle otworzyła się brama, ale nie wyszedł z niej ani teść, ani teściowa. Moja żona, rozczochrana, umorusana ziemią, z butem na lewej nodze i bosą prawą, najwyraźniej właśnie wygrzebała się z dołu na pataty. Podeszła do ciotki.

– Idę z wami. To chyba wystarczy? – spytała.

– Wiedziałam, że żona mojego bratanka to szlachetna kobieta. – Ciotka się uśmiechnęła.

– Jestem dla ciebie pełna podziwu – rzekła moja żona. – Gdybyś była mężczyzną, zostałąbyś wielkim generałem.

– Ty także – odparła ciotka. – Gdy zerwałaś narzeczeństwo z synem Górnej Wargi, od razu wiedziałam, że jesteś wspaniałą kobietą.

– Renmei, skrzywdziłem cię – powiedziałem.

– Biegaczu, daj mi rękę.

Podąłem jej rękę, nie wiedząc, o co chodzi, a ona chwyciła ją i mocno ugryzła mnie w nadgarstek. Nie wrywałem się. Ze śladów jej zębów na mojej skórze popłynęła ciemna krew. Splunęła na ziemię i powiedziała nienawistnie:

– Ty chcesz upuścić mi krwi, więc ja upuściłam twojej. Podąłem jej drugą rękę, ale ją odepchnęła.

– Już nie chcę! Śmierdzi psem!

Oprzytomniały Górna Warga siedział na ziemi i jak kobieta uderzał w nią rękami, zawodząc:

– Wang Renmei, Biegaczu, musicie mi zapłacić za moje drzewo... musicie mi zapłacić...

– Gównu ci zapłacimy! – odpowiedziała moja żona. – Twój syn macał mi cycki i pocałował w usta! Twoje drzewo to moja rekompensata za szkody poniesione w młodości!

– Uuuuuuu!!! – gromada niedorostków nagrodziła brawami barwne słowa mojej żony.

– Renmei! – krzyknąłem bezradnie.

– Czego krzyczysz? – Renmei wsiadła do samochodu i wystawiła głowę przez okno. – Tylko przez ubranie!

ROZDZIAŁ 10

Z naszej jednostki przyjechała stojąca na czele komisji do spraw kontroli urodzeń przewodnicząca Yang, córka wysokiego dowódcy w stopniu generała majora. Wiele o niej słyszałem, ale zobaczyłem ją po raz pierwszy.

Władze komuny urządziły bankiet na jej cześć, a ona zażyczyła sobie, żeby zaproszono także mnie i moją żonę. Ciotka znalazła jakieś swoje buty, żeby pożyczyć Renmei. Bankiet odbył się w eleganckiej części stołówki w urzędzie komuny.

– Biegaczu, może ja lepiej nie pójdę. Boję się takich wielkich osobistości – powiedziała moja żona. – A poza tym myśmy nie zrobili nic wielkiego, żeby nas tak podejmować.

– Czego się boisz? – Ciotka się roześmiała. – Nawet największy dygnitarz ma tylko jeden nos i dwoje oczu.

Kiedy zjawiliśmy się na bankiecie, przewodnicząca Yang usadziła nas po swoich bokach i mocno ściskając rękę Renmei, powiedziała serdecznie:

– Towarzyszko Wang, dziękuję wam w imieniu naszej jednostki!

– Pani dowódcu – odparła moja żona ze wzruszeniem – ja popełniłam błąd i tylko przysporzyłam wszystkim kłopotów.

Cały czas bałam się, że Renmei może powiedzieć coś niewłaściwego, i gdy usłyszałam jej grzeczną odpowiedź, kamień spadł mi z serca.

– Ta moja bratankowa to bardzo uświadomiona politycznie kobieta – wtrąciła się ciotka. – Kiedy przez nieuwagę zaszła w ciążę, od razu zgłosiła się na aborcję, ale przez wzgląd na stan jej zdrowia musieliśmy to opóźnić aż do teraz.

– Towarzyszu Wan, muszę was skrytykować – rzekła Yang. – Wy, mężczyźni, jesteście tacy nieuważni i zawsze myślicie, że jakoś to będzie.

Skinąłem pokornie głową.

Sekretarz komuny wstał z kieliszkiem w ręku:

– Jesteśmy głęboko wdzięczni, że towarzyszka przewodnicząca pośród tylu zajęć znalazła czas, żeby do nas przyjechać!

– Dobrze znam wasze strony – odrzekła przewodnicząca. – Mój ojciec był tu partyzantem i w czasie kampanii w Jiaodong dowodzony przez niego oddział stacjonował w tej wsi, więc czuję się tu bardzo swojsko.

– Bardzo się cieszymy – powiedział sekretarz. – Proszę łaskawie przekazać dowódcy, że nie możemy się doczekać, kiedy tu do nas przyjedzie na inspekcję!

Ciotka też podniosła kieliszek i wstała.

– Towarzyszko przewodnicząca, wasze zdrowie.

– Kierowniczką Wan to wielka bojowniczką, już jako dziecko razem z ojcem brała udział w rewolucji – objaśnił sekretarz.

– Towarzyszko przewodnicząca, nasze drogi musiały się skrzyżować. Mój ojciec był ordynatorem w szpitalu 8. Armii i uczniem Normana Bethune’a. I zoperował nogę dowodzącego Yanga!

– Naprawdę? – przewodnicząca Yang wstała i rzekła z ożywieniem: – Mój ojciec właśnie spisuje wspomnienia i rzeczywiście napomknął o doktorze Wan Liufu.

– To mój ojciec! Kiedy zginął, razem z matką przez dwa lata mieszkaliśmy na terenach wyzwolonych. Pamiętam, że bawiłam się z dziewczynką, która nazywała się Yang Serce.

Przewodnicząca chwyciła ręce mojej ciotki i ze łzami wzruszenia w oczach zawołała:

– Wan Serce, to naprawdę ty?

– Wan Serce i Yang Serce, dwa czerwone serca. Tak powiedział towarzysz Zhong, prawda?

– Tak jest, tak powiedział! – Przewodnicząca otarła oczy.

– Tyle razy mi się śniłaś, ale nigdy nie sądziłam, że cię tu zobaczę!

– A mnie od razu się wydawało, że skądś się znamy! – odrzekła ciotka, a sekretarz zawołał:

– Wypijmy za spotkanie towarzyszek przewodniczących!

Ciotka spojrzała na mnie znacząco. Zrozumiałem i pociągnąłem Renmei w jej kierunku.

– Towarzyszko Yang, bardzo przepraszam, że facygowaliście się w naszej sprawie.

– Bardzo przepraszamy. – Moja żona ukloniła się nisko.

– Ale to nie wina Biegacza, to wszystko przeze mnie. To ja poszłam do Yuana Policzka, żeby mi wyjął spiralę i oszukałam męża...

Przewodnicząca Yang wyglądała na zaskoczoną, ale po chwili się roześmiała. Czując, jak gorąco rozlewa mi się po twarzy, szturchnąłem Renmei i szepnąłem:

– Nie mów bzdur.

Yang wzięła Renmei za rękę i przyjrzała jej się uważnie.

– Podoba mi się twoja szczerość, dziecko – rzekła. – Z charakteru chyba podobna jesteś do ciotki.

– Jak ja się mogę do niej porównywać? Ciotka jest psem łańcuchowym partii, gryzie każdego, kogo jej partia wskaże.

– Nie mów bzdur!

– Ale to nie bzdury, przecież to wszyscy wiedzą – uparła się moja żona. – Jak partia każe jej wejść na górę noży, to wejdzie, a jak wskoczyć do morza ognia, to też wskoczy.

– Dobrze, dobrze, nie mówmy o mnie – przerwała ciotka.

– Za mało jeszcze robię, muszę się bardziej starać.

– Towarzyszko Wang – zaczęła Yang – my, kobiety, wszystkie kochamy dzieci. Chcemy mieć jedno, dwoje, nawet i dziesięcioro to dla nas nie za dużo. Partia i ojczyzna też kochają dzieci, przewodniczący Mao i premier Zhou zawsze się uśmiechali na widok dzieci, to jest najbardziej naturalna miłość, prosto z serca. Po co my robimy rewolucję? Ostateczna przyczyna jest taka, że chcemy, aby dzieci mogły żyć szczęśliwie. Dzieci to przyszłość ojczyzny i jej wielki skarb! Ale obecna sytuacja jest taka, że jeśli nie będziemy kontrolować przyrostu ludności, może się okazać, że dzieci nie będą miały co jeść ani w co się ubrać, nie będą mogły chodzić do szkoły i dlatego w imię wielkiego dobra musimy czasem czynić małe zło. Trochę się nacierpisz i coś poświęcisz, ale w ten sposób przysłużysz się ojczyźnie!

– Pani przewodnicząca, ja już zrobię po waszemu – powiedziała Renmei. – Dziś wieczorem pójdę na aborcję. – I odwróciwszy głowę do ciotki, dodała: – Niech ciocia mi przy okazji usunie macicę!

Przewodnicząca Yang znowu wyglądała na zaskoczoną i znowu się roześmiała. Wszyscy też się zaśmiali.

– Biegaczu, ta twoja żona jest przeurocza! I przemiała! – stwierdziła, po czym zwróciła się do Renmei: – Ale macicy nie można usunąć, trzeba o nią dbać! Prawda, towarzyszko Wan?

– Ta moja bratankowa ma ikrę – odpowiedziała ciotka. – Po zabiegu, jak dojdzie do siebie, wezmę ją do naszej komórki kontroli urodzeń! Sekretarzu, do was się zwracam!

– Nie ma problemu – odpowiedział sekretarz Wu. – W naszej komórce chcemy mieć najlepszych ludzi! Towarzyszka Wang może się podzielić własnym doświadczeniem, a to na pewno przyniesie dobre rezultaty.

– Biegaczu – spytała przewodnicząca – jaką masz teraz funkcję?

– Jestem porucznikiem w dziale kultury.

– Ile lat?

– Trzy i pół roku.

– No to pewnie niedługo dostaniesz awans na kapitana, a wtedy będziesz mógł razem z żoną dostać przeniesienie do Pekinu.

– A córkę będziemy mogli wziąć ze sobą? – spytała Renmei niespokojnie.

– Oczywiście.

– Ale przeniesienie do Pekinu bardzo trudno uzyskać, trzeba mieć rekomendację.

– Pracuj dobrze, a ja już się tym zajmę – powiedziała przewodnicząca.

– Ależ jestem szczęśliwa! – krzyknęła moja żona, machając w podnieceniu rękami, – Moja córka pójdzie do szkoły w Pekinie! Moja córka będzie mieszkać w Pekinie!

Przewodnicząca znów się jej przyjrzała i rzekła do ciotki:

– Dobrze się przygotujcie do operacji. Żeby się nic nie stało.

– Bądź spokojna! – odpowiedziała ciotka.

ROZDZIAŁ 11

Przed wejściem na salę operacyjną Renmei wzięła moją rękę i przyglądając się śladom swoich zębów, rzekła przepraszająco:

– Nie powinnam była cię ugryźć.

– Nic się nie stało.

– Jeszcze boli?

– Taki tam ból, jakby mnie komar ugryzł.

– A może ty mnie też ugryziesz?

– Daj spokój – odrzekłem. – Dlaczego zachowujesz się jak dziecko?

– Biegaczu. – Złapała mnie mocno za rękę. – A Yanyan?

– W domu babcia i dziadek się nią zajmują.

– Ma co jeść?

– Ma, kupiłem dwie torebki mleka w proszku i kilogram herbatników, i jeszcze paczkę suszonego mięsa i pastę bambusową. Możesz być spokojna.

– Yanyan jest do ciebie podobna, oczy ma małe, a ja mam duże...

– No właśnie. Szkoda, że nie jest podobna do ciebie, ty jesteś ładniejsza.

– Mówią, że córki bardziej idą w ojców, a synowie w matki.

– Może i tak.

– Teraz mam w brzuchu syna, wiem, nie oszukuję cię.

– Czasy się zmieniły, teraz córki są takie same jak synowie – specjalnie powiedziałem to lekko. – Za dwa lata razem ze mną pojedziecie do Pekinu, pošlemy Yanyan do najlepszej szkoły, dobrze wykształcimy, żeby w przyszłości została kimś. Jedna udana córka jest lepsza niż dziesięciu byle jakich synów!

– Biegaczu...

– Co takiego?

– Jak Dolna Warga mnie wtedy dotykał, to naprawdę tylko przez ubranie!

– Nie żartuj! – Roześmiałem się. – Już o tym zapomniałem.

– Przez kurtkę, a pod kurtką miałam jeszcze sweter, a pod swetrem koszulę, a pod koszulą...

– A pod koszulą stanik, tak?

– Nie, tamtego dnia stanik uprałam i nie mogłam go włożyć, więc pod koszulą miałam podkoszulek.

– No dobrze, już skończmy z tymi głupotami.

– A pocałował mnie wtedy z zaskoczenia.

– No już dobrze, pocałował i tyle! Byliście zakochani.

– Ale nie upiekło mu się. Jak mnie pocałował, kopnęłam go w podbrzusze, aż złapał się za brzuch i ukucnął.

– O rety, to biedny sukinsyn. – Roześmiałem się. – A jak ja potem cię całowałem, to czemu mnie nie kopnęłaś?

– Bo jego usta miały obrzydliwy smak, a twoje przyjemny.

– To znaczy, że urodziłaś się po to, żeby zostać moją żoną.

– Biegaczu, naprawdę ci dziękuję.

– Za co?

– Sama nie wiem.

– Przestańcie się migdalić, potem porozmawiacie. – Ciotka wyłoniła się z sali operacyjnej i skinęła na Renmei. – Idziemy.

– Biegaczu... – Schwyciła mnie za rękę.

– Nie bój się – rzekłem. – Ciotka mówiła, że to tylko drobny zabieg.

– Jak wrócimy do domu, ugotuję ci kurę.

– Dobrze, ugotujemy dwie!

Wchodząc na salę, obejrzała się i spojrzała na mnie. Wciąż miała na sobie moją szarą kurtkę, jeden guzik oderwał się i została po nim tylko nitka. Na nogawkach niebieskich spodni zostały ślady żółtej ziemi. Na stopach nadal miała brązowe, zniszczone buty ciotki.

Coś mnie zakłuło w nosie, w głowie miałem pustkę. Siedziałem na zakurzonej szpitalnej ławce i wsłuchiwałem się w dochodzący z sali brzęk metalu. Wyobrażałem sobie kształt chirurgicznych narzędzi i niemal widziałem ich ostre błyski, niemal czułem ich chłód. Na dziedzińcu na tyłach szpitala roześmiało się dziecko. Wstałem i wyjrzałem przez szybę: jakiś trzyletni chyba chłopczyk w rękach trzymał dwie nadmuchane prezerwatywy. Biegł przed siebie, a za nim goniła dziewczynka w tym samym wieku...

Z sali operacyjnej wypadła ciotka i krzyknęła wzburzoną głosem:

– Jaką masz grupę krwi?

– A.

– A ona?

– Kto?

– No, kto?! – wściekła się. – Twoja żona!

– Chyba zero... Nie, nie wiem...

– Cholera jasna!

– Co z nią? – Na jej białym kitlu zobaczyłem krew i z głowy uciekły mi wszystkie myśli.

Wróciła na salę i zatrzasnęła drzwi. Przywarłem twarzą do szpary między nimi, ale nic nie widziałem. Nie słyszałem głosu Renmei, słyszałem tylko „Lwiczkę” krzyczącą do telefonu, żeby szpital powiatowy przysłał karetkę.

Pchnąłem drzwi, otworzyły się. Zobaczyłem Renmei... zobaczyłem ciotkę z podwiniętym rękawem i „Lwiczkę” pobierającą jej krew do grubej strzykawki. Zobaczyłem twarz Renmei, białą jak papier... Renmei... Renmei, wytrzymaj... Pielęgniarka wypchnęła mnie z sali.

– Pozwól mi wejść – powiedziałem. – Kurwa, pozwól mi wejść...

Kilku ludzi w białych kitlach przebiegło korytarzem... Lekarz w średnim wieku, roztaczający zapach papierosów i płynu do dezynfekcji, zaciągnął mnie do ławki i usadził. Podał mi papierosa, przypalił. Pocieszał mnie.

– Nie denerwuj się, karetka zaraz przyjedzie. Twoja ciotka oddała jej sześćset mililitrów swojej krwi, nic złego nie powinno się wydarzyć...

Przyjechała karetka na sygnale. Ten dźwięk wślizgiwał się w moje ciało jak wąż. Ktoś w białym kitlu z apteczką w rękę. Ktoś w białym kitlu, w okularach i ze słuchawkami na szyi. Mężczyzna w białym kitlu. Kobieta w białym kitlu. Mężczyzna w białym kitlu niosący złożone nosze. Jedni weszli do Sali operacyjnej, inni stali na korytarzu. Ruchy mieli szybkie, ale twarze spokojne. Nikt nie zwracał na mnie uwagi, nikt nawet na mnie nie spojrział. W ustach poczułem smak krwi...

Białe kitle niespiesznie wyszły z sali operacyjnej. Jeden po drugim wsiedli do karetki, a na końcu wciągnęli nosze.

Uderzyłem w drzwi i wszedłem do sali. Zobaczyłem Renmei przykrytą białym prześcieradłem, jej ciało, jej twarz. Ciotka, cała umazana krwią, siedziała nieruchomo na rozkładanym krześle. „Lwiczka” i inni stali jak drewniane figury. Słyszałem tylko ciszę, która po chwili zmieniła się w szum podobny do brzęczenia pszczoł w uszach.

– Ciociu... mówiłaś, że nic się nie stanie...

Ciotka podniosła głowę. Zmarszczyła nos, oczy się jej zwężyły, jej twarz wyglądała brzydko i strasznie. Kichnęła potężnie.

ROZDZIAŁ 12

– Bratowo, bracie. – Ciotka stała na podwórku i martwym głosem mówiła: – Przyszłam prosić o wybaczenie.

Urna z prochami Renmei stała na kwadratowym stole w głównej izbie. Obok stała biała miseczka z prosem, z trzech wetkniętych weń trociczek unosił się wonny dym. Siedziałem przy stole w mundurze z czarną opaską na ramieniu, z córką w żałobie na kolanach. Czasami podnosiła do mnie główkę i pytała:

– Tato, co jest w garnku?

Nie wiedziałem, co odpowiedzieć, a łzy spływały mi na wąsy.

– Tato, a mama? Gdzie jest mama?

– Mama pojechała do Pekinu – powiedziałem. – Za kilka dni my też do niej pojedziemy.

– A dziadek i babcia też pojedą?

– Pojadą, wszyscy pojedziemy.

Ojciec i matka na podwórku piłowali deskę. Leżała przywiązana do stołka, ojciec stał, mama siedziała, jedno z góry, drugie z dołu, jedno ciągnęło do siebie, drugie pchało od siebie, piła zgrzytała, a trociny fruwały w słonecznym świetle.

Wiedziałem, że deska przeznaczona była na trumnę dla Renmei. Chociaż w naszych stronach praktykowano już kremację, nie wyznaczono jeszcze miejsca na urny, a ludzie wciąż chcieli pochować prochy i postawić nagrobek. Bogatsi mogli sobie pozwolić na trumnę, przesypać do niej prochy i rozbić urnę, ubożsi zakopywali prochy bezpośrednio w urnach.

Ciotka stała z opuszczoną głową. Widziałem zrozpaczone twarze rodziców i ich mechaniczne ruchy. Zobaczyłem towarzyszących ciotce: sekretarza partii z komuny, „Lwiczkę” i trzech urzędników. Przynieśli kolorowe pudełka z ciastkami, ustawione w piramidkę stały teraz na obrzeżu studni. Obok nich leżało wilgotne zawiniątko z trzciny, z którego unosiła się ostra woń, wiedziałem, że w zawiniątku jest solona ryba.

– Nikt z nas się nie spodziewał, że coś takiego się wydarzy – powiedział sekretarz. – Ze szpitala w powiecie przyjechali specjaliści i stwierdzili, że przewodnicząca Wan i jej zespół przeprowadzili zabieg zgodnie z procedurą, nie popełnili żadnego błędu, akcja ratunkowa też została przeprowadzona prawidłowo, a co więcej, doktor Wan jeszcze przetoczyła jej sześćset mililitrów własnej krwi. Jest nam bardzo przykro i bardzo ciężko...

– Oczu nie masz?! – wybuchnął nagle ojciec. – Nie widzisz, że tu jest czarna kreska? Piła zeszła prawie o półtora centymetra, a ty dalej nie widzisz?! Do niczego się nie nadajesz!

Mama podniosła się i zanosząc się głośnym płaczem, weszła do domu.

Ojciec rzucił piłę, podszedł do wiadra z wodą, zaczerpnął trochę i zaczął pić z odchyłoną do tyłu głową. Woda ściekała mu po brodzie na szyję i dalej na pierś, mieszając się ze złotymi trocinami. Skończywszy pić, ojciec z powrotem podniósł piłę i sam zaczął zawzięcie piłować.

Sekretarz i kilku urzędników weszli do izby, stanęli przed urną i trzykrotnie się jej pokłonili. Jeden z urzędników wyjął kopertę z grubego brązowego papieru i położył ją na kuchni.

– Towarzyszu Wan – rzekł sekretarz. – Wiem, że żadne pieniądze nie zwrócą strat poniesionych przez waszą rodzinę przez to nieszczęśliwe zajście. Tu jest pięć tysięcy juanów, żeby wyrazić nasze współczucie.

Ktoś wyglądający na asystenta dodał:

– Trzy tysiące są państwowe, dwa pozostałe są od sekretarza Wu i kilku innych kierowników z komuny.

– Zabierzcie to – powiedziałem. – Proszę was, zabierzcie to. Nie potrzebuję.

– Rozumiemy, co czujesz – rzekł sekretarz Wu z przygnębieniem. – Martwych nie wrócisz do życia, ale żywi muszą dalej pracować dla rewolucji. Przewodnicząca Yang dzwoniła z Pekinu, żeby po pierwsze wyrazić żal z powodu śmierci Renmei, po drugie, żeby złożyć rodzinie kondolencje, a po trzecie, żeby ci powiedzieć, że urlop masz przedłużony o pół miesiąca. Pozakatwiał spokojnie wszystkie sprawy związane ze zmarłą i dopiero wracaj do pracy.

– Dziękuję – powiedziałem. – Możecie już iść.

Sekretarz i jego świta jeszcze raz pokłonili się urnie i zgarbieni wyszli. Patrzyłem na ich nogi, na ich tłuste lub chude pośladki i z oczu znowu puściły mi się łzy.

Z ulicy dobiegło szlochanie kobiety i przekleństwa mężczyzny. Wiedziałem, że przyszli teść i teściowa. Teść, z drewnianymi widłami do siana w ręku, krzyknął głośno:

– Wy kundle, oddajcie mi moją córkę!

Teściowa, chwiejąc się na swoich małych stopach, zamachała ramionami, jakby chciała rzucić się na ciotkę, ale straciła równowagę i upadła. Siedziała na ziemi i bijąc się po twarzy rękami, wyła:

– O, moja nieszczęsna córeczko... dlaczego nas zostawiłaś... Jak mamy teraz żyć?

Sekretarz podszedł do nich i rzekł:

– Ojciec i matka Wang, właśnie wybieraliśmy się do was, to nieszczęśliwe zajście bardzo nas wszystkich zasmuciło.

Teść uderzył w ziemię widłami i tupiąc, krzyknął:

– Biegaczu Wan, ty łajdaku, wychodź natychmiast!

Wyszedłem do niego z córką na rękę. Yanyan mocno objęła mnie za szyję i ukryła buzię przy moim policzku.

– Ojciec – powiedziałem, stając przed nim. – Bij.

Podniósł wysoko widły, ale jego ręce znieruchomiały w powietrzu. Zobaczyłem, jak łzy spływają mu na białe wąsy, nogi ugięły się pod nim i osunął się na kolana.

– Taka była żywotna... – Rzucił widły i przykucnięty na ziemi zanosił się łkaniem. – Taka była zdrowa i żywotna, a wy żeście ją zabili... zbrodniarze... Kary nieba się nie boicie...

Ciotka podeszła i stanęła między teściem i teściową.

– Bracie Wang, bratowo, o to, co się stało, nie wińcie Biegacza, tylko mnie. – Podniosła głowę i mówiła dalej: – Moja wina jest taka, że nie dopełniłam obowiązku, nie sprawdziłam na czas, czy wszystkie kobiety zachowały spirale, nie wiedziałam, że Yuan Policzek zajmuje się ich usuwaniem i nie wysłałam Renmei do szpitala powiatowego na zabieg. A teraz – spojrzała na sekretarza – czekam na decyzję zwierzchników.

– Decyzja została już podjęta – rzekł sekretarz. – Matko i ojciec Wang, zajmijmy się kwestią zapomogi dla was, ale doktor Wan nie popełniła żadnego błędu, to był nieszczęśliwy wypadek. To kwestia nietypowej budowy waszej córki, nawet gdyby zabieg odbywał się w szpitalu powiatowym, rezultat byłby taki sam. A poza tym – zwrócił się sekretarz do stłoczonych na podwórku i ulicy ludzi i podniósł głos – polityka kontroli urodzeń ma zasadnicze znaczenie dla kraju i nie może zostać zmieniona z powodu kilku nieszczęśliwych zdarzeń. Wszystkie kobiety, które zaszły nielegalnie w ciążę, mają się same zgłosić na aborcję. Wszyscy, którzy planują niezgodne z prawem posiadanie dzieci, i wszyscy, którzy działają na szkodę polityki kontroli urodzeń, zostaną surowo ukarani!

– Ja ciebie też zabiję! – szaleńczym głosem krzyknęła teściowa, wyszarpnęła zza pazuchy nożyczki i wbiła je ciotce w udo.

Ciotka przycisnęła rękę do rany i spomiędzy jej palców wypłynęła krew.

Kilku urzędników z komuny rzuciło się na teściową, przewróciło ją na ziemię i wydarło nożyczki z ręki. „Lwiczka” uklękała przy ciotce, otworzyła apteczkę, wyjęła bandaż i zaczęła nim owijać jej udo.

– Szybko, dzwońcie po karetkę! – krzyknął sekretarz.

– Nie trzeba! – zawołała ciotka. – Bratowo Wang, oddałam twojej córce sześćset mililitrów własnej krwi, a teraz ty mi upuściłaś więcej nożyczkami, więc dług krwi między nami został już spłacony.

– Kobieto, co ty sobie myślisz! – zagrzemiał sekretarz. – Jeśli przewodniczącej Wan coś się stanie, odpowiesz za to przed prawem!

Teściowa na widok krwi na udzie ciotki chyba złąkała się trochę, uderzyła rękami w ziemię i rozpłakała się.

– Nie bój się, bratowo – rzekła ciotka. – Nawet jeśli umrę od tego na tężec, nie będziesz za to odpowiadać. Właściwie jestem ci wdzięczna, bo swoimi nożyczkami zdjęłaś mi z pleców ciężar i umocniłaś mnie w przekonaniu. – Tu ciotka zwróciła się do gapiów. – Przekażcie Nosowi i Nerce, żeby sami się do mnie zgłosili do szpitala. Jeśli nie – machnęła zakrwawioną ręką – choćby schowała się do grobu, też ją stamtąd wykopię!

Część trzecia

Kochany Panie Sugitani Yoshito,

Dzisiaj jest pierwszy dzień nowego roku. Wczoraj wieczorem zaczął padać śnieg i jeszcze teraz wciąż pada. Na zewnątrz jest już całkiem biało i słycać śmiechy bawiących się dzieci. Na wielkiej topoli przed naszym domem nawołują się dwie sroki, a w ich głosach jest jakby radosne zaskoczenie.

Pańska odpowiedź na mój list przygnębiła mnie, bo nigdy nie chciałem, by mój list przyprowadził Pana o bezsenność i osłabienie. Jestem wzruszony słowami pociechy w Pana liście. Pisze Pan, że płakał, czytając o śmierci Renmei. Ja także, pisząc o tym, miałem łzy w oczach. Nie mam żalu do ciotki, uważam, że nie zrobiła nic złego, chociaż ją samą w ostatnich latach często nękają wyrzuty sumienia i mówi, że ręce ma umazane we krwi. Ale taka jest historia, a w historii liczy się tylko rezultat, a nie środki. Ludzie widzą tylko Wielki Mur i egipskie piramidy i inne wielkie budowle, ale nie widzą stosów białych kości, które pod nimi leżą. W ostatnich dwudziestu latach naród chiński ekstremalnymi metodami ograniczył w końcu gwałtowny przyrost. Można powiedzieć, że uczynił to nie tylko dla własnego rozwoju, ale dla całej ludzkości. W końcu wszyscy żyjemy na tej małej planecie. Jej złoża też są ograniczone, a raz zużyte nie dadzą się odtworzyć. Z tego punktu widzenia krytyka Zachodu wobec chińskiej polityki kontroli urodzeń jest często niesprawiedliwa.

W ostatnich dwóch latach w mojej wsi wiele się zmieniło. Nowy sekretarz jest młodym człowiekiem przed czterdziestką, z amerykańskim doktoratem, z wizją i energią. Podobno oba brzegi rzeki Jiao w Gaomi Dongbeixiangu mają stać się strefą rozwoju. Już teraz pojawiły się tam wielkie maszyny budowlane. Za kilka lat będzie tu zupełnie inaczej i krajobrazy, które widział Pan w czasie swojej ostatniej wizyty, być może zupełnie znikną. Czy te przyszłe zmiany będą ostatecznie dobre, czy złe – nie umiem przewidzieć.

Razem z listem przesyłam trzecią część materiałów poświęconych mojej ciotce – głupio mi nadal nazywać je listem. Oczywiście, będę pisał dalej, Pańskie pochwały są dla mnie największą zachętą.

Jeszcze raz serdecznie zapraszamy, żeby w dogodnym dla siebie czasie przyjechał Pan do nas z wizytą. Być może powinniśmy Pana przyjąć jak starego przyjaciela, bez specjalnych ceremonii.

Poza tym ja i żona niedługo przejdziemy na emeryturę, a potem planujemy wrócić na wieś. W Pekinie cały czas czuliśmy się obco. Ostatnio w okolicach Teatru Ludowego jakieś dwie kobiety, które podobno „od dzieciństwa wychowały się na uliczkach Pekinu”, przez dwie godziny wrzeszczały na mnie bez powodu. To jeszcze bardziej umocniło w nas decyzję powrotu i osiedlenia się w rodzinnych stronach. Może tutejsi ludzie nie będą nas tak źle traktować, jak ludzie w wielkich miastach. Może stąd jest bliżej do literatury.

Kijanka

Pierwszy dzień nowego roku 2004, Pekin

ROZDZIAŁ 1

Załatwiłem sprawy po śmierci Renmei i od razu wróciłem do jednostki. Miesiąc później dostałem kolejny telegram: „Matka umarła, wracaj natychmiast”. Poszedłem z telegramem do dowództwa prosić o urlop i od razu dałem im podanie o przeniesienie do cywila.

Wieczorem po pogrzebie matki księżyc świecił bardzo jasno i całe podwórko zalane było srebrzystym blaskiem. Yanyan spała na rozłożonej pod gruszą macie, a ojciec wachlarzem opędzał ją od komarów. Świerszcze śpiewały na tyczkach fasoli, od rzeki dobiegał szmer wody.

– Znajdź sobie kogoś – powiedział ojciec z westchnieniem. – Dom bez kobiety to nie dom.

– Już złożyłem podanie o zwolnienie z wojska – odparłem. – Zobaczymy, jak wrócę.

– Tak nam się dobrze żyło i w jednej chwili wszystko się zmieniło. – Ojciec znowu westchnął. – I nie wiadomo nawet, kogo za to winić.

– Nie można winić ciotki – rzekłem. – Nie zrobiła nic złego.

– Toteż ja jej nie winię. Los tak chciał.

– Bez ludzi takich jak ciotka, którzy wszystko potrafią poświęcić, nie dałoby się nic zrealizować.

– Ja to rozumiem, ale czemu to musi być ona? Gdy zobaczyłem, że ją nożyczkami do krwi zranili, aż serce mnie zabolęło. Przecież to rodzona siostra.

– Na to już nie ma rady – odrzekłem.

ROZDZIAŁ 2

Od ojca dowiedziałem się, że w ranę zadaną ciotce nożyczkami teściowej wdało się zakażenie i gorączka nie chciała ustąpić. I w takim właśnie stanie ciotka wyruszyła z obławą na Wang Nerkę. Może słowo „obława” źle brzmi, ale faktycznie tak właśnie było.

Brama do domu Nerki była zamknięta na głucho, w środku panowała kompletna cisza. Ciotka kazała rozbić kłódkę i weszli na podwórze. „Musiała od kogoś dostać informację”, opowiadał ojciec. Kulejąc, weszła do domu, podniosła pokrywkę z garnka, w którym została resztką kleiku, a gdy spróbowała trochę na palcu, okazał się jeszcze ciepły. Ciotka roześmiała się i zawołała:

– Chenie Nosie, Wang Nerko, wyjdziecie sami? Czy może mam was wypłoszyć jak myszy z dziury?

Odpowiedziała jej cisza. Ciotka pokazała na szafę. Kazała z niej wyrzucić stare ubrania, wzięła wałek i gdy mocno stuknęła w dno szafy, odpowiedział jej pusty dźwięk. Pod spodem musiał być otwór.

– Ej, partyzanci, wychodźcie – powiedziała. – Czy może mamy wam tam nalać wody?

Pierwsza wyszła ich córka Chen Ucho. Twarz dziewczynki pokryta była szarobiałymi pasami i wyglądała jak diabełek. Nie płakała, szczyrzyła nawet ząbki i zanosila się śmiechem. Następny pokazał się Nos. Wyglądał żałośnie: zarosnięty, kędzierzawy, spod brudnej kamizelki wystawały splątane jasne włosy. Wielki chłop z hukiem upadł przed ciotką na kolana i waląc głową w ziemię, zapłakał. Ojciec opowiadał, że jego płacz słycać było w całej wsi.

– Ciotko, ciotko moja rodzona – błagał – ja jestem pierwszym dzieckiem, które przyjęłaś na świat, miej wzgląd na to, że Nerka jest jak pół człowieczka, odpuść nam w swojej wielkiej łaskawości... Moja rodzina będzie ci wdzięczna na wieki...

Ojciec mówił dalej:

– Ci, którzy to widzieli, mówili, że twoja ciotka też miała łzy w oczach, ale powiedziała: „Nosie, to nie zależy ode mnie. Co zależy ode mnie, wszystkiego możesz zażądać, jak zechcesz mojej ręki, odrąbię i ci dam!”.

– Ciotko, zlituj się nad nami...

Córeczka Nosa to bystre dziecko, naśladowając ojca, też padła na kolana i bijąc czołem w ziemię, prosiła:

– Zlituj się... zlituj się...

A wtedy, opowiadał ojciec, Pięć Zmysłów, który stał w grupie gapiów na podwórzu, drwiąco zaśpiewał piosenkę z filmu Wojna w tunelach: Wojna w tunelach, ta wojna w tunelach, tylu bohaterów i tyle zasadzek... Na wielkiej równinie, ta wojna w tunelach, duchy staną do walki, i wrogowie zginą.

Ciotka otarła ręką twarz i nagle jakby się zmieniła.

– Dosyć już, Nos, każ żonie wyjść.

Nos podczołgał się do niej na kolanach i objął nogi, a Ucho w ślad za nim uczepiła się jej łydki.

Pięć Zmysłów znowu zaśpiewał na podwórzu: Na wielkiej równinie, ta wojna w tunelach... gdy najeźdźca odważy się przyjść... a cały naród niech się podwiązuje, a cały naród niech unika ciąży...

Ciotka usiłowała się wyrwać, ale Nos i Ucho trzymali się jej z całych sił. Ciotka nagle jakby coś sobie uświadomiła i krzyknęła:

– Wejdźcie do dołu!

Jeden z milicjantów, trzymając w ustach latarkę, zszedł do dołu i po chwili zawołał:

– Tu nie ma nikogo!

Ciotka, jakby ją piorun trafił, zachwiała się, przechyliła na bok i upadła.

„Nos dobrze to wymyślił, ciągnął dalej ojciec, z tyłu za domem mają ogród warzywny, a w nim studnię z kołowrotem”. Podziemny tunel wychodził do studni. To była wielka robota, nie wiem, jak go wykopali ani gdzie przenieśli ziemię. Kiedy Nos i Ucho trzymali ciotkę za nogi, Nerka doczołgała się do wyjścia i po linie z kołowrotu wyciągnęła się na górę. Namęczyła się, biedactwo, mówił ojciec, ona taka malutka i jeszcze z wielkim brzuchem, a jednak po linie wydostała się ze studni.

Kiedy ciotkę podprowadzili do studni, tupiąc ze złości, zawołała:

– Jaka ja jestem głupia, jaka głupia! Przecież jak mój ojciec był w szpitalu Xihai, też tam takie tunele budowali!

Znowu zemdląła, podnieśli ją i zabrali do szpitala. Zachorowała na to samo, co Norman Bethune i prawie umarła. Ona jest wierna Komunistycznej Partii Chin, ale partia również jej nie zostawiła: żeby ją ratować, podobno nie pożałowali najdroższych lekarstw!

Twoja ciotka pół miesiąca spędziła w szpitalu, nie odzyskała jeszcze pełnej sprawności i uciekła. Strasznie się gryzła i powiedziała, że dopóki nie usunie dziecka z brzucha Nerki, nie będzie mogła ani jeść, ani spać. Takie w niej twarde poczucie odpowiedzialności, sam powiedz, czy ona jest jeszcze człowiekiem? Sam nie wiem, czy anioł w niej siedzi, czy diabeł, westchnął ojciec.

Chen Nos i Chen Ucho wciąż byli w areszcie. Niektórzy opowiadali, że powiesili ich do góry nogami i bili w czasie przesłuchań, ale to tylko wymysły. Ktoś z władz wsi ich odwiedził i mówił, że tylko w pokoju ich zamknęli. Mieli tam łóżko i pościel, a nawet termos i dwa kubki, dostawali jeść i pić. Do jedzenia mieli to samo co pracownicy urzędu komuny: białe bułki na parze, zupę z kaszą i warzywa. Podobno nawet twarze im pojaśniały i nabrali ciała. Oczywiście nie dawali im jeść za darmo, musieli za to płacić, ale Nos wzbogacił się na handlu, więc pieniądze miał. Komuna dogadała się z bankiem, że udostępnią im wszystko, co miał na koncie: trzydzieści osiem tysięcy juanów!

Kiedy twoja ciotka była w szpitalu, komuna wysłała ludzi do wsi. Zwołali wielkie zebranie i ogłosili, że każdy, kto tylko może chodzić, ma wziąć udział w poszukiwaniach Nerki. Wypłacali po pięć juanów na głowę dziennie, a pieniądze brali z konta Nosa. Niektórzy ze wsi nie poszli i mówili, że to brudne pieniądze, ale tak też nie było wolno. Kto nie chciał iść, musiał zapłacić po pięć juanów kary i wtedy zaraz się wszyscy zebrali i poszli. Z siedmiuset mieszkańców wsi pierwszego dnia wyruszyło ponad trzystu, a jak im wypłacili wieczorem, od razu poszło ponad tysiąc juanów. Komuna ogłosiła jeszcze, że ten, kto znajdzie i doprowadzi Nerkę, dostanie w nagrodę dwieście juanów, a kto udzieli wartościowych informacji – sto. Wtedy w całej wsi było jedno wariactwo, niektórzy naprawdę się cieszyli, ale inni wcale nie byli szczęśliwi. Wiem, ciągnął ojciec, że byli tacy ludzie, co naprawdę chcieli dostać te dwieście albo sto juanów nagrody, ale większość nie przykładła się do poszukiwań. Pochodzili trochę po polach za wsią, pokrzyczeli: „Nerka, wychodź! Jak nie wyjdiesz, to wam wszystkie pieniądze zabiorą!”. A potem cichcem wracali na własne pola do pracy. Wiezorami oczywiście stawiali się po pieniądze, bo jakby się nie stawili, sami musieliby płacić.

– I nie znaleźli jej? – spytałem.

– A gdzie mieli szukać? Mnie się zdaje, że ona już jest daleko.

– Taki mały człowieczek, krocзки takie małe stawia, i jeszcze z wielkim brzuchem, dokąd może uciec? Wydaje mi się, że chowa się gdzieś we wsi – ściszyłem głos. – A może jest u matki?

– Komu to mówisz? Ci z komuny byli zawzięci jak cholera, ziemię u Wanga Stopy prawie na metr przekopali, nawet mu kang rozebrali, bo się bali, że Nerka może chować się w dziurze pod kangiem. Mnie się zdaje, że nikt we wsi nie odważyłby się ukrywać Nerki, bo za to kara wynosi trzy tysiące juanów.

– A może się załamała? Sprawdzili rzekę, zajrzeli do studni?

– Nie doceniasz tej kobiecinki! – odpowiedział ojciec. – Ona ma więcej charakteru niż ta cała wieś, więcej u niej siły niż u wielkiego chłopca!

To była prawda. Przypomniałem sobie jej żywą i śliczną twarzyczkę i ukazujący się na niej czasem wyraz sprytu i uporu.

– Chyba niedługo będzie już w siódmym miesiącu? – spytałem z troską.

– Dlatego twoja ciotka tak się denerwuje! – westchnął ojciec. – Ona mówi, że dopóki płód jest w brzuchu, dopóki nie „wyjdzie z garnka”, to tylko kawałek mięsa: jak trzeba go wyciąć, to się wytnie, jak trzeba usunąć, to się usunie. Ale jak już „wyjdzie z garnka”, to jest człowiekiem, nawet jeśli nie ma ramienia czy nogi, jest człowiekiem, a każdy człowiek jest pod prawną opieką państwa.

Przed moimi oczami pojawił się obraz Nerki, liczącej ledwo siedemdziesiąt centymetrów wzrostu, z wielkim brzuchem i wysoko podniesioną subtelną główką, jak przebierając chudymi i krótkimi nóżkami, z wielkim tobołkiem na ręku, potykając się, biegnie opuszczoną, zarośniętą cierniami polną drogą. Widziałem, jak ogląda się za siebie, potyka, upada i znowu się podnosi, znowu biegnie... Albo jak w wielkiej drewnianej balii, ciężko dysząc, wiosłuje deseczkami używanymi w chłopskich domach do mieszania pasty sojowej, a niespokojna rzeka unosi ją coraz dalej...

ROZDZIAŁ 3

Trzeciego dnia po pogrzebie matki odbyła się uroczystość zamknięcia grobu. Przyszli wszyscy krewni i znajomi. Przed grobem matki spaliliśmy wycięte z papieru figurki ludzi i koni, a nawet papierowy telewizor. Dziesięć metrów od grobu mamy znajdował się grób Renmei, zarośnięty już zieloną trawą. Posłuszny przestrzeganej od wielu pokoleń rodzinnej regule, trzymając w lewej ręce garść ryżu, a w prawej garść zboża, obszedłem grób dookoła: najpierw trzy okrążenia zgodnie z ruchem wskazówek zegara, potem trzy w odwrotnym kierunku. Obchodząc, wysypywałem z garści ryż i zboże na szczyt kopca i powtarzałem w myślach: „Garść ryżu, garść zboża, niech bliscy skosztują”. Córka szła za mną i swoją rączką też rzucała na kopczyk zboże i ryż.

Ciotka zjawiała się mimo licznych obowiązków, a za nią przyszła „Lwiczka” ze swoją apteczką na plecach. Ciotka wciąż trochę kuląła, a przez te kilka miesięcy niewidzenia jeszcze się postarzała. Uklękła przed grobem mojej matki i wybuchnęła płaczem. Nigdy nie widzieliśmy jej płaczącej, więc był to dla nas prawdziwy szok. „Lwiczka” stała z boku, z poważną twarzą i łzami w oczach. Kilka kobiet zaczęło ciotkę pocieszać, a potem wzięły ją pod ramiona i podniosły, ale gdy tylko puściły, znów padła na kolana z jeszcze rozpaczliwszym szlochem. Kobiety, które wcześniej przestały już płakać, też klękły i zaniosły się lamentem.

Schyliłem się, chcąc podnieść ciotkę, ale „Lwiczka” powiedziała cicho:

– Niech płacze. Za długo już to w sobie dusiła.

Spojrzałem na „Lwiczkę”, na jej współczującą twarz i w sercu zrobiło mi się cieplej.

Ciotka wyplakała się wreszcie i sama wstała. Otarła oczy i zwróciła się do mnie:

– Dzwoniła przewodnicząca Yang i mówiła, że chcesz odejść z wojska.

– Zgadza się – odrzekłem. – Złożyłem już podanie.

– Prosiła, żebym cię przekonała, abys nie odchodził. Rozmawiała już z twoimi przełożonymi, żeby skierowali cię do pracy przy kontroli urodzeń pod jej zwierzchnictwem i żebyś dostał wcześniejszy awans na kapitana. Ona cię bardzo ceni.

– To już nie ma znaczenia – odrzekłem. – Wolę przetrząść gnój, niż pracować przy kontroli urodzeń.

– Nie masz racji. To wielkie zadanie dla partii i ważna praca.

– Niech ciocia przekaze przewodniczącej Yang, że jestem jej bardzo wdzięczny za troskę, ale muszę wrócić na wieś. W domu został tylko stary ojciec i dziecko, jak mają sobie poradzić?

– Na razie nie odpowiadaj. Przemyśl to najpierw dobrze – poradziła ciotka. – Jeśli możesz zostać w wojsku, to lepiej zostań. Praca w terenie jest ciężka. Popatrz na Yang Serce i popatrz na mnie. Obie zajmujemy się tym samym, ale ona jest taka wydelikaccona i zadowolona, a ja? Miotam się, poznałam krew, poznałam łzy i jak ja wyglądam?

ROZDZIAŁ 4

Przyznaję, że jestem oportunistą. Mówiłem, że chcę odejść z wojska, ale kiedy usłyszałem o możliwości awansu i że przewodnicząca Yang mnie ceni, zacząłem mieć wątpliwości. Ojciec też nie chciał, żebym odchodził.

– Twój najstarszy dziadek wiele dobra uczynił ojcu Yang, nie tylko nogę mu uratował, ale jeszcze żonę wyleczył. A on teraz jest wielkim dygnitarzem i z jego powiązaniem masz przed sobą świetną przyszłość.

Niby oponowałem, a w rzeczywistości myślałem tak samo. Jesteśmy tylko prostymi, nic nieznaczącymi ludźmi, więc można nam chyba wybaczyć, że chcieliśmy się znaleźć pod opieką możnych? Dlatego kiedy ciotka znów przyszła ze mną porozmawiać, zachowywałem się inaczej. I kiedy zaproponowała, żebym ożenił się z „Lwiczką”, choć znowu wspomniałem o wieloletniej miłości Wanga Wątroby, w głębi duszy czułem, że mój opór zaczyna słabnąć.

– Nie mam dzieci – powiedziała ciotka – i od dawna „Lwiczka” jest dla mnie jak rodzona córka. To porządna dziewczyna, ma dobre serce i jest mi bardzo oddana. Jak mogłabym wydać ją za Wanga Wątrobę?

– Ale ciociu – odrzekłem – ciocia wie na pewno, że od tego pierwszego listu, który Wątroba napisał do „Lwiczki” w 1970 roku, minęło dwanaście lat i przez ten czas napisał już pięćset takich listów. Sam mi to powiedział. I z miłości dla „Lwiczki” nie zawahał się donieść na własną siostrę. Oczywiście, to on wydał Yuana Policzka i Renmei, bo inaczej skąd byście wiedzieli, że Policzek nielegalnie wyjmuje spirale, a Nerka i Renmei planują nielegalne ciążę?

– Powiem ci prawdę. „Lwiczka” nigdy nie widziała tych obrzydliwych listów, wszystkie ja zabrałam. Umówiłam się z naczelnikiem poczty, żeby wszelka korespondencja od tego człowieka najpierw trafiała do mnie.

– Ale przecież on się wam tak przysłużył – przypominałem. – Poczynając od sprawy jego ojca, bardzo wam pomagał. A teraz w imię sprawy zapomniał o więzach rodzinnych i wydał wam własną siostrę.

– Za takiego człowieka tym bardziej nie można wyjść! – wybuchnęła ciotka gniewnie. – Żeby dla kobiety zdradzić przyjaciół, zdradzić własną siostrę? Sam powiedz, czy na takim człowieku można polegać?

– Ale jednak bardzo wam pomogłem!

– To dwie różne sprawy – powiedziała twardo. – Biegaczu, zapamiętaj sobie: człowiek może być, kim chce, ale nie wolno mu być zdrajcą. Najszlachetniejsze powody nie usprawiedliwiają zdrady. Tak było i jest, zawsze i wszędzie, żaden zdrajca nie kończy dobrze. Tak jak ten Wang Xiaoti, może i dostał pięć tysięcy uncji złota, ale założył się, że nie umrze dobrą śmiercią. Jednego dnia za pięć tysięcy uciekniesz do Kuomintangu, a jak jutro jakaś inna partia da ci dziesięć tysięcy, to co, też pójdziesz do nich? Wątroba dostarczył nam wielu informacji, ale tym bardziej nim gardzę, i dla mnie ten człowiek to tyle, co psie szczyny.

– Ciociu, a gdybyś nie zabrała jego listów? Może „Lwiczka” wrzuciłaby się nimi i może już dawno byłaby jego żoną?

– Niemożliwe – odparła ciotka. – Absolutnie niemożliwe. „Lwiczka” jest szlachetnym człowiekiem. I przez te lata nie tylko jeden Wątroba się w niej zakochał. Było takich przynajmniej z tuzin, niektórzy na stanowiskach, inni – prości robotnicy, ale „Lwiczce” nie spodobał się żaden.

Pokręciłem głową z niedowierzaniem.

– Kiedy ona z wyglądu... – zacząłem.

– Ech! Gdzie ty masz oczy? – prychnęła ciotka. – Jest wiele kobiet, które na pierwszy rzut oka wydają się ładne, ale jak przyjrzeć się uważniej, okazuje się, że mają mnóstwo wad. A „Lwiczka” najpierw wydaje się może niezbyt urodziwa, ale jak się jej cierpliwiej przypatrzeć, robi się coraz ładniejsza. Chyba nigdy nie spojrzales na nią uważnie? Ja przez całe życie mam do czynienia z kobietami i bardzo dobrze wiem, które trzeba cenić. Pamiętasz jeszcze, jak zacząłeś pracę i chciałam ci ją wyswatać, ale ty zakochałeś się w Renmei. Nie podobało mi się to, ale w nowym społeczeństwie jest wolność małżeństwa, więc musiałam przez wzgląd na twoje uczucia być dla niej miła. Ale teraz Renmei już nie ma – oczywiście, nie chciałam, żeby umarła, życzyłam jej stu lat życia – ale niebo tak chciało. Ty i „Lwiczka” jesteście sobie przeznaczeni.

– Tak czy inaczej Wątroba jest moim przyjacielem od najmłodszych lat i wszyscy wiedzą, że on się kocha w „Lwiczce”. Gdybym się z nią ożenił, na śmierć by mnie opluli.

– Wszystko ci się miesza – rzekła ciotka. – To, że on się zakochał w „Lwiczce”, to nic innego niż kij, co się pali tylko z jednego końca. „Lwiczka” nigdy nie powiedziała, że też go kocha. Jeśli wyjdzie za ciebie, będzie jak „ptak, co decyduje, na którym drzewie siądzie”. A poza tym w miłości nie ma czegoś takiego jak lojalność wobec kumpla, w miłości każdy jest egoistą. Gdyby „Lwiczka” była koniem, który spodobał się Wątrobie, mógłbyś mu ją ustąpić, ale ona jest człowiekiem i jeśli ją kochasz, powinienes ją zdobyć nawet siłą. Tyle lat żyjesz na świecie, widziałeś tyle zagranicznych filmów i jesteś taki konserwatywny?

– Nawet gdybym ja się zgodził, to „Lwiczka”... – zacząłem, ale ciotka znów mi przerwała.

– O to się nie martw. Jest przy mnie od wielu lat i dobrze wiem, o czym myśli. Powiem ci całkiem szczerze – ona cię kocha i gdyby Renmei nie umarła, zostałaby sama do końca życia.

– Muszę się zastanowić kilka dni – powiedziałem. – Na grobie Renmei ziemia się jeszcze nie ustała.

– Nad czym tu się zastanawiać? Długą nocą śni się dużo, odwlekanie sprawy nie kończy się dobrze. Jeśli dusza Renmei patrzy na nas z nieba, to też temu przykłaśnie! Dlaczego? Bo „Lwiczka” jest dobrym człowiekiem i jeśli córka Renmei dostanie taką macochę, to będzie wielkie szczęście! A poza tym – dodała ciotka – według przepisów ty i „Lwiczka” możecie mieć dziecko, a ja mam nadzieję, że to będą bliźniaki! Biegaczu, z nieszczęścia bierze ci się szczęście!

ROZDZIAŁ 5

Mój ślub z „Lwiczka” był już postanowiony.

Wszystko toczyło się pod komendę ciotki, a ja czułem się jak kawałek przegniłego drzewa unoszony wodą. Szedłem tam, dokąd mnie pchnięto.

Kiedy poszliśmy do komuny zarejestrować nasz związek, to było nasze drugie spotkanie sam na sam.

Do pierwszego doszło w pokoju, który „Lwiczka” dzieliła z ciotką. To był sobotni poranek, ciotka wepchnęła mnie do pokoju i zamknęła za mną drzwi. W pokoju stały dwa łóżka, a między nimi stół z trzema szufladami. Na stole leżał stos zakurzonych gazet i kilka książek o ginekologii. Przed oknem rosło kilkanaście grubych słoneczników, które właśnie kwitły i pszczoły zbierały na nich pyłek. „Lwiczka” nalała mi wody i usiadła na brzegu łóżka. Ja siadłem na łóżku ciotki. W pokoju pachniało mydłem, bo na stojaku stała miednica napełniona do połowy mydlinami. Łóżko ciotki było rozgrzebane, kołdra niezłożona.

– Ciotka myśli tylko o pracy.

– Tak.

– Wydaje mi się, że to sen.

– Mnie też.

– Wiesz o Wangu Wątrobie? Napisał do ciebie ponad pięćset listów.

– Ciotka mi powiedziała.

– I co o tym myślisz?

– Nic nie myślę.

– To moje drugie małżeństwo, mam już córkę, nie przeszkadza ci to?

– Nie.

– Może chciałabyś omówić to z rodziną?

– Nie mam rodziny.

Do urzędu komuny zawiozłem ją na rowerze. Na drodze leżał gruz, rower podskakiwał i trudno nim było kierować. Siedziała na bagażniku i obejmowała mnie ramionami. Czułem jej ciężar. Niektórych ludzi wiezie się dobrze, innych źle. Renmei wiozło się dobrze, „Lwiczkę” – nie. Z całej siły naciskałem na pedały. Łańcuch się zerwał i serce mi podskoczyło: zły znak! Może z nią także nie zestarzeje się razem? Zerwany łańcuch leżał na ziemi jak zdechły wąż. Podniosłem go i rozejrzałem się: po obu stronach drogi rosła kukurydza i kilka kobiet rozpylało pestycydy, a rozpylacze wydawały z siebie jęśliwy dźwięk, podobny do alarmu przeciwlotniczego. Kobiety okryte były plastikowymi płachtami, na twarzach miały maski i chusty. To była okropna praca, ale obłoki wzbijające się nad szmaragdowo zieloną kukurydzą nadawały jej jakiś poetycki wymiar, jakby kobiety unosiły się nad chmurami. Przypomniała mi się Renmei. Ona była odważna, nawet węża nie bała się złapać, tylko chwytła go za ogon i podnosiła, jak ja teraz podniosłem łańcuch. Ona też rozpylała pestycydy, kiedy po zerwaniu narzeczeństwa z Xiao Dolną Wargą odeszła ze szkoły. Ten zapach zostawał w jej włosach, a ona się śmiała, że nie musi myć głowy, bo ani wszy się nie zalęgna, ani inne robactwo. Kiedy myła włosy, polewałem je wodą z dzbanka, a ona chichotała z pochyloną głową. Gdy spytałem, z czego się śmieje, rozchichotała się tak, że przewróciła miednicę. Wspomnienie o Renmei wzbudziło we mnie poczucie winy.

Kątem oka zerknąłem na „Lwiczkę”. Miała na sobie nowiutką czerwoną bluzkę z krótkim rękawem i wykładanym kołnierzykiem i błyszczący zegarek elektroniczny na ręce. Naprawdę była tęga! Twarz posmarowała sobie jakimś kremem o mocnym zapachu, a przyszczy na jej twarzy było jakby mniej.

Mieliśmy przed sobą jeszcze półtora kilometra i musieliśmy je przejść na piechotę. Przed bramą do rzeźni spotkaliśmy Nosa. Na plecach niósł córkę.

Kiedy nas zobaczył, zmienił się na twarzy. Nie wiedziałem, gdzie schować się przed jego spojrzeniem, a on na mój widok odwrócił się z pogardą.

– Nos! – zawołałem do niego.

– Ojej, a już mi się wydawało, że jakaś wielka persona tu idzie – rzekł jadownicie.

Z nienawiścią popatrzył na „Lwiczkę”.

– Wypuścili cię?

– Dziecko się rozchorowało, ma gorączkę. A w ogóle to wcale nie chciałem wychodzić, jedzenia i picia miałem pod dostatkiem, całe życie mógłbym tam spędzić.

„Lwiczka” wyciągnęła rękę i dotknęła czoła dziecka. Nos odsunął się od niej.

– Musisz ją zaraz zabrać do szpitala na kroplówkę – powiedziała „Lwiczka”. – Ma przynajmniej 39 stopni.

– To jest szpital? – zapytał gorzko. – Chyba raczej rzeźnia.

– Wiem, że nas nienawidzisz – rzekła. – Ale nie możemy inaczej.

– Nie możecie?! Wy wiele możecie!

– Nos – powiedziałem – nie ryzykuj zdrowia dziecka. Chodź, pójdę z tobą.

– Dziękuję, kolego – Uśmiechnął się wzgardliwie. – Nie chcę przeszkadzać w taki wielki dzień.

– Nos... co mam ci powiedzieć?

– Nic nie mów. Kiedyś myślałem, że jesteś człowiekiem. Pomyliłem się.

– Niech i tak będzie. – Wsadziłem mu kilka banknotów do kieszeni. – Zabierz dziecko do szpitala.

Nos szarpnął się, wyjął banknoty i rzucił je na ziemię.

– Twoje pieniądze śmierdzą krwią – powiedział.

Odszedł z dzieckiem na plecach i podniesioną głową. Nie mogłem oderwać oczu od jego oddalającej się sylwetki. Schyliłem się i podniosłem pieniądze.

– Ma do was żal – rzekłem, patrząc na „Lwiczkę”.

– Sam jest sobie winny – odrzekła z urazą. – A komu my mamy powiedzieć o naszych zmartwieniach?

Żeby dopełnić formalności ślubnych, w zasadzie potrzebowaliśmy zaświadczenia z mojej jednostki, ale zastępca naczelnika w urzędzie, przyszczaty Lu, stwierdził z uśmiechem:

– Nie trzeba, twoja ciotka już się ze mną kontaktowała. Biegaczu, mój syn jest w tej samej jednostce co ty, poszedł dwa lata temu. Taki zdolny chłopak, wszystkiego się może nauczyć, zerknij tam na niego.

Kiedy przyszło do składania odcisków, zawahałem się przez chwilę. Przypomniałem sobie, gdy byłem tu zarejestrować nasz ślub z Renmei. Ta sama księga rejestrów, ten sam pokój i ten sam pryszczaty Lu. Wtedy, kiedy odcisnąłem czerwony ślad swojego palca, Renmei powiedziała wesoło:

– Ojej, ale labirynt.

Pryszczaty Lu popatrzył na mnie, potem na „Lwiczkę” i rzekł ze sztucznym uśmiechem:

– No, no, Biegaczu, szczęściarz z ciebie, wszystkie najładniejsze dziewczyny w komunie zabrałeś!

Podsunał mi księgę rejestrów.

– Odcisk poproszę. Nad czym tu się zastanawiać?

Jego słowa zabrzmiały jak kpina – zresztą były kpina – cholera, zrób, co mówi. Dobra, odciskam, dosyć wahań! Pomyślałem, że wiele rzeczy w życiu zostało ustalonych przez los. Lepiej płynąć z prądem niż pod prąd, a poza tym skoro sprawy zaszły już tak daleko, jeśli tego nie zrobię, będę nieuczciwy wobec „Lwiczki”. Skrzywdziłem już jedną kobietę, nie mogę skrzywdzić drugiej.

ROZDZIAŁ 6

Wydawało mi się wtedy, że ciotka, zajęta urządzaniem mojego ślubu z „Lwiczką”, zapomniała o Nerce. Myślałem, że obudziła się w niej litość i pod pozorem zajęć przy naszym ślubie chciała jej dać czas, żeby zdążyła urodzić. Ale później zrozumiałem, że zaangażowanie ciotki w pracę weszło już w stan obłądu. Miała środki, miała plan i w pełni kontrolowała sytuację. Nie wątpię, że była szczerą, zachęcając mnie do ślubu z „Lwiczką”, i naprawdę uważała, że zostaliśmy sobie przeznaczeni, ale kiedy wszem i wobec opowiadała o naszym małżeństwie, kiedy kazała wypuścić Nosa i jego córkę i odwołała poszukiwaną Nerki, w rzeczywistości była to tylko zasłona dymna, którą chciała uśpić czujność ukrywającej się Nerki i jej rodziny. Zamierzała upiec dwie pieczenie przy jednym ogniu: wydać w końcu ukochaną uczennicę za bratanka i zamknąć sprawę Nerki, czyli unicestwić nielegalny pomiot w jej brzuchu, zanim zdąży się ostatecznie ukształtować. Wiem, że nieładnie tak mówić o pracy ciotki, ale jestem przekonany, że tak właśnie było.

Rano, w przeddzień mojego ślubu, zgodnie ze starym zwyczajem na grobie matki spaliłem trochę papierowych „weselnych pieniędzy”. Chodziło chyba o to, żeby poinformować jej ducha o ślubie i zaprosić na wesele. Kiedy pieniądze spłonęły, nagle podniósł się mocny powiew i poderwał popioły, które zawirowały przed grobem. Oczywiście wiedziałem, że było to naturalne, wytłumaczalne zjawisko fizyczne, ale w głębi serca poczułem głęboki lęk. Przed oczami pojawiła mi się chwiejna postać matki, przypomniałem sobie jej sposób mówienia: mądry, prosty, głęboki i poczułem łzy w oczach. Gdyby matka mogła teraz mówić, co powiedziałaaby o moim ślubie?

Wir unosił się przez chwilę nad grobem mamy, a potem nagle zmienił kierunek i przeniósł się nad porośniętą zieloną trawą kopczyk Renmei. Żółta wilga zawołała na szczycie drzewa brzoskwini, w jej głosie był rozdzierający smutek. W wielkim brzoskwiniowym sadzie owoce już dojrzały.

Matkę i Renmei pochowaliśmy w naszym sadzie. Podniosłem dwa czerwone owoce i jeden złożyłem przed grobem mamy. Trzymając drugi w ręce, minąłem kilka drzew i zatrzymałem się przy grobie Renmei. Ojciec powiedział mi wcześniej:

– Jak będziesz palił pieniądze, nie zapomnij zapalić i dla niej.

Nie zdążyłem jeszcze tego zrobić i wyszeptalem w duchu:

– Renmei, wybacz mi. Nigdy cię nie zapomnę, nigdy nie zapomnę twoich zalet. Myślę, że „Lwiczka” jest dobrym człowiekiem, na pewno będzie dobra dla Yanyan, ale jeśli nie, na pewno z nią nie zostanę.

Spaliłem trochę pieniędzy, a potem wspiąłem się na kopczyk, rozłożyłem na nim kawałek świeżego papieru i położyłem brzoskwinie.

– Renmei – szepnąłem – wiem, że ci ciężko, ale z całego serca cię zapraszam. Wróć do domu razem z mamą, przyjdźcie na wesele. Na ofiarnym stole położę cztery świeżutkie bułki i najróżniejsze dania, i jeszcze te szczypiące w usta czekoladki z wódką, które uważałyście za lekarstwa. Czcigodni zmarli, przyjmijcie ofiarę!

Po obu stronach dróżki, którą wracałem z grobów, trawa urosła wyżej kolan, a przydrożny rów wypełniony był deszczówką. Drzewa brzoskwiniove ciągnęły się na południe do rzeki Mo, a na północ do rzeki Jiao. Sadownicy zbierali owoce, a na szerokiej szosie w oddali jeździły trzykołowe ciągniki.

Wang Wątroba wyłonił się przede mną jak spod ziemi i stanął, blokując drogę. Miał na sobie nowy mundur – od razu poznałem, że to ten sam, który dałem mu w zeszłym roku. Niedawno musiał odwiedzić fryzjera: był ostrzyżony na jeża i gładko ogolony. Chudy jak zawsze, ale wyraźnie pogodny, bez swego zwykłego zaniedbania i przygnębienia. Jego dobry wygląd trochę mnie pocieszył, ale w sercu czułem niepokój.

– Wątroba, bo ja właśnie...

Machnął ręką i pokazał w uśmiechu żółte zęby.

– Biegaczu, nie musisz nic tłumaczyć, ja wiem, ja wszystko rozumiem i życzę wam szczęścia.

– Bracie... – W duszy kłębiły mi się różne uczucia, wyciągnąłem ramię, chcąc uścisnąć mu rękę.

Cofnął się o krok.

– Czuję się, jakbym się właśnie obudził – powiedział. – Tak zwana miłość to choroba. Niedługo wyzdrowięję.

– To dobrze – rzekłem. – Bo widzisz, ty i „Lwiczka” wcale do siebie nie pasujecie, a jak się z tego otrząśniesz, znów będziesz mógł robić coś ważnego, a wtedy na pewno jakaś śliczna dziewczyna cię zechce.

– Ja już do niczego się nie nadaję – odpowiedział. – Przyszedłem cię przeprosić. Nie zauważyłeś, że na grobie Renmei był popiół po papierowych pieniądzach? To ja je spaliłem. Przez moją zdradę Policzka zamknęli do więzienia, a Renmei i jej syn umarli. Jestem mordercą.

– Przecież to nie twoja wina! – zawołałem.

– Ja też próbowałem się pocieszać, że to wszystko było w imię szlachetnych zasad. Myślałem sobie: „zawiadomienie o nielegalnej ciąży to obywatelski obowiązek” albo „dla dobra ojczyzny trzeba zapomnieć o rodzinie”, ale te wzniosłe hasła nie przyniosły mi uspokojenia. Ja wcale nie jestem taki uświadomiony, mnie chodziło o prywatę, chciałem w ten sposób zyskać miłość „Lwiczki”. I przez to nie mogę spać, bo ledwo zamknę oczy, zaraz widzę Renmei, która wyciąga do mnie zakrwawione ręce i chce mi wyrwać serce... Boję się, że już długo nie pożyję...

– Wątroba, nie myśl o tym wszystkim – rzekłem. – Ja wcale cię nie obwiniam. I nie wierz w takie zabobony, człowiek po śmierci to tylko rozwiany popiół. A nawet gdyby naprawdę istniały duchy, Renmei na pewno by cię nie prześladowała, miała za dobre serce.

– Ona rzeczywiście miała dobre serce i właśnie dlatego sumienie nie daje mi spokoju – odparł Wątroba. – Biegaczu, nie oczekuję twojego współczucia, a tym bardziej twojego wybaczenia. Czekałem tu na ciebie, bo chcę cię o coś prosić.

– Mów, bracie.

– Chcę, żebyś powiedział „Lwiczce” i żeby ona przekazała twojej ciotce, że w tamten dzień, gdy Nerka uciekła przez studnię, od razu przybiegła do mnie. W końcu to moja młodsza siostra. Kiedy do mnie przyszła, taka malutka i z takim wielkim brzuchem, i kiedy zaczęła mnie błagać, żebym ją ocalił i żebym ocalił jej dziecko, to choćbym miał serce z kamienia, musiałbym się zlitować. Wsadziłem ją do wielkiego kosza na nawóz, przykryłem słomą i konopnym workiem. Przywiązałem kosz do bagażnika i na rowerze wywiozłem ją ze wsi. Na samym krańcu wsi natknąłem się na Qin He, którego twoja ciotka postawiła tam na straży. Ta twoja ciotka naprawdę urodziła się w złym czasie i wybrała zły zawód, ona powinna dowodzić wojskiem i walczyć na wojnie! Qin He był ostatnią osobą, którą chciałbym wtedy spotkać, on jest twojej ciotce wierny jak pies, i tak jak ja zdradziłbym każdego dla „Lwiczki”, tak samo on zdradziłby każdego dla twojej ciotki. Zagroził mi drogę. Wiele razy widywałem go w szpitalu, ale nie zamieniłem z nim ani jednego słowa. Mimo to wiedziałem, że uważa mnie za przyjaciela, obaj cierpieliśmy przecież na to samo. Pomogłem mu raz, kiedy przed restauracją napadli na niego Gao Men i Lu Kwiatek. Gao, Lu, Tai i Wang – czyli ja. Czterech największych ladaco z Gaomi Dongbeixiangi stanęło naprzeciw siebie, aż ludzie się zbiegli i oglądali nas jak małpy w cyrku. Bracie, ty nie wiesz, jak wielką wolność ma człowiek, którego

uważają za wariata, chociaż nim nie jest! Zeskoczyłem z roweru i spojrzałem prosto w oczy Qin He.

– Świnie na targ wiesz, prawda?

– Tak jest, wiozę świnie.

– Ja zresztą i tak nic nie widziałem.

Puścił mnie. Dwóch głupców, współczuliśmy sobie nawzajem.

Powiedz „Lwiczce”, że dowiołem Nerkę do Jiaozhou, a tam wsadziłem ją do pociągu do Yantai. Kazałem jej tam kupić bilet na statek do Daliami, a stamtąd pojechać pociągiem do Harbinu. Wiesz, że matka Nosa pochodziła z Harbinu, mają tam krewnych. Nerka miała przy sobie dosyć pieniędzy, wiesz, jaka ona jest bystra i jaki Nos jest przebiegły. Przygotowali się wcześniej. Minęło już trzynaście dni, Nerka na pewno dotarła na miejsce. Twoja ciotka ma długie ręce, ale tak daleko nie dosięgnie. Na terenie naszej komuny może robić, co tylko zechce, ale gdzie indziej już nie. Nerka jest w siódmym miesiącu ciąży, jak twoja ciotka ją znajdzie, dziecko już będzie na świecie. Niech więc twoja ciotka zapomni o tej sprawie.

– Skoro tak, po co jej o tym mówić?

– Tylko tak mogę się zbawić – odrzekł Wątroba. – I tylko o to jedno cię proszę.

– Dobrze – odparłem.

ROZDZIAŁ 7

Naprawdę jestem człowiekiem o słabej woli.

Początkowo chciałem w moją noc poślubną usiąść naprzeciw czerwonej świecy i czuwać aż do rana, żeby w ten sposób wyrazić przeprosiny i pamięć o Renmei. Ale doczekałem tylko do dwunastej i przytuliłem się do „Lwiczki”.

W dzień naszego wesela z Renmei padał deszcz, w dzień wesela z „Lwiczką” była burza. Oślepiająco białe błyskawice, po których następowały ogłuszające grzmoty i wielka ulewa. Zewsząd dochodził głośny szum deszczu, mokry wiatr niosący ze sobą intensywną woń ziemi i zgniłych owoców wpadał przez okno do ślubnej sypialni. Płomień czerwonej świecy chwiał się, chybotał i w końcu zgasł. Ogarnęło mnie przerażenie. Trwająca kilka sekund straszliwa błyskawica przecięła niebo i w tym momencie zobaczyłem błyszczące oczy „Lwiczki”. W świetle błyskawicy jej twarz wydawała się złota. Chwilę później rozległ się grzmot, tak bliski, jakby uderzył w nasze podwórko i rozniósł się zapach spalenizny. „Lwiczka” krzyknęła ze strachu i przytuliliśmy się do siebie.

Przedtem myślałem, że „Lwiczka” jest jak kawał drewna i nie spodziewałem się, że będzie raczej jak melon. Jak bujny, dojrzały melon, który wystarczy lekko dotknąć, by wypuścił sok. Przypominała ten owoc w dotyku i zapachu. Porównywanie nowej towarzyszki z dawną jest niegodne i próbowałem zapanować nad swoimi głupimi skojarzeniami, ale serce nie służy. Kiedy moje ciało złączyło się z ciałem „Lwiczki”, serce też do niej przywarło.

– „Lwiczko”, myślę, że ty i ja jesteśmy bardziej jak mąż i żona niż ja i Renmei – powiedziałem bezwstydnie.

Zatkała mi usta ręką.

– Niektórych rzeczy nie wolno mówić – rzekła.

– Wang Wątroba kazał wam powiedzieć, że trzynaście dni temu zawiózł Nerkę do Jiaozhou, a stamtąd miała pojechać do Mandżurii.

„Lwiczka” usiadła, a gdy oświetliła ją kolejna błyskawica, jej namiętna twarz przybrała wyraz poważny i surowy. Położyła się i znów mnie objęła.

– On kłamie – szepnęła mi do ucha. – Nerka nie mogła uciec daleko.

– A wy... chcecie dać jej spokój? – spytałem.

– Nie ja o tym decyduję. Zobaczymy, co postanowi ciotka.

– A może ciotka chce dać jej spokój?

– Niemożliwe – odparła. – Gdyby tak zrobiła, nie byłaby sobą.

– Dlaczego więc nic nie robicie? Nie wiecie, że Nerce minął już siódmy miesiąc?

– Wcale nie. Twoja ciotka ma swoich ludzi i swoje „oczy”, które szukały w tajemnicy.

– I znaleźliście?

– Widzisz... – zawahała się przez chwilę, a potem przytuliła twarz do mojej piersi i rzekła: – Przed tobą nie będę niczego ukrywać. Nerka chowa się u babki twojej Yanyan, w tym samym dole, gdzie ukrywała się Renmei.

– I co zamierzacie zrobić?

– Co zdecyduje ciotka.

– A co ona zamierza zrobić? Może to samo, co wtedy?

– Ciotka nie jest taka głupia.

– No więc co?

– Posłała już kogoś do Nosa. Powiedział mu, że wiemy, że jego żona chowa się u Wangów. Niech Nos im przekaze, że jeśli jej nie wydadzą, jutro przyjdziemy do nich z ciągnikiem i zburzymy im dom. I domy sąsiadów także.

– Dziadek Yanyan jest upartym człowiekiem, jeśli się zaprze, naprawdę zburzycie ludziom domy?

– Ciotce wcale nie chodzi o to, żeby Wangowie wydali Nerkę. Ona chce, żeby Nos sam ją do nas przyprowadził. Obiecała mu, że jeśli doprowadzi żonę na aborcję, zwróci mu wszystkie pieniądze, całe trzydzieści osiem tysięcy. To na nim musiało zrobić wrażenie.

Westchnąłem ciężko.

– Dlaczego koniecznie musicie zabić to dziecko? Śmierć jednej Renmei wam nie wystarcza?

– Renmei sama była sobie winna – odpowiedziała zimno „Lwiczka”.

Zdawało mi się, że jej ciało też nagle zrobiło się zimne.

ROZDZIAŁ 8

Deszcze ciągle padały i przerwały drogi, rzeka wylała i nie dostał się do nas ani jeden samochód z tych, które przyjeżdżały po brzoskwinie.

Zebrane owoce były we wszystkich domach – jedne w koszach ustawionych w piramidy przykryte z wierzchu plastikowymi płachtami dla ochrony przed deszczem, inne leżały po prostu w stosach na podwórkach i mokły. Brzoskwinie źle się przechowują i w tamtych czasach wielkie ciężarówki przyjeżdżały po nie bezpośrednio do sadowników; kierowcy nie bali się pracy i po całonocnej jeździe dowozili je o świcie do dalekich miast. Ale w tym roku niebo jakby chciało ukarać ludzi, którzy w ostatnich latach wzbogacili się na handlu – od chwili, kiedy brzoskwinie dojrzały, nie było ani jednego słonecznego dnia. Na zmianę przychodziły drobny deszcz, wielki deszcz i ulewa, i nawet gdyby zostawić owoce na drzewach, też by zgniły. Zebrane miały jeszcze szansę – jeden słoneczny dzień i pojawiłyby się ciężarówki, załadowały brzoskwinie i odjechały. Ale nic nie zapowiadało słonecznej pogody.

Moja rodzina miała tylko trzydzieści drzew, a ponieważ ojciec się postarzał i nie bardzo ich doglądał, nie były szczególnie wydajne, a mimo to zebraliśmy prawie trzysta kilogramów. Mieliśmy niewiele koszy, zaledwie szesnaście i wstawiliśmy je do przybudówki; pozostałe brzoskwinie przykryte płachtą leżały na podwórzu. Ojciec od czasu do czasu wychodził na deszcz, podnosił płachtę, brał jeden owoc i oglądał. Kiedy podnosił przykrycie, wydobywał się spod niego zapach zgniłych brzoskwiń.

Zaraz po moim ślubie z „Lwiczką” Yanyan została u ojca. Kiedy wyszedł na podwórze, Yanyan wybiegła za nim z małą parasolką z nadrukowanymi zwierzątkami.

Moja córka potraktowała nas bardzo chłodno, ale była grzeczna. Kiedy „Lwiczka” chciała dać jej cukierka, schowała ręce za siebie i nie wzięła, ale powiedziała:

- Dziękuję, ciociu.
- To mama – rzekłem.

Yanyan spojrzała na mnie ogromnymi, rozszerzonymi ze zdziwienia oczami.

– Nie trzeba mnie tak nazywać – rzekła „Lwiczka”. – Wszyscy mówią do mnie „Lwiczka”, ty możesz nazywać mnie „Lew” – i pokazała lewka na parasolce Yanyan.

– Zjadasz dzieci? – spytała dziewczynka.

– Nie zjadam dzieci – odparła „Lwiczka”. – Ja się dziećmi opiekuję.

Ojciec w bambusowym kapeluszu przyniósł kilka nadgniłych brzoskwiń i ciężko wzdychając, zaczął jedną obierać zardzewiałym nożem.

– Jeśli chcesz zjeść, to lepiej zjedz dobrą – powiedziałem.

– To są pieniądze! – rzekł ojciec. – Niebo nie ma dla chłopów litości.

– Ojciec – zwracając się do niego w ten sposób, „Lwiczka” poczuła się chyba równie niezręcznie jak my – władze na pewno coś zrobią, na pewno coś wymyślą.

– Władze zajmują się tylko kontrolą urodzeń, nic więcej ich nie obchodzi – burknął ojciec nieprzyjaźnie.

W tym momencie odezwał się głośnik z komitetu wiejskiego, a ojciec, bojąc się, że nie usłyszy, wybiegł na podwórze i nasłuchiwał uważnie. Władze wsi ogłaszały, że porozumiały się z miastami Qingdao i Yantai, które wysłały już samochody. Punkt zbiorczy znajduje się przy moście Wujia, pięćdziesiąt kilometrów za wsią, i tam odbędzie się zakup brzoskwiń z Dongbeixiang. Komuna wzywa obywateli, żeby łądem czy wodą dostarczyli tam swoje owoce, cena jest co prawda o połowę niższa niż w roku ubiegłym, ale zawsze to lepiej niż pozwolić im zgnić do końca.

Kiedy głośnik umilkł, we wsi zawrzało. Wiedziałem, że takie samo ożywienie panuje we wszystkich wsiach należących do Dongbexiang.

Wprawdzie mieszkaliśmy nad dużą rzeką, ale łodzi było u nas niewiele. Kiedyś każda brygada miała po kilka drewnianych łódek, ale gdy wprowadzono system kontraktowy, łódki tajemniczo znikły.

Masy ludowe mają w sobie ogromne siły twórcze – w tym powiedzeniu nie ma krzyny fałszu. Ojciec pobiegł do przybudówki, zdjął z belki pod sufitem cztery tykwy, wziął jeszcze cztery kawałki drewna i sznur, po czym wyniósł to wszystko na podwórze i zaczął wiązać tratwę. Zrzuciłem płaszcz i tylko w spodniach i podkoszulku zacząłem mu pomagać. „Lwiczka” podeszła z parasolem, żeby osłonić mnie przed deszczem, a Yanyan ze swą parasoleczką biegła po podwórku. Chciałem, żeby „Lwiczka” osłoniła ojca, ale odmówił. Ramiona okrył plastikową płachtą, miał gołą głowę, a deszcz i pot spływały mu po twarzy. Stary rolnik w czasie pracy był maksymalnie skoncentrowany, każdy jego ruch był celowy i odmierzony, nie marnował sił. Wkrótce tratwa była gotowa.

Kiedy wynieśliśmy ją nad rzekę, na nabrzeżu panował niezwykajny ruch. Zaginione łodzie nagle się odnalazły, a razem z nimi na wodzie pojawiło się kilkanaście drewnianych tratw. Unosiły się na tykwach, nadmuchanych dętkach albo na białym styropianie. Ktoś nawet posłużył się drewnianą balią. Łodzie i tratwy przywiązane były linkami do wierzb na nabrzeżu. Ze wszystkich uliczek spieszenie wychodzili ludzie z pełnymi koszami w rękach. Kto miał osła albo muła, ładował mu kosze na plecy i na nabrzeżu stało już w szeregu kilkadziesiąt objuczonych zwierząt.

Przypłynął ktoś z władz komuny, w płaszczu przeciwdeszczowym, z podwiniętymi nogawkami i klapkami w rękę, stanął na nabrzeżu i coś głośno krzyczał.

Obok naszej tratwy zobaczyłem inną, niemal doskonałą. Cztery grube kawałki stroigły związane były rzemieniem z wolej skóry w ten sposób, że krzyżowały się na rogach. Przestrzeń między nimi wypełniona była palikami grubości mniej więcej rączki od sierpa, a pod spodem znajdowały się cztery nadmuchane czerwone dętki. Chociaż na tratwę załadowano już kilkanaście koszy, zanurzona była bardzo płytko, więc wyporność dętek musiała być duża. Na rogach i na środku przybito pionowe kołki, na których rozpięto jasnoniebieską folię; mogła chronić przed słońcem i oczywiście przed deszczem. Takiej tratwy z pewnością nie zbudowano na chybcika.

Wang Stopa w słomianym płaszczu i bambusowym kapeluszu siedział przykucnięty na przodzie tratwy jak wędkarz.

Na naszą tratwę załadowaliśmy tylko sześć koszy, ale i tak zanurzyła się głęboko. Ojciec uparł się, żeby dołożyć jeszcze dwa.

– Dobrze, ładuj – rzekłem. – Ale ty ze mną nie pojedziesz, popłynę sam.

Ojciec widocznie wspomniał, że to mój drugi dzień po ślubie, bo koniecznie chciał popłynąć za mnie.

– Tato, nie spieraj się – rzekłem wreszcie. – Zobacz, tylu ludzi na nabrzeżu, a widzisz, żeby ktoś w twoim wieku płynął tratwą?

– Tylko uważaj na siebie – powiedział ojciec.

– Nie martw się – odrzekłem. – Ja niewiele umiem, ale pływać akurat potrafię.

– Jakby zdarzyły się duże fale i wiatr, to wyrzuc brzoskwinie – napomniiał mnie.

– Bądź spokojny.

Pomachałem ręką do „Lwiczki” stojącej z Yanyan na nabrzeżu. Odmachała mi. Ojciec odwiązał linkę przywiązaną do drzewa i rzucił ją do mnie. Schwyciłem ją, zwinąłem, podniosłem drąg i mocno odepchnąłem się nim od nabrzeża. Ciężka tratwa ruszyła powoli do przodu.

– Uważaj na siebie!

– Bądź ostrożny!

Osły i muły na brzegu szły równo z nami, obciążone ładunkiem ciężko i z trudem podnosiły nogi. Co bardziej zapobiegliwi gospodarze zawiesili swoim zwierzętom na szyi brzęczące dzwoneczki. Starsi ludzie i dzieci towarzyszyli tej karawanie do końca wsi, a potem się zatrzymali.

Na końcu wsi rzeka ostro zakręcała, a tratwy i łodzie wpływały na szybki nurt. Znajdujący się przede mną Wang Stopa nie wpłynął nań, ale drągiem skierował swoją tratwę na spokojniejsze wody przy zakręcie. Brzeg w tym miejscu porosły był bujnymi krzewami, a w ich gałęziach śpiewały cykady. Od chwili, gdy zobaczyłem jego luksusową tratwę, miałem przeczucie, że coś się wydarzy. I rzeczywiście – Wang Stopa wyrzucił do wody kosze, które zaczęły się na niej unosić, najwidoczniej puste. Podpłynął do krzewów i zobaczyłem, jak wysoki Nos z małą Nerką na rękach wskakuje na tratwę. Wang Wątroba z Uchem w objęciach wskoczył za nimi.

Natychmiast opuścili niebieską folię, zasłaniając pokład. Stopa, ze swoim drągiem w rękach, wyglądał równie imponująco jak kiedyś, gdy jeszcze powoził zaprzęgiem. Stał prosto jak struna, więc ciotka mówiła prawdę, że jego ciągle garbienie się było udawane. Zerwanie stosunków z synem też okazało się tylko powiedziane w złości, gdy przyszło co do czego, zwarli szeregi i stanęli ramię w ramię. W głębi serca ucieszyłem się i szczerze im życzyłem, żeby razem z Nerką uciekli tam, dokąd chcieli. Oczywiście było mi też trochę szkoda ciotki, która poświęciła tej sprawie tyle wysiłku.

Ich tratwa była wyporna i miała lekki ładunek, więc szybko się z nami zrównali.

We wszystkich wsiach po obu stronach rzeki dołączały do nas łodzie i tratwy. Kiedy dotarliśmy do Dongfengu, w którym ciotce rozbili kiedyś głowę, wodą płynęło już kilkaset tratw i kilkanaście łódek, niczym jeden niesiony prądem wielki smok.

Wzrok miałem cały czas utkwiony w tratwie Stopy, bo choć nas wyprzedzili, nie znikli mi jeszcze z oczu. Ich jednostka była najdoskonalsza ze wszystkich, wyglądała jak hummer otoczony zwykłymi samochodami.

Była nie tylko wspaniała, ale też tajemnicza. Kto zobaczył, jacy pasażerowie wsiedli na nią przy zakręcie, wiedział, jaka tajemnica kryje się za zasłoną, kto nie widział – przyglądał się ukradkiem i snuł domysły. Bo jedno było pewne – za tą zasłoną na pewno nie ma brzoskwiń.

Jeszcze dzisiaj, kiedy przypominam sobie, jak motorówka ciotki na pełnej szybkości minęła nasze tratwy, odczuwam dziwne podniecenie. To już nie była lokalnej produkcji łódka z silniczkiem z roku 1970, to była mlecznobiała nowoczesna motorówka o opływowym kształcie. Miała zabudowaną kabinę z przezroczystą szybą z pleksiglasu, a kierował nią ten sam Qin He, z głową już przyprószoną siwizną. Ciotka i moja świeżo poślubiona żona stały przy relingu za kabiną sternika, wiatr rozwiewał im ubrania i odsłaniał podobne do pitek piersi „Lwiczki”, co wzbudziło we mnie różne uczucia. Za nimi, na siedzeniach ustawionych wzdłuż burt, twarzami do siebie siedziało czterech mężczyzn. Fale podniesione przez motorówkę chlusnęły na nasze tratwy, które podskoczyły w górę i w dół na wzbudzonych przez nią wirach. Byłem pewien, że kiedy mnie mijali, „Lwiczka” na mnie spojrzała, ale nawet nie skinęła mi głową. Była kimś zupełnie innym niż „Lwiczka”, z którą się właśnie ożeniłem. Ogarnęło mnie dziwne poczucie, jakby wszystko, co wydarzyło się wcześniej, było tylko snem. Obojętność „Lwiczki” skierowała moją sympatię ku uciekinierom: Nerko, uciekaj! Stopo, szybciej!

Łódź ciotki minęła nas bokiem i ruszyła w kierunku płynącej samotnie na przedzie tratwy Wangów.

Nie wyprzedziła ich, ale płynęła obok, zwolniwszy tak bardzo, że silnik prawie umilkł. Dzielila je odległość jakichś trzech metrów; łódź z wolna zbliżała się do tratwy, chcąc ją zmusić, by skierowała się do brzegu. Stopa wsparł się drągiem o burtę motorówki, by ją w ten sposób odepchnąć, ale siła odśrodkowa zepchnęła tratwę z głównego nurtu. Jeden z mężczyzn z łodzi ciotki podniósł się i bosakiem zahaczył o rozpiętą nad tratwą folię. Rozdarła się z trzaskiem, a po kilku kolejnych szarpnięciach ukazała wszystko, co zasłaniała.

Stopa zaatakował swym drągiem mężczyznę w motorówce, a on blokował jego ciosy bosakiem. Wątroba i Nos chwycili wiosła i siedząc po bokach tratwy, zaczęli z całych sił wiosłować. Między nimi siedziała maleńka Nerka, lewą ręką obejmowała Ucho, kryjącą buzię w zgięciu jej ramienia, prawą – trzymała się za brzuch, okrągły jak piłka. Przez stukot krzyżujących się kijów i chlustanie fal usłyszeliśmy jej rozpaczliwy krzyk:

– Ciotko, zlituj się nad nami! Puść nas!

W momencie, gdy tratwa zaczęła się oddalać od łodzi, „Lwiczka” potężnym skokiem rzuciła się w jej kierunku i z głośnym pluskiem wpadła do wody. Nie umiała pływać i natychmiast zaczęła tonąć. Ciotka zaczęła wzywać pomocy, a Nos i Wątroba, korzystając z okazji, mocniej przyłożyli się do wiosł i skierowali tratwę z powrotem na środek rzeki.

Akcja ratowania „Lwiczki” trwała dość długo. Jeden z mężczyzn podał jej bosak i przyciągnął do burty, ale chwyciła go za nogę, więc on również wleciał do wody. Ponieważ także nie potrafił pływać, inni skoczyli za nim, a kierujący łodzią Qin He najwyraźniej całkiem się pogubił. Rozwścieczona ciotka wymyślała wszystkim. Nikt z otaczających tratw ani łodzi nie śpieszył się z pomocą, ale „Lwiczka” ostatecznie była moją żoną. Z całej siły naciskałem na drąg i sunąłem po wodzie, starając się do nich przybliżyć, ale jakaś tratwa z tyłu uderzyła we mnie skosem, niemal wywracając moją. Zobaczyłem, że głowa „Lwiczki” coraz rzadziej wynurza się nad wodę, więc bez chwili wahania porzuciłem tratwę i brzoskwinie, skoczyłem do rwącej i rzeki i popłynąłem żonie na ratunek.

Kiedy „Lwiczka” skoczyła do wody, nie wiedziałem, co o tym myśleć. Potem, jakby chcąc mi się odwdzińczyć, „Lwiczka” wyjaśniła, że poczuła zapach krwi, ten szlachetny i czysty zapach krwi, specyficzny dla rodzących kobiet. Zobaczyła też krew na nogach Nerki. Powiedziała – ale oczywiście jej zachowanie można wyjaśnić inaczej – że specjalnie skoczyła do wody, żeby spowolnić pościg; zaryzykowała życiem, żeby dać czas Nerce i modliła się do rzecznych bóstw: „Niech Nerka urodzi, niech jak najszybciej urodzi”. Od momentu urodzenia dziecko staje się człowiekiem, staje się obywatelem Chińskiej Republiki Ludowej i podlega jej ochronie, staje się kwiatem ojczyzny, jej przyszłością. Oczywiście – mówiła dalej – taki drobny podstęp nie mógł zmylić ciotki; jak tylko podniosłam ogon, od razu wiedziała, gdzie zamierzam sikać.

Kiedy razem z którymś z pasażerów motorówki wyciągnąłem „Lwiczkę” na pokład, tratwa oddaliła się od nas przynajmniej na półtora kilometra. Silnik zgasł i spocony Qin He bezskutecznie usiłował go uruchomić. Ciotka szalała z wściekłości, a „Lwiczka” i ten drugi pasażer przechyleni przez burzę wymiotowali wodą.

Ciotka powściekała się chwilę i nagle się uspokoiła. Uśmiechnęła się smutno. Słoneczny promień przebił się przez chmury, oświetlił jej twarz i mętne wody rzeki, nadając ciotce wygląd osaczonego bohatera. Usiadła przy burcie i powiedziała do Qin He:

– Przestań udawać. Wszyscy przestańcie już udawać.

Qin He przeraził się i silnik natychmiast zapalił. Łódź jak strzała pomknęła w kierunku tratwy Wangów.

Klepałem „Lwiczkę” po plecach i ukradkiem zerkalem na ciotkę. Raz marszczyła brwi, raz się uśmiechała... O czym myślała? Nagle uświadomiłem sobie, że ma już czterdzieści siedem lat, młodość dawno zostawiła za sobą i weszła w wiek średni, ale jej poorana doświadczeniami twarz ujawniała już przygnębienie starości. Przypomniałem sobie, jak mama mówiła wiele razy, po co są kobiety. Ostatecznym przeznaczeniem kobiety jest rodzenie dzieci. Kobieta rodząc dzieci, zyskuje pozycję, rodząc dzieci, zyskuje szacunek, jej szczęście i chwała też zależne są od rodzenia. Brak dziecka to dla kobiety największe nieszczęście, kobieta, która nie rodziła, nie jest prawdziwą kobietą, jej serce staje się twarde, a sama szybko się starzeje. Słowa mamy odnosiły się do ciotki, ale nigdy nie powiedziała tego przy niej. Czy przedwczesna starość ciotki rzeczywiście brała się z braku dzieci? Miała czterdzieści siedem lat, czy gdyby znalazła sobie męża, zdążyłaby jeszcze urodzić? Ale gdzie był mężczyzna, który mógłby się z nią ożenić?

Motorówka ciotki błyskawicznie doścignęła tratwę Wangów; Qin He zwolnił, ostrożnie podpływając bliżej.

Stopa stał na tylnej krawędzi z drągiem w ręku, z nieruchomą twarzą i stalowym wzrokiem, gotów do śmiertelnej walki. Wątroba z Uchem na ręku siedział na przodzie. Nos na środku tratwy obejmował Nerkę, śmiał się i płakał. Krzyczał:

– Nerko, szybciej! Szybciej! Gdy urodzisz, nic mu nie zrobią! Gdy urodzisz, nie odważą się nas utopić! Wan Serce, „Lwiczko”, przegrałyście! Ha, ha, przegrałyście!

Łzy jedna za drugą płynęły po zarośniętej twarzy mężczyzny.

Nerka krzyknęła nagle straszliwym, podnoszącym włosy na głowie krzykiem. Łódź otarła się o tratwę, ciotka wychyliła się, i wyciągnęła rękę.

Nos wyrwał z kieszeni nóż i krzyknął obłąkańczo:

– Zabieraj swoje diabelskie łapy!

– To nie są diabelskie łapy – odparła ciotka spokojnie. – To są ręce lekarza i położnej.

Oczy mi zwilgotniały i serce się ścisnęło.

– Nos – zawołałem. – Wpuść ciotkę na tratwę! Niech pomoże Nerce urodzić!

Zahaczyłem moim drągiem o pionowy palik na tratwie, a ciotka podniosła swoje ciężkie ciało i przesiadła się do nich. „Lwiczka” wzięła apteczkę i skoczyła za nią. Kiedy rozcinały nożyczkami zakrwawione spodnie Nerki, odwróciłem się tyłem, ale nadal za plecami zaciskałem ręce na drągu, żeby uniemożliwić tratwie odpłynięcie. Wciąż miałem przed oczami obraz Nerki leżącej na tratwie, z dolną częścią ciała we krwi. Drobną figurką z olbrzymim brzuchem, jak jakiś straszny, przerażający delfin.

Rzeka kłębiła się niezmiennie, ale chmury rozstąpiły się i rozbłysło jasne słońce. Załadowane brzoskwiniami tratwy jedna za drugą, kołysząc się, płynęły przed siebie. Moja tratwa, przez nikogo niekierowana, też płynęła z prądem.

Czekałem. Czekałem, a Nerka płakała i krzyczała; czekałem, a fale szumiały i rozbryzgiwały wodę; czekałem, a na brzegu ryczały osły.

Na tratwie odezwał się płacz noworodka. Natychmiast się obróciłem i zobaczyłem ciotkę trzymającą wczesniaka na rękach. „Lwiczka” białą gazą owijała jego pierś.

– Znowu dziewczynka – powiedziała ciotka.

Nos załamany zwiesił głowę, jakby ktoś spuścił z niego powietrze. Zaczął uderzać się pięściami po głowie i jęczał z rozpaczą:

– Niebo nas kończy... niebo nas kończy... Od pięciu pokoleń w rodzinie Chen był tylko jeden syn, a teraz ród skończy się przeze mnie...

– Ty bydlaku! – warknęła ciotka.

Chociaż motorówka z matką i noworodkiem najszybciej, jak to było możliwe, wróciła do przystani, nie udało im się uratować Nerki.

„Lwiczka” opowiadała mi potem, że przed śmiercią Nerka odzyskała na chwilę przytomność. Straciła tyle krwi, że jej twarz była jak złoty papier. Uśmiechnęła się do ciotki i coś wyszeptala. Ciotka przysunęła się do niej i wyteżyła słuch. „Lwiczka” nie dosłyszała jej słów, ale ciotka słyszała na pewno. Złota poświata znikła z twarzy Nerki zastąpiona śmiertelną bladością. W szeroko otwartych oczach zgasło światło, a jej ciało zwinęło się i skurczyło jak pusty worek albo kokon, z którego wyfrunęła już ćma. Ciotka z nisko opuszczoną głową siedziała przy jej zwłokach. Po długiej chwili wstała i z głębokim westchnieniem powiedziała, nie wiadomo, czy do „Lwiczki”, czy do siebie:

– O co w tym wszystkim chodzi?

Mimo zagrożenia dzięki opiece ciotki i „Lwiczki” przedwcześnie urodzona córka Nerki Chen Brew przeżyła.

Część czwarta

Drogi Panie Sugitani Yoshito,

Odkąd przeszliśmy na emeryturę i wróciliśmy do Gaomi, nie wiadomo kiedy, minęły trzy lata. W tym czasie spotkało nas trochę niepowodzeń, ale w końcu zdarzyła nam się wielka i nieoczekiwana radość. Pańska wysoka ocena mojego tekstu o ciotce napełniła mnie wielkim zdumieniem, graniczącym z lękiem. Powiedział Pan, że gdyby mój tekst nieco poprawić, można by go opublikować jako powieść, ale ja jestem pełen obaw i wątpliwości. Po pierwsze, boję się, że żadne wydawnictwo nie zechce opublikować powieści na taki temat, a po drugie, nawet gdyby się to udało, bałbym się gniewu ciotki. Co prawda w niektórych miejscach przez wzgląd na szacunek dla niej stosowałem autocenzurę, ale i tak wyjawilem wiele rzeczy, które są dla niej bolesne. Jeśli chodzi o mnie, to oczywiście próbowałem przez formę rozmowy z Panem wyświadczyć się z grzechów, ale chciałem też znaleźć sposób, żeby pomniejszyć swoje winy. Pańska pociecha i Pańskie wskazówki wiele mi rozjaśniły. Jeśli pisanie może nam pomóc w odkupieniu win, będę nieprzerwanie pisał dalej. Jeżeli szczerść w pisaniu pomaga odkupić winy, to z całą pewnością będę pisał szczerze.

Już kilkanaście lat temu powiedziałem, że pisząc, trzeba dotknąć miejsc najboleśniejzych, pisać to wszystko, o czym najbardziej nie chce się wspominać. Teraz uważam, że trzeba także spisywać to, co w naszym życiu najbardziej niezręczne, nasze najbardziej kłopotliwe sytuacje.

Dwadzieścia kilka lat temu powiedziałem arogancko: piszę dla siebie. Oczywiście pisanie dla odkupienia win można uznać za pisanie dla siebie, ale to nie wystarcza. Uważam, że powinienem pisać dla tych, których skrzywdziłem, a także dla tych, którzy skrzywdzili mnie. Jestem im wdzięczny, bo ilekroć przypominam sobie swoje krzywdy, przypominam sobie też tych, których sam skrzywdziłem.

Mistrzu, przesyłam Panu tekst, który pisałem z przerwami przez ostatni rok. Na tym kończę historię o mojej ciotce, a potem od razu biorę się dopisania sztuki, której będzie bohaterką.

Zawsze gdy się widzimy, ciotka wspomina o Panu i ma szczerą nadzieję, że Pan znowu przyjedzie. Powiedziała nawet: „a może pana Sugitaniego nie stać na bilet? Przekaż mu, że ja zapłacę”. Powiedziała też, że jest wiele rzeczy, których nie powie nikomu, ale gdyby Pan przyjechał, opowiedziałaby Panu wszystko. Powiedziała, że zna tajemnicę dotyczącą Pańskiego czcigodnego ojca, której nigdy nikomu nie zdradziła. Gdyby ta sprawa się wydała, byłby Pan wstrząśnięty. Mistrzu, wydaje mi się, że odgadłem, o jaką tajemnicę chodzi, ale wolę, żeby ciotka wyjawiała ją Panu osobiście.

A poza tym, chociaż wspominam o tym w moim tekście, chcę Panu napisać tutaj: w wieku prawie sześćdziesięciu lat niedawno zostałem ojcem! Niezależnie od tego, jak do tego doszło, i bez względu na to, ile to dziecko przysporzy nam jeszcze kłopotów, chciałbym Pana prosić, żeby Pan je pobłogosławił w swej łaskawości i żeby zechciał Pan nadać mu imię!

Kijanka

Październik 2008, Gaomi

ROZDZIAŁ 1

Zawsze sądziłem, że ciotka jest bardzo odważna i że nie boi się nikogo i niczego na świecie. Ale ja i „Lwiczka” na własne oczy widzieliśmy, jak jedna żaba przeraziła ją tak, że z pianą na ustach padła zemdlona na ziemię.

W kwietniowy poranek „Lwiczka” i ja zostaliśmy zaproszeni na żabią farmę prowadzoną wspólnie przez Yuana Policzka i mojego młodszego kuzyna Jin Xiu. W ciągu ostatnich lat zacofane i prowincjonalne Gaomi Dongbeixiang bardzo się zmieniło. Po obu stronach rzeki zbudowano białe kamienne umocnienia, a wzdłuż nich utworzono pasy zieleni z najróżniejszymi kwiatami. Powstało tu kilkanaście osiedli, w których znajdowały się bloki i wieżowce, a także wille w europejskim stylu. Dongbeixiang połączyło się już z miastem powiatowym, a ponieważ do lotniska w Qingdao jest stąd zaledwie czterdzieści minut jazdy, biznesmeni z Korei Południowej i Japonii zaczęli u nas inwestować i budować fabryki. Większość pól uprawnych w naszej wsi zmieniło się w pola golfowe. Zmieniono nam także nazwę na „dzielnicę Chaoyang”, ale z przyzwyczajenia wciąż mówimy „Dongbeixiang”.

Z naszego osiedla do żabiej farmy było mniej więcej dwa i pół kilometra, więc kuzyn chciał przyjechać po nas samochodem, ale grzecznie odmówiliśmy. Szliśmy bulwarem w dół rzeki, mijając młode mamy z wózkami. Wszystkie miały piękną skórę, błyszczące oczy i rozsiewały wokół elegancką woń markowych perfum. Dzieci trzymały w buziach smoczki, jedne spokojnie spały, inne szeroko otwierały czarne, błyszczące oczka, a wszystkie pachniały słodko jak miód. „Lwiczka” zatrzymywała każdy napotkany wózek, schylała otyłe ciało, wyciągała rękę i gładziła tłuściutką rączkę dziecka albo jego różową buzię. Wyraz jej twarzy mówił, że żywi dla nich sympatię i miłość. Jakaś młoda cudzoziemska mama o złotych włosach i niebieskich oczach pchała dwuosobowy wózek z dwojgiem ślicznych, mieszanych dzieci, w swych kolorowych czapeczkach podobnych do laleczek Barbie. „Lwiczka” pogłaskała najpierw jedno, potem drugie i zaczęła coś szeptać, a w jej oczach pojawiły się łzy. Spojrzałem na uprzejmie uśmiechniętą twarz młodej kobiety i pociągnąłem „Lwiczkę” za rękaw.

– Nie trzeba kapać dziecku na buzię – powiedziałam.

Westchnęła.

– Dlaczego kiedyś dzieci nie wydawały mi się śliczne?

– Widocznie się postarzeliliśmy.

– Nie tylko o to chodzi – rzekła. – Dzisiaj ludzie są na dużo wyższym poziomie, dzieci też, i dlatego zrobiły się takie śliczne.

Od czasu do czasu spotykaliśmy dawnych znajomych, ściskaliśmy sobie ręce i wymienialiśmy uprzejmości, wspólnie wzdychając, że „jesteśmy już starzy” i „jak ten czas leci, kilkadziesiąt lat minęło, jak z bicza strzelił”.

Rzeką płynął luksusowy, barwnie przystrojony statek spacerowy, niczym pływający pałacyk. Dochodziła z niego cicha muzyka, na pokładzie dziewczęta w dawnych strojach, przypominające postacie z obrazów, grały na cytrach i fletach. Motorówka z wysoko podniesionym dziobem przemknęła z ogromną szybkością, rozpryskując fale i płosząc białe mewy.

Trzymaliśmy się za ręce, więc wyglądaliśmy, jakbyśmy byli bardzo sobie bliscy, ale każde z nas myślało o czymś innym. Dzieci, tyle ślicznych dzieci – być może myślała „Lwiczka”, ale mnie przed oczami migwały sceny z tamtego straszliwego pościgu na rzece sprzed dwudziestu kilku lat.

Przeszliśmy na drugi brzeg po nowym, świeżo ukończonym podwieszonym moście. Wśród jadących po nim samochodów było wiele bmw i mercedesów. Most miał elegancką linię, pełną gracji jak mewa z rozłożonymi skrzydłami. Za mostem po prawej stronie znajdowały się pola golfowe Metropolitan, a po lewej słynna świątynia Pani Matki.

Był to ósmy dzień czwartego miesiąca księżycowego i w świątyni odbywało się święto. Cała wolna przestrzeń wokół świątyni zastawiona była samochodami; sądząc po rejestracjach, większość ludzi przyjechała z okolicznych powiatów, ale było też kilka tablic spoza prowincji.

Kiedyś była tu mała wioska nazywana Świątynią Pani Matki od świątyńki, która się w niej znajdowała. W dzieciństwie często przychodziłem tu z matką zapalić trociczki i chociaż od tamtej pory minęło wiele lat, zachowała się w moich wspomnieniach. Świątyńka została zrównana z ziemią na początku rewolucji kulturalnej.

Obecna świątynia stanowiła imponujący kompleks budynków o czerwonych ścianach i żółtych dachówkach. Po obu stronach prowadzącej do niej drogi rozstawione były stragany z trociczkami i glinianymi figurkami, a sprzedawcy głośnym krzykiem zachęcali do kupna:

– Zawiążcie dzieciątko! Zawiążcie dzieciątko!

Jeden ze sprzedawców ubrany był w długą żółtą szatę, miał ogoloną głowę i wyglądał jak mnich. Uderzał pałeczką w drewnianą rybę i wykrzykiwał rytmicznie:

*Weźcie do domu dzieciątka, radość wam przyniesie,
Przez rok je odchowacie, mamą i tatą będziecie.
Moje dzieciątka są śliczne, ręką mistrza lepione,
Buzie mają urocze, usteczka czerwone.
Moje lalki magiczne wielkie moce mają,
Po te moje dzieciątka z daleka przyjeżdżają.
Jedno zawiążesz – smok się urodzi,
Dwoje zawiążesz – smok z feniksem chodzi,
Troje zawiążesz – trzy gwiazdy zaświecą,
Czworo zawiążesz – cztery nieba urzędy już do ciebie
lecą,
Piątkę zawiążesz – pięciu wielkich mistrzów,
Szóstkę wiążesz – tylu nie dam, bo twa żona będzie
chodzić obrażona!*

Głos wydawał się znajomy, przyjrzałem się bliżej – oczywiście, Wątroba. Akurat sprzedawał laleczki kobietom wyglądającym na Japonki albo Koreanki. Przez chwilę zastanawiałem się, czy nie pociągnąć „Lwiczkę” w inną stronę, żeby uniknąć spotkania, które wszystkim sprawiłoby przykrość, ale „Lwiczka” puściła moją rękę i podeszła prosto do niego.

Od razu się zorientowałem, że nie chodziło jej o Wątrobę, ale o laleczki na jego straganie. Wątroba nie przesadzał, jego figurki były rzeczywiście inne niż wszystkie. Lalki na pozostałych straganach były jaskrawo pomalowane i wszystkie takie same, niezależnie od tego, czy przedstawiały chłopców, czy dziewczynki. Figurki na straganie Wątroby miały stonowane kolory, każda z nich miała indywidualne rysy i wyraz twarzy: niektóre były wesołe, inne poważne, jeszcze inne psotne albo potulne, rozzłoszczone albo roześmiane. Zorientowałem się, że to dzieła naszego lokalnego mistrza sztuki ludowej Hao Wielkiej Ręki. Wielka Ręka w 1999 roku ożenił się z ciotką; jak to możliwe, żeby on, który przez kilkadziesiąt lat osobiście i na swój sposób sprzedawał swoje figurki, teraz przekazał je Wątrobie do głośnego zachwalania?

Wątroba, zerkając na sąsiednie stragany, ściszym głosem mówił do kupujących kobiet:

– Tamci rzeczywiście mają tańszy towar, ale wszystkie ich lalki są z formy. Mój towar jest drogi, ale wyszedł spod rąk naszego wielkiego mistrza Qin He – króla lalek, który lepi je z zamkniętymi oczami. Mówi się o nich, że „wyglądają jak żywe, mogą się rozpaść od dotknięcia”. – Wątroba podniósł jedno dzieciątko, które wydymało usteczka, jakby obrażone. – Figury Madame Tussaud przy naszych figurkach to tylko kupa wosku. Wszystkie istoty pochodzą z ziemi, rozumiecie? Nü Wa z gliny ulepiła ludzi, rozumiecie? Gлина ma w sobie duszę. Nasz wielki mistrz Qin specjalnie wykopuje muł z dna rzeki Jiao, a wkopuje się na dwa metry głęboko. To jest muł nanoszony przez trzy tysiące lat, to jest muł historii i kultury. Kiedy wykopie muł, zostawia go na słońcu, żeby sechł w gorącu i pod blaskiem księżyca, żeby sechł na chłodzie; w ten sposób zbiera się w nim esencja słońca i księżyca. Potem kładzie go na kamiennej płycie i rozkrusza. Potem dodaje wody wziętej z rzeki, gdy słońce czerwienieje, i wody czerpanej ze studni, kiedy księżyc wschodzi. Miesza i rękami ugniata przez godzinę, potem drewnianym tłuczkiem rozciera przez godzinę, aż gliniane ciasto jest jak ciasto z mąki. Dopiero wtedy zabiera się do pracy.

A muszę wam jeszcze powiedzieć, że kiedy nasz wielki mistrz Qin ulepi takie gliniane dziecko, na czubku jego głowy bambusowym szpikulcem robi maleńką dziurkę, potem nakłuwa swój palec serdeczny i wpuszcza do środka kroplę własnej krwi. Potem zakleja dziurkę i zostawia dziecko w ocienionym miejscu na siedem razy siedem, czyli czterdzieści dziewięć dni. Wtedy je maluje i rysuje mu buzię i oczy. I takie gliniane dziecko staje się duszkiem. Powiem wam teraz coś, ale nie musicie się bać: gliniane laleczki mistrza Qina w czasie pełni zaczynają tańczyć i klaskać, i śmiać się, a ich głosy są jak głosy w komórce, niegłośne, ale bardzo wyraźne. Jeśli mi nie wierzycie, kupcie kilka i weźcie do domu, a jeśli moja obietnica się nie spełni, możecie tu wrócić i rozbić je przed moim straganem. Ale jestem pewien, że byłoby wam szkoda, bo jakbyście rozbiły, pociekłaby im krew i zaczęłyby płakać.

Zachęczone jego gadaniną turystki kupiły dwie laleczki. Wątroba wyjął spod straganu specjalne pudełka, zapakował figurki i turystki odeszły zadowolone, a wtedy zwrócił się do nas.

Sądzę, że tak naprawdę poznał nas wcześniej, a nawet gdyby nie poznał mnie, z pewnością rozpoznałby „Lwiczkę”, w której się nieszczęśliwie kochał przez kilkanaście lat. Ale zachował się tak, jakby dopiero się zorientował, i zawołał zaskoczonym głosem:

– Ojej! Przecież to wy!

– Witaj, bracie – rzekłem. – Lata się nie widzieliśmy.

„Lwiczka” lekko uśmiechnęła się do niego i powiedziała coś, czego nie usłyszałem.

Uścisnęliśmy sobie ręce, a potem nawzajem poczęstowaliśmy się papierosami – ja zapaliłem jego osiem radości, on mojego generała, „Lwiczka” z uwagą przyglądała się glinianym ludzikom.

– Słyszałem już, że wróciliście – powiedział. – Widocznie rzeczywiście wszędzie dobrze, ale w rodzinnych stronach najlepiej.

– No właśnie, lis po śmierci leży głową do nory, liście lecą do korzeni – odrzekłem. – Ale mamy szczęście, że żyjemy w takich czasach, kilkadziesiąt lat wcześniej nawet bym sobie takich nie wyobraził.

– Bo kiedyś ludzie żyli zamknięci w klatce, a nawet jak nie w klatce, to i tak mieli sznurek na szyi – powiedział Wątroba. – A teraz jest wolność, jeśli masz pieniądze, możesz robić, co chcesz, byle było legalne.

– Święta prawda – zgodziłem się. – Bracie, ale ty umiesz gadać! – Pokazałem gliniane laleczki i spytałem: – To naprawdę takie cuda?

– A myślałeś, że zmyślam? – rzekł z całkowitą powagą. – Wszystko, co mówiłem, to była prawda, może troszkę ubarwiona, ale to dozwolone, nawet rządowe media pozwalają sobie na ubarwianie w granicach rozsądku.

– Nie przegadam cię. Ale to naprawdę dzieła Qin He?

– Tego bym chyba nie zmyślił, prawda? Kiedy mówiłem, że laleczki tańczą przy pełni księżyca, to było ubarwienie, ale kiedy mówiłem, że stary Qin lepi je z zamkniętymi oczami, to był najprawdziwszy fakt. Jeśli nie wierzysz, to jeśli będziecie mieli czas, zabiorę was do niego i sami zobaczycie.

– Stary Qin ma tutaj meldunek?

– Teraz żaden meldunek nie jest potrzebny, każdy mieszka sobie tam, gdzie mu wygodnie. Qin He zawsze będzie mieszkał tam, gdzie twoja ciotka. Takie oddanie trudno znaleźć na niebie i pod ziemią też niełatwo.

„Lwiczka” obiema dłońmi podniosła jedną z laleczek o dużych oczach i wydatnym nosie, wyglądającą jak śliczne dziecko z mieszanego małżeństwa z kimś z Europy Środkowej.

– Ja chcę to dziecko – powiedziała.

Przyjrzałem się laleczce uważnie i ogarnęło mnie dziwne uczucie, że przecież się nie mylę, naprawdę skądś ją znam. Gdzieś ją widziałem, ale gdzie? O niebo, przecież to Chen Brew, córka Nerki! Ta Brew, którą ciotka i „Lwiczka” opiekowały się przez pół roku, a potem musiały oddać ją ojcu.

Dobrze pamiętam ten wieczór, kiedy Nos przyszedł do nas, żądając zwrotu córki. Zbliżało się Święto Wiosny i to był wieczór pożegnania z bogiem paleniska, kiedy na ulicach strzelają petardy i kłębią się dymy. „Lwiczka” dopełniła już formalności związanych z towarzyszeniem mi w jednostce i odeszła ze szpitala w komunie. Po Święcie Wiosny mieliśmy w trójkę z Yanyan pojechać pociągiem do Pekinu, a tam w wielkim dystrykcie wojskowym czekało na nas dwupokojowe mieszkanie, nasz nowy dom. Ojciec nie chciał z nami jechać i nie chciał też wprowadzić się do najstarszego syna, który pracował w mieście powiatowym. Postanowił pozostać na swoim kawałku ziemi; na szczęście mój drugi brat pracował w gminie, więc mógł do niego od czasu do czasu zaglądać.

Po śmierci Nerki Nos pił całymi dniami, pijany włóczył się po ulicach, płakał i śpiewał. Na początku ludzie bardzo mu współczuli, ale w końcu zaczęli ich złościć. Kiedy Nerka umarła, większość wieśniaków zwróciła mu pieniądze, którymi komuna zapłaciła im za poszukiwania. Komuna nie zażądała też od niego zwrotu kosztów jego utrzymania w areszcie, więc skromnie licząc, na starcie miał przynajmniej trzydzieści tysięcy juanów, dość, żeby za nie pić przez kilka lat. Wydawało się, że zapomniał o dziecku, które ciotka i „Lwiczka” zabrały do szpitala. Zmusił Nerkę do powtórnego zajścia w ciążę, chociaż była dla niej śmiertelnym zagrożeniem, żeby rodzinie Chen urodziła męskiego potomka i żeby przedłużyć ród. Dlatego, kiedy po tylu trudach i wysiłkach, po tylu niebezpieczeństwach znowu urodziła się córka, z rozpaczą bił się pięściami po głowie i wołał: „Niebo nas kończy!”.

To ciotka nadała dziewczynce imię. Miała śliczną buzię, a jej starsza siostra nazywała się Ucho, więc ciotka rzekła:

– Niech się nazywa Brew.

„Lwiczka” aż złożyła z zachwyty ręce.

– To piękne imię – westchnęła.

Ciotka i „Lwiczka” myślały o tym, żeby ją adoptować, ale natrafiły na trudności z meldunkiem i formalnościami adopcyjnymi. Dlatego też aż do momentu, kiedy Nos zabrał ją z ramion „Lwiczki”, dziewczynka nie miała meldunku. Nie istniała wśród legalnych obywateli Chińskiej Republiki Ludowej, była nielegalnym dzieckiem. Nie wiadomo, ile w tamtych czasach było takich nielegalnych dzieci, ale przypuszczalnie była to oszałamiająca liczba. Kwestia ich meldunku została wreszcie rozwiązana w czasie czwartego spisu ludności w 1990 roku, a suma pobranych wówczas kar za przekroczenie dozwolonej liczby urodzeń była astronomiczna. Inna rzecz, że nie wiadomo, ile z tych pieniędzy naprawdę trafiło do skarbu państwa. Liczba nielegalnych dzieci, które pojawiły się w ostatnich kilkunastu latach, też przypuszczalnie jest ogromna, a obecne kary są kilkunastokrotnie wyższe niż dwadzieścia lat temu. Jeżeli w czasie następnego spisu ludności znów przyjdzie rodzicom płacić...

Instynkt macierzyński u „Lwiczki” bardzo się wtedy nasilił. Przytulała Brew i nie mogła się jej napatrzyć, nacałować; wydaje mi się nawet, że próbowała karmić ją piersią, bo zauważyłem, że jej biust wyglądał jakoś inaczej, ale nie umiem powiedzieć, czy naprawdę pojawiło się u niej mleko. Takie cuda podobno się zdarzają. W dzieciństwie oglądałem sztukę, w której na skutek różnych nieszczęść oboje rodzice zmarli, zostawiając osiemnastoletnią córkę i synka w powijakach. Nie mając innego wyjścia, dziewczyna włożyła swoją dziewiczą pierś w usta braciszka i o dziwo, po kilku dniach pociekło z niej mleko. W prawdziwym życiu taka historia nie mogłaby się wydarzyć: osiemnastoletnia siostra i brat osesek? Mama powiedziała mi wtedy, że w przeszłości często zdarzało się, że synowa i teściowa miały dziecko w tym samym czasie. Teraz to jest nawet jeszcze bardziej możliwe. Koleżance ze studiów mojej córki właśnie urodziła się siostrzyczka. Jej ojciec jest właścicielem kopalni węgla, pieniędzy ma jak lodu, chłopcy ryzykują życiem, harując dla niego w czarnych sztolniach, a on ma mieszkania i luksusowe wille w Pekinie, Szanghaju, Los Angeles, San Francisco, Melbourne, Toronto i tam z jakąś swoją „drugą” albo i „trzecią panią” produkuje dzieci.

Przywołałem do porządku myśli, jakbym ściągał cugle spłoszonemu koniowi. Przypomniałem sobie tamten świąteczny wieczór: to było wtedy, kiedy wrzuciłem do garnka pierogi, a moja córeczka Yanyan, klaszcząc, śpiewała o nich dziecięcą pioseneczkę: „Z południa mewy białe przyleciały, skrzydełkami zamachały, do rzeki zanurkowały”, a „Lwiczka” czule przemawiała do trzymanej na rękach Brwi – właśnie wtedy Chen Nos w swojej błyszczącej ze starości kurtce ze świńskiej skóry, w przekrzywionej czapce uszance, zataczając się, wszedł do naszego domu. Ucho szła za nim, trzymając się jego poły. Miała na sobie kubraczek z obciętymi do połowy rękawami, spod których wystawały czerwone z zimna rączki. Była rozczochrana i bez przerwy pociągała nosem, więc pewnie miała katar.

– Przyszedłeś w dobrej chwili – rzekłem, mieszając w garnku pierogi. – Siadaj, zjesz z nami.

Nos usiadł na progu, a ogień z paleniska oświetlił jego twarz i jego wielki nos, jakby wyrzeźbiony z zamarzniętej marchwi. Ucho stała z ręką opartą na jego ramieniu, a w jej dużych oczach błyszczały ciekawość i strach. Zerknęła na gotujące się pierogi, potem na „Lwiczkę” i niemowlę w jej ramionach, a wreszcie wymieniła spojrzenia z Yanyan. Yanyan podała jej trzymaną w rękę czekoladkę. Ucho przechyliła główkę i spojrzała na Nosa, a potem na nas.

– No weź – powiedziałem. – Jak ci siostrzyczka daje, to weź.

Niepewnie wyciągnęła rączkę.

– Ucho! – krzyknął Nos groźnie.

Ze strachem cofnęła rękę.

– Dajże spokój – rzekłem. – Przecież to dziecko.

Ucho rozplakała się głośno.

Przyniosłem z pokoju czekoladkę i włożyłem jej do kieszonki.

Nos wstał.

– Oddaj mi dziecko – powiedział do „Lwiczki”.

Wbiła w niego oczy.

– Przecież jej nie chcesz – rzekła.

– A kto powiedział, że nie chcę?! – warknął z gniewem.

– Rodzone dziecko, krew z krwi i kość z kości, pewnie, że ją chcę!

– Nie nadajesz się! – zawołała „Lwiczka”. – Jak się urodziła, była mała jak kocię, to ja ją odchowalam.

– To przez wasz pościg Nerka urodziła za wcześniej! Gdyby nie wy, jeszcze by żyła! Jesteście mi winne jej życie!

– Nieprawda! Nerka ze swoim zdrowiem w ogóle nie powinna była zachodzić w ciążę, ale ciebie interesowało tylko przedłużenie rodu, nic cię nie obchodziło, czy żona przeżyje, czy nie! To ty jesteś winien jej śmierci!

– Co takiego?! – ryknął. – Jak jeszcze raz powiesz coś takiego, to wasza rodzina nie nacieszy się nowym rokiem!

Chwytał tłuczek do czosnku i zamierzył się na nasz garnek.

– Nos, oszalałeś?! – krzyknąłem. – Od dziecka się przyjaźnimy!

– Jacy są teraz przyjaciele? – Uśmiechnął się pogardliwie. – Pewnie to ty doniosłeś, że Nerka ukrywała się u twojego teścia.

– To nie on! – zawołała „Lwiczka”. – To Xiao Górna Warga doniósł.

– Wszystko jedno, kto doniósł. Masz mi oddać dziecko.

– Nigdy w życiu! Nie pozwolę dziecku umrzeć u ciebie, nie jesteś godzien być ojcem!

– Ty wstrętna babo, ty obojnaku przebrzydły, obie nie możecie mieć dzieci, więc innym nie pozwalacie! Nie możecie mieć własnych dzieci, więc kradniecie cudze!

– Zamknij tę swoją śmierzdzącą gębę! – krzyknąłem. – Dzisiaj święto, a ty przychodzisz z awanturami?! Rzucaj, jak masz odwagę, to rzucaj!

– A myślisz, że się nie odważę?

– Rozwalaj!

– Jeśli mi nie oddacie dziecka, jestem gotów zrobić wszystko! Dom podpalić, ludzi pozabijać, wszystko!

Ojciec, który do tej pory siedział w drugiej izbie i nie odzywał się ani słowem, wyszedł i rzekł:

– Bratanku, przez wzgląd na moje siwe włosy i moją przyjaźń z twoim ojcem odłóż tłuczek.

– To powiedz im, żeby mi dziecko oddali.

– Dziecko jest twoje i nikt ci nie może go zabrać, ale musisz z nimi porozmawiać. W końcu gdyby nie one, dziecko już dawno poszłoby za matką.

Nos rzucił tłuczek na ziemię, z powrotem usiadł na progu i wybuchnął płaczem. Ucho pogładziła go po ramieniu i też się rozpląkała:

– Tato, nie płacz...

Oczy mi zwilgotniały i zwróciłem się do „Lwiczki”.

– A może... oddajmy mu dziecko...

– Nigdy! – krzyknęła. – To ja je wzięłam!

– Ludzi prześladowacie... sumienia nie macie – płakał Nos.

– Idź po ciotkę – zwrócił się do mnie ojciec.

– Nie trzeba, jestem tutaj – odezwała się ciotka zza drzwi.

Powitałem ją jak wybawiciela.

– Nos, wstawaj! – rozkazała. – Ciekawa byłam, czy zwalisz garnek.

Nos podniósł się posłusznie.

– Chenie Nos, przyznajesz się do winy? – spytała ciotka surowo.

– Do jakiej winy?

– Do winy porzucenia. To my zajęłyśmy się Brwią, karmiłyśmy ją kleikiem i mlekiem w proszku, my przez ponad pół roku z trudem utrzymywałyśmy ją przy życiu, kiedy ty zniknąłeś. Ty ją spłodziłeś, to prawda, ale czy wywiązałeś się z ojcowskich obowiązków?

– Tak czy owak dziecko jest moje – wybełkotał.

– Twoje?! – krzyknęła „Lwiczka” z ogniem w głosie. – Zobacz najpierw, czy ona się zgadza! Jak się zgodzi, to ją zabierzesz!

– Tobie miesza się w głowie, z tobą nie rozmawiam! Ciotko, dobrze: źle zrobiłem, przyznaję się, a teraz oddajcie mi córkę!

– Możemy ci oddać – rzekła ciotka. – Ale najpierw musisz zapłacić karę w komunie, a potem zarejestrować dziecko.

– Ile ta kara?

– Pięć tysięcy osiemset!

– Aż tyle?! – krzyknął Nos. – Nie mam tyle pieniędzy!

– Nie masz? Jak nie masz, to nie myśl o dziecku.

– Pięć tysięcy osiemset! Pięć tysięcy osiemset! – jęczał Nos. – Pieniądzy nie mam, ale życie mam!

– Życie sobie zatrzymaj – odpowiedziała ciotka. – I swoje pieniądze zatrzymaj, możesz je wydać na wódkę, na jedzenie, a nawet na dziwki!

– Nie mam! – krzyknął Nos z rozpaczą, która zmieniała się w gniew. – Zaskarżę was! Zaskarżę was w komunie, a jak tam nie wygram, pójdę do powiatu! A jak tam nie wygram, pójdę do władz prowincji! A jak będzie trzeba, to do władz centralnych!

– A jak i we władzach centralnych nie wygrasz, to co zrobisz? – Ciotka zaśmiała się drwiąco. – Do ONZ-etu pójdziesz ze skargą?

– Do ONZ-etu? Jak trzeba będzie, to pójdę!

– Wiele możesz, jak widać! – rzekła ciotka. – A teraz się wynoś! Jak wygrasz sprawę, zabierzesz dziecko. Ale nawet jak wygrasz, i tak to ja będę ci musiała wystawić zaświadczenie, że zdołasz ją wychować, a wtedy będziesz musiał nam obu zapłacić za fatygę po pięć tysięcy!

W pożegnanie boga paleniska Nos nie zabrał więc dziecka, ale po Nowym Roku, w dzień po Święcie Lampionów, przyniósł potwierdzenie uiszczenia kary i odszedł z Brwią w ramionach. Groźba o pieniądzach za fatygę była rzucona w złości i oczywiście nie musiał nic płacić. „Lwiczka” aż trzęsła się od płaczu, jakby odebrano jej rodzone dziecko. Ciotka pocieszała ją:

– Czego płaczesz? Jak lubisz dzieci, postaraj się o własne!

„Lwiczka” płakała dalej, a ciotka pogłaskała ją po ramieniu i smutnym głosem, jakiego nigdy wcześniej u niej nie słyszałem, rzekła:

– U mnie już nic się w życiu nie zmieni, ale wasze szczęście dopiero się zaczęło. Praca jest teraz mniej ważna, najpierw postaraj się o dziecko, a jak się urodzi, przywieziecie mi je pokazać.

Po przyjeździe do Pekinu cały czas staraliśmy się o dziecko, ale Nos przepowiedział nam nieszczęście. „Lwiczka” nie mogła zająć w ciążę. Do mojej córki odnosiła się dobrze, ale wiedziałem, że jej serce i myśli są cały czas przy Brwi. I dlatego kiedy zobaczyłem wyraz jej twarzy, gdy podniosła lalczkę podobną do niej jak dwie krople wody, zrozumiałem, że naprawdę nie mówi do Wątroby, tylko do mnie:

– Ja chcę to dziecko.

– Ile kosztuje? – spytałem Wątrobę.

– A co to za słowa? – Spojrzał na mnie gniewnie. – Chcesz mnie obrazić?

– Bracie, nie zrozum mnie źle – wyjaśniłem. – Żeby „zawiązać dziecko”, trzeba mieć w sercu szczerą intencję, a jak okazać szczerą intencję inaczej, niż płacąc?

– Właśnie jak się zapłaci, to znaczy, że intencje nie są szczerze – odrzekł i dodał ściszym głosem: – Za pieniądze kupisz tylko kawałek gliny, dziecka za pieniądze nie kupisz.

– No, dobrze. Mieszkamy w osiedlu Binhe, klatka 9, mieszkania 902. Zapraszamy.

– Przyjdę pogratulować wam syna – odparł.

Pokręciłem głową ze smutnym uśmiechem, pożegnałem się z nim, a potem pociągnąłem „Lwiczkę” między ludzi i weszliśmy na dziedziniec świątyni.

Z żelaznej kadzielnicy przed wejściem do głównej sali unosiły się dymy kadzideł, na świecznikach paliły się rzędy czerwonych świec, których płomienie migotały nad ściekającymi woskowymi łzami. Wiele kobiet zapalało trociczki i świece, niektóre o twarzach starych jak zmurszałe drzewo, inne młode o policzkach świeżych jak lotos, niektóre w ubogich łachach, inne postrojone jak damy, w każdym wieku i z każdej klasy społecznej, wszystkie różne, ale każda przepełniona tą samą religijną wiarą, każda z nadzieją w sercu i z glinianą laleczką na piersiach.

Do wrót górującego nad wszystkim głównego ołtarza prowadziło czterdzieści dziewięć białych kamiennych stopni. Podniosłem głowę i spojrzałem na zawieszoną pod wygiętym okapem poziomą tablicę, na której widniał złoty napis „Dzieciątka liczne dobra nauczaj”. Miedziane dzwoneczki pod dachem cicho brzęczały na wietrze.

Po schodach wchodziły i schodziły kobiety z glinianymi laleczkami, a ja czułem się między nimi jak intruz. Płodzenie i rozmnażanie to rzecz jednocześnie wzniosła i wulgarna, poważna i śmieszna. Przypomniało mi się nagle, jak we wczesnym dzieciństwie widziałem oddział czerwonogwardzistów, którzy w ramach walki z „czterema rodzajami starego zła” zostali tu specjalnie skierowani do zniszczenia i profanacji świątyni. Podnieśli pomnik Bogini Zsyłającej Synów i wrzucili do rzeki, wykrzykując głośno: „Uczmy się wszyscy urodzeń planowania, Pani Matka niech lepiej się uczy pływania!”. Na nabrzeżu klęczały rzędem siwe staruszki i coś szeptały. Czy modliły się, aby bogini ukazała się i ukarała tych rozwydrzonych młodzików? Czy może prosiły ją, żeby wybaczyła ludziom winy? Nie wiadomo. Ale, jak powiadają, rzeka trzydzieści lat płynie na wschód, trzydzieści lat na zachód. I rzeczywiście, na ruinach starej świątyni wybudowano nowy imponujący kompleks świątynny, a w pawilonie bogini znów stanął wspaniały złoty posąg. Z jednej strony podtrzymywano starą tradycję i kulturę, z drugiej – tworzono nowy obyczaj; jednocześnie zaspokajano duchowe potrzeby narodu i przyciągano turystów. Sektor usług kwitł, a gospodarka przejawiała wyraźny wzrost. To wielka prawda, że zamiast budować fabrykę, lepiej postawić świątynię. Moi starzy przyjaciele żyją dla tej świątyni i dzięki niej.

Podniosłem głowę i spojrzałem na posąg bogini. Twarz okrągła jak księżyc, włosy jak czarny obłok. Cienkie brwi aż do skroni, miłosierne oczy. Ubrana w białą szatę, na głowie korona z pereł i nefrytów. W prawej dłoni trzymała okrągły wachlarz na długiej rączce, lewą głaskała głowę chłopca dosiadającego ryby. Po obu jej stronach znajdowało się dwunastu chłopców w różnych pozach. Mieli rysy pełne życia i psotnego wdzięku, i byli naprawdę śliczni. Pomyślałem sobie, że w Dongbeixiangy tylko Hao Wielka Ręka i Qin He umieliby wykonać takie dziecięce postacie. Jeśli Wątroba mówił prawdę, te rzeźby wyszły spod ręki Qin He. Przyszła mi do głowy grzeszna myśl, że postać i twarz bogini w białej szacie przypominają ciotkę z czasów jej młodości!

Na dziewięciu klęcznikach przed posągiem klęczało dziewięć kobiet. Klęczały długo, uderzając czołami w podłogę albo podnosząc w górę złożone dłonie, cicho modliły się wpatrzone w boginię. Za nimi, na marmurowej posadzce, klęczało więcej kobiet. Wszystkie ustawiły przed sobą swoje figurki twarzami do bogini. „Lwiczka” klęczała na posadzce i z zapamiętaniem uderzała w nią czołem. Pragnęła dziecka tak bardzo, że oczy miała pełne łez, ale ja wiedziałem, że to marzenie nie mogło się już spełnić. Urodziła się w 1950 roku i miała pięćdziesiąt pięć lat; jej piersi wciąż były pełne, ale przeszła już menopauzę. Przyglądałem się ludziom, więc oni też z pewnością przyglądali się mnie. Ukłakłem obok „Lwiczki”. Czy ci, którzy patrzyli na nas, brali nas za parę starszych państwa, którzy modlą się o dzieci dla swojego syna czy córki?

Skończywszy modły, kobiety wyjmowały pieniądze i wrzucały je do czerwonej drewnianej skrzynki przed posągami. Jeśli wrzucały mało, robiły to z pośpiechem, jeśli dużo, pozwalały się przy tym podziwiać. Za każdym razem stojąca przy skrzynce mniszka zawiązywała czerwoną nitkę na szyi glinianej laleczki. Stojące po bokach mniszki w szarych oponczach, z opuszczonymi głowami, stukały pałeczkami w drewniane ryby i chociaż wydawało się, że nie spoglądały na boki, za każdym razem, gdy ofiara wynosiła ponad sto juanów, drewniane ryby wydawały z siebie głośniejszy dźwięk, jakby chciały zwrócić uwagę bogini.

Nie planowaliśmy tu przychodzić, więc nie mieliśmy przy sobie pieniędzy. Podniecona „Lwiczka” zdjęła z palca złoty pierścionek i wrzuciła do skrzynki, a drewniane ryby odezwały się trzykrotnym stukotem jak pistolet startowy, gdy wiele lat temu brałem udział w biegach na długie dystanse.

Za głównym budynkiem znajdowały się poboczne ołtarze: Niebiańskiej Nieśmiertelnej, Pani Widzącej, Pani Dzieci i Wnuków, Pani Ospy, Pani Karmiącej, Pani Podnoszącej Zasłonę, Pani Przyśpieszającej Poród, Pani Zsyłającej Dzieci. Przed każdym ołtarzem ludzie modlili się i składali ofiary, wszędzie czuwały też mniszki stukające w drewniane ryby. Spojrzałem na słońce i zaproponowałem, żebyśmy przyszli tu innego dnia. „Lwiczka” niechętnie skinęła głową. Kiedy szliśmy ścieżką prowadzącą do wyjścia, z pawiloników po obu jej stronach wychylały się głowy mniszek.

– Dobroczyńco, kup dla dzieciątka kłódkę długowieczności!

– Dobroczyńco, spraw swemu dzieciątku kolorową szatkę!

– Dobroczyńco, włóż dzieciątku butki obłoczne!

Nie mieliśmy pieniędzy, więc tylko przepraszaliśmy i przyśpieszaliśmy kroku.

Kiedy wyszliśmy ze świątyni, miało już południe i zaniepokojony kuzyn zadzwonił do mnie na komórkę. Na ulicznym jarmarku panował ścisk, ludzi było jak mrówek, pełno różnych towarów i oglądających je gapiów. Nie mieliśmy czasu na spacer, więc przepychaliśmy się między ludźmi, starając się znaleźć samochód kuzyna – zaparkował po wschodniej stronie świątynnego jarmarku, przed bramą do nowego szpitala matki i dziecka, zbudowanego jako chińsko-amerykańska inwestycja. Dzisiaj odbywało się jego uroczyste otwarcie.

Kiedy doszliśmy na miejsce, uroczystości już się skończyły. Zobaczyliśmy tylko walające się wszędzie wypalone petardy i dwa wielkie feniksy o rozłożonych skrzydłach, ułożone z koszy z kwiatami. W powietrzu unosiły się dwa ogromne balony ciągnące wielki transparent. Szpital był biało-niebieskim budynkiem na planie półkola, przypominał dwa wyciągnięte ramiona zapraszające do chłodnego i eleganckiego uścisku. Tworzył wyraźny kontrast ze znajdującą się po jego zachodniej stronie barwną świątynią.

W chwili, gdy zobaczyliśmy kuzyna w garniturze, zauważyliśmy też ciotkę. Mnóstwo ludzi wyjmowało kwiaty z koszy i wieńców, wśród nich i ona. Miała już w ręku kilkanaście róż – czerwone, białe, herbaciane, wszystkie w pąkach. Poznaliśmy ją po sylwetce. Nawet gdyby otaczały ją tysiące ludzi i gdyby wszyscy byli w ubraniach o tym samym kolorze i kroju – poznalibyśmy ją bez najmniejszego wysiłku.

Widzieliśmy, jak jakiś kilkunastoletni chłopak podaje jej paczkę z białego papieru, po czym odwraca się i odbiega. Ciotka rozdarła papier, wyprężyła się, krzyknęła dziwnie, a potem jej ciężkie ciało zachwiało się parę razy i runęło w tył.

Zobaczyliśmy, jak zeskakuje z niej zabiedzona żaba.

ROZDZIAŁ 2

Stojący przy bramie do żabiej farmy jakiś niby-ochroniarz komicznie zasalutował samochodowi kuzyna. Automatyczna brama przesunęła się wolno i passat wjechał do środka. Były wróżbita i domorosły lekarz, a obecny dyrektor generalny Zakładu Hodowli Żab Ryczących Yuan Policzek oczekiwał nas przed wielką czarną rzeźbą.

To była rzeźba żaby.

Z daleka wyglądała jak transporter opancerzony.

Na marmurowej płycie u stóp rzeźby znajdował się napis: „Żaba rycząca (*Rana catesbeiana*) należy do gromady płazów, rzędu bezogonowych, rodziny żabowatych. Nazwa gatunkowa żaba rycząca bierze się od wydawanego przez nią głosu, podobnego do ryczenia byka”.

– Najpierw zdjęcie, najpierw zdjęcie! – komenderował Policzek. – Najpierw zrobimy zdjęcie, a potem pójdziemy zwiedzać. A potem obiad.

Uważnie przyjrzałem się ogromnej żabie, która napawała mnie lękiem. Patrzyłem na jej czarny grzbiet, zielony pysk, oczy obrzeżone złotem, ciało pokryte podobnymi do wodorostów pręgami i wypukłymi brodawkami. Jej wytrzeszczone oczy patrzyły posepnie, jakby przekazywały jakąś wiadomość z odległej starożytności.

– Panno Bi! Aparat prosimy! – zawołał głośno kuzyn.

Szczupła dziewczyna w okularach z czerwoną oprawką i w długiej kraciastej spódnicy przybiegła z ciężkim aparatem w rękach.

– Panna Bi była najlepszą studentką na wydziale sztuki uniwersytetu Qidong, a teraz jest kierowniczką naszego sekretariatu – przedstawił kuzyn.

– I jest nie tylko ładna – rzekł Policzek. – Ma wiele talentów: śpiewa, tańczy, fotografuje, rzeźbi, we wszystkim jest świetna, a jeszcze wypić potrafi!

– Pan dyrektor przesadza – powiedziała panna Bi, rumieniąc się.

– A to jest mój szkolny kolega, i to nie byle kto. W młodości świetnie biegał i wszyscy myśleliśmy, że zdobędzie mistrzostwo świata, a on został dramatopisarzem – przedstawił mnie Policzek. – Naprawdę nazywa się Wan Noga, w dzieciństwie mówiliśmy na niego Biegacz, a teraz nosi imię Kijanka.

– Kijanka to mój pseudonim literacki – wyjaśniłem.

– A to jest małżonka profesora Kijanki „Lwiczka” – rzekł kuzyn, wskazując na moją żonę. – Specjalista ginekolog.

„Lwiczka” z glinianą laleczką w ręku obojętnie skinęła głową.

– Dyrektor Yuan i dyrektor Jin często wspominali o państwu – rzekła panna Bi.

– Pierwsza wśród żab na świecie! – zawołał Policzek.

– Ta rzeźba jest dziełem panny Bi – objaśnił kuzyn.

Wyraziłem przesadny zachwyt.

– Czekam na krytykę pana profesora.

Obeszliśmy rzeźbę dookoła. Niezależnie, z której strony się znajdowałem, cały czas czułem utkwione w sobie jej posępne ślepie, czułem, że cały czas się we mnie wpatruje.

Kiedy skończyliśmy ze zdjęciami, w towarzystwie Policzka, kuzyna i panny Bi kolejno zwiedziliśmy basen, w którym rozmnażano żaby, basen z kijankami, basen, w którym kijanki przechodziły metamorfozę i basen z młodymi żabami; a także pomieszczenia, w których przygotowywano żabią karmę i produkty z żab.

Później w snach często widywałem ten basen do rozmnażania. Miał około czterdziestu metrów kwadratowych i wypełniony był głęboką na pół metra mętą wodą. Znajdujące się na powierzchni samce, wydymając białe worki na podgardlu, wydawały z siebie podobne do byczego ryku wołanie godowe; samice z rozciągniętymi kończynami unosiły się na wodzie i powoli zbliżały się do samców. Większość płazów szepiła się już w pary. Samice pływały z samcami na grzbietach; samce obejmowały je przednimi kończynami, a tylnymi bez przerwy uderzały je w brzuch. Z jam rodnych samic wypływał przezroczysty skrzek, a samce wtryskiwały do wody swój przejrzysty mlecz. „U żab następuje zapłodnienie zewnętrzne, wyjaśnił kuzyn, a może Policzek; samica za każdym razem produkuje od ośmiu do dziesięciu tysięcy jaj, lepiej niż człowiek, prawda?”. Ze wszystkich stron dochodziło wołanie żab; fetor unoszący się znad ogrzanej kwietniowym słońcem wody przyprawiał o mdłości. Oto scena miłosnych zalotów i miejsce rozmnażania. „Żeby zwiększyć produkcję jaj u samic, dodajemy im do karmy specjalny środek”. Żaby, żaby, żaby, gua, gua, gua...

Z żabim nawoływaniem w uszach i obrazami żab przed oczyma daliśmy się zaprowadzić do elegancko urządzonej stołówki. Ubrane na różowo kelnerki zaczęły podawać herbatę i napoje, rozstawiać dania i rozlewać wódkę.

– Dzisiaj zapraszamy na ucztę z żab – rzekł Policzek.

Podniosłem leżące na stole menu i przeczytałem: żabie udko na ostro, żabia skóra w głębokim oleju, żaba w kawałkach z zieloną papryką, plasterki żabiego mięsa z młodym bambusem, kijanki w marynacie, zupa ze skrzeku...

– Przepraszam, ale ja nie jem żab – powiedziałem.

– Ja też nie – dodała „Lwiczka”.

– Dlaczego? – zdziwił się Policzek. – Przecież to przysmak, dlaczego nie jecie?

Ze wszystkich sił starałem się zapomnieć o ich wylupiastych oczach, lepkiej skórze i wstrętnym, zimnym zapachu, ale nie mogłem. Z żalem pokręciłem głową.

– Koreańscy uczeni niedawno wyekstrahowali ze skóry żaby ryczącej bardzo cenne peptydy, które funkcjonują jako przeciwutleniacze i usuwają z organizmu wolne rodniki, stanowią więc naturalny środek przeciwdziałający starzeniu. A poza tym – dodał kuzyn tajemniczo – mają też inne cudowne działanie, przede wszystkim zwiększają u kobiet prawdopodobieństwo zajścia w ciążę bliźniaczą albo mnogą.

– A może jednak spróbujecie? – zachęcał Policzek. – Trzeba odważnie wszystkiego próbować! Przecież jada się nawet skorpiony, pijawki, dżdżownice, węże, dlaczego nie zjecie akurat żab?

– Czyżbyś zapomniał, że mój pseudonim to Kijanka?

– No oczywiście, jasna sprawa! – zawołał Policzek i rozkazał kelnerkom: – Zabierzcie to wszystko ze stołu i powiedzcie w kuchni, że mają przygotować coś nowego, tylko żeby nie miało nic wspólnego z żabami!

Ponownie nakryto do stołu, a w międzyczasie kolejka wódki okrążyła go trzykrotnie.

– Ale skąd u ciebie, stary, pomysł na hodowlę żab? – spytał Policzka.

– Jak się chce dużo zarobić, trzeba wymyślić coś, na co nikt inny nie wpadł – rzekł zadowolony z siebie Policzek, zaciągając się papierosem.

– Utalentowany z ciebie człowiek! – rzekłem i naśladując pewnego aktora komediowego, mówiłem żartobliwie dalej: – Od dziecka już byłeś inny niż wszyscy. Hodowla żab to dobra rzecz, ale nie szkoda ci rzucić takich cudownych umiejętności, jak wyciąganie krowom gwoździ z brzucha albo wróżenie na jarmarkach?

– Kijanko, draniu jeden, człowieka się po twarzy nie bije, nie wolno wyśmiewać cudzych słabości – odparł.

– I jeszcze usuwanie kobietom spirali haczykiem – dodała zimno „Lwiczka”.

– Ojej, bratowo, o tym już w ogóle nie należy mówić – rzekł Policzek. – Wtedy po pierwsze byłem nieświadomiony, po drugie miałem za miękkie serce i omotały mnie te baby, co zwariowały na punkcie dziecka, a po trzecie – bieda mnie zmusiła.

– A teraz byś się odważył? – zapytałem.

Spojrzał na mnie.

– Na co?

– Usuwać spirale!

– Co ty gadasz, myślisz, że u mnie źle z pamięcią? Kilka lat w obozie pracy zrobiło ze mnie nowego człowieka. Teraz jestem uczciwym biznesmenem, interes prowadzę w świetle dnia, nie boję się żadnej legalnej pracy, ale nielegalnego nie tknę, rozstrzelajcie, a nie tknę!

– Nasza działalność jest całkowicie zgodna z prawem, podatki płacimy na czas i jesteśmy wyróżniającym się przedsiębiorstwem działającym na rzecz dobra publicznego – oświadczył kuzyn.

W czasie bankietu „Lwiczka” cały czas gładziła swoją laleczkę.

– Ten stary drań Qin He to jednak ma talent – rzekł Policzek. – Jak nic nie robił, to nie robił, ale jak zaczął, od razu przerósł Hao Wielką Rękę.

Uśmiechająca się do tej pory w milczeniu panna Bi wtrąciła:

– Każde z dzieł mistrza Qin He ma w sobie jego miłość.

– Żeby lepić lalki z gliny potrzebna jest miłość? – spytał Policzek.

– Oczywiście! Każde udane dzieło jest dzieckiem artysty.

– To ta wielka żaba jest twoim dzieckiem! – zawołał Policzek, wskazując rzeźbę na dziedzincu.

Panna Bi zaczerwieniła się i umilkła.

– Bratowa tak lubi gliniane laleczki? – spytał kuzyn.

– Twoja bratowa nie lubi dzieciątek z gliny, ona lubi prawdziwe dzieciątka. – Policzek uśmiechnął się.

– No to do roboty! – rzekł entuzjastycznie kuzyn. – I kuzyn też może z nami współpracować.

– Mam z wami żaby hodować? Kiedy ja na ich widok dostaję gęziej skórki.

– Kuzynie, my nie tylko hodujemy żaby, my...

– Nie strasz kuzyna – przerwał mu Policzek. – Pijemy, bracie, pamiętasz, co przewodniczący Mao mówił do wykształconej młodzieży? Wieś to jest wielki świat, można tam wiele dokonać!

ROZDZIAŁ 3

Jest tak, jak kiedyś powiedział Wątroba, gdy już otrząsnął się z bólu: miłość to choroba. Kiedy pomyśli się o tym, w jakim stanie był przez długie lata z powodu miłości do „Lwiczki”, trudno uwierzyć, że kiedy wyszła za mnie, potrafił żyć dalej. Podobnie było z Qin He: jego miłość do ciotki też była chorobą, a kiedy ciotka wyszła za Hao Wielką Rękę, nie tylko nie skoczył do rzeki ani się nie powiesił, ale zwrócił się ku sztuce, i w ten sposób nieoczekiwanie – jakby z gliny wyskoczyło dziecko – zrodził się wybitny artysta ludowy.

Wątroba wcale nas nie unikał, a nawet sam w rozmowie poruszył temat swojego szaleństwa tak swobodnie, jakby opowiadał cudzą historię. Jego zachowanie wzbudziło moją wdzięczność, a tłumione przez lata wyrzuty sumienia zmieniły się w sympatię i podziw.

– Jak ci coś powiem, to pewnie nie uwierzysz – rzekł. – Kiedyś „Lwiczka” boso przeszła po nabrzeżu i zostawiła po sobie ślady stóp. A ja jak pies na czworakach szedłem po jej śladach i wdychałem jej zapach, a łzy wielkimi kroplami ciekły mi po twarzy.

– Co też ty opowiadasz! – zawołała „Lwiczka”, czerwieniąc się.

– To najprawdziwsza prawda – odrzekł poważnie Wątroba. – Jeśli skłamałem chociaż jednym słowem, niech mi wrzody na czubkach włosów wyrosną!

– No proszę. – „Lwiczka” roześmiała się. – Wrzody na czubkach włosów to za mało, niech twój cień grypę złapie!

– To znakomity szczegół – powiedziałem. – Powinienem wprowadzić cię do mojej sztuki.

– Dziękuję bardzo – rzekł Wątroba. – Koniecznie musisz w swojej sztuce dokładnie przedstawić wszystkie idiotyzmy, które popełnił przygłupi Wang Wątroba. To świetny materiał.

– Jeśli odważysz się napisać o mnie, spalę ci rękopis – rzekła „Lwiczka”.

– Papier można spalić, ale poezji w mym sercu nie spalisz.

– Ale trochę mi jednak żal – powiedziała „Lwiczka”. – Wątrobo, teraz wydaje mi się, że byłoby lepiej, gdybym wyszła za ciebie, a nie za Biegacza. Ty przynajmniej płakałeś nad moimi śladami.

– Bratowo, nawet tak nie żartuj – odpowiedział Wątroba. – Ty i Biegacz jesteście doskonałą parą.

– Doskonałą – westchnęła „Lwiczka”. – Tylko dziecka nie możemy mieć, taką jesteśmy doskonałą parą.

– Nie mówmy już o nas, porozmawiajmy lepiej o tobie. Tyle lat minęło i nie znalazłeś sobie nikogo?

– Kiedy wyzdrowiałem, zrozumiałem, że ja wcale nie kocham kobiet.

– A co, kochasz mężczyzn? – zażartowała „Lwiczka”.

– Nikogo nie kocham – odparł – tylko siebie. Kocham moje ramiona, kocham moje nogi, moje ręce, moją głowę, kocham moje zmysły i moje wnętrzości, a nawet mój cień. Często sobie rozmawiam z moim cieniem.

– To chyba znowu zachorowałeś – rzekła „Lwiczka”.

– Jak się kocha drugą osobę, trzeba za to zapłacić, a jak się kocha siebie, to nic nie kosztuje. Kocham siebie tak, jak mi się podoba, i sam jestem sobie panem.

Wątroba zabrał nas do domu Qin He. Na murze nad bramą wisiała drewniana tablica z napisem: „Warsztat Wielkiego Mistrza”.

Za czasów komuny ludowej karmiono tu zwierzęta i często przychodziłem w to miejsce się bawić. Dniem i nocą czuć było tutaj zapach końskiego i krowiego nawozu, na dziedzińcu znajdowała się studnia, a obok niej wielki ceber. Każdego ranka stajenny, stary Fang, kolejno doprowadzał do niego i poił zwierzęta, a drugi stajenny, młody Du, bez przerwy dolewał do cebra wody ze studni. Był tam szeroki i przestronny budynek, w którym znajdowało się dwadzieścia kilka kamiennych żłobów. Dwa największe i najwyższe z samego brzegu przeznaczone były dla koni i mułów, mniejsze i niższe dla krów.

Kiedy wszedłem na dziedziniec, zobaczyłem, że wciąż stoją tam drewniane paliki, do których przywiązywano konie i bydło, na ścianach zachowały się jeszcze czytelne napisy z dawnych czasów i nawet tamten zapach nie zniknął do końca.

– Najpierw chcieli to zburzyć – rzekł Wątroba. – Ale potem przyjechał ktoś z góry na inspekcję i zdecydował, żeby zostawić dla turystów jako relikwiny zabudowy wiejskiej z czasów komun ludowych. No i zostawili.

– To może trzeba tu trzymać zwierzęta? – spytała „Lwiczka”.

– Chybaby się nie dało! – Wątroba roześmiał się i zawołał: – Mistrzu Qin, ważni goście przyszli!

Wewnątrz nikt się nie odezwał. Weszliśmy za Wątrobą do budynku, w którym wciąż stały kamienne żłoby. Na ścianach pozostały dziury wybite przez końskie kopyta, pod ścianami leżało zaschnięte łajno. Został też wielki kocioł, w którym przygotowywano paszę, i wielki kang, na którym kiedyś mieściło się sześciu synów Fanga. Kiedyś spędziłem kilka nocy na tym kangu, w najmroźniejszy czas zimy, gdy wszystko zamarzało. Rodzina Fangów była tak biedna, że nie mieli kołdry i stary Fang całą noc dokładał słomy do pieca pod kangiem, więc prawie można było na nim placki piec. Jego synowie, przyzwyczajeni, spali sobie smacznie, ale ja przewracałem się z boku na bok i nie mogłem zasnąć. Teraz na kangu rozścielone były dwa koce, a na ścianie wisiały noworoczne obrazki: na jednym jednoróżec z chłopcem, na drugim młodzieniec po egzaminach urzędniczych przechadzający się ulicą. Na dwóch największych żłobach rozłożona była gruba deska, a na niej glina i różne narzędzia.

Na drewnianym stołku przy desce siedział nasz stary znajomy Qin He. Ubrany był w długą szatę z niebieskiego płótna z kolorowymi plamami na piersi i rękawach. Włosy miał całkiem siwe, jak dawniej rozdzielone przedziałkiem; wielkie oczy w jego końskiej twarzy miały wyraz melancholii i zadumy. Kiedy weszliśmy, podniósł głowę i spojrzał na nas, poruszył lekko ustami i to było całe jego przywitanie. Z powrotem zapadł w zadumę ze wzrokiem utkwionym w ścianie, jakby nad czymś głęboko rozmyślał.

Nieświadomie wstrzymaliśmy oddech, ściszyliśmy głosy i nawet staraliśmy się chodzić jak najostrożniej, żeby hałasem nie przeszkadzać mistrzowi.

Wątroba pokazał nam jego dzieła. Ulepione przez mistrza, niedokończone jeszcze lalki suszyły się w krowich żłobach. Wysuszone oczekiwały na malowanie na kilku drewnianych półeczkach na północnej ścianie. Ze żłobów witały nas dzieci w różnych pozach, jeszcze niepomalowane, a już pełne życia.

Wątroba opowiadał nam cicho, że mistrz codziennie siedzi tak nieruchomo, czasami nawet w nocy nie kładzie się spać, a kiedy indziej znów jak maszyna ugniata glinę, żeby nabrała plastyczności. Czasami potrafi siedzieć cały dzień i nie ulepić ani jednej figurki, ale jak zacznie, robi to z niezwykłą szybkością.

– Teraz – mówił Wątroba – zajmuję się sprzedażą jego wyrobów i prowadzę mu dom. Wreszcie znalazłem pracę, która mi odpowiada, i mistrz tak samo też w końcu znalazł odpowiednie dla siebie zajęcie.

Jego potrzeby są bardzo skromne – opowiadał Wątroba. – Co mu się poda, to zje. Oczywiście, przygotowuję mu posiłki możliwie najbardziej odżywcze i zdrowe. Mistrz jest nie tylko dumą Dongbeixiangu, on jest dumą całego powiatu.

Kiedyś w środku nocy zobaczyłem, że kang jest pusty, więc szybko zapaliłem światło i zacząłem go szukać, ale nie było go ani w warsztacie, ani na dziedzińcu. Dokąd mógł pójść? Strasznie się przeraziłem, bo gdyby mistrzowi naprawdę coś się stało, byłaby to wielka strata dla naszego Dongbeixiang. Starosta z powiatu odwiedzał tu nas trzy razy, razem z naczelnikiem działu kultury i naczelnikiem działu turystyki. A wiecie, kto jest naszym starostą? Syn naszego dawnego sekretarza powiatowego, tego, który tak się u nas nacierpiał i którego z waszą ciotką łączyły jakieś dziwne stosunki – Yang Lina! Chłopak nazywa się Yang Xiong, od razu widać, że utalentowany, w oczach błyski, zęby białutkie, pachnie dobrymi papierosami i podobno kształcił się w Niemczech. Jak przyjechał po raz pierwszy, zdecydował, żeby stajni nie rozwalać; jak przyjechał za drugim razem, zaprosił mistrza na bankiet do powiatu, a mistrz trzymał się palika do wiązania koni jak kiedyś te chłopcy, co nie chciały iść na wazektomię, i uparł się, że nie pojedzie. Jak przyjechał za trzecim razem, przywiózł mistrzowi tabliczkę i dyplom mistrza sztuki ludowej.

Wątroba z jednego ze źłobów wyjął pożądaną miedzianą tabliczkę i oprawiony na niebiesko dyplom.

– Oczywiście – mówił dalej – Hao Wielka Ręka też ma taką tabliczkę i taki dyplom, starosta jego też zapraszał na bankiet i oczywiście Wielka Ręka też nie poszedł, bo gdyby poszedł, to już nie byłby sobą. A im bardziej oni się opierali, tym bardziej starosta ich podziwiał.

Wątroba wyciągnął z kieszeni plik wizytówek i wybrał trzy, żeby nam pokazać:

– Patrzcie, za każdym razem jak przyjeżdżał, dawał mi wizytówkę i mówił: „Stary Wangu, w waszym Dongbeixiangy kryją się wielkie talenty, a ty jesteś jednym z nich!”. „Jaki ze mnie talent, odpowiedziałem, ja już półtrupem jestem, tyle złego zrobiłem, niesławny jestem z tego, że pół życia strawiłem na nieszczęśliwej miłości, innych dokonań nie mam, a teraz żyję z tego, że głowę sobie strzępię, sprzedając gliniane lalki”. A wiecie, co on na to powiedział? „Człowiek, który potrafi przez pół życia nieszczęśliwie kochać, staje się legendą. W waszym Dongbeixiangy jest wielu ekscentryków i ludzi niezwykłych, ty też do nich należysz”. Ten chłopak to nowy typ urzędnika, całkiem inni niż ci starzy, z którymi mieliśmy do czynienia. Jak przyjedzie następnym razem, to go wam przedstawię. To on mi wyznaczył to zadanie, żeby opiekować się mistrzem i zapewnić mu bezpieczeństwo. I dlatego, jak w środku nocy zobaczyłem, że mistrz zniknął bez śladu, to aż mnie pot zimny oblał. Jeśli mistrzowi coś się wydarzyło, co ja powiem staroście? Siedziałem jak głupi przy piecu, księżyc był bardzo jasny i świecił do pokoju. W cieniu za piecem śpiewały dwa świerszcze, ale głosiki miały bardzo smutne. I w tym momencie usłyszałem, że w żłobie ktoś się śmieje. Skoczyłem na nogi, zaglądam do środka, a tam mistrz leży na plecach, twarzą do sufitu. Żłób był dla niego za mały, więc nogi miał podkulone, jakby ćwiczył jogę, a ręce złożone na piersiach. Twarz miał spokojną,

uśmiechniętą i jak się przyjrzałem, okazało się, że słodko śpi, a ten śmiech był przez sen. Może wiecie, że z tych kilku utalentowanych osób z naszego Dongbeixiangi wszystkie cierpią na straszną bezsenność? Ja jestem tylko półtalentowany, ale też nie mogę spać. Wy może też?

Spojrzeliliśmy z „Lwiczka” po sobie i potrzęsneliśmy głowami. Nie mieliśmy kłopotów ze snem, wystarczyło, że przyłożyliśmy głowy do poduszek, a natychmiast rozlegało się chrapanie. A zatem – nie byliśmy utalentowani.

– Bezsenność nie wystarczy, by mieć talent – mówił dalej Wątroba – ale niemal każdy talent na nią cierpi. Bezsenność ciotki jest już u nas sławna. Głęboką nocą, kiedy już wszystko ucichnie, na polach można usłyszeć zachrypnięty śpiew – to właśnie ciotka śpiewa. Ona nocami wychodzi się błąkać, a Wielka Ręka lepi swoje laleczki. Ich bezsenność jest cykliczna, zależna od faz księżyca. Jeśli księżyc świeci jasno, nie mogą w ogóle spać, kiedy księżyc gaśnie, zasypiają. I dlatego ten pomysłowy starosta nazwał figurki Wielkiej Ręki „księżycowymi dziećmi” i nawet zaprosił powiatową telewizję, żeby nakręciła film o tym, jak w jasną noc przy blasku księżyca lepi swoje laleczki. Nie widzieliście tego programu? Jeśli nie widzieliście, to nie szkodzi, to jest seria osobiście nadzorowana przez naszego starostę i nazywa się *Dziwni ludzie z Dongbeixiangu*. Pierwszy odcinek serii to właśnie *Księżycowe dzieci*, drugi – *Wielki mistrz z końskiego złobu*, trzeci – *Ekscentryk, co mówi wierszami* i czwarty – *Pieśń w rechocie żab*. Jeśli chcecie zobaczyć, wystarczy jeden telefon i stacja przyśle wam płytkę, oryginalną, jeszcze przed montażem. I mogę im jeszcze jeden pomysł podsunąć, żeby zrobili film o was dwojgu, mam już nawet tytuł: *Wędrowcy – z powrotem na dobrej drodze*.

Spojrzelismy na siebie z „Lwiczka” i uśmiechnęliśmy się. Wiedzieliśmy, że wkroczył już w krainę fantazji, ale po co mu to wytykać? Nie ma potrzeby. Słuchaliśmy więc dalej, a on opowiadał:

– Po tylu latach bezsenności mistrz wreszcie zasnął w żłobie. Spał bardzo mocno, jak niemowlę, które nie zna trosk, jak dzieci, które kiedyś spuszczały rzeką w drewnianych korytach. Wzruszyłem się tak, że łyzy mi w oczach stanęły, bo tylko ten, kto sam cierpi na bezsenność, wie, jaka to męka, i tylko ten, kto sam cierpi na bezsenność, wie, jaka to rozkosz zasnąć. Czuwałem przy żłobie, bojąc się głębiej odetchnąć, żeby nie wyrwać mistrza ze słodkiego snu. I powoli moje powieki też zrobiły się ciężkie, aż w końcu się zamknęły i zobaczyłem przed sobą małą dróżkę. Po obu jej stronach rosły bujne trawy, polne kwiaty kwitły we wszystkich kolorach i pięknie pachniały, nad nimi fruwały motyle i brzęczały pszczoły, i jakiś głos zaczął mnie wołać. To był kobiecy głos, nosowy i stłumiony, ale jakby dobrze znany. Szedłem przed siebie za tym głosem. Nie widziałem górnej połowy ciała tej kobiety, tylko dolną: bujne pośladki okrągłe jak piłki, smukłe łydki i czerwone pięty. Te czerwone pięty odciskały się w wilgotnej ziemi i zostawiały płytkie ślady, a te ślady były niezwykle wyraźne i widać w nich było linie na jej podeszwach.

I tak szedłem za nią, i szedłem, a dróżka wydawała się nie mieć końca... A potem poczułem, że mistrz jest ze mną, chociaż nie wiedziałem, kiedy ani skąd się pojawił. Szliśmy za tymi czerwonymi piętami, aż doszliśmy na brzeg bagna, wiatr przynosił od niego zapach mułu i zgniłych roślin. Pod stopami mieliśmy papirusy, a w oddali widzieliśmy trzciny i tataraki, i mnóstwo dziwnych roślin. Znad bagna dobiegły nas głosy i śmiechy dzieci, a ta widziana tylko do połowy kobieta zawołała wabiącym głosem: „Cuda wielkie, cuda małe, złote szaty doskonałe, dobro będzie nagrodzone, długi muszą być spłacone”. Kiedy umilkła, zobaczyliśmy całe stadko dzieciątek w czerwonych fartuszkach, z gołymi pupami, niektóre miały na główkach kucyki, inne główki ogolone, jeszcze inne tylko trzy kępki włosów na czubku, a wszystkie z głośnym piskiem przybiegły do nas po bagnie. Ich ciała miały ciężar, ale wydawało się, że bagno było pokryte jakąś sprężystą błoną i kiedy po niej biegły, każdy ich krok też stawał się niezwykle sprężysty i wydawało się, że nie biegają, ale skaczą jak kangury.

Chłopcy i dziewczynki otoczyli mistrza i mnie, obłapiali nas za nogi, skakali nam na ramiona, ciągnęli za uszy i włosy, niektóre dzieci dmuchały nam w szyję, inne pluły w oczy. W końcu przewróciły nas na ziemię i garściami wykopując glinę, zaczęły nas nią oblepiać, mazały nią po sobie... Nie wiem, ile czasu to trwało, aż nagle uspokoiły się i ustawiły się przed nami w półkole, jedne siedziały, inne klęczały, jeszcze inne pełzały na czworakach, opierały twarze na rękach, obgryzały palce, otwierały buzie... były bardzo widowiskowe, a każde w innej pozie. O niebiosa, przecież to żywe modele dla mistrza! Wtedy zauważyłem, że on już zaczął pracę, wypatrzył sobie jedno, wygrzebał garść gliny i zaczął lepić, a dziecko jak żywe pojawiło się pod jego palcami. Jak skończył, wypatrzył sobie następne, znowu wygrzebał trochę błota i znowu zaczął lepić, i znowu dziecko jak żywe wyłoniło się niczym z gliny.

Usłyszałem jakiś dźwięk, serce mi podskoczyło i obudziłem się. Zorientowałem się, że zasnąłem oparty o żłób. Ślina z moich ust kapiała na mistrza. Człowiek cierpiący na bezsenność tylko wtedy uświadamia sobie, że spał, jeśli przypomni sobie swój sen. Wciąż miałem przed oczami tamtą scenę, wiedziałem więc, że naprawdę spałem. Dla kogoś, kto przez lata nie zaznał snu, aż wreszcie zasnął oparty o żłób – to naprawdę okazja do fajerwerków i do świętowania! Oczywiście jeszcze radośniejsze było to, że mistrz też zasnął. A on wtedy zachrapał i powoli otworzył oczy, a potem, jakby coś sobie nagle przypomniał, wyskoczył ze żłobu. Rozwidniało się i poranna zorza zaświeciła w okna. Mistrz pobiegł do warsztatu, z owiniętych folią kawałków gliny oderwał jeden i zaczął go ugniatać i wałkować, wałkować i ugniatać, a potem wziął się do lepienia, lepił i lepił, i wreszcie na stole pojawił się mały urwis z fartuszkem na brzuchu i kucykiem na czubku głowy. Serce zabiło mi mocniej i wydawało mi się, że znów słyszę wabiący głos tamtej kobiety. Kim ona była? No jak to kim?! Oczywiście, że to była wielka i miłosierna Pani Dająca Synów!

W oczach Wątroby w tym momencie załśniły prawdziwe łzy i zauważyłem, że oczy „Lwiczki” też dziwnie błyszczą, jakby naprawdę dała się uwieść jego słowom. A Wątroba opowiadał dalej:

– Na paluszkach poszedłem po aparat; nie odważyłem się użyć flesza i po kryjomu sfotografowałem mistrza przy tej pracy z boskiego natchnienia. Prawdę mówiąc, nawet gdybym strzelił mu z pistoletu przy samym uchu, też bym go nie wyrwał z czaru. Wyraz twarzy mistrza ciągle się zmieniał, chwilami był poważny i surowy, chwilami uśmiechnięty, a potem znów kpiący i psotny, a jeszcze potem – tęskny i smutny. Zrozumiałem, że na jego twarzy pojawiają się te same nastroje, które nadawał buziom lepionych przez siebie glinianych dzieci. Albo można by powiedzieć, że sam stawał się tym dzieckiem, zlewał się z nim ciałem i duszą.

Coraz więcej dzieci pojawiało się na stole przed mistrzem – jedno, potem drugie, potem kolejne. Chłopcy i dziewczynki ustawiali się przed nim w półokrąg, zupełnie tak samo, jak w moim śnie! Byłem zdumiony i zachwycony. Byłem naprawdę szczęśliwy! Zatem dwóch ludzi może wyśnić ten sam sen! „Ta sama nić nasze serca spaja” – napisał poeta o miłości kobiety i mężczyzny, ale to samo można powiedzieć o mistrzu i o mnie. Nie jesteśmy kochankami, ale cierpieliśmy na tę samą chorobę. I musicie zrozumieć, dlaczego mistrz nigdy przenigdy nie powtarza swojego dzieła: on nie tylko czerpie modele z życia, on potrafi je czerpać także ze snów. Ja nie mam sztuki w rękach, ale moje serce obdarzone jest wielką wyobraźnią, a moje oczy są niczym kamera, potrafię jedno dziecko wyobrazić sobie w dziesięciu, stu albo tysiącu postaciach, a znowu tysiąc, sto albo dziesięcioro dzieci potrafię sprowadzić do jednego. W moim śnie oddałem mistrzowi wszystkie obrazy dzieci, które zgromadziłem w umyśle, a jego ręce stworzyły z nich dzieła. Dlatego powiadam, że nasza współpraca jest przeznaczona nam przez niebo i dlatego mogę stwierdzić, że jego figurki są naszym wspólnym dziełem. Nie mówię tak po to, by podszyć się pod jego zasługi, bo miłość, którą przeszedłem, otworzyła mi oczy na marność tego świata, i wiem, że sława i bogactwo mijają jak chmury na niebie. Mówię tak dlatego, żebyście zrozumieli ten cud, żebyście wiedzieli, jak sztuka łączy się

ze snem. I chcę, żebyście zrozumieli, że nieszczęśliwa miłość to wielkie bogactwo, szczególnie dla artysty. Artysta, który nie poznał cierpienia nieodwzajemnionej miłości, nigdy nie wejdzie w najwyższe rejony sztuki.

W czasie tej długiej opowieści Wątroby mistrz cały czas siedział nieruchomo, niemal bez drgnienia, z głową opartą na rękach, jakby sam zmienił się w glinianą rzeźbę.

ROZDZIAŁ 4

Wątroba przysłał do nas chłopca z nagrany na DVD serialem *Dziwni ludzie z Dongbeixiang*. Chłopiec miał krótkie spodnie na szelkach, nogi długie i chude jak u Pinokia i ciężkie skórzane buciorzy z wysoką cholewką. Jego włosy były barwy lnu, brwi i rzęsy niemal białe, a oczy szaroniebieskie – od razu widać, że to cudzoziemskie dziecko. „Lwiczka” chciała mu dać cukierków, ale chłopak schował ręce za siebie i najczystszy lokalnym dialektem oświadczył:

– On powiedział, że macie mi dać przynajmniej dziesięć juanów.

Daliśmy mu dwadzieścia. Chłopiec ukłonił się nam i pogwizdując, zbiegł na dół. Wychyliśmy się przez okno – jak postać z kreskówki sadził wielkimi susami w kierunku wesołego miasteczka, w którym kolejka górską pojawiała się i nikła nam z oczu.

Kiedy po kilku dniach poszliśmy na spacer nad rzekę, znów na niego się natknęliśmy. Był z wysoką kobietą białej rasy pchającą wózek z dzieckiem. Chłopak i jakaś dziewczynka – najwyraźniej jego siostra – mieli na nogach rolki, na głowach kolorowe kaski i ochraniacze na kolanach i łokciach. Ostrożnie sunęli przed siebie. Za kobietą szedł przystojny mężczyzna w średnim wieku, rozmawiający przez telefon komórkowy; mówił w języku ogólnonarodowym z przyjemnym akcentem z Zhejiangu. Obok niego biegł duży labrador. Od razu go poznałem – to był znany profesor z któregoś z pekińskich uniwersytetów, sława często pojawiająca się w telewizji. „Lwiczka” pochyliła się nad niebieskokookim dzieciaczkiem w wózku. Kobieta uśmiechnęła się przyjaźnie, ale na twarzy mężczyzny pojawił się wyraz niechęci. Szybko chwyciłem „Lwiczkę” za ramię i odciągnąłem ją od wózka. Oczy miała utkwione w dziecku i nie zauważyła spojrzenia profesora. Przepraszająco skłoniłem głowę w jego kierunku i odpowiedział lekkim skinieniem. Zwróciłem „Lwicze” uwagę, że nie może zachowywać się jak wilk z *Czerwonego Kapturka* za każdym razem, kiedy zobaczy ładne dziecko.

– Teraz wszyscy trzęsą się nad dziećmi – powiedziałem.
– A ty w ogóle nie zwracasz uwagi na rodziców, czy im się to podoba.

„Lwiczka”, głęboko dotknięta, najpierw zaczęła wymyślać na bogaczy, których stać na przekroczenie liczby urodzeń, i na tych, co biorą ślub z cudzoziemcem albo cudzoziemką, żeby mieć nie wiadomo ile dzieci; potem zwróciła się przeciwko sobie – żałuje teraz, że razem z ciotką tak okrutnie pilnowała kontroli urodzeń, przeprowadziła tyle aborcji i grzeszyła przeciw niebu, a teraz niebo ją karze i nie pozwala jej urodzić. A w końcu powiedziała, żebym znalazł sobie jakąś cudzoziemską dziewczynę i miał z nią kupę mieszanego potomstwa.

– Biegaczu, ja naprawdę nie byłabym zazdrosna ani trochę, ożeń się z jakąś cudzoziemką. Możecie mieć dzieci, ile tylko chcecie, a jak się urodzą, oddacie mi na wychowanie. – Z oczu popłynęły jej łzy, oddech przyśpieszył, a obfita pierś zafalowała matczyną miłością pozbawioną ujścia. Nie miałem wątpliwości, że gdyby dać jej niemowlę, z tej piersi trysnęłoby mleko.

I w takich właśnie okolicznościach włożyłem do odtwarzacza płytę przysланą nam przez Wątrobę.

Opowiedziane w przykrym dla obcych, ale nas wzruszającym do łez, trochę miauczącym dialekcie rozpostarło się przed nami życie ciotki i ludowego artysty Hao Wielkiej Ręki.

Muszę szczerze przyznać, że – chociaż nigdy nie dałem tego po sobie poznać – byłem bardzo przeciwny małżeństwu ciotki z Wielką Ręką. Mój ojciec, bracia i bratowe zgadzali się ze mną w tej kwestii. Uważaliśmy, że ciotka i Hao nie pasują do siebie. Od wczesnego dzieciństwa wypatrywaliśmy zameścia ciotki; jej związek z Wang Xiaotim przyniósł nam wielką chwałę, ale zakończył się tragicznie. Jej późniejsze stosunki z Yang Linem nie odpowiadały naszym marzeniom tak ściśle, jak narzeczeństwo z Wangiem, ale Yang Lin był wysokim urzędnikiem, więc dało się to jakoś zaakceptować. Nawet gdyby związała się ze zwariowanym Qin He... Pogodziliśmy się z tym, że zostanie sama i nawet rozmawialiśmy już o tym, kto z nas będzie się nią zajmował na starość, aż tu nagle ciotka wydała się za Wielką Rękę. „Lwiczka” i ja byliśmy wtedy w Pekinie i kiedy otrzymaliśmy tę wiadomość, najpierw byliśmy zaskoczeni, potem rozbawieni, a wreszcie zasmuceni.

Odcinek zatytułowany *Księżycowe dzieci* w zasadzie poświęcony był ludowemu artyście Hao Wielkiej Ręce, ale tak naprawdę główną postacią była w nim ciotka. Znajdowała się w centrum każdej sceny – od pierwszej, w której dziennikarz wchodził na dziedziniec, przez wszystkie kolejne, przedstawiające warsztat i magazyn, w którym Wielka Ręka przechowywał swoje figurki. Ciotka gestykulowała żywo i snuła barwne opowieści, a Hao siedział w milczeniu przy warsztacie, z obojętnym spojrzeniem i twarzą bez wyrazu, jak stary koń pogrążony we śnie. Czy każdy wielki mistrz, który wkroczył w najwyższe rejony sztuki, zmienia się w takiego starego uśpionego konia? Wielka Ręka był naprawdę bardzo sławny, ale teraz uświadomiłem sobie, że w rzeczywistości widziałem go tylko kilka razy w życiu. Od momentu, gdy zobaczyłem go w ciemnościach po tamtym bankiecie na cześć mojego bratanka lotnika, widziałem go teraz po raz pierwszy po latach, i to na ekranie. Brodę miał całkiem posiwiąłą, ale jego twarz zachowała świeżość, były z niej spokój i pogoda, miał w sobie coś naprawdę niezwykłego. Oglądając ten program, zrozumieliśmy, dlaczego ciotka za niego wyszła.

Ciotka zapaliła papierosa, głęboko wciągnęła dym i niemal ponurym głosem powiedziała:

– Małżeństwo jest przeznaczone przez niebo. Mówię to wam, młodym, nie dlatego, żeby was przekonywać do idealizmu – byłam kiedyś zagorzałą materialistką – ale dlatego, że w tych sprawach nie da się nie wierzyć w przeznaczenie. Jego się spytajcie – pokazała siedzącego nieruchomo jak gliniana figura Wielką Rękę – czy kiedykolwiek nawet mu się śniło, że się ze mną ożeni?

W 1997 roku skończyłam sześćdziesiąt lat – wspominała ciotka – i dostałam z góry polecenie, że mam przejść na emeryturę. Oczywiście, nie chciałam, ale i tak pracowałam pięć lat dłużej niż inni, więc nic nie mogłam powiedzieć. Ordynatorem był dobrze wam wszystkim znany Huang Jun, nazywany „Ogórkiem”, niewdzięczny drań i bydlak, syn jednego chama z Hexicun, sukinsyn, którego, jak pamiętam, sama wyciągnęłam z brzucha jego matki. Dwa dni pochodził do szkoły pielęgniarskiej, płuc nie umiał osłuchać, przy zastrzyku w żyłę się wkłuć nie potrafił, puls z mierzyć nie umiał – i taki przygłup został ordynatorem! Kiedy jeszcze był w szkole, sama wstawiałam się za nim do naczelnika wydziału zdrowia, ale on jak tylko dostał władzę, przestał ludzi poznawać. Ten gnój tylko dwie rzeczy potrafił: po pierwsze, zapraszać gości, rozdawać prezenty i podlizywać się, komu trzeba, a po drugie, dziewczętom w głowach zawracać.

Głupia byłam wtedy strasznie – mówiła dalej ciotka z goryczą i gniewem. – Dałam się draniowi na sznurku poprowadzić, pomogłam łotrowi popełnić łotrostwo! Tyle młodych dziewczyn ze szpitala sprowadził na złą drogę. Wang Xiaohui z Wangjiacunu miała ledwo skończone siedemnaście lat, dwa grube warkocze i skórę białą jak mąka na ciasto, jak trzepotała rękami to jakby motyl machał skrzydełkami, oczy miała wymowne, wielkie i błyszczące, i wszyscy mówili, że gdyby tę ślicznotkę zobaczył Zhang Yimou, to byłaby sławniejsza niż Gong Li i Zhang Ziyi. Ale zanim Zhang Yimou miał szansę ją odkryć, już ją odkrył ten lubieżnik „Ogórek”. Pojechał do Wangjiacunu i tam rozpuścił swój jęzor, którym by umarłego przekonał, i tak zakręcił jej rodzicami, że się zgodzili, żeby poszła do szpitala i uczyła się u mnie położnictwa. Miała uczyć się u mnie, ale na oddziale położniczym nie spędziła nawet jednego dnia. Ten drań ją zagarnął i trzymał przy sobie, co robili nocami, nie powiem, ale dniami też to robili, ludzie ich widzieli. A jak już miał dość, to ją zabierał do powiatu na bankiety za publiczne pieniądze, bo miał nadzieję się tam przenieść. Widzieliście go, jak wygląda? Pół metra wzrostu, pysk jak u osła, czarne usta, krew na zębach, z gęby mu tak cuchnęło, że jak ją otworzył, konia by z nóg zwałił. I taki ktoś chciał zostać wicenaczelnikiem wydziału zdrowia w powiecie. Zaciągał tam Wang Xiaohui jako pannę do talerza, kielicha i łóżka i niewiele zabrakło, a dałby ją

komuś w prezencie do zabawy. Podła świnia, naprawdę podła świnia!

Któregoś dnia – opowiadała dalej – ni z tego, ni z owego wezwał mnie do swojego gabinetu. Wszystkie kobiety w szpitalu bały się do niego chodzić, ja oczywiście nie. W kieszeni miałam skalpel i gotowa byłam wykastrować kundla jakby co. Nalał mi herbatki, uśmiechał się i zaczął opowiadać jakieś farmazony. „Ordynatorze – mówię – jak ma pan jakąś sprawę, to proszę mówić wprost, nie ma co owijać w bawełnę”. A on hi, hi, hi i powiada: „Bratowo” – kurwa mać, on śmiał mnie nazywać bratową! – „Bratowo – powiada – bratowa mnie osobiście odbierała przy porodzie, widziała, jak rosłem, jak syn rodzony dla bratowej jestem”. „Za wielki zaszczyt – odpowiadam – pan jest ordynatorem, a ja zwykłym lekarzem położnikiem, jak ja bym takiego syna miała, chybabym się rozdarła. Jak pan ma sprawę, to proszę mówić”. Znowu zachichotał, bezczelny, a potem bez żadnego wstydu mówi: „Popełniłem błąd, który często popełniają ludzie na stanowiskach. Źle obliczyłem czas i zafundowałem Wang Xiaohui wielki brzuch”. „Gratuluję! – odpowiedziałam. – Wang Xiaohui smoka pod sercem nosi, mamy w szpitalu następcę”. „Bratowo, nie żartuj, ja od kilku dni spać nie mogę, jeść nie mogę”. Bydlak jeden, on by jeść i spać nie mógł! „Ona upiera się, żebyśmy wziął rozwód, a jeśli nie, doniesie na mnie do komisji dyscyplinarnej w powiecie”. „A dlaczego? – spytałam. – Przecież dzisiaj wśród ludzi na stanowiskach modne jest mieć drugą panią? Kupisz jej willę i będziesz ją utrzymywał, nie wystarczy?”.

„Bratowo, nie żartuj sobie ze mnie. Żeby mieć taką drugą albo trzecią panią, to nie jest takie proste, a poza tym skąd ja wezmę pieniądze, żeby jej willę kupić?”. „No to się rozwiedź i już”. Ten ośli pysk mu się wydłużył i mówi: „Bratowo, wiesz przecież dobrze, że mój teść i szwagrowie rzeźnicy to są wszystko bandyci, jak się o tym dowiedzą, zarzną mnie jak nic”. „Ale przecież jest pan ordynatorem, człowiekiem wysoko postawionym”. A on na to: „Kimże ja jestem, ordynatorem wiejskiego szpitalika, dla ciebie to nic, tylko sobie kpisz ze mnie. Pomóż mi coś wymyślić”. „A co ja mogę wymyślić?”. „Wang Xiaohui cię uwielbia, wiele razy mówiła mi, że cię uwielbia. Ona nikogo nie posłucha, ale ciebie posłucha”. „To co mam zrobić?”. „Przekonaj ją, żeby usunęła dziecko”. „«Ogórek» – powiedziałam wtedy z gniewem – ja tej rzeczy, co niebo i sumienie obraża, już nigdy więcej nie zrobię! Ja ludziom własnymi rękami usunęłam ponad dwa tysiące dzieci! Ja już tego nigdy nie zrobię! Zostaniesz ojcem! – powiedziałam – Wang Xiaohui to śliczna dziewczyna, dziecko też na pewno będzie śliczne, spotkało cię wielkie szczęście. Powiedz Wang Xiaohui, że jak czas nadejdzie, pomogę jej urodzić”.

Odwróciłam się na pięcie i poszłam – opowiadała dalej ciotka. – Byłam bardzo zadowolona, ale jak usiadłam u siebie w gabinecie i napiłam się wody, zaczęłam się martwić. Taki łajdak jak „Ogórek” zasługiwał na to, żeby się na nim ród na zawsze skończył, szkoda było takiego pięknego ciała na noszenie jego pomiotu. Odebrałam już tyle dzieci i doświadczenie nauczyło mnie jednego: czy człowiek jest dobry, czy zły w mniejszej części zależy od wychowania, a w większej od dziedziczenia. Możecie krytykować teorię krwi, ale ja to wiem z własnego doświadczenia. Potomek takiego łajdaka jak „Ogórek”, choćby go nawet w świątyni wychować, i tak zostałaby bandytą. Ale chociaż żal mi było Wang Xiaohui, nie zamierzałam jej przekonywać, nie zamierzałam pomóc „Ogórkowi” tak łatwo pozbyć się kłopotu. Najwyżej na świecie będzie jeden łajdak więcej... Ale w końcu usunęłam jej dziecko.

Sama mnie o to prosiła. Ukłękła przede mną, objęła mnie za nogi i błagała, a tak płakała, że całe spodnie miałam mokre. „Ciotko, szlochała, ciotko, on mnie oszukał, okłamał, nawet jakby lektykę po mnie posłał, żeby się żenić, i tak nie wyszłabym za tego bydlaka. Ciotko, pomóż mi, ja nie chcę w sobie tego złego nasienia...”.

No i tak. – Ciotka zapaliła następnego papierosa, zaciągnęła się z zawziętością, aż dym zasłonił jej twarz. – No i usunęłam. Wang Xiaohui była pączkiem róży, a on wdeptał ją w ziemię i połamał. – Ciotka otarła ramieniem ciekącą jej po twarzy łzy. – Przysięgałam, że już nigdy nie zrobię aborcji, już nie zdołam, choćby nawet ktoś miał w brzuchu włochatą małpę, wszystko jedno. Jak usłyszałam bulgotanie ssaka, miałam wrażenie, że jakaś wielka łapa chwyciła mnie za serce i ścisnęła, coraz mocniej i mocniej. Spociałam się z bólu, pociemniało mi przed oczami i gdy skończyłam zabieg, runęłam na ziemię...

No tak, jak się człowiek starzeje, odchodzi od tematu, gadam i gadam, a jeszcze nie doszłam do tego, jak to było z moim ślubem z Wielką Ręką. Moją emeryturę ogłoszono piętnastego dnia siódmego miesiąca księżycowego. Ten łajdak „Ogórek” chciał mnie jeszcze zatrzymać, żebym na emeryturze nie została bez środków do życia, i chciał mi płacić miesięcznie osiemset juań – ciotka parsknęła pogardliwie. – W twarz mu plunęłam. Ty gówniarzu, ja tutaj dość swojego życia zostawiłam, przez lata mojej pracy na każde dziesięć juań zarobionych przez szpital ja zarobiłam osiem. Jak z całej okolicy kobiety i dzieci przychodziły się leczyć, to szły do mnie. Jak będę chciała zarabiać, dziennie więcej lekką ręką zarobię, a ty mnie chcesz kupić za osiemset juań miesięcznie? Chłoporobotnik dostaje więcej! Namęczyłam się przez całe życie i mam dość, teraz chcę odpocząć, wrócić do Dongbeixiang i mieć trochę spokoju na starość. Obraziłam „Ogórkę” i od dwóch lat robi, co może, żeby dać mi nauczkę. Mnie dać nauczkę? Mało to mnie w życiu straszyl? Jak byłam mała, to się nawet japońskich diabłów nie bałam, a teraz, po siedemdziesiątce, mam się jednego kundla przestraszyć?... No dobrze, wracam do tematu.

Jak chcecie wiedzieć, dlaczego wyszłam za Wielką Rękę, muszę zacząć od żab. W wieczór mojej emerytury kilkoro starych kolegów zaprosiło mnie na kolację do restauracji. Tamtego wieczoru się upiłam – nie wypiłam dużo, ale wódka była fałszywa. Właściciel restauracji Jie Shaoque to jedno z patatowych dzieci z sześćdziesiątego trzeciego. Postawił butelkę wuliangye, bo chciał mnie podjąć z szacunkiem, ale to, cholera, była podróbka. Wypiłam pół czarki i zaczęło mi się kręcić w głowie i migać przed oczami, ziemia zawirowała, a ludzie przy stole kiwali się na lewo i prawo, sam Shaoque też się zaślinił i oczami przewracał.

Ciotka opowiadała, że zataczając się, wyszła z restauracji i chciała wrócić do siebie, ale nie wiadomo, jak znalazła się koło bagna. Szła krętą ścieżką, a po obu stronach rosły szuwary wysokości człowieka. Otaczała ją woda, błyszcząca w świetle księżyca jak szkło. Wokół rechotały żaby – gdy w jednym miejscu umilkły, w drugim zaczynały; raz ciszej, raz głośniej, jakby śpiewały. Chwilami odzywały się ze wszystkich stron: gua, gua, gua, ich głosy zbierały się i leciały w niebo. A czasami nagle milkły i wokół zapadała cisza, w której słyszać było tylko brzęczenie owadów. Ciotka opowiadała, że przez kilkadziesiąt lat pracy setki razy chodziła sama nocą i nigdy się nie bała, ale tamtej nocy poczuła lęk. Często się mówi, że żaby rechoczą, lecz tamtej nocy ich głosy brzmiały jak płacz, jak płacz tysięcy noworodków. Płacz świeżo narodzonego dziecka to jej ulubiony dźwięk, dla każdego położnika ten płacz to najpiękniejsza muzyka na świecie! Ale tamtej nocy w głosach żab był gniew, był żal i krzywda, jakby oskarżenie wypłakane przez dusze niezliczonych, skrzywdzonych niemowląt. Wypita wódka w jednej chwili zmieniła się w pot na jej ciele.

– Nie myślcie sobie, że to były omamy po przepiciu. Kiedy wódka wyszła na mnie wraz z potem, głowa mnie trochę bolała, ale umysł miałam całkiem jasny.

Szła błotnistą dróżką i chciała tylko uciec od tych żab. Ale jak miała uciec? Chociaż szła najszybciej, jak potrafiła, to posępne i gniewne gua, gua, gua oplątywało ją ze wszystkich stron. Chciała biec, ale nie mogła, błoto na drodze przylepiało się do jej podeszew jak guma do żucia, którą tak lubią młodzi ludzie. Potrzebowała całych swoich sił, żeby podnieść nogę. Zobaczyła, że od podeszwy do ziemi ciągnie się jakaś srebrna nić, zerwała ją, ale gdy postawiła stopę, pojawiła się następna. Ściągnęła buty i stanęła boso, ale wtedy poczuła, że jej gołe stopy przyklejają się jeszcze mocniej, jakby srebrne nici zmieniły się w przyssawki i tak mocno przywarły do jej stóp, że mogłaby oderwać je tylko ze skórą. Uklęknęła na ziemi i jak wielka żaba pełzła przed siebie na czworakach. Błoto na drodze przywarło do jej kolan, łydek i rąk, ale nie zważając na nic, pełzła dalej. A wtedy, mówiła ciotka, z gęstwy bujnych szuwarów i z liści lotosów unoszących się na błyszczącej wodzie zaczęły wyskakiwać niezliczone żaby. Niektóre były szmaragdowozielone, inne złote, niektóre wielkie jak żelazka, inne małe jak pestki daktyla, jedne miały oczy jak złote gwiazdki, inne ślepie jak czerwone fasolki. Były jak wielka, wzburzona fala, która z gniewnym kumkaniem otoczyła ją ze wszystkich stron i zamknęła w swym kręgu. Poczula, jak twardymi wargami dziobią jej ciało, wydawało się, że u palców wyrosły im szpony, którymi zaczęły ją drapać; skakały jej na plecy, szyję, głowę, nie mogła unieść

ich ciężaru i upadła na ziemię. W tamtym momencie najbardziej przerażało ją nie ich gryzienie i drapanie, ale to wstrętne, o mdłości przyprawiające dotknięcie ich zimnej, lepkiej skóry. Strzykały na nią moczem, a może i spermą. Wtedy nagle przypomniała sobie bajkę, którą kiedyś opowiadała jej babcia: pewna śliczna panna wyszła nocą ochłodzić się nad rzekę, położyła się i zasnęła, a we śnie przyszedł do niej ubrany na zielono młodzieniec i położył się koło niej. Kiedy się obudziła, była w ciąży, a potem urodziła stadko zielonych żab. To wspomnienie poderwało ciotkę na nogi, a przerażenie dodało jej nadludzkich sił. Zobaczyła, że żaby jak kawałki błota spadają z niej na ziemię, ale inne wciąż trzymały się jej ubrania i włosów, a dwie wpiły się wargami w jej uszy jak potworne kolczyki.

Ciotka pobiegła przed siebie, a błoto na drodze, nie wiadomo czemu, nagle przestało się przylepiać. Biegąc, strząsała z siebie płazy, odrywała je rękami, a za każdym razem, gdy poczuła w dłoni żabę, wydawała z siebie piskliwy krzyk i odrzucała ją za siebie. Kiedy ściągала je z uszu, miała wrażenie, że wyrwie sobie skórę; ich pyski trzymały tak mocno jak wargi głodnego dziecka gryzącego sutek.

Wrzeszcząc, biegła przed siebie, ale żaby ścigały ją uparcie. Kiedy obejrzała się w tył, zobaczyła coś, co niemal przyprawiło ją o utratę zmysłów z przerażenia: żaby zmieniły się w potężną armię, która parła szybko naprzód, krzycząc, skacząc, zderzając się ze sobą, kłębiąc jak fala powodzi. Z poboczy wyskakiwały kolejne i stawały przed nią, próbując zagrozić jej drogę, albo w dzikim ataku wypryskiwały z zarośli. Podarły na strzepy jej szeroką sukienkę z czarnego jedwabiu, a każdy długi, oderwany skrawek materiału zostawał przez nie pożarty, dławiły się nimi i drapały po pyskach, turlając się na białych brzuchach.

Ciotka dobiegła do rzeki, a kiedy zobaczyła przed sobą biały kamienny mostek, połyskujący srebrzyście w księżycowym świetle, sukienki już praktycznie nie było. Niemal naga wpadła na mostek i na Wielką Rękę.

Nie czuła wtedy żadnego wstydu, według jej własnych słów było jej wszystko jedno, że biega z gołym tyłkiem. Zobaczyła tylko, że jakiś człowiek w słomianym płaszczu i bambusowym kapeluszu siedzi na środku mostu, a w ręku obraca coś srebrzyście błyszczącego. Dopiero później dowiedziała się, że to był kawałek gliny, bo kto lepi księżycowe dzieci, musi mieć księżycową glinę. Nie poznała go, było jej wszystko jedno, kim jest, każdy człowiek był dla niej wtedy zbawcą. Rzuciła się w jego objęcia, chwyciła go za płaszcz i na piersiach poczuła ciepło jego piersi, a za sobą tamto zbliżające się cuchnące zimno. Krzyknęła: „Bracie, ratuj”, i zemdlała.

Słuchając długiej opowieści ciotki, niemal czuliśmy to samo co ona, a obraz stada żab w wyobraźni wywoływał dreszcze na plecach. Kamera przeniosła się na Wielką Rękę, który wciąż siedział bez ruchu jak gliniana figura, pokazała kilka ujęć laleczek i dalekiego kamiennego mostku, a potem wróciła na twarz i usta ciotki. Ciotka mówiła dalej:

– Kiedy się ocknęłam, leżałam u Wielkiej Ręki na kangu. Miałam na sobie męskie ubrania. Podał mi miskę zupy z zielonej fasoli, a jej zapach przywrócił mi równowagę. Zjadłam wszystko i oblałam się potem. Chociaż całe ciało mnie paliło, ten nieznośny strach, od którego chciało mi się krzyczeć, zaczął powoli ustępować. Byłam obsypana krostami, które swędziały, szczypały i paliły, skoczyła mi gorączka, majaczyłam. Fasolowa zupa Wielkiej Ręki wyciągnęła mnie z tego, kiedy schodziła mi skóra i bolały mnie wszystkie kości. Słyszałam opowieści o nieśmiertelnych, którzy zmienili skórę i kości i sama przez to przeszłam. Kiedy wyzdrowiałam, powiedziałam do niego: „Bracie, pobierzmy się”.

Twarz ciotki była zalana łzami.

W dalszej części film pokazywał, jak ciotka i Wielka Ręka razem tworzyli laleczki. Ciotka miała zamknięte oczy i mówiła do artysty, który też z zamkniętymi oczami lepił swoje figurki:

– To dziecko nazywa się Guan Xiaoxiong, ojciec ma metr siedemdziesiąt dziewięć wzrostu, twarz prostokątna, broda szeroka, oczy małe, duże uszy, nozdrza grube, nos szeroki. Matka ma metr siedemdziesiąt trzy, długą szyję i ostrą brodę, wysokie czoło i duże oczy, nos cienki, wysoko sklepiony. Dziecko w trzech dziesiątych przypomina ojca, a w siedmiu dziesiątych matkę.

Po opisie ciotki pod palcami Wielkiej Ręki rodził się chłopiec imieniem Guan Xiaoxiong. Kamera dała jego zbliżenie. Kiedy zobaczyłem jego ładną, ale dziwnie smutną buzię, poczułem w oczach łzy.

ROZDZIAŁ 5

Razem z „Lwiczką” poszliśmy obejrzeć nowy chińsko-amerykański szpital. „Lwiczka” bardzo chciała tam pracować, ale nie mieliśmy żadnego dojazdu.

Weszliśmy do wielkiego holu, który raczej przypominał country club niż szpital. Był środek lata, ale klimatyzowane powietrze wiało miłym chłodem. W tle cicho grała przyjemna dla ucha muzyka, w powietrzu unosił się zapach kwiatów. Na ścianie naprzeciw drzwi znajdowało się jasnoniebieskie logo szpitala i wielki czerwony napis: „Zawsze wierni przysiędze”. Wchodzących witały dwie śliczne dziewczyny w białych kitlach i czapczkach, miały przyjemne głosy i uśmiechy na twarzach.

Podeszła do nas kobieta w średnim wieku, w białym kitlu i drucianych okularach i serdecznie spytała:

- Czy mogę państwu w czymś pomóc?
- Dziękujemy, chcemy się tylko rozejrzeć – odparłem.

Zaprowadziła nas do poczekalni po prawej stronie holu. Stały tam szerokie plecione krzesła, na półeczkach leżały luksusowe magazyny poświęcone macierzyństwu, a na stole pięknie wydrukowane ulotki na temat szpitala.

Kobieta podeszła do maszyny i przyniosła nam dwa kubeczki z wodą, a potem uśmiechnęła się i odeszła.

Wziąłem do ręki ulotkę i zobaczyłem zdjęcie przystojnej lekarki o życzliwej, uśmiechniętej twarzy i łagodnym spojrzeniu. Miała długie rzęsy i śnieżnobiałe, równe zęby. Na jej lewym ramieniu wydrukowano następującą treść: „Chińsko-amerykański szpital Skarb Rodziny jest doskonałą nowoczesną placówką oferującą opiekę nad matką i dzieckiem. Nigdy nie zetkną się tu Państwo z obojętnością, znajdą Państwo tu ciepłą, serdeczną i szczerą atmosferę rodzinną, będą potraktowani jak arystokratyczni goście...”. Napis na jej prawym ramieniu informował: „Ściśle przestrzegamy deklaracji genewskiej z roku 1948, przyjętej przez Światową Organizację Lekarzy, z najwyższym zaangażowaniem i w zgodzie z sumieniem wypełniamy obowiązki lekarza, zdrowie pacjenta uznajemy za wartość najwyższą, przestrzegamy tajemnicy lekarskiej i dokładamy wszelkich starań, aby kontynuować chlubną tradycję lekarskiego stanu...”.

Zerknąłem na „Lwiczkę” – przeglądała ulotki, a między jej ściągniętymi brwiami pojawiała się coraz głębsza zmarszczka.

Odwróciłem kartkę i zobaczyłem kolejną lekarzkę o poważnym i budzącym zaufanie wyglądzie, która taśmą mierzyła wystający i zupełnie gładki brzuch ciężarnej kobiety. Kobieta miała bardzo długie rzęsy, szlachetny nos i delikatne usta, wyglądała świeżo i zdrowo, nie było w niej nic ze zmęczenia i wyniszczenia typowego dla ciąży. Przez ramię lekarki przechodził napis zachodzący na brzuch pacjentki: „Życie ludzkie otaczamy najwyższym szacunkiem od momentu poczęcia”.

Do holu cichym krokiem wszedł łysiejący mężczyzna średniego wzrostu. Z pewności siebie malującej się na jego twarzy i lekko wystającego brzucha domyśliłem się, że to ktoś wysoko postawiony, może wysoki urzędnik, a może bogacz; oczywiście mógł być i jednym, i drugim. Lewą ręką lekko obejmował młodą dziewczynę. Była wysoka i smukła, a jej wdzięczna kibić przeginała się spowita w elegancką suknię z bladożółtego jedwabiu. Serce mi podskoczyło, bo poznałem pannę Bi, tę utalentowaną pannę Bi, która kierowała sekretariatem żabiej farmy Policzka i mojego kuzyna. Szybko schyliłem głowę i ukryłem twarz za utrzymaną w ręce ulotką.

Na następnej stronie, po dwóch stronach pięknego ciężowego brzucha, siedziało rzędem pięcioro niemowląt z gołymi pupami. Wszystkie miały główki obrócone w lewo, jakby do kogoś, kto je stamtąd zabawiał. Ich okrągłe główki i policzki tworzyły wdzięczny półokrąg, a chociaż nie było im widać buzi, sam ten półokrąg wyglądał jak słodki i niewinny uśmiech. Troje niemowląt miało włoski rzadkie, dwoje gęste; dwoje było czarnowłosych, jedno jasnowłose i dwoje popielatych. Wszystkie miały duże uszka, a że duże ucho oznacza powodzenie, zamieszczenie tu tego zdjęcia symbolizowało wielkie szczęście. Miały około pięciu miesięcy i dopiero co nauczyły się siadać, ale siedziały wciąż niezbyt pewnie, przechylając się na boki. Wszystkie były tłuściutkie i okrągłutkie jak prosiaczki, a między ich ramionkami widać było okrągłe brzuszki. Kreska pomiędzy pośladkami ich spłaszczonych pup była przeurocza. Napis po lewej stronie głosił: „Na naszym oddziale położniczym przykładamy wielką wagę do ścisłego kontaktu wysoko wyszkolonego personelu medycznego z pacjentkami w ciąży i po porodzie, a także do zapewnienia pacjentkom odpowiedniej edukacji”.

Mężczyzna i panna Bi zamienili kilka słów z recepcjonistkami, a potem jakaś elegancka pani zaprowadziła ich do znajdującej się po lewej stronie poczekalni dla VIP-ów, w której stały ceglastoczerwone fotele z wysokimi oparciami i róże w wazonie na stoliku. Kiedy usiedli, mężczyzna kichnął, a ja aż podskoczyłem na ten dźwięk. To dziwaczne, podobne do detonacji pocisku kichnięcie obudziło we mnie wspomnienia. Czyżby to był on?

„Lekarze udzielają ciężarnej i jej rodzinie szczegółowych informacji na temat zdrowia matki we wczesnym etapie ciąży, zdrowia płodu, właściwego żywienia oraz ćwiczeń”.

Chciałem podzielić się moim odkryciem z „Lwiczką”, ale ona gwałtownie przerzucała ulotki i mruzczała:

– To jest szpital? Kogo stać na taki szpital?

Była odwrócona plecami do panny Bi i jej towarzysza, więc wcale ich nie zauważyła.

Mężczyzna, jakby uważając, że fotele są zbyt widoczne, podniósł się i pociągnął pannę Bi do ukrytej w głębi kawiarni.

Kawiarnia odgradzona była od głównego holu niewysokim przepierzeniem, stały w niej donice z monsterami i wysokimi pod sufit banianami. Ściany oklejone były tapetami imitującymi cegłę, a przy jednej z nich zbudowano kominek. Na półkach za barem stały dobre alkohole, a przystojny młodzieniec w czarnej muszce serwował kawę. Owiął nas zmieszany z zapachem kwiatów aromat dobrej kawy.

„Ponadto opracowaliśmy przeprowadzaną w późnym okresie ciąży symulację porodu. Lekarze i pielęgniarki pomogą Państwu zaplanować jego przebieg w zależności od indywidualnych potrzeb. W szkole rodzenia przyszła mama w ścisłej współpracy z personelem zdobędzie szczegółową wiedzę, a jednocześnie będzie miała okazję do podzielenia się swoimi pytaniami, potrzebami i wątpliwościami...”.

Siedział tam, z filiżanką kawy w rękach, pogrążony w intymnej rozmowie z panną Bi. Tak, to był on. Człowiek może zmienić swój akcent, ale nie jest w stanie zmienić pozostającego poza świadomą kontrolą kichania. Może poprawić sobie powieki, ale nawet najlepszy chirurg plastyczny nie zmieni jego spojrzenia. Siedział dwadzieścia metrów ode mnie, rozmawiał, uśmiechał się i nie miał pojęcia, że przygląda mu się przyjaciel z dawnych lat. Spod postaci dżentelmena coraz wyraźniej wyłaniał się kaprawooki, złośliwy i podły Xiao Dolna Warga.

– Nie ma co gadać. – „Lwiczka” rzuciła ulotki na stolik, odchyliła się do tyłu i rzekła z rozczarowaniem: – Doktorat z Ameryki, magisterium z Francji, profesor akademii medycznej... najlepszy personel w kraju... Ja tutaj tobym co najwyżej mogła klozety w łazienkach szorować.

Chociaż byliśmy krajanami i chociaż obaj mieszkaliśmy w Pekinie, nigdy się nie spotkaliśmy. Przypomniałem sobie, jak jego ojciec krzyczał na ulicy: „Mojego syna skierowali do rady państwowej!”. Potem słyszałem, że kilka lat przesiedział w biurze w radzie państwowej, potem był sekretarzem jakiegoś ministra, potem gdzieś tam był wicesekretarzem, aż wreszcie poszedł na swoje, zajął się nieruchomościami i na tym dorobił się milionów.

Elegancka pani znów zjawiła się przy nich i zaprowadziła gdzieś w głąb budynku. Złożyłem ulotkę i na okładce pojawiły się ręce lekarza i pacjentki, razem czule głaszczące jej wielki ciężowy brzuch. Napis na górze głosił: „Matka i dziecko są dla nas jak rodzina, oferujemy im opiekę i usługi najwyższej jakości. U nas zetkniesz się z najlepszą atmosferą, poczujesz się bezpieczna i zadbana”.

Kiedy wychodziliśmy ze szpitala, rozczarowana „Lwiczka” zaczęła wymyślać na nowe stosunki, odwołując się do dawnych, politycznych argumentów. Myślałem o czym innym i nie zwracałem na nią uwagi, ale cały czas jechała na tym samym koniku i nie dało się już tego wytrzymać.

– Już dobrze, moja pani, dość tych kwaśnych winogron.

Wyjątkowo nie obraziła się, tylko ze smutnym uśmiechem rzekła:

– Taka wiejska lekarka jak ja może tylko iść na farmę Policzka i żaby hodować.

– Przyjechaliśmy tu odpocząć na emeryturze, a nie szukać pracy – odparłem.

– Ale chciałabym coś robić, może pójde do kogoś na niańkę?

– Daj spokój – powiedziałem. – Zgadnij lepiej, kogo przed chwilą zobaczyłem.

– Kogo?

– Xiao Dolną Wargę. Gębę sobie poprawił, ale i tak go poznałem.

– To chyba niemożliwe? Po co by taki bogacz tu przyjeżdżał? Może się pomyliłeś?

– Na wzrok może bym go nie poznał, ale słuch mnie nie zawodzi – stwierdziłem. – Na całym świecie nie ma drugiego, który kichałby tak jak on. A poza tym spojrzenia i uśmiechu człowiek nie zmieni.

– Może chce tu inwestować? – zastanawiała się „Lwiczka”. – Podobno mają nas przyłączyć do Qingdao, ceny gruntu i nieruchomości pewnie skoczą w górę.

– A wiesz, kto z nim był? – spytałem.

– Skąd mam wiedzieć?

– Panna Bi.

– Kto?

– Panna Bi, ta z żabiej farmy Policzka.

– Od razu wiedziałam, że to nic dobrego – stwierdziła „Lwiczka” z pogardą. – I na pewno ma coś wspólnego z Policzkiem i twoim kuzynem.

ROZDZIAŁ 6

Żabia farma budziła w „Lwiczce” obrzydzenie, nie miała też krztyny sympatii dla Policzka i mojego kuzyna, ale niedługo po naszej wizycie w szpitalu nieoczekiwanie oświadczyła:

– Biegaczu, idę do pracy na żabiej farmie.

Zdumiony spojrzałem na jej uszczęśliwioną twarz.

– Naprawdę, nie żartuję – rzekła, poważniejąc. Uśmiech znikł jej z twarzy.

Te obrzydlistwa, których obraz z trudem starałem się usunąć z pamięci, a po obejrzeniu filmu o ciotce niemal nabawiłem się fobii na ich tle...

– Będziesz hodować te obrzydlistwa?

– Żaby wcale nie są takie straszne – odparła. – Ludzie i żaby mają wspólnych przodków. Kijanka wygląda jak ludzki plemnik, a ludzkie jajeczko nie różni się niczym od żabich. Poza tym czy widziałeś kiedyś trzymiesięczny ludzki płód? Ma ogon i wygląda zupełnie jak kijanka w czasie metamorfozy.

Spojrzałem na nią z przerażeniem.

A ona mówiła dalej, jakby recytowała wyuczoną lekcję:

– Dlaczego słowa „żaba” (*wa*) i „dziecko” (*wa*) brzmią tak samo? Dlaczego płacz dziecka zaraz po urodzeniu jest taki podobny do głosu żaby? Dlaczego gliniane figurki dzieci w naszym Dongbeixiangu tak często trzymają w rękach żabę? Dlaczego stworzycielka ludzi nazywa się Nüwa? Bo „wa” w jej imieniu brzmi tak samo jak „żaba”, a to znaczy, że pramatką ludzkości była wielka żaba, co z kolei znowu znaczy, że ludzie wyewoluowali od żab, a teoria o pochodzeniu człowieka od małpy jest całkowicie błędna.

W jej słowach usłyszałem głosy Policzka i mojego kuzyna i zorientowałem się, że już ją zdążyli przekabacić swoją gadaniną.

– Dobrze – powiedziałem. – Skoro masz dość siedzenia w domu, możesz pójść i spróbować. Ale – dodałem z uśmiechem – coś mi się wydaje, że po tygodniu odejdiesz stamtąd bez pożegnania.

ROZDZIAŁ 7

Mistrzu, chociaż głośno sprzeciwiałem się pracy „Lwiczki” na żabiej farmie, w głębi ducha byłem z tego zadowolony. Tak naprawdę lubię samotność, lubię samotne przechadzki, kiedy chodząc, wspominam sobie minione zdarzenia, a jeśli nie wspominam, zanurzam się w marzeniach. Spacer z „Lwiczką” traktowałem jako obowiązek, którego spełnianie było dość męczące, ale musiałem udawać, że sprawia mi przyjemność. A teraz było dużo lepiej – „Lwiczka” o świcie wsiadała na motorower, który mój kuzyn podobno kupił specjalnie dla niej, i jechała do pracy na farmie. Przez okno widziałem, jak sztywno wyprostowana na swym motorowerze cicho i pewnie sunęła dróżką wzdłuż rzeki. Przez kilka ostatnich miesięcy zwiedziłem wszystkie osiedla na północnym brzegu. Byłem wszędzie: w parkach, ogrodach, wielkich i małych supermarketach, w ośrodkach oferujących masaże wykonywane przez ślepców, w siłowniach, salonach kosmetycznych, aptekach, punktach sprzedaży losów loteryjnych, w domach towarowych, sklepach z meblami, na nadrzecznych targach produktów rolnych. W każdym z tych miejsc podnosiłem swój cyfrowy aparat fotograficzny, jak pies podnosi łapę, obsikując teren. Przeszedłem nawet pola, na których nie zaczęto jeszcze upraw, i zwiedziłem place wielkich budów. W niektórych obiekty były już gotowe i można było podziwiać ich oryginalny styl, inne ograniczały się do wykopanej ziemi i nie można było nawet zgadnąć, co tam zostanie zbudowane.

Kiedy zszedłem już wszystko na północnym brzegu, skierowałem się na południowy. Na drugą stronę mogłem albo przejść podwieszonym mostem, rozkładającym swoje skrzydła w powietrzu, albo przepłynąć bambusowym promem, który po kilkunastokilometrowym spływie z prądem docierał do przystani Aijia. Do tej pory zwykle chodziłem mostem, bo prom wydawał mi się niebezpieczny, ale pewnego dnia na moście był wypadek i korek, więc postanowiłem ten jeden raz popłynąć promem i przypomnieć sobie dawne czasy.

Przewoźnikiem był młody człowiek w tradycyjnym, płóciennym kaftanie, mówiący w lokalnym dialekcie, ale posługujący się różnymi modnymi wyrażeniami. Jego prom zbudowany był z dwudziestu cienkich bambusowych tyczek, dziób miał podniesiony i ozdobiony drewnianym smoczym łbem. Na środku przytwierdzone były dwa czerwone plastikowe krzeselka. Młodzieniec podał mi plastikowe torebki do założenia na buty, żebym ich nie zamoczył. Z uśmiechem powiedział, że ludzie z miasta chętnie wsiadają boso, a miejskie kobiety mają białe stopki, zupełnie jak malutkie srebrne rybki. Gdy je zanurzą w wodzie i zaczną pluskać, to ślicznie wygląda. Ściągnąłem buty i skarpetki, podałem mu, a on włożył je do metalowej skrzynki i powiedział na pół żartobliwie:

- Należy się juan za przechowanie.
- Proszę bardzo – odrzekłem.

Rzucił mi czerwony kapok i oświadczył: – To musi pan założyć. Inaczej szef zabierze mi premię. Kiedy młody człowiek odepchnął się drągiem od nabrzeża, któryś z siedzących w kucki przewoźników zawołał:

– Ej, Płaska Głowa, powodzenia, żebyś do rzeki wpadł i utonął!

Młody człowiek wprawnie pokierował promem i odkrzyknął:

– To chyba nie byłoby za dobrze, bo jakbym utonął, twoja siostra zostałaby wdową.

Wpłynęliśmy na główny nurt. Wyjąłem aparat i sfotografowałem most, a potem krajobrazy na obu brzegach.

– A skąd pan jest? – zapytał młodzieniec.

– A jak myślisz? – spytałem z lokalnym akcentem.

– Pan tutejszy?

– Może z twoim ojcem do szkoły chodziłem! – przyjrzałem się jego płaskiej, wydłużonej głowie i przypomniałem sobie chłopaka z Tanjiacunu, którego też nazywaliśmy „Płaską Głową”.

– Ale ja pana nie znam. Z której wsi pan pochodzi?

– Zajmij się lepiej swoim drągiem – odrzekłem. – Nie musisz mnie znać, wystarczy, że ja znam twoich rodziców.

Sprawnie kierował promem i przyglądał mi się uważnie, najwyraźniej usiłując domyślić się, kim jestem. Wyjąłem papierosy, zapaliłem jednego, a chłopak, pociągając nosem, stwierdził:

– Jeśli się nie mylę, szanowny pan pali chiny w miękkiej paczce.

Rzeczywiście, to były chiny w miękkiej paczce, dostałem je od „Lwiczki”. Powiedziała, że to prezent dla mnie od Policzka. Dodała jeszcze, że on dostał je od kogoś ważnego, a sam pali tylko osiem radości i żadne inne.

Wyjąłem papierosa, przechyliłem się i podałem chłopakowi. Przyjął z ukłonem, a potem odwrócił się do mnie bokiem i osłaniając się od wiatru, zapalił. Uśmiechnął się z przyjemnością, a wtedy jego twarz zrobiła się w dziwny sposób atrakcyjna.

– Skoro szanowny pan pali takie papierosy, to musi pan być kimś ważnym – rzekł.

– To prezent od przyjaciela.

– Wiem, że to prezent. Gdzieżby tacy, co palą takie papierosy, jeszcze pieniądze na nie wydawali? – Roześmiał się. – To jeden z „czterech ogółów”.

– Jakich „czterech ogółów”?

– Wódkę i papierosy ogólnie dostaję, pensji ogólnie nie ruszam, żony ogólnie nie tykam. Jest jeszcze czwarty, ale nie pamiętam.

– Nocami ogólnie mam koszmary! – odpowiedziałem.

– Nie, ale nie mogę sobie zupełnie przypomnieć, co tam było czwartego.

– I nie ma potrzeby.

– Jeśli jutro znowu pan ze mną popłyynie, to pewnie sobie przypomnę. Ale ja już wiem, kim pan jest – stwierdził.

– Wiesz, kim jestem?

– Pan na pewno jest wujkiem Xiao, tym wielkim panem Xiao Xiachunem. – Uśmiechnął się dziwnie. – Mój ojciec mówi, że był pan najzdolniejszy w całej klasie i jest pan dumą nie tylko całej szkoły, ale i całego Dongbeixiang.

– On rzeczywiście jest zdolny – odparłem. – Ale to nie ja.

– Szanowny pan jest za skromny – rzekł. – Jak tylko wsiadł pan na mój prom, od razu wiedziałem, że jest pan kimś niezwykłym.

– Naprawdę? – roześmiałem się.

– Oczywiście. Czoło ma pan jasne, aż trzeba przesłony, od razu widać, że jest pan bogaty i ważny!

– To może uczyłeś się fizjonomiki u Yuana Policzka?

– To pan też zna wujka Policzka? – Klepnął się w czoło.

– Ale ja jestem głupi, byliście w jednej klasie, pewnie, że pan go zna. Chociaż wujek Policzek nie może się z panem równać, to jednak też jest zdolnym gościem.

– Twój ojciec też jest zdolny – stwierdziłem. – Pamiętam, jak chodził na rękach, potrafił tak całe boisko do koszykówki okrążyć.

– Wielkie rzeczy – odrzekł lekceważąco. – Prosty umysł, silne kończyny. Ale pan i wujek Policzek pracujecie umysłem i inteligencją. „Pracujący umysłem rządzą, pracujący mięśniami są rządzeni”, prawda?

– W gadaniu możesz się równać z Wangiem Wątrobą. – Roześmiałem się.

– Wujek Wątroba też ma talent, ale on poszedł inną drogą niż wy – mrugnął bystrym trójkątnym okiem. – Wujek Wątroba udaje wariata, ale umie zarabiać pieniądze.

– Ile można zarobić na sprzedaży lalek?

– Wujek Wątroba nie sprzedaje glinianych lalek, on sprzedaje dzieła sztuki. Szanowny panie, złoto ma cenę, ale sztuka jest bezcenna. Oczywiście, wujku Xiao, jeśli te grosze, które zarobi wujek Wątroba, porównać z tym, co pan zarabia, to jakby wodę w sadzawce porównywać z morzem. Wujkowi Policzkowi głowa lepiej pracuje niż wujkowi Wątrobie, ale on również nie zarabia za wiele na hodowli żab.

– A na czym ma zarabiać żabia farma, jeśli nie na hodowli żab?

– Szanowny pan naprawdę nie wie, czy tylko udaje?

– Naprawdę nie wiem.

– Szanowny pan sobie ze mnie żartuje. Taka ważna osoba jak pan orientuje się chyba w każdej jednej sprawie? Nawet taki prosty chłop jak ja o tym słyszał, a pan nie wie?

– Przyjechałem dopiero kilka dni temu, więc naprawdę nie wiem.

– Załóżmy, że pan nie wie, w każdym razie szanowny pan nie jest obcy, ja tylko tak sobie gadam, żeby szanowny pan się nie nudził.

– No więc mów.

– Wujek Yuan pod przykrywką hodowli żab pomaga ludziom wyhodować dzieci – rzekł.

Byłem zszokowany, ale niczego po sobie nie pokazałem.

– Wyrażając się elegancko, można to nazwać instytutem macierzyństwa zastępczego, a mówiąc mniej elegancko, można powiedzieć, że Yuan ma kobiety, które rodzą dzieci takim, co sobie tego życzą.

– Można robić coś takiego? – spytałem. – Przecież to jest wbrew polityce ograniczania urodzeń.

– Jejku, wujku Xiao, teraz już inne czasy, po cóż tu mówić o jakiejś polityce urodzeń? Teraz, jak ktoś ma pieniądze, to płaci karę i ma dziecko, jak ten Król Starzyzny, stary He. Jego żona urodziła po raz czwarty, więc miał zapłacić sześćdziesiąt tysięcy kary. Jednego dnia przyszło wezwanie do zapłaty, a już następnego w teczce z wężowej skóry przyniósł sześćdziesiąt tysięcy do komisji kontroli urodzeń. A jeśli ktoś nie ma pieniędzy, płodzi po kryjomu. Za komun ludowych ludzi trzymali pod kontrolą, nawet żeby na targ pójść, potrzebna była zgoda, a żeby gdzieś wyjechać trzeba było mieć przepustkę. A teraz każdy może sobie pojechać, gdzie chce, i nikt o nic nie pyta. Można nająć się do gręplowania bawełny albo robić parasolki, naprawiać buty, sprzedawać jarzyny, wynająć sobie coś do mieszkania, albo pod mostem szopę postawić i rodzić dzieci, ile się chce. O tym, że różni dygnitarze mają po dwie albo i trzy „panie”, mówić nie muszę. Tylko ludziom z budżetówki, co nie mają pieniędzy i wszystkiego się boją, brak odwagi, by posiadać nadliczbowe dzieci.

– Z tego, co mówisz, wynika, że polityka ograniczania urodzeń już nie obowiązuje?

– Ależ obowiązuje, bo inaczej jak wyznaczano by kary?

– Ale skoro tak i każdy może sobie mieć dzieci, ile chce, po co mu farma Policzka?

– Wujku, pan być może zanadto poświęcił się sprawom zawodowym i nie wie pan, co się na świecie dzieje. – Roześmiał się. – Bogacze mają pieniądze, ale takich szczodrych jak Król Starzyzny jest bardzo niewielu: większość im jest bogatsza, tym bardziej skąpa się staje. Chcieliby mieć synów, żeby przejęli majątek, ale kary płacić nie chcą. Jeśli znajdą sobie kobietę, która zajdzie w ciążę, można to jakoś wytłumaczyć i wtedy kary nie trzeba będzie płacić. A poza tym dzisiejsi bogacze i dygnitarze są w pana wieku, panowie jeszcze są chętni, ale małżonki już nie do użytku.

– No to niech sobie wezmą „drugą panią”.

– Oczywiście są tacy, co mają dwie, trzy albo i cztery „panie”, ale są również tacy, co boją się małżonki albo nie chcą kłopotów. I oni właśnie zostają klientami wujka Yuana.

Mój wzrok przeniósł się znad nabrzeża w kierunku różowego budynekczku na farmie Policzka i złotych dachów świątyni Pani Matki. Ogarnęły mnie złe przeczucia. Przypomniał mi się niedawny poranek, kiedy wróciłem z łazienki i doszło do tej zupełnie nowej zabawy w łóżku z „Lwiczką”.

– Wujku, pan chyba nie ma syna?

Nie odpowiedziałem.

– Wujku, nie wypada, żeby taki wybitny człowiek jak pan nie miał syna. Wie pan, że to jest zbrodnia, sam Konfucjusz powiedział: „Nie ma gorszego występku przeciw cnotcie synowskiej niż brak syna, co przedłuży ród”...

Kiedy wytrysnął ze mnie trzymany przez całą noc mocz, poczułem się rozluźniony i chciałem się jeszcze przespać, ale „Lwiczka” nagle zaczęła się do mnie lepić. Dawno już tego nie było...

– Wujku, koniecznie musi pan mieć syna, to nie jest tylko pańska sprawa, to sprawa całego Dongbeixiang. U wujka Policzka ma pan różne możliwości do wyboru. Propozycja najbardziej ekskluzywna jest taka, że do zapłodnienia dojdzie na drodze stosunków seksualnych. Dziewczyna będzie ładna, zdrowa, słowem – dobre geny. Niezameężna, z wyższym wykształceniem. Może pan z nią zamieszkać, aż zajdzie z panem w ciążę. Koszty tej usługi są raczej wysokie, co najmniej dwieście tysięcy. Oczywiście, jeżeli będzie pan chciał, żeby dziecko było jak najzdrowsze i jak najładniejsze, będzie pan jej musiał zapewnić prawidłowe odżywianie, a poza tym może jej pan wypłacić premię. Największe niebezpieczeństwo polega na tym, że jeśli mieszka się razem, obie strony mogą się zakochać i to, co miało być udawane, stanie się prawdziwe, a to może zaszkodzić pana małżeństwu. Dlatego obawiam się, że szanowna małżonka może się nie zgodzić.

...Wydawała się podniecona, ale jej ciało było zimne, a poza tym była jakaś inna, wszystko było inne od naszej wieloletniej rutyny, „Co masz na myśli?”. Patrzyłem na nią i w świetle poranka zobaczyłem w jej oczach błysk. Uśmiechnęła się tajemniczo i rzekła: „Dziś potraktuję cię ostro”. Czarnym płóciennym paskiem zawiązała mi oczy. „Co ty robisz?”. „Nie rozwiążuj! Tyle lat mnie molestowałeś, dzisiaj się zemszczę”. „Chcesz mnie wykastrować?”. Zachichotała: „Szkoda by mi było! Nie, ja chcę dzisiaj zaznać przyjemności...”.

– Niedawno jakaś kobieta przysłała z awanturami i rozbiła samochód wujka Policzka – opowiadał Płaska Głowa. – Jej mąż zakochał się w dziewczynie, z którą mieszkał, i w końcu, gdy urodził mu się syn, rzucił żonę. Więc tak mi się wydaje, że małżonka może się nie zgodzić.

...zaczęła mnie dotykać i dręczyć, podnieciła mnie, rozpalila. Potem założyła mi coś jeszcze. „Po co to? To jeszcze potrzebne?”. Nie odpowiedziała...

– Wujku, jeśli chce pan mieć syna, ale nie chce pan przy tej okazji zakosztować dzikiego owocu, to powiem panu, jaki jest sposób najtańszy. Ale to jest tajemnica. Wujek Policzek ma kilka bardzo tanich kobiet. Wyglądają strasznie, ale nie dlatego, że takie się urodziły. Kiedyś były niezwykle ładne, czyli mają bardzo dobre geny. Wujku, na pewno słyszał pan o wielkim pożarze w fabryce pluszowych zabawek? W tym pożarze spaliło się pięć dziewczyn z Dongbeixiang, trzy inne przeżyły, ale zostały strasznie poparzone i zeszpecone. Ciężko im się żyje, więc wujek Policzek przyjął je z dobroci serca. Żywi je i dał im zajęcie, żeby sobie trochę na emerytury zarobiły. Oczywiście w ich przypadku zapłodnienie odbywa się bez kontaktów seksualnych, to znaczy biorą trochę pańskich kijanek, które wprowadza się im do macicy. Jak przyjdzie czas, przejmuje pan opiekę nad dzieckiem i to wszystko. One są bardzo tanie, za syna pięćdziesiąt tysięcy, za córkę trzydzieści.

...doprowadziła mnie do krzyku. Poczulem, że zapadam się w otchłań. Przykryła mnie i cicho odeszła...

– Wujku, proponuję, żeby pan...

– Jesteś naganiaczem Policzka?

– Wujku Xiao, po co takie słowa? – Płaska Głowa roześmiał się. – Pracuję dla wujka Policzka i bardzo panu dziękuję za możliwość zarobku. Natychmiast skontaktuję się z wujkiem Policzkim. – Puścił drąg i sięgnął po komórkę.

– Przykro mi – powiedziałem. – Nie jestem wujkiem Xiao i niczego od ciebie nie potrzebuję.

ROZDZIAŁ 8

Mistrzu, przedwczoraj pokłóciłem się z „Lwiczką”, byłem bardzo zdenerwowany, krew poszła z nosa i trochę kapnęło na papier listowy. Dzisiaj boli mnie głowa, lecz to nie przeszkadza mi w pisaniu. Przy pisaniu dramatu trzeba dobierać słowa, ale list nie wymaga aż takich starań. Wystarczy znać kilkaset znaków i mieć coś do powiedzenia. Kiedy moja pierwsza żona Renmei pisała do mnie listy, wielu znaków nie znała i musiała rysować. Mówiła do mnie przepaszająco: „Biegaczu, jestem niewykształcona, mogę tylko rysować”. A ja odpowiadałem: „Jesteś bardzo wykształcona, umiesz wyrażać myśli w rysunkach, to tak, jakbyś sama tworzyła nowe znaki!”. „Ja ci stworzę syna – powiedziała. – Biegaczu, stwórzmy razem syna...”.

Mistrzu, kiedy wysłuchałem opowieści przewoźnika, w mojej głowie pojawiła się przerażająca myśl: „Lwiczka”, ta wstrętna, oszalała na punkcie dziecka baba, ukradła moje kijanki i wrzuciła je do brzucha zeszpeconej kobiety! Oczyma wyobraźni zobaczyłem moje kijanki otaczające jajeczko, tak jak kiedyś, gdy jako dziecko widziałem w schnącej sadzawce za szkołą ławicę kijanek skubiących kawałek przesiąkniętej wodą bułki. A tą zeszpeconą w pożarze dziewczyną był nie kto inny, tylko Chen Brew, córka mojego szkolnego kolegi Chena Nosa. W jej macicy wzrastało moje dziecko.

Pobiegłem do Zakładu Hodowli Żab Ryczących, po drodze chyba zaczęli mnie jacyś ludzie, ale nie pamiętam nawet kto. Wbiegłem w szparę błyszczącej, automatycznie przesuwanej bramy i znów zobaczyłem tę groźną rzeźbę żaby. Zrobiło mi się zimno i wydawało mi się, że poczułem – a w rzeczywistości tylko sobie przypomniałem – jej lepkie, nieprzyjazne spojrzenie. Na wolnej przestrzeni przed białym budynkiem tańczyła grupa kobiet w kolorowych strojach i z wieńcami w rękach, na krześle obok siedział mężczyzna i grał na akordeonie. Wyglądało na to, że mają próbę przed występem. Panował całkowity spokój, pogoda była piękna, nic się nie wydarzyło. Może to wszystko było halucynacją. Powinienem gdzieś pójść, usiąść, poważnie popracować nad sztuką.

„Gdy nic się nie dzieje, bądź tchórzliwy jak mysz, kiedy coś zagrazi – odważny jak tygrys”, „szczęście to nie nieszczęście, ale nieszczęścia i tak nie unikniesz” – to były mądrości przekazane mi przez ojca. Staruszek miał wiele takich pouczeń. Kiedy przypomniałem sobie słowa ojca, zrobiłem się głodny. Mam pięćdziesiąt pięć lat i dopóki ojciec i starsi bracia żyją, nie ośmielę nazwać się starym, ale przecież południe mego życia już dawno minęło, moje słońce coraz bardziej chyli się ku zachodowi. Człowiek o zmierzchu życia, człowiek, który na przedwczesnej emeryturze wrócił w rodzinne strony szukać odpoczynku, doprawdy nie ma się czego obawiać. Ta myśl wzbudziła we mnie jeszcze większy głód.

Wszedłem do restauracji Don Kichot po prawej stronie placu przed świątynią Pani Matki. Odkąd „Lwiczka” znalazła pracę na zabiej farmie, często tu przychodziłem. Usiadłem przy stoliku koło okna. Biznes szedł tak sobie, więc niemal przejąłem ten stolik na stałe. Niski i gruby kelner podszedł mnie powitać. Mistrzu, za każdym razem, gdy siadam przy tym stoliku i patrzę na puste krzesło, marzę, że kiedyś pan usiądzie naprzeciw mnie i porozmawiamy o mojej w bólach rodzącej się sztuce. Na gładkiej twarzy kelnera pojawił się uśmiech, ale zawsze wydawało mi się, że za tym uśmiechem kryje się coś innego. Być może była to mina Sancho Pansy, trochę psotna, trochę złośliwa, rysy kogoś, kto żartuje z innych, ale inni też żartują z niego. Było w tym coś jednocześnie sympatycznego i antypatycznego. Błat stołu zrobiony był z grubego, niemalowanego drewna o bardzo wyraźnych słojach, w niektórych miejscach zostały ślady wypalone papierosami. Często pisywałem przy tym stole. Być może w przyszłości, kiedy moja sztuka okaże się wielkim sukcesem, ten stół stanie się zabytkiem. Wtedy żeby napić się przy nim wódki, trzeba będzie ekstra dopłacić, a gdyby jeszcze Pan siadywał tu ze mną, to by dopiero było! Proszę wybaczyć, pisarze zawsze usiłują pobudzić się do pisania takimi megalomańskimi marzeniami.

Mistrzu, kelner zamarkował ukłon, choć w rzeczywistości wcale się nie ukłonił.

– Dzień dobry – rzekł. – Witam serdecznie, szlachetny rycerzu, jestem na twe usługi.

Po czym podał mi menu w dziesięciu językach.

– Dziękuję – odparłem. – Proszę to, co zwykle. Sałatka Margarity, duszona wołowina *à la* Antonia i ciemne piwo malika.

Odszedł, kręcąc swym tłustym kaczym kuprem. Czekając na jedzenie, przyglądałem się wystrojowi: na ścianach wisiały zardzewiałe zbroje i włócznie, obok nich zniszczone rękawice noszone w czasie pojedynków o ukochaną niczym dyplomy i medale symbolizujące wojenne zwycięstwa i nieśmiertelne zasługi, a także sztuczna, ale świetnie wykonana głowa jelenia, dwa bażanty o wyblakłych piórach oraz kilka pożółkłych starych fotografii. Choć ten styl klasycznej Europy był tylko podrabiany, patrzyło się na to przyjemnie. Po prawej stronie drzwi stała brązowa rzeźba kobiety w naturalnych rozmiarach, której piersi zostały wygładzone do połysku przez gości. Mistrzu, specjalnie zwróciłem na to uwagę: każdy, kto wchodził do restauracji, mężczyzna czy kobieta, wyciągał rękę i gładził jej pierś.

Na placu przed świątynią zawsze było gwarno, a najżywszy i najbardziej entuzjastyczny był głos sprzedającego Wątroby. Ostatnio propagowano program *artystyczny Jednorożec przynosi synów*, co miało być jakoby przywróceniem dawnej tradycji, w rzeczywistości zaś było wymysłem kilku ludzi z miejskiego centrum kultury – do niczego to nie było podobne, nie miało charakteru ani chińskiego, ani żadnego innego, ale ostatecznie zawsze miało tę zaletę, że rozwiązywało problem zatrudnienia kilkudziesięciu osób. A poza tym, Mistrzu, jak sam Pan powiedział – tradycja to nic innego niż niegdysiejsza sztuka awangardowa. W telewizji widziałem wiele takich programów i we wszystkich mieszała się tradycja i współczesność, turystyka i kultura, hałas, światła i kolory, radość i entuzjazm oraz zgoda, która buduje. Sam Pan kiedyś powiedział ze smutkiem, że są takie miejsca, w których padają strzały i giną ludzie, a są miejsca, w których trwa zabawa, taniec i śpiew. Taki jest świat, w którym wszyscy żyjemy. Jeżeli byłby gdzieś taki olbrzym, przy którym ziemia byłaby tym, czym przy nas piłka, i gdyby on sobie siedział i patrzył na obracającą się wokół niego ziemię i widział tu pokój, tam wojnę, tu bankiety, a tam głód, tu suszę, a tam powódź... Nie wiem, co by sobie o tym wszystkim pomyślał. Przepraszam, Mistrzu, rozgadałem się.

Sancho Pansa przyniósł mi wodę z lodem, chleb, masło i talerzyk z oliwą z oliwek i czosnkiem. Chleb wypiekany w tej restauracji był bardzo dobry, w każdym razie tak twierdzili ludzie, którzy jadalі cudzoziemskie pieczywo. Już sam chleb z tą oliwą był prawdziwym smakołykiem, a jeśli potem skosztowało się jeszcze najróżniejszych dań i zup – Mistrzu, koniecznie musi Pan tu kiedyś przyjść, gwarantuję, że wszystko się Panu spodoba – a co więcej, ta restauracja miała pewną tradycję – lepiej to nazwać tradycją niż przepisem – każdego wieczoru, kiedy zbliżała się pora zamknięcia, całe pieczywo z tego dnia: chleb długi, chleb okrągły, chleb czarny, biały, gruby albo cienki, wkładali do koszyka na stole przy drzwiach i każdy wychodzący gość mógł sobie brać. Nigdzie nie było napisane, że można wziąć tylko jeden bochenek, ale wszyscy z własnej woli ograniczali się do jednego. Brali chleb pod pachę albo trzymali przy piersi, okrągły albo podłużny, miękki albo chrupiący i wdychali jego zapach, zapach pszenicy, ziaren lnu, pestek moreli i drożdży. Kiedy ze świeżo wypieczonym chlebem szedłem przez plac przed świątynią, napełniało mnie poczucie sytości. Oczywiście zdawałem sobie sprawę, że to luksus, bo aż za dobrze wiem, ilu na świecie jest ludzi, którzy nie mają co jeść, których od śmierci dzieli jeden włos.

W sałatce Margarity była zielona sałata, pomidory i mlecz; smakowała wspaniale. Któż wymyślił tę nazwę, pobudzającą marzenie o zachodniej Europie? Oczywiście mój kolega z podstawówki, syn nauczycielki z dzieciństwa, Li Ręka. Pisałem już Panu w liście, że Li Ręka był najbardziej uzdolniony literacko w naszej klasie, to on powinien był zająć się pisaniem, a tymczasem przypało to mnie. Studiował medycynę i miał przed sobą wspaniałe perspektywy, ale rzucił pracę i wrócił w rodzinne strony, gdzie otworzył restaurację, która nie była ani chińska, ani zachodnia, albo inaczej mówiąc, łączyła w sobie cechy obydwu. Już nazwa restauracji i dań pokazuje, jak ważna była dla niego literatura. Otwarcie w naszej swojsko-obcej okolicy restauracji o nazwie Don Kichot samo w sobie było donkiszoterią. Figura Li Ręki zaokrągliła się już, zawsze był niski i ta krągłość odejmowała mu jeszcze wzrostu. Często siadywał w drugim kącie sali, widzieliśmy się z daleka, ale nigdy się nie witaliśmy. Czasami, przechylony nad stołem, spisywałem swoje rozproszone wrażenia, a on zahaczał lewe ramię o oparcie krzesła, twarz opierał na prawej pięści i w tej dziwacznej, ale bardzo swobodnej pozie spędzał długie chwile.

Sancho podał wołowinę i ciemne piwo, zatem mój obiad był już kompletny. Wypiłem łyk piwa, ugryzłem kawałek mięsa i powoli przeżuując i smakując, spoglądałem w okno i oglądałem rozgrywającą się pod gołym niebem uroczyście odgrywaną historię. Procesję otwierali huczący pod niebo bębniarze, za nimi szli ludzie z chorągwiami i proporcami, parasolami i emblematami, wszyscy w barwnych i niezwykłych strojach. Siedząca na jednorozcu kobieta o twarzy jak srebrna misa i oczach jak lśniąca gwiazdy trzymała w objęciach gaworzące niemowlę – widok Pani Zsyłającej Synów zawsze wywoływał we mnie chęć skojarzenia jej z ciotką. Ale wtedy przed oczami pojawiał mi się obraz ciotki rzeczywistej, w jej obszernym, czarnym kaftanie, z rozczochraną głową i pustym spojrzeniem, z jej śmiechem podobnym do krzyku sowy i dziwacznym sposobem mówienia i moja piękna fantazja znikła.

Orszak bogini okrążył plac, zatrzymał się w jego centrum i ustawił w szereg. Bębny umilkły, a mężczyzna w szkarłatnej szacie i wysokiej czapce wystąpił, trzymając w rękach tabliczkę, jaką kiedyś prezentowali na audiencjach urzędnicy – wyglądał trochę jak dworski eunuch ze sztuk o cesarzach. Podniósł żółty zwój i głośno odczytał: „Wzniosłe Niebo i wielka Ziemia w swym nieskończonym miłosierdziu zrodzili pięć zbóż, a słońce, księżyc, gwiazdy i planety otaczają opieką niezliczone rzesze. Na rozkaz Wielkiego Nefrytowego Cesarza jej wysokość Pani Niosąca Synów przyniosła swój wielki dar i zstąpiła do Gaomi Dongbeixiangu. Przyzywam dobrego męża i wierną niewiastę, poczciwych małżonków Wang, niech odbiorą syna!”. Aktorzy grający poczciwych małżonków Wang nie zdążyli jednak odebrać syna, bo wielki dar – gliniana figurka – został porwany przez jakąś kobietę, która szaleńczo pragnęła urodzić potomka.

Mistrzu, chociaż starałem się pocieszyć na wszelkie sposoby, jestem zaledwie tchórzliwym jak mysz, gnębionym troskami mężczyzną. Kiedy uświadomiłem sobie, że w macicy dziewczyny o imieniu Brew wzrasta już moje dziecko, świadomość straszliwej winy skrępowwała mnie niczym kajdany. To była córka mojego szkolnego kolegi, którą niegdyś opiekowały się moja ciotka i „Lwiczka” i której kiedyś osobiście podawałem mleko do maleńkich usteczek. Była młodsza nawet od mojej córki. Gdyby kiedyś Nos, Ręka, Wątroba, moi przyjaciele z dawnych lat, poznali prawdę, nie mógłbym się ludziom na oczy pokazać ze wstydu.

Przypomniałem sobie dwukrotne spotkanie z Nosem po naszym powrocie w rodzinne strony.

Pierwszy raz spotkałem go pod koniec zeszłego roku, w pewien śnieżny wieczór. „Lwiczka” nie pracowała jeszcze na żabiej farmie, wyszliśmy na spacer i patrzyliśmy, jak płatki śniegu wirują w złotym świetle latarni otaczających plac. Gdzieś z oddali dochodziły głosy petard, dawało się już odczuć noworoczną atmosferę. Córka zadzwoniła do mnie z dalekiej Hiszpanii i powiedziała, że razem z mężem spacerują właśnie w rodzinnym mieście Cervantesa, a ja i „Lwiczka”, trzymając się za ręce, wchodziliśmy akurat do restauracji Don Kichot. Kiedy powiedziałem córce o tym niezwykłym zbiegu okoliczności, w komórce usłyszałem jej pogodny śmiech.

– Świat jest naprawdę mały, tato.

Kultura jest naprawdę wielka, Mistrzu.

Wtedy nie wiedzieliśmy jeszcze, że restauracja należy do Li Ręki, ale natychmiast poczuliśmy, że właściciel jest człowiekiem niebanalnym. Od razu nam się tu spodobało. Mnie szczególnie przypadły do gustu proste stoły i krzesła. Gdyby na stołach znajdowały się śnieżnobiałe obrusy, restauracja łatwo nabrałaby europejskiego nastroju, ale późniejsze wyjaśnienie Ręki bardzo do mnie przemówiło. Powiedział, że w czasach Don Kichota w wiejskich gospodach nie było obrusów, tak samo – dodał plotkarsko – w tamtych czasach Europejki nie nosiły staników.

Mistrzu, będę z Panem całkowicie szczery. Kiedy wchodząc, natknęliśmy się na tę rzeźbę młodej kobiety, od razu zauważyłem jej wygładzone do połysku piersi i ręka sama mi się ku nim wyciągnęła. Ten ruch ujawnił lubieżność moich myśli, ale była w nim też jakaś szczerłość. „Lwiczka” syknęła na mnie karcąco, a ja odparłem:

– Czego syczysz? To jest sztuka.

– Wszyscy wykształceni zbereźnicy tak mówią – odparła.

Sancho Pansa podszedł do nas z uśmiechem, zamarkował ukłon, którego nie wykonał, i powiedział:

– Gorąco państwa witamy.

Wziął nasze płaszcze, szaliki i czapki i zaprowadził nas do stolika na środku sali. Na stoliku stała szklana okrągła miska z wodą, po której pływały białe świece. Nie spodobało nam się tutaj i wybraliśmy sobie stolik przy oknie. Odpowiadała nam jego lokalizacja, bo przez okno mogliśmy podziwiać wirujące w elektrycznym świetle płatki śniegu, a jednocześnie mieliśmy widok na całą salę. Zauważyliśmy, że przy stoliku w najdalszym kącie – tym samym, przy którym sam później zwykle siadywałem – siedzi mężczyzna otoczony obłokiem papierosowego dymu.

Poznałem go po braku serdecznego palca u prawej ręki. Poznałem go też po jego wielkim czerwonym nosie. Chen Nos, kiedyś postawny i przystojny, teraz na czubku głowy miał łysinę okoloną wiankiem rozpuszczonych włosów, niemal jak Cervantes. Jego twarz była wychudła, a policzki zapadnięte, jakby wypadły mu tylne zęby. Jego nos wydawał się teraz ogromny. Trzema palcami prawej ręki podniósł do ust wypalonego prawie do końca papierosa. W powietrzu uniósł się nieprzyjemny zapach palonego filtra, z jego nozdrzy poleciał dym. Spojrzenie miał puste, nieszczęśliwi ludzie zawsze mają takie spojrzenie. Nie śmiałem na niego patrzeć, a jednocześnie nie mogłem na niego nie patrzeć. Przypomniałem sobie rzeźbę przedstawiającą Cervantesa, widzianą na dziedzińcu Uniwersytetu Pekinńskiego, i zrozumiałem, po co tu siedzi. Ubrany był dziwacznie, w jakiś ni to płaszcz, ni to kaftan, szyję otaczał mu krąg z karbowanego białego materiału. Powinien mieć jeszcze miecz – i rzeczywiście, zobaczyłem miecz oparty o ścianę, a potem dostrzegłem stalowe rękawice, tarczę i stojącą w kącie kopię. Pomyślałem, że powinien mieć jeszcze przy nodze brudnego i chudego psa – i rzeczywiście, zobaczyłem psa, brudnego, ale nie bardzo chudego. Podobno Cervantesowi też brakowało palca u prawej ręki. Ale Cervantes nie nosił tarczy i kopii, to były atrybuty Don Kichota, a jednak jego twarz bardziej przypominała Cervantesa. Ale ostatecznie nikt z nas nie

widział prawdziwego Cervantesa, ani – tym bardziej –
nieistniejącego Don Kichota. A zatem każdy mógł sobie sam
zdecydować, którego z nich miał tu odgrywać Nos.

Sytuacja starego przyjaciela ogromnie mnie zasmuciła. Już wcześniej słyszałem o tragedii związanej z jego dwiema pięknymi córkami. Chen Ucho i Chen Brew były kiedyś najpiękniejszymi siostrami w Dongbeixiang. Pochodzenie Nosa nie jest do końca jasne, ale z pewnością miał w sobie domieszkę obcej krwi, która pozbawiła twarze dziewcząt płaskości i nadała im bujną plastyczność. Nie przystawały do nich opisy piękności z chińskiej poezji klasycznej. Były jak mustangi wśród roboczych koni, jak łabędzie wśród kaczek. Gdyby urodziły się w bogatym domu lub bogatej okolicy, a nawet gdyby urodziły się w biednym domu w zapadłej wsi, ale spotkały kogoś bogatego, być może zrobiłyby wielkie kariery. Wyruszyły na południe i błąkały się w obcych stronach właśnie po to, by szukać dla siebie szansy. Słyszałem, że zatrudniły się w fabryce pluszowych zabawek, której właścicielem był cudzoziemiec, chociaż nie wiadomo, czy na pewno był cudzoziemcem. Gdyby ze swoją urodą i inteligencją chciały zarobić w świecie blichtru, gdyby chciały się zabawić, wystarczyłoby, żeby wykorzystały swoje ciała. Ale one ciężko pracowały w fabryce, w brutalnym systemie pracy i w krwawym wyzysku. Wreszcie w pożarze, który wstrząsnął całym krajem, jedna z nich spaliła się na popiół, a druga została z oszpeconą twarzą. Młodsza tylko dlatego wyrwała się śmierci, że starsza zasłoniła ją własnym ciałem. Co za nieszczęście, co za straszna tragedia! To nie były upadłe

dziewczyny, to były dziewczęta czyste i szlachetne jak nefryt! Przepraszam, Mistrzu, znowu się wzruszyłem.

Życie Nosa było naprawdę niezmiernie ciężkie. Wydaje mi się, że odgrywanie przez niego Cervantesa czy Don Kichota w restauracji niczym się nie różniło od losu karłów zatrudnionych jako odźwierni w słynnym pekińskim klubie Raj, ani pracy olbrzymów w równie słynnej kantońskiej łaźni Pieczara za Zasłoną. Tak samo handlowali swoim ciałem. Karły sprzedawały swoją małość, olbrzymy – swój wzrost, a Chen Nos sprzedawał swój nos. Wszyscy byli w tak samo smutnej sytuacji.

Mistrzu, tamtego wieczoru poznałem Nosa od pierwszego spojrzenia. Nie widzieliśmy się prawie dwadzieścia lat, ale nawet gdybyśmy nie widzieli się sto lat, nawet w obcym kraju – zawsze bym go poznał. Wydaje mi się, że kiedy my poznaliśmy jego, on także poznał nas. Przyjaciele z dzieciństwa nie potrzebują nawet na siebie patrzeć, wystarczy im słuch, jedno westchnienie, jedno kichnięcie pozwala rozpoznać się bez żadnych wątpliwości.

Podejść do niego czy nie? A może zaprosić go, żeby zjadł z nami... Oboje się wahaliśmy. Po jego celowo obojętnym spojrzeniu, po tym, że wzrok miał uparcie utkwiony w głowie jelenia na ścianie, poznałem, że on również zastanawia się, czy do nas podejść. Przed oczami pojawiały mi się sceny z tamtego wieczoru w pożegnanie boga paleniska, kiedy z Uchem przyszedł do nas po Brew. Jego wysoka postać w twardej, błyszczącej kurtce ze świńskiej skóry, podniesiona ręka, kiedy chciał rzucić tłuczkiem w garnek z pierogami, jego ciężki oddech, jego gwałtowność i gniew, jak u wielkiego, rozwścieczonego niedźwiedzia. Od tamtej chwili już go nie widziałem. Myślę, że kiedy nam przypominała się przeszłość, on wspominał ją także, kiedy nas ogarniał smutek, on też go czuł. Tak naprawdę nigdy nie żywiliśmy do niego nienawiści, głęboko współczuliśmy mu w jego tragedii, nie podeszliśmy do niego natychmiast tylko dlatego, że nie wiedzieliśmy, jak się zachować, bo nie ma wątpliwości, że – jak to mówi się u nas – nam poszło lepiej, poszło nam w życiu lepiej niż jemu. Naprawdę trudno powiedzieć, jak mają zachować się ci, którym powiodło się świetnie, wobec przyjaciela, któremu powiodło się bardzo źle.

Mistrzu, mam wstrętny nałóg palenia; ten nałóg jest już znacznie ograniczony w Europie, Ameryce, nawet u pana w Japonii. Tamtejszym palaczom wszędzie uświadamia się, że palenie jest wulgarne i prostackie, ale tu u nas jak na razie jeszcze tego nie ma. Wyjąłem papierosy, zapaliłem. Lubię zapach siarki w momencie, gdy zapala się zapałka. Mistrzu, tamtego wieczoru paliłem papierosy Złote Pawilony, niebotycznie drogie. Podobno jedna paczka kosztuje dwieście juanów, to znaczy, że jeden papieros kosztuje dziesięć. Funt pszenicy kosztuje tylko osiemdziesiąt fenów, czyli musiałbym sprzedać dwadzieścia funtów pszenicy, żeby kupić jednego takiego papierosa. Z dwudziestu funtów pszenicy można upiec piętnaście funtów chleba, czyli zapewnić jednej osobie wyżywienie przynajmniej na dziesięć dni, a jeden złoty pawilon znika po kilku zaciągnięciach. Na paczce znajduje się śliczny złoty pawilonik, który kojarzy mi się ze sławną Złotą Świątynią w Kioto, ale nie wiem, czy autor rysunku właśnie nią się inspirował. Wiem, że ojciec był oburzony tym, że palę takie papierosy, ale powiedział tylko krótko: „To grzech!”. Zacząłem się zaraz tłumaczyć, że nie ja je kupiłem, że to prezent, ale on powiedział tylko: „Tym większy grzech”. Żałowałem, że zdradziłem mu ich cenę, bo pokazało to moją płaskość i próżność. W gruncie rzeczy nie różnię się niczym od nuworyszów, którzy obnoszą się ze swoimi markowymi ubraniami i nowymi żonami. Ale nie mogłem wyrzucić

takich drogich papierosów tylko dlatego, że ojciec je skrytykował: gdybym je wyrzucił, to dopiero byłby grzech! W tych papierosach jest jakiś specjalny składnik aromatyczny, który po zapaleniu wydziela odurzający zapach. Zobaczyłem, że Nos nie może usiedzieć spokojnie, kichnął głośno kilka razy; jego wzrok oderwał się od głowy jelenia i powoli przenoślił się ku nam, najpierw było w nim wahanie, wstyd, niepewność, a potem chciwość, pragnienie, a nawet jakby zawziętość, aż wreszcie ten wyrażający plątaninę emocji wzrok zatrzymał się na nas.

Mistrzu, on w końcu wstał i wlokąc za sobą swój miecz, jakby włókł za sobą laskę, kulejąc, podszedł do nas. W restauracji światło było przyćmione, ale wystarczyło, żeby zobaczyć jego twarz. Oczy i mięśnie jego twarzy ułożyły się w jakiś trudny do opisanego, skomplikowany wyraz. Nie umiałem się zorientować, czy patrzy na mnie, czy na dym wydobywający się z moich ust. Podniosłem się szybko, krzesło za mną skrzypnęło. „Lwiczka” też się podniosła.

Stanął przed nami, a ja pospiesznie wyciągnąłem rękę, udając, że właśnie mnie spotyka radosna niespodzianka:

– Nos!

Ale on nie podjął mojego tonu, nie przyjął mojej ręki, tylko zachowując pełen szacunku dystans, nisko nam się ukłonił. A potem, trzymając w obu rękach swój zardzewiały miecz, powiedział, jakby recytował sceniczną kwestię:

– Szlachetna pani, szlachetny panie, Don Kichot, rycerz z La Manchy, składa wam największe uszanowanie i pokornie oferuje wam swą wierną służbę.

– Nie wygłupiaj się – rzekłem. – Chenie Nosie, co ty za sztuki odgrywasz, jestem Wan Noga, a to „Lwiczka”...

– Czcigodny panie, szlachetna pani, dla ubogiego rycerza nie ma sprawy większej i świętszej niż użyć miecza w dłoni do obrony pokoju.

– Bracie, nie zgrywaj się.

– Świat jest wielką sceną, na której co dzień odgrywamy ten sam dramat. Panie, jeżeli zechcesz ofiarować mi papierosa, którego masz w dłoni, zaprezentuję wam wspaniały pokaz szermierki.

Pospiesznie podałem mu papierosa i równie gorliwie mu go przypaliłem. Zaciągnął się głęboko, a żar na koniuszku szybko się rozjaśnił. Zmrużył oczy, twarz mu się zmarszczyła, a potem nagle wygładziła i dwie strużki dymu wyleciały z jego wielkich nozdrzy. Byłem zdumiony i poruszony tym, jak jeden papieros może człowieka rozluźnić i zaspokoić. Palę od wielu lat, ale nie jestem specjalnie uzależniony, nie mogłem więc naprawdę poczuć, co działo się z człowiekiem stojącym przede mną. Znowu się zaciągnął, ale papieros już prawie się kończył, bo drogie papierosy mają długie filtry, żeby paliły się szybciej, a jednocześnie zaspokajają też tę straszną i niemożliwą do rzucenia potrzebę pokazania się z drogim papierosem. Wystarczyły mu trzy zaciągnięcia, żeby dojść do filtra. Podałem mu całą paczkę. Lękliwie obejrzał się na boki, potem chwycił ją szybko i schował do rękawa. Zapomniał o obietnicy pokazu szermierki i wlokąc za sobą miecz, wlokąc za sobą nogę, kuśtykając, skierował się do wyjścia. Przy drzwiach sięgnął do kosza i wyciągnął z niego bochenek francuskiego chleba.

– Don Kichot! Znowu gości naciągasz! – Tłusty Sancho Pansa, niosąc w rękach dwa spienione piwa, szedł w stronę naszego stolika, ale jego słowa skierowane były do Nosa.

Przez szybę widzieliśmy, jak ten nieszczęśliwy człowiek, ciągnąc za sobą miecz, chromą nogę i rozedrgany cień, przechodzi przez plac i znika w ciemności. Jego całkiem dobrze utrzymany pies trzymał się tuż za nim. Człowiek ledwo łąził, ale pies był pełen energii.

– Co za łobuz – rzekł Sancho Pansa na poły przeprasząco, na poły arogancko. – Zawsze gdy nie patrzymy, zrobi coś takiego, że nie wiemy, gdzie oczy ze wstydu schować. W imieniu właściciela gorąco państwa przepraszam, ale mam też nadzieję, że wspomóżenie ubogiego rycerza papierosem czy kilkoma groszami nie sprawiło państwu zbyt wielkiej przykrości.

– Ależ proszę pana, co pan mówi... – Trudno było mi dopasować się do sposobu mówienia grubego kelnera, w końcu nie graliśmy w filmie ani w sztuce, więc po co tak się wygłupiać. – Zatrudniacie go? – spytałem.

– Proszę pana, powiem panu szczerze – powiedział kelner – na początku szef się nad nim litował i wymyślił dla niego tę rolę, żeby razem ze mną stał przy drzwiach i witał gości. Ale sprawiał za dużo kłopotów, do wódki go ciągnie, do papierosów i jak się u niego zaczynało, to w ogóle do niczego się nie nadawał, a poza tym wszędzie wlecze za sobą tego parszywego psa, który go na krok nie odstępuje. A poza tym nie dba o higienę. Na przykład ja: kąpię się dwa razy dziennie i chociaż może z twarzy nie jestem specjalnie przyjemny dla oka, ale mój zapach cieszy ludziom serca i ożywia ducha. To jest wielka zaleta u kelnera. A ten łobuz, poza tym, że deszcz go czasem zmoczy, nigdy się nie myje i jego zapach jest dla gości przykry. No i wiele razy łamał zakaz szefa i naciągał gości na różne rzeczy. Gdybym to ja był szefem, to bym takiego leniwego drania już dawno kijem przepędził, ale nasz szef ma dobre serce i dawał mu wiele szans na poprawę. Ale taki człowiek nigdy się nie zmieni, tak jak pies nie przestanie nigdy wąchać sików. Szef dał mu więc trochę pieniędzy, żeby już nie przychodził, ale on wszystko wydał i znowu zaczął przyłazić. Gdybym ja był szefem, wezwałbym policję, ale nasz szef jest wielkoduszny i toleruje go, mimo że jest przez niego stratny.

Kelner ściszył głos.

– Dopiero potem się dowiedziałem, że chodził z naszym szefem do szkoły, ale nawet dla szkolnego kolegi nie powinno się mieć tyle cierpliwości. Wreszcie ktoś się szefowi poskarżył na jego smród i na pchły z tego jego parszywego psa. Wtedy szef dał komuś pieniądze, żeby na siłę zaciągnął go do łaźni i tam porządnie umył, razem z tym jego psem. To już się stało regułą, że raz na miesiąc ciągną go do łaźni. A on nie tylko nie jest wdzięczny, ale jeszcze gębę rozdziera i wymyśla, nawet w łaźni gębę rozdziera i wymyśla: Li Ręko, ty łajdaku, pozbawiłeś rycerza godności!

Mistrzu, tamtego wieczoru po kolacji smutni szliśmy wzdłuż rzeki do naszego nowego domu. Spotkanie z Nosem głęboko nas przygnębiło. Nie wracaliśmy do przeszłości. Przez kilkadziesiąt lat zaszło tyle zmian, a tu nagle zetknęliśmy się z czymś, czego nigdy nawet sobie nie wyobrażaliśmy. Nie rozmawialiśmy ze sobą, ale chyba myśleliśmy o tym samym.

Drugi raz widziałem go w szpitalu w strefie rozwoju. Byli z nami jeszcze Ręka i Wątroba. Nos został potrącony przez samochód z komisariatu policji miejskiej. Kierowca, naoczni świadkowie i pozostali policjanci zeznali, że samochód jechał prawidłowo, kiedy Nos nagle wyskoczył na jezdnię z pobocza – po prostu prosił się o śmierć – a jego pies za nim. Uderzenie odrzuciło Nosa w krzaki na poboczu, ale pies trafił prosto pod koła. Nos miał pogruchotane nogi, jedno ramię i uszkodzoną miednicę, ale nie było zagrożenia życia. Natomiast z jego psa niewiele zostało, zginął za swego pana.

To Ręka przyniósł nam wiadomość o wypadku Nosa. Powiedział, że to rzeczywiście nie była wina policji, ale biorąc pod uwagę sytuację Nosa i fakt, że Ręka zapłacił, komu trzeba, policja zgodziła się wypłacić mu dziesięć tysięcy odszkodowania. Przy takich obrażeniach oczywiście nie była to suma wystarczająca. Zrozumiałem, że Ręka po to zgromadził kilku dawnych kolegów, żebyśmy w czasie wizyty w szpitalu pomogli Nosowi spłacić koszty leczenia.

Leżał w wielkiej, dwunastoosobowej sali, na łóżku numer dziewięć, przy oknie. Za oknem kwitła czerwona magnolia i jej mocny zapach unosił się w powietrzu. Sala była zatłoczona, ale bardzo czysta. Tutejszych warunków nie dałoby się porównać do wielkich szpitali w Pekinie czy Szanghaju, ale i tak było tu dużo lepiej niż w szpitalu komuny przed dwudziestu laty.

Mistrzu, kiedy raz spędziłem tam z matką tydzień, po łózkach łążyły wszy, ściany były poplamione krwią, a muchy latały stadami. Na samo wspomnienie przechodzi mnie dreszcz.

Nos, z obiema nogami i jedną ręką w gipsie, leżał na wznak. Na nasz widok odwrócił twarz.

Wątroba na swój żartobliwie rubaszny sposób przerwał niezręczne milczenie:

– No i co, wielki rycerzu, co to było? Walczyłeś z wiatrakami? Czy pojedynkowałeś się o damę?

– Jeśli chciałeś ze sobą skończyć, wystarczyło ze mną porozmawiać, po co było się rzucać na policyjny samochód?
– dodał Ręka.

– On tylko udaje, udaje wielkiego rycerza i nie chce z nami mówić – powiedziała „Lwiczka”. – To wszystko wina Ręki, to on zrobił z Nosa wariata.

– Ja z niego zrobiłem wariata? On tak tylko się zgrywa, on to potrafi jak nikt!

Nos nagle się rozplakał. Przekrzywił głowę, przekreślił ramię i swoją jedyną ruchomą ręką zaczął drapać po ścianie.

Zamilkliśmy.

Do sali szybkim krokiem weszła wysoka i chuda pielęgniarzka, obrzuciła nas lodowatym spojrzeniem, a potem uderzyła w metalowy zagłówek łóżka i rzekła surowo:

– Dziewiątka, spokój!

Natychmiast przestał płakać, odwrócił do nas głowę i spojrzał mętnym wzrokiem.

Chuda pielęgniarka wskazała kwiaty, które położyliśmy na stoliku przy jego łóżku, pociągnęła nosem i oświadczyła:

– Nasze przepisy nie pozwalają na kwiaty na sali chorych.

– A co to za przepisy? – spytała gniewnie „Lwiczka”. – Nawet w Pekinie w szpitalach nie ma takich przepisów.

Pielęgniarka najwyraźniej nie zamierzała się z nią sprzeczać, tylko zwróciła się do Nosa:

– Powiedz swoim krewnym, że mają zaraz zapłacić, dzisiaj ostatni dzień.

– Co to za zachowanie! – zawołałem z oburzeniem.

Skrzywiła się.

– W pracy jestem – powiedziała.

– Czy wy w ogóle macie jakąś moralność? – spytał Wątroba.

– Ja tylko przekazuję – odpowiedziała pielęgniarka. – Wy możecie moralnie zapłacić szpitalowi za leczenie i może jeszcze dostaniecie dyplom z napisem „Wzór moralności”.

Wątroba chciał się dalej kłócić, ale Ręka go powstrzymał.

Pielęgniarka wyszła obrażona.

Patrzyliśmy po sobie, w myślach dokonując obliczeń. Przy takich poważnych obrażeniach rachunek z pewnością będzie przerażająco wysoki.

– Po coście mnie tu przywlekli? – spytał Nos z nienawiścią. – To, czy ja umrę, czy nie, to nie wasz zasrany interes. Jakbyście mnie tu nie przywlekli, już bym nie żył. A tak muszę tu leżeć i znosić to wszystko.

– To nie myśmy cię uratowali – rzekł Wątroba. – To ten policjant, który cię potrącił, zadzwonił po karetkę.

– Nie wyście mnie tu wzięli? – spytał Nos zimnym głosem. – To po co żeście tu przyszli? Litować się nade mną? Współczuć mi? Nie potrzeba. Zabierajcie się stąd i zabierzcie te swoje śmierdzące kwiaty, głowa mnie od nich boli. Chcecie za mnie zapłacić? Wcale nie potrzebuję. Jestem wielkim rycerzem, król jest moim serdecznym przyjacielem, królowa się we mnie lubuje i te nędzne grosze zostaną zapłacone ze skarbu państwa. A nawet jeśli król i królowa za mnie nie zapłacą, i tak nie potrzebuję waszej jałmużny. Mam dwie córki, piękne jak boginie, szczęśliwe jak niebianki, są władczyniami i królewskimi konkubinami, już za te pieniądze, co im spomiędzy palców wypadną, mogą kupić cały ten szpital!

Mistrzu, oczywiście zrozumieliśmy, o co chodziło w majaczeniu Nosa. Rzeczywiście udawał wariata, ale myślał zupełnie jasno. Jednak udawanie szaleństwa wchodzi w nawyk i jeśli trwa długo, w końcu staje się częściowo prawdą. A my, przyprowadzeni tu z wizytą przez Rękę, byliśmy trochę niespokojni. Przynieść bukiet kwiatów, zamienić kilka zdań, a nawet ofiarować mu kilkaset juanów nie stanowiło problemu, ale gdybyśmy mieli zapłacić za jego leczenie, to byłoby już troszkę... No bo w końcu Nos to dla nas ani brat, ani swat... No i poza tym, on jest w takim stanie... Może gdyby był normalny... Krótko mówiąc, Mistrzu, choć nie zostaliśmy pozbawieni przyzwoitości ani współczucia, to jednak jesteśmy tylko przeciętnymi ludźmi, nasza szlachetność nie wzniosła się jeszcze na wyżyny, w których sięga się szczerze po portfel, żeby poratować jakiegoś społecznego wyrzutka. Majaczenie Nosa otwarło nam drogę ucieczki. Popatrzyliśmy na Rękę, który nas tu zgromadził, a on poskrobał się w głowę i powiedział:

- No cóż, bracie, wracaj do zdrowia, skoro to policyjny samochód cię potrafił, niech policja zajmie się tobą do końca. Jak naprawdę się nie da, coś spróbujemy wymyślić...
- Wyoście się – odparł Nos. – Gdyby me ramię mogło podnieść kopię, porozbijalbym wam wasze głupie łby.

Nie można było oczekiwać lepszego momentu do odejścia. Zabraliśmy nasz bukiet rozsiewający woń tanich perfum, ale zanim zdążyliśmy wyjść, zjawiała się chuda pielęgniarka z mężczyzną w białym kitlu. Przedstawiła nas sobie – mężczyzna okazał się zastępcą ordynatora, a według słów pielęgniarki my byliśmy krewnymi dziewiątki. Zastępca ordynatora bez wstępów pokazał nam rachunki i oświadczył, że koszty operacji i leczenia po zsumowaniu wynoszą powyżej dwudziestu tysięcy i kilkakrotnie podkreślił, że wszystko jest liczone wyłącznie po kosztach, bo gdyby policzyć według cennika, wypadłoby znacznie drożej.

W tym czasie Nos znowu wybuchnął płaczem i krzyczał:

– Wynoście się, wy lichwiarze, wy gnidy, wy robaki żerujące na trupach, ja was wcale nie znam! – Zaczął machać i uderzać w ścianę sprawną ręką, a potem wymacał dłonią butelkę na stoliku przy łóżku, cisnął nią w łóżko obok i trafił wychudłego staruszka leżącego pod kroplówką. – To moja córka otworzyła ten szpital, wy wszyscy pracujecie dla mojej córki, moje jedno słowo wystarczy, żebyście nie mieli co do miski włożyć...

Kiedy awanturował się tak, że nie dało się już rozmawiać, do sali weszła kobieta w czarnej sukni, z twarzą zasłoniętą czarnym welonem. Mistrzu, nie muszę mówić, kim była, bo z pewnością sam pan już zgadł. Tak jest, to była córka Nosa Chen Brew, ocalona z pożaru w fabryce zabawek, zeszpecona Chen Brew.

Wpłynęła na salę jak duch. Jej czarna suknia i czarny welon niosły ze sobą nastrój tajemnicy, wydawało się, że wraz z nią na sali pojawiły się mrok i zimno piekieł. Krzyki urwały się natychmiast, jakby ktoś odłączył prąd hałasującej maszynie. Nawet duszne powietrze zrobiło się chłodniejsze. Na magnolii za oknem żałośnie zaświergotał ptak.

Nie widzieliśmy jej twarzy, nie widzieliśmy nawet skrawka jej skóry. Widzieliśmy tylko jej wysoką, smukłą postać o długich nogach i szczupłych ramionach – miała figurę modelki. Oczywiście wiedzieliśmy, że to Brew. Ja i „Lwiczka” przypomnieliśmy sobie maleńką dziewczynkę w beciku sprzed dwudziestu lat. Skinęła nam głową i zwróciła się do zastępcy ordynatora.

– Jestem jego córką. Pokryję wszystkie koszty. Mistrzu, mam w Pekinie przyjaciela, który jest specjalistą od oparzeń i naukowcem w ośrodku akademickim szpitala 304. Powiedział mi kiedyś, że w przypadku oparzeń cierpienia psychiczne ofiar są nawet straszniejsze od cierpień fizycznych. Potężny szok i cios, których ofiara doznaje, pierwszy raz widząc w lustrze swoją zmasakrowaną twarz, są niezwykle trudne do zniesienia. Tacy ludzie potrzebują ogromnej odwagi, żeby żyć dalej.

Człowiek, Mistrzu, jest produktem okoliczności. Są sytuacje, w których tchórz nabiera odwagi, bandyta zdobywa się na dobroć, a najgorszy skąpiec potrafi sypnąć złotem. Pojawienie się Brwi i jej odwaga wzbudziły w nas wstyd, wstyd przerodził się w szlachetność, a szlachetność wymagała płacenia. Najpierw Ręka, a za nim my wszyscy zwróciliśmy się do Brwi:

– Brewko, dobre dziecko, my zapłacimy za twojego ojca.

– Dziękuję państwu za dobroć – odpowiedziała chłodno – ale mamy już zbyt wiele długów wobec innych, nie zdołamy ich spłacić.

A Nos krzyknął strasznym głosem:

– Wynoś się ty czarna, zasłonięta zmore! Tylko podszywasz się pod moją córkę! Moja jedna córka jest na studiach w Hiszpanii, królewicz się w niej zakochał i już planują ślub. Moja druga córka jest we Włoszech, kupiła najstarszą w Europie winnicę i produkuje najlepsze wino, a statek z transportem jej wina właśnie płynie do Chin!

ROZDZIAŁ 9

Mistrzu, jest mi niezmiernie wstyd, ale jeszcze nawet nie ruszyłem tej mojej długo oczekiwanej sztuki. Materiałów mam tak dużo, że czuję się trochę jak ten „pies, co chce ugryźć górę i nie wie, gdzie pysk przyłożyć”. Kiedy obmyślam akcję, w życiu ciągle zachodzą wydarzenia, które jakoś się z nią wiążą i swoim komizmem plączą wszystkie wątki. Poza tym jeszcze większą trudność sprawia mi to, że bez własnej woli wplątałem się w wielkie kłopoty. Nie wiem, jak mam się z nich wywikłać, albo inaczej mówiąc, nie wiem, jak mam odegrać rolę, która mi w nich przypadła.

Wydaje mi się, Mistrzu, że już Pan odgadł, że to, co pisałem wcześniej, nie było moim wymysłem, ale najprawdziwszym faktem. „Lwiczka” przyznała się wreszcie, że ukradła moje kijanki, żeby zapłodnić nimi Brew. Krew uderzyła mi do głowy, ogarnęła mnie wściekłość nie do opanowania i z całej siły uderzyłem ją w twarz. Przyznaję, że nie należy nikogo bić, a już szczególnie takie barbarzyństwo nie przystoi komuś, kto nosi zaszczytne miano dramatopisarza. Ale naprawdę, Mistrzu, oszalałem wtedy z wściekłości.

Po powrocie z przejażdżki promem rozpocząłem śledztwo, ale ilekroć szedłem na żabią farmę, za każdym razem zatrzymywali mnie ochroniarze. Dzwoniłem do Policzka i do kuzyna, ale oni zmienili numery komórek. Wypytywałem „Lwiczkę”, ale wyśmiała mnie i powiedziała, że całkiem zwariowałem. Wydrukowałem wszystko, co było w internecie na temat zapładniania kobiet na żabiej farmie i zaniósłem do komisji planowania urodzeń. Zatrzymali moje materiały i więcej się nie odezwali. Doniosłem o tym na policję, ale tam powiedzieli mi, że sprawa nie leży w ich gestii. Zadzwoiłem na gorącą linię w urzędzie miasta i głos w telefonie obiecał, że z pewnością zawiadomi o tym mera... I tak minęło kilka miesięcy. Kiedy w końcu wydusiłem prawdę z „Lwiczki”, dziecko w brzuchu Brwi miało już sześć miesięcy. A ja w wieku pięćdziesięciu pięciu lat miałem ni z tego, ni z owego bez własnej wiedzy zostać ojcem. O ile brutalne, sztucznie wywołane poronienie nie przerwie tej ciąży, zostanę ojcem na pewno. W młodości w taki właśnie sposób doprowadziłem do śmierci moją pierwszą żonę Renmei, i to jest coś, co sprawia mi najwięcej bólu. Zbrodnia, której nigdy nie odkupię. Ale teraz, nawet gdybym zdobył się na takie okrucieństwo, nic by to nie dało, bo i tak nie mogłem się dostać na żabią farmę, a gdybym nawet jakoś tam wszedł, i tak nie zobaczyłbym Brwi. Przypuszczam, że w Zakładzie Hodowli Żab znajdują się skomplikowane przejścia łączące się z podziemnym

labiryntem. A ponadto ze słów „Lwiczki” zrozumiałem, że Policzek i mój kuzyn są przestępcami, którzy nie liczą się z nikim i z niczym i są zdolni do wszystkiego.

Uderzona przeze mnie „Lwiczka” poleciała kilka kroków do tyłu i usiadła na ziemi. Z rozbitego nosa pociekła jej krew. Długo milczała, a kiedy wreszcie wydała z siebie dźwięk, nie był to płacz, ale nieprzyjemny śmiech. A potem powiedziała:

– Dobry cios! Biegaczu, ty bandyto! Ty śmiesz mnie bić, bo sumienia nie masz! Ja to zrobiłam tylko dla ciebie. Masz tylko córkę, nie masz syna, a jeśli nie będziesz miał syna, twoja linia skończy się na tobie. Nie mogłam urodzić ci syna i było mi z tym ciężko. Chciałam to jakoś naprawić, znaleźć kogoś, kto zajdzie w ciążę i da ci syna, żeby twoja krew miała kontynuację, żeby twój ród się nie skończył. A ty nie tylko mi nie dziękujesz, ale jeszcze mnie bijesz i to mnie bardzo boli...

Wtedy się rozplakała. Łzy i krew spływały jej po twarzy. Nie mogłem na to patrzeć. Ale kiedy przypomniałem sobie, że oszukała mnie w tak ważnej sprawie, znowu wezbrała we mnie złość.

– Wiem, że ci szkoda tych sześćdziesięciu tysięcy – płakała dalej. – Nie musisz ich płacić, zapłacę z własnej emerytury. Jak dziecko się urodzi, nie musisz go utrzymywać, sama je utrzymam. To nie ma nic wspólnego z tobą. Przeczytałam w gazecie, że za oddanie spermy można jednorazowo otrzymać sto juańów, zapłacę ci trzysta i uznajmy, że sprzedałeś mi swoją spermę. Możesz wrócić do Pekinu, możesz się ze mną rozwieść, możesz się nie rozwodzić, w każdym razie ciebie to nie dotyczy. Ale – otarła twarz i powiedziała twardo jak wojownik – jeśli zabijesz to dziecko, ja zabiję siebie, i to na twoich oczach.

Myślę, że z moich listów poznał już Pan jej charakter. Przez lata towarzyszyła ciotce w różnych miejscach, zetknęła się z najróżniejszymi ludźmi i jej osobowość nabrała cech jednocześnie bohaterskich i bandyckich. To jest twarda baba, przyciśnięta do muru gotowa jest na wszystko. Musiałem ją uspokoić, przemówić do rozsądku i uczuć i znaleźć jakieś właściwe rozwiązanie problemu.

Chociaż na myśl o aborcji robiło mi się zimno, wciąż łudziłem się, że sprawę da się rozwiązać w ten sposób. Ostatecznie, myślałem, Brew zgodziła się na tę ciążę tylko dla pieniędzy, więc jeśli jej zapłacę, wszystko ułoży się szczęśliwie. Pozostawała zatem wyłącznie jedna kwestia: gdzie mam znaleźć Brew?

Nie widziałem jej od tamtego spotkania w szpitalu. Jej czarny strój i czarna zasłona na twarzy, całe jej życie okryte sekretem uświadomiły mi, że w naszym Dongbeixiangui jest też jakiś nieznany, nigdy przeze mnie nieodwiedzany, tajemniczy świat. W tym świecie żyli błędni rycerze, szamani i ludzie w maskach. Przypomniałem sobie, że niedawno dałem Ręce pięćdziesiąt tysięcy na leczenie Nosa, żeby przekazał je Brwi, ale po kilku dniach zwrócił mi je i oświadczył, że nie przyjęła. Może Brew zgodziła się na zapłodnienie, żeby zapłacić szpitalne rachunki ojca – ta myśl mną wstrząsnęła, tego już było za dużo. Wszystko przez „Lwiczkę”! Postanowiłem pójść do Ręki, bo z naszej grupy kolegów on jeden zachował jeszcze zdrowe zmysły.

Wczoraj przed południem, kiedy siedziałem w moim kącie w restauracji Don Kichot, Ręka zasiadł naprzeciwko mnie. Na placu było pełno ludzi, odgrywano właśnie *Jednorożca przynoszącego dzieci*. Sancho przyniósł nam dwa kufle piwa i dyskretnie się ulotnił. Na twarzy miał jakiś dziwny uśmiech, jakby odgadł moją tajemnicę. Jąkając się, opowiedziałem o wszystkim Ręce, a on ku mojemu zdumieniu wybuchnął bezdusznym śmiechem.

– Z czyjśgo nieszczęścia się śmiejesz – powiedziałem gorzko.

Podniósł kufel i stuknął się ze mną, upił wielki łyk i rzekł:

– A jakie to nieszczęście? To raczej wielka radość! Gratuluję, bracie! Syn, co przychodzi późno, przynosi wielkie wesele!

– Przestań ze mnie żartować – powiedziałem smutno. – Jestem co prawda na emeryturze, ale wciąż w budżetówce, jak mi się urodzi dziecko, co mam powiedzieć władzom?

– Bracie, wszystkie organizacje, władze, jednostki pracy to więzy, które sami sobie nakładamy, a fakt jest taki, że twój plemnik połączył się z komórką jajową i stał się nowym życiem, które wkrótce pojawi się na ziemi. W ludzkim życiu nie ma większej radości, niż zobaczyć, że nasze geny odradzają się w nowym istnieniu, bo to nowe istnienie jest przedłużeniem naszego.

– Ale problem jest taki – przerwałem mu – że jeśli to dziecko się urodzi, gdzie mam je zarejestrować?

– To jest dla ciebie kłopot? Teraz są inne czasy, teraz, jeśli masz pieniądze, w zasadzie wszystko możesz załatwić. A poza tym nawet jeśli nie dostanie meldunku, będzie przecież człowiekiem, mieszkańcem tej planety i będzie posiadało wszystkie należne człowiekowi prawa.

– Dość tego, bracie, przyszedłem do ciebie po pomoc, a ty masz dla mnie tylko puste słowa. Odkąd tu przyjechałem, wy wszyscy, wykształceni czy nie, przemawiacie do mnie jak ze sceny. Gdzieście się tego nauczyli?

Roześmiał się.

– Żyjemy w kulturalnym społeczeństwie, a w kulturalnym społeczeństwie każdy człowiek jest aktorem teatralnym, filmowym, telewizyjnym lub kabaretowym... Wszyscy gramy w sztuce, a czyż społeczeństwo nie jest wielką sceną?

– Przestań już – rzekłem. – Wymyśl coś, nie chcesz chyba, żebym do Nosa musiał mówić „teściu”?

– A cóż by w tym było złego? Słońce by zgasło? Ziemia przestałaby się obracać? Powiem ci coś ważnego: nie wyobrażaj sobie, że wszystkich interesują twoje sprawy. Wydaje ci się, że wszyscy wciąż na ciebie patrzą? Ludzie mają swoje własne zmartwienia i nikogo nie obchodzą twoje problemy. To, czy córka Nosa urodzi ci syna, czy jakaś inna kobieta urodzi ci syna, to wyłącznie twoja sprawa. A nawet jeśli paru wścibskich trochę o tobie pogada, to wszystko minie jak chmury rozwiane przez wiatr. Najważniejsze jest to, że dziecko to twoja krew, a to jest warte zapłacenia.

– Ale ja i Nos... to prawie jak kazirodztwo!

– Bzdura! Nie masz żadnych rodzinnych więzi z Brwią, jakie to kazirodztwo? A jeśli chodzi o wiek, tym bardziej nie ma problemu. Kiedy osiemdziesięciolatek żeni się z osiemnastoletnią dziewczyną, wszystkie gazety o tym piszą. A poza tym ty nawet nie widziałeś jej ciała, ona jest tylko narzędziem, wynająłeś ją tylko, i to wszystko. A zatem, bracie, nie ma co tyle myśleć, nie ma co szukać sobie zmartwień, lepiej się pogimnastykuj i przygotuj się do ojcostwa.

– Skończ z tymi radami bez sensu. – Pokazałem mu swoje spierzchnięte usta. – Widzisz, co ze mną zdenerwowanie zrobiło? Przez wzgląd na mnie proszę: przekaż ode mnie Brwi, że chcę, aby natychmiast przerwała ciążę, zapłacę jej ustaloną sumę i jeszcze dołożę dziesięć tysięcy, pokryję wszystkie koszty zabiegu i wszelki uszczerbek na zdrowiu. Jeśli uzna, że to za mało, dołożę jeszcze dziesięć tysięcy.

– A po co? Skoro taki jesteś rozrzutny, to nie lepiej, jak dziecko się urodzi, normalnie karę zapłacić, zarejestrować i zostać najlegalniejszym ojcem?

– Nie mogę tego powiedzieć władzom.

– A nie cenisz się aby za wysoko? – zadrwił. – Bracie, władze mają dość spraw na głowie, nie mają czasu tobą się zajmować. A kimże ty jesteś? Autorem kilku sztuczydeł, których i tak nikt nigdy nie oglądał. Co ty myślisz, że cesarzem jesteś? Że jak ci się syn urodzi, to święto państwowe ogłoszą?

Kilkoro turystów z plecakami, rozglądając się, weszło do restauracji, a Sancho potoczył się ku nim jak piłeczka i powitał ich z uśmiechem. Zniżyłem głos:

– Nigdy cię o nic nie prosiłem, proszę cię tylko o to jedno.

Skrzyżował ręce na piersiach i pokręcił głową z wyrazem bezradności.

– Kurwa mać, ty łajdaku, będziesz spokojnie patrzeć, jak mnie na stos prowadzą?

– A ty chcesz, żebym ci pomógł popełnić zabójstwo? – też zniżył głos. – Sześciomiesięczny płód już może z brzucha „tata” do ciebie wołać!

– Pomożesz mi czy nie?

– A tobie się wydaje, że ja się mogę spotkać z Brwią?

– Ale na pewno możesz się zobaczyć z Nosem. Przekaż moje słowa Nosowi, niech on porozmawia z Brwią.

– Jak chcesz zobaczyć się z Nosem, to nic łatwiejszego. Codziennie zebrze przed bramą do świątyni, a wieczorem przychodzi tutaj i wszystko przepija, a przy okazji jeszcze ściąga chleb. Możesz tu posiedzieć i poczekać na niego, albo pójść i poszukać go w świątyni. Ale wolałbym, żebyś o tym z nim nie rozmawiał, bo i tak nic ci to nie da. Jeśli masz trochę litości, nie będziesz go tym dręczył. Jeśli przez lata czegoś się nauczyłem, to tego, że w ciężkiej sytuacji najlepiej zachować spokój i zobaczyć, co się zdarzy: niech woda sama pokieruje łodzią.

– Dobrze – powiedziałem. – Niech woda pokieruje łodzią.

– Bracie, gdy nadejdzie czas, urządzę ci wielki bankiet, będziemy razem świętować.

ROZDZIAŁ 10

Kiedy wyszedłem z restauracji, poczułem się dużo spokojniejszy. Rzeczywiście, nie dzieje się nic, z czym nie można by sobie poradzić, to tylko dziecko ma się urodzić. Słońce świeciło nadal, ptaki śpiewały jak zawsze, kwiaty kwitły, trawa się zieleniła, wietrzyk wiał. Na placu rozstawiał się orszak Pani Niosącej Synów, huczały bębny, a marzące o synu kobiety tłoczyły się wokół z nadzieją, że uda im się wyrwać upragnione dziecko z rąk bogini. Ludzie tak gorąco opiewają płodność, wyczekują potomków, gratulują narodzin i tylko ja zadreślałem się tym, że ktoś nosi moje dziecko, tylko ja martwiłem się tym i gryzłem. Wynikało z tego jedno: problem tkwił nie w innych, ale we mnie.

Mistrzu, z tyłu za wielką kolumną, po prawej stronie świątynnej bramy, zobaczyłem Nosa i jego psa. Ten pies był zagraniczny, z sierścią pokrytą czarnymi cętkami, dużo szlachetniejszej rasy niż tamten rodzimy kundel, który zginął pod kołami. Jak to się stało, że taki drogi zagraniczny pies zaprzyjaźnił się z włóczęgą? To była tajemnica, ale też nic niezwykłego. W takim miejscu jak Dongbeixiang, które właśnie przechodzi swój czas rozwoju, rzeczy obce i swojskie mieszają się ze sobą: dobro miesza się ze złem, trudno rozdzielić piękno i brzydotę, słuszność i niesłuszność, prawdę i fałsz. Goniący za modą nuworysze, kiedy robią majątki, gotowi są sobie kupić nawet tygrysa, a kiedy zbankrutują, własną żonę mogliby sprzedać za długi. Po ulicach włóczyło się pełno bezpańskich psów najdroższych ras, które jeszcze niedawno były pupilami bogaczy. Tak samo było na początku ubiegłego wieku, kiedy po rewolucji w Rosji wiele wielkich dam musiało uciekać do Harbinu, a tam, żeby przeżyć, zapomniały o swojej sferze i albo wdzięczyły się jako prostytutki, albo wychodziły za mąż za ciężko pracujących biedaków z samych nizin, zostawiając po sobie potomków mieszanej rasy. Być może wielki nos i głęboko osadzone oczy Nosa miały związek z tym okresem historii, może z takich samych powodów przyłączył się do niego bezpański dalmatyńczyk.

Myślałem tak sobie, obserwując ich z boku, z kilkunastometrowej odległości. Obok Nosa stały kule, a przed nim leżał rozłożony kawałek czerwonego płótna, na którym z pewnością znajdowała się prośba o jałmużnę dla kaleki. Od czasu do czasu jakaś elegancka kobieta schylała się i do żelaznej miski wrzucała banknot albo kilka monet, a wówczas pies podnosił łeb i łagodnie, z wdzięcznością szczekał po trzy razy. Ani więcej, ani mniej, zawsze trzy razy. Wzruszone tym panie czasami wrzucały coś dodatkowo. A ja pozbyłem się już myśli przekupienia go, żeby nakłonił Brew do aborcji. Podszedłem do niego z ciekawości, bo chciałem zobaczyć, co ma napisane na swojej czerwonej szmatce – taki nałóg literata.

Napis brzmiał tak:

*Jestem niebianinem o żelaznej lasce,
Razem z psem nieśmiertelnym zstąpiłem na ziemię,
Pani Niosąca Synów to jest moja ciotka,
Wysłała mnie tutaj ze specjalną misją,
Gdy ktoś mnie wspomóżę, obdarzy go synem,
Który na egzaminach zajmie pierwsze miejsce.*

Domyśliłem się, że tekst jest dziełem Wątroby, a kaligrafia Ręki, każdy z nich na swój sposób próbował pomóc nieszczęśliwemu koledze. Nogawki szerokich spodni Nosa były podwinięte, ukazując łydki podobne do zgniłych kabaczków. Nagle przypomniała mi się historia opowiadana mi kiedyś przez matkę:

Kiedy Li Żelazna Laska został nieśmiertelnym, w domu przed posiłkiem zabrakło opału i żona spytała: „Czym napalić w piecu?”, odpowiedział jej: „Nogą”. Po czym wsadził nogę do pieca, podpalił i rzeczywiście zajęła się trzaskającym ogniem, a z garnka od razu podniosła się para. W tym momencie do domu weszła bratowa i zawołała przestraszona: „Ojej, bracie, uważaj, żebyś sobie nogi nie spalił!”. Kiedy tak powiedziała, noga naprawdę się spaliła. Morał z tej opowieści, powiedziała mama, jest taki: Kiedy widzi się cud, trzeba zachować milczenie, nie wolno krzyczeć ani się dziwić.

Ubrany był w czerwoną puchową kurtkę, poplamioną tłuszczem, błyszczącą niczym zbroja. Był czwarty miesiąc księżycowy, pogoda ciepła i przyjemna. Na dalekich polach pszenica nabierała ziaren, w dalekich stawach i na niedalekiej farmie Policzka żaby wydawały swoje godowe wołania. Młode dziewczęta prezentowały wdzięki w lekkich jedwabnych sukienkach, a ten mój stary druh był tak opatulony. Na widok jego kurtki zrobiło mi się gorąco, ale on kulił się i trząśł z zimna. Jego twarz miała kolor starego brązu, a łysina na czubku głowy błyszczała jak wygładzona papierem ściernym. Nie rozumiałem, po co mu brudna płócienna maska na twarzy, może po to, żeby zasłonić przyciągający uwagę nos? Jego zapadnięte oczy zetknęły się z moim niepewnym spojrzeniem. Natychmiast odwróciłem wzrok i spojrzałem na psa. Pies też popatrzył na mnie, a jego oczy były tak samo puste i obojętne. Brakowało mu kawałka lewej łapy, jakby obciętego jakimś ostrym narzędziem. Pojąłem wtedy, że psa i człowieka zbliżyła wspólna dola, i pojąłem też, że nie mam tu co robić, że nie mam nic do powiedzenia i zostało mi tylko jedno: rzucić trochę pieniędzy i natychmiast odejść. W kieszeni miałem tylko stujuanowy banknot, który przeznaczyłem na obiad i kolację, ale bez wahania wrzuciłem go do metalowej miski. Nos nie zareagował, a pies z obowiązku zaszczekał trzy razy.

Westchnąłem i odszedłem. Po kilkadziesiąt krokach odwróciłem się jeszcze, podświadomie ciekaw, co zrobi z taką ilością pieniędzy. W misce znajdowały się głównie jednojuanowe papierki i monety, wszystkie okropnie brudne, więc czerwony banknot szczególnie przyciągał wzrok. Chyba poza mną nikt nie dał mu takiej szczodrej jałmużny i byłem przekonany, że moje sto juanów nie zostawi go obojętnym. Ale, Mistrzu, ja naprawdę „mierzyłem szlachetnego miarką prostaka”, bo obejrzawszy się, zobaczyłem taką scenę: kilkunastoletni krępy i ogorzały chłopak wyskoczył zza kolumny, nachylił się nad miską, porwał banknot, odwrócił się i uciekł. Ruszał się błyskawicznie, zanim zdążyłem zareagować, oddalił się już na kilkanaście metrów i uliczką wzdłuż muru świątyni pędził w kierunku chińsko-amerykańskiego szpitala matki i dziecka. Chłopak miał zęba i łatwo go było zapamiętać, byłem pewien, że gdzieś już go widziałem. Przypomniałem sobie, że miało to miejsce niedługo po naszym powrocie, w dzień otwarcia szpitala: to on podał ciotce zawiniętą w papier żabę, która ją tak przeraziła.

To nagłe wydarzenie nie wywołało u Nosa żadnej reakcji. Dalmatyńczyk kilka razy cicho szczechnął za chłopakiem, potem podniósł łeb, spojrzął na pana i umilkł, położył pysk na łapach i znów zapanował spokój.

Byłem bardzo zdenerwowany – przez wzgląd na Nosa i jego psa, ale także przez wzgląd na siebie. To były moje pieniądze! Chciałem zaalarmować ludzi wokół, ale wszyscy byli czymś zajęci, całe zdarzenie odbyło się błyskawicznie i nikt nie zwrócił na nie uwagi. Nie miałem zamiaru pozwolić mu uciec, temu szczeniakowi, który psuł prostą, uczciwą, wiejską atmosferę naszego Gaomi Dongbeixiang. Czyj to był bachor? Dokuczył kobiecie, okradł kalekę, jedno i drugie to było draństwo. A poza tym po jego wprawnych ruchach można było zgadnąć, że nie pierwszy raz kradł pieniądze z miski Nosa. Przyśpieszyłem kroku i ruszyłem w tym samym kierunku co on. Był przede mną, w odległości jakichś pięćdziesięciu metrów. Nie biegł już. Podskoczył i uderzył ręką w zwisające nad ulicą bladożółte, miękkie gałązki wysokiej wierzby. Nie oglądał się. Wiedział, że ani okradziony przez niego kulawy żebrak, ani jego kulawy pies nie będą go gonić. Poczekaj, szczeniaku, ja cię dogonię.

Skręcił w kierunku targu nad rzeką. Nad targiem zawieszony był zielony, plastikowy dach, więc światło wewnątrz też było zupełnie zielone. Poruszający się pod nim ludzie wyglądali jak ryby pływające w wodzie.

Towarów na targu było mnóstwo, a rozstawione stragany tworzyły kręte korytarze. W części z produktami rolnymi na straganach leżały przedziwne warzywa i owoce, w najróżniejszych kolorach i kształtach, z których wielu nawet ja, który urodziłem się w chłopskiej rodzinie, nie potrafiłbym nazwać. Przypomniałem sobie, jak trzydzieści lat temu brakowało wszystkiego, i tylko westchnąłem.

Chłopak, poruszając się lekko i sprawnie, skierował się prosto do ryb. Znów przyspieszyłem kroku, ale rozłożone na straganach ryby, żółwie, kraby i krewetki przyciągały mój wzrok. Te podobne do prosiaków, srebrzyste i lśniące łososi pochodziły z Rosji. Rozstawiające szeroko nogi, podobne do wielkich pajaków, włochate kraby przywieziono z Hokkaido. Sprzedawano też homary z Ameryki Południowej i uchowce z Australii, choć oczywiście najwięcej było zwykłych karasi, bram, mandarynów i innych przeciętnych ryb. Pokrojone w plastry pomarańczowe mięso łososi utrzymywało świeżość rozłożone na lśniącym lodzie. Ze straganów, na których pieczono ryby, unosił się bijący w nozdrza zapach.

Szczeniak zatrzymał się przed sprzedawcą pieczonych kalmarów, wyciągnął mój banknot, kupił sobie porcję, wziął resztę. Odchyliwszy głowę do tyłu, włożył do ust szpikuliec z nawleczonymi kalmarami i jego poza przypominała teraz połykacza mieczy sprzed świątyni. Kiedy chwycił ustami ociekający ciemnoczerwonym sosem plasterek kalmara z kawałkami cienkich macek, skoczyłem na niego i z tyłu złapałem go za kołnierz.

– Nie uciekniesz, złodzieju! – wrzasnąłem.

Skulił się, wyszarpnął kołnierz z mojej ręki. Chwyciłem go za nadgarstek. Uderzył mnie szpikulcem z pryskającymi sosem kalmarami, cofnąłem rękę, a on wyslizgnął mi się jak piskorz. Rzuciłem się w przód i złapałem go za ramię. Szarpnął się gwałtownie i jego wytarta koszulka rozdarła się z trzaskiem, ukazując gładką skórę podobną do skóry makreli. Wybuchnął głośnym lamentem; w jego oczach nie było łez, był tylko jak wilk i z wściekłością zamierzył się na mnie szpikulcem, celując w mój brzuch. Uskoczyłem, ale nie dość szybko, trafił mnie w lewą rękę; początkowo nie poczułem bólu, tylko przykre pieczenie, ostry ból pojawił się po chwili razem z krwią. Zakryłem ręką ranę i zawołałem:

– To złodziej! Okradł kalekę!

Z głośnym wyciem, podobnym do kwiku rozszalałej świni, rzucił się na mnie. Jego spojrzenie, Mistrzu, było straszne, naprawdę się przeraziłem i zacząłem się cofać, zasłaniać przed jego ciosami, krzyczeć, a on atakował mnie z wrzaskiem:

– Zapłać mi za ubranie! Płać za ubranie!

Obrzucał mnie przekleństwami, których się nie da powtórzyć, naprawdę wstyd mi, Mistrzu, za młode pokolenie z moich rodzinnych stron. Porwałem ze straganu deseczkę z nazwą i ceną ryby, i posługując się nią jak tarczą, osłaniałem się przed jego ciosami. Jego uderzenia stawały się coraz bardziej zawzięte, wprost zabójcze. Na desce jeden po drugim pojawiały się ślady ukłuć, moja prawa ręka, której też nie zdążyłem cofnąć, spływała krwią. Byłem oszołomiony, bezradny, jedynie instynktownie cofałem się i osłaniałem, nogi miałem niepewne. Kilka razy stopa utkwiała mi w koszu z rybami, potknąłem się o jakieś deski i niemal upadłem. Gdybym upadł, Mistrzu, nie pisałbym teraz tego listu. Gdybym upadł, albo ten drapieżny jak pantera dzieciak zakłułby mnie na śmierć, albo ciężko ranny trafiłbym do szpitala.

Muszę przyznać, Mistrzu, że strasznie się bałem, wyszła na wierzch cała moja słaba, tchórzliwa natura. W panice rozglądałem się na obie strony, z nadzieją, że któryś ze sprzedawców mi pomoże, że ktoś wyratuje mnie z niebezpieczeństwa, ale sprzedawcy albo przyglądali się z założonymi rękami, albo w ogóle nie zwracali uwagi, albo wręcz klaskali i wołali „brawo!”. Jestem nędznym człowiekiem, boję się śmierci i brak mi ducha walki, cofałem się przed atakiem kilkunastoletniego wyrostka i wreszcie usłyszałem swój głos, błagalny i płaczliwy, podobny do skomlenia bitego psa:

– Ratunku... ratunku...

Chłopak przestał już lamentować – on naprawdę wcale nie płakał – wbił we mnie oczy jakby pozbawione białek, podobne do dwóch tłustych kijanek. Przygryzł dolną wargę i patrząc mi w twarz, zatrzymał się na chwilę, a potem skoczył. Ratunku... Z krzykiem podniosłem deseczkę... trafił mnie w rękę, poleciała krew... Znowu do mnie doskoczył... I tak atakował raz za razem, a ja cofałem się tchórzliwie... Wzywając ratunku, cofałem się w stronę słonecznego blasku...

Rzuciłem deseczkę, odwróciłem się i zacząłem uciekać. Mistrzu, wstydzę się Panu pisać o moim żalonym zachowaniu, ale komu mam się poskarżyć, jeśli nie Panu? Biegłem przed siebie na oślep, słysząc po obu stronach jakieś krzyki i wrzaski. Wpadłem na uliczkę z knajpkami, przed jedną z nich stał srebrzysty samochód. Nad wejściem zobaczyłem czarny szyld z napisem Bażant, wykonanym dziwną, czerwoną czcionką. Przed wejściem siedziały dwie kobiety, jedna wysoka i gruba, druga niska i filigranowa. Podniosły się gwałtownie. Rzuciłem się w ich stronę, jakbym zobaczył wybawców, noga zaplątała mi się w coś i upadłem, a z rozbitych ust i dziąseł popłynęła krew. Okazało się, że zahaczyłem stopą o żelazny łańcuch rozpięty między dwoma metalowymi słupkami. Kobiety przyskoczyły do mnie, chwyciły za ramiona i szarpnęły do góry, a wtedy na moją twarz poleciał grad uderzeń i ślina.

Chłopak nie przybiegł tu za mną i to było moje szczęście, ale za to osaczyły mnie teraz te kobiety. Zaczęły na mnie wrzeszczeć, krzyczeć, że przewróciłem słupek, a z kolei on, przewracając się, uderzył w ich samochód i rozbił im auto. Mistrzu, z tyłu pod bagażnikiem rzeczywiście była niewielka biała rysa, ale to na pewno nie słupek ją zarysował! Trzymały mnie, nie puszczały, wymyślały, klęły, aż zgromadzili się wokół nas gapie. Najgorsza była ta niska i drobna, było w niej coś podobnego do tamtego chłopaka. Jej palec dźgał mnie raz po raz, jakby chciała wybić mi oczy. Moje próby tłumaczeń zginęły w potoku wyzwisk. Osłaniając głowę, siedziałem przykucnięty na ziemi, ogarnięty rozpaczą, jakiej dotąd nie znałem.

Przyczyną, dla której zdecydowaliśmy z „Lwiczką” osiedlić się na wsi, było podobne wydarzenie, które spotkało nas na ulicy Huguosi w Pekinie. Naprzeciwko Teatru Ludowego jest restauracja Dzikie Bażanty. Szliśmy obejrzeć plakaty i tak samo potknęliśmy się o łańcuch i białoczerwony metalowy słupek. Słupek przewrócił się dość daleko od tyłu białego samochodu, ale siedząca przed restauracją ufarbowana na blond dziewczyna o drobnej, zaciętej twarzy i ustach cienkich jak ostrze noża, przyskoczyła do auta i odkrywając na nim rysę wielkości łebka od gwoździa, uparła się, że myśmy ją zrobili. Wymachując rękami, wymyślała nam w tym typowym dla pekińskich zaułków slangu najgorszych nizin. „Ja od małego tu mieszkam – krzychała – nie takich jak wy widziałam! Wy chamy wioskowe, wracajcie na wiochę w gnoju się grzebać, co was tutaj do stolicy przygnało? Walucie ludowej chcecie wstyd przynosić?”. Jakaś gruba kobieta, cuchnąca maścią na hemoroidy, przyskoczyła i zaczęła nas okładać pięściami. Stojący obok łysy mężczyzna z gołym brzuchem przyłączył się do nich, chwając się swoim pekińskim urodzeniem, każąc nam przeproszać i pokrywać straty. Pokornie przeprosiłem, zapłaciłem. Mistrzu, kiedy wróciliśmy do domu, rozplakaliśmy się i postanowiliśmy wrócić na wieś. Wydawało nam się, że może w rodzinnych stronach nikt nie ośmieli się nas poniżyć. Nigdy się nie spodziewałem, że natknę się tutaj na ludzi w niczym nieustępujących tamtym z

pekińskiej ulicy. Mistrzu, ja naprawdę nie mogę zrozumieć, dlaczego ludzie potrafią być tacy straszni?

Tymczasem zbliżało się do mnie większe niebezpieczeństwo – nadszedł tamten chłopak. Zjadł już wszystkie kalmary ze szpikulca, który stał się teraz jeszcze gorszą bronią. Poza tym nagle uświadomiłem sobie, że drobna kobieta była jego matką, a ta gruba zapewne ciotką. Instykt przetrwania poderwał mnie na nogi. Chciałem uciec, bo przecież bieg to moja mocna strona, chociaż przez wiele lat dobrobytu zapomniałem o tym, że doskonale biegam. Teraz, w momencie śmiertelnego zagrożenia, talent biegacza znów się we mnie przebudził. Kobiety usiłowały mnie zatrzymać, chłopak gwizdnął głośno, a ja zawyłem jak pies zapędzony do kąta. Cały zakrwawiony, z wyszczerzonymi zębami musiałem je trochę przestraszyć, bo gdy zawyłem, na ich twarzach pojawił się wyraz osłupienia. Zwykle taki wyraz u kobiet budzi we mnie współczucie. Korzystając z ich zaskoczenia, skoczyłem w wolną przestrzeń między dwoma samochodami.

Biegnij, Nogo, biegnij, Biegaczu!
Pięćdziesięcioletni Biegacz znowu odzyskał szybkość!
Pędziłem uliczką, nad którą unosiły się zapachy pieczonej kury, ryb, baranich szaszłyków i wiele innych nieznanymi woni. Poczułem, że moje nogi są lekkie jak puch, ziemia pod stopami nabrała sprężystości, wspomagając każdy mój krok, byłem sarną, byłem gazelą, byłem Supermanem na księżycu, lekkim jak jaskółka. Poczułem, że jestem rumakiem, wspaniałym rumakiem, którego kopyta w powietrzu depczą chmury, niebiańskim rumakiem w przestworzach, nieskrępowanym i wolnym...

W rzeczywistości jednak ta przemiana w niebiańskiego rumaka była ledwie chwilowym złudzeniem. Faktyczna sytuacja wyglądała następująco: sapiałem jak miech, w gardle miałem ogień, serce waliło mi jak młot i rozsadzało pierś, głowa zdawała się puchnąć, ciemniało mi przed oczami i miałem wrażenie, że naczynia krwionośne za chwilę się rozerwą. Instykt przetrwania, który wspomógł moje osłabione ciało, tak naprawdę był czymś w rodzaju przedśmiertnego spazmu. Z boku usłyszałem jakiś głośny krzyk i naprzeciw mnie wyrósł młodzieniec z brodą, w czarnej sunjatsenowskiej marynarce, o zielonych oczach, które wyglądały jak połyskujące nocą świetliki. Już prawie mnie pochwycił swoimi bladymi palcami, ale w tym momencie z ust buchnęła mi krew i trafiła prosto w jego pobladałą twarz. Jęknął żałościwie, ukucnął i zasłonił twarz rękami. Było mi bardzo przykro, Mistrzu, wiedziałem, że próbował mnie zatrzymać z najszlachetniejszych pobudek, próbował mnie zatrzymać, bo był porządnym człowiekiem. Wykrztuszona przez mnie krew była jak wnętrzności mątwy, wyrzucane przez nią w chwili śmiertelnego zagrożenia. Zabrudziłem mu twarz, zalałem mu oczy i naprawdę było mi szczerze przykro z tego powodu. Gdybym był człowiekiem z charakterem, nawet z ostrym mieczem grożącym mi za plecami, powinienem był się zatrzymać, przeprosić, poprosić o wybaczenie, ale nie zrobiłem tego, Mistrzu, i niezmiernie wstydzę się tego w obliczu Pańskich

nauk.

A potem jeszcze kilku stojących na poboczu godnie wyglądających dżentelmenów krzyknęło coś głośno, ale nie zbliżali się do mnie; widocznie przestraszyła ich moja budząca grozę umiejętność strzykania krwią. Jeden z nich rzucił we mnie butelką niedopitej coca-coli i ten brązowy, symbolizujący kulturę amerykańską płyn poleciał za mną, pieniać się złościście...

Mistrzu, każda sytuacja ma swój koniec, nawet najlepsza i najgorsza sytuacja zawsze ma swój koniec. Także ta pogoń i ta ucieczka, w których nie wiadomo już było, kto jest dobry, a kto zły, wreszcie zakończyła się u bramy chińsko-amerykańskiego szpitala matki i dziecka, przy której padłem ostatecznie wyczerpany. Z pokrytego zielenią i kwiatami dziedzińca szpitala wyjeżdżało właśnie błyszczące bmw o barwie szafiru. Mój upadek musiał na jego pasażerach zrobić bardzo nieprzyjemne wrażenie; cały byłem we krwi, jak pies, który spadł z wysokości. Najpierw się przerazili, potem pomyśleli, że to zły omen. Wiem, że im ludzie są bogatsi, tym bardziej stają się przesądni, bo przesady są wprost proporcjonalne do bogactwa. Wiem, że bogaci wierzą w przeznaczenie bardziej niż ubodzy i bardziej zależy im na życiu niż ubogim. To normalne. Ubogim co najwyżej zbije się stara miska, bogaci niosą swe bogactwa, jakby trzymali w rękach szlachetną porcelanę.

Mój nagły upadek spłoszył bmw, jakby przeraził ogiera – gwałtownie stanęło dęba, błysnęło oczami i zarżało z lękiem. Jest mi tak strasznie przykro, przepraszam, stokrotnie przepraszam. Chciałem się poruszyć, podczołgać kawałek, żeby zrobić mu miejsce, ale moje ciało, jak gąsienica przyszpilona pineską, nie zdołało się przesunąć. Przypomniałem sobie psotę z czasów dzieciństwa, a nawet dorosłości: brałem pineskę albo kolec i wbijałem go w ogon zielonej albo czarnej gąsienicy, a potem patrzyłem, jak się wije, jak żądza życia walczy z nieposłusznym ciałem. Nie miałem wtedy żadnej litości, nawet wydawało mi się to zabawne. W porównaniu z gąsienicą byłem wielki i silny, tak wielki i silny, że gąsienica nie potrafiłaby nawet wyobrazić sobie mojego rozmiaru. Dla gąsienicy byłem tajemniczą siłą niosącą katastrofy. Nawet nie czuła mojej okrutnej ręki, czuła jedynie pineskę albo kolec. Teraz sam doświadczyłem cierpienia, które kiedyś sprawiałem tym nieszczęsnym stworzeniom. Gąsienice, wybaczcie mi, przepraszam, *I'm so sorry!*

Zobaczyłem, jak mężczyzna w samochodzie uderza w kierownicę, a potem naciska klakson, który odezwał się cicho. Najwyraźniej kierowca był człowiekiem dobrze wychowanym i cierpliwym, na pewno nie był zwykłym nuworyszem. Nuworysz zatrąbiłby na mnie jak syrena alarmowa. Nuworysz wystawiłby głowę przez okno i sklął mnie najgorszymi słowy. Dla takiego dobrego człowieka tym bardziej chciałem się odczołgać, ustąpić mu drogi, ale moje ciało wciąż nie słuchało poleceń.

Wreszcie, nie mając innego wyjścia, mężczyzna wysiadł. Miał na sobie łososiowy dres z pomarańczową kratką na kołnierzu i rękawach. Przypomniałem sobie mgliście, że kiedy jeszcze mieszkałem w Pekinie, pewien biegły w światowych markach znajomy powiedział mi, jak ta firma nazywa się po chińsku, ale zapomniałem. Nigdy nie mogę zapamiętać marek, zapewne jest to jakaś blokada psychiczna, rodzaj zemsty ubogich wobec bogatych, pokrętny wyraz zazdrości. Tak samo wolę chińskie bułki na parze od zachodniego chleba, chińską pastę sojową od sera. Kiedy mężczyzna wysiadł, nie zwymyślał mnie ani nie kopnął, lecz krzyknął niecierpliwie do ochroniarzy: „Zabierzcie go na bok!”.

A potem nagle zmrużył oczy, odchylił głowę do tyłu, żeby zobaczyć słońce i głośno kichnął. Wspomnienia stanęły mi przed oczami. Znów poznałem go po kichnięciu: Xiao Dolna Warga czy – jak się teraz nazywał – Xiao Lato-Wiosna, mój kolega ze szkoły, niegdyś wysoki urzędnik, obecnie bogacz. Podobno w czasie „gorączki węgla” dzięki węglowi zarobił swój pierwszy wór pieniędzy, a potem, wykorzystując polityczne znajomości, kręcił się tu i tam i robił interesy, które w końcu uczyniły go miliarderem. Czytałem, jak w jakimś wywiadzie opowiadał historię o jedzeniu węgla. Pamiętam bardzo dobrze, że on wtedy nie jadł, to myśmy jedli, on tylko oglądał trzymaną w ręku bryłkę. Mistrzu, ja nawet w takiej beznadziejnej sytuacji czepiałem się szczegółów, naprawdę nie ma dla mnie lekarstwa.

Jeden ochroniarz nie dał rady mnie przesunąć, więc dwóch chwyciło mnie razem za ramiona i w zasadzie dość łagodnie przesunęli mnie pod wielki billboard po wschodniej stronie bramy. Posadzili mnie, oparli plecami o ścianę. Zobaczyłem, że mój kolega Xiao wsiada do samochodu. Widziałem, jak samochód ostrożnie przejeżdża przez bramę, potem zakręca i znika. Właściwie, nie tyle nawet widziałem, ile wyobraziłem to sobie. Na tylnym siedzeniu siedziała śliczna panna Bi z czarnymi włosami rozpuszczonymi na ramionach, a w objęciach trzymała różowiotkie niemowlę.

Moja pogoń zbliżyła się w komplecie. Obydwie kobiety, chłopak, młodzieniec w sunjatsenowskiej marynarce, którego obryzgałem krwią, panowie, którzy rzucili we mnie coca-colą, stali i przyglądali mi się z pochylonymi głowami. Kilkadziesiąt twarzy ułożyło się przede mną w niewyraźny rysunek. Chłopak chciał mnie dźgnąć trzymanym wciąż w rękę szpikulcem, ale powstrzymała go ta wyglądająca na młodszą kobieta. Jakiś mężczyzna sprawiający wrażenie profesora wyciągnął szczupłe ręce i zatrzymał mi je przed nosem, a ja wiedziałem, że sprawdza w ten sposób, czy oddycham. Wstrzymałem oddech, bo chciałem się ocalić. W dzieciństwie słyszałem, jak pewien bywały w świecie staruszek mówił, że jeśli w górach natknąć się na tygrysa albo niedźwiedzia, najlepiej położyć się, wstrzymać oddech i udawać trupa. Wielkie drapieżne zwierzęta są rycerskie, rycerz nie bije tego, kto się poddaje, a drapieżnik nie zjada trupów. Ten sposób okazał się bardzo skuteczny: profesor przestraszył się, nie powiedział słowa, tylko odwrócił się na pięcie i odszedł. Jego zachowanie powiedziało wszystkim: on nie żyje! Chociaż w ich oczach byłem złodziejem, który pozbawił ich dóbr, prawo naszego kraju nie pozwala porządnym obywatelom zabijać na ulicach wstrętnych złodziei. Dlatego rozpierzchli się w panice – zawsze lepiej jest mieć jeden problem mniej niż jeden więcej. Kobiety odciągnęły chłopaka i oddalili się pospiesznie. Odetchnąłem głęboko, doświadczywszy przed chwilą szacunku i powagi

należnych zmarłym.

Któryś z ochroniarzy musiał zawiadomić policję, bo gdy usłyszałem syrenę, pojawili się obaj i zaczęli wyjaśniać sytuację. Podeszło do mnie trzech policjantów, zaczęli się dopytywać. Mieli młodziutkie twarze, a po ich żółtych zębach poznałem, że są tutejsi. Gardło mi się ścisnęło, w oczach stanęły łzy. A potem rozplakałem się jak skrzywdzone przez obcych dziecko na widok rodziców. Tylko jeden z nich, chłopak z brodawką między brwiami, z odrobiną uwagi wysłuchał mojej skargi, dwaj pozostali przyglądali się billboardowi. Kiedy skończyłem, policjant z brodawką zapytał:

– Jak możemy sprawdzić, czy to wszystko prawda?

– Możecie się spytać Chena Nosa – odrzekłem.

Wysoki policjant, nadal wpatrzony w reklamę, mruknął:

– Jak pan się czuje? Zabrać pana do szpitala?

Spróbowałem poruszyć nogą – ruszała się. Spojrzałem na rany na rękach – już nie krwawiły.

– Jeśli panu nie szkoda czasu, może pan z nami pojechać na komendę i złożyć zeznania – powiedział ten z brodawką.

– A jak szkoda, niech pan wraca do domu i doprowadzi się do porządku.

– Jak to? – zapytałem. – To sprawiedliwość już się nie liczy?

– Oczywiście, że się liczy – odpowiedział. – Ale, staruszkule, potrzebujemy dowodów, potrzeba nam świadków. Nakłoni pan Chena Nosa i tamtych sprzedawców, żeby byli świadkami? Jest pan pewien, że te kobiety i chłopak nie odgryzą się na panu? Ten chłopak to wnuk bandziora z Dongfengu Zhanga Pięści. To rzeczywiście łobuz, ale jest nieletni, i co mu pan zrobi?

– Dobrze – powiedziałem. – Niech i tak będzie, niech będzie moja przegrana.

– Zawsze to jakieś doświadczenie, a w pana wieku powinien pan mniej wychodzić i mniej zajmować się cudzymi sprawami. Lepiej siedzieć w domu, wnuki bawić, rodziną się cieszyć!

– Dziękuję – powiedziałem. – Zmarnowaliście przeze mnie państwową benzynę, państwowy samochód się zużył i jeszcze wam kłopotów przysporzyłem.

– Pan sobie kpi?

– Ależ skądże, skądże, gdzieżbym śmiał z panów kpić. Mówię szczerze, w stu procentach szczerze!

Chłopak z brodawką i ten wysoki odwrócili się i już chcieli odejść, ale ten trzeci, z szerokimi ustami, wciąż stał wpatrzony w billboard.

– Wang, idziemy! – zawołał ten z brodawką. – Co za człowiek, jak dziecko zobaczy, od razu nogi mu w ziemię wrastają!

Szerokousty cmoknął wargami:

- Jakie śliczne! Naprawdę, śliczności!
- No to postaraj się swoje nasionko u małżonki zasiać.
- To martwa ziemia, ja swoje sieję, ale nic u niej nie kiełkuje.
- Nie zwalaj wszystkiego na żonę – powiedział wysoki. – Idź się przebadać. Może to twoje nasionka są za suche!
- No jak to możliwe... – odparł szerokousty.

Sprzecząc się, wsiedli do samochodu i zostawili mnie pod billboardem. Czuję przygnębienie, a także rezygnację. Nawet gdybym złożył zeznanie na komendzie, co by to dało? Jeśli te kobiety były córkami Zhanga Pięści, chciały się zemścić na ciotce. Zrozumiałem teraz, dlaczego ten chłopak przestraszył ciotkę, wręczając jej żabę. Matka i jej siostra nakłoniły go do tego, a on mścił się za swoją rodzinę, nawet jeśli ciotka nie była winna tamtej śmierci. O czym miałem mówić z tymi ludźmi? Trudno, niech będzie moja przegrana. Nie, to Bóg mnie doświadcza, lecz jeśli zdołam przez to przejść, odnajdę spokój; jestem przecież człowiekiem o wzniosłych celach, piszę sztukę i takie doświadczenia są dla mnie najlepszym tematem. Wielcy ludzie dlatego osiągają wielkość, że potrafią znieść cierpienia i hańbę, których zwykły człowiek nie potrafiłby wytrzymać: jak Han Xin, który umiał poniżyć się tak bardzo, że na czworakach przeszedł między kolanami wroga, jak Konfucjusz, który w państwie Chen znosił głód, jak Sun Bin, który zjadał własne odchody... Czymże są moje drobne nieprzyjemności w porównaniu z tym, co przeszli ci mędracy i bohaterowie? Kiedy tak myślałem, Mistrzu, ciężar spadł mi z piersi, zacząłem swobodniej oddychać, oczy mi zabłysły i z wolna zaczęły wracać siły. Kijanko, wstań, niebo powierzyło ci wielkie zadanie, musisz dzielnie stawić czoła trudnościom, nie wolno ci się skarżyć, nie wolno ci nikogo nienawidzić.

Wstałem i chociaż bolały mnie rany, chociaż byłem głodny, choć nogi ugiwały się pode mną i ciemniało mi przed oczami, wytrzymałem i nie upadłem. Z początku wydawało mi się, że wszyscy na mnie patrzą, ale w rzeczywistości nie patrzył na mnie nikt, nawet ci dwaj ochroniarze nie zwracali na mnie uwagi. Przypomniałem sobie, co powiedział mi Ręka. Wspomnienie o Ręce przypomniało mi o dziecku rosnącym w brzuchu Brwi, ale czułem się teraz zupełnie inaczej niż rano. Rano chciałem je wszelkimi sposobami unicestwić, teraz było inaczej! Kiedy spojrzałem na billboard, nie miałem żadnych wątpliwości: chcę mieć to dziecko! Ja ze wszystkich sił potrzebuję tego dziecka! Niebo ofiarowało mi skarb, dla niego zniosę wszystko!

Mistrzu, wyjaśniam Panu: na tym billboardzie znajdowało się kilkaset powiększonych zdjęć niemowląt. Śmiały się, płakały, miały oczy zamknięte, zmrużone lub szeroko otwarte, patrzyły jednym oczkiem i zamykały drugie; spoglądały w górę albo w dół, wyciągały ręce, jakby chciały coś złapać albo zaciskały pięści, jakby się na coś złościły; trzymały palce w ustach albo za uszami; śmiały się z otwartymi oczami, płakały z zamkniętymi, płakały z otwartymi, śmiały się z zamkniętymi; miały łyse główki lub czarne czupryny, złote loki lub włoski błyszczące jak jedwab i jasne jak len; buzie pomarszczone jak u staruszki albo wielkie główki z ogromnymi uszami jak prosiaczki; były białe jak kluseczki lub czarne jak węgiel; wydymały usteczka, jakby się gniewały, albo otwierały je szeroko, jakby wołały do kogoś; robiły dziobek, jakby chciały ssać, albo zaciskały usta i odwracały głowę, jakby odmawiały jedzenia; wystawiały całe czerwone języczki albo tylko różowe czubeczki; miały dołeczki w obu policzkach albo tylko w jednym; miały główki okrągłe jak dynia lub podłużne jak kabaczki; jedne marszczyły brew niczym myśliciele, inne patrzyły w górę jak aktorzy... Krótko mówiąc, Mistrzu, każda z kilkuset fotografii była inna, a wszystkie tak samo chwytające za serce i kochane. Z napisu na billboardzie dowiedziałem się, że to zdjęcia wszystkich dzieci, które urodziły się w szpitalu w ciągu dwóch lat od jego założenia, wystawa jego sukcesów. To naprawdę było

wielkie dzieło, szlachetne i słodkie... Byłem głęboko wzruszony, w oczach stanęły mi łzy i usłyszałem, jak przyzywa mnie ten najświętszy na świecie głos, jak ogarnia mnie to najgłębsze uczucie – miłość do życia, a w porównaniu z nią każda inna miłość jest wulgarna i niska. Mistrzu, moja dusza przeszła uroczysty chrzest, a wszystkie grzechy wreszcie zyskały szansę odkupienia. Cokolwiek się przydarzy, cokolwiek ze sobą przyniesie, otwieram szeroko ramiona, aby przyjąć to zesłane mi przez niebo dziecię!

ROZDZIAŁ 11

Mistrzu, tamtego dnia pod billboardem z kilkoma setkami fotografii niemowląt moja dusza przeszła uroczysty chrzest. Wszystkie moje wahania, niepokoje, wszystkie uderzenia, które na mnie spadły, ukłucia, wyzwiska, pogonie – wszystko złożyło się w niezbędny proces, jak osiemdziesiąt jeden zagrożeń, które napotkał na swej drodze Sanzang⁵ w wyprawie po sutry. Bez cierpienia nie ma osiągnięć, ból otwiera ludzki umysł na oświecenie.

Po powrocie do domu przetarłem sobie rany spirytusem, rozpuściłem w wódce yunnańskie Baiyao przeznaczone specjalnie do leczenia ran. Chociaż fizyczny ból nie mija tak łatwo, mój umysł był już zdrowy. Kiedy przyszła „Lwiczka”, objąłem ją, przytuliłem twarz do jej twarzy i powiedziałem:

5 Sanzang (lub Xuanzang), wybitny mnich i filozof buddyjski z VII wieku, który po trwającej wiele lat wyprawie do Indii wrócił do Chin, przywożąc ze sobą kilkaset buddyjskich tekstów. Jego postać stała się częścią popularnej kultury, gdyż wzorowana na nim postać jest, obok Króla Małp, jednym z głównych bohaterów powieści *Wędrownka na zachód*.

– Żono, dziękuję, że dałaś mi to dziecko. Choć nie
wzrasta w twojej macicy, wzrasta w twoim sercu, jest więc
naszym rodzonym synem!

Rozpłakała się.

Mistrzu, siedzę teraz przy stole i piszę do Pana, a jednocześnie zastanawiam się, jak mamy to dziecko wychować. Oboje zbliżamy się do sześćdziesiątki, brakuje nam sił, trzeba będzie pewnie wynająć doświadczoną mamkę albo poprosić jakąś karmiącą matkę, żeby pozwoliła naszemu dziecku pożywić się trochę prawdziwym pokarmem. Moja matka mówiła, że dzieci karmione mlekiem krowim albo owczym nie pachną jak ludzie. Można co prawda karmić dziecko krowim mlekiem w proszku, ale to jest niebezpieczne, bo kto wie, czy oszukańczy producenci po aferach z pozbawionym białka „pustym mlekiem” i „melaminowym mlekiem” na pewno skończyli ze swoimi chemicznymi eksperymentami? Mieliśmy już dzieci z wodogłowieciem i z uszkodzonymi nerkami, kto wie, jakie jeszcze inne choroby wywołają? Teraz ci bandyci podkulili ogony jak zbite kijem psy i udają niewiniątka, ale za kilka lat znowu mogą podnieść ogony do góry i wynaleźć jeszcze gorsze trucizny. Wiem, że najcenniejszym płynem na świecie jest młodziwo zawierające wiele tajemniczych substancji. W istocie te tajemnicze substancje to zmaterializowana matczyna miłość. Słyszałem, że ludzie, którzy wynajmują zastępczą matkę, po odebraniu dziecka za ciężkie pieniądze kupują od niej młodziwo, a nawet czasem proszą, by przez miesiąc odkarmiła dziecko, zanim je od niej zabiorą. Oczywiście to kosztuje nawet więcej. „Lwiczka” mówiła mi, że w

instytucie zastępczego macierzyństwa zdecydowanie się na to nie zgadzają. Mówią, że kiedy matka zacznie karmić dziecko, zaczyna je kochać, a to może spowodować problemy.

– Ja jestem jego matką, na pewno będę miała pokarm! – zawołała „Lwiczka” z błyszczącymi oczami.

Matka opowiadała mi takie historie, ale za wiele było w nich niezwykłości, żeby w nie uwierzyć. Być może, myślałem, w przypadku młodej kobiety, która już wcześniej rodziła, gdyby dziecko pobudziło jej sutki ustami, jej piersi pod wpływem wielkiej miłości przypomniałyby sobie o pokarmie. Ale „Lwiczka”, kobieta po pięćdziesiątce, która nigdy nie była nawet w ciąży, nie mogła się tego spodziewać. Gdyby to się zdarzyło, nie byłoby to niezwykle, byłby to po prostu cud.

Piszę do Pana o takich sprawach i wcale nie czuję wstydu. Jest Pan człowiekiem o sercu pełnym miłości, ojcem, który wychował dziecko skazywane na śmierć przez lekarzy, doświadczył Pan wielu takich cudów. Dlatego sądzę, że rozumie Pan, co przeżywam, i rozumie Pan też obsesję mojej żony. Ostatnio niemal co noc chce się ze mną kochać. Ze zwiędłej rzodkwi zmieniła się w soczystą brzoskwinę i już to samo jest niesamowite, i jest też dla mnie źródłem wielkiej radości. Za każdym razem mi przypomina: „Kijanko, delikatnie, bądź ostrożny, nie chcemy uszkodzić naszego synka”. Po wszystkim zawsze kładzie moją rękę na swój brzuch i mówi: „Czujesz, jak kopie?”. Codziennie rano ciepłą wodą obmywa piersi i delikatnie wyciąga na wierzch zapadnięte sutki.

Kiedy powiedzieliśmy ojcu, że blisko sześćdziesięcioletnia „Lwiczka” jest przy nadziei, prawie dziewięćdziesięcioletni staruszek ze łzami w oczach, trzęsąc ze wzruszenia brodą, powiedział:

– Niebo wszystko widzi, przodkowie wszystko wiedzą! Dobre uczynki zostają nagrodzone, o Amido Buddo!

Mistrzu, kupiliśmy już wszystko, co potrzeba dla dziecka. Wszystko w najlepszym gatunku: japoński wózek, koreańskie łóżeczko, pieluszki produkowane w Szanghaju, wanienkę z rosyjskiego dębu... „Lwiczka” nie chciała kupić butelki, ale ją przekonałem:

– A jeśli pokarmu będzie za mało? Na wszelki wypadek lepiej kupić...

Kupiliśmy francuską butelkę i nowozelandzkie mleko w proszku. Ponieważ jednak nie ufaliśmy do końca nawet mleku z Nowej Zelandii, postanowiliśmy kupić owcę i zostawić ją u ojca. Możemy u niego zamieszkać i codziennie karmić naszego skarba świeżo dojonym mlekiem. „Lwiczka”, ściskając swoje twarde i duże piersi, rzekła niezadowolonym głosem:

– A ja jestem pewna, że pokarm tryśnie jak fontanna!

Córka zadzwoniła do nas z dalekiej Hiszpanii i spytała, co słychać.

– Yanyan – rzekłem – trochę mi wstyd, ale mamy wspaniałą wiadomość: mama jest w ciąży i niedługo będziesz mieć braciszka!

Milczała przez chwilę zaskoczona, a potem wykrzyknęła radośnie:

– Tato, naprawdę?!

– Oczywiście – odrzekłem. – Naprawdę.

– Ale mama, w tym wieku...

– Sprawdź sobie w internecie – powiedziałem. – Niedawno w Danii sześćdziesięciodwuletnia kobieta urodziła zdrowe bliźnięta.

– Tato, to cudownie! – zawołała córka. – Gratuluję, z całego serca wam gratuluję! Może czegoś wam potrzeba? Mogę wam przysłać.

– Niczego nam nie trzeba, wszystko już mamy.

– Wszystko jedno, i tak kupię, w końcu jestem starszą siostrą! Tato, gratuluję, stare drzewo zakwitło i ma nowe gałązki, dokonaliście niezwykłej rzeczy!

Przez cały czas, Mistrzu, czuję się winny wobec mojej córki, bo bezpośrednio przyczyniłem się do śmierci jej rodzonej matki. W imię własnych tak zwanych perspektyw przerwałem życie Renmei i dziecka, które w sobie nosiła. Gdyby to dziecko żyło, byłoby teraz dwudziestoletnim młodzieńcem. A teraz, cokolwiek by nie mówić, znowu będę miał syna. Pocieszam się myślą, że to dziecko jest naprawdę tamtym, przychodzi dwadzieścia lat później, ale w końcu przychodzi.

Z największym wstydem muszę Panu powiedzieć, że sztukę zacznę pisać dopiero po wszystkim. Dziecko, które wkrótce ma się narodzić, jest dużo ważniejsze od sztuki. Może to i lepiej, bo to, co zaplanowałem do tej pory, było mroczne i krwawe, była tam tylko śmierć bez narodzin, jedynie rozpacz bez żadnej nadziei. Taka sztuka zatrułaby ludziom dusze i moje winy stałyby się jeszcze cięższe. Niech Pan mi wierzy, Mistrzu, ja tę sztukę napiszę na pewno. Kiedy mój syn się urodzi, wezmę pióro i napiszę wielki hymn do życia. Nie zawiodę Pana.

Niedawno razem z „Lwiczką” poszliśmy odwiedzić ciotkę. Była piękna pogoda i perełkowe drzewa na podwórku ciotki albo właśnie kwitły, albo już przekwitwały. Ciotka siedziała pod drzewem, miała zamknięte oczy i coś mruzczała pod nosem. Na przetykane siwizną, rozczochrane włosy spadło kilka kwiatów i wokół jej głowy zgromadziły się pszczoły. Obok ustawionej pod oknem kamiennej płyty na niskim stołeczku siedział jej mąż Wielka Ręka, obdarzony przez władze mianem mistrza sztuki ludowej. Właśnie obrabiał glinę.

– Ojciec tego dziecka ma okrągłą twarz – mówiła ciotka – wąskie oczy, nos perkaty, usta grube, duże uszy. Matka ma wąską twarz w kształcie pestki, migdałowe oczy, małe usta, wysoki nos, wąskie uszy z przyrośniętymi płatkami. Dziecko wygląda bardziej jak matka, ale usta ma większe i grubsze, uszy też większe i nos trochę krótszy.

Przyglądaliśmy się, jak zgodnie z opisem ciotki w rękach wuja powstaje gliniane dziecko. Bambusowym rysikiem narysował mu oczy, przyjrzał się dokładnie, poprawił, a potem drewnianą deseczką przesunął je przez oblicze ciotki.

Ciotka podniosła je, obejrzała i stwierdziła:

– Oczy trochę większe, usta trochę grubsze.

Wuj wziął od niej figurkę, poprawił i znów podał ciotce. Pod siwymi brwiami oczy załśniły mu jak błyskawice.

Ciotka wzięła laleczkę, przyjrzała się jej z daleka, potem z bliska i na jej twarzy pojawił się wyraz wielkiej dobroci.

– Tak, właśnie tak, to on.

I nagle zupełnie innym tonem zwróciła się wprost do glinianego dziecka:

– To ty, ty mały diabełku, ty mały wierzycielu, z dwóch tysięcy ośmiuset dzieci, które ciotka zabiła, brakowało już tylko ciebie. A teraz już jesteś, teraz już jesteśmy kwita.

Na parapecie postawiłem butelkę wuliangye, a „Lwiczka” u stóp ciotki położyła pudełko cukierków.

– Ciociu, przyszliśmy cię odwiedzić – powiedzieliśmy chórem.

Ciotka, jakbyśmy przyłapali ją na czymś zakazanym, przestraszyła się i przez chwilę nie wiedziała, co zrobić. Próbowwała schować figurkę pod ubranie, lecz nie udało się jej i wreszcie powiedziała:

– Nie chciałam was oszukiwać.

– Ciociu – rzekłem – widzieliśmy ten film, Wątroba nam przysłał. Rozumiemy cię, rozumiemy, co czujesz.

– Jak wiecie, to dobrze. – Ciotka wstała i z figurką w rękach weszła do domu. Nie odwracając się, rozkazała nam poważnym tonem: – Chodźcie ze mną.

Jej potężne, obleczone w czerń ciało miało nad nami jakąś dziwną władzę. Ojciec mówił nam już, że psychika ciotki jest zaburzona, więc odwiedzaliśmy ją rzadko. Kiedy przypominałem sobie jej niegdysiejszą sławę i porównywałem z obecnym żalonym stanem, robiło mi się smutno.

W pomieszczeniu było ciemno, powiało chłodem i wilgocią. Ciotka podniosła kabel leżący przy ścianie i stuwatowa żarówka rozbłysła światłem, pokazując nam wnętrze pomieszczenia. Byliśmy w bocznym skrzydle, wszystkie trzy okna zamurowano, a ściany pokryte były drewnianymi półeczkami, każda tej samej wielkości. Na każdej półeczce stała gliniana figurka.

Ciotka postawiła trzymaną w rękę figurkę na ostatniej wolnej półeczce, cofnęła się o krok, zapaliła trzy trociczki na małym, centralnie ustawionym ofiarnym stoliku, a potem uklękła, złożyła ręce i zaczęła coś mruzczyć.

My także uklękliśmy. Nie wiedziałem, o co się modlić. Przed moimi oczami pojawiły się zdjęcia dzieci z billboardu przed szpitalem i przesuwwały się kolejno, jedno po drugim, niczym w fotoplastykonie. Napełniło mnie poczucie wdzięczności, wstydu, a także odrobina lęku. Zrozumiałem, że ciotka rękami wuja przywraca do świata te wszystkie dzieci, które kiedyś zabiła. Domyśliłem się, że w ten sposób chce ukoić sumienie, ale przecież nie można jej było winić za te aborcje. Jeśli nie ona, zrobiłby to ktoś inny. A poza tym ludzie, którzy płodzili wbrew prawu, też ponosili odpowiedzialność. I wreszcie, gdyby nikt tego nie robił, trudno powiedzieć, jak dziś wyglądałyby Chiny. Ciotka skończyła się modlić, wstała i rzekła z uśmiechem:

– Biegaczu, „Lwiczko”, przyszlście w dobrym momencie. Spełniło się moje pragnienie. Przypatrzcie im się, każde z tych dzieci ma imię i nazwisko. Zgromadziłam je tutaj, żeby mogły otrzymać ofiary, a teraz, kiedy mają już dusze, mogą odrodzić się w nowych miejscach.

I ciotka, pokazując nam każdą laleczkę po kolei, opowiadała, dokąd się udały.

– Ta dziewczynka – mówiła, wskazując laleczkę o migdałowych oczach i nadąsanych usteczkach – miała się urodzić w sierpniu 1974 roku w Tanjiazhuangu w rodzinie Tana Szóstego i Dong Yue’e, ale ja ją zabiłam. Teraz już jest dobrze, jej ojciec jest wielkim producentem warzyw, a matka niezwykle zdolną kobietą. Wynaleźli metodę podlewania selerów mlekiem. Te ich selery stały się sławne, sprzedają je po sześćdziesiąt juanów za funt.

Ten chłopiec – mówiła dalej, pokazując tym razem chłopczyka o zmrużonych oczach i niemądrym uśmiechu – ten smarkacz miał się urodzić w lutym 1983 roku w Wujiaqiao w rodzinie Wu Junbao i Zhou Aihui, ale ja go zabiłam. Teraz jest już dobrze, teraz miał wielkie szczęście, urodził się w pałacu, w dygnitarskiej rodzinie, jego rodzice mają wysokie urzędy, a dziadek jest we władzach prowincji, pokazują go często w telewizji. Chłopcze, wybacz ciotce.

Te dwie siostrzyczki miały się urodzić w 1990 roku. Ich rodzice byli trędowaci, co prawda wyleczeni, ale i tak mieli ręce jak kurze pazury, a twarze jak upiory. Gdyby urodziły się w tej rodzinie, wpadłyby w morze cierpienia. Ale teraz jest dobrze, w pierwszą noc 2000 roku pojawiły się na świecie w miejskim szpitalu w Jiaozhou. Są dziećmi nowego tysiąclecia, ich ojciec jest sławnym aktorem lokalnej opery, a matka właścicielką butiku. W czasie programu noworocznego w zeszłym roku siostrzyczki miały występ w telewizji i śpiewały *Piękna Zhao ogląda lampiony...* Ich rodzice specjalnie do mnie zadzwonili, żebym oglądała kanał Jiaozhou, a ja patrzyłam i łzy mi ciurkiem leciały.

A ten tutaj – ciotka pokazała zezowatego chłopca – miał się urodzić w domu Zhanga Pięści w Dongfengu, ale został zabity i chociaż nie była to całkiem moja wina, też się do tego przyczyniłam. Urodził się w lipcu 1995 roku w rodzinie drugiej córki Pięści Zhang Laidi. Kiedy do mnie przyszła, miała już dwie córki i następne dziecko było wbrew polityce kontroli urodzeń. Jej ojciec rozbił mi głowę i chociaż miałam do niego wielką urazę, jednak dałam jej tego chłopca, który przedtem miał należeć do jej matki. Miał być jej młodszym bratem, a został synem. Tylko ja znam tę tajemnicę, teraz zdradzam ją wam, ale trzymajcie język za zębami. To złe nasienie, wiedział, że boję się żab i specjalnie dał mi jedną zawiniętą w papier, przestraszył mnie tak, że zemdlałam. Nie mam do niego żalu, bo na świecie są różne kwiaty i żadnego nie może zabraknąć. Dobry człowiek to dobry człowiek, ale takie złe nasienie to też przecież człowiek.

Na końcu, pokazując ustawioną przed chwilą figurkę, spytała:

- Poznajecie go?
- Ciociu, nie musisz mówić, poznaję – rzekłam przez łzy.
- Ciociu, ten chłopiec urodzi się niedługo – powiedziała „Lwiczka”. – Jego ojciec jest dramaturgiem, matka – pielęgniarzką na emeryturze... Ciociu, dziękuję, ja już jestem w ciąży.

Mistrzu, czytając to, co teraz piszę, czy sądzi Pan może, że to majaczenie szaleńców? Przyznaję, że ciotka ma problemy psychiczne, psychika mojej żony też została nadszarpnięta przez pragnienie dziecka, ale mam nadzieję, że potrafi im Pan wybaczyć, że potrafi je Pan zrozumieć. Człowiek, który uważa, że popełnił zbrodnię, zawsze będzie szukał sposobu, by sobie wybaczyć, tak jak Xiang Linsao ze znanej Panu powieści Lu Xuna *Ofiara*. Nie trzeba ciotce zabierać złudzenia, trzeba jej zostawić odrobinę nadziei, pozwolić jej się uwolnić, pozwolić spać nocami bez koszmarów, żyć dalej jako człowiek bez winy. Jestem im posłuszny, a nawet staram się wierzyć w to, w co one wierzą, i to jest chyba właściwe postępowanie. Wiem, że ludzie o przekonaniach naukowych wyśmialiby mnie. Ludzie stojący na wyżynach moralności potępiliby mnie, a ktoś szczególnie prawomyślny mógłby mnie nawet oskarżyć, ale ja nie chcę się zmieniać. Dla tego dziecka, dla tych dwóch kobiet, które wykonywały tak specyficzną pracę, gotowy jestem stać się ciemny i głupi.

Ciotka wyjęła słuchawki i z pełną powagą osłuchiwała „Lwiczkę”. „Lwiczka” leżała na plecach, z odsłoniętym brzuchem i wyrazem błogości na twarzy; ciotka była skupiona, a nawet surowa. Skończywszy, ręką, którą tak chwaliła moja matka, pogładziła „Lwiczkę” po brzuchu i rzekła:

– Już chyba piąty miesiąc? Bardzo dobrze, dźwięki wyraźne, położenie płodu prawidłowe.

– Już ponad szósty miesiąc – powiedziała „Lwiczka” trochę wstydliwie.

– Wstawaj. – Ciotka poklepała ją po brzuchu. – Troszkę jesteś stara, zalecam jednak naturalny poród. Jestem przeciwna cesarskiemu cięciu, kobieta, która nie przeszła normalnego porodu, nie pozna w pełni uczuć macierzyńskich.

– Trochę się niepokoję... – zaczęła „Lwiczka”.

– Masz mnie, czym się jeszcze niepokoisz? – Ciotka podniosła w górę obie ręce. – Powinnaś ufać rękom, które odebrały dziesięć tysięcy porodów.

„Lwiczka” chwyciła jej dłoń i przytuliła do twarzy jak rozpieszczona córka.

– Ciociu, ufam ci – powiedziała.

ROZDZIAŁ 12

Mistrzu, wielka radość!

Mój syn urodził się wczoraj rano.

Ponieważ moja żona „Lwiczka” jest w wieku dużo starszym niż normalne pierworódki, nawet chińsko-amerykański szpital Skarb Rodziny, w którym pracuje tylu specjalistów z doktoratami z Anglii i Stanów Zjednoczonych, obawiał się przyjąć porodu. W tej sytuacji oczywiście zwróciliśmy się do ciotki. Stary imbir jest najostrzejszy, doświadczenie czyni mistrzem, a „Lwiczka” tylko jej ufała. Razem z ciotką asystowała przy wielkiej liczbie porodów i widziała, jak ciotka potrafi zapanować nad kryzysową sytuacją.

„Lwiczka” zaczęła pracować na nocnej zmianie w żabiej farmie Policzka. Właściwie powinna zrezygnować już z pracy i odpoczywać w domu, ale jest uparta i nikogo nie chciała słuchać. Obnosiła swój wielki brzuch po mieście, wywołując komentarze i zazdrość. Znajomi pozdrawiali ją i mówili:

– Bratowo, w takim stanie powinna pani chyba w domu odpoczywać? Ten Kijanka naprawdę nie ma serca.

– A cóż to za gadanie? – odpowiadała. – Dziecko się rodzi tak samo jak owoc spada z drzewa, ileż to kobiet na wsiach bez żadnych problemów rodziło dzieci na polu bawełny albo w krzakach nad rzeką. Im bardziej się człowiek z sobą cacka, tym więcej kłopotów może ściągnąć.

Jej poglądy zgadzały się z wieloma twierdzeniami starej chińskiej medycyny. Wszyscy kiwali więc głowami, potwierdzali i nikt się z nią nie sprzeczał.

Kiedy otrzymałem wiadomość i pobiegłem na żabią farmę, Policzek zdążył już wezwać ciotkę. Była w białym kitlu, w masce na twarzy i białym czepku na zwichrzonych włosach. Oczy błyszczały jej energią i przypomniała mi szlachetnego rumaka, który nawet na starość nie chce beczynnie stać w stajni. Dziewczyna w białym stroju zaprowadziła ciotkę do tajnej sali porodowej, a ja usiadłem przy herbacie w gabinecie Policzka.

W gabinecie stało mahoniowe biurko wielkie jak stół do ping-ponga, a za nim czarny obrotowy fotel z wysokim oparciem. Na biurku leżała gruba książka, a koło niej najprawdziwsza, choć mała, czerwona flaga narodowa. Odgadnął, widać, co myślałem, bo rzekł poważnie:

– Bracie, nawet przestępca ma prawo być patriotą.

Z wielkim znanstwem przygotował mi herbatę i rzekł nie bez przechwałki w głosie:

– To prawdziwa Dahongbao z gór Wuyi, może nie ta najdroższa, ale w bardzo dobrym gatunku. Nawet jak starosta nas odwiedził, było mi jej szkoda dla niego. Ciebie nią częstuję, bo mam jednak trochę przyzwoitości.

Widząc, że myślę o czym innym, dodał:

– Nie denerwuj się, wszystkim się zająłem, wszystko będzie dobrze. Twoja ciotka jest na miejscu, a ona jest naszym bóstwem opiekuńczym. Jeśli ona tu jest, tyle tylko ci powiem: matka i syn będą zdrowi i wszyscy będą szczęśliwi.

Potem zasnąłem przechylony na wygodnej kanapie. We śnie przyszły do mnie mama i Renmei. Mama ubrana była w strój z błyszczącego jedwabiu i trzymała w ręce wysoką laskę z głową smoka, a Renmei miała na sobie czerwony kubraczek i zielone spodnie: było w tym coś bardzo wiejskiego i uroczonego jednocześnie. W lewej ręce miała duży czerwony tobołek, z którego wystawał żółty sweterek. Chodziły tam i z powrotem po korytarzu, a stukot matczynej laski, chociaż niepospieszny, zaczął we mnie budzić jakiś niepokój.

– Mamo – rzekłem – usiądź. Kiedy tak chodzicie w kółko, wszyscy się denerwują.

Mama usiadła na kanapie, ale po chwili wstała i usiadła po turecku na podłodze. Powiedziała, że na kanapie nie może oddychać. Renmei wyglądała na przestraszoną i zawstydzoną i jak mała dziewczynka schowała się za plecami mamy. Kiedy jej wzrok zatrzymał się na mnie, natychmiast odwracała głowę. Wyjęła z tobołka żółty sweter, rozłożyła. Sweter miał wielkość ręki dorosłego człowieka.

– Wygląda jak ubranko dla lalki – powiedziałem.

Zaczerwieniła się.

– Zrobiłam go na rozmiar dziecka w brzuchu.

Dopiero teraz zauważyłem, że brzuch wystaje jej wyraźnie, a rumień na twarzy wskazuje, że jest w ciąży.

– Nawet dziecko w brzuchu jest większe! – rzekłem.

Z zaczerwienionymi oczami powiedziała:

– Biegaczu, porozmawiaj z ciotką, niech mi pozwoli urodzić.

Mama stuknęła laską w podłogę.

– Teraz możesz urodzić, ja cię ochronię. Moja laska uderzy w złych władców i chciwych urzędników, kto stanie mi na drodze, nie umrze dobrą śmiercią.

Stuknęła laską w przycisk na ścianie i natychmiast otworzyły się tajne drzwi. Zobaczyłem salę, w której było jasno jak w dzień. Stał w niej śnieżnobiały stół operacyjny, a po jego obu stronach czworo ludzi w kitlach i maskach na twarzy. Ciotka stała przy wezłowi, cała zakryta, w gumowych rękawiczkach na rękach. Renmei weszła i widząc tę scenę, odwróciła się i chciała uciec, ale ciotka złapała ją mocno za ramię i zatrzymała. Renmei rozplakała się jak bezbronne dziecko i zawołała do mnie:

– Biegaczu, tyle lat jesteśmy małżeństwem, ratuj mnie...

Ścisnęło mi się serce, z oczu popłynęły łzy... Na znak ciotki postacie podobne do pielęgniarek otoczyły Renmei, położyły na stole i zaczęły z niej ściągać ubranie. A potem zobaczyłem, jak między jej nogami pojawia się mała czerwona rączka: kciuk, mały i serdeczny palec były zwinięte, a wskazujący i środkowy wyprostowane, ułożone w międzynarodowy znak v. Ciotka na ten widok wybuchnęła śmiechem i powiedziała:

– Nie figluj nam tutaj, wychodź.

I wtedy dziecko powoli zaczęło się wyłaniać. Najpierw wystawiło główkę jak jakieś małe, sprytne zwierzątko. Ciotka przyjrzała mu się, a potem chwyciła za ucho, drugą dłonią obejmując jego główkę. Pociągnęła.

– No wychodź!

A wtedy, z pyknięciem, jakie wydaje popcorn, na ręce ciotki wypadł umazany krwią i śluzem noworodek.

Obudziłem się nagle, zmarznięty. Weszli kuzyn i „Lwiczka”. „Lwiczka” trzymała w objęciach becik, z którego wydobywał się ochryply płacz dziecka.

– Najgoręcej gratuluję, kuzynie, masz syna! – powiedział kuzyn cicho.

Zawiózł nas samochodem do wsi, w której mieszka mój ojciec. Wieś znajduje się już wewnątrz miasta, ale nasz starosta – właściwie powinienem powiedzieć: nasz mer – tak jak pisałem już Panu wcześniej, zdecydował, że pozostanie skansenem, zabytkiem z czasów rewolucji kulturalnej. Ściany pokryte są wielkimi napisami, przy wjeździe do wsi znajdują się ogromne rewolucyjne plakaty, zachowały się megafony w centrum i plac zgromadzeń... Było już widno, ale ulice były puste, przejeżdżały tylko pierwsze autobusy wiozące do pracy ludzi podobnych do duchów. Sprzątacze z ochronnymi maskami na twarzach wzbijali miotłami chmury kurzu. Bardzo chciałem zobaczyć buzię dziecka, ale powstrzymywał mnie wyraz twarzy „Lwiczki”, pełen tego niezwykłego dostojeństwa, znużenia i szczęścia, jakie widuje się tylko na twarzach położnic. Głowę miała owiniętą brązowym szalem, usta spękane. Mocno tuliła dziecko, schylając do niego głowę, jakby chciała mu się przyjrzeć i odetchnąć jego zapachem.

Już wcześniej przewieźliśmy do ojca wszystko, co było potrzebne dziecku. Ponieważ trudno było znaleźć karmiącą owcę, ojciec zamówił mleczną krowę u hodowcy bydła z jego wsi. Ten hodowca nazwiskiem Du ma dwie krowy, które dziennie dają ponad pięćdziesiąt litrów mleka. Ojciec napominał go nieskończoną ilość razy, że niczego nie wolno mu dodawać, aż tamten powiedział mu wreszcie:

– Panie szanowny, skoro nawet mnie pan nie ufa, niech pan sam przyjdzie doić, i już.

Samochód kuzyna zatrzymał się przed podwórkiem. Ojciec czekał na nas już przy drodze. Razem z nim powitały nas jeszcze dwie bratowe i kilka młodych kobiet, zapewne żony moich bratanków. Bratowa wzięła dziecko, a kobiety pomogły „Lwicze” wsiąść i zaprowadziły ją do specjalnie przygotowanego pokoju, w którym miała spędzić pierwszy miesiąc po porodzie.

Bratowa podniosła rożek kołderki i ojciec zobaczył wreszcie swego spóźnionego wnuka. Rozplakał się ze szczęścia. Spojrzałem na krucze włoski i świeżą buzię dziecka i też poczułem w oczach łzy wzruszenia.

Mistrzu, to dziecko przywróciło mi młodość i przyniosło natchnienie. Chociaż droga, którą do nas przyszło, była bardziej kręta niż w przypadku zwykłych dzieci, i chociaż z pewnością czekają nas jeszcze problemy związane z uznaniem jego tożsamości, ale jest tak, jak kiedyś powiedziała ciotka: w momencie, gdy „wyszło z garnka”, stało się człowiekiem i musi zostać uznane za pełnoprawnego obywatela, ze wszystkimi prawami i przywilejami, które nasz kraj gwarantuje dzieciom. Jeśli się zjawia problemy, musimy rozwiązać je my, którzy powołaliśmy je na ten świat. Dla niego mamy tylko miłość i nic innego.

Mistrzu, jutro zaczynam. Wezmę papier i błyskawicznie napiszę to wszystko, co rodziło się w takich bólach. W moim następnym liście będzie rękopis sztuki, która nigdy nie zostanie wystawiona, a której tytuł brzmi:

Żaby.

Część piąta

Kochany Panie,

Wreszcie ją napisałem.

Wydarzenia z prawdziwego życia tak ściśle splatają się z jej treścią, że momentami sam już nie wiem, co w niej jest zapisem faktów, a co zmyśleniem. Napisałem całość w ciągu zaledwie pięciu dni. Byłem niecierpliwy jak dziecko, które chce jak najszybciej powiedzieć rodzicom wszystko, co widziało i o czym myślało. Pięćdziesięciolatek porównujący się z dzieckiem jest śmieszny, ale naprawdę tak się właśnie czułem.

Dramat został skonstruowany na historii życia mojej ciotki. Znajdują się w nim fragmenty, które co prawda nigdy nie wydarzyły się w rzeczywistości, ale zdarzyły się w moich myślach. Dlatego też uważam je za prawdziwe.

Mistrzu, kiedyś wydawało mi się, że pisarstwo jest sposobem na odkupienie win. Tymczasem moje poczucie winy nie tylko się nie zmniejszyło, ale stało się nawet silniejsze. Śmierć Renmei i jej dziecka – oczywiście to było także moje dziecko – chociaż szukałem dla siebie różnych usprawiedliwień, chociaż zrzucałem winę na ciotkę, wojsko, Policzka, a nawet na samą Renmei – robiłem tak przez wiele lat – to teraz wreszcie zrozumiałem jaśniej niż kiedykolwiek, że winę za tę śmierć ponoszę tylko ja. To ja w imię moich tak zwanych perspektyw posiałem Renmei i jej syna na śmierć. Wyobrażałem sobie, że syn, którego urodziła Chen Brew, jest inkarnacją tamtego zabitego dziecka, ale to była tylko próba pocieszenia się. Postępowałem tak samo jak ciotka, która tworzy swoje gliniane figurki. Każde dziecko jest jedyne, nikt go nie może zastąpić. Czy krew na rękach nigdy nie daje się zmyć? Czy dusza w okowach winy nigdy nie znajdzie wyzwolenia?

Mistrzu, czekam na Pańską odpowiedź.

Kijanka

03.06.2009

Żaby

w dziewięciu odsłonach

OSOBY:

CIOTKA

emerytowana lekarka, położna, powyżej siedemdziesiątki

KIJANKA

dramatopisarz, bratanek Ciotki, powyżej pięćdziesiątki

LWICZKA

była asystentka Ciotki, żona Kijanki, powyżej pięćdziesiątki

CHEN BREW

matka zastępcza, ciężko zeszpecona ofiara pożaru, dwadzieścia kilka lat

CHEN NOS

ojciec Brwi, szkolny kolega Kijanki, włóczęga, powyżej pięćdziesiątki

YUAN POLICZEK

szkolny kolega Kijanki, właściciel zabiej farmy, potajemnie prowadzi instytut zastępczego macierzyństwa, powyżej pięćdziesiątki

KUZYŃ JIN XIU

młodszy kuzyn Kijanki, podwładny Policzka, powyżej czterdziestki

LI RĘKA

szkolny kolega Kijanki, właściciel restauracji, powyżej pięćdziesiątki

KOMENDANT

posterunku policji, oficer, powyżej czterdziestki

XIAO WEI

policjantka świeżo po szkole policyjnej, po dwudziestce

HAO WIELKA RĘKA

mistrz sztuki ludowej, mąż Ciotki

QIN HE

mistrz sztuki ludowej, zakochany w Ciotce

LIU GUIFANG

szkolna koleżanka Kijanki, kierowniczką hotelu władz powiatowych

GAO MENGJIU

naczelnik powiatu Gaomi z okresu Republiki Chińskiej

PACHOŁKOWIE

DWAJ OCHRONIARZE W SZPITALU

DWAJ MĘŻCZYŹNI W MASKACH

DZIENNIKARKA REŻYSER

EKIPA TELEWIZYJNA

Odłona pierwsza

Chińsko-amerykański szpital matki i dziecka. Wielka brama przywodząca na myśl budynek instytucji rządowej. Po lewej stronie bramy kamienna tablica z nazwą szpitala. Po prawej stronie bramy billboard ze zdjęciami kilkuset niemowląt w różnych pozach. Po lewej stronie bramy stoi wyprostowany ochroniarz w szarym mundurze; przygląda się i salutuje luksusowym samochodom przejeżdżającym przez bramę; jego ruchy są przesadne i przez to komiczne. W tle ogromny błyszczący księżyc; zza sceny słychać wybuchy petard, chwilami na niebie pojawiają się sztuczne ognie.

Ochroniarz wyjmuje z kieszeni komórkę i czyta sms-a. Nie może powstrzymać się od śmiechu.

Z bramy chyłkiem wychodzi Szef zmiany.

SZEF ZMIANY

(Podkrada się za plecy ochroniarza; surowo)

Li Jiatai, z czego się śmiejesz?!

(Coś wskakuje mu na nogę)

Cholera, skąd tu żaba o tej porze roku? Z czego się śmiejesz?

OCHRONIARZ

(Zaskoczony, przez chwilę nie wie, co robić, staje na baczność)

Melduję, panie kierowniku, że globalne ocieplenie i efekt cieplarniany. Z niczego.

SZEF ZMIANY

Jak z niczego, to z czego się śmiałeś?

(Strząsa żabę z nogi)

Co to jest? Znowu będzie trzęsienie ziemi czy jak? Pytam, z czego się śmiałeś?

OCHRONIARZ

(Rozgląda się; z uśmiechem)

Kierowniku, bo to jest śmieszne...

SZEF ZMIANY

Ile razy wam mówiłem, że na służbie nie wolno wysyłać sms-ów!

OCHRONIARZ

Melduję, panie kierowniku, że ja tylko czytałem.

SZEF ZMIANY

Na jedno wychodzi. Jakby cię kierownik Liu przyłapał, z roboty byś wyleciał.

OCHRONIARZ

Wielkie rzeczy! I tak już tu nie chcę pracować. Szef żabiej farmy to mąż mojej ciotecznej siostry, moja matka już z nią rozmawiała, żeby pogadała ze swoim mężem, to znaczy z moim ciotecznym szwagrem, żeby mnie przyjął do pracy.

SZEF ZMIANY

(Niecierpliwie)

Dobra, dobra. Siostra, szwagier, matka, w głowie mi tylko mieszasz. Jak masz ustawioną cioteczną siostrę, to na robocie może ci nie zależeć, ale ja żyję z tej pracy. I dlatego na służbie nie wolno ani przyjmować, ani wysyłać sms-ów, ani gadać przez komórkę!

OCHRONIARZ

(Wypręża się)

Tak jest!

SZEF ZMIANY

No! Czujność mi zachować!

OCHRONIARZ

Tak jest!

(Nie może się powstrzymać i wybucha śmiechem)

SZEF ZMIANY

Czyś ty się psich szczyń opił, czy ci się ślub z bogatą wdową przyśnił? Gadaj, co cię tak śmieszy!

OCHRONIARZ

Kiedy naprawdę nic.

SZEF ZMIANY

(Wyciąga rękę)

Dawaj!

OCHRONIARZ

Co?

SZEF ZMIANY

No jak to co? Komórkę!

OCHRONIARZ

Kierowniku, a jak przysięgnę, że już nigdy nie będę czytał?

SZEF ZMIANY

Dobra, dobra! Dajesz czy nie? Jak nie dasz, zaraz idę do kierownika Liu!

OCHRONIARZ

Kierowniku, ja mam dziewczynę, nie mogę zostać bez komórki...

SZEF ZMIANY

Jak twój ojciec miał dziewczynę, to nawet zwykłego telefonu nie było, a jakoś sobie twoją matkę przygadał. Dawaj natychmiast!

OCHRONIARZ

(Zrezygnowany podaje Szefowi zmiany komórkę)

Ja się nie chciałem śmiać, ale ten SMS był naprawdę śmieszny.

SZEF ZMIANY

(Manipuluje przy komórcie)

A ja chcę zobaczyć, co to za wiadomość tak cię ucieszyła.

(Czyta)

„Państwowa komisja sportu poszukiwała dobrych biegaczy na krótkie dystanse i w końcu wydała zarządzenie, żeby mistrz biegów na sto metrów Qian Gepard ożenił się z mistrzynią biegów długodystansowych Jin Sarną. Sarna zaszła w dążę i poszła do szpitala urodzić. Gepard pyta lekarza: co mi się urodziło? A lekarz: nie widziałem, bo zaraz pobiegło”. Taki suchar z brodą cię rozśmieszył? Ja ci kilka przeczytam.

(Wyciąga z kieszeni komórkę i już chce czytać; opamiętuje się i chowa obydwie telefony do kieszeni)

Dzisiaj jest Święto Jesieni, a kierownik Liu mówił, że w czasie świąt trzeba zachować szczególną czujność.

OCHRONIARZ

(Wyciąga rękę)

Moja komórka!

SZEF ZMIANY

Na razie zatrzymuję. Odbierzesz po pracy!

OCHRONIARZ

(Błagalnie)

Panie kierowniku, dzisiaj wielkie święto, wszyscy w domach z rodziną, wszyscy się cieszą, jedzą księżycowe ciastka, puszczaają sztuczne ognie, patrzą na księżyc, tylko ja jeden stoję tu jak ten kij i nawet mi pan nie pozwoli do dziewczyny sms-ów pisać...

SZEF ZMIANY

Nie gadaj tyle, tylko zajmij się służbą. Wzrok bystry, słuch czujny, oczy i uszy dookoła głowy, a wszystkie niepożądane i podejrzone elementy mają zostać za bramą.

OCHRONIARZ

Oj dobra, co pan się tak przejmuje gadaniem Liu. Takie wielkie święto, kto tu dzisiaj przyjdzie? Złodzieje też dzisiaj świętują.

SZEF ZMIANY

Poważniej trochę, dobrze? Co ty myślisz, że to jest zabawa?

(Tajemniczo ścisza głos)

W Nowy Rok grupa terrorystów zaatakowała szpital i porwała ośmioro niemowląt jako zakładników.

OCHRONIARZ

(Poważniejąc)

Ooo...

SZEF ZMIANY

(Tajemniczo)

Wiesz, czyja „druga pani” tu u nas leży?

Ochroniarz schyla głowę, słucha szeptu Szefa zmiany.

(Szef zmiany tajemniczo)

Teraz rozumiesz? Zapamiętaj sobie: ten czarny merc i ta zielona beemka to jego wozy, jak będzie przejeżdżał, masz salutować na baczność, dopóki nie zniknie. I żeby mi nie było żadnej nieuwagi!

OCHRONIARZ

Tak jest, panie kierowniku!

(Wyciąga rękę)

A teraz może mi pan już oddać komórkę?

SZEF ZMIANY

Absolutnie wykluczone. Dzisiaj jest dobry dzień, nie tylko żona pana Jina będzie rodzić, ale może odbędzie się też przyspieszony poród synowej sekretarza Songa. Czarne audi A6, numer rejestracyjny 08858. Oczy masz mieć otwarte, żebyś mi go nie przegapił!

OCHRONIARZ

(Niezadowolony)

Ale te smarkacze sobie dzień wybrały, akurat dzisiaj muszą się rodzić? Moja dziewczyna mówiła, że takiego księżycyca jak dzisiaj nie było od pięćdziesięciu lat.

(Patrzy na księżyc, deklamuje)

Od kiedy jest księżyc na niebie? Podnoszę puchar i nieba się pytam...

SZEF ZMIANY

(Drwiąco)

Jaki wykształcony! Jak się w szkole tak dobrze uczyłeś, to co tu przy bramie robisz? Ej, a to co znowu?

Brew w czarnej sukni i czarnej zasłonie na twarzy wchodzi na scenę. W ręce trzyma czerwony sweterek.

BREW

(Zataczając się jak pijana)

Moje dziecko... moje dziecko... gdzie jesteś? Mama cię szuka, gdzie się chowasz?

OCHRONIARZ

Znowu ona. Wariatka.

SZEF ZMIANY

Przepędź ją stąd!

OCHRONIARZ

(Stając na baczność)

Nie mogę opuścić posterunku.

SZEF ZMIANY

Masz ją przepędzić! To jest rozkaz!

OCHRONIARZ

Kiedy stoję na warcie!

SZEF ZMIANY

Obszar w obrębie pięćdziesięciu metrów od bramy pozostaje pod twoją strażą.

OCHRONIARZ

Jeżeli w obszarze chronionym znajdą niepokojące okoliczności, pracownikowi pełniącemu straż przy bramie surowo zakazuje się opuszczania posterunku. Jego obowiązkiem jest niewpuszczenie podejrzanych osób na teren szpitala i natychmiastowe zawiadomienie szefa zmiany.

(Wyjmuje krótkofalówkę)

Panie kierowniku, podejrzana osobniczka pod billboardem przy bramie, proszę o natychmiastowe wsparcie!

SZEF ZMIANY

Cholera by cię wzięła, szczeniaku!

(Światła na billboard)

BREW

(Pokazując zdjęcia na billboardzie)

Dziecko, moje dziecko, mama cię szuka, słyszysz? Bawisz się z mamą w kotka i myszkę, chowasz się mamie? Psołniku jeden, skarbeczku mój, wyjdź, mama chce ci dać mleczka, jak nie wyjdiesz, to piesek ci mleczko ukradnie...

(Pokazuje jedno z dzieci)

Chcesz mojego mleka? Nie, nie dam ci, ty nie jesteś moim dzieckiem. Moje dziecko ma duże oczy, a ty masz małe i zmrużone... Ty też byś chciał mojego mleka, ale też nie dostaniesz, też nie jesteś mój, moje dziecko jest różowiotkie jak jabłuszko, a ty jesteś żółty... Ty tym bardziej nie dostaniesz, moje dziecko to synek, tłusciutki chłopaczek, a po tobie od razu widać, że jesteś dziewczynką, głupie dziewczynki nie są nic warte...

(Przytomniej)

Jak się urodzi chłopca, płacą pięćdziesiąt tysięcy, jak dziewczynkę, tylko trzydzieści! Wy łajdaki, cenicie synów i gardzicie córkami, ciemnota i zacofanie, wasze matki też były kobietami! I wasze babki też były kobietami! Gdyby wszyscy mieli tylko synów, gdyby nie było córek, co by się stało ze światem? Wy wszyscy dygnitarze, wielcy inteligenci, tacy jesteście wykształceni, a nawet takiej prostej rzeczy nie umiecie zrozumieć?... Co? Mówisz, że jesteś moim dzieckiem? Ach, króliczku, poczułeś zapach mojego mleka i zrobiłeś się łakomy?

(Pociera nos)

Chcesz mnie oszukać, króliczku, ale nie ma mowy! Nawet gdybyście mi czarnym sukniem zasłonili oczy, nawet gdybyście moje dziecko schowali wśród tysiąca innych, mój nos znalazłby moje dzieciątko. Wasze matki wam nie mówiły? Każde dziecko ma własny zapach! Chcecie mleka, to idźcie do własnej matki. A prawda, wy jesteście z bogatych domów, u was nie mówi się „mleko”, tylko „pokarm”... Co? Twoja mama nie ma mleka? To co to za matka? Mówicie, że jesteście tacy postępowi, a moim zdaniem tylko się cofacie, nie rodzicie normalnie, w piersiach nie macie mleka. Chcecie, żeby krowy i owce zastępowały was w obowiązku. Dziecko karmione krowim mlekiem będzie śmierdziało krową, karmione owczym mlekiem będzie śmierdziało owcą. Chcecie moje mleko kupić za pieniądze? Wybijcie to sobie z głowy, choćbyście tu górę złota przynieśli, nie dostaniecie. Moje mleko jest dla mojego dziecka... Synku, wychodź. Jak nie wyjdiesz, to te dzieci zabiorą mamie mleko, sam zobacz, jakie one są łakome, jak buzie otwierają. Są głodne, bo ich mamy sprzedały swoje mleko i kupiły sobie różne kosmetyki i perfumy. To nie są dobre mamy, myślą tylko, żeby być piękne i pięknie pachnieć, a zdrowie dzieci nic je nie obchodzi... Dobry synku, chodź do mamy...

SZEF ZMIANY

(Salutując)

Proszę pani, tu jest szpital położniczy, matki i dzieci potrzebują spokoju i dlatego proszę, żeby pani natychmiast oddaliła się stąd i nie zakłócała spokoju!

BREW

Kim jesteś? Co tu robisz?

SZEF ZMIANY

Jestem pracownikiem ochrony!

BREW

A co robi pracownik ochrony?

SZEF ZMIANY

Pilnuje porządku publicznego, chroni instytucje, szkoły, przedsiębiorstwa i inne zakłady pracy, zapewnia bezpieczeństwo na poczcie, w bankach, domach towarowych, restauracjach, parkingach i tak dalej!

BREW

Ja cię znam!

(Wybuchu szalonym śmiechem)

Znam cię, ty jesteś ochroniarzem Yuana Policzka, nazywają was psami podwórzowymi!

SZEF ZMIANY

Nie wolno pani obrażać naszej godności! Gdyby nas nie było, panowałby chaos!

BREW

To ty, ty ukradłeś moje dziecko! Zdjąłeś kitel i maskę, ale i tak wiem, że to ty!

SZEF ZMIANY

(Przestraszony)

Proszę pani, proszę się liczyć ze słowami, bo inaczej oskarżę panią o zniesławienie!

BREW

Myślałeś, że jak się przebierzesz, to już cię nie poznam? Myślisz, że jak włożyłeś mundur ochroniarza, stałeś się dobrym człowiekiem? Jesteś psem Yuana Policzka! Wan Serce, ty stara wiedźmo, przyjęłaś mój poród i ledwo mi pozwoliłaś spojrzeć na moje dziecko...

(Z bólem)

Nie... nawet spojrzeć mi nie pozwoliła... Zasłoniła mi twarz białym prześcieradłem. Chciałam zobaczyć swojego syna, tylko przez chwilę na niego spojrzeć, ale one nawet na to mi nie pozwoliły, zabrały go, ukradły... Ale słyszałam, jak płacze, płakał, bo chciał pójść do mnie, on też chciał mnie zobaczyć... nie ma na świecie dziecka, które nie chciałoby zobaczyć matki. A one porwały go i uciekły. Wiem, że jest głodny, wiem, że chce mleka. Wszyscy dobrze wiecie, że pierwsze mleko matki jest najcenniejsze, myśleliście, że jestem niewykształcona, że nie wiem takich rzeczy, ale ja wiem, ja wszystko wiem. Wszystko, co było najlepsze w moim ciele, poszło do moich piersi, wapń z kości, tłuszcz ze szpiku, białko z krwi, witaminy z mięśni, wszystko zgromadziło się w moich piersiach. Gdyby moje dziecko dostało moje mleko, nigdy by się nie zaziębiało, nie miałoby biegunek, nie miałoby gorączki, rosłoby szybko i zdrowo, i pięknie... A wy nie pozwoliliście mu nawet kropli spróbować, od razu je zabraliście.

(Podchodzi do Szefa zmiany i zaczyna go szarpać)

SZEF ZMIANY

(Przerażony)

Proszę pani, pani się pomyliła, pani mnie bierze za kogoś innego, ja nic nie wiem o żadnym policzku czy brodzie... ja nie znam nikogo takiego...

BREW

Pewnie, że nie znasz! Wy złodzieje, wy bandyci, wy kradniecie dzieci, łotry! Handlujecie dziećmi, potwory! Wy mnie nie znacie, ale ja znam was. To wy ukradliście mi dziecko, a potem daliście jeszcze proszek nasenny, żebym spała. Jak się obudziłam, powiedzieliście, że moje dziecko umarło. To wy obdarliście ze skóry zdechłego kota i machaliście mi nim przed oczami! Mówiliście, że to zwłoki mojego dziecka! Bandyci, zabraliście mi dziecko i jeszcze nie daliście obiecanych pieniędzy. Powiedzieliście, że pięćdziesiąt tysięcy miało być za syna, ale urodził się martwy, więc dostanę tylko dziesięć. Zabraliście mi dziecko i chcieliście jeszcze zabrać moje pierwsze mleko! Przyszliście do mnie z kubkiem i butelką, żeby mnie wydoić! Chcieliście zapłacić dziesięć juanów za mililitr! Bestie! Moje pierwsze mleko jest dla mojego dziecka! Dziesięć juanów! I za dziesięć tysięcy wam nie sprzedam!

SZEF ZMIANY

Proszę pani, jeszcze raz proszę, żeby pani się oddaliła, bo inaczej wezwę policję.

BREW

Policję? Bardzo dobrze! Chcę rozmawiać z policją. Policja ludowa kocha lud, jeśli ktoś z ludu zgubi dziecko, to chyba sprawa policji?

SZEF ZMIANY

Oczywiście, że tak. Nawet jak ktoś psa zgubi, to też sprawa policji, a co dopiero dziecko. Policja na pewno pomoże pani szukać.

BREW

No to dobrze, to idę na policję.

SZEF ZMIANY

Tak jest, niech pani idzie jak najszybciej.

(Pokazuje jej drogę)

Tą uliczką prosto, potem na światłach w prawo, posterunek jest na ulicy Binhe, zaraz obok klubu.

Samochód, trąbiąc, wjeżdża przez bramę do szpitala.

BREW

(Najpierw przestraszona, potem jakby zdumiona)

Moje dziecko, to właśnie oni zabrali moje dziecko, tym samochodem!

(Biegnie w stronę samochodu)

Bandyci, oddajcie mi dziecko!

Szef ochrony próbuje ją zatrzymać, ale Brew nabiera nagle sił, odtrąca go i przewraca.

SZEF ZMIANY

(Bezradnie)

Zatrzymaj ją!

Ochroniarz podbiega i odciąga Brew od samochodu. Brew szarpie się, Szef ochrony dołącza i obaj próbują ją zatrzymać. W czasie szarpaniny spada zasłona Brwi i ukazuje się jej straszliwie zeszpecona twarz

Obaj ochroniarze cofają się przerażeni.

OCHRONIARZ

O cholera jasna!

SZEF ZMIANY

(Patrzy na rozjechane i rozdeptane żaby)

Cholerny świat, skąd tu się znalazło tyle tego draństwa?!

Kurtyna

Odsłona druga

Zielone światło na scenie, wszystko wygląda jak tajemniczy podwodny świat. W głębi sceny pieczara, przed którą rośnie trawa; od czasu do czasu z pieczary słychać kumkanie żab i płacz niemowlęcia. Nad sceną jest zawieszonych kilkanaścioro niemowląt; machają rękami i nogami i płaczą coraz głośniej. Z przodu sceny ustawiony jest blat do lepienia glinianych lalek. Qin He i Hao Wielka Ręka siedzą za blatem i w skupieniu rozrabiają glinę.

Z pieczary wychodzi Ciotka. Ubrana jest w czarny kaftan, włosy ma rozrzucone w nieładzie.

CIOTKA

(Jakby mówiła wyuczoną lekcję)

Nazywam się Wan Serce, w tym roku skończyłam siedemdziesiąt trzy lata, dokładnie od pięćdziesięciu lat jestem lekarzem położnikiem. Nawet na emeryturze wciąż jestem zajęta. Własnymi rękami odebrałam narodziny dziewięciu tysięcy ośmuset osiemdziesięciu trojga dzieci.

(Podnosi twarz do góry, patrzy na zawieszone niemowlęta)

Dzieci, jaki wasz płacz jest śliczny! Kiedy słyszę wasz płacz, czuję w sercu spokój. Kiedy go nie słyszę, zaczynam się niepokoić. Wasz płacz to najpiękniejszy dźwięk na świecie, wasz płacz będzie moim requiem. Wielka szkoda, że kiedyś nie miałam magnetofonu i nie nagrałam waszego płaczu. Za życia słuchałabym go codziennie i po śmierci usłyszałabym go na własnym pogrzebie. Gdyby dziewięć tysięcy osiemset osiemdziesiąt troje dzieci zapłakało naraz, cóż by to była za cudowna muzyka...

(Z zachwytem)

Wasz płacz poruszyłby niebo i ziemię, wasz płacz odprowadziłby ciotkę do nieba...

QIN HE

(Ponuro)

Uważaj, żeby ich płacz nie zawlókł cię do piekła!

CIOTKA

*(Lekkim krokiem przechadza się między zawieszonymi dziećmi
jak ryba pływająca przez wodę.*

Przechadzając się, poklepuje je po pupach)

Płaczcie, kochaniątka, płaczcie! Wasz płacz mówi, że na nic nie chorujecie, wasz płacz mówi, że jesteście zdrowe...

HAO WIELKA RĘKA

Wariat!

QIN HE

O kim mówisz?!

HAO WIELKA RĘKA

O sobie!

QIN HE

Jak o sobie, to w porządku, ale o mnie tak mówić nie wolno.

(Zarozumiale)

Bo ja jestem najślawniejszym artystą i twórcą sztuki ceramicznej w Gaomi. Niektórzy się z tym nie zgadzają, ale to jest ich sprawa. W tym fachu ja jestem najlepszy na świecie. Ludzie muszą nauczyć się autopromocji, bo jeśli sam się nie cenisz, to kto cię będzie cenił? Moje laleczki to dzieła sztuki, każda jest warta sto dolarów.

HAO WIELKA RĘKA

Słyszeli państwo? To się nazywa nie mieć wstydu! Kiedy ja już dawno w glinie pracowałem, ty jeszcze na czworakach kurze gówno jadłeś! Ja od starosty otrzymałem tytuł wybitnego mistrza sztuki ludowej! A kim ty jesteś?

QIN HE

Towarzysze, przyjaciele, słyszeliście? Hao Wielka Ręko, o tobie powiedzieć, że wstydu nie masz, to mało, ty masz skórę grubą jak podeszwa! Jesteś wariatem, masz obsesję, całe życie lalki lepisz, a jak dotąd żadnej nie skończyłeś, co jakąś ulepisz, zaraz ją rozwalasz i zawsze myślisz, że następna będzie lepsza. Jesteś głupi jak ten niedźwiedź na polu kukurydzy! Jak zerwał jedną kolbę, zobaczył drugą, tamtą rzucił, złapał następną... Towarzysze, przyjaciele, popatrzcie na te ręce, jaki tam z niego Wielka Ręka, to w ogóle nie są ręce, to są żabie łapy albo kacze łapy, mają błonę między palcami...

HAO WIELKA RĘKA

(Z gniewem rzuca kawałkiem gliny w Qin He)

Milcz! I wynoś się stąd, wariacie jeden!

QIN HE

A niby jakim prawem każesz mi się wynosić?

HAO WIELKA RĘKA

Bo to jest mój dom.

QIN HE

A możesz udowodnić, że to jest twój dom?

(Pokazuje na Ciotkę wśród dzieci)

Ona potwierdzi? Albo one?

HAO WIELKA RĘKA

Oczywiście, że ona potwierdzi.

QIN HE

A niby dlaczego?

HAO WIELKA RĘKA

Bo to jest moja żona.

QIN HE

A niby dlaczego tak twierdzisz?

HAO WIELKA RĘKA

Bo się z nią ożeniłem.

QIN HE

A jaki masz dowód, że się z nią ożeniłeś?

HAO WIELKA RĘKA

Bo z nią spałem!

QIN HE

(Z rozpaczą łapiąc się za głowę)

Nie! Ty oszustko! Okłamałaś mnie, ja dla ciebie zmarnowałem młodość! Obiecałaś mi, obiecałaś, że nigdy za nikogo nie wyjdiesz, że przez całe życie za nikogo nie wyjdiesz!

CIOTKA

(Gniewnie patrząc na Wielką Rękę)

I po co go denerwujesz? Przecież się umówiliśmy.

HAO WIELKA RĘKA

Zapomniałem.

CIOTKA

Zapomniałeś? To ci przypomnę. Powiedziałam ci wtedy, że mogę za ciebie wyjść, ale musisz go zaakceptować, musisz go uznać za brata i znosić jego wariactwo, wszystkie jego dziwactwa i głupie gadanie. Musisz mu dać jeść, musisz go ubrać i zapewnić mu dom.

HAO WIELKA RĘKA

A może mam się jeszcze zgodzić, żeby z tobą spał, co?

CIOTKA

Wariat! Obaj jesteście wariaci!

QIN HE

(Pokazując Wielką Rękę)

To ty jesteś wariatem, ja jestem normalny!

HAO WIELKA RĘKA

Wrzaski tu nie pomogą i złość też nie pomoże. Choćbyś nawet pięści podniósł wyżej niż drzewo, choćby ci z oczu poleciały wiśnie, choćby ci rogi na głowie wyrosły, choćby ci z ust ptaki wyfrunęły, choćbyś cały porósł świńską szczecina, to i tak nie zmieniliby to faktu, że jesteś wariatem. Bo to jest fakt, młotem w kamieniu wykuty fakt!

CIOTKA

(Drwiąco)

Te brednie to chyba z jakiejś sztuki Kijanki, co?

HAO WIELKA RĘKA

Co dwa miesiące łądujesz w szpitalu psychiatrycznym w Ma'ershan. Trzymają cię tam w kaftanie bezpieczeństwa, dają leki uspokajające, a jak nie działają, sadzają na krześle elektrycznym. Dręczą cię tam tak, że tylko skóra i kości z ciebie zostają, oczy masz puste i wyglądasz jak afrykańska sierota. Na twarzy masz ślady po muchach, jak stary tynk na ścianie. Kiedy stamtąd uciekłeś? Dwa miesiące temu? To jutro albo pojutrze pewnie po ciebie przyjadą.

*(Świetnie naśladuje głos syreny; Qin He zaczyna się trząść,
przeżony klęka na ziemi)*

Jak cię tym razem zabiorą, mam nadzieję, że już nie wypuszczą. Taki niebezpieczny wariat jak ty stanowi nieharmonijny element w naszym harmonijnym społeczeństwie!

CIOTKA

Dość już!

HAO WIELKA RĘKA

Gdybym ja był lekarzem, zamknąłbym cię tam na stałe. Łałbym cię pałką elektryczną, aż by ci się piana na ustach pokazała, aż byś się wił na podłodze, aż byś dostał takiego szoku, że już nigdy byś się nie ocknął. A nawet jakbyś się ocknął, i tak straciłbyś pamięć.

*Qin He trzyma się za głowę, tarza się po ziemi i przejmująco,
panicznie krzyczy.*

Ty głupi osłe, tarzaj się, a ja ci sztuczkę pokażę. Tarzaj się, tarzaj. Zobacz, już pysk ci się wydłuża; pomacaj się po uszach, sam sprawdź, jak ci urosły. Zaraz się zmienisz w osła... a osioł chodzi w kieracie, ładnie chodzi w kółeczko.

Qin He staje na czworakach, wysoko podnosi tyłek, udaje osła w kieracie.

Dobrze, właśnie tak, dobry z ciebie osiołek! Jak zmielimy dwa garnce czarnej fasoli, dostaniesz jeszcze garniec sorgo do zmielenia. Dobry osiołek nie musi mieć kłapek na oczach, dobry osiołek nie wykrada ziarna. Jak będziesz dobrze pracował, pan będzie sprawiedliwy, już przygotował obrok i niedługo dostaniesz.

Ciotka podchodzi do Qin He, próbuje go podnieść; Qin He gryzie ją w rękę.

CIOTKA

Ech ty, przyjaciół od wrogów nie odróżniasz.

HAO WIELKA RĘKA

Mówiłem ci, nie wtrącaj się. Zajmij się lepiej dziećmi, żeby nie zmarzły i nie były głodne. Ale nie mogą też jeść za dużo i nie można ich ubierać za ciepło. Już ci mówiłem: żeby się dziecko dobrze chowało, musi być trochę głodne i trochę zmarznięte.

(Do Qin He)

I co, przestałeś już ciągnąć? Ty leniwy ośle, muszę cię batem pogonić, żebyś zaczął pracować?

CIOTKA

Przestań się nad nim znęcać! On jest chory!

HAO WIELKA RĘKA

Kto tu jest chory? Bo mi się zdaje, że ty!

Qin He leży na scenie z pianą na ustach.

Wstawaj! Przestań udawać martwego! Już nieraz odgrywałeś tę komedię! Już to sto razy widziałem. Taką sztukę nawet żuki na gnoju potrafią. Myślałeś, że jak udasz trupa, to ja się przestraszę? Wcale się nie boję! A jak umarłeś, to jeszcze lepiej! Umieraj zaraz, tylko się pospiesz!

Ciotka podbiega do Qin He, próbuje udzielić mu pierwszej pomocy. Hao ją powstrzymuje.

(Hao z bólem)

Moja cierpliwość już się wyczerpała. Nigdy więcej nie pozwolę, żebyś ratowała go w ten sposób.

Ciotka przechodzi na lewo, Hao Wielka Ręka idzie za nią, Ciotka przechodzi na prawo, Hao Wielka Ręka za nią.

CIOTKA

On jest chory! Dla nas, lekarzy, na świecie istnieją tylko dwa rodzaje ludzi: zdrowi i chorzy. Choćby ktoś wczoraj zabił mi rodziców, jeśli dziś zachoruje – muszę zapomnieć o zemście i zacząć go ratować. Gdyby jego starszy brat w czasie gwałtu na mnie nagle dostał epilepsji, też zepchnęłabym go z siebie i zaczęła ratować.

HAO WIELKA RĘKA

(Sztynnie i ścisza głos, z rozpaczą)

A więc wreszcie się przyznajesz. Przyznajesz, że z obydwoma braćmi miałaś jakieś niejasne i niezrozumiałe stosunki.

CIOTKA

Bo to właśnie jest historia, historia tysięcy lat cywilizacji. Kto historię uznaje, wierzy w materializm historyczny, kto historii zaprzecza, jest historycznym idealistą!

(Siada przy Qin He, obejmuje go, jakby obejmowała dziecko, i cichym głosem śpiewa)

Kiedy o tobie myślę, serce mi pęka z miłości... Kiedy o tobie myślę, w oczach brakuje mi łez... Chciałabym list napisać, ale nie mam adresu... Chcę piosenkę zaśpiewać, lecz nie pamiętam już słów... Chcę cię pocałować, lecz znaleźć nie mogę twych ust... Chcę wziąć cię w ramiona, lecz nie wiem, gdzie ciało twe...

Chłopczyk w zielonym fartuszk (na fartuszk wyhaftowana jest żaba) z główką gładką jak arbuz wyprowadza z ciemnej pieczary grupę żab (granych przez dzieci) na wózkach inwalidzkich, o kulach, z obandażowanymi rękami.

Chłopczyk krzyczy głośno: „Spłać długi! Spłać długi!”. Żaby rechoczą i kumkają.

Ciotka krzyczy z przerażenia, porzuca Qin He i ucieka przed zielonym chłopcem i żabami.

Hao Wielka Ręka i oprzytomniały Qin He powstrzymują atak żab na Ciotkę i osłaniają ją przed nimi, potem uciekają ze sceny, zielony chłopiec i żaby ich gonią.

Kurtyna

Odłona trzecia

Pokój na komendzie policji; prostokątny stół, na stole telefon.

Na ścianie haftowane flagi, dyplomy itd.

Policjantka Xiao Wei siedzi za stołem, wskazuje Brwi krzesło po jego drugiej stronie.

Brew jest w tej samej czarnej sukni i czarnej zasłonie na twarzy.

XIAO WEI

(Poważnie, sposób mówienia uczennicy)

Obywatelko, proszę siadać.

BREW

(Nieoczekiwanie)

Dlaczego przed urzędem nie ma bębnów?

XIAO WEI

Jakich bębnów?

BREW

Kiedyś zawsze były dwa wielkie bębny, dlaczego ich tu nie ma? Jeśli nie ma bębnów, to jak biedny lud ma zawiadamiać, że dzieje mu się krzywda?

XIAO WEI

Pani mówi o *yamenie* z okresu feudalnego! Teraz jest socjalizm, pozbyliśmy się już takich rzeczy.

BREW

A w pałacu w Kaifengu się nie pozbyli.

XIAO WEI

Mówi pani chyba o tym serialu w telewizji? O tym pałacu, w którym urzęduje sędzia Bao Longtu?

BREW

Ja właśnie chcę się zobaczyć z Bao Longtu.

XIAO WEI

Obywatelko, to jest komenda policji ludowej przy ulicy Binhe. Ja jestem policjantką, nazywam się Wei Ying i pełnię dzisiaj dyżur. Proszę mi przedstawić swoją sprawę, a ja napiszę raport i poinformuję o niej przełożonych.

BREW

Moja sprawa jest bardzo poważna, tylko sędzia Bao może ją rozwiązać.

XIAO WEI

Obywatelko, sędzia Bao dzisiaj jest nieobecny. Proszę mi powiedzieć, o co chodzi, a ja zobowiązuję się wszystko mu przekazać. Co pani na to?

BREW

Obiecuje pani?

XIAO WEI

Obiecuję.

(Pokazuje krzesło)

Proszę siadać.

BREW

Jestem tylko biedną chłopką, nie śmiem.

XIAO WEI

Jak proszę, żeby pani usiadła, to niech pani siada.

BREW

Dziękuję najpokorniej.

XIAO WEI

Może napije się pani wody?

BREW

Najpokorniej dziękuję, nie.

XIAO WEI

Obywatelko, a może skończymy już z tym teatrem? Jak się pani nazywa?

BREW

Pokorna służka kiedyś nazywała się Chen Brew, ale Chen Brew umarła, albo umarła w połowie, a w połowie żyje. Dlatego pokorna służka nie zna swojego imienia.

XIAO WEI

Obywatelko, pani sobie ze mnie żartuje? A może pani chce, żebym ja też zaczęła żartować? To jest komenda policji, tu się wymaga powagi!

BREW

Kiedyś miałam najpiękniejsze brwi w Gaomi Dongbeixiang, dlatego nazywałam się Chen Brew. Ale teraz nie mam już brwi...

(Ostro)

Nie tylko brwi, ale rzesz też już nie mam i włosów na głowie też nie mam! Dlatego nie mam już prawa nazywać się Brwią!

XIAO WEI

(Domyślnie)

Obywatelko, czy mogłaby pani zdjąć zasłonę?

BREW

Nie mogę!

XIAO WEI

Jeśli się nie mylę, jest pani jedną z ofiar pożaru w fabryce zabawek?

BREW

Pani jest bardzo mądra.

XIAO WEI

Byłam wtedy jeszcze w szkole policyjnej i oglądałam w telewizji wiadomości o tym pożarze. Ci kapitaliści naprawdę nie mają serca, najgoręcej współczuję pani nieszczęściu. Jeżeli chce pani domagać się finansowego zadośćuczynienia, najlepiej iść do szpitala albo do urzędu miasta lub komitetu miejskiego. Albo do mediów.

BREW

Przecież zna pani sędziego Bao? Tylko on może rozsądzić moją sprawę.

XIAO WEI

(Zrezygnowana)

No dobrze, niech pani mówi. Zrobię, co w mojej mocy, żeby pani sprawa dotarła do moich przełożonych.

BREW

Chcę im powiedzieć, że ukradli mi dziecko.

XIAO WEI

Kto ukradł pani dziecko? Proszę mi wszystko spokojnie opowiedzieć, proszę się nie śpieszyć. Może jednak napije się pani trochę wody, bo słyszę, że całkiem pani zaschło w gardle.

(Nalewa szklankę wody, podaje Brwi)

BREW

Nie będę nic pić. Wiem, że szuka pani pretekstu, żeby zobaczyć moją twarz. Nienawidzę mojej twarzy i nienawidzę, kiedy ludzie na nią patrzą.

XIAO WEI

Bardzo panią przepraszam, nie o to mi chodziło.

BREW

Po wypadku tylko raz spojrzałam w lustro. Od tamtej pory nienawidzę luster, nienawidzę wszystkich rzeczy, w których widać odbicie. Początkowo zamierzałam się zabić zaraz po spłaceniu długów ojca, ale teraz już nie chcę się zabijać. Gdybym ja się zabiła, moje dziecko umarłoby z głodu; gdybym się zabiła, moje dziecko zostałoby sierotą. Słyszę płacz mojego dziecka, niech pani posłucha... Już ochrypl z płaczu, chcę mu dać mleka, a moje piersi zrobiły się już wielkie jak piłki i niedługo pękną. Ale oni schowali moje dziecko...

XIAO WEI

Oni to znaczy kto?

BREW

(Niespokojnie patrząc na drzwi)

To są żaby, wielkie jak pokrywka do garnka, strasznie kumkają... to są wstrętne, złe żaby, żaby, które zjadają dzieci...

XIAO WEI

(Wstaje i zamyka drzwi)

Proszę pani, może pani być spokojna. Ściany są dźwiękoszczelne.

BREW

Oni mają ręce długie aż do nieba, nawet w urzędzie mają swoich ludzi.

XIAO WEI

Sędzia Bao się ich nie boi.

BREW

(Wstaje z krzesła, klęka)

Czcigodny panie Bao, pokorna służka została skrzywdzona, niech wasza wysokość przywróci sprawiedliwość.

XIAO WEI

Niech pani mówi.

BREW

Wasza wysokość, błagam o wysłuchanie. Pokorna służka jest prostą dziewczyną z Gaomi Dongbeixiang. Moim ojcem jest Chen Nos. Chciał mieć syna i gardził córkami, więc żeby mieć syna, kazał mojej matce złamać prawo kontroli urodzeń, ale ta sprawa się wydała. Najpierw kryli się w różnych miejscach, potem na wielkiej rzece umykali przed pogonią urzędu. Nieszczęsna matka pokornej służki na drewnianej tratwie powiła mnie i zmarła. Mój ojciec, poznawszy, że znowu ma córkę, był wielce zrozpaczony. Najpierw chciał mnie porzucić, ale w końcu przyjął. Urodziłam się nieprawnie, więc ojciec mój musiał zapłacić pięć tysięcy osiemset juanów kary. Od tamtej pory ojciec pił w każdy dzień, a gdy się upił, łątał i bił mnie i moją starszą siostrę. Kiedy dorosłam, razem ze starszą siostrą Chen Ucho pojechałyśmy na południe w poszukiwaniu pracy. Chciałyśmy spłacić długi ojca i szukać dla siebie szczęśliwej przyszłości. Wszyscy mawiali, że nie ma dziewcząt tak pięknych jak dwie siostry Chen. Gdybyśmy chciały wstąpić na złą drogę, złoto by samo się do nas toczyło. Jednak zachowałyśmy czystość, byłyśmy jak lotos, co się z błota wynurza nieskażony. Ale straszliwy pożar zabrał życie mojej siostry i zniszczył moją twarz...

Xiao Wei ociera łzy chusteczką.

Siostra zginęła, żeby mnie ratować... Siostrze... po coś mnie ratowała? Lepiej mi było zginąć, niż zostać przy życiu, bo ani trupem nie jestem, ani człowiekiem...

XIAO WEI

Podli kapitaliści! Należałoby ich zamknąć i rozstrzelać!

BREW

Nie byli tacy źli, zapłacili dwadzieścia tysięcy odszkodowania za moją siostrę i pokryli koszty mojego leczenia w szpitalu. A potem dali mi jeszcze pięćdziesiąt tysięcy. Wszystkie te pieniądze oddałam ojcu i powiedziałam: „Tato, zwracam ci karę, którą musiałeś za mnie zapłacić plus odsetki za dwadzieścia lat. Spłaciłam ci już wszystko i od dzisiaj nic ci nie jestem winna!”

XIAO WEI

Ten pan ojciec nie jest dobrym człowiekiem.

BREW

Choćby był najgorszy, jest przecież moim ojcem. Nie mam prawa go przeklinać.

XIAO WEI

I co on zrobił z tymi pieniędzmi?

BREW

A co miał zrobić? Wszystko do czysta przepił, przejadł i przepalił.

XIAO WEI

Co za łajdak! Taki człowiek jest gorszy od psa, gorszy od świni!

BREW

Już mówiłam, że nie wolno przeklinać mojego ojca.

XIAO WEI

(Autoironicznie)

Po co ja się podniecam? A potem?

BREW

A potem poszłam do pracy na żabiej farmie.

XIAO WEI

Słyszałam o tej farmie, jest bardzo znana. Podobno teraz opracowują świetny kosmetyk z jakimś składnikiem ze skóry żaby. Jeśli im się uda, będą go sprzedawać na całym świecie.

BREW

Właśnie ich chcę oskarżyć.

XIAO WEI

Proszę mówić.

BREW

Hodowla żab to tylko przykrywka, naprawdę zajmują się produkowaniem dzieci.

XIAO WEI

Jakich dzieci?

BREW

Wynajmują dziewczyny, które rodzą dzieci bogaczom.

XIAO WEI

Czy coś takiego jest w ogóle możliwe?

BREW

Mają dwadzieścia kilka takich tajnych pokoi, wynajęli dwadzieścia dziewczyn, niektóre mają mężów, niektóre nie. Mają i brzydkie, i ładne, takie, co zachodzą w ciążę po seksie, i takie, co zachodzą w ciążę bez seksu.

XIAO WEI

Co takiego? Zaraz, zaraz – co to znaczy „po seksie” i „bez seksu”?

BREW

Udaje pani taką naiwną? Nie wie pani o takich rzeczach? Czy może jest pani dziewicą?

XIAO WEI

Naprawdę nie rozumiem...

BREW

Zachodzą w ciążę po seksie, bo najpierw śpią z mężczyzną, jak mąż i żona, i mieszkają razem, aż dziewczyna zajdzie w ciążę. Zachodzą w ciążę bez seksu, to znaczy, że biorą spermę od mężczyzny i przez rurkę wprowadzają ją do macicy! Jest pani dziewicą?

XIAO WEI

A pani?

BREW

Oczywiście, że tak.

XIAO WEI

Ale przecież przed chwilą sama pani mówiła, że ma pani dziecko.

BREW

Mam dziecko, ale jestem dziewicą. Taka gruba pielęgniarka przez rurkę wprowadziła we mnie spermę, więc chociaż zaszłam w ciążę i urodziłam dziecko, nigdy nie spałam z mężczyzną. Jestem czysta, jestem dziewicą!

XIAO WEI

Kim są właściwie ci „oni”, o których pani mówi?

BREW

Nie mogę powiedzieć, bo jeśli powiem, zabiją moje dziecko.

XIAO WEI

Chodzi o tego grubasa z żabiej farmy? Tego, jak mu tam... Yuana Policzka?

BREW

Gdzie jest Policzek? Właśnie jego szukam! Ty bestio jedna, oszukałeś mnie, wszyscy żeście mnie oszukali! Powiedzieliście, że moje dziecko zmarło zaraz po urodzeniu, pokazaliście mi kota obdartego ze skóry i wmawialiście, że to moje dziecko, ale to było tylko przedstawienie! I w ten sam sposób obrabowaliście mnie z moich pieniędzy i chcecie, żebym przestała szukać mojego syna. Nie chcę pieniędzy, nie zależy mi na pieniądzach. Gdyby mi zależało na pieniądzach, to kiedy byłam w Gaungdongu, jakiś bogacz z Tajwanu chciał mnie wynająć na trzy lata za milion! Ale ja chcę moje dziecko, moje dziecko jest najwspanialsze na świecie! Czcigodny panie Bao, niech wasza wysokość przywróci sprawiedliwość...

XIAO WEI

Kiedy panią zapłodnili, czy podpisała pani z nimi jakiś kontrakt?

BREW

Podpisałam. Podpisałam, że po zajściu w ciążę zapłacą mi jedną trzecią, a po urodzeniu dziecka, jak wszystko będzie dobrze, resztę.

XIAO WEI

Z tym może być kłopot. Ale nic nie szkodzi, sędzia Bao na pewno rozwiąże tę sprawę. Niech pani mówi dalej.

BREW

Powiedzieli mi, że sperma pochodzi od ważnego człowieka. Że ten człowiek ma znakomite geny i jest geniuszem. Że ten człowiek, żeby mieć zdrowe dziecko, rzucił palenie, przestał pić i codziennie przez pół roku jadł jednego uchowca i dwa trepangi.

XIAO WEI

(Ironicznie)

Można powiedzieć, że inwestował.

BREW

Żeby spłodzić znakomitego potomka, trzeba planować na wiele lat naprzód, oczywiście, że nie można skąpić wysiłków ani pieniędzy. Powiedzieli mi, że kiedy ten wielki człowiek zobaczył moje zdjęcie sprzed wypadku, stwierdził, że byłam piękną mieszaną krwi.

XIAO WEI

Skoro nie zależało pani na pieniądzach, dlaczego zgodziła się pani na tę ciążę?

BREW

Powiedziałam, że nie zależało mi na pieniądzach?

XIAO WEI

Sama pani tak powiedziała.

BREW

(Przypominając sobie)

Już pamiętam, to było przez to, że mój ojciec miał wypadek i trafił do szpitala. Zgodziłam się zostać zastępczą matką, żeby zapłacić za jego leczenie.

XIAO WEI

Jest pani bardzo dobrą córką. Takiego ojca trzeba było zostawić, żeby umarł, i już.

BREW

Ja też tak najpierw myślałam, ale ostatecznie to był mój ojciec.

XIAO WEI

Dlatego mówię, że jest pani bardzo dobrą córką.

BREW

Wiem, że moje dziecko nie umarło, bo słyszałam, jak płakało po urodzeniu... Niech pani posłucha, znowu płacze... Moje dziecko nigdy nie posmakowało mleka własnej matki... Moje biedne dzieciątko...

Wchodzi komendant.

KOMENDANT

Co to za krzyki i płacze, jak ma pani sprawę, proszę mówić normalnie!

BREW

(Kłęka)

Czcigodny panie Bao, niech wasza wysokość przywróci sprawiedliwość...

KOMENDANT

A co to jest? Co to za wygłupy?

XIAO WEI

(Cicho)

Panie komendancie, to może być wielka sprawa!

(Podaje mu notatnik, Komendant przegląda go pobieżnie)

Bardzo możliwe, że ma związek z zorganizowaną prostytutką i handlem dziećmi.

BREW

Czcigodny panie Bao, niech wasza wysokość ratuje moje dziecko...

KOMENDANT

Dobra kobieto, przyjąłem twoją skargę i z pewnością przekażę ją sędziemu Bao. A teraz odejść i czekać na wiadomości.

Brew wychodzi.

XIAO WEI

Komendancie!

KOMENDANT

Nowa tu jeszcze jesteś, nie znasz sprawy. Ta kobieta przeżyła pożar w fabryce zabawek i pomieszało się jej w głowie, to już trwa od lat. Możemy jej współczuć, ale pomóc jej nie możemy.

XIAO WEI

Ale, panie komendancie, ja widziałam, że...

KOMENDANT

Że co?

XIAO WEI

(Skrepowana)

Widziałam, że z jej piersi wypływa mleko...

KOMENDANT

Pewnie to był pot. Jesteś nowa w pracy i nie wiesz jeszcze, że w tej robocie trzeba mieć się na baczności i nie wolno być za bardzo wrażliwym!

Kurtyna

Odsłona czwarta

Dekoracja taka sama jak w odsłonie drugiej.

*Hao Wielka Ręka i Qin He siedzą przy blacie i lepią lalki.
Wchodzi człowiek w średnim wieku, w wygnięcionym szarym
garniturze, w krawacie, w kieszeni ma pióro, pod pachą trzyma
skórzaną aktówkę.*

HAO WIELKA RĘKA

(Nie podnosząc głowy)

Kijanka, to znowu ty?!

KIJANKA

(Przymilnie)

Wujku Hao, wujek jest naprawdę niesamowity. Na słuch
wujek poznał, że to ja.

HAO WIELKA RĘKA

Wcale nie na słuch. Węchem cię poznałem.

QIN HE

Psy mają węch dziesięć tysięcy razy lepszy niż człowiek.

HAO WIELKA RĘKA

Chcesz mnie obrazić?

QIN HE

A kiedy ja cię obraziłem? Powiedziałem tylko, że psy mają węch dziesięć tysięcy razy lepszy niż ludzie!

HAO WIELKA RĘKA

A ten dalej swoje!

(Z trzymanej w rękę gliny błyskawicznie lepi podobiznę twarzy

Qin He;

*podnosi ją i pokazuje Kijance i Qin He, po czym gwałtownie
rzuca na ziemię)*

Proszę bardzo: rozbiłem cię i straciłeś twarz!

QIN HE

*(Równie szybko lepi podobiznę Wielkiej Ręki, podnosi ją,
pokazuje i rzuca na ziemię)*

Proszę bardzo, ja też cię rozbiłem, ty stary psie!

KIJANKA

Wujku Hao, wujku Qin, nie denerwujcie się. Stworzyliście wspaniałe dzieła sztuki i po co je było rozbijać?

HAO WIELKA RĘKA

Przestań tak kłapać gębą, bo inaczej ciebie ulepię i rozbiję!

KIJANKA

Bardzo proszę, żeby mnie wujek ulepił i żeby mnie nie rozbijał. Jak opublikuję moje dzieło, na okładce umieszczę zdjęcie mojej figurki.

HAO WIELKA RĘKA

Już ci mówiłem, że twoja ciotka woli mrówki na drzewie oglądać, niż czytać te twoje sztuczki.

QIN HE

Lepiej byś się zajął uczciwą pracą na roli zamiast tą pisaniną. Jeśli ty potrafisz sztuki pisać, to ja zjem moją glinę.

KIJANKA

(Pokornie)

Wujku Hao, wujku Qin, ciocia jest już w podeszłym wieku, oczy ma słabe, nigdy bym nie śmiał prosić, żeby je męczyła czytaniem. Zamierzam sam jej to przeczytać na głos i chciałbym, żeby wujkowie też posłuchali. Na pewno słyszeliście o wielkich dramatopisarzach Cao Yu i Lao She. Oni właśnie przychodzili do teatru i czytali swoje sztuki aktorom i reżyserom.

HAO WIELKA RĘKA

Ale ty nie jesteś ani Cao Yu, ani Lao She.

QIN HE

A my nie jesteśmy aktorami ani – tym bardziej – reżyserami.

KIJANKA

Ale jesteście postaciami w mojej sztuce! Wiele tuszu zużyłem, żeby was upiększyć. I jeśli nie posłuchacie, to wasza strata. Jeśli posłuchacie i coś się wam nie spodoba, będę mógł to poprawić. A jeśli nie posłuchacie, to kiedy sztuka wejdzie na scenę i ukaze się w druku, będzie za późno na narzekanie.

(Nagle poważnie)

Dla tej sztuki poświęciłem dziesięć lat życia, wydałem cały majątek, nawet belki z dachu ściągnąłem i sprzedałem.

(Dotyka piersi i zanosi się kaszlem)

Dla tej sztuki paliłem wstrętne suszone liście – gdy nie było tytoniowych, brałem nawet klonowe – spędziłem dziesiątki nieprzespanych nocy, straciłem zdrowie, skróciłem sobie życie i w imię czego? Dla sławy? Dla korzyści?

(Ostro)

Na pewno nie! To wszystko z miłości do ciotki, to wszystko po to, żeby wystawić pomnik naszej Matce Boskiej z Dongbeixiangu! Jeśli nie posłuchacie dzisiaj mojej sztuki, tutaj, na waszych oczach, odbiorę sobie życie!

HAO WIELKA RĘKA

Kogo chcesz przestraszyć? A jak się chcesz zabić? Powiesz się czy otrujesz?

QIN HE

Nawet to było wzruszające, właściwie to trochę bym chciał posłuchać.

HAO WIELKA RĘKA

Możesz sobie czytać, byle nie u mnie w domu

KIJANKA

To przede wszystkim jest dom ciotki, a dopiero potem twój.

Ciotka wychodzi z pieczary.

CIOTKA

(Leniwie)

Kto tu mówi o mnie?

KIJANKA

Ciociu, to ja.

CIOTKA

Wiem, że ty. Po coś przyszedł?

KIJANKA

(Z pośpiechem otwiera aktówkę, wyciąga plik kartek i szybko czyta)

Ciociu to ja, Kijanka z Liangxiangtun.

Wielka Ręka i Qin He wymieniają zdumione spojrzenia

Mój ojciec nazywa się Xu Peisheng, matka – Sun Fuxia. Jestem jednym z patatowych dzieci i pierwszym dzieckiem, które odebrałaś w życiu. Moją żoną jest Tan Yuer, też jedno z dzieci, którym pomogłaś się urodzić, jej ojcem był Tan Jinhai, matką Huang Yueling...

CIOTKA

Przestań! Gdy zostałeś dramatopisarzem, zmieniłeś nazwisko? I wiek sobie zmieniłeś? I wieś rodzinną też? I żonę też zmieniłeś?

(Ciotka przechadza się między dziećmi zawieszonymi nad sceną.

Od czasu do czasu spuszcza głowę w zamyśleniu, czasami wyraźnie się denerwuje.

Klepie jedno z dzieci w pupę i dziecko wybucha płaczem.

Klepie kolejne dzieci i wszystkie zaczynają płakać.

Mówi bez przerwy na tle ich płaczu, płacz stopniowo cichnie)

Wy, moje patatowe dzieci, niech ja was dobrze słyszę, to ja was wszystkie powyciągałam! Ech, wy smarkacze, przy żadnym sił nie zaoszczędziłam. Przez pięćdziesiąt lat wykonuję tę pracę i nawet dzisiaj nie znam odpoczynku. Przez pięćdziesiąt lat wasza ciotka rzadko zjadła ciepły posiłek, niewiele nocy przespała do rana. Obie ręce we krwi, głowa spocona, cała obsikana, obsrana, a wam się wydawało, że łatwo być wiejską akuszerką? Gaomi Dongbeixiang to osiemnaście wsi, pięć tysięcy gospodarstw, a w którym ja domu nie byłam, czyjego progu nie przestąpiłam? Te lepkie brzuchy waszych matek, waszych żon – wszystkie je widziałam, Wszystkim waszym ojcom łajdakom rurki podwiązałam. A wy teraz – albo na urzędach, albo majątki robicie, ale awantury to możecie urządzać u starosty, fochy stroić u prezydenta miasta, ale u mnie musicie być grzeczne. Powinnam was była wtedy, pieski, wykastrować, żeby waszym żonom oszczędzić kłopotu. Przestańcie mi tu chichotać, poważniej trochę! Ograniczanie liczby urodzeń to planowanie narodu, to sprawa wielkiej wagi. Przestańcie się szczerzyć, nic wam z tego nie przyjdzie. Co trzeba usunąć, to trzeba usunąć; jak trzeba wykastrować, to trzeba wykastrować. Każdy mężczyzna to drań – kto to powiedział? Nie wiecie? Wy nie wiecie i ja też nie wiem. Ja wiem tylko tyle, że każdy mężczyzna to drań. Ale chociaż to dranie, bez nich też się nie da. Pan Bóg jak stworzył świat, tak to już ustalił, że są tygrysy i zające, orły i

wróble, muchy i komary... żadnego nie może zabraknąć na świecie. Podobno w afrykańskiej dżungli żyje takie plemię, w którym ludzie mieszkają na drzewach. Wiją gniazda na drzewach i kobiety w tych gniazdach znoszą jaja. I taka kobieta, jak już zniesie jajo, siedzi na gałęzi i zjada owoce, a mężczyzna owija się liśćmi, wchodzi do gniazda i wysiaduje. Wysiaduje tak siedem razy siedem, czyli czterdzieści dziewięć dni, a wtedy dziecko głową rozbija skorupkę i wyskakuje na świat. Jak wyskoczy, od razu umie łązić po drzewach. Wierzycie? Możecie nie wierzyć, ja wierzę. Osobiście odebrałam kiedyś jedno jajo. Było wielkości piłki, położyłam je na kangu i wysiadywałam przez pół miesiąca, a w końcu wyskoczyło z niego tłuściutkie i białutkie dziecko. Nazywało się Zjajek. Niestety, Zjajek nabawił się zapalenia mózgu i zmarł, a gdyby żył, miałby teraz czterdzieści lat. Gdyby żył, byłby wielkim pisarzem, bo jak wyciągnął rączkę, ze wszystkich podanych rzeczy najpierw chwycił pióro. Kiedy w górach nie ma tygrysa, mała ogłasza się królem, Zjajek nie żyje, więc ty możesz bawić się w pisarza.

KIJANKA

(Z podziwem)

Ciociu, ty mówisz jak ze sceny. Jesteś nie tylko wybitnym położnikiem, jesteś wspaniałą pisarką! Bez zastanowienia mówisz scenicznymi kwestiami!

CIOTKA

Jak to „bez zastanowienia”? Ja się nad tym wszystkim długo i głęboko zastanawiałam.

(Pokazując plik papierów w ręku Kijanki)

To jest ta twoja sztuka?

KIJANKA

(Skromnie)

Tak.

CIOTKA

Jaki ma tytuł?

KIJANKA

Wa.

CIOTKA

Jakie „wa”? Takie „wa” jak „dziecko”? Czy takie „wa” jak „żaba”?

KIJANKA

Na razie takie jak „żaba”. Więc tytuł brzmi *Żaby*. Ale oczywiście mogę go też zmienić na *Dzieci*, a mogę też zmienić na *Bogini Nüwa*. Nüwa stworzyła ludzi, a żaba symbolizuje liczne potomstwo. Żaba jest totemem Dongbeixiang, tutejsza ceramika i noworoczne obrazki to konkretne przykłady naszego kultu żaby.

CIOTKA

Czyżbyś nie wiedział, że ja się boję żab?

KIJANKA

W tej sztuce staram się właśnie dotrzeć do przyczyn twojego lęku przed żabami. Kiedy przeczytasz ją do końca, psychiczny kompleks ulegnie rozwiązaniu i już nigdy więcej nie będziesz się bała żab.

CIOTKA

(Wyciągając rękę)

No to pokaż mi tę swoją sztukę.

Kijanka z szacunkiem podaje jej rękopis.

(Ciotka do Wielkiej Ręki i Qin He)

Ej, wy dwaj! Który chce spalić te brednie?

KIJANKA

Ciociu, to jest dziesięć lat mojej ciężkiej pracy!

CIOTKA

(Ciska plik na podłogę, kartki rozsypują się po scenie)

Wcale nie muszę tego czytać, wystarczy, że nosem pociągnę, i już wiem, co tam napierdziałeś! Myślisz, że ta odrobina wiedzy, której liznąłeś, wystarczy do psychoanalizy mojego lęku?

Kijanka, Qin He i Wielka Ręka biegną po całej scenie i wyrywają sobie kartki.

(Ciotka mówi pogrążona we wspomnieniach)

Tego ranka, kiedy się urodziłeś, myłam ręce w rzece. Zobaczyłam wielką ławicę kłębiących się kijanek, a tamtego roku była susza i kijanek było więcej niż wody. Ten obraz wywołał we mnie takie skojarzenie: zaledwie jedna kijanka na dziesięć tysięcy zmieni się w żabę, reszta obróci się w muł. I tak samo jest z męskimi plemnikami – tylko jeden z wielu milionów połączy się z jajczkiem i stanie się człowiekiem. Pomyślałam wtedy, że między kijankami a ludzką rozrodczością jest jakiś tajemniczy związek. Kiedy twoja matka poprosiła, żebym nadała ci imię, od razu przyszło mi na myśl „Kijanka”! Twoja matka powiedziała: to bardzo dobre imię! Kijanka! Dzieci z nędznym imieniem dobrze się chowają. Kijanko, twoje imię przyniesie ci szczęście i bogactwo!

Kijanka, Hao Wielka Ręka i Qin He słuchają, każdy z nich trzyma w ręku i gniecie kilka kartek rękopisu.

KIJANKA

Bardzo dziękuję, ciociu.

CIOTKA

A potem w „Dzienniku Ludowym” pisali o wykorzystaniu kijanek w antykoncepcji. Kilku kobietom w okresie owulacji kazali przed stosunkiem wypić wodę z czternastoma żywymi kijankami, żeby zapobiec zapłodnieniu. Ale rezultat był taki, że te wszystkie kobiety urodziły żaby!

HAO WIELKA RĘKA

Już przestań, bo ci się znowu pogorszy!

CIOTKA

Pogorszy mi się, mówisz? To nie ja jestem chora, to tamci, którzy jedli żaby. Kazali kobietom pójść nad rzekę, wziąć nożyczki i obciąć żabom głowy, a potem ściągnąć im skórę z nóg, jakby zdejmowały im spodnie. Żabie uda są takie same jak uda kobiet. Właśnie od tego czasu boję się żab. Ich uda... są takie same jak uda kobiet...

QIN HE

Ci ludzie, którzy jedli żaby, w końcu za to zapłacili. W ciele żab są pasożyty, które wpełzły im do mózgów i doprowadziły do debilizmu. A na koniec ich twarze miały taki wyraz jak pyski żab.

KIJANKA

To jest bardzo ważny moment w zawiązywaniu kompleksu psychicznego. Ludzie, którzy zjadali żaby, sami w końcu stali się żabami. A ty ciociu, jesteś rycerzem i obrońcą żab.

(Ze smutkiem)

Nie, ja także mam żabią krew na rękach. Okłamano mnie i nieświadomie zjadłam klopsik z siekanego mięsa żaby. Tak samo było z królem Wen z dynastii Zhou, o którym opowiadał mi twój dziadek: król nieświadomie zjadł klopsik z mięsa swojego syna. Potem król uciekł z niewoli i wymiotował kilka kulek mięsa. Kiedy kulki spadły na ziemię, zmieniły się w zające, a słowo „zając” w tamtym języku brzmiało tak samo jak „wypluć syna”! Tamtego dnia przyszedłam do domu i poczułam, że w brzuchu coś mi się rusza i wydawało mi się, że słyszę kumkanie. To było straszne, obrzydliwe, pobiegłam nad rzekę, schyliłam głowę i zaczęłam wymiotować czymś zielonym, a kiedy to coś wpadało do wody, zmieniało się w żaby...

*Chłopczyk w zielonym fartuszku wybiega z pieczary na czele
kalekich żab.*

*Krzyczy głośno: „Spłać długi! Spłać długi!”. Żaby gniewnie
kumkają.*

*Ciotka krzyczy z przerażenia i mdleje. Hao Wielka Ręka podnosi
ją i uciska jej czoło między brwiami.*

Qin He przegania chłopca i żaby. Kijanka zbiera kartki rękopisu.

KIJANKA

*(Z wewnętrznej kieszeni wyjmuje zaproszenie w czerwonej
kopercie)*

Ciociu, ja tak naprawdę znam przyczynę twojego lęku przed żabami. I wiem, że od wielu lat szukasz sposobu, żeby odkupić to, co uważasz za swoją winę. Ale w rzeczywistości nie zrobiłaś nic złego. Tamte rozczłonkowane żaby były tylko złudzeniem. Ciociu, dzięki twojej pomocy przyszedł na świat mój syn. Z tej okazji wydaję wielki bankiet i mam przyjemność prosić ciocię

(Zwraca się do Wielkiej Ręki i Qin He)

oraz obydwu wujków, abyście zaszczylili nas swoją obecnością!

Kurtyna

Odsłona piąta

Noc. Boczne światła, scena skąpana w złotej poświacie.

*Mur wokół świątyni Pani Matki, pod wielką kolumną kuli się
Chen Nos i jego pies.*

Psa może grać człowiek.

*Przed nimi stoi poobijana metalowa miska, w której leży kilka
banknotów i monet.*

Obok Nosa stoją dwie kule.

*Chen Brew w czarnej sukni i czarnej zasłonie na twarzy pojawia
się na scenie jak duch.*

*Za nią wchodzi dwóch mężczyzn w czarnych strojach i czarnych
maskach na twarzy.*

BREW

(Z płaczem)

Dziecko... Moje dziecko... gdzie jesteś... synku ...
gdzie jesteś...

Mężczyźni w czerni zbliżają się do niej.

Kim jesteście? Dlaczego macie czarne ubrania i maski na
twarzach? A, już wiem, wy też jesteście ofiarami tamtego
pożaru...

MĘŻCZYZNA W CZERNI I

Tak jest, jesteśmy ofiarami pożaru.

BREW

(Przytomnie)

Nieprawda, w tamtym pożarze ucierpiały kobiety, a wy jesteście przecież mężczyznami.

MĘŻCZYZNA W CZERNI 2

Ale my jesteśmy ofiarami innego pożaru.

BREW

Jesteście więc nieszczęśliwi...

MĘŻCZYZNA W CZERNI I

Tak jest. Jesteśmy bardzo nieszczęśliwi.

BREW

Cierpicie...

MĘŻCZYZNA W CZERNI 2

Tak jest, bardzo cierpimy.

BREW

Mieliście przeszczep skóry?

MĘŻCZYZNA W CZERNI I

(Nie rozumiejąc)

Jaki przeszczep skóry?

BREW

Wycina się kawałek skóry z pośladków albo ud, albo innych miejsc, które nie zostały poparzone, i przeszczepia się tam, gdzie skóra jest spalona. Nie przechodziliście tego?

MĘŻCZYŻNA W CZERNI 2

Ależ jak najbardziej, przechodziliśmy. Całą skórę z pośladków lekarze przenieśli nam na twarze...

BREW

A wszczepiali wam brwi?

MĘŻCZYŻNA W CZERNI I

Oczywiście, że wszczepiali.

BREW

A wzięli wam włosy z głowy czy włosy łonowe?

MĘŻCZYŻNA W CZERNI 2

Że jak?! Włosy łonowe w brwiach?

BREW

Jeżeli skóra na głowie została spalona, używa się włosów łonowych. Zawsze to lepiej niż w ogóle nie mieć włosów. A jeśli włosów łonowych też brakuje, zostaje się całkiem bezwłosym jak żaba.

MĘŻCZYŻNA W CZERNI I

No właśnie, my jesteśmy już całkiem bez włosów, jesteśmy bezwłosi jak żaby.

BREW

Patrzyliście w lustro?

MĘŻCZYZNA W CZERNI 2

Nigdy nie patrzymy w lustro.

BREW

Ludzie z oparzeniami najbardziej boją się luster i nienawidzą ich najbardziej ze wszystkiego.

MĘŻCZYZNA W CZERNI I

To prawda. Rozbijamy każde lustro, które nam wpadnie w oczy.

BREW

To nic nie daje. Można zbić lustro, ale nie zbije się wystawowych szyb ani gładkich marmurowych podłóg, ani wody, która pokazuje nasze odbicia. A już najbardziej nie da się zbić oczu ludzi, którzy na nas patrzą, którzy na nasz widok krzyczą i uciekają ze strachu. Dzieci potrafią nawet rozplakać się z przerażenia. Płaczą i wołają, że jesteśmy upiorami i złymi duchami. Ich oczy są naszymi lustrami, więc luster nie da się zbić. Najlepszy sposób to zasłonić sobie twarz.

MĘŻCZYZNA W CZERNI 2

Bardzo słusznie. I właśnie dlatego jesteśmy w maskach.

BREW

Myśleliście o samobójstwie?

MĘŻCZYŻNA W CZERNI 2

My...

BREW

Podobno już pięć kobiet poparzonych w pożarze popełniło samobójstwo. Odebrały sobie życie po tym, jak spojrzały w lustro...

MĘŻCZYŻNA W CZERNI I

To lustra je skrzywdziły!

MĘŻCZYŻNA W CZERNI 2

I dlatego rozbijamy każde lustro, które zobaczymy.

BREW

Ja najpierw też chciałam się zabić, ale teraz już nie chcę!

MĘŻCZYŻNA W CZERNI I

Dużo lepiej jest żyć. Najnędniejsze życie jest lepsze od najwspanialszej śmierci!

BREW

Kiedy zaszłam w ciążę i poczułam, że w moim brzuchu rusza się nowe życie, przestałam pragnąć śmierci. Poczulałam się jak brzydki kokon, w którym kształtuje się piękna istota, i myślałam, że kiedy ta piękna istota wyjdzie ze mnie na świat, zostanę pustą skorupą.

MĘŻCZYŻNA W CZERNI 2

Ładnie powiedziane.

BREW

Ale kiedy urodziłam dziecko, wcale nie stałam się pustą i obumarłą skorupą. Poczułam, że moje życie stało się prawdziwsze, pełniejsze. Nie uschłam, nie zamarłam, przeciwnie, napełniła mnie nowa energia. Napięta skóra na mojej twarzy jakby nabrała soków, w moich piersiach pojawiło się mleko... Urodzenie dziecka dało mi nowe życie... Ale oni ukradli moje dziecko...

MĘŻCZYŻNA W CZERNI I

Chodź z nami. My wiemy, gdzie jest twój syn.

MĘŻCZYŻNA W CZERNI 2

Odnaleźliśmy cię, bo chcemy ci pomóc go zobaczyć.

BREW

(Z podnieceniem)

Dzięki Niebu i Ziemi! Zaprowadźcie mnie do niego, natychmiast zaprowadźcie mnie do niego!

Mężczyźni biorą ją pod rękę i chcą zejść z nią ze sceny, ale pies Nosa rzuca się na nich i gryzie Mężczyznę w czerni 1 w lewą nogę. Nos podrywa się, doskakuje do nich wsparty na kulach, opiera się na jednej kuli, drugą uderza Mężczyznę w czerni 2. Mężczyźni w czerni odskakują od Nosa i jego psa, w rękach trzymają groźnie wyglądające błyszczące sztylety. Nos i pies stoją z jednej strony, mężczyźni z drugiej, Brew z przodu sceny zamyka trójkąt.

NOS

(Z wściekłością)

Zostawcie moją córkę!

MĘŻCZYZNA W CZERNI I

Ty wstrętny staruchu, ty pijaku jeden, ty łajzo, ty żebraku, ty masz czelność twierdzić, że to jest twoja córka?

MĘŻCZYZNA W CZERNI 2

Twierdzisz, że to twoja córka? No to niech ona coś powie, zobaczymy, czy potwierdzi.

NOS

Brew... Moja nieszczęsna córeczko...

BREW

(Zimno)

Pan się chyba pomylił? Pan się na pewno pomylił.

NOS

(Ze smutkiem)

Dziecko, ja wiem, że mnie nienawidzisz. Skrzywdziłem cię, skrzywdziłem twoją siostrę i twoją matkę, każdą z was skrzywdziłem. Jestem zbrodniarzem i śmieciem, jestem żywym trupem...

MĘŻCZYZNA W CZERNI I

A co to, spowiedź? Jest tu gdzieś kościół niedaleko?

MĘŻCZYZNA W CZERNI 2

Sześć kilometrów na wschód, koło rzeki, nowo postawiony kościół katolicki.

NOS

Brewko, ja wiem, że oni cię oszukali. Człowiek, który cię oszukał, jest moim szkolnym kolegą, ja ci pomogę przywrócić sprawiedliwość!

MĘŻCZYZNA W CZERNI I

Stary, lepiej stąd spadaj.

BREW

(Z gniewem)

Kim jesteś? Dlaczego mnie zatrzymujesz? Ja chcę iść po moje dziecko, rozumiesz? Moje dziecko po urodzeniu ani razu nie spróbowało mojego mleka, jeśli go nie nakarmię, umrze! Rozumiesz?!

NOS

Brewko, ja rozumiem, że ty mnie nienawidzisz. Nie chcesz mnie znać – dobrze. Ale nie możesz iść z nimi, to oni sprzedali twojego syna. Jeśli pójdziesz z nimi, wrzucą się do rzeki i utopią, a potem sfingują twoje samobójstwo! Oni już nieraz coś takiego robili...

MĘŻCZYZNA W CZERNI I

Stary, coś mi się zdaje, że życie ci się znudziło. Można to tak dobrych ludzi oczerniać?

MĘŻCZYZNA W CZERNI 2

Co ty w ogóle bredzisz? Czy w naszym społeczeństwie w ogóle możliwe są takie straszne czyny jak morderstwo i skrytobójstwo?

MĘŻCZYŻNA W CZERNI I

Chyba naoglądałeś się za dużo filmów.

MĘŻCZYŻNA W CZERNI 2

I coś ci się po nich we łbie majaczy.

MĘŻCZYŻNA W CZERNI I

Socjalizm ci się myli z kapitalizmem.

MĘŻCZYŻNA W CZERNI 2

Z dobrych ludzi przestępców chcesz zrobić.

MĘŻCZYŻNA W CZERNI I

A nasze dobre serca bierzesz za świńskie wnętrzności.

NOS

Bo wy zamiast serc macie świńskie wnętrzności, wy kundle, wy psie i kocie rzygowiny, wy najgorsza hołoto...

MĘŻCZYŻNA W CZERNI 2

On nas nazywa najgorszą hołotą?! Ty Świnio, ty żarcia po śmietnikach szukasz, ty w ogóle wiesz, kim my jesteśmy?

NOS

Wiem, aż za dobrze wiem, kim wy jesteście. Ja nie tylko wiem, co wy chcecie zrobić, ja też wiem dużo o tym, co już zrobiliście.

MĘŻCZYZNA W CZERNI I

Coś mi się wydaje, że my cię musimy nad rzekę zaprosić, zimną wodą umyć.

MĘŻCZYZNA W CZERNI 2

A jutro rano ludzie przyjdą do świątyni trociczki zapalić, dzieciątka zawiązać i co zobaczą? Że nie ma już starego żebraka przy bramie i jego kulawego kundla też już nie ma.

MĘŻCZYZNA W CZERNI I

Ale nikogo to nie będzie obchodziło.

*Obaj rzucają się na Nosa; zabijają psa, Nos upada, ale kiedy
mężczyźni zamierzają go zabić,
Brew zdziera z siebie zasłonę, pokazuje swoją potworną twarz i
wydaje przeraźliwy, upiorny krzyk.*

Przerażeni mężczyźni porzucają Nosa i uciekają.

Kurtyna

Odsłona szósta

Olbrzymi okrągły stół ustawiony na podwórku. Na stole talerze i kieliszki. Z tyłu sceny napis „Złote dziecko – pełen miesiąc”.

Kijanka w błyszczącym, jedwabnym tradycyjnym chińskim kaftanie, z wyhaftowanymi znakami „szczęście” i „długowieczność”, stoi przy kulisach i wita gości.

Kolejno wchodzi: Li Ręka, Yuan Policzek, kuzyn i inni goście, wszyscy składają gratulacje.

Ciotka w długiej tradycyjnej szacie w kolorze ciemnej czerwieni w eskorcie Hao Wielkiej Ręki i Qin He uroczyście wkracza na scenę.

KIJANKA

(Szczęśliwy)

Ciociu, jednak ciocia przyszła!

CIOTKA

Do domu Wanów zawitał wymarzony syn, czyż mogłabym nie przyjść na taką okazję?

KIJANKA

Jeśli Złote Dziecko zjawilo się w mym skromnym domu – to tylko dzięki wielkiej pomocy i łaskawości cioci!

CIOTKA

Nie zasługuję na takie pochwały.

(Rozgląda się i mówi z uśmiechem)

Bez wyjątku.

(Goście nie rozumieją, Ciotka pokazuje na Wielką Rękę i Qin He)

Poza tymi dwoma wszystkich was, łobuzy, własnymi rękami sprowadziłam na świat. Znam każdy pieprzyk na brzuchach waszych matek.

Wszyscy się śmieją.

No, czemu gości do stołu nie zapraszasz?

KIJANKA

Nikt nie śmiałyby usiąść przed ciocią.

CIOTKA

A twój ojciec? On powinien zająć honorowe miejsce.

KIJANKA

Tata ma od dwóch dni grypę i przeniósł się do córki, żeby spokojnie się podleczyć. Mówił, żeby ciocia usiadła na głównym miejscu.

CIOTKA

Skoro tak, to nie wypada odmówić.

WSZYSCY

Oczywiście, oczywiście!

CIOTKA

Kijanko, oboje z żoną żyjecie już na tym świecie od ponad pół wieku i urodził się wam taki piękny, duży syn. Chociaż nie możecie się zgłosić do Księgi rekordów Guinnessa – dobrze mówię, Guinnessa? – to jednak w całej mojej pięćdziesięcioletniej karierze pierwszy raz widzę coś takiego! To naprawdę wielkie, wielkie szczęście!

*Wszyscy potwierdzają, słychać słowa „ wielkie szczęście ” i „
cud”.*

KIJANKA

To tylko dzięki cudownym eliksirom cioci!

CIOTKA

(Wzruszona)

W młodości twoja ciotka była zagorzałą materialistką, ale na starość coraz bardziej wierzy w różne idealizmy.

LI RĘKA

W filozofii również powinno się znaleźć miejsce dla poglądów idealistycznych.

CIOTKA

No sami posłuchajcie. Jak mówi człowiek wykształcony to całkiem inaczej niż niewykształcony.

YUAN POLICZEK

My jesteśmy proste chamy, nic nas nie obchodzi żaden materializm czy inny ide – coś tam.

CIOTKA

Może na świecie nie ma bogów i demonów, ale odplata za dobre i złe uczynki jest na pewno. Jeśli Kijance i Lwiczce po pięćdziesiątce urodził się syn, to znaczy, że poprzednie pokolenia rodu Wan uczyniły wiele dobrego.

KUZYN

Lekarstwa cioci też bardzo pomogły.

CIOTKA

Wiara czyni cuda!

(Do Kijanki)

Twoja matka całe życie wszystkiego skąpiła, ale wasze pokolenie żyje sobie wygodnie, pieniądze macie i jeszcze taka wielka radość was spotkała, więc dzisiaj trzeba się postawić. Mam nadzieję, że godnie nas przyjmiecie!

KIJANKA

Może ciocia być spokojna. Kopyt wielbłąda i niedźwiedziej łapy co prawda nie będzie, ale drobiu, mięsa i owoców morza na pewno nie zabraknie!

CIOTKA

(Przyglądając się smakołykom na stole)

Talerzyk tego, miseczka tamtego, ot i wszystko. A wódka? Jaką macie wódkę?

KIJANKA

(Ze skrzynki pod stołem wyjmuje dwie butelki maotai)

Maotai.

CIOTKA

Aby prawdziwy?

KIJANKA

To od szefowej hotelu władz miejskich Liu Guifang. Gwarantowała, że prawdziwy.

LI RĘKA

To nasza koleżanka ze szkoły.

YUAN POLICZEK

Właśnie starzy koledzy najlepiej oszukują.

CIOTKA

To druga córka Liu Baofu z Liujiazhuangu. Też ją odbierałam.

KIJANKA

Specjalnie jej o tym przypomniałem. Autentycznie wyciągnęła te butelki z sejfu.

CIOTKA

No tak, głupio by jej było dawać mi fałszywą wódkę.

Kijanka otwiera butelkę, nalewa ciotce do spróbowania.

Dobra wódka! Prawdziwa na sto procent! Rozlej wszystkim.

Kijanka nalewa wódkę do kieliszków.

Skoro siedzę na honorowym miejscu, ja decyduję o toastach. Pierwszy kieliszek wnoszę z podziękowaniem dla Komunistycznej Partii Chin, że tak dobrze rządzi krajem, że dzięki niej wyszliśmy z biedy i mogliśmy się wzbogacić, że wyzwoliła nas ideologicznie i dała nam dobre życie, bo gdyby nie to wszystko, nic dobrego by się nikomu z nas nie przydarzyło! Powiedzcie – dobrze mówię?

Wszyscy przytakują.

No to – do dna!

Wszyscy piją do dna.

Drugi toast jest z podziękowaniem dla przodków rodziny Wan i za ich dusze w niebie. Dzięki temu, że poprzednie pokolenia czyniły wiele dobra i gromadziły potężne zasługi, dzisiaj ich potomków spotyka wielkie szczęście!

Wszyscy piją.

Mój trzeci toast jest już na temat – za dalsze szczęście i powodzenie Kijanki i Lwiczki, kochających się małżonków i szczęśliwych rodziców spóźnionego syna!

Wszyscy stukają się kieliszkami, toasty, ogólny gwar. Wchodzi Liu Guifang, za nią dwóch kelnerów z tekturowymi pudłami, za nimi dziennikarka z lokalnej telewizji i kamerzysta.

LIU GUIFANG

Najserdeczniej gratuluję!

KIJANKA

Moja droga koleżanko, ty tutaj?

LIU GUIFANG

Przyszłam wypić toast za twojego syna, a co, nie znajdzie się dla mnie miejsce?

(Obchodzi stół, wita się z gośćmi, wyciąga rękę do Ciotki)

Ciociu, ciocia z każdym dniem się robi młodsza!

CIOTKA

E tam, stara wiedźma ze mnie.

KIJANKA

Jak to się nie znajdzie miejsce, przecież zapraszałem i doprosić się nie mogłem! Cieszę się, że przyszłaś, ale po co było tyle rzeczy przynosić, wykosztowałaś się tylko!

LIU GUIFANG

Przecież ja się właśnie gotowaniem zajmuję, jakie tam koszty?

(Pokazuje pudła)

Tu są osobiście przeze mnie smażone ryby, osobiście przeze mnie zrobione mięso w galarecie i bułki, też osobiście gotowane na parze. Niech goście ocenią, jaka ze mnie kucharka. Ciociu, a dla cioci przyniosłam pięćdziesięcioletni maotai, żeby wyrazić moją nieustającą wdzięczność i szacunek.

CIOTKA

Pięćdziesięcioletni maotai to jednak coś zupełnie innego. W zeszłym roku na Święto Wiosny jakiś dygnitarz z Pingnanu przysłał do mnie swoją synową z butelką. Gdy ją otworzyłam, w całym domu zapachniało!

KIJANKA

(Niespokojnie)

Guifang, co to za ludzie?

LIU GUIFANG

(Przyprowadza Dziennikarkę)

Zapomniałam przedstawić – to jest pani Gao z miejskiej telewizji, producentka i prowadząca program Wszystkie obrazy społeczeństwa. A to jest właśnie pan Kijanka, dramatopisarz. W późnym wieku doczekał się upragnionego syna, niesamowita historia.

(Prowadzi Dziennikarkę do Ciotki)

A to jest nasza święta z Gaomi Dongbeixiang, którą wszyscy niezależnie od wieku zawsze nazywają „ciocią”. My wszyscy z mojego pokolenia i następnego, i jeszcze z następnego pojawiliśmy się na świecie przy jej pomocy.

CIOTKA

(Biorąc Dziennikarkę za rękę)

Bardzo z ciebie szykowna i przystojna dziewczyna. I od razu po tobie widać, jacy byli rodzice. Kiedyś jak dla dziewczyny szukało się męża, od razu patrzyło się na majątek rodziny, ale ja dzisiaj twierdzę, że najpierw trzeba patrzeć na geny, a dopiero potem na majątek. Tylko przy dobrych genach można spłodzić udanych potomków. Jak geny są do niczego, wszystkie wysiłki na marne.

DZIENNIKARKA

(Dając znać kamerzyście, żeby kręcił)

Widzę, że ciocia idzie z duchem czasów.

CIOTKA

A tego to ja nie wiem. Tyle że z różnymi ludźmi mam kontakt, to i podłapałam trochę modnych słów.

KIJANKA

(Cicho do Liu Guifang)

Guifang, tej sprawy lepiej nie rozgłaszać...

LIU GUIFANG

(Też cicho)

Ta dziewczyna niedługo wejdzie do mojej rodziny. W telewizji jest straszna konkurencja, podkradają sobie tematy, kradną materiały i pomysły, muszą jej trochę pomóc.

DZIENNIKARKA

Ciociu, czy fakt, że profesor Kijanka i jego małżonka w późnym wieku doczekali się syna, ma zdaniem cioci związek z ich genami?

CIOTKA

Oczywiście, że tak. Mają świetne geny.

DZIENNIKARKA

A według cioci czyje geny są lepsze: profesora Kijanki czy jego małżonki?

CIOTKA

Najpierw się dowiedz, co to są geny, i dopiero potem mnie pytaj.

DZIENNIKARKA

To czy mogłaby ciocia przystępnym językiem wyjaśnić naszym widzom, co to są geny?

CIOTKA

Co to są geny? Geny to jest życie! Geny to przeznaczenie!

DZIENNIKARKA

Przeznaczenie?

CIOTKA

Jak jajko nie jest pęknięte, muchy na nim nie siadają, rozumiesz?

DZIENNIKARKA

Rozumiem.

CIOTKA

Jak ktoś ma złe geny, to jest jak to pęknięte jajko. Urodzi się i jest takim jajkiem z pęknięciem. Rozumiesz teraz?

LIU GUIFANG

(Do Dziennikarki)

Daj cioci najpierw się napić i odetchnąć. Najpierw zrób wywiad z panem Kijanką. A ten pan tutaj to Yuan Policzek, a to jest Li Ręka. To także moi koledzy ze szkoły, wszyscy bardzo biegli w sprawach genów. Możesz po kolei z nimi przeprowadzić wywiady.

(Nalewa Ciotce wódki)

Ciociu, zdrowia i najdłuższego życia, żeby ciocia jak najdłużej opiekowała się dziećmi w Dongbeixiang!

DZIENNIKARKA

Profesorze Kijanko, wiem, że urodził się pan w 1953 roku, a w obecnym roku skończył pan pięćdziesiąt pięć lat. U nas na wsi w tym wieku ma się już wnuki, a panu tymczasem właśnie urodził się syn. Czy może nam pan powiedzieć, jakie to uczucie?

KIJANKA

W zeszłym miesiącu siedemdziesięcioośmioletni profesor Li z uniwersytetu Qidong z nowo narodzonym synem w ramionach odwiedził swojego ojca, który ma sto trzy lata. Widziała to pani?

DZIENNIKARKA

Widziałam.

KIJANKA

Mężczyzna po pięćdziesiątce jest w sile wieku, więc najistotniejsza jest tu kobieta.

DZIENNIKARKA

Czy możemy w takim razie porozmawiać z pana małżonką?

KIJANKA

W tej chwili odpoczywa, ale niedługo przyjdzie wszystkim podziękować.

DZIENNIKARKA

(Kierując mikrofon w stronę Policzka)

Panie dyrektorze, czy kiedy profesorowi Kijance urodził się syn, nie poczuł się pan na siłach, żeby też spróbować?

YUAN POLICZEK

Jakie wielkie słowa! Czuć się na siłach! Na siłach to ja się czuję, ale ochoty na próbowanie już nie mam. Moje geny są chyba nie najlepsze, bo mam dwóch synów i jeden kosztowniejszy od drugiego. Gdybym miał jeszcze jednego, to już w ogóle nie wiem, co by to było. A poza tym moja stara to wyschnięta gleba, posadzisz w niej młode drzewko, a po trzech dniach zrobi się z niego suchy badył.

LI RĘKA

No to weź sobie „drugą panią”, żeby ci urodziła.

YUAN POLICZEK

Bracie, ty też masz już swoje lata, nawet ci nie wypada takich rzeczy mówić. My jesteśmy ludźmi porządnymi, wierzymy w zasady moralne, czy któryś z nas mógłby się w ogóle zdobyć na coś tak ohydneho?

LI RĘKA

A co w tym ohydneho? Taka jest teraz moda, taki jest trend. To jest ulepszanie genów, to jest pomoc ubogim i słabym, w ten sposób ożywia się rynek wewnętrzny i promuje rozwój!

YUAN POLICZEK

Dobra, dobra. Jak to puszczą w telewizji, to nas pewnie zamkną.

LI RĘKA

Spytaj się ich, czy odważą się to puścić.

(Uśmiecha się, nie odpowiada i odwraca się do Ciotki)

Ciociu, podobno opracowała ciocia środek odmładzający, który umożliwi kobietom po menopauzie powrót do młodości?

CIOTKA

Są tacy, co twierdzą, że po moich wywarach można zmienić płęć dziecka w macicy, w to też wierzysz?

DZIENNIKARKA

Chciałabym wierzyć.

CIOTKA

Dla tego, co wierzy w bogów, bogowie istnieją; dla tego, co nie wierzy, to tylko bałwany z gliny. Tak to jest z ludźmi.

KIJANKA

Pani redaktor, niech pani z ekipą siądzie z nami przy stole, napijcie się czegoś najpierw i potem róbcie wywiady. Co pani na to?

DZIENNIKARKA

Niech państwo spokojnie się bawią, nas tu w ogóle nie ma.

LI RĘKA

Przecież łazicie tam i z powrotem, jak to was nie ma?

DZIENNIKARKA

Proszę nas nie uważać za osoby, proszę nas uważać... za co tylko chcecie!

Guifang, stara koleżanko, pamiętam, że kiedyś byłaś moją boginią. Choćby nie wiem co, muszę się z tobą koniecznie napić!

LIU GUIFANG

(Trąca się z nim kieliszkiem)

Życzę staremu koledze, żeby jego żabi biznes rozwijał się jak najlepiej i żeby wasz krem Prześliczna Laleczka podbił cały świat!

YUAN POLICZEK

Nie zmieniaj tematu. Chcę ci opowiedzieć, jak kiedyś się w tobie szaleńczo kochałem.

LIU GUIFANG

A ty się nie zgrywaj i przestań zmyślać, wszyscy wiedzą, że w Zakładzie Hodowli Żab u dyrektora Policzka pełno jest pięknych dziewczyn!

DZIENNIKARKA

(Mówi do mikrofonu)

Drodzy widzowie, w dzisiejszym wydaniu Wszystkich obrazów społeczeństwa opowiemy państwu o bardzo szczęśliwym wydarzeniu, które miało miejsce w naszym Dongbebdangu. Pan Kijanka, sławny dramatopisarz, który na emeryturze powrócił w rodzinne strony, i jego małżonka Lwiczka w dojrzałym wieku pięćdziesięciu lat doczekali się potomka. Piętnastego dnia zeszłego miesiąca urodził się im śliczny i zdrowy synek.

CIOTKA

Trzeba dziecko pokazać, niech się wszyscy napatrzą!

Kijanka zbiega ze sceny.

LIU GUIFANG

(Zerka na Policzka, cicho mówi)

Nie gadaj bzdur. Ciotka się rozżłości.

*Kijanka wprowadza na scenę Lwiczkę. Lwiczka ma chustę na głowie, w objęciach trzyma becik. Kamerzysta zaczyna kręcić.
Zgromadzeni klaszczą i wiwatują.*

KIJANKA

Chodź, pokaż się cioci.

CIOTKA

(Wzruszona)

Dobre dziecko, naprawdę dobre dziecko. Świetne geny, prezencja jak należy, jakby to było feudalne społeczeństwo, na pewno by zdobył najwyższe tytuły na egzaminach!

LI RĘKA

Co tam egzaminy, może nawet cesarzem by został.

CIOTKA

No to jeszcze zobaczmy, kto go lepiej pochwali.

DZIENNIKARKA

(Podsuwając Ciotce mikrofon)

Ciociu, czy to dziecko też ciocia odbierała?

(Wsuwa czerwoną kopertę do becika, Kijanka i Lwiczka protestują, Ciotka macha ręką)

Należy się, ciotka ma pieniądze.

(Do Dziennikarki)

To przez to, że mi ufali. Ona była starą pierwiastką, denerwowała się strasznie. Proponowałam, żeby poszła do szpitala na cesarkę, ale nie chciała. I ja ją poparłam, bo dopiero jak kobieta urodzi normalnie, zaczyna wiedzieć, co to znaczy być kobietą i co to znaczy być matką!

(W czasie wywiadu Ciotki Lwiczka i Kijanka obchodzą stół dookoła i pokazują dziecko, każdy z gości wsuwa do becika czerwoną kopertę.)

DZIENNIKARKA

Ciociu, czy to będzie ciocie ostatnie dziecko?

CIOTKA

A ty jak myślisz?

DZIENNIKARKA

Podobno nie tylko kobiety z Dongbeixiang u otaczają panią najwyższym zaufaniem, wręcz uwielbieniem, ale nawet ciężarne kobiety z Pingduchengu i z Jiaozhou przyjeżdżają specjalnie do pani?

CIOTKA

Pobiłam wszystkie rekordy.

DZIENNIKARKA

Słyszałam, że w rękach cioci jest jakaś tajemnicza siła, że kiedy ciocia położy ręce na brzuchu rodzącej kobiety, jej ból się zmniejsza, a wtedy zmniejsza się też zdenerwowanie i strach.

CIOTKA

Tak właśnie powstają mity.

DZIENNIKARKA

Ciociu, niech ciocia wyciągnie ręce, chcemy zrobić zbliżenie.

CIOTKA

(Drwiąco)

Masy ludowe potrzebują mitów!

(Do wszystkich)

Czyje to słowa?

LI RĘKA

Pewnie kogoś wielkiego.

CIOTKA

Moje!

YUAN POLICZEK

No bo ciotka sama jest jakby kimś wielkim.

LIU GUIFANG

Co to znaczy „jakby”? Ciotka jest kimś wielkim!

DZIENNIKARKA

(Poważnie)

To dwie zupełnie zwykłe, zdawałoby się, ręce, sprowadziły na świat tysiące dzieci...

CIOTKA

I te dwie zwykłe ręce posłały tysiące dzieci na śmierć.

(Wypija wódkę)

Na moich rękach są dwa rodzaje krwi, jedna pachnąca, druga śmierdząca.

LIU GUIFANG

Ciociu, ciocia jest naszą bodhisattwą z Dongbeixiang, Panią Dającą Dzieci, nawet posąg w Świątyni Pani Matki wygląda jak ciocia. Jestem pewna, że ciocia była dla niego modelem!

CIOTKA

(Pijana, niewyraźnie)

Masy ludowe potrzebują mitów...

DZIENNIKARKA

(Podsuwając mikrofon Lwiczce)

Czy zechciałaby pani podzielić się z nami swoimi przeżyciami?

LWICZKA

O czym mam mówić?

DZIENNIKARKA

O czym pani chce, na przykład co pani poczuła, kiedy dowiedziała się pani, że jest w ciąży? Albo jak przebiegała ciąża, dlaczego chciała pani, żeby ciocia odebrała poród...

LWICZKA

Kiedy dowiedziałam się, że jestem w ciąży, wydawało mi się, że to sen. Ponad pięćdziesiąt lat, dwa lata po menopauzie, skąd nagle ciąża? A jeśli chodzi o przebieg samej ciąży, to z jednej strony byłam strasznie szczęśliwa, a z drugiej strasznie się denerwowałam. Byłam szczęśliwa, bo w końcu miałam zostać matką, tyle lat asystowałam ciotce przy odbieraniu porodów, pomogłam jej przyjąć na świat tyle dzieci, a sama nigdy nie miałam dziecka. Kobieta bez dziecka nie jest naprawdę kobietą, mąż bezdzietnej kobiety nie może chodzić z podniesioną głową. A teraz to wszystko się skończyło.

DZIENNIKARKA

A niepokój? Czym się pani denerwowała?

LWICZKA

Głównie tym, że jestem już w zaawansowanym wieku, bałam się, że dziecko może nie być zdrowe, poza tym bałam się, że nie dam rady urodzić normalnie i będę musiała iść na cesarkę. Ale jak ciotka w czasie porodu położyła mi ręce na brzuchu, całe zdenerwowanie minęło. Dalej słuchałam już tylko poleceń ciotki i wszystko poszło szczęśliwie.

CIOTKA

(Pijana, niewyraźnie)

Żeby tą pachnącą krwią można było zmyć tamtą śmierdzącą...

Nos o kulach wchodzi cicho na scenę.

NOS

Nie zaprosić dziadka, jak wnuk skończył miesiąc, to chyba trochę skandal, co?

Wszyscy są zaskoczeni.

KIJANKA

(Nerwowo)

Bracie, przepraszam, bardzo przepraszam, zapomnieliśmy o tobie...

NOS

(Wybuchu śmiechem)

Ty mnie nazywasz bratem?

(Pokazuje kulą dziecko w objęciach Lwiczki)

Skoro on się na świecie pojawił, powinienes mnie chyba na kolanach przywitać, czołem trzy razy uderzyć i mówić do mnie z szacunkiem! Powinienes się do mnie zwracać „czcigodny teściu”!

YUAN POLICZEK

(Podchodzi i odciąga Nosa)

Bracie Chen, idziemy. Chodź, zabieram cię na ucztę do Pałacu Morza.

NOS

Zostaw mnie, ty podła, bezwstydna szumowino, myślisz, że zatkasz mi usta jakimiś śmierdzącymi homarami i krewetkami? To żeś się pomylił. Dzisiaj jest wielki dzień, mój wnuk skończył miesiąc i ja nigdzie stąd nie idę, ja tutaj się chcę napić za jego zdrowie!

(Siada, zauważa Ciotkę)

Ciotko, ty wszystko wiesz, ty w Dongbeixiangu o wszystkich dzieciach decydujesz, ty zawsze wiesz, w którym domu ziarno nie kiełkuje, a u kogo ziemia zboża nie urodzi. Ty dostarczyłaś im ziarno, ty dostarczyłaś im ziemi, ty pomogłaś im słupek zastąpić kolumną, łodzią wylądować, gdzie nikt się nie spodziewał, tak się przeprowadzić, żeby nikt nie widział, ty pomogłaś im sprzedać śliwę za brzoskwinie, ty pomagałaś popuścić i schwytać, ty byłaś mieczem, który zabija... Opanowałaś wszystkie trzydzieści sześć strategii...

CIOTKA

I tylko w dwóch musiałam ci ustąpić: „czyń hałas na wschodzie, żeby uderzyć na zachodzie” i „zostaw na widoku kokon, kiedy cykady już nie ma”. Prawie mnie wtedy oszukałeś.

(Podnosi ręce i wacha)

W tej śmierdzącej krwi na moich rękach część jest tej, którą ty mnie oblałeś...

LI RĘKA

(Nalewa wódki Nosowi)

Bracie Nos, pij. Do dna.

NOS

(Wypija)

Braciszku, ty jesteś człowiek sprawiedliwy, ty sam powiedz...

LI RĘKA

(Przerywa Nosowi, nalewa mu następny kieliszek)

Sprawiedliwy czy niesprawiedliwy, tylko niebo wie takie rzeczy! Dawaj, bracie, zmienimy ci kieliszek na większy!

NOS

Chcesz mnie upić? Jeśli myślisz, że wódka zamknie mi usta, to się mylisz.

LI RĘKA

Oczywiście, że się myłę. Ty potrafisz morze wódki wypić, ciebie i tysiąc kieliszków nie upije! A my dzisiaj pijemy prawdziwy maotai, jak nie wypijesz, za darmo nie wypijesz, prawda? Do dna, bracie!

NOS

(Odchyła głowę do tyłu, wypija do dna, chucha. Ze łzami w głosie)

Ciotko, Kijanko, Lwiczko, Policzku, Jinie Xiu – ja, nieszczęsny Chen Nos, doprowadziłem się do takiego żalospnego stanu. W całym Dongbeixiang, we wszystkich osiemnastu wsiach, na całe pięćdziesiąt tysięcy ludzi – czy jest ktoś bardziej nieszczęsny niż ja? Sami powiedzcie – czy jest ktoś taki? Nie ma! Nie ma nikogo bardziej nieszczęsnego niż ja! A wy zebraliście się razem, żeby skrzywdzić jednego nieszczęsnego kalekę. Jakbyście mnie chcieli skrzywdzić, to i dobrze, bo ze mnie jest zły człowiek, moja krzywda to sprawiedliwa kara od nieba! Ale nie macie prawa krzywdzić mojej córki! Mojej Brwi, którą znacie od dziecka, najpiękniejszej dziewczyny w Dongbeixiang... Ona i jej siostra powinny zostać królowymi, mieszkać w pałacach, a one... to wszystko moja wina... to moja kara... Moja córka zaszła w ciążę, żeby zapłacić za mój szpital...

(Z gniewem wskazuje na Kijankę)

A wy, moi szkolni koledzy, wy, wujkowie, pisarze, dyrektorzy, okłamaliście ją, powiedzieliście, że jej dziecko zmarło. Czterdzieści tysięcy na niej oszczędziliście... Ale jest jeszcze jasne niebo nad głowami! O dobre niebo, czemu oczu nie otworzysz, czemu nie popatrzysz? Zobacz tych złoczyńców, tych możnych, co depcą po biednych... Pani redaktorko, filmujcie, sfilmujcie to wszystko, sfilmujcie mnie, ją, ich wszystkich, pokażcie to wszystko ludziom...

LIU GUIFANG

Nosie, tak się przechwalasz, ile to możesz wypić, a tymczasem już po dwóch kieliszkach bredzisz po pijanemu...

NOS

Liu Guifang, ty jesteś mądra, jak zmieniał się system zarządzania w hotelu, tyłkiem zakręciłaś i zostałam szefową, a teraz masz milionowy majątek. Prosiłem cię, żebyś dla mojej córki pracę w hotelu znalazła, choćby i taką, żeby w piecu w kuchni paliła, ale ty nie miałaś serca. Co żeś powiedziała? Że ludzi zwalnacie, że to będzie kłopot...

LIU GUIFANG

Stary przyjacielu, to była moja wina, źle postąpiłam wobec Brwi. Zajmę się nią, w końcu co to za kłopot, jeszcze jeden człowiek do wyżywienia. Przyjmę ją do siebie, może tak być?

*Policzek i Kuzyn biorą Nosa pod ramiona, usiłują go
wyprowadzić.*

NOS

(Szarpiąc się)

Nie widziałem jeszcze mojego wnuka.

(Wyciąga z kieszeni na piersi czerwoną kopertę)

Wnusiu, dziadek jest ubogi, ale przecież nie złamię tradycji, dziadzius ma dla ciebie czerwoną kopertkę...

Policzek i Kuzyn wyprowadzają go, w tym samym czasie po drugiej stronie sceny pojawia się Brew w swojej czarnej sukni i zasłonie na twarzy. Zdumieni ludzie milkną.

BREW

(Głośno pociąga nosem, najpierw mówi cicho, potem coraz głośniej)

Dziecko, kochanie, czuję twój zapach, taki śliczny, taki słodki, taki mocny...

(Jak niewidoma wyciąga ręce i macając nimi drogę, zbliża się do Lwiczki, a wtedy z becika rozlega się płacz)

Dziecko, kochane dziecko... od urodzenia nie piło matczynego mleka... zagłodzili moje dziecko...

(Wyrywa dziecko z ramion Lwiczki i zbiega ze sceny. Zdumieni ludzie nie wiedzą, co robić)

LWICZKA

(Wyciąga ręce z rozpaczą)

Moje dziecko, moje Złote Dzieciątko...

(Rzuca się w pogoń za Brwią, za nią Kijanka i pozostali, na scenie zamęt)

Kurtyna

Odłona siódma

Na ekranie z tyłu sceny ciągle zmieniające się obrazy: ruchliwa ulica, zatłoczony targ, park.

W parku ludzie ćwiczą tai-chi, trzymają klatki z ptakami, ktoś gra na erhu.

Zmieniające się na ekranie sceny pokazują drogę, którą przebiegła Brew.

Brew biegnie z dzieckiem w ramionach, cały czas przemawiając do dziecka.

BREW

Mój skarbie... mama cię wreszcie znalazła... już nigdy cię nie opuszczę...

Lwiczka, Kijanka i inni biegną za nią.

LWICZKA

Złote Dziecko... syneczku...

Na scenie pokazuje się biegnąca Brew, bez przerwy odwraca się za siebie.

Krzyczy do ludzi na ulicy: „Ratujcie mnie... ratujcie moje dziecko... Za nią pojawia się pogoń.

BREW

(Błaga o pomoc)

Ratujcie nas!

LWICZKA

(Krzyczy)

Zatrzymajcie ją! Ona porwała dziecko! Zatrzymajcie ją,
to wariatka!

*Brew upada. Podnosi się i znowu upada, lecz znowu się podnosi.
Od początku do końca sceny nerwowy i piskliwy dźwięk jinghu
miesza się z płaczem dziecka.*

Kurtyna

Odsłona ósma

Plan filmu telewizyjnego Gao Mengjiu. Na scenie dekoracje przedstawiające salę urzędu z okresu Republiki.

Na środku zawieszona tablica z napisem „Sprawiedliwość jaśniej”. Po jej obu stronach wiszą pionowe tablice z następującymi napisami: po prawej „Raz wiatr, raz deszcz, raz słońce”, po lewej „Raz grzeczny, raz groźny, raz dziki”.

Na stole leży wielki but.

Gao Mengjiu ubrany jest w czarną sunjatsenowską marynarkę, na głowie ma kapelusz europejskiego typu, z kieszeni wystaje mu srebrny łańcuszek od zegarka.

Po obu stronach sceny stoi kilku pachołków z wielkimi, tradycyjnymi czarno-czerwonymi patkami. Ubrani są w czarne sunjatsenowskie marynarki, co w zestawieniu z palkami daje efekt anachroniczny i komiczny.

Reżyser, kamerzyści, dźwiękowcy i pozostali członkowie ekipy krzątają się przy swoich zajęciach.

REŻYSER

Wszyscy na miejsca! Gotowi?... Akcja!

GAO MENGJIU

(Podnosi wielki but i uderza nim o stół)

Ajajajajaj... kłopot!

(Śpiewa)

*Naczelnik Gao siedzi w wielkiej sali i ma do rozwiązania trudną
sprawę,*

Rodzina Zhangów i rodzina Wangów kłócą się o majątek,

*Zhang ma rację, Wang ma rację, wszyscy mają rację,
Ale ja tu zdecyduję, kto ma w końcu rację.*

(Mówi)

Ja, naczelnik powiatu, nazywam się Gao, na imię mam Mengjiu. Pochodzę z tianjińskiego powiatu Baodi, w młodości poszedłem do wojska i pod wielkim marszałkiem Feng Yuxiangiem walczyłem na południu i na północy, odniosłem wielkie zwycięstwa i miałem wielkie zasługi. Marszałek Feng mianował mnie dowódcą oddziału. Któregoś dnia jeden z moich podkomendnych w czarnych okularach szedł z prostytutką przez miasto i pech chciał, że zobaczył go sam marszałek Feng. Marszałek uznał, że nie umiem utrzymać dyscypliny wśród żołnierzy. Z wielkim wstydem przeprosiłem marszałka, że zawiodłem jego zaufanie, odszedłem z wojska i wróciłem na wieś. W dziewiętnastym roku Republiki, gdy mój druh z wojska Han Faju został gubernatorem Shandongu, trzykrotnie mnie prosił, abym do niego dołączył. Nie mogłem odmówić staremu druhowi i pojechałem objąć urząd. Pełniłem różne funkcje, aż zostałem naczelnikiem powiatu Gaomi. Tutejszy lud jest uparty i nieposłuszny, na każdym kroku bandyci i zbójce, hazard się szerzy, handel opium kwitnie, bezpieczeństwo publiczne jest w opłakanym stanie. Odkąd objąłem urząd, rządzę surowo i twardo, bo postanowiłem przywrócić porządek, wykorzenić złe obyczaje i wskrzesić cnoty i pokorę. W prostym ubraniu chodziłem po domach, dobrze rozwiązałem różne trudne sprawy.

(Ciszej)

Oczywiście, zdarzało się również tak, że zrobiłem z siebie durnia, aż ludzie się śmiali. Człowiek nie jest święty, każdy się czasem pomyli. A święci to co, już się nigdy nie mylili? Ziemianie z okolicy przysłali mi taki dwuwiersz: „Raz wiatr, raz deszcz, raz słońce; raz grzeczny, raz groźny, raz dziki”. Dobrze, co? Bardzo dobre! I jeszcze nadali mi taki przydomek „Gao Dwie Podeszwy”! Wzięło się to z tego, że wałę po gębach różnych bandyckich chłopów i występne baby!

(Śpiewa)

W niespokojnych czasach prawo jest surowe,
Jeżeli potrzeba dzikości, mogą być i dziki,
Wszystkich złodziei, oszustów, bandytów, morderców
Tak wałę butem po gębach, że lecą do nieba.

(Mówi)

Ej, chłopcy!

PACHOŁKOWIE

Tak jest!

GAO MENGJIU

Wszystko gotowe?

PACHOŁKOWIE

Gotowe!

GAO MENGJIU

Niech powód i pozwany wystąpią!

Na scenę, potykając się, wpada Brew z dzieckiem w objęciach.

BREW

Czcigodny sędzio Bao, niech wasza wysokość przywróci sprawiedliwość!

Lwiczka i pozostali kolejno wbiegają za nią, roztrącając aktorów mających w filmie grać Zhangów i Wangów; na scenie chaos.

REŻYSER

(Zdenerwowany)

Stop! Cięcie! Co to jest?! Kierownik planu! Gdzie jest kierownik planu?

BREW

(Kłęką przed stołem)

Czcigodny sędzio Bao, niech wasza wysokość przywróci sprawiedliwość!

GAO MENGJIU

Ale ja nie nazywam się Bao. Nazywam się Gao.

BREW

(Przez płacz dziecka)

Czcigodny sędzio Bao, moje krzywdy są wielkie, niech wasza wysokość rozsądzi moją sprawę!

*Policzek i Kuzyn odciągają Reżysera i coś cicho do niego mówią,
Reżyser kiwa kilkakrotnie głową. Ze słów Policzka można
usłyszeć tylko: „Nasza firma przeznaczy sto tysięcy juanów!”*

*Reżyser podchodzi do Gao Mengjiu i szeptem coś do ucha, potem
daje jakieś znaki kamerzystom. Policzek podchodzi do Lwiczki i
Kijanki i coś do nich mówi.*

GAO MENGJIU

(Mocno uderza butem w stół)

Posłuchaj, dobra kobieto, dzisiaj na mocy mojego urzędu
okażę wyjątkową łaskę. Rozpatrzę twoją sprawę. A teraz
mów zgodnie z prawdą: jak się nazywasz, skąd pochodzisz,
kto cię skrzywdził, czego chcesz. Ale jeśli zełgasz chociaż
jednym słowem – wiesz, jaka jest u mnie reguła?

BREW

Nie wiem, wasza wysokość.

PACHOŁKOWIE

(Chórem)

Oj, bo będzie źle!

GAO MENGJIU

(Uderza butem w stół)

Jeśli zełgasz chociaż pół słowa – tym butem podzielę cię w
gębę! Rozumiesz?

BREW

Rozumiem, wasza wysokość.

GAO MENGJIU

No to mów, tylko prawdę.

BREW

Wasza wysokość, nazywam się Chen Brew i pochodzę z Gaomi Dongbeixiang. W dzieciństwie straciłam matkę, wychowała mnie siostra. Razem z siostrą poszłam do pracy w fabryce. W fabryce był pożar, moja siostra zginęła, a ogień oszpecił mi twarz.

GAO MENGJIU

Słuchaj, Chen Brew, podnieś zasłonę, chcę zobaczyć, jak wyglądasz.

BREW

Wasza wysokość, ja nie mogę podnieść zasłony.

GAO MENGJIU

A to dlaczego?

BREW

Póki mam na twarzy zasłonę, poty jestem człowiekiem. Jak zdejmę zasłonę, stanę się upiorem.

GAO MENGJIU

Słuchaj, Chen Brew, ja tu jestem na urzędzie i muszę zgodnie z prawem rozwiązywać sprawy. Jak nie podniesiesz zasłony, to skąd mam wiedzieć, kim jesteś?

BREW

Niech wasza wysokość każe im zasłonić oczy.

GAO MENGJIU

Wszyscy zasłonić oczy!

NOS

Niech wasza wysokość spojrzy. Ciężko mnie życie doświadczyło...

(Brew kładzie dziecko na scenie, zdejmuje zasłonę i zakrywa twarz rękami)

Gao Mengjiu daje znak, Lwiczka doskakuje i chwyta dziecko na ręce.

LWICZKA

(Z płaczem)

Dziecinko, skarbie kochany, moje Złote Dzieciątko, niech mama spojrzy na ciebie... Kijanko, co z nim? Ta wariatka zabiła nasze dziecko!

BREW

(Z płaczem rzuca się na Lwiczkę)

*Moje dziecko... wasza wysokość, ona zabrała moje dziecko...
Pachołkowie zatrzymują ją.*

Ciotka powoli wchodzi na scenę.

KIJANKA

Ciotka jest!

LWICZKA

Ciociu! Zobacz, co z dzieckiem... zobacz, co mu jest...

Ciotka uciska i rozmasowuje ciałko dziecka w kilku miejscach i po chwili rozlega się jego płacz. Kijanka podaje Lwiczce butelkę z mlekiem, Lwiczka wkłada mu smoczek od butelki do ust, płacz dziecka ustaje.

BREW

Wasza wysokość, nie pozwólcie im karmić mojego dziecka krowim mlekiem, krowie mleko jest trujące... Wasza wysokość, ja sama mam mleko... Jak nie wierzycie, to wam pokażę... wasza wysokość...

Wchodzą Nos i Li Ręka.

NOS

(Uderzając kulą w podłogę)

Prawda wyjdzie na jaw... Niech prawda wyjdzie na jaw...

GAO MENGJIU

(Z przygnębieniem)

Chen Brew, ty lepiej jednak załóż zasłonę...

BREW

(Z przestraczem szuka zasłony, zakładają na twarz)

Przestraszyłam waszą wysokość... niech wasza wysokość wybaczy...

GAO MENGJIU

Słuchaj, Brew, skoro twoja sprawa trafiła do moich rąk, muszę ją rozpatrzyć, jak się należy.

BREW

Dziękuję waszej wysokości.

Kijanka i Policzek osłaniając dziecko, chcą wychodzić.

GAO MENGJIU

(Uderza butem w stół)

Zaraz, a wy dokąd?! Dopóki nie rozpatrzyłem sprawy do końca, nikt nie śmie stąd wyjść! Chłopcy, zatrzymać ich!

Reżyser daje mu znaki ręką, patrzy znacząco, Gao Mengjiu udaje, że nie widzi.

Więc twierdzisz, niewiasto, że dziecko jest twoje, w takim razie pytam się ciebie: kto jest ojcem dziecka?

BREW

Jego ojciec jest wielkim urzędnikiem, bogaczem i możnym człowiekiem.

GAO MENGJIU

Choćby był nie wiem, jakim urzędnikiem, i nie wiem, jak był możny i bogaty, przecież musi się jakoś nazywać?

BREW

Ja nie znam jego nazwiska.

GAO MENGJIU

Kiedy go poślubiłaś?

BREW

Ja nie mam męża.

GAO MENGJIU

Aha, panna z dzieckiem. No to kiedy z nim, tego... byłaś w łożnicy?

BREW

Nie rozumiem.

GAO MENGJIU

Ech... no, kiedy z nim byłaś w łóżku? No, jakby to... spałaś z nim, rozumiesz?

BREW

Wasza wysokość, ja nigdy nie spałam z mężczyzną. Ja jestem dziewicą.

GAO MENGJIU

Coraz większe dziwy. Jak nie spałaś z mężczyzną, to jak zaszłaś w ciążę? Jak urodziłaś? Chyba tyle nauczyli cię na biologii?

BREW

Wasza wysokość, ja mówię najszczerzą prawdę.

(Pokazuje Lwiczkę)

Oni taką szklaną rurką...

GAO MENGJIU

A, dziecko z próbówki.

BREW

To nie jest dziecko z probówki.

GAO MENGJIU

Aha, rozumiem. Sztuczna inseminacja, jak u zwierząt.

BREW

Wasza wysokość,

(Kłęką)

blagam o zmiłowanie i o sprawiedliwość. Ja najpierw myślałam, że jak urodzę, tymi pieniędzmi, które mi mieli dać za dziecko, zapłacę ojcu za szpital, a potem skoczę do rzeki. Ale kiedy zaszłam w ciążę, kiedy poczułam w sobie nowe życie, nie chciałam już umierać. Poza mną jeszcze kilka innych dziewczyn było w ciąży, ale one nie kochały swoich dzieci. A ja je pokochałam. Mam rany na twarzy, mam rany na ciele, kiedy pada deszcz, wszystkie rany mnie swędzą i bolą, a kiedy jest sucho – pękają i krwawią. Wasza wysokość, niełatwo było mi dziewięć miesięcy chodzić w ciąży. Wasza wysokość... Ja zniosłam wszystkie cierpienia, wszystkie niepokoje... W końcu urodziłam, a oni mnie oszukali, że moje dziecko zmarło... Ja wiem, że nie zmarło... Szukałam go, tak długo go szukałam i wreszcie znalazłam... Ja nie chcę pieniędzy, choćby dawali mi milion, a nawet dziesięć milionów, nie chcę. Ja tylko chcę moje dziecko. Wasza wysokość, błagam o zmiłowanie, niech wasza wysokość zwróci mi moje dziecko...

GAO MENGJIU

(Do Lwiczki i Kijanki)

A wy jesteście legalnym małżeństwem?

KIJANKA

Jesteśmy małżeństwem od trzydziestu lat.

GAO MENGJIU

I przez te trzydzieści lat nie mieliście dzieci?

LWICZKA

(Niezadowolona)

No przecież właśnie się urodziło!

GAO MENGJIU

Tak na oko macie już po pięćdziesiątce?

LWICZKA

Wiedziałam, że będzie pan o to pytał.

(Pokazując Ciotkę)

To jest nasza położna z Gaomi Dongbeixiangu, odebrała kilka tysięcy porodów, doprowadziła do rozwiązania tysiące zagrożonych ciąży, kto wie, może i pański poród odbierała? Jej może się pan spytać o moją ciążę i rozwiązanie, ona może zaświadczyć.

GAO MENGJIU

Wiele słyszałem o cioci, pani jest naszą lokalną świętą. Z pani jest człowiek nieskazitelny, pani słowo liczy się tu najbardziej.

CIOTKA

Rzeczywiście, ja odebrałam to dziecko.

GAO MENGJIU

(Do Brwi)

Ona odbierała twój poród?

BREW

Wasza wysokość, w czasie porodu zasłonili mi oczy.

GAO MENGJIU

Ja tej sprawy nie rozwiążę. Idźcie zrobić test DNA!

Reżyser szepcze mu coś do ucha, Gao Mengjiu kłóci się z nim szepcem.

(Gao Mengjiu wzdycha ciężko, śpiewa)

Ciężka sprawa, ciężka sprawa, bardzo ciężka sprawa

Sprawiła mi kłopot i trudność,

Komu dziecko oddać należy,

Trzeba wymyślić jakiś dobry sposób...

(Schodzi z filmowej dekoracji)

Słuchajcie, skoro przyszliście z tym do mnie, odegramy to na poważnie. Ja tę sprawę rozwiążę!

Ej, chłopcy!

PACHOŁKOWIE

Tak jest!

GAO MENGJIU

Jeśli ktoś nie usłucha mojej decyzji, macie go trzepnąć
butem w gębę!

PACHOŁKOWIE

Tak jest!

GAO MENGJIU

Brwi, Lwiczko, wysłuchałem was obu. Słowa jednej i
drugiej zdają się prawdziwe, trudno jest was rozsądzić. I
dlatego tak powiadam: niech Lwiczka teraz poda mi
dziecko.

LWICZKA

Nie chcę!

GAO MENGJIU

Chłopcy!

PACHOŁKOWIE

(Chórem)

Oj, bo będzie źle!

*Reżyser szepcze coś do Kijanki, Kijanka szturcha Lwiczkę, daje
jej znak, żeby podała dziecko Gao Mengjiu.*

GAO MENGJIU

(Schyla głowę, przygląda się dziecku)

Rzeczywiście, udany chłopczyk, nie dziwię się, że wszyscy go chcą. Brwi, Lwiczko, słuchajcie! Nie mogę zdecydować, komu należy się dziecko, więc zrobmy tak: która z was zabierze dziecko ode mnie, ta będzie jego matką. Mętna sprawa niech się mętnie rozwiąże!

(Podnosi dziecko do góry)

Start!

*Lwiczka i Brew rzucają się ku dziecku, wrywają je sobie,
dziecko zaczyna płakać,*

Brew wrywa je i przytula do piersi.

GAO MENGJIU

Chłopcy! Sprowadźcie mi Brew i zabierzcie dziecko!

Pachołkowie zabierają jej dziecko, podają je Gao Mengjiu.

Zuchwała kobieto, kłamałaś, że dziecko jest twoje! Wyrwałaś je bez litości, z tego widać, że nie jesteś jego matką. Lwiczka słysząc, że dzieciątko płacze, wiedzona miłością matki i lękiem, że je skrzywdzi, cofnęła się. Kiedyś sędzia Bao z Kaifengu tak rozwiązał sprawę: matką jest ta, która ustąpiła! I dlatego postanawiam oddać dziecko Lwiczce! Za kradzież dziecka i za swoje kłamstwa Chen Brew zostaje skazana na dwadzieścia uderzeń butem, ale ponieważ jest kaleką, kary nie wykonamy! Ogłaszam sprawę za zamkniętą!

(Podaje dziecko Lwiczce)

Brew szarpie się, ale Pachołkowie trzymają ją mocno.

BREW

Gao Mengjiu, ty sprzedajny sędzio!

LI RĘKA

(Trącając Nosa w rękę)

Bracie, posłuchaj, rozmawiałem już z Kijanką i z
Policzkiem, zapłacą Brwi sto tysięcy.

Kurtyna

Odsłona dziewiąta

*Podwórko przed domem ciotki, dekoracja taka sama jak
przedtem.*

Hao Wielka Ręka i Qin He lepią gliniane figurki.

*Kijanka gniecie w rękę plik kartek. Stoi z boku sceny, deklamuje
głośno.*

KIJANKA

... Gdyby ktoś mnie spytał, jaki jest główny kolor Dongbeixiang, bez namysłu odpowiedziałabym: zielony!

HAO WIELKA RĘKA

(Mamrocze z niezadowoleniem)

A czerwony? Czerwone sorgo, czerwona marchew, czerwone słońce, czerwony kubraczek, czerwona papryka, czerwone jabłka...

QIN HE

Żółta ziemia, żółte gównno, żółte zęby, żółte łasice, tylko żółtego złota jakoś nie ma.

KIJANKA

Gdyby ktoś mnie zapytał, jaki dźwięk jest najważniejszy dla Dongbeixiang, odpowiedziałabym z dumą: głos żab.

HAO WIELKA RĘKA

A z czego tu być dumnym?

QIN HE

Z dziecięcego płaczu można być dumnym.

KIJANKA

Głos żab niski jak muczenie cieląt, smutny jak beczenie jagniąt, dźwięczny jak gdakanie kur, głośny i przejmujący jak płacz niemowląt...

HAO WIELKA RĘKA

A szczekanie psów? Miauczenie kotów? Ryczenie osłów?

KIJANKA

(Ze złością)

Tylko się mnie czepiacie.

QIN HE

Bo ta twoja sztuka to samo czepianie się.

CIOTKA

(Zimno)

To, co przed chwilą czytałeś, to niby ja mówię?

KIJANKA

To mówi Ciotka, postać w sztuce.

CIOTKA

A Ciotka ze sztuki to ja czy nie ja?

KIJANKA

I ty, i nie ty.

CIOTKA

A co to znaczy?

KIJANKA

To jest zasada powszechnie obowiązująca w twórczości artystycznej. Tak samo jak oni, kiedy lepią swoje figurki, częściowo wzorują się na prawdziwych ludziach, ale dodają też coś, co stwarza ich własna wyobraźnia.

CIOTKA

Nie boisz się kłopotów, jeśli ta sztuka naprawdę pojawi się na scenie? Wykorzystałeś przecież prawdziwe nazwiska i imiona.

KIJANKA

To tylko wstępna wersja, ciociu, w wersji ostatecznej wszystkie imiona i nazwiska zastąpię zagranicznymi. Ciotka będzie stryjenką Marią, Wielka Ręka będzie się nazywał Henry, a Qin He stanie się Allende. Brew będzie Tonią, Nosa nazwę Figaro... Nawet Dongbeixiangu zmieni się w miasteczko Macondo.

HAO WIELKA RĘKA

Henry? Fajne imię.

QIN HE

Wołałbym, żebyś mnie nazwał Rodin albo Michał Anioł, bo ich prace są podobne w charakterze do moich.

Kijanko, sztuka sztuką, a rzeczywistość rzeczywistością. Nie mogę pozbyć się myśli, że wy... to znaczy, oczywiście i ja także... że my skrzywdziliśmy Brew. Ostatnio znowu nie mogę spać, te diablątka domagające się spłaty i te kalekie żaby przychodzą do mnie i hałasują co noc. Czuję zimną skórę ich brzuchów, czuję ich zimny, wstrętny zapach...

HAO WIELKA RĘKA

To tylko halucynacje wywołane psychastenią.

KIJANKA

Ciociu, rozumiem, co czujesz. Takie rozwiązanie sprawy we mnie również budzi poczucie winy. Ale jak mieliśmy postąpić inaczej? Cokolwiek powiedzieć, Brew jest chora psychicznie, a ponadto ze swoją zeszpeconą twarzą jest nie tylko chora, ale i potworna. Gdybyśmy komuś takiemu pozwolili wychowywać dziecko, byłaby to z naszej strony wielka nieodpowiedzialność. A poza tym, chociaż tego nie planowałem, z biologicznego punktu widzenia jestem ojcem dziecka. To całkowicie naturalne i rozsądne, że ojciec przejmuje opiekę nad dzieckiem, którego matka jest chora psychicznie i nie potrafi zadbać nawet o siebie. Nawet w sądzie najwyższym ta sprawa tak by się skończyła. No, sama powiedz, czy nie jest tak?

CIOTKA

A może gdybyśmy dali jej dziecko, Brew by wyzdrowiała? Więż między matką a dzieckiem potrafi czynić cuda...

KIJANKA

Nie możemy narażać dziecka na takie niebezpieczne eksperymenty. Człowiek chory psychicznie jest zdolny do wszystkiego.

CIOTKA

Chorzy psychicznie też kochają dzieci.

KIJANKA

Ale jej miłość mogła dziecko skrzywdzić. Ciociu, absolutnie nie możesz czuć się winna z tego powodu. I tak zachowaliśmy się bardzo porządnie i humanitarnie. Podwoiliśmy jej zapłatę, posłaliśmy ją do szpitala na leczenie, wobec Nosa też jesteśmy w porządku. Może w przyszłości, jeśli stan Brew się polepszy, kiedy dziecko będzie starsze, we właściwym momencie powiemy mu prawdę. Chociaż ta prawda tylko sprawi mu ból.

CIOTKA

Prawdę mówiąc, ostatnio ciągle myślę o śmierci.

KIJANKA

Ciociu, nie wolno ci myśleć o takich rzeczach. Masz dopiero siedemdziesiąt lat i gdybym powiedział, że to południe twojego życia, tobym przesadził, ale jeśli powiem, że twój zegar wybił drugą albo trzecią, wcale nie będę ci kadził. A o godzinie trzeciej jeszcze daleko do zmroku! A poza tym Dongbeixiang cię potrzebuje!

CIOTKA

Oczywiście, że nie chcę umierać, bo póki człowiek nie jest chory, póki może jeść i spać, póty nie chce umierać. Ale ja nie mogę spać! O trzeciej w nocy wszyscy śpią oprócz sów na drzewach i mnie. Ale sowy nie śpią, bo polują na myszy, a ja co mam robić?

KIJANKA

Możesz wziąć proszek nasenny. Wielu wielkich ludzi cierpi na bezsenność i wszyscy biorą proszki.

CIOTKA

Proszek nasenny mi nie pomoże.

KIJANKA

To może jakiś chiński lek...

CIOTKA

Jestem lekarzem! Mówię ci, że to nie jest choroba. To nadeszła pora spłaty długów i te upiory przychodzą się ze mną policzyć. Pojawiają się co noc, kiedy sowy na drzewach zaczynają pohukiwać. Są całe we krwi i głośno płaczą, a razem z nimi przychodzą te żaby bez rąk i nóg. Płacz dzieci i kumkanie żab zlewają się ze sobą, stają się nie do odróżnienia. Skaczą i gonią mnie po całym podwórku. Ja się nie boję tego, że mnie ugryzą, ja się boję ich zimnej skóry i ich wstrętnego zapachu. Sami powiedzcie, czy ja się kiedyś czegoś bałam? Nie bałam się nigdy ani tygrysów, ani wilków, ani lisów, tego wszystkiego, czego ludzie zwykle się boją. Ale te żabie duchy napełniają mnie grozą.

KIJANKA

(Do Wielkiej Ręki)

A może wezwać taoistę, niech odprawi egzorcyzmy?

HAO WIELKA RĘKA

To, co ona mówi, to też tekst na scenę.

CIOTKA

Kiedy nie mogę spać, przypominam sobie całe swoje życie. Od pierwszego dziecka, które odebrałam, aż do ostatniego, scena po scenie, jak na filmie. Podobno nie zrobiłam w życiu nic złego... A tamto... Czy tamto było złe?

KIJANKA

Ciociu, czy tamto było złe, teraz trudno jest ocenić. A nawet gdyby uznać, że było złe, nie ty za to ponosisz odpowiedzialność. Ciociu, nie obwiniaj się, nie miej wyrzutów sumienia. Jesteś człowiekiem szlachetnym, nie zbrodniarką.

CIOTKA

Naprawdę nie jestem zbrodniarką?

KIJANKA

Gdyby ogłoszono konkurs na najlepszego człowieka w Dongbeixiang, dostałabyś najwięcej głosów.

CIOTKA

I moje ręce są czyste?

KIJANKA

Nie tylko czyste, twoje ręce są święte.

CIOTKA

Kiedy nie mogę spać, przypominam sobie śmierć żony Zhanga Pięści i śmierć Renmei, i śmierć Nerki...

KIJANKA

Żadna z tych śmierci nie była twoją winą. W żadnym wypadku.

CIOTKA

Wiesz, co żona Pięści powiedziała mi przed śmiercią?

KIJANKA

Nie wiem.

CIOTKA

Powiedziała mi: „Wan Serce, ty nie zasługujesz na dobrą śmierć!”.

KIJANKA

To wstrętna baba, naprawdę, w głowie się nie mieści.

CIOTKA

A wiesz, co Renmei powiedziała przed śmiercią?

KIJANKA

Co powiedziała?

CIOTKA

Powiedziała: „Ciociu, zimno mi...”.

KIJANKA

(Smutno)

Renmei, mnie też jest zimno...

CIOTKA

A wiesz, co Nerka powiedziała mi przed śmiercią?

KIJANKA

Nie wiem.

CIOTKA

A chcesz wiedzieć?

KIJANKA

Tak... ale...

CIOTKA

(Z ożywieniem)

Powiedziała: „Ciociu, dziękuję, że uratowałaś moje dziecko” Powiedz, czy to ja uratowałam jej dziecko?

KIJANKA

Oczywiście, że ty.

CIOTKA

W takim razie mogę spokojnie umrzeć.

KIJANKA.

Ciociu, źle mówisz, powinnaś powiedzieć, że możesz spokojnie zasnąć, że możesz spokojnie żyć.

CIOTKA

Człowiek, który popełnił zbrodnię, nie ma prawa umrzeć. Musi się męczyć, dręczyć, musi się rzucać jak ryba na patelni, musi się dusić jak wywar w garnku. Tylko w ten sposób może zapłacić za swoje winy i dopiero kiedy zapłaci do końca, może sobie pozwolić na luksus śmierci.

Z sufitu opuszcza się wielka czarna pętla, Ciotka wkłada w nią głowę, kopnięciem przewraca stół pod stopami.

Hao Wielka Ręka i Qin He nie zwracając na to uwagi, lepią swoje figurki.

Kijanka podnosi nóż, podnosi stółek, staje na nim i przecina sznur. Ciotka upada na ziemię.

KIJANKA

(Podnosząc ciotkę)

Ciociu! Ciociu!

CIOTKA

Czy ja umarłam?

KIJANKA

Można to tak rozumieć, ale tacy ludzie jak ty nie umierają.

CIOTKA

Można więc powiedzieć, że urodziłam się na nowo.

KIJANKA

Tak. Można tak powiedzieć.

CIOTKA

A u was wszystko dobrze?

KIJANKA

Wszystko dobrze!

CIOTKA

A Złote Dziecko?

KIJANKA

Znakomicie!

CIOTKA

A u Lwiczki pojawiło się mleko?

KIJANKA

Pojawiło.

CIOTKA

Dużo?

KIJANKA

Bardzo dużo.

CIOTKA

Jak dużo?

KIJANKA

Trysnęło jak z fontanny.

Kurtyna